

LOTHAR-GÜNTHER BUCHHEIM

OKRĘT

Przełożył ADAM KASKA

Tytuł oryginału niemieckiego *DAS BOOT*



Mary Read

Choć książka ta jest powieścią, nie jest ona wytworem fantazji. Autor sam przeżył odtworzone w niej wydarzenia, stanowią one sumę jego doświadczeń, zdobytych na okrętach podwodnych. Mimo to opisy postaci nie są portretami osób żyjących wtedy czy jeszcze dzisiaj.

Przedstawione w tej książce działania okręt prowadził jesienią i zimą 1941 roku. W tym czasie zarysowały się zmiany na wszystkich frontach. Pod Moskwą, po raz pierwszy w tej wojnie, oddziały Wehrmachtu zostały zatrzymane. W północnej Afryce jednostki brytyjskie przeszły do ofensywy. Stany Zjednoczone przygotowywały dostawy pomocnicze dla Związku Radzieckiego i – bezpośrednio po napadzie japońskim na Pearl Harbor – stały się również stroną wojującą.

Z czterdziestu tysięcy marynarzy niemieckich okrętów podwodnych w drugiej wojnie światowej trzydzieści tysięcy nie powróciło.

Lothar-Günther Buchheim

Bar Royal

Z kwater oficerskich w hotelu „Majestic” do „Bar Royal” droga prowadzi tuż nad brzegiem; jest to właściwie jeden rozciągnięty zakręt długości pięciu kilometrów. Księżyc jeszcze nie wzeszedł. Mimo to ulicę widać jako bladą wstęgę.

Dowódca docisnął pedał gazu, jakby brał udział w nocnych wyścigach. Ale nagle musi puścić gaz i nadusić hamulec. Opony piszczą. Przyhamować, puścić, znowu ostro przyhamować. Stary robi to dobrze i zatrzymuje ciężki wóz bez szarpnięcia przed dziko miotającym się facetem. Granatowy mundur. Czapka z daszkiem. Co za naszywka na rękawie? Bosman!

Teraz stoi, gestykulując gwałtownie, obok stożka światła naszych reflektorów. Nie widać jego twarzy. Dowódca chce znowu powoli ruszyć wozem, ale bosman młóci dłońmi w osłonę chłodnicy i ryczy: – Ty żwawa sarenko! Złamię ci serce prędko!

Przerwa, potem znowu werbel na chłodnicy i jeszcze raz: – Ty żwawa sarenko! Złamię ci serce prędko!

Dowódca wykrzywia twarz. Zaraz eksploduje. Ale nie, włącza wsteczny bieg. Wóz robi skok, tak że nieomal uderzam w szybę.

Potem pierwszy bieg. Slalomowy skręt. Wyjące opony. Drugi bieg.

– To był nasz beo-bosman – wyjaśnia mi dowódca. – Schlany jak bela.

Główny mechanik, który siedzi za nami, klnie pod nosem.

Ledwie dowódca porządnie się rozpędził, musi znowu hamować. Ale teraz może zostawić sobie trochę czasu, bowiem już z daleka rozpoznajemy w świetle reflektorów rozkołysany szereg. Przynajmniej dziesięciu ludzi w poprzek ulicy. Wszystko marynarze w kulanich.

Gdy podjeżdżamy bliżej, widzę, że wszyscy mają penisy na wierzchu.

Stary trąbi. Szereg dzieli się i przejeżdżamy wśród sikającego szpaleru.

– Nazywają to polewaczką... To wszystko ludzie z naszego okrętu.

Z tyłu mamrocze coś główny mechanik.

– Inni są w burdelu – mówi dowódca. – Tam na pewno teraz duży ruch. Merkel również jutro wychodzi.

Przez dobre tysiąc metrów nie widzimy nikogo. Potem w reflektorach pojawia się

wzmocniony patrol żandarmerii.

– Mam nadzieję, że jutro nie będzie nikogo brakowało – dolatuje mnie głos z tyłu. – Kiedy są schlani, łatwo o drakę z blacharzami.

– Nie rozpoznają własnego dowódcy – burczy Stary pod nosem. – To już szczyt wszystkiego!

Jedzie teraz wolniej.

– Całkiem świeży to ja też nie jestem – mówi, na pół się odwracając. – Trochę za dużo uroczystości jak na jeden dzień. Najpierw pogrzeb w bazie dziś rano... Ten bosman, którego rąbnęło podczas nalotu na Châteauneuf. A na pogrzebie znowu nalot z tym całym bam-bum. To się nie godzi: na pogrzebie! Pelotka straciła trzy bombowce.

– I co było jeszcze? – pytam.

– Dzisiaj nic więcej. Ale wczorajsze rozstrzelanie jeszcze czuję w żołądku. Dezercja. Jasna sprawa. Motorzysta. Dziewiętnaście lat. Nie mówmy o tym. A później, po południu, świniobicie w „Majesticu”. Pomyślane zapewne jako rozrywka. Czernina czy jak się to tam nazywa... Nie smakowało nikomu.

Stary zatrzymuje się przed lokalem, tam gdzie na murze ogrodu wypisano metrowej wielkości literami BAR ROYAL. Jest to betonowa budowla w kształcie statku między ulicą nadbrzeżną i wychodzącą pod ostrym kątem z sosnowych lasów boczną drogą. W poprzek budynku sterczy oszklone piętro jak wielki pomost statku.

W „Bar Royal” występuje Monika. Alzatka, której niemczyzna ogranicza się do ułomków żołnierskiego żargonu. Czarnowłosa, czarnooka, pełna temperamentu kluska z pierściami. Poza nią jako atrakcja służą trzy kelnerki w głęboko wyciętych bluzkach i trzyosobowa orkiestra: bezbarwni, wystraszeni faceci, z wyjątkiem perkusisty, Mulata, któremu jego funkcja wyraźnie sprawia przyjemność.

Organizacja Todta zarekwirowała lokal i kazała go wymalować. Teraz jest to mieszanka fin de siecle'u i Domu Niemieckiej Sztuki. Malowidło ściennie nad podium dla orkiestry przedstawia pięć zmysłów albo gracje. Pięć gracji – trzy gracje? Dowódca flotylli odebrał zakład organizacji Todta, motywując to w tym stylu: „Żołnierze okrętów podwodnych potrzebują odprężenia... Oficerowie okrętów podwodnych nie mogą ciągle siedzieć w burdelu... Powinniśmy stworzyć wznioślejszą atmosferę dla naszych ludzi!”

„Wznioślejszą atmosfera” składa się z postrzępionych dywanów, wytartych skórzanych foteli, wylakierowanych na biało drewnianych sztachetek ze sztuczną winoroślą à la Rüdesheim na ścianach, czerwonych abażurów na kinkietach i spłowiałych zasłon z czerwonego aksamitu na oknach.

Dowódca najpierw rozgląda się z krzywym uśmiechem, potem obrzuca towarzystwo spojrzeniem kaznodziei, przyciskając podbródek do szyi i marszcząc czoło. Wreszcie powoli przysuwa sobie fotel, ciężko opada na niego i wyciąga nogi. Kelnerka Clementine natychmiast przydreptuje, trzęsąc piersiami, a Stary zamawia piwo dla wszystkich.

Jeszcze nie dostaliśmy piwa, gdy drzwi otwierają się z hukiem i wchodzi grupa pięciu mężczyzn, sami kapitanowie, według pasków na rękawach, a z tyłu jeszcze trzech poruczników i jeden podporucznik. Trzej spośród kapitanów mają białe czapki: dowódcy okrętów.

W padającym na nich świetle rozpoznaję Klossmanna. Jest to nieprzyjemny facet o cholerycznym usposobieniu, krępy, jasnowłosy, który niedawno chwalił się tym, że podczas swego ostatniego patrolu, wykonując atak artyleryjski na płynący samotnie statek, najpierw kazał rozbić z karabinów maszynowych łódzie ratunkowe, „ażeby stworzyć jasną sytuację”...

Dwaj następni to Kupsch i Stackmann, nierozłączni, którzy jadąc na urlop nie dotarli poza Paryż i od tej pory gadają wciąż o przeżyciach burdelowych.

Stary burczy: – Jeśli poczekamy jeszcze z godzinę, będzie tu cała broń podwodna. Już od dawna pytam samego siebie, dlaczego Anglicy nie przyślą tu komandosów i za jednym zamachem nie zlikwidują tego sklepika, a na dodatek dowódcy floty w jego pałacyku w Kernével. Nie rozumiem, dlaczego nie rozpędzą tego wszystkiego... tak blisko wody, a tuż obok cały ten bajzel w Port Louis. Gdyby mieli ochotę, mogliby nas łąpać nawet na lasso. Dzisiejsza noc, na przykład, bardzo by się do tego nadawała.

Stary nie ma ani wąskiej, rasowej twarzy bohatera okrętów podwodnych z książki z obrazkami, ani żylastej postaci. Wygląda raczej pocziwie, jak kapitan z Hapagu, i porusza się ociężale.

Grzbiet jego nosa zwęża się w środku, skrzywia w lewo i znowu rozszerza. Jasnyniebieskie oczy są ukryte pod brwiami ściągniętymi od częstego czujnego wypatrywania. Zwykle tak zaciska powieki, że w cieniu brwi widać tylko dwie cienkie kreski. W kącikach oczu rozchodzi się promieniście mnóstwo zmarszczek. Dolną wargę ma pełną, podbródek mocno zarysowany, już wczesnym popołudniem pokryty rudawą szczecina. Grube mocne linie dodają powagi twarzy. Kto nie zna jego wieku, bierze go za czterdziestolatka, chociaż jest o dziesięć lat młodszy. W porównaniu z przeciętnym wiekiem dowódców trzydziestolatek istotnie jest już starym człowiekiem.

Dowódca nie lubi wielkich słów. W jego dziennikach bojowych akcje wyglądają jak zabawy dziecięce. Z trudem można z niego coś wyciągnąć. Zazwyczaj porozumiewamy się fragmentarycznie i ogródkowo: krążenie koło punktów styku. Tylko nie nazywać rzeczy po

imieniu. Lekka domieszka ironii, lekkie zaokrąglenie warg wystarczą, a ja rozumiem, co Stary naprawdę myśli. Kiedy wychwała dowódcę floty i przy tym omija mnie wzrokiem, wiem, co to ma znaczyć.

Nasza ostatnia noc na łądzie. A pod czczą gadaniną zawsze przenikliwy strach: Pójdzie dobrze... uda się nam?

By się uspokoić, wmawiam sobie: Stary – pierwszorzędny facet. Nic nim nie wstrząśnie. To nie zupak. I nie jakiś zaślepiony awanturnik. Godny zaufania. Pływał już na statkach żaglowych. Pięści jak stworzone, by obezwładniać szarpiące się płótno i manewrować ciężkimi linami. Zawsze miał sukcesy. Dwieście tysięcy ton – cały port pełen statków. Zawsze wychodził cało z najgorszych tarapatów.

Będzie mi potrzebny sweter, jeśli pójdziemy na północ. Simone nie powinna przychodzić do portu. Są tylko przykrości. Te kundle z SD stale na nas czatują. Zazdrosne świnię. Ochotniczy korpus Dönitza... Tu nie mają dostępu.

Nie mam pojęcia, dokąd właściwie pójdziemy. Pewnie środkowy Atlantyk. Mało okrętów na morzu. Całkiem kiepski miesiąc. Wzmocniona obrona. Tomki nauczyli się wielu rzeczy. Szczęście się odwróciło. Konwoje są doskonale zabezpieczone. Prien, Schepke, Kretschmer, Endrass – wszyscy skończyli się na konwojach. Wszyscy poszli na dno z wyjątkiem Kretschmera. I wszystkich trafiło prawie w tym samym czasie – w marcu. Schepkego szczególnie paskudnie. Zaklinował się między studzienką peryskopu a osłoną pomostu, gdy niszczyciel taranował jego zbombardowaną łajbę. Asy! Wielu już nie ma. Endrass załamał się nerwowo. Ale Stary ciągle jest nie tknięty: spokojny fachowiec. Introwertyk. Nie wykańcza się pić. Naprawdę nie widać w nim śladu napięcia, gdy tak sobie siedzi i дума.

Muszę wyjść. W toalecie słyszę dwóch oficerów wachtowych, którzy stoją obok mnie przy zażółconej kafłowej ścianie:

– ...muszę sobie jeszcze podupczyć.

– Tylko nie wsadź obok. Jesteś załany jak haubica nadbrzeżna!

Gdy pierwszy wychodzi, drugi ryczy za nim: – Wetknij jej serdeczne pozdrowienia ode mnie!

Ludzie z okrętu Merkela. Pijani. Inaczej nie bluzgaliby w tej tonacji.

Wracam do stołu. Nasz mechanik, wyciągając ramię, wyławia swą szklanę. Całkiem inny człowiek niż nasz Stary. Wygląda jak Hiszpan ze swymi czarnymi oczami i czarnym śladem zarostu – zupełnie jak z obrazu El Greca. Nerwowy. Zna jednak swój kramik od a do z. Dwadzieścia siedem lat. Prawa ręka dowódcy. Zawsze pływał ze Starym. Obaj rozumieją

się bez słów.

– Gdzie siedzi nasz drugi owu? – chce wiedzieć Stary.

– Na pokładzie. Ma jeszcze wachtę, ale prawdopodobnie przyjdzie!

– No tak, ktoś musi wykonywać robotę – powiada Stary. – A pierwszy?

– W burdelu! – plotkuje mechanik.

– On i burdel? Można się uśmieć! – mówi Stary. – Prawdopodobnie pisze testament.

On przecież ma zawsze wszystko w porządku.

O asystenta, który należy do NSDAP, a po rejsie ma zastąpić naszego głównego mechanika, Stary nie pyta w ogóle.

Będzie nas więc sześciu w mesie oficerskiej; dużo ludzi na taką małą ciupkę.

– Gdzie podziewa się Thomsen? – pyta czif. – Nie może nas przecież wystawić do wiatru!

Philipp Thomsen, dowódca UF i od niedawna kawaler Krzyża Rycerskiego, składał sprawozdanie po południu. Zagłębiany w skórzanym fotelu, oparty na łokciach, dłonie w modlitewnym geście, spojrzenie nad dłońmi, utkwione w przeciwległej ścianie: – ...potem obrzucali nas przez trzy kwadransy bombami głębinowymi. Natychmiast po detonacji dostaliśmy na głębokości prawie sześćdziesięciu metrów sześć do ośmiu bomb, dość blisko okrętu. Płaskie nastawienie. Jedna była wycelowana szczególnie dobrze, wybuchła mniej więcej na wysokości działa i siedemdziesiąt metrów z boku. Trudno powiedzieć dokładnie. Inne bomby trafiły osiemset do tysiąca metrów z boku. Potem, po jakiejś godzinie, znowu poszła seria. To było w nocy, między dwudziestą trzecią trzydzieści a pierwszą. Najpierw pozostaliśmy w zanurzeniu, a potem ruszyliśmy wolniutko, na coraz mniejszej głębokości. Wynurzyliśmy się i poszliśmy za konwojem. Następnego ranka jeden niszczyciel zrobił wypad w naszym kierunku. Stan morza trzy i trochę wiatru, od czasu do czasu deszcz. Dość pochmurno. Doskonałe warunki do ataków nawodnych. Zeszliśmy pod powierzchnię i przygotowaliśmy się. Strzał. Pudło. Potem jeszcze raz. Niszczyciel szedł wolno naprzód. Próbowaliśmy strzelać z wyrzutni rufowej. I wtedy chwyciło. Później szliśmy za konwojem, aż dostaliśmy rozkaz zmiany kursu. Zetschke meldował drugi konwój. Utrzymywaliśmy kontakt, składając meldunki na bieżąco. Koło osiemnastej podeszliśmy do konwoju. Dobra pogoda, stan morza od dwóch do trzech. Dość pochmurno. – Tu Thomsen zrobił przerwę. – Bardzo komiczne: wszystkie sukcesy odnosiliśmy w tych dniach, kiedy właśnie ktoś z załogi obchodził urodziny. Naprawdę niesamowite. Za pierwszym razem urodziny miał motorzysta. Za drugim – radzik. Samotny frachtowiec przypadł na urodziny kucharza, a niszczyciel – na mata torpedystów. Zupełne wariactwo!

Okręt Thomsena miał cztery proporczyki na wysuniętym do połowy peryskopie, kiedy dziś rano wchodził do portu na fali przyptywu. Trzy białe – za zatopione statki handlowe i jeden czerwony – za niszczyciela.

Zachrypiły głos Thomsena brzmiał jak szczekanie psa nad zapaskudzoną olejem wodą:
– Oba silniki stop!

Okręt miał jeszcze w sobie dość rozpędu, by ślizgając się, bezszelestnie dobić do pirsu. Przy tym ukazał się nam od dziobu: z oleistego sosu śmierdzącej portowej wody wystawał wysoko niby wazon z tkwiącym w nim zbyt ciasno upchanym bukietem. Mało barw – bukiet nieśmiertelników. Główki kwiatów jak blade plamy między ciemnym mchem. Plamy po zbliżeniu przekształciły się w blade, wynędzniałe twarze. Podkrążone, wpadnięte oczy. Kredowa skóra. Niektóre pary oczu błyszczą jak w gorączce. Brudnoszare, pokryte zaschniętą solą skórzane kurtki. Zmierzwiłone długie włosy, na których z trudem utrzymują się czapki. Thomsen wyglądał naprawdę na chorego: wychudły jak tyczka grochowa, policzki zapadnięte. Jego uśmiech – z pewnością pomyślany jako przyjacielski – był jak zamarzły.

– Melduję posłusznie UF po powrocie z rejsu bojowego! – A my na to: – Hura, UF! – Z całych sił.

Od szopy magazynu numer jeden powróciło kraczące echo, a potem jeszcze jedno słabsze – od stoczni Penhoët.

Stary nosi swoją najstarszą marynarkę i demonstruje w ten sposób pogardę dla wyświeżonych i wyprasowanych. Jej przód od dawna nie jest już granatowy, lecz wypłowiał do szarzyzny, wyblakł od kurzu i plam. Złote dawniej guziki pokryte są zielonym grynszpanem. Również barwy koszuli nie można określić – jest granatowoszara, przechodząca we fiolet. Czarno-biało-czerwona wstęga, na której dynda jego Rycerski Krzyż, przekształciła się w skręcony sznurek.

– To już nie jest stary rocznik! – narzeka dowódca, wędrując dociekliwym spojrzeniem po młodych oficerach pokładowych w środku lokalu. – Teraz przychodzą pistolety... Bojowe typy: mocni w pysku.

Od niedawna w lokalu wyróżniają się dwie grupy: „stare pierniki”, jak się sami nazywają towarzysze Starego, i „młodzi junacy”, ukształtowani światopoglądowo, z wiarą w führera w oczach, z napiętymi muskułami szczęk, którzy, jak powiada Stary, przed lustrem ćwiczą przenikliwe spojrzenie i bez trudu ściskają pośladki, tylko dlatego, że jest moda chodzić z zaciśniętymi półdupkami, sprężynując na piętach, przesuwając środek ciała lekko ku przodowi.

Patrząc na to zgromadzenie młodych bohaterów, jakbym widział ich po raz pierwszy.

Zaciśnięte usta z ostrymi bruzdami przy obu kącikach. Skrzypiące głosy. Nadęci poczuciem przynależności do elity łowcy orderów. Nic innego w głowie, jak tylko: „Führer patrzy na ciebie. Nasza bandera jest czymś więcej niż śmierć”.

Przed dwoma tygodniami jeden zastrzelił się w „Majesticu”, bo złapał syfilisa. „Padł za naród i ojczyznę” – poinformowano jego narzeczoną.

Poza grupą starych wojaków i młodym narybkiem istnieje jeszcze samotnik Kügler. Siedzi ze swoim pierwszym oficerem przy drzwiach do klozetu. Kügler z dębowymi liśćmi, które zapewniają dystans wobec obu stron. Kügler, szlachetny rycerz głębin, Parsival i Prometeusz, nieugięcie wierzący w ostateczne zwycięstwo. Stalowe spojrzenie, dumna postawa. Ani grama tłuszczu za dużo – doskonała, nieskazitelna rasa panów. Kügler zatyka sobie uszy wskazującymi palcami, kiedy nie chce słuchać świństw albo docinków wątpiących cyników.

Lekarz flotylli rezyduje przy stole obok. Również on zajmuje szczególną pozycję. Jego mózg zgromadził kolekcję najbardziej tłustych kawałów. Z tego powodu nazywają go krótko i zwięźle „starą świnia”. Lekarz flotylli uważa, że dziewięćset dziewięćdziesiąt pięć lat tysiącletniej Rzeszy już minęło, i oznajmia o tym otwarcie, kiedy uważa za stosowne albo kiedy jest pijany.

Ma dopiero trzydzieści lat, jednak cieszy się u nas powszechnym szacunkiem: w swoim trzecim rejsie bojowym objął dowództwo i doprowadził okręt z powrotem do bazy, gdy po koncentrycznym ataku dwóch samolotów poległ dowódca, a obaj oficerowie pokładowi leżeli ciężko ranni na kojach.

– Tu był pewnie jakiś exitus? Czy to stypa? – ryczy teraz. – Gdzie my właściwie jesteśmy?

– Jest przecież dosyć hałasu! – mruczy Stary i ostrożnie łyka piwo.

Monika musiała zrozumieć lekarza flotylli. Swe jaskrawo uszmiłkowane usta zbliża do mikrofonu tak, jakby go chciała oblizać, lewą ręką wymachuje pękiem fioletowych strusich piór i wydiera się zachrypłym głosem:

– *J'attendrai le jour et la nuit!*

Perkusista na srebrzyście opancerzonym bębnie wybija do tego takt.

Pisk, szloch, jęki: Monika dramatyzuje song skrętami ciała, wypinaniem i chowaniem swej obfitej, błękitnawo połyskującej piersi, energiczną pracą tyłka i mnóstwem szmirowatych zagrywek z pióropuszem. Trzyma go jak indiańską ozdobę z tyłu głowy i otwartą ręką kilkakrotnie szybko uderza się po ustach. Potem przeciąga pióropusz między nogami – *...le jour et la nuit* – i wywraca oczy. Pieszczotliwe gładzenie pióropusza, drgawki

bioder naprzeciw pióropusza, znowu podciągnięcie go w górę, kołysanie biodrami... teraz, składając usta w ryjek, dmucha na pióra...

Nagle mruga okiem, patrząc w kierunku drzwi. Aha, dowódca flotylli ze swoim adiutantem! Ten wysoki stojak, zakończony twarzą gimnazysty, nie jest wart więcej niż przelotne mrugnięcie okiem. Dowódca flotylli nie pozwala sobie nawet na porozumiewawczy uśmiech, za to rzuca dokoła spłoszone spojrzenie, jakby już szukał drugiego wyjścia, aby niepostrzeżenie znowu się oddalić.

– Oho, cóż za dostojny gość zjawił się wśród podrzędnego ludu! – ryczy Trumann, szczególnie trudny typ starej gwardii, wśród łkań Moniki:...car *Voiseau qui s'enfuit*... Teraz, zataczając się, idzie ku fotelowi dowódcy flotylli: – No, stary bojowniku... mamy wyskok na front, co? Chodź, tu jest fajne miejsce... Miejsce dla orkiestry... cały krajobraz od dołu... Co, nie chcesz? Też dobrze!... Każdemu wedle potrzeb... i jak tylko może!

Trumann jak zwykle jest pijany w sztok. Jego czarne, zjeżone włosy są obsypane popiołem z papierosów. Kilka niedopałków wplątało mu się w gęstą czuprynę. Jeden jeszcze dymi. Trumann może w każdej chwili stanąć w płomieniach. Krzyż Rycerski nosi z tyłu: „Kiloński kołnier... żelazny kiloński kołnier” – mówi o tej ozdobie.

Okręt Trumanna nazywany jest „okrętem ognia huraganowego”. Od piątego rejsu prześladowuje go legendarny pech: nigdy nie był na morzu dłużej niż tydzień. „Pełzanie do bazy na kolanach i brodawkach piersi” – jak to Trumann określa – stało się dla niego chlebem powszednim. Zawsze łapią go już na podejściu do rejonu operacyjnego; bombardują go lotnicy, obrzucają bombami głębinowymi. Były stale awarie, połamane rury wydechowe, zerwane zawory, ale już żadnej szansy na sukces dla Trumanna i jego załogi. Każdy we flotylli dziwi się w duchu, jak Trumann i jego ludzie wytrzymują te ciągłe kopniaki losu przy całkowitym braku powodzenia.

Akordeonista wytrzeszcza oczy nad rozciągniętym miechem, jakby miał jasnowidzenie. Mulat wystaje tylko do trzeciego guzika koszuli za księżycem swego wielkiego bębna; musi być karzełkiem albo stołek ma za niski. Monika zaokrągliła usta jak karp i jęczy do mikrofonu: – *In my solitude*... – Przy tym pochyla się tak bardzo ku Trumannowi, że ten nagle wrzeszczy: – Ratunku! Trucizna! – i opada bezwładnie. Monika urywa. Trumann wiosłuje ramionami, potem dźwiga się znowu do połowy i ryczy: – Prawdziwy miotacz ognia... musiała zeżreć cały warkocz czosnku. Boże, o Boże!

Zjawia się główny mechanik Trumanna: August Mayerhofer. Od czasu, gdy nosi na kurtce Niemiecki Krzyż, nazywają go „August z sadzonym jajkiem”.

– No, jak było w burdelu? – ryczy mu Trumann na powitanie. – Pociupciałeś jak

należy? To zawsze dobrze robi na cerę. Twój stary tata Trumann wie coś na ten temat.

Przy bocznym stoliku wyją wspólnie: – O, ty piękny We-e-esterwaldzie... – Lekarz flotyli dyryguje fałszującym chórem za pomocą butelki wina. Tuż koło podium, wokół dużego okrągłego stołu, który na mocy cichego porozumienia zarezerwowany jest dla starej gwardii, siedzą albo zwisają w skórzanych fotelach, mniej lub więcej pijani, wyłącznie koledzy Starego: Kupsch i Stackmann – bracia syjamscy, Merkel, Keller zwany „Prastarym”, Kortmann zwany „Indianinem”. Wszyscy razem są przedwcześnie posiwiiałymi mężczyznami, morskimi gladiatorami, którzy uciekli śmierci spod kosy i udają, że są lodowato spokojni, choć doskonale wiedzą, jak wyglądają ich szanse. Potrafią godzinami z pozbawionym wyrazu spojrzeniem tkwić w fotelu niemal bez ruchu. Natomiast nie są zdolni do utrzymania szklanki w dygoczących dłoniach.

Wszyscy mają więcej niż po pół tuzina najcięższych rejsów za sobą, z próbami nerwów najgorszego rodzaju, torturami wyższego stopnia, sytuacjami bez wyjścia, które tylko cudem przekształciły się na ich korzyść. Ani jednego, który nie wracałby już zdemolowanym okrętem, że tak powiem, wbrew oczekiwaniom – z górnym pokładem spustoszonego przez bomby lotnicze, wgniecionym po staranowaniu pomostem, wbitym dziobem, pękniętym kadłubem. Ale za każdym razem stali prosto jak świece na pomoście swego okrętu, jakby nic szczególnego im się nie zdarzyło.

Fason nakazuje zachowywać się tak, jakby to wszystko nie było czymś nadzwyczajnym. Wycie i szczekanie zębami nie jest dozwolone. DOP utrzymuje tę grę w ruchu. Dla DOP-a jest w porządku ten, kto jeszcze ma na tułowi szyję i głowę oraz cztery kończyny. Dla DOP-a wariatem jest ten, kto szaleje. Zamiast starych dowódców powinien by od dawna wysyłać na frontowych okrętach nie zużytych i nie obciążonych ludzi. Niestety, nie obciążeni nowicjusze ze swoimi nie tkniętymi nerwami nawet w przybliżeniu nie są tak sprawni, jak starzy dowódcy. A ci stosują wszelkie najbardziej wymyślne sztuczki, by nie potrzebowali się rozdzielać z dobrym, doświadczonym oficerem pokładowym, który powinien już być dowódcą okrętu.

Endrass od dawna nie powinien by wychodzić w morze... nie w tym stanie. Był już całkiem pomyłony. Ale tak to już jest: DOP-a poraziła ślepotą. On nie widzi, że ktoś się wykończył. Albo nie chce tego widzieć. Te stare asy przecież przynoszą mu sukcesy... nadzieje do meldunków nadzwyczajnych.

Orkiestra robi przerwę. Znowu mogę rozumieć fragmenty rozmowy.

– Gdzie właściwie jest Kallmann?

– Ten z pewnością nie przyjdzie!

– No tak, można go zrozumieć!

Kallmann wchodził wczoraj do portu z trzema proporczykami zwycięstwa na wysuniętym do połowy peryskopie: trzy parowce. Ostatni z nich zatopił na płytkich wodach przybrzeżnych za pomocą armaty: – Statek połknął ponad sto pocisków! Morze było wzburzone. Musieliśmy strzelać przy okręcie zwróconym pod kątem czterdzieści pięć do fali. Wcześniej, o dziewiętnastej, podczas zmierzchu, strzelaliśmy pod wodą. Dwa trafne w dwunastotysięcznik, jedno pudło. Potem zaraz nas dopadli. Przez osiem godzin bomby głębinowe. Prawdopodobnie nie mieli już ani jednej na pokładzie, kiedy przerwali.

Kallmann wyglądał jak Jezus na krzyżu z tymi swoimi policzkami i jasnymi kosmykami brody. Wyłamywał dłonie, jakby było mu to potrzebne do wyciśnięcia z siebie słów. Przysłuchiwaliśmy się w napięciu, maskując naszą niepewność specjalnie podkreślonym zainteresowaniem. Kiedy wreszcie zada pytanie, którego się boimy?

Zakończywszy relację, nie wyłamywał już dłoni. Siedział bez ruchu, opierając łokcie na kolanach i splatając palce. Popatrzył na nas nad tymi splecionymi palcami i zapytał ze sztuczną obojętnością w głosie: – Co z Bartelem?

Nikt nie odpowiedział. Dowódca flotylli lekko skłonił głowę.

– Tak... cóż, spodziewałem się tego, gdy już straciłem z nim kontakt radiowy. – Minuta milczenia, a potem spytał natarczywie: – Czy nic nie wiadomo?

– Nie!

– Istnieje jeszcze jakaś możliwość?

– Nie!

Dym papierosowy wisiał nieruchomo przy ustach.

– Byliśmy razem przez cały czas postoju okrętów w stoczni. Ja go przecież namówiłem na wspólne wyjście – powiedział wreszcie Kallmann. Bezradnie, z zakłopotaniem. Rzygać się chciało. Wszyscy wiedzieliśmy, jak bardzo Kallmann i Bartel byli zaprzyjaźnieni. Zawsze jakoś załatwiali, by razem wychodzić w morze. Atakowali te same konwoje, Kallmann powiedział kiedyś: – Człowiek czuje się pewniej, kiedy wie, że nie jest sam.

Przez wahadłowe drzwi wchodzi Bechtel. Ze swoimi niemal białymi włosami, powiekami i brwiami wygląda jak wygotowany w rosole. Kiedy jest tak blady jak teraz, szczególnie wyraźnie występują jego piegi.

Wielkie halo. Bechtela otacza grupa młodszych. Powinien postawić kolejkę za swoje odrodzenie.

Bechtel ma za sobą przeżycie, które Stary określa jako „naprawdę niecodzienne”.

Bechtel, po gwałtownym obrzuceniu go bombami głębinowymi, z najróżnorodniejszymi uszkodzeniami wynurzył się w półmroku przedświt i stwierdził, że koło działa na górnym pokładzie leży sycząca bomba głębinowa. Korweta jeszcze w pobliżu i bomba przed kioskiem. Była nastawiona na większą głębokość i dlatego nie wybuchła, gdy na sześćdziesięciu metrach spadła na pokład.

Bechtel ruszył od razu obu dicsłami całą naprzód, a bosman musiał wytoczyć bombę za burtę niby beczkę ze smołą. Gruchnęła już po dwudziestu pięciu sekundach. Była więc nastawiona na sto metrów głębokości. A potem Bechtel musiał iść znowu w zanurzenie i dostał jeszcze dwadzieścia bomb.

– Ja bym przywiózł ze sobą tego cielaka – ryczy Merkel.

– Chętnie byśmy to zrobili. Tylko że nie dawało się wyłączyć tego paskudnego syczenia. Po prostu nie znaleźliśmy odpowiedniego guziczka. Wesoło było!

Buda robi się coraz pełniejsza. Thomsena ciągle brak.

– Gdzie on siedzi?

– Może stawia jeszcze jednego patyka?

– No, nie wiem... w tym stanie?

– Z Krzyżem Rycerskim na szyi... to musi być całkiem nowe poczucie rozkoszy!

Przy wręczaniu Krzyża Rycerskiego przez dowódcę flotylli dziś po południu Thomsen stał jeszcze jak żelazny posąg. Tak się usztywnił, że ani okiem nie mrugnął. Wątpliwe, czy w tym stanie słyszał choćby jedno słowo wzniesłego przemówienia dowódcy flotylli.

– Powinien uważać, żebym mu nie zżarł tego jego zasranego kundla – mrucał Trumann. – Na każdej odprawie to bydlę! Tu nie menażeria. Niedługo sprawi sobie berberyjskiego lwa.

– Taki małpizjon – kłął później deefa, który po męskim uścisku dłoni i błysnięciu oczami oddalił się. A potem cynicznie do wszystkich, pokazując wyciągniętym palcem fotografię poległych na trzech ścianach, obrazek koło obrazka w czarnych ramkach: – Piękny wzór tapety. Koło drzwi jeszcze się paru zmieści!

Wtedy już sobie wyobraziłem zdjęcie, które z pewnością jako następne musi się pojawić w czarnych ramkach na ścianie: Beckmann.

Beckmann od dawna powinien wrócić. Trzygwiazdkowy meldunek nie da na siebie długo czekać. Był kompletnie pijany, gdy go wyciągnięto z paryskiego pociągu. Czterech ludzi musiało go wynosić. Pociąg dalekobieżny czekał, aż to zrobią. Beckmanna można było przewiesić na sznurze. Spieprzony całkowicie. Oczy albinosa. I to wszystko na dwadzieścia cztery godziny przed wyjściem w morze. Jak lekarz flotylli postawił go znowu na nogi?

Beckmanna prawdopodobnie dopadł samolot. Przestał się meldować tuż po wyjściu. Niemal niewiarygodne: Tomki ważą się teraz dolatywać aż do pławy Nanni 1.

Muszę myśleć o Bodem, oficerze sztabu admirała, starym samotniku, który zwykł się upijać późnym wieczorem sam jeden w mesie. – Trzydzieści okrętów straciliśmy w tym jedynym miesiącu. Człowiek robi się... robi się alkoholikiem, kiedy za każdym razem wypija jeden kieliszek.

Ciężki, grubo ciosany mężczyzna z grupy weteranów, niejaki Flechsig, rzuca się na ostatni wolny fotel przy naszym stole. Flechsig wrócił przed tygodniem z Berlina. Od tamtej pory nie powiedział prawie ani słowa. Ale teraz rozpuszcza buzię:

– Mówi do mnie ten dumny małpizson, taki prawdziwy dupek sztabowy: „Żeby dowódcy okrętów nosili białe czapki, tego nie ujęto w żadnych przepisach mundurowych!” „Pragnąłbym posłusznie zalecić, by nadrobiono to przeoczenie!” powiedziałem wtedy.

Flechsig pociąga parę potężnych łyków martela ze szklanki i dokładnie wyciera sobie usta wierzchem dłoni.

– To lubię: cyrk z powodu czapki dowódcy! A tutaj musimy słuchać byle wyścigowca. Co oni sobie właściwie myślą? Przysyłać nam wyścigowca... Pana Stucka! Fotosy z podpisem! Uśmieć się można! A potem ten palant! Tylko tego nam potrzeba, żeby taki reklamiarz podbudowywał nas moralnie!

Erler, młody porucznik, który ma już za sobą pierwszy rejs w roli dowódcy okrętu, otwiera kopniakiem drzwi, tak że uderzają z hukiem o ścianę. Z kieszeni na piersiach zwisa mu koniuszek różowych majtek. Dopiero dziś rano wrócił z urlopu, a już po południu w „Majesticu” ogromnie przechwalał się swymi sukcesami. Wedle jego opowiadań w rodzinnym miasteczku urządzono mu pochód z pochodniami. Od burmistrza otrzymał pół wieprza. Mógł wszystko udowodnić wycinkami z gazet: stał na balkonie ratusza, prawica wzniesiona w niemieckim pozdrowieniu, czczony przez ojczyznę niemiecki bohater morski.

W orszaku Erlera przybywa publicysta radiowy Kress, oślizły wazeliniarz, i były mówca okręgowy Marks, który pisze teraz najeżone frazesami tasiemcowe artykuły. Obaj wyglądają jak Pat i Patachon w marynarskich mundurach: radiowiec wysoki i chudy, zaciekły Marks – tłusty i okrągły.

Na ich widok Stary hałaśliwie siąka nosem.

Ulubionym słówkiem radiowca jest „kontynuująco”. „Kontynuująco potęgowane działania”... Zbrojenia, liczba sukcesów, wola ataku – wszystko musi być rozwijane kon-ty-nu-u-ją-co.

Erler staje teraz przed Starym i zaprasza go natarczywie do wzniesienia toastu. Stary

przez chwilę w ogóle nie reaguje, ale potem, przechylając głowę jak u fryzjera, oznajmia: – Na dobrą flaszkę mamy zawsze czas!

Już wiem, co nastąpi: Erler w środku lokalu pokazuje swoją metodę otwierania butelek szampana jednym krótkim uderzeniem grzbietu noża od dołu w zgrubienie szyjki butelki. W tym jest genialny. Korek wylatuje wraz ze szklanym pierścieniem szyjki, bez żadnych odłamków, a szampan tryska jak z gaśnicy pianowej. Zaraz muszę pomyśleć o pewnym ćwiczeniu dreздеńskiej straży ogniowej: w swoje święto strażacy ustawili przed operą stalowy maszt ze swastyką z metalowych rur na szczycie. Wokół masztu ustawilo się stado czerwonych wozów strażackich. Cały ogromny plac zapchany był oczekującym tłumem. Nagle z głośników zagrzmiała komenda: „Piana naprzód!” i z czterech końców swastyki strzeliła piana, swastyka zaczęła się kręcić coraz szybciej i szybciej, stała się tryskającym pianą wiatrakiem. Tłum zawołał: „A-a-a-ach!” Wtedy piana zaczęła się zabarwiać na różowo, potem czerwono, fioletowo, wreszcie na niebiesko, zielono i żółto. Ludzie klaskali, podczas gdy przed operą powstała głęboka po kostki warstwa anilinowej mazi.

Znowu trzaśnięcie drzwi. To wreszcie on – Thomsen. Podtrzymywany i nieco popychany przez swoich oficerów, ze szklistym spojrzeniem, wtacza się do środka. Szybko przysuwam fotel, byśmy mogli przyjąć Thomsena do naszego kółka.

Monika śpiewa z francuskim akcentem: – *Perhaps I am Napoleon, perhaps I am the king...*

Zbieram przywiedle kwiaty ze stołów i sypię je Thomsenowi na głowę. Szczerząc zęby w uśmiechu, Thomsen pozwala się tak przystroić.

– Gdzie tkwi dowódca flotylli? – pyta Stary.

Dopiero teraz uświadamiamy sobie, że dowódca flotylli znowu zniknął. A więc jeszcze przed właściwą uroczystością. Küglera również nie ma.

– Tchórze! – wymyśla Trumann, – podnosi się z trudem i chwiejnym krokiem wychodzi między stołami. Wraca ze szczotką klozetową w rękę.

– Po diabła! – wykrztusza Stary.

Ale Trumann przytacza się bliżej. Staje, opiera lewą rękę na naszym stole przed Thomsenem, parę razy wciąga powietrze i ryczy ze wszystkich sił: – Cisza w burdelu!

Muzyka natychmiast milknie. Trumann przysuwa ociekającą szczotkę tuż do twarzy Thomsena i bełkocze płaczącym głosem:

– Nasz wspaniały, czcigodny, abstynencki, nie obabiony führer w swojej chwalebnej karierze od terminatora malarza do największego wodza wszystkich czasów... czy coś się nie zgadza?

W pijackim oszołomieniu Trumann przez parę chwil napawa się swym nastrojem, po czym deklamuje dalej:

– Również wielki rzeczoznawca od floty, niezrównany strateg morski, któremu podobało się w jego niezmiarzonej mądrości... jak to tam idzie?

Trumann toczy dokoła pytającym spojrzeniem, chrząka głośno i wali dalej: – Wielki dowódca floty, który temu angielskiemu szczyłowi, temu dymiącemu cygarem syfilitykowi... hihhi, co on jeszcze wymyślił?... a więc tej dupie Churchillowi pokazał wreszcie, gdzie raki zimują!

Trumann wyczerpany opada na fotel, dmucha mi w twarz swoim przesiąkniętym koniakiem oddechem. W skąym oświetleniu wygląda zielono... – ...Pasować na rycerza... pasować natychmiast nowego rycerza – bełkocze. – Zastrany Gröfaz i zastrany Churchill!

Pat i Patachon wciskają się ze swymi krzesłami do naszego kółka. Zaprzyjaźniają się z Thomsenem, by wykorzystać pijaństwo i dowiedzieć się czegoś o jego ostatnim rejsie. Nikt nie wie, po co ciągle starają się o wywiady do swoich sztabowych artykułów. Ale Thomsen od dawna nie jest już zdolny do relacji. Patrzy na obu otepiałym wzrokiem, a gdy dużo do niego gadają, od czasu do czasu odzywa się tylko: – Tak, właśnie tak... Wyleciał w powietrze... jak oczekiwano! Trafienie dokładnie za pomostem. Parowiec „Blue Funnel”. Nie rozumiecie, panowie? Nie, nie funny, tylko funnel.

Kress czuje, że Thomsen robi z niego balona, przełyka sucho. Wygląda komicznie, gdy jego jabłko Adama porusza się w górę i w dół.

Stary rozkoszuje się tym mozolnym piłowaniem. Nie myśli wcale pomóc.

Wreszcie Thomsen już nic nie pojmuje.

– Wszystko gównem! Te zastrane torpedy! – ryczy.

Wiem, o co mu chodzi: w ostatnich tygodniach wśród torped były niewypały, jeden za drugim. Tyle braków nie mogło powstać przypadkiem. Po cichu pogadują o sabotażu.

Nagle Thomsen zrywa się, w oczach ma przerażenie. Nasze kieliszki tłuką się. Zadzwoił telefon. Thomsen myślał, że to dzwonek alarmowy.

– Puskę rolmopsów! – żąda teraz, chwiejąc się gwałtownie. Udaje, jakby zerwał się tylko po to, by móc wyrazić to życzenie, i ryczy na cały lokal: – Rolmopsy dla całej bandy!

Z boku słyszę fragmenty relacji, jaką Merkel składa swojemu towarzyszemu:

– Mat z centrali był dobry. Pierwszorządny gość. Motorzysty muszą się pozbyć, nie nadaje się na nic... korweta była w położeniu zerowym. Czif nie zdążył zanurzyć okrętu dość szybko... Ktoś pływał w morzu. Wyglądał jak foka. Podpłynęliśmy, bo chcieliśmy poznać nazwę statku. Facet był całkiem czarny od ropy, wisiał w kole ratunkowym.

Erler odkrył, że można robić potworny hałas, przeciągając pustą butelką po żeberkach grzejnika. Parę butelek pęka, ale Erler nie rezygnuje. Rozdeptane szkło trzeszczy. Monika rzuca wściekłe spojrzenia, bo nie może przekrzyczeć wrzawy.

Merkel podnosi się i drapie dokładnie między nogami poprzez kieszeń spodni. Teraz zjawia się również jego główny mechanik. Wszyscy mu zazdroszczą jego umiejętności gwizdania na dwóch palcach. Potrafi wszystko: przenikliwe gwizdy urkowskie, sygnały pogotowia policyjnego, szaleńcze zestawienia tonów, fantastyczne trele.

Jest dobrze usposobiony i zaraz godzi się nauczyć mnie gwizdania na palcach. Najpierw musi iść jednak do klozetu. Gdy wraca, wzywa mnie: – Dalej, wymyć łapy!

– Po co?

– Gdyby miało sprawiać kłopot... mnie nie szkodzi. Można umyć jedną.

Po myciu czif Merkela ogląda dokładnie moją prawą dłoń. Potem zdecydowanie wsadza mój palec wskazujący i środkowy sobie do ust i zaczyna gwizdać na nich parę próbnych tonów – i już robi się z tego melodia coraz bardziej przenikliwa i pikantna.

Czif Merkela wywraca przy tym oczami. Jestem po prostu oszołomiony. Jeszcze parę skocznych taktów i koniec. Z szacunkiem obserwuję moje mokre palce. Czif Merkela mówi, że powinienem sobie zapamiętać ustawienie palców.

– Pięknie! – Teraz spróbuję gwizdać na własnych palcach, ale wychodzi mi tylko parę żalonych tonów i syk nieszczelnego węża do sprężonego powietrza.

Czif Merkela kwituje tę próbę zropanym spojrzeniem. Z niewinną miną znów wkłada moje palce do swych ust i wygwizduje na nich jak na fagocie.

Godzimy się, że wszystko musi zależeć od języka.

– Ale języków, niestety, nie możecie wymienić! – mówi Stary.

– Pozbawiona radości młodzież! – ryczy Kortmann w chwili przerwy w hałasie. Kortmann z orlą twarzą, zwany Indianinem. W Kernévelu u DOP-a Kortmann stoi nisko, z powodu tej historii z tankowcem „Bismarcka”. Odmówił wykonania rozkazu. Ratować niemieckich marynarzy! Pozbawić swój okręt sprawności bojowej! Nie wypełnić strategicznych zadań z powodu czułości! To mogło się zdarzyć tylko Kortmannowi, któremu z dawnych czasów zostały antyczne bzdury w mózgu: „Troska o los rozbitków jest pierwszym przykazaniem każdego marynarza”.

Teraz może sobie płakać ten staromodny pan Kortmann, który dla DOP-a zbyt wolno pojmuje i jeszcze nie spostrzegł, że obyczaj stał się surowsze.

Pech naturalnie też odegrał swoją rolę; czy ten angielski niszczyciel musiał zjawić się akurat wtedy, gdy Kortmann połączony był węzłem z tankowcem? Tankowiec przeznaczono

właściwie dla „Bismarcka”. Ale „Bismarck” nie potrzebował już zaopatrzenia w paliwo. „Bismarck” poszedł na dno wraz z dwoma i pół tysiącem ludzi. A tankowiec tłuł się po okolicy bez odbiorcy, wypełniony po brzegi. Wtedy dowództwo zdecydowało, że okręty podwodne powinny go wyssać do dna. I gdy właśnie Kortmann to robił, zdarzyło się, że Anglicy rozwalili mu tankowiec przed nosem, pięćdziesięciu ludzi z załogi pływało w morzu, a dobroduszny Kortmann nie mógł znieść, by tak sobie dalej pływali.

Kortmann był jeszcze dumny z tego powodu: pięćdziesięciu marynarzy na okręcie podwodnym VII C, gdzie nie ma miejsca nawet na własną załogę! Gdzie ich pomieścić, pozostanie tajemnicą. Prawdopodobnie metodą sardynek w oliwie: jedna głowa w prawo, druga w lewo i wszystko na wydechu. Poczciwy Kortmann myślał z pewnością, że dokonał cudu.

Pijaństwo zaczyna zacierać granicę między obozem starych wojowników i młodego narybku. Wszyscy chcą teraz mówić jednocześnie. Słyszę, jak Bohler rezonuje: – Istnieją przecież wytyczne... jasne wytyczne, moi panowie! Rozkazy! Całkiem wyraźne rozkazy!

– Wytyczne, moi panowie, wyraźne rozkazy – małpuje Thomsen. – Żebym się nie uśmieł, niewyraźnych pewnie już nie ma!

Thomsen, przekrzywiając głowę, obserwuje Bohlera. Naraz pojawiają mu się w oku złośliwe iskierki i wali prosto z mostu: – To przecież jest system, żeby nam nie mówić wyraźnie.

Saemisch wtyka swoją marchwianą głowę do towarzystwa. Dobrze już popił. W mrocznym oświetleniu cera jego twarzy przypomina oskubaną i sparzoną kure.

– Co ty tyle myślisz – bełkocze. – Zawsze mówię: koń ma dużą głowę. Niech konie myślą.

Teraz Bohler mówi do marchwianej głowy Saemischa: – Sprawa wygląda tak: w wojnie totalnej skuteczność naszej broni może się...

– Głędzenie ze wstępniaka dostarczonego z Kompanii Propagandowej – szydzi Thomsen.

– Niech pan pozwoli mi się wypowiedzieć! Niech pan weźmie przykład: krążownik pomocniczy wyłowił pewnego Tomka, który już trzy razy się topił. Co to znaczy? Czy prowadzimy wojnę, czy dokonujemy tylko demontażu? Co pomoże, jeśli topimy statki, a oni wyławiają swoich rozbitków i ci ludzie zamustrowują na kolejny statek... Przecież dostają za to kupę forsy!

Teraz wszystko idzie jak należy, teraz Bohler rzucił hasło do podjęcia palącego, lecz traktowanego jako tabu tematu: niszczyć wroga czy tylko jego statki? Zabijać marynarzy czy

tylko zatapiać frachtowce?

– Tak jest wszędzie – upiera się Saemisch. Wtedy włącza się Trumann. Agitator Trumann czuje się tak, jakby się do niego zwracano. Trudny temat, którego wszyscy unikają – tylko stary Trumann nie. Teraz zrobi się ciekawie. Zaraz będzie się mówiło otwartym tekstem.

– Najpierw troszkę usystematyzujemy – komenderuje. – DOP rozkazał: niszczyć przeciwnika... w niezłomnym duchu bojowym, ze zdecydowanym męstwem, w zaciekłym działaniu i tak dalej... całe te bzdury. DOP nie powiedział jednak ani słowa, żeby atakować ludzi, którzy pływają w wodzie... nie?

Jest więc jeszcze na tyle przytomny, ten bezczelny Trumann, żeby bawić się w prowokatora. Thomsen również natychmiast się włącza: – Nie, tego naturalnie nie powiedział. On tylko nie-dwu-za-cznie wykazał, że właśnie strata załóg szczególnie ciężko dotknęłyby przeciwnika.

Trumann robi ironiczną minę i troszeczkę podżega rozpalający się ogień: – No i?

Thomsen odzywa się znowu swym rozgrzanym przez koniak, przekornym głosem: – To każdy może sobie dośpiewać resztę... Chytrze pomyslane!

Teraz Trumann zaczyna naprawdę dmuchać w ogieniek: – Jest ktoś, kto te problemy rozwiązał na swój sposób i powiada: nie ruszać ludziom ani włoska na głowie, ale rozstrzeliwać łodzie ratunkowe. Kiedy pogoda jest taka, że faceci zaraz zdechną, w morzu, tym lepiej, wtedy sprawa jest załatwiona! Przestrzegamy konwencji... zgadza się? Zaś DOP może uważać, że go zrozumiano!

Każdy wie, o kim mowa, ale nikt nie spogląda w kierunku Flossmanna.

Muszę pomyśleć o rzeczach, które chcę wziąć. Tylko najpotrzebniejsze. Nowy pulower w każdym wypadku. Również wodę kolońską. Żyletki – no, tych mogę sobie zaoszczędzić...

– Ta cała robota jest do niczego nie podobna – słyszę znowu Thomsena. – Póki ktoś ma jakąś pływającą podkładkę pod nogami, można go odstrzelić, ale kiedy taki biedak pływa potem w wodzie, wzrusza serce. To komiczne, co?

Trumann włącza się znowu: – Chcę powiedzieć, jak ta sprawa wygląda w rzeczywistości...

– Tak?

– Jak się widzi takiego faceta pływającego w wodzie, człowiek wyobraża sobie, że to jest on sam. Tak to bywa. Z całym parowcem nikt jednak nie może się identyfikować. On nie działa na uczucia. Ale pojedynczy człowiek... owszem! I zaraz cała sprawa wygląda inaczej.

Robi się nieprzyjemnie. A ponieważ nieprzyjemnie to i nieładnie, dorabia się do tego idee i szach mach wszystko znowu jest w porządku.

Nowy pulower, który mi zrobiła na drutach Simone, to wspianiała rzecz. Kołnierz do połowy uszu, wzór w warkocz – nie za kusy, ale i nie za długi. Może będziemy musieli płynąć na północ. Duński szlak albo jeszcze dalej. Konwoje do Rosji. Paskudne, że się nic nie wie.

– Jako rozbitkowie są jednak bezbronni! – rąbie Saemisch oskarżycielskim tonem.

– To już słyszeliśmy! Stara płyta!

Wszystko zaczyna się od nowa. Thomsen podnieca się:

– Już raz zauważyłem, że na tankowcach również są ludzie. Również bezbronni, nie? No tak, do logiki nie przywiązuje się tu wagi!

Thomsen robi ręką gest rezygnacji, mruży: „Ach, gównno!” i zwiesza głowę.

Mam ogromną ochotę wstać i wynieść się stąd, wreszcie zapakować porządnie moje graty. Jedną, dwie książki. Tylko które? Nie wdychać więcej alkoholu! To, co się tu dzieje, może wykończyć najsilniejszego mężczyznę. Zachować na wpół trzeźwą głowę. Ostatnia noc na lądzie. Zapasowe filmy. Obiektyw szerokokątny. Kominiarka. Czarna kominiarka do białego puloweru. Musi komicznie wyglądać.

Kapitan-lekarz opiera się wyciągniętymi ramionami o mój lewy i Starego prawy bark, jakby chciał zademonstrować ćwiczenia na poręczach.

– Czy to uroczystość na cześć dekoracji Krzyżem Rycerskim – wrzeszczy z całych sił, przekrzykując grającą znowu muzykę – czy spotkanie filozofów? Koniec z tą zasraną gadaniną!

Teraz spostrzegam, że dyskusja przy stole Thomsena trwa nadal. Tylko Thomsen opadł na fotel i milczy.

Ryk kapitana-lekarza wystrasza paru oficerów pokładowych, którzy zrywają się i natychmiast przystępują do akcji, jakby tylko czekali na takie wezwanie. Włazą na krzesła i z góry leją piwo do fortepianu, w którego klawisze tłucze jak szalony jakiś kapitan. Butelkę po butelce. Fortepian chętnie połyka piwo.

Ponieważ orkiestra i fortepian nie robią dosyć hałasu, uruchamia się również gramofon. Gramofon jęczy na najwyższej sile głosu: *Where is the tiger?... Where is the tiger?*

Nagle wyrośnięty jasnowłosy porucznik zrzuca marynarkę, jednym susem wskakuje na stół i kręci brzuchem.

– Dojrzał do sceny!

– Najwyższa klasa!

– Przerwać, bo zrobię się pedziem!

Ktoś podczas frenetycznego aplauzu zawija się wygodnie w czerwony chodnik, wkłada sobie na szyję białe koło ratunkowe, które wisiało jako dekoracja na ścianie, i natychmiast zasypia.

Bechtel, człowiek z natury niezbyt zdolny do rozpasanych rozrywek, patrząc błędnym wzrokiem, wybija dłońmi takt rumby, która wyciska z tancerza ostatnie poty.

Nasz główny mechanik, który jeszcze siedział cicho przy stole i dumał, wychodzi z siebie: wspina się na sztachety przy ścianie nad sceną i naśladuje małpę, w takt muzyki zrywa sztuczne winogrona. Sztachetki chwieją się, potem jak w starym filmie Bustera Keatona pozostają w skośnym położeniu na pół metra od ściany i wreszcie walą się razem z mechanikiem na podium.

Pianista z odrzuconą do tyłu głową, tak jakby z trudem musiał odczytywać nuty z sufitu, rąbie teraz w rytmie marsza. Wokół fortepianu tworzy się grupa, która ryczy:

*Będziemy maszerować,
Choć spadnie gówien deszcz!
My chcemy do łabaja,
bo to na zadupiu jest!*

– Jędrnie, po męsku, po teutońsku – burczy Stary.

Trumann wpatruje się w swój kieliszek, potem podskakuje, jakby dotknął przewodu elektrycznego, i ryczy: – Skol! – Z odległości dobrych dziesięciu centymetrów od ust wlewa sobie z góry piwo, zostawiając szeroką mokrą smugę na marynarce.

– Cholerne świństwo – klnie, gdy widzi, jak się urządził. Clementine biegnie z ręcznikiem. Zamek błyskawiczny z tyłu jej sukienki pękł przy szwie. Gdy nachyliła się nad Trumannem, zagłębienia pod kolanami odcinają się jak biały ser od czarnego materiału.

– Cochon! – szepcze Trumannowi w ucho i dokładnie go wyciera. Przy tym zwiesza mu swe okazałe piersi tak blisko twarzy, że mógłby je gryźć. Teraz jest bardzo zatroskaną mamusią.

– Prawdziwa orgia – słyszę Meiniga, który nazywany jest procą do wyrzucania gówna z flotylli. – Brak tylko bab!

Jakby to było hasło, znikają pierwszy i drugi oficer z okrętu Merkela. Jeszcze przed wahadłowymi drzwiami oglądają się na boki, jakby coś zbroili. Myślałem, że już dawno ich nie ma.

– Chędożą ze strachu – mruczy Stary. – Jest im to potrzebne jak woda żołnierzom w okopach.

Z bocznego stolika słyszę:

*...kiedy miał zachciankę,
skakał w kuchni na stół
i ciupciał rąbanką.*

I tak jest zawsze: szlachetni rycerze führera, świetlana przyszłość narodu, a potem parę kolejek koniaku mieszanego z piwem i kończy się sen o nieskazitelnym, promiennym bohaterze.

– Godne uwagi – mamrocze Stary i wyciąga ramię po swój kieliszek.

– Te zasrane fotele... człowiek w ogóle nie może się już podnieść!

– Cha, cha, cha! – śmieje się ktoś od sąsiedniego stolika. – Moja dziewczyna też tak mówi: „Nie może się już podnieść! Nie może się już podnieść!”

Stary zastyga z na wpół otwartymi ustami, tak jest skonsternowany.

Prastary uporczywie potrząsa głową: – Teraz to koniec. Pewne jak grób, ja nie wrócę. Teraz to koniec!

– Naturalnie, że wrócisz – uspokaja go Trumann.

– Skrzynka koniaku, że nie wrócę... Zakład?

– Mam ją potem oddać aniołowi... aniołowi w białej koszuli? – pyta Trumann.

Prastary wpatruje się w niego bez zrozumienia.

– A więc... a więc uważaj: kiedy wrócisz, to przecież wtedy przegrałeś – próbuje wyjaśnić Trumann. – To jasne, nie? A zatem dajesz mi skrzynkę koniaku. Kiedy nie wrócisz, wygrales...

– Właśnie!

– I wtedy ja daję skrzynkę koniaku!

– Tak to i jest!

– No to się teraz pytam: komu?

– Komu? Wtedy dajesz ją mnie... Przecież logiczne!

– Ale ty już utonąłeś!

– Ja? A to jak?

Na stole jeden wielki bałagan: butelki po szampanie z utraconymi szyjkami, popielniczki z pływającymi petami, puszki rolmopsów i potłuczone kieliszki. Trumann z

zadowoleniem przygląda się rumowisku szkła. Podczas przerwy w muzyce fortepianowej podnosi prawą rękę i ryczy: – Uwaga!

– Sztuczka z obrusem! – mówi nasz główny mechanik.

Trumann z namysłem skręca róg obrusa jak sznurek – potrzeba mu do tego co najmniej pięciu minut, ponieważ dwa razy na pół skręcony obrus wymyka mu się. Potem wolno lewą ręką daje znak pianiście, który zaraz, jakby ćwiczył ten numer, młóci tusz na klawiszach. Trumann, koncentrując się jak ciężarowiec, wpatruje się przez minutę bez ruchu w swoje ręce, które trzymają skręcony koniuszek, następnie ryczy dziko „Cyk!” i potężnym zamachem ramion zrywa do połowy obrus ze stołu. Brzęk tłuczonych kieliszków, łoskot i trzask spadających na podłogę butelek i talerzy.

– Gówno! Cholerne gówno! – klnie Trumann i maszeruje po skrzypiącym szkle. Chwiejąc się, steruje do kuchni i ryczy o miotłę i śmietniczkę. Potem, przy wariackim śmiechu całego towarzystwa, pełza między stolami i zaciekle wymiata skorupy. Niebawem zostawia już za sobą ślady krwi.

Trzonek szczotki, trzonek śmietniczki – wszystko natychmiast zabarwia się na czerwono. Dwaj porucznicy chcą zabrać Trumannowi sprzęt. Trumann jednak uparcie i mocno go trzyma, aby zmieść wszystko do ostatniego odłamka. – O-czyścić... Najpierw porządnie o-czyścić. Zawsze pico... bello czysty okręt...

Wreszcie zwała się na fotel, zaś lekarz sztabowy wyciąga mu trzy czy cztery odłamki szkła z dłoni. Krew skapuje na blat stołu. A teraz Trumann krwawą ręką ociera sobie twarz.

– Do diabła! – mówi Stary.

– Gówno mnie to obchodzi! – ryczy Trumann, pozwala sobie jednak przykleić plaster opatrunkowy, który przynosi Christel, wywracając oczami.

Ledwie posiedział pięć minut w fotelu i już znowu się zrywa, wyciąga z kieszeni kawałek sfatygowanej gazety i wrzeszczy: – Jeśli wam nic nie przychodzi do głowy, wy barany, tutaj... to są złote słowa...

Patrząc, co trzyma w ręku: to testament komandora porucznika Mönkeberga, który rzekomo zginął w walce z wrogiem, ale w rzeczywistości utracił życie w sposób całkiem niebohaterski, mianowicie przez złamanie karku. A złamał kark, gdy gdzieś na Atlantyku, w spokojnym miejscu, bo właśnie była piękna pogoda, chciał się wykąpać. Skakał szczupakiem z kiosku, kiedy okręt przechylił się na drugą burtę, a Mönkeberg rąbnął głową w zbiornik balastowy.

Jego wzniosły łabędzi śpiew wydrukowały wszystkie gazety.

Trumann trzyma wycinek w wyciągniętej ręce: – I ja, i ty... wszyscy za jednego...

jeden za wszystkich... I tak mówię wam: koledzy, tylko wyjątkowy hart bojowy... zaplecze dramatycznej walki o światowo-historycznym znaczeniu... bezimienne bohaterstwo... historyczna wielkość... całkowicie nieporównywalna... jedynie wyjątkowa... nieprzemijający rozdział męskiej próby, jak i żołnierskiej ofiarności, najwyższe etos... żyjący i ci, co po nas przyjdą... będą płodni... stosownie do odwiecznego testamentu, którego należy okazać się godnym!

Trumann chwieje się, ciągle trzymając zamorusany i z pewnością już nie czytelny wycinek przed oczami, zatacza się w przód i w tył, ale nie pada. Wygląda, jakby jego buty przykleiły się do podłogi.

– Ale wariat – mówi Stary. – Teraz to już on nie da się odstawić!

Jakiś porucznik usiadł przy fortepianie i gra jazzowe melodie, ale Trumannowi to nie przeszkadza, znowu mówi urywanym głosem: – My, koledzy... chorążowie przyszłości... życie i duch wybranych jednostek... z pojęciem „służby” jako najwyższego etosu tych jednostek... świetlany przykład dla pozostałych... potężniejsze niż los jest męstwo... samotna decyzja... chłodna rozważa... zdecydowana odwaga... miłość i wierność tak potwornej wielkości, że wy, bałwany, nie macie pojęcia... Cenniejsza niż diamenty... Próba... tak jest... dumna i męska. Hura! W głębinach Atlantyku znalazł swój grób. Hihihih! Ściśła więź... front i ojczyzna... gotowość do ofiar aż do ostatniego. Nasz ukochany niemiecki naród. Nasz wspaniały, zesłany przez Boga führer i najwyższy dowódca niech żyje! Niech żyje! Niech żyje!

Niektórzy krzyczą razem. Prastary zakłopotany patrzy przed siebie. Böhler obrzuca Trumanna spojrzeniem obrażonej guwernantki, podnosi się z fotela na całą wysokość i wychodzi bez pożegnania.

Trumann chichocze. Z ust zwisają mu długie pasma śliny, rozgląda się dokoła.

– Subtelni ludzie już wszyscy poszli. Ta crème de la crème, szlachetni! Tylko pro... pro... proletariusze zostali, opoje cholerni i kurwiarze... wyrzutki! Szumowiny ochotniczego korpusu Dönitza! Kto teraz nie zostanie, będzie rozstrzelany!

– Ty... odejdz od moja wymię! – krzyczy Monika. Chodzi o kapitana-lekarza. Zdaje się, że urządził się przy niej za wygodnie.

– W takim razie cofnę się w swój napletek – cedzi lekarz, a całe jego towarzystwo ryczy ze śmiechu.

Trumann znowu opada na fotel i opuszcza powieki. Już myślę: Stary się mylił. Teraz poczciwy Trumann zaśnie na naszych oczach. Nagle Trumann zrywa się jak ukłuty przez tarantulę i z kieszeni kurtki wygrzebuje pistolet.

Jeden z oficerów ma jeszcze tyle refleksu, że ściąga mu ramię w dół. Pocisk rąbie w parkiet, tuż przed czubkiem buta Starego. Ten potrząsa tylko głową i mówi: – Przy takiej muzyce to nawet nie wypadło szczególnie głośno.

Pistolet znika, a Trumann z dumnym wyrazem twarzy pozwala sobie opaść na fotel. Monika, która zareagowała na strzał z opóźnieniem, wyskakuje zza baru, kręci się usłużnie koło Trumanna, głaszcze go pod brodą, jakby chciała go namydlić do golenia, potem szybko wbiega na podium i jęczy do mikrofonu: – *In my solitude...*

Kątem oka widzę, jak Trumann podnosi się niby na zwolnionym filmie. Swoje ruchy rozkłada równo na pojedyncze odcinki, wreszcie stoi – patrząc ironicznie – przynajmniej pięć minut i chwiejąc się na nogach, czeka, aż się Monika wyjęczy, a gdy wszyscy klaszczą frenetycznie, niemrawo przechodzi między stołami aż do ściany, opiera się o nią, patrzy, patrzy i nagle błyskawicznie wrywa z kieszeni spodni drugi pistolet i ryczy, aż mu żyły występują na szyi: – Wszyscy pod stoły!

Teraz nie ma nikogo w pobliżu, by mu podbić rękę.

– Długo mam czekać? – wrzeszczy znowu Trumann. Stary, wyciągając do przodu nogi, zsuwa się z fotela. Dwaj czy trzej szukają osłony za fortepianem. Pianista padł na kolana. Ja przykucam na podłodze. Naraz robi się śmiertelna cisza w lokalu i już trzaskają strzały jeden za drugim.

Stary liczy głośno. Monika spod stołu wydaje przeraźliwe krzyki, które przenikają aż do szpiku kości. Stary woła: – Koniec!

Trumann wystrzelał cały magazynek.

Zerkam ponad blatem stołu: pięciu damom na ścianie ponad podium brak twarzy. Tynk jeszcze się sypie. Stary wstaje jako pierwszy i przekrzywiając głowę, ogląda szkody: – Fantastyczny wyczyn, nadawałby się na rodeo... i to jeszcze z pokaleczonymi łapami!

Trumann schował już pistolet i uspokojony uśmiecha się od ucha do ucha: – Najwyższy czas, co? Najwyższy czas, żebyśmy za te germańskie wygłupy dostali w łeb, co?

Wprost rozplywa się z samozadowolenia.

Nagle, z wysoko podniesionymi rękami, jakby chciała skapitulować, i skrzecząc najwyższym falsetem jak w śmiertelnym strachu, zjawia się nasza „burdelmama”.

Stary na jej widok zsuwa się znowu z fotela. Ktoś ryczy: – Kryj się!

Cud, że ta wypindrzona stara fregata, która gra tu rolę gospodyni, nie dała się widzieć wcześniej. Wysztafirowała się na hiszpańsko: sklezione śliną „haczyki do panów” przed uszami, iskrzący grzebień z szyldkretu we włosach – falujący posąg tłuszczu z nabrzmiałymi wypukłościami wszędzie. Ma pantofle z czarnego aksamitu. Na serdelkowatych palcach

pierścienie z olbrzymimi sztucznymi kamieniami. To monstrum cieszy się szczególną łaską dowódcy garnizonu.

Zazwyczaj jej głos brzmi tak, jakby się smażyła słonina. Teraz jednak miota piskliwie francuskie obelgi. – Kaputt, kaputt – słyszę wśród wrzasków.

– Kaputt... Ma rację – mówi Stary.

Thomsen przytyka do ust butelkę i ssie z niej koniak jak z piersi.

Merkel ratuje sytuację. Wspina się na krzesło i intonuje z zamaszystymi ruchami dyrygenta:

O, święty dzień

Radosnych pień,

Gdy bożych łask

Spadł na nas blask...

Wszyscy ryczą zachwyceni razem z nim.

„Burdelmama” załamuje ręce jak aktorka w tragedii. Jej kwiczenie przebija się od czasu do czasu przez nasz chóralny śpiew. Robi gest, jakby chciała zerwać z siebie swą nabijaną złotymi blaszkami stulę, nagle jednak wczepia pomalowane na wiśniowo paznokcie we włosy, wydaje przeraźliwy pisk, zawraca i ucieka.

Gdy chóralny śpiew milknie, Merkel spada z krzesła.

– Ale rozróżba! Boże, ale zamęt! – mówi Stary.

W każdym wypadku, myślę, muszę wziąć ocieplacz. Z angory. Pierwszorzędnie.

Kapitan-lekarz przyciąga sobie Monikę na kolana, obejmuje prawicą jej tyłek, a lewą ręką podnosi jej pierś od dołu, jakby chciał zbadać ciężar melonu. Bujna Monika, w swojej o wiele za bardzo opiętej szmatce, piszczy, wrywa się, wpada na gramofon, tak że igła z głuchym pierdzeniem zaczyna latać w poprzek rowków. Monika niemal pęka z chichotu.

Kapitan-lekarz wali pięścią w stół, aż odskakują butelki, i robi się czerwony jak burak od nagromadzonych gazów. Ktoś sięga do jego szyi z tyłu, obu ramionami, jakby go chciał objąć, lecz gdy cofa ręce, krawat lekarza kończy się tuż pod węzłem, a lekarz wcale tego nie dostrzega. Porucznik z nożycami ucina już krawat Saemischa, potem Thomsena, Monika widzi to, ze śmiechu pada na podium i wierzgając nogami, pokazuje, że pod sukienką ma tylko małe czarne majteczki, coś w rodzaju cache-sexe. Obserwujący ją Belser już ma w ręku syfon i kieruje ostry strumień między uda Moniki, a ona kwiczy jak tuzin prosiąt szczypanych w ogon. Merkel stwierdza, że brakuje mu końcówek krawatu, Stary mruczy

„prawdziwy pucz Kappa”, Merkel chwyta wypełnioną do połowy butelkę koniaku i ciska nią w brzuch odcinacza krawatów, a ten łamie się jak trafiony bokser.

– Czysty... ładny rzut – chwali Stary.

Teraz kawałek sztachety leci w powietrzu. Chowamy głowy, tylko Stary uśmiechając się siedzi bez ruchu i deklamuje basem:

*...z trzaskiem nadleciał marmurowy blat,
Do małego knajpiarza wielkie lustro biegło,
A morze grzmiało i dął straszny wiatr.*

Fortepian musi połknąć jeszcze więcej piwa.

– Wóda powoduje impotencję – bełkocze Thomsen. Ledwie może utrzymać się nogach.

– Jeszcze do pałacyku? – pyta mnie Stary.

– Nie... trochę się zdrzemnąć! Przynajmniej parę godzin!

Thomsen podnosi się z trudem. – Idę... idę z wami... cholerny bajzel... dalej, do chaty... Jeszcze trzeba tylko... trzeba odlać kartofle!

Białe światło księżycowe za wahadłowymi drzwiami uderza mnie jak cios. Na to światło nie byłem przygotowany: migotliwe, błyszczące srebro. Pas nadbrzeżny wygląda jak białoniebieska, żarząca się w zimnym ogniu wstęga, ulice, domy – wszystko zanurzone w tym chłodnym neonowym świetle.

Boże! Czegoś takiego wcale nie ma – tego księżycyca. Jest okrągły i biały jak camembert. Błyszczący camembert. Można łatwo czytać gazetę. Cała zatoka wygląda jak zgnieciona cynfolia. Olbrzymia płaszczyzna od brzegu aż do horyzontu: miliony metalicznych pryzmatów. Srebrny horyzont odcinający się od aksamitnie czarnego ni oba.

Przymrużam oczy. Wyspa naprzeciwko wygląda jak ciemny migotliwy grzbiet karpia. Komin zatopionego frachtowca, ułomek masztu – wszystko ostre jak nóż. Opieram dłonie o betonową poręcz: jest jak pumeks w dotyku. Nieprzyjemne uczucie. Geranie w skrzynkach; można rozróżnić każdy pąk. Podobno bomby iperytowe pachną jak geranie.

Kontrastowe cienie! Szum przyboju na plaży! W głowie czuję słabnące fale. Migotliwa metaliczna powłoka księżycowego morza unosi mnie w górę i w dół, w górę i w dół. Jakiś pies zaczyna ujadać, księżyc szczeka.

Gdzie jest Thomsen, nowy rycerz? Gdzie został Thomsen? Z powrotem do „Royalu”.

Powietrze można kroić nożem. Zastałe, ułożone warstwami powietrze.

– Gdzie jest Thomsen?

Thomsen przecież tu jeszcze był, nie mógł po prostu odejść.

Kopnięciem otwieram drzwi do klozetu. Byle tylko nie dotykać mosiężnych klamek.

Tam leży. Tam leży Thomsen, jak długi, na prawym boku, w wielkiej kałuży żółtej uryny, koło głowy kupa rzygowin, które spiętrzyły mocz w rynience. Na kratce do kanału druga kupa rzygowin. Prawą stroną twarzy Thomsen leży w mętym żółtym rosolu. Krzyż Rycerski również nurza się w moczu. Koło ust Thomsena tworzą się coraz to nowe pękające pęcherzyki, bowiem wydaje jakieś dźwięki. Wśród bulgotania słyszę: – Wal-czyć... zwy-ciężyc albo zginać! Wal-czyć, zwy-ciężyc albo zginać! Wal-czyć, zwy-ciężyc albo zginać!

Zaraz będę musiał rzygać. Gwałtownie dławi mnie w gardle.

– Dalej, wstawaj! – wyduszam z siebie i chwytam Thomsena za kołnierz. Nie chcę zamoczyć rąk w żółtej urynie.

– Chciałem... chciałem... chciałem dziś wieczorem... tak... tak... porządnie sobie podupczyć – bełkocze Thomsen. – Now I am... in no condition to fuck.

Zjawia się Stary. Chwytny Thomsena za nogi i ręce. Pół niosąc, pół ciągnąc, wywlekamy go za drzwi klozetu. Również z twarzy kapie mu mętny żółty rosół. Prawy bok munduru jest całkiem przemoczony.

– Dalej, pomóżcie!

Muszę wypuścić Thomsena. Wpadam z powrotem do klozetu. W jednym gwałtownym skurczu wyrzucam wszystko, co miałem w żołądku, na kafelki posadzki. Konwulsyjne dławienie łamie mnie zupełnie. Ze łzami w oczach opieram się o kafelkową ścianę. Mój lewy rękaw jest ściągnięty do tyłu. Mogę rozpoznać tarczę zegara: godzina druga. Do diabła: o szóstej trzydzieści przyjeżdża samochód, by mnie odwieźć do portu.

Wyjście

Do portu prowadzą dwie drogi. Dowódca wybiera nieco dłuższą, tę przy brzegu.

Piekącymi oczami rozpoznaję to, co się koło nas przesuwają: zamaskowane baterie artylerii przeciwlotniczej w szarym świetle przedświt. Oznaczenia kwater sztabowych: wielkie litery i tajemnicze geometryczne figury. Zarośla janowca. Parę pasących się krów. Przycupniętą wioskę Reception Immaculée. Reklamy. Na pół rozpadający się piec piekarski. Dwa ciężkie konie, które chłop prowadzi za kantary. Późne róże w zdziczałych ogrodach. Plamiastą szarość ścian domów.

Coraz to muszę mrugać powiekami, bo oczy boją mnie od dymu papierosowego. Pierwsze leje po bombach: zniszczone domy, które zapowiadają port. Kupa starego złomu. Trawa spieczona przez słońce. Zardzewiałe kanistry. Cmentarz samochodów. Zgięte od wiatru, wyschnięte słoneczniki. Szare strzępy bielizny. Rozbity do połowy pociskami cokół pomnika. Grupy Francuzów w beretach. Kolumny ciężarówek OT. Ulica schodzi w dolinę rzeki. W zagłębieniu wisi jeszcze gęsta mgła.

W szarym oparze zmęczona szkapka przed dwukółką o kołach wysokości człowieka. Dom z glazurowanymi dachówkami. Ongiś oszklona, ale teraz pozbawiona szyb weranda, żalozne rusztowanie z żelaza. Garaże. Jakiś facet w niebieskim fartuchu stoi w drzwiach, do mięsistej dolnej wargi ma przyklejony mokry od śliny niedopałek.

Stukanie buforów. Boczny tor. Zrujnowany dworzec. Wszystko szare, w niezliczonych odcieniach od brudnej bieli gipsu do żółtawej czerni sadzy. Ostre gwizdki przetokowych. Czuję piasek w zębach.

Francuscy stoczniowcy z czarnymi, prymitywnie uszytymi torbami. Zdumiewające, że mimo tylu nalotów ciągle jeszcze pozostają w okolicy.

Poplamiony minią, na pół zatopiony statek. Najprawdopodobniej stary parowiec do połowu śledzi, który miał być przebudowany na dozorowiec albo coś w tym rodzaju. Ustawiony na drewnianych podkładach holownik o wysokich burtach i pękatym kadłubie. Kobiety z potężnymi tyłkami w wypłowiałych kombinezonach trzymają swe młotki do nitowania jak pistolety maszynowe. Ogień kuźni polowej żarzy się czerwono w szarym mleku.

Szczudlaste żurawie portowe stoją wszystkie mimo ustawicznych nalotów. Podmuch

detonacji nie znajduje oporu w ich żelaznych filigranach. Nasz wóz nie może jechać dalej w płataninie torów. Wygięte do góry szyny. Ostatnie paręset metrów do schronu musimy iść pieszo. Cztery grubo zakutane postacie, jedna za drugą we mgle: dowódca, główny mechanik, drugi oficer i ja. Dowódca idzie przygarbiony. Patrzy na drogę. Nad sztywnym kołnierzem skórzanej kurtki czerwony szalik wysunął się mu prawie do poplamionej białej czapki. Prawą rękę wsadził głęboko do kieszeni kurtki, lewą zaczepił kciukiem o kieszeń. Na lewym przedramieniu niesie wypchaną torbę z żaglowego płótna. Jego rozkołysany chód wydaje się jeszcze cięższy z powodu niezgrabnych morskich butów z grubymi korkowymi podeszwami.

Idę za nim w odstępnie dwóch kroków. Za mną główny mechanik. On ma znowu nierówny, tańczący sposób chodzenia. Przez tory, które nie wybijają dowódcy z rytmu marszu, przebiega krótkimi sprężystymi skokami. Mechanik nie ma skórzanej kurtki jak my, tylko szarozielony kombinezon: ślusarz maszynowy, który włożył sobie oficerską czapkę; swoją torbę niesie porządnie za ucho.

Pochód zamyka drugi oficer, najniższy z nas wszystkich. Mamrocze coś do mechanika, z czego słyszę tylko, że się boi, by wyjście okrętu nie zostało opóźnione z powodu mgły. W gęstym oparze nie czuje się nawet powiewu wiatru.

Idziemy przez księżycowy krajobraz, w głębi każdego leja po bombie leży mgła jak gęsta papka.

Drugi oficer ma taką samą torbę z żaglowego płótna jak dowódca i ja. Muszą się tam pomieścić wszystkie ruchomości na ten rejs: wielka butelka wody kolońskiej, wełniana bielizna, ocieplacz, robione na drutach rękawiczki i parę koszul. Pulower włożyłem na siebie. Ubranie sztormowe, buty morskie i kombinezon ratunkowy są dla mnie przygotowane na pokładzie. – Najlepiej czarne koszule – radził starszy sternik. Jako znawca stwierdził, że czarne się nie brudzą.

Pierwszy oficer i asystent inżyniera wraz z całą załogą są już na pokładzie, by przygotować okręt do wyjścia w morze.

Nad portem zachodnim niebo zasłania jeszcze pełny cień przedświt. Na wschodzie jednak, nad redą, za czarnymi sylwetkami stojących na kotwicy frachtowców błada poświata sięgnęła już do zenitu. Niepewny półmrok nadaje wszystkim przedmiotom dwuznaczny i niezwykle kształt. Ramiona dźwigów, które wyrastają po obu bokach tysego frontu chłodni nad niskimi dachami baraków, są zwęglonymi konarami olbrzymich drzew owocowych. Nad dachami z papy tkwią maszty statków, wokół których owija się biała para i oleście czarny dym.

Tynk pozbawianej okien ściany jednego z na pół zbombardowanych domów

mieszkalnych zżarty jest przez trąd. Odpada już wielkimi płatami. Potężne białe litery na brudnoczerwonym tle składają się na rozciągnięte szeroko słowo BYRRH.

Przez noc szron niby pleśń pokrył stosy desek i leżące wszędzie od czasu ostatnich nalotów gruzy.

Droga jest przesmykiem wśród ruin. Zamiast sklepów i knajp, które ongiś obrzeżały ulicę, są tylko potrzaskane szyldy nad pustymi oknami. Z „Café de Commerce” została tylko zgłoska „Comm”. „Café de la Paix” zniknęła całkowicie w leju po bombie. Wypalona konstrukcja żelazna hali warsztatów skręciła się do wewnątrz w gigantyczny żelazny oset.

Naprzeciw nas jadą ciężarówki – kolumna, która przywozi piasek do budowy służy schronu. Pęd powietrza rozrzuca puste worki po cemencie, uderza dowódcę i głównego mechanika w nogi. Biały pył przez chwilę zatyka nam dech i osadza się jak mąka na naszych butach. Kilka rozbitych samochodów z numerami Wehrmachtu leży kołami do góry. Potem znowu zwęglone belki i zerwane dachy, które wyglądają jak namioty między powyginanymi torami.

– Znowu tu pięknie narozrabiali – burczy dowódca. Mechanik myśli, że to jakaś ważna wypowiedź, i szybko podbiega do przełożonego.

Dowódca staje, przytrzymuje torbę nogami i wygrzebuje z kieszeni skórzanej kurtki zużytą fajkę i starą, niezgrabną zapalniczkę. Gdy my, drżąc z zimna i garbiąc się, stoimy dokoła, Stary zapala z rozwągą już nabitą fajkę. Teraz jak parowy holownik zostawia za sobą białawy dym. Od czasu do czasu odwraca się do nas w marszu. Twarz ma ściągniętą w przykrym grymasie. Oczu nie widać w cieniu daszka czapki.

Nie wyjmując fajki z ust, pyta mechanika zgrzytliwym głosem: – Peryskop w porządku? Zamglenie usunięte?

– Tak jest. Przy paru soczewkach wykruszyła się warstwa uszczelniająca. Prawdopodobnie przez ten nalot.

– A awaria steru?

– Wszystko naprawione. Było pęknięcie w kablu silnika elektrycznego. Dlatego mieliśmy przerwany dopływ prądu. Założyliśmy nowy kabel.

Za drewnianym płotem stoi teraz długi rząd wagonów. Za ostatnim trzeba przedostać się przez tory, a potem iść już błotnistą drogą, głęboko przeoraną oponami ciężarówek.

Kozły hiszpańskie z gęstą plecionką kolczastego drutu flankują drogę. Posterunki z podniesionymi kołnierzami i zasłoniętymi twarzami stoją jak jakieś nieziemskie zjawy przed wartownią.

Nagle okolicę wypełnia metaliczny łoskot. Potem urywa się, a potężniejący gwizd

syreny, widoczny jako chmura pary, przenika mokre, zimne, śmierdzące smołą, olejem i zgniłymi rybami powietrze.

Metaliczne odgłosy potężnieją. Powietrze wypełnia się nimi i staje się ciężkie. Jesteśmy na terenie stoczni.

Z lewej strony otwiera się potężny wykop. Długie pociągi wywrotek znikają w mlecznej brei. Niewidoczne dla nas jadą dalej, sapiąc.

– Tu wszędzie mają być schrony – powiada Stary.

Teraz wchodzimy na nabrzeże: martwa woda pod pasmami mgły. Statki tak stłoczone, że oko nie może rozróżnić ich kształtów. Bardzo sfatygowane, obrośnięte solą statki rybackie, które służą teraz jako dozowce, dziwaczne wehikuły pływające, jak lichtugi, ropowce, stojące paczkami po trzy sztuki okręciki ochrony portu – tak zwane „mendoweszki” – i cała niearystokratyczna zbieranina sparszywiałych, zużytych statków roboczych, które można spotkać w każdym porcie mającym stocznię.

Główny mechanik pokazuje wyciągniętym ramieniem coś we mgle. – Tam, z przodu, nieco w prawo, na pięciopiętrowym domu, stoi auto!

– Gdzie?

– Dokładnie nad szczytem magazynu, tego z zerwanym dachem!

– No, niech pan powie, jak ono tam wjechało?

– Przedwczoraj, przy nalocie na schron. Zrzucali bomby jak słupy ogłoszeniowe. Widziałem, jak ta gablota wyleciała do góry i wylądowała na dachu, dokładnie na kołach!

– Jak w cyrku!

– A jak ci Francuzi wszyscy naraz zniknęli, to wprost niewiarygodne...

– Co za Francuzi?

– Tu jest zawsze pełno wędkarzy na pirsie. Dokładnie obok wejścia do pierwszego boksu zawsze jacyś siedzą. Po prostu nie można ich było spędzić.

– Musieli przecież uważać dla Tomków, jakie okręty wychodzą i jakie wracają... dokładnie, z podaniem czasu!

– Teraz już nie uważają. Podczas alarmu siedzieli dalej na miejscu. Dwudziestu, może trzydziestu... i wtedy rąbnął taki słup ogłoszeniowy dokładnie w pirs.

– W schron również trafiło.

– Tak, dobrze wycelowali, ale nie przebili... siedem metrów żelbetu!

Arkusze blachy zginają się pod naszymi stopami i z brzękiem wracają znowu do poprzedniego położenia. Jakaś lokomotywa wyje żałośnie i przeraźliwie.

Nad rozkołysaną postacią dowódcy wyrasta stopniowo potężna ściana betonu. Jej

boczne krawędzie gubią się we mgle. Idziemy ku gładkiej płaszczyźnie bez gzymsów, drzwi i okien. Wygląda jak bok potężnego fundamentu pod wieżę, która sięgnie wysoko ponad chmury. Tylko gruba na siedem metrów pokrywa jest nieco wysunięta – potworny ciężar. Wygląda tak, jakby znowu nieco wcisnęła w ziemię całą budowlę.

Musimy obejść betonowy kloc – przez pasma torów, stosy desek i grubych jak udo rurociągów. Wreszcie w węższej ścianie znajdujemy wrota, zamknięte ciężkim stalowym pancierzem.

Wściekły werbel młotków do nitowania uderza nas z ciemnego wnętrza. Łoskot milknie na mgnienie oka, ale zaraz trzeszczące serie znowu rozdierają powietrze i zagęszczają się w szaleńczy hałas.

W schronie panuje półmrok. Tylko przez wejście od basenu portowego przenika blade światło do betonowych jaskiń. Okręty podwodne stoją dwójkami w boksach. Schron ma dwanaście boksów. Niektóre z nich zbudowano jako doki. Oddzielone są od siebie potężnymi betonowymi ścianami. Wejścia chronią opuszczone stalowe kraty.

Kurz, opary, smród ropy, palniki acetylenowe syczą, dmuchawy aparatów spawalniczych parszczą, strzelają i wyją. Tu i ówdzie miga fajerwerk palników do cięcia metali.

Idziemy gęsiego po szerokiej betonowej rampie, która pod kątem prostym w poprzek całego schronu prowadzi do basenu. Musimy piekielnie uważać. Wciąż trzeba omijać różne przeszkody. Plątanina kabli czatuje na nasze nogi. Wagony kolejowe zagradzają drogę. Przywożą nowe części maszyn. Ciężarówki przytuliły się do wagonów. Leżą na nich na specjalnych podpórkach srebrzyście połyskujące torpedy albo zdemontowane działa i broń przeciwlotnicza. A wszędzie węże, liny, cumy, stosy sieci maskujących.

Z lewa przenika ciepłe żółte światło z okien warsztatów: stolarnie, kuźnie, ślusarnie, warsztaty torpedowe, artyleryjskie i peryskopowe. Pod jedną betonową pokrywą mieści się cała stocznia.

Dowódca odwraca się. Drżący w pobliżu płomień aparatu spawalniczego rzuca na jego twarz błękitną poświatę. Oślepiony zamyka oczy. Dopiero gdy hałas słabnie na chwilę, ryczy do mechanika: – Czy w doku znaleziono coś jeszcze?

– Tak, prawa śruba... zgięte pióro!

– Aha, dlatego ten przyśpiew przy małej szybkości!

– Nowa śruba... mamy całkiem nową śrubę, panie kapitanie!

– ...bezszerowo?... pracuje... ster głębokości?

– Tak... napęd... rozebrany... miejsca przy... koło... ślady rdzy... zębata... w porządku!

W boksach po prawej stronie stoją okręty po awarii. Okaleczone okręty, pokryte plamami rdzy i ognistą minią. Odór rdzy, farby, ropy, zwiędłego kwasu, spalonej gumy, benzyny, morskiej wody, zgniłej ryby.

Za basenami następują suche doki. Z otwartym brzuchem, niby wypatroszony wieloryb, okręt leży głęboko w doku. Działa tam cała gromada stoczniovców – karzełkowato mali, robaki koło martwej ryby. Palnikami wycinają właśnie wielkie kawały zewnętrznej powłoki. Maltretowany kadłub migocze w świetle płomieni. Wężę do sprężonego powietrza leżą grubymi wiązkami, a kable elektryczne zwisają z brzucha okrętu. Wnętrza i sondy. Okrągły stalowy cylinder kadłuba sztywnego jest odsłonięty na całej długości części dziobowej. Nad przedziałem diesli jest otwarty. Żółte światło przenika z wnętrza. Mogę zajrzeć głęboko do wnętrza: potężne bloki diesli, oszołamiająca płatanina rur i przewodów. Teraz nad okrętem opuszcza się hak dźwigu. Zawiesza się na nim nowy ciężar. Wydaje się, jakby cały kadłub miał być opróżniony ze wszystkiego.

– Ci mieli ciężki pościg z bombami głębinowymi – mówi główny mechanik.

– To cud, że jeszcze dociągnęli na tym rozwalonym okręcie.

Dowódca steruje ku betonowym schodom, które prowadzą w dół, do suchego doku. Stopnie są zapaćkane olejem, pokryte gumą kable grubymi wiązkami opadają w dół.

Znowu syczy płomień aparatu spawalniczego i wyrzywa z półmroku część zbiornika balastowego. Dalej z tyłu również migoczą płomienie palników, pełzające światło pokrywa cały okręt. To nie są znajome, pełne rozmachu kształty okrętów nawodnych: z płaskich boków wystają jak płetwy przednie stery głębokości, kadłub jest w środku rozdęty. Wielkie obrzęki sterczą po obu stronach brzucha – to zbiorniki balastowe. Są założone na okręt jak siodło i przyspawane. Wszystko jest zaokrąglone: zamknięta dokoła istota głębin, zbudowana według specjalnych reguł. Wręgi są tutaj zamkniętymi pierścieniami.

Po stronie dziobu porusza się stalowa płyta i odsłania ciemną szczelinę. Potem odsuwa się jeszcze bardziej, odkrywając wielki otwór. Rozszerza się jak paszcza: pokrywa wyrzutni torpedowej.

Dwóch stoczniovców próbuje się porozumieć gwałtownymi gestami rąk poprzez huk młotów pneumatycznych.

Pokrywa wyrzutni torpedowej zamyka się znowu.

– Wygląda gorzej, niż... niż... jest. Kadłub... sztywny... jeszcze całkiem dobry... w porządku! – ryczy Stary.

Czuję jego chwyt na ramieniu. Mechanik stoi koło mnie z zadartą głową. Spogląda w górę nad okrągłym brzuchem okrętu.

– Komiczne, co?

Z góry patrzy na nas wartownik z pistoletem maszynowym na ramieniu.

Przez kloce podkładów przełazimy dalej ku rufie. Wyraźnie rysuje się zasadniczy kształt okrętu, wydłużony stalowy cylinder. Zamyka on w sobie maszyny, baterie i pomieszczenia załogi. Ten stalowy cylinder wraz z zawartością jest prawie tak ciężki jak wypierana przez niego woda. To okręt VII C, tak jak nasz. Przypominam sobie: długość 67,1, szerokość 6,3 metra. Wyporność 769 ton w położeniu nawodnym i 871 ton pod wodą – bardzo mała różnica: okręt ma tylko nieliczne części wystające z wody. Zanurzenie na powierzchni 4,8 metra – według przyjętej normy, gdyż w rzeczywistości bywa różne. Można je zmieniać centymetr po centymetrze. Przy takim zanurzeniu okręt wypiera 600 ton.

Oprócz naszego typu istnieje jeszcze II z 250 tonami i typ IX C z 1000 ton na powierzchni i 1232 tonami w zanurzeniu. Okręt VII C nadaje się najlepiej na Atlantyck. Ma krótki czas zanurzenia i – jak na okręt podwodny – dużą zwrotność. Jego zasięg wynosi na powierzchni 7900 mil morskich przy szybkości 10 węzłów, 6500 mil morskich przy 12 węzłach. W zanurzeniu – 80 mil morskich przy 4 węzłach. Maksymalna prędkość wynosi 17,3 węzła w wynurzeniu i 7,6 węzła pod wodą.

– Trafiło go w rufę. Staranowany przez tonący statek! – ryczy mi w ucho mechanik.

Tu i ówdzie stoją reflektory na statywach. Tłum stoczniovców wyprostowuje wgniezione płyty. Nic w tym złego: chodzi tylko o zewnętrzną powłokę, która nie jest odporna na ciśnienie.

Z właściwego cylindrycznego kształtu kadłuba można zobaczyć tylko kawałek śródkręcia. Ku dziobowi i rufie kadłub jest pokryty cienką warstwą zewnętrznej osłony, która tę nadmuchaną powietrzem rybę głębinową, kiedy wypływa na powierzchnię, maskuje jako głęboko zanurzony okręt nawodny. Przez całą długość okrętu w zewnętrznej powłoce wycięto otwory i wpusty do wody, ażeby przy zanurzeniu mogła dostać się między właściwy kadłub a jego blaszaną skórę, inaczej to lekkie przybranie zostałoby jak karton zgniezione w głębi przez ciężar wody.

Za pomocą zbiorników regulacyjnych, a także zbiorników trymowych ciężar okrętu daje się precyzyjnie zmieniać. Dzięki systemowi zbiorników balastowych, które częściowo znajdują się na zewnątrz, częściowo wewnątrz kadłuba, można na powierzchni odpowiednio podnieść okręt z wody. Również zbiorniki paliwa znajdują się poza kadłubem.

W dolnej części zbiornika balastowego dostrzegam klapy, które w położeniu nawodnym pozostają otwarte. Balasty utrzymują okręt na powierzchni jak nadmuchaną poduszkę. Kiedy przez umieszczone w górnej części balastów odwietrzniki uchodzi

powietrze, od dołu, przez klapy balastów, może wpływać woda. Siła wyporu zanika, okręt zanurza się.

Błądzą wzrokiem po okręcie: grube obrzucenie to zbiornik paliwa. Ten otwór tam to dopływ wody chłodzącej do diesla. Tutaj muszą znajdować się również zbiorniki trytowe. Są one odporne na ciśnienie jak zbiorniki pośrednie i regulacyjne.

Jakiś robotnik tłucze jak dziki w główki kilku nitów.

Dowódca poszedł znowu dalej ku rufie. Wyciągniętą prawicą pokazuje w górę: śruby okrętu są całkowicie obudowane drewnianym rusztowaniem.

– Tego również całkiem pięknie trafiło – mamrocze Stary.

– Wały śrub... otrzymują... nowe łożyska z drewna gwajakowego! – ryczy główny mechanik. – Prawdopodobnie... ze względu na hałas... w razie ataku bombami głębinowymi!

Tuż nad śrubami kłapa rufowej wyrzutni torpedowej. W połowie kadłuba wyrastają płaszczyzny rufowego steru głębokości jak skrócone płyty samolotu.

Jakiś facet, cały schlapany farbą, niemal mnie przewraca w biegu. Ma wielki pędzel na przesadnie długim kiju od miotły. Podczas gdy ja czekam na Starego, zaczyna od dołu malować brzuch okrętu na ciemnoszary kolor.

Gdy docieramy do wypełnionego wodą boks numer 6, dowódca znowu skręca w bok i kieruje się na okręt leżący przy prawym pirsie. – Trafiony przez bombę lotniczą... okręt Kramera! – mówi mechanik.

W uszach mam jeszcze historię Kramera: „Właśnie się wynurzamy, kiedy widzę samolot. Luk bombowy otwiera się, bomba wyskakuje i leci prosto na pomost. Drga mi ramię – ze strachu, że bomba może trafić. Ta cholera trafiła rzeczywiście w osłonę pomostu, ale trochę z boku, nie samym czubkiem, i zamiast wybuchnąć, po prostu się rozleciała. Słuczka... czy jak to się tam nazywa!”

Dowódca obserwuje kiosk od tyłu i od przodu, wariacko poszarpany pas, który bomba wyrwała z blaszanej obudowy, przebitą osłonę. Grubo okutany wachtowy z załogi okrętu podchodzi bliżej i salutuje.

– Ten już od przeszło tygodnia latałby w białej nocnej koszuli – mówi mechanik.

Basen boks 8 jest również napełniony. Czarne refleksy drżą i zwijają się na wodzie.

– Nasz okręt – mówi mechanik.

W półmroku schronu prawie nie odcina się od wody. Ale na tle jasnej ściany, części wystające ponad niski pirs rysują się wyraźnie. Górny pokład znajduje się tylko o niecały metr nad oleistą wodą. Wszystkie włazy są jeszcze otwarte. Obmacuję spojrzeniem całą długość okrętu, jakbym chciał utrwalić sobie jego wygląd na wieczne czasy. Wszystkie linie,

drewniany górny pokład, który płasko i bez żadnych załamań ciągnie się do dziobu, kiosk ze sterzącą bronią przeciwlotniczą, lekko opadająca rufa, idące od kiosku skośnie w dół ku dziobowi i rufie stalowe liny spychacza sieci z wplecionymi w nie zielonymi porcelanowymi izolatorami. Wszystko ogromnie proste. To okręt VII C, doskonały na morzu jak żaden inny.

Wychwytyję uśmiezek dowódcy: ma minę jak właściciel konia przed wyścigami.

Okręt jest uzbrojony. Jego ładownie są wypełnione paliwem i wodą – przygotowany do wyjścia. A jednak nie drży i nie wydaje z siebie pomruku, typowego dla okrętów gotowych do podróży; diesle jeszcze nie pracują, mimo że ludzie z grubymi rękawicami stoją już przy cumach.

– Pożegnanie nastąpi przy śluzie – mówi dowódca. – Ze wszystkimi tymi głupimi dyrdymałkami.

Załoga stoi na pokładzie za kioskiem. Ledwie pięćdziesięciu ludzi. Osiemnasto-, dziewiętnasto-, dwudziestolatki. Tylko podoficerowie są o parę lat starsi.

Z ich twarzy niewiele można wyczytać w półmroku. Nie mogą zapamiętać wyraźnie wypowiedzianych nazwisk.

Pokład jest śliski od mgły, która przenika przez wejścia do schronu. Szarobiałe, mgliste światło oślepia tak mocno, że zacierają się kontury wrót wyjściowych. Woda w basenie jest czarna i ciągliwa jak olej.

Pierwszy oficer melduje: – Załoga oprócz marynarza Backera z centrali w całości na zbiorce. Maszyny, dolny i górny pokład gotowe do wyjścia w morze!

– Dziękuję! Czołem załoga!

– Czołem, panie kapitanie! – Okrzyk zagłusza hałas maszyn.

– Baczość! Spocznij! Zagiąć skrzydła!

Dowódca czeka, aż się wszystko uspokoi.

– Wiecie, że Backera trafiło. Nalot w Magdeburgu. Backer to był porządny gość. Cholerne świństwo. W ostatnim rejsie nie mieliśmy strat.

Długa przerwa. Stary przybiera osobliwy wyraz twarzy.

– No, dobra... Nie nasza wina. Ale uważajcie, żeby tym razem wszystko grało. Uszy do góry!

Ludzie uśmiechają się.

– Rozejść się! – komenderuje dowódca.

– Piękna mowa – mruczy mechanik. – Z całym szacunkiem!

Na długim i wąskim górnym pokładzie leżą jeszcze odbijacze, cumy i nowe liny. Ciepły opar unosi się z otwartego luku kambuza. Zjawia się twarz kuka. Podaję mu moje

rzeczy.

Bezszelestnie wysuwa się peryskop. Oko Polifema kręci się we wszystkich kierunkach, podnosi się całkiem wysoko na srebrzyście błyszczącym słupie, potem znowu opada w dół i znika. Wspinam się na kiosk. Farba jeszcze całkiem nie wyschła i plami dłonie. Luk ładowni torped na górnym pokładzie jest już zamknięty. Z tyłu uszczelnia się właz kambuza. Jedyne wejście do okrętu będzie teraz tylko przez właz kiosku.

Wewnątrz okrętu panuje straszny bałagan. Nigdzie nie można się dostać bez przeciskania się i przełazenia. Hamaki wypełnione bochenkami chleba zwisają pod sufitami. Wszędzie w przejściach skrzynie prowiantu, stopy wielkich puszek, worki. Gdzie te rzeczy, które jeszcze stoją na drodze, znajdą miejsce? Wydaje się, że został wykorzystany każdy kąt.

Z ładowni na zapasy – normalnie bardzo obszernych na statkach – konstruktorzy naszego okrętu zrezygnowali tak samo jak z umywalni. Po prostu w rurę do morskiej wojny wbudowali swoje mechanizmy i powiedzieli sobie, że nawet przy najbardziej wyrafinowanym wykorzystaniu miejsca po założeniu płataniny rurociągów i wbudowaniu potężnych maszyn napędowych, wielu silników pomocniczych i systemów broni, z konieczności powstaną kąty i zakamarki, które muszą zostać puste: to jest miejsce dla załogi.

Okręt zabrał czternaście torped. Pięć jest w wyrzutniach, dwie w pomieszczeniach górnego pokładu, a reszta pod podłogą przedziału dziobowego. Do tego sto dwadzieścia naboji do osiemdziesiątkiosemki i mnóstwo amunicji przeciwlotniczej.

Starszy sternik i bosman okrętowy mają pełne ręce roboty. Bosman spełnia na pokładzie rolę szefa kompanii. Potężny gość, nazywa się Behrmann, przerasta o głowę większość załogi. Już go znam: „...ty żwawa sarenko, złamię ci serce prędko!”

Jeszcze pół godziny do wyjścia. Mam czas rozejrzeć się w pomieszczeniach maszynowni – stara miłość te maszynownie okrętów, gotowych do wyjścia w morze. Jednak w centrali najpierw opadam na zbiornik wody. Dokoła rury, zawory, pokrętła, manometry, silniki pomocnicze, gąszcz zielonych i czerwonych przewodów. W półmroku rozpoznaję wskaźnik położenia sterów, elektryczny i mechaniczny. Niemal wszystkie urządzenia są zdublowane ze względów bezpieczeństwa. Nad stanowiskiem steru głębokości i przełącznikami steru głębokości rozróżniam jeszcze wagi ładunku, jedną prymitywną, a drugą bardzo delikatną. Papenberg, wskaźnik głębokości między okrągłymi szybami manometru głębokości z jego obrotowymi wskazówkami, wygląda jak wielki termometr. Podczas precyzyjnego sterowania do obserwacji peryskopowej wskazuje głębokość z dokładnością do dziesięciu centymetrów.

Centrala jest oddzielona od dziobu i rufy grodziami wodoszczelnymi. Są półkuliste i

dzięki temu wytrzymują większe ciśnienie niż grodzie płaskie. Dzielią okręt na trzy części.

Wiele się w ten sposób nie zyskuje, gdy bowiem jeden z trzech przedziałów zostanie zalany wodą, okręt nie jest już zdolny do pływania. Projektując to, konstruktorzy mieli na myśli prawdopodobnie wody płytkie, takie jak Bałtyk.

Jako wyjście zapasowe służy w przedziale dziobowym właz ładowni torped, w rufowym – właz kambuza.

Maszynownia, mój cel, leży za kambuzem.

Wszystkie włazy w grodziach są otwarte.

Powoli przeciskam się na rufę przez skrzynie i worki, przez mesę podoficerską, gdzie mam spać, i dalej przez kambuz, który również nie jest uporządkowany.

Naszej maszynowni nie można porównać do maszynowni wielkich statków, owych wysokich hal, które sięgają najczęściej przez cały statek od góry do dołu, podzielone na wiele poziomów przez błyszczące stalowe ażurowe pomosty i lśniące oleiście stalowe trapy, prowadzące z jednego pomostu na drugi, połyskujące czystą miedzią i chromowanymi bolcami, z grubymi jak nogi w opatrunkach gipsowych bandażowanymi przewodami, które biegną do turbin wysoko – i niskoprężnych. Nasza maszynownia to wąska dziura, gdzie jak stłoczone w klatce zwierzęta muszą znaleźć miejsce oba potężne diesle ze wszystkimi silnikami pomocniczymi. Dokoła nich nawet najmniejszy kącik wykorzystany jest przez płataninę przewodów: pompa wody chłodzącej, pompa olejowa, wirówka oleju, butle sprężonego powietrza, pompa paliwowa. Między tym manometry, termometry, obrotomierz i wszystkie możliwe przyrządy kontrolne.

Każdy z obu diesli ma sześć cylindrów. Oba razem wyciągają dwa tysiące osiemset koni mechanicznych.

Kiedy włazy są uszczelnione, rozgłównia pokładowa stanowi jedyne połączenie z centralą. Podczas walki wąskie przejście między potężnymi dieslami jest szczególnie niebezpieczne, gdyż w przedziale diesli znajduje się większość zaworów do przewodów wychodzących na zewnątrz kadłuba. Obaj starsi motorzyści mają pełne ręce roboty. Johann to opanowany, bardzo blady i wysoko wyrośnięty chłopak o wpadniętych policzkach, spokojnym spojrzeniu i obojętnej minie. Ma fatalną postawę, jest jasnowłosy i niemal pozbawiony zarostu. Drugi – starszy motorzysta Franz, jest krępy, ciemny i brodaty. Również i on ma niezdrową cerę i garbi się. Robi wrażenie mruka.

Najpierw myślałem o nich, że kazali nazywać się po imieniu. Teraz wiem, że Johann i Franz to ich nazwiska. Johann ma na imię August, a Franz – Karl.

Jeszcze dalej ku rufie znajduje się siłownia elektryczna. Silniki elektryczne czerpią

napęd z baterii, które z kolei są ładowane przez diesle. Silniki mają siedemset pięćdziesiąt koni mechanicznych. Wszystko jest tutaj czyste, chłodne i zamknięte jak w elektrowni. Obudowa silników, które pod wodą obracają wałami śrub, niewiele tylko wystaje ponad połyskujących srebrzyście płyt podłogi. Po obu stronach skrzynki przełączników z czarnymi tarczami, z mnóstwem amperomierzy, woltomierzy i stabilizatorów napięcia. Silniki elektryczne pracują bez dopływu powietrza z zewnątrz. Są to silniki prądu stałego, które bezpośrednio, bez przekładu, siedzą na wałach za dieslami. Na powierzchni wody, gdy diesle pracują, obracają się wraz z nimi i służą jako generatora do ładowania akumulatorów. Na końcu przedziału znajduje się zamek wyrzutni rufowej. Po jej obu stronach stoją dwie sprężarki, w których spręża się powietrze do szasowania balastów.

Znowu przeciskam się do centrali i wspinam na górę. Silniki elektryczne wyciągają okręt ze schronu rufą do przodu. Oblewa go perliste światło, w którym mokry pokład zaczyna natychmiast błyszczeć jak szkło. Klakson, nasz róg sygnalizacyjny, jęczy głucho. Raz, dwa razy. Holownik odpowiada mu jeszcze bardziej głuchym sygnałem. W rozproszonym przez mgłę świetle przechodzi obok i wygląda, jakby był wycięty z czarnej tektury. Drugi holownik przesuwa się ciężko i tak blisko, że można rozpoznać rząd opon samochodowych, które, wywieszane za burtą, spełniają funkcję odbijaczy i wyglądają zupełnie jak tarcze Wikingów. Jakiś palacz wystawia swą zamorusaną twarz z bulaja i woła coś, czego jednak nie można zrozumieć w nagłym wyciu naszego klaksonu.

Dowódca osobiście wydaje komendy na silniki i ster. Wysunął się wysoko ponad osłonę pomostu, tak że widzi dokładnie cały okręt od dziobu aż do rufy i może kontrolować trudne manewry w ciasnocie portowej.

– Lewy silnik stop! Prawy mała naprzód! Ster lewo na burt!

Ostrożnie, metr po metrze, okręt przeciska się we mgle. Jest jeszcze chłodno.

Dziób przesuwa się wzdłuż linii okrętów, stojących bardzo blisko siebie. To małe płotki – okręty ochrony portu, wśród nich jeden dozorca.

Woda portu śmierdzi jeszcze bardziej smołą, nieczystościami i glonami.

Nad pasmami mgły wyrastają teraz maszty parowców, a potem las żurawi ładunkowych. Czarne rusztowania dźwigów wyglądają jak wieże wiertnicze w zagłębiu naftowym.

Robotnicy, którzy przez wiszący most przechodzą na teren stoczni, są zakryci aż do szyi przez zardzewiałe boczne ścianki mostu. Wygląda to jak pochód odciętych głów.

Na wschodzie, nad szarymi ścianami chłodni, czerwona poświata miesza się

stopniowo z mleczną mgłą. Wielkie bloki budynków przesuwają się powoli w bok i nagle między kratownicą dźwigu błyska ostro zarysowana kula słoneczna – tylko na chwilę, gdyż zaraz zasłania ją tłusty dym z jakiegoś holownika, który wlecze głęboko zanurzone czarne barki z piaskiem i węglem.

Drzę w wilgotnym wietrze i wstrzymuję dech, by nie wciągać do płuc zbyt wiele duszącego kopcia.

Przy śluzie zgromadził się tłum ludzi: stoczniovcy w zasmarowanych kombinezonach, marynarze, paru oficerów flotylli. Rozpoznaję Gregora, który wczoraj wieczorem nie był na zabawie, Kortmanna, braci syjamskich Kupscha i Stackmanna. Trumann, oczywiście, jest również i wygląda całkiem normalnie, bez śladów przepitej nocy. Za nim odkrywam Prastarego i Bechtela, który miał bombę głębinową na pokładzie, oraz Kramera, tego od bomby lotniczej. Również picuś Erler się zjawił, otoczony gromadką dziewczyn, które trzymają kwiaty. Thomsena jednak brak.

– Diabli mnie biorą, jak widzę te durne sanitariuszki – mówi koło mnie marynarz, właśnie odwijający rzutkę, na której była podciągnięta cuma do pirsu.

– Człowieku, ależ to głupie pindy – słyszę drugiego.

– Tę trzecią od lewej, tę małą, to raz przerznąłem!

– Kto picuje, ten lepiej daje sobie radę.

– Słowo honoru. Mówię ci!

Z lewej, przy rufie, tryska nagle fontanna wody. Piana faluje wokół okrętu: szasuje się zbiornik balastowy numer jeden, aż całkowicie wypełni go powietrze. Zaraz potem w wielu miejscach koło burt pieni się woda: zbiorniki są kolejno opróżniane, nasz górny pokład podnosi się wyżej.

Artylerzyście, który ryczy z góry: „Takich wielkich parowców!”, a przy tym, rozkładając szeroko ramiona, udaje chlubiącego się swoimi sukcesami wędkarza, jeden z naszych ludzi na pokładzie pokazuje język. Dwaj lub trzech szturchają się nawzajem, inni uśmiechają się głupio albo robią miny. Usiłują wprowadzić się w dobry nastrój – takiego napięcia nikt długo nie wytrzyma.

Już rzeczywiście nadszedł czas zdjęcia cum. Dowódca, oficerowie i cała załoga są na pokładzie. Za jednego, którego trafiło w Magdeburgu, mamy zastępcę: wychudłego osiemnastolatka o twarzy jak ser.

Przypływ trwa już od godziny. Musimy właśnie teraz gładko przejść przez śluzę.

Nasi chłopcy na górnym pokładzie odstawiają dalej swą sznurowatą komedię: jak bardzo się cieszą, że wreszcie stąd wypływają. A ci w górze, na nabrzeżu, pokazują, że pękają

z zazdrości: macie wspaniałą wycieczkę! Wyruszacie na wroga! Zarabiacie na order, a my, biedaki, musimy na łądzie, w tej zasranej Francji, włóczyć się z tymi parszywymi dziwkami!

Usiłuję być swobodny w sztywnym jeszcze ubraniu z szarej skóry. I tak stoję: dłonie wsadzone niedbale do kieszeni skórzanej kurtki z filcową podszewką, sięgającej mi do kolan. Ciężkimi, morskimi butami, z korkową izolacją przeciwko chładowi żelaza, przytupuję po drewnianych beleczkach.

Stary pyta z uśmiechem: – Niecierpliw?

Faceci z plutonu orkiestry, w stalowych hełmach na głowach, patrzą na nas tępo.

Jeden wysoki w drugim szeregu już po raz piąty oblizuje ustnik fagotu jak lizak.

Kiedy całkiem zliże swój fagot, nastąpi sekunda wieczności...

Tamburmajor, w butach z szerokimi cholewami, podnosi swą pałkę, rozbłyskuje mosiądz instrumentów... jeszcze parę chwil i rozmowę zagłuszają dźwięki i ryczący pogłos muzyki.

Oba trapy zostają wciągnięte.

Pierwsza wachta zajęła posterunki manewrowe. Druga zmiana pozostaje na górnym pokładzie. Pierwszy oficer gwizdże do odcumowania. Dowódca zachowuje się tak, jakby go to w najmniejszym stopniu nie obchodziło. Ofiarnie ssie swoje grube cygaro. Trumann na pirsie również zapalił. Obaj salutują sobie cygarami, trzymanymi między palcem wskazującym a środkowym. Pierwszy oficer zirytowany patrzy w bok.

– Gdzie jest Merkel? – pyta Stary zgromadzonych na pirsie, gdy orkiestra przestaje grać.

– Jeszcze nie sklarowany!

– Straszne!

Stary zerka skrycie na niebo. I potem, niby jaki holownik, otacza się kłębem gwałtownie wydmuchniętego dymu.

– Cumy zdjąć, szpring zostawić!

Cumy dziobowe i rufowe rzucają żołnierze na pirsie. Ludzie na górnym pokładzie ściągają je. Współdziałają ze sobą bez żadnych zakłóceń. Mają doświadczenie siedmiu rejsów.

– Lewy silnik mała naprzód, prawy wolno wstecz! Oba stop! Ster na środek!

Teraz również szpring wpada z pluskiem w wodę.

Nasze odbijacze szurają o zaokrąglony brzuch zewnętrznej ściany schronu. Bulgotanie wody za śrubami zwraca moją uwagę na rufę.

Okręt odłączył się od nabrzeża, jest ponurym czółnem na oleisto czarnym Styksie, z

ładunkiem opancerzonych skórą ludzi na platformie przeciwlotniczej za wanną pomostu. Nie widać żadnych spalin, nie słychać szumu silników. Zupełnie jakby jakiś magnes odciągał okręt od nabrzeża.

Małe bukiety kwiatów lądują na pomoście. Marynarze wtykają je we wloty wentylatorów.

Ciemny pas wody między szarą stalą okrętu a zabrudzonym murem nabrzeża staje się coraz szerszy. Nagle na pirsie robi się jakiś ruch. Ktoś przeciska się z tyłu i rozdziela gromadę: Thomsen! Wyrzuca oba ramiona w górę, na szyi błyszczy mu nowy order. Teraz ryczy nad wodą: – Hura, UA! – I jeszcze raz: – Hura, UA!

Stary salutuje cygarem – tak niedbale, jak tylko można.

Okręt przesuwa się powoli do parującego mgłą awanportu, scena poszerza się. Dziób przyjmuje kierunek na otwarte morze.

Opar mgły stopniowo podnosi się znad wody. Na czarnych dźwigarach żelaznego żurawia słońce wspina się wyżej. Jego intensywna czerwień rozszerza się na całą wschodnią część nieba. Również brzegi chmur zostają zalane czerwoną pianą. Nawet mewy ozdabia czerwony przepych. Z rozpostartymi skrzydłami spadają w czerwonym świetle prawie do samej wody i w ostatniej chwili wzbijają się w górę, piszcząc głośno.

Teraz welony mgły rozpraszają się całkowicie, tak że oleista woda zaczyna płonąć czerwonym żarem. Pływający dźwig całkiem blisko nas wyrzuca z siebie olbrzymią chmurę pary. Słońce zabarwia ją natychmiast na czerwono i pomarańczowo. Przy tych barwach błędnie nawet czerwony BYRRII.

Niebo szybko staje się zielonożółte, a chmury zmieniają odcień na szary. Słońce wędruje wyżej i robi się coraz jaśniej.

Przeciągają obok zielone boje do oznaczania wraków. Z prawej przesuwiają się czerwone dachy willi uzdrowiska i znikają powoli za połyskującymi żółtawo dźwigami.

Nagle przenika mnie wysoki, zduszony ton. Po nim następuje śpiewne dudnienie, pokład zaczyna drżeć, dudnienie nasila się i nabiera równomiernego rytmu: ruszyły nasze diesle. Wygląda to, jakby okręt nareszcie się naprawdę obudził z portowego bezruchu.

Kładę dłonie na zimnym żelazie osłony pomostu i wyczuwam żywe tętno maszyn.

Morze wciska się do portu. Krótkie łańcuchowe fale rozbijają się na zbiornikach balastowych. Główna mola przesuwa się obok i cofa do tyłu.

Mijamy jakiś frachtowiec pomalowany w maskujące zielono-czarne łaty.

– Około sześciu tysięcy ton – mówi dowódca. Nie ma odkosów dziobowych,

frachtowiec stoi na kotwicy.

Nasz tor wodny prowadzi teraz tak blisko brzegu, że widać każdego pojedynczego wędkarza. Żołnierze machają rękami.

Przesuwamy się w wolnym tempie rowerzysty. Pogłębiarka wywiesiła postrzępioną trójkolorową flagę. Piana za rufą; a więc ta ponura łajba płynie wolno naprzód. Z grubych rur tryskają strumienie brudnej wody.

– Przygotować górny pokład do zanurzenia – rozkazuje dowódca.

Chowa się polery, na których owinięte były cumy, zdejmuje bosaki, cumy i odbijacze upycha w zagłębieniach pod listwami. Marynarze przykręcają wszystkie śruby na górnym pokładzie, wciągają flagsztok, przygotowują broń maszynową i kładą w pogotowiu amunicję.

Bosman dokładnie uważa, żeby wszystko zostało wykonane starannie: przy skrytym podejściu nic nie może brzęczeć. Pierwszy oficer kontroluje jeszcze raz. Potem melduje dowódcy: – Górny pokład gotów do zanurzenia!

Dowódca rozkazuje zwiększyć prędkość. Między listwami pokładu syczy piana, a bryzgi wody uderzają o kiosk.

Skalisty brzeg cofa się. Ciemne cienie leżą jeszcze w jego rozpadlinach. Stanowiska artylerii przeciwlotniczej są tak dobrze zamaskowane, że nawet przez lornetę odnajduję je z trudnością.

Dwa dozorowce, przebudowane z kutrów rybackich, przejmują teraz nasz okręt, by zapewnić mu ochronę przeciwlotniczą.

Po chwili ochronę przeciwminową obejmuje przerywacz zagród, wielki okręt, pomalowany na kolory ochronne, wyładowany beczkami i innymi dobrze pływającymi przedmiotami. Jego górny pokład jeży się od broni przeciwlotniczej.

– To też robota – mówi mechanik. – Stale muszą uważać, żeby ich nie rozwaliło, kiedy wyłowią jakąś minę. Każdego dnia to samo, tam i nazad... no, dziękuję pięknie!

Nasz okręt trzyma się dokładnie w szerokim, spienionym torze wodnym przerywacza zagród. W lornetce widzę długą zatokę La Baule; ciasny szereg zabawkowych domów. Potem zwracam się do tyłu: St.-Nazaire jest teraz ciemną kreską, na której wysokie dźwigi są już małe jak szpilki na tle nieba.

– Skomplikowany tor wodny... Wszędzie leżą wraki, patrzcie tam: czubki masztów! To transportowiec, zatopiony przez sztukasy, bomba wpadła prosto w komin. Przy niskiej wodzie wychodzi na wierzch... Tam leży jeszcze jeden wrak! A to przed nim to boja świetlna!

Kiedy z doliny rzeki na północnym wybrzeżu już nic prawie nie można rozpoznać, starszy sternik żąda namiernika. Umieszcza przyrząd na stojaku i pochyla się nad nim.

– He, Jakub, trochę w bok!

Wachtowy z prawego sektora rufowego robi miejsce.

– Co pan namierza? – chce wiedzieć dowódca.

– Szczyt wieży kościoła... Tam, prawie jej nie widać. I ten szczyt skały z prawej!

Starszy sternik celuje dokładnie, odczytuje wskazania i podaje w dół.

– Ostatni namiar brzegowy – mówi.

Nie mamy portu przeznaczenia. Nasz następny cel, który wyprowadza nas z bazy na przestwór oceanu, to oznaczony dwiema liczbami kwadrat mapy na środkowym Atlantyku.

Wydział operacyjny dowódcy okrętów podwodnych podzielił akweny na mozaikę takich małych kwadratów. Ułatwia to łączność, jednak mnie, ponieważ jestem przyzwyczajony do zwykłych koordynatów, trudno określić na pierwszy rzut oka położenie naszego okrętu na mapie.

O godzinie jedenastej opuszcza nas eskorta. Dozorowce szybko odpadają do tyłu. Przerzycząc zagród odchodzi dużym łukiem i zawiesza na niebie szeroką smugę dymu. Ostatnie sygnały eskorty do okrętu.

Teraz starszy sternik zdecydowanie odwraca się całym ciałem do przodu, przykładając szklę do oczu i opiera się łokciami o osłonę pomostu.

– No, Kriechbaum, znowu to samo od początku! – powiada dowódca i znika w kiosku.

Okręt jest teraz sam na swoim kursie.

Jeden z wachtowych na pomoście wyciąga kwiaty z wywiewników i wyrzuca je za burtę. W spienionym szlaku torowym szybko odpływają w dal.

Wyciągam się, by ponad osłoną pomostu obejrzeć okręt od dziobu aż do rufy.

Przed nami pochód długich fal. Dziób coraz to zanurza się i rozcina je jak lemiesz pługa. Za każdym razem spieniona woda tryska w górę, a ostre szpryce syczą nad pomostem. Kiedy oblizuję usta językiem, smakuję Atlantyck: jest słony.

Na błękitnym dzwonie niebios wisi parę stratokumulów jak płatki piany z białka. Dziób ocieka wodą, podnosi się do góry, opada znowu, a cała przednia część okrętu na długie chwile zostaje zalana pianą. W pyłe wodnym słońce wywołuje wszystkie barwy widma, małe tęcze wysklepiają się nad pokładem.

Morze nie jest już szmaragdowe, tylko ciemnoniebieskie. Cienkie, białe pasemka piany przebiegają bez żadnej reguły przez granatową płaszczyznę jak żyłki marmuru. Kiedy kłęb chmur na mgnienie oka zasłania słońce, woda przekształca się w czarnogranatowy atrament.

Za rufą szeroki tor mlecznej wody: nasz rozprzestrzeniający się wachlarzowato ślad rufowy spotyka się z pochodem fal i odbija od niego białymi grzywami. Jak okiem sięgnąć, splatają się świetliście białe warkocze.

Wpierając stopy w studzienkę peryskopu, wysuwam się jeszcze trochę wyżej i pochylam do tyłu, opierając ręce na spychaczu sieci. Mewy krążą z rozpostartymi skrzydłami wokół okrętu i patrzą na nas nieruchomymi oczami.

Szum diesli zmienia się stale: słabnie, gdy klapy wydechowe, które umieszczone są na burtach okrętu, zalewa woda; przybiera na sile, gdy są odsłonięte i spaliny mogą wylatywać bez przeszkód.

Dowódca znowu zostaje na górze, mruży oczy i podnosi lornetkę.

Przed nami tuż nad wodą wisi chmura jak strzęp szarej wełny. Dowódca przygląda się jej uważnie. W kolanach ma takie wycucie poruszeń okrętu, że nie potrzebuje się trzymać.

– No i znowu wyruszamy!

Dowódca rozkazuje zwiększyć obroty i iść zygzakiem. Przy każdej zmianie kursu okręt pochyla się na bok. Ślad torowy za rufą zakrzywia się raz na prawo, raz na lewo.

– Uważać na pasma piany... w tej okolicy straszy! – A potem, zwracając się do mnie: – Panowie z tamtej firmy mają zwyczaj tu na nas czatować. Wiedzą przecież całkiem dokładnie, kiedy wychodzimy. To żadna sztuka: mogą się tego łatwo dowiedzieć od robotników w stoczni, sprzątaczek i dziwek, a obserwować, kiedy wychodzimy ze śluzy, mogą w końcu sami.

Bardzo często dowódca kieruje nieufne spojrzenie ku niebu. Na czole zmarszczki jak na tarze, nos również zmarszczony, przestępuje niecierpliwie z nogi na nogę: – W każdej chwili mogą nas tu zaskoczyć lotnicy! Robią się coraz bezczelniejsi!

Chmury stopniowo łączą się. Ledwie tu i ówdzie prześwituje kawałek błękitu nieba. Przesłona zakrywająca słońce otwiera się tylko na krótkie chwile.

– Całkiem niebezpiecznie – powtarza Stary i mruczy pod swoją lornetką: – ...lepiej na dół... podczas alarmu... możliwie najmniej ludzi na górze.

To odnosi się do mnie. Znikam z pomostu.

Moja koka znajduje się w mesie P. Wychodzi na jaw, że jest to najbardziej nieprzytulne pomieszczenie na okręcie. Jest tu najwięcej ruchu przechodniego. Kto się chce dostać do kambuza, do diesli czy siłowni elektrycznej, idzie tędy. Przy zmianie wachty stara wachta maszynowa musi się przeciskać od rufy, a nowa – od centrali. Za każdym razem jest to sześcioro ludzi. Również stołowi przełazą tędy ze swymi miskami i wiadrami. W

rzeczywistości całość jest niczym więcej jak wąskim korytarzem z czterema kojami z prawa i czterema z lewa. Bezpośrednio w przejściu stoi przyśrubowany stół, którego części blatu można opuszczać jak płaty samolotu pokładowego. Przestrzeń po obu stronach jest tak szczupła, że podoficerowie podczas posiłku muszą z opuszczonymi głowami siedzieć na dolnych kojach. Na stołki nie ma miejsca. Gdy w trakcie posiłku ktoś musi się dostać od maszyn do centrali albo od centrali do maszyn, robi się straszliwe zamieszanie.

Posiłki dla młodszych podoficerów są wprawdzie tak rozłożone w czasie, że jedzenie w kubryku dziobowym, u starszych podoficerów i w mesie oficerskiej jest już skończone, gdy młodzi podoficerowie przykucają przy stole, a więc stołowi nie muszą nic nosić z kambuza do przednich pomieszczeń. Mimo to są stale zakłócenia. Moje szczęście, że nie będę jadał u podoficerów. Dla mnie nakrywa się w mesie O.

Na niektórych kojach sypia po dwóch młodszych podoficerów, jeden po drugim. Jestem szczęśliwym posiadaczem koi wyłącznie dla siebie.

Młodzi podoficerowie drugiej zmiany zajmują się jeszcze układaniem rzeczy w swoich bakistach. Dwaj ludzie z maszyn muszą przejść na rufę. Natychmiast robi się tłok. Krata mojej koi, coś w rodzaju aluminiowej drabiny, jest opuszczona i również przeszkadza.

Na mojej koi leżą jeszcze puszki konserw, kupa serdaków i bochenków chleba. Przychodzi jakiś marynarz z ubraniem sztormowym, skórzaną kurtką i spodniami, morskimi butami i aparatem ratunkowym. Wszystko nowe, cudowne, ciężkie. Skórzana kurtka z podpinką nie ma jeszcze żadnych załamań. Buty są wyłożone filcem, a mimo to wystarczająco duże, by zmieściły się w nich nogi w grubych skarpetach.

Aparat ratunkowy znajduje się w ciemnobrązowej torbie z żaglowego płótna z błyskawicznym zamkiem. Nowiuteńki. – Czysta dekoracja – ocenia mat z centrali – pomyślana bardziej na Bałtyk!

– Ale całkiem użyteczna, kiedy diesel śmierdzi – mówi wielki ciemnowłosy chłop o krzaczastych brwiach. Jest to Frenssen, mat z obsługi diesli. Tak czy inaczej jako kamizelka ratunkowa ma swoją wartość. Kiedy tylko lekko pokręcę kapturkiem, mała stalowa butelka natychmiast dostarcza tlenu.

Kładę brązową torbę w nogach. Na swoje rupiecie mam tylko marniutką szafkę, w której nie mieszczą się nawet najpotrzebniejsze rzeczy. Z tego powodu przybory do pisania i kamerę chowam w koi między lekko podniesionym materacem a ścianą. Dla mnie nie zostaje więcej miejsca niż w robionym na miarę futerale. Przed obiadem chcę się jeszcze trochę rozejrzeć i przechodzę przez centralę do przedziału dziobowego.

Poza matami, którzy mają swe koje w pomieszczeniu podoficerskim, wszyscy inni

członkowie załogi, z dowódcą i oficerami włącznie, gnieźdzą się w przedziale dziobowym. Dowódca mieszka zaraz za przednią grodzią centrali. Za zieloną zasłoną koja, parę szafek na ścianie i suficie, bardzo małe biurko, właściwie blat do pisania – i to już wszystko. Również i dowódca musi się martwić, jak się pomieścić. Zamknięte przedziały po obu stronach korytarza, które znajdują się zwykle na okrętach nawodnych, tu nie istnieją. „Pomieszczenie” dowódcy jest najbliższe centrali. Radiostację i podsłuch ma dokładnie naprzeciwko.

Dalej z przodu jest mesa O, która stanowi jednocześnie mieszkanie głównego mechanika, asystenta maszynowego – naszego drugiego mechanika, pierwszego i drugiego oficera wachtowego.

Materac, na którym dowódca wraz z czifem siedzą podczas posiłków, jest właściwie koją do spania głównego mechanika. Znajdujące się nad nią łóżko z wagonu sypialnego, przez cały dzień podniesione do góry, to koja drugiego oficera. Koje pierwszego owu i drugiego mechanika przy przeciwległej ścianie są uprzywilejowane, bo nie trzeba ich składać na dzień. Pierwszy oficer i drugi mechanik w czasie wolnym od wachty mogą się na nich wyciągnąć.

Przyśrubowany do podłogi stół nie stoi w samym przejściu, lecz nieco z lewej. Przeznaczony jest dla czterech ludzi: dowódcy, głównego mechanika i obu oficerów wachtowych. Będziemy jednak jadać w sześciu. Asystent maszynowy jest piąty, a ja szósty.

W znajdującym się obok pomieszczeniu dla starszych podoficerów, oddzielnym od mesy oficerskiej tylko bakistami, gnieźdzą się: szef sterników Kriechbaum, obaj szefowie motorzystów Johann i Franz oraz bosman Behrmann. Pod deskami podłogi znajduje się bateria I, która wraz z baterią II pod pomieszczeniem podoficerskim stanowi nasze źródło energii do pływania pod wodą.

Przedziału dziobowego nie oddziela wodoszczelna gródź od mesy SP – starszych podoficerów. Mimo swego jaskiniowatego charakteru przedział dziobowy najbardziej ze wszystkich przypomina prawdziwe pomieszczenie. Mówiąc dokładnie, jest to połączony warsztat i ładownia torped, a jednocześnie – stanowisko bojowe. Tu gromadzi się większa część załogi. Z każdej strony znajduje się sześć koi, po dwie jedna nad drugą. Śpią w nich marynarze pokładowi – „lordowie”, ale również i „mikserzy torped”, radiotelegrafiści i motorzyści.

Ponieważ motorzyści odbywają sześciogodzinne wachty, mają po jednej koi na dwóch. Jeśli chodzi o innych, którzy pełnią wachty w systemie czterogodzinnym, trzech ludzi ma za każdym razem dwie koje do dyspozycji. Nikt nie dysponuje koją dla samego siebie. Jeśli jeden wstaje, gdy zaczyna się jego wachta, zlurowany kładzie się w jego bety. A mimo to koi

jest za mało: z pułapu zwisają jeszcze cztery hamaki.

Ludzie z drugiej zmiany rzadko mają tu spokój: podczas posiłków wszyscy muszą wstawać. Górne koje trzeba podnosić, a dolne zwalniać, żeby „lordowie” mogli na nich usiąść. Kiedy „reguluje się” torpedy w czterech wyrzutniach dziobowych, kubryk zamienia się w halę maszyn. Koje się wtedy opuszcza, a hamaki zdejmują.

Pod wysoko umieszczonymi deskami podłogi znajdują się jeszcze torpedy zapasowe do wyrzutni dziobowych. Dopóki się ich nie przeładuje, panuje straszliwa ciasnota. Dla ludzi w przedziale dziobowym każdy strzał torpedą oznacza większą swobodę ruchów. Dziobowy ma tylko jeden plus dla swoich mieszkańców, nie ma tu ruchu przechodniego.

Teraz przedział ten wygląda naprawdę jak splądrowany magazyn: skórzane kurtki, aparaty ratunkowe, swetry, worki kartofli, czajniki, wiadra, porozrzucone liny, chleby... nie można sobie wyobrazić, że to wszystko powinno zniknąć, żeby było miejsce dla dwudziestu jeden chłopaków i mata mechaników torpedowych, który jako jedyny mat nie mieszka w mesie P, tylko tutaj, dokładnie w miejscu swojej pracy.

Wydaje się, że najpierw wszystko, na co nie znaleziono miejsca, władowano do dziobowego.

Gdy tam wchodzę, właśnie bosman popędza dwóch marynarzy: – Dalej, dalej, skrzynie sałaty między wyrzutnie! Cholerne gówno! Sałata! Tu przecież nie sklep z zieleniną.

Bosman pokazuje mi ciasnotę na okręcie jak jakąś szczególną atrakcję. Zachowuje się właśnie tak, jakby była ona jego osiągnięciem. – Tutaj robi się zawsze jedno kosztem drugiego – mówi. – Weźmy, na przykład, klozety: są dwa, ale jeden musimy wykorzystywać jako magazyn prowiantu. To znaczy: więcej miejsca na jedzenie, a za to mniej na sranie! I to musi grać!

We wszystkich pomieszczeniach prowadzą pod sufitem grube wiązki przewodów i rur. Gdy otwiera się drzwiczki bakisty, odkrywa się za nimi znowu rury, kable i zawory – jak gdyby drewno bakisty było tylko ładną osłoną technicznego chaosu.

Podczas obiadu muszę z drugim oficerem kucać na składanych krzeselkach w przejściu. Dowódca i główny mechanik siedzą na „klubowej kanapie” – koi naszego inżyniera. Asystent maszynowy i pierwszy oficer zajmują miejsca przy węższych bokach stołu.

Kiedy ktoś chce przejść przez pomieszczenie, musimy obaj, drugi owu i ja, wstać albo przycisnąć brzuch do stołu i zgarbić plecy, żeby facet mógł się przepchać za nami. Okazuje się rychło, że wstawanie sprawia mniejszy kłopot.

Dowódca ma na sobie całkowicie zużyty sweter nieokreślonej barwy. Swoją szaroniebieską koszulę wymienił na inną, w czerwoną kratkę, jej kołnierz wystaje z puloweru. Kiedy stołowy przynosi jedzenie, dowódca siedzi ze skrzyżowanymi ramionami, wciśnięty w swój kąt, i obserwuje w skupieniu sufit, jakby go nic tak bardzo nie interesowało jak słoje drzewa.

Asystent maszynowy jest porucznikiem. Nowy na pokładzie. Ma zmienić pierwszego mechanika po tym rejsie. Blondyn z północnych Niemiec o szerokiej, nieco prostackiej twarzy. Podczas jedzenia niewiele widzę poza jego profilem. Nie patrzy ani w prawo, ani w lewo, i nawet nie mruknie.

Pierwszy mechanik siedzi naprzeciw mnie. W porównaniu z dowódcą wygląda na jeszcze szczuplejszego i chudszego, niż jest w rzeczywistości. Ma ostry, garbaty nos o wyraźnie zarysowanej chrząstce. Czarne włosy zaczesane gładko do tyłu. Cofnięta linia włosów wywołuje wrażenie czoła myśliciela. Bardzo ciemne oczy. Wystające kości policzkowe i kości skroni. Pełne, szerokie wargi, ale mocny podbródek. Ludzie nazywają go „Rasputinem”, przede wszystkim dlatego, że po każdym rejsie jeszcze przez dłuższy czas pielęgnuje z oddaniem i cierpliwością swą czarną, spiczastą brodę, nim zdecyduje się ją oskrobać i spłukać wraz z mydlaną pianą.

Pierwszy mechanik służy na tym okręcie od pierwszego rejsu. Jest on drugim pod względem ważności człowiekiem, absolutnym władcą we wszystkich sprawach technicznych. Jego państwo pozostaje całkowicie oddzielone od państwa oficerów pokładowych, jego stanowiskiem bojowym jest centrala.

– Główny mechanik jest pierwszorzędny – mówi Stary. – Steruje co do włoska, jeśli trzeba. Robi to z wyczuciem. Temu nowemu nigdy się to nie uda. Nie ma smykałki. Samymi wiadomościami nie da się wszystkiego załatwić. Trzeba wyczuwać reakcję okrętu i podejmować odpowiednie środki już wtedy, nim się ujawni określona tendencja. To sprawa doświadczenia i wyczucia! Nie każdy to może. I nie da się tego właściwie nauczyć... – Kiedy główny mechanik siedzi koło Starego, ze swoimi wąskimi, niezwykle ruchliwymi dłońmi, marzycielskimi oczyma, długimi, ciemnymi, szczesanymi do tyłu włosami, mógłbym w nim widzieć wszystko, co tylko możliwe: krupiera albo gracza w kości, skrzypka albo aktora filmowego z czasów niemego filmu. Sądząc z budowy ciała, mógłby być nawet tancerzem. Zamiast butów nosi tylko lekkie trampki, zamiast munduru – coś w rodzaju dresu. Przejście przez włazy w grodziach udaje mu się najlepiej. – Śmiga przez okręt jak naoliwiony – powiedział dziś o nim mat z centrali.

Od Starego wiem, że główny mechanik mimo nerwowości wyścigowego konia jest

człowiekiem nieustraszonym i do tego pracowitym. Podczas postoju okrętu w stoczni rzadko widywało się naszego mechanika w mesie flotylli. Od rana do wieczora był na pokładzie i troszczył się o każdą drobnostkę.

– Tu się nie wkręci nawet jednej śrubki w deskę, żeby główny mechanik tego nie skontrolował. Nie wierzy żadnemu stoczniovcowi.

Drugiego oficera z powodu jego niewysokiego wzrostu ludzie nazywają „karzełkiem ogrodowym” albo „baby-oficerem”. Znam go od dawna, podobnie jak Starego i głównego mechanika.

Drugi oficer wachtowy jest równie sumienny jak główny mechanik. Stale nosi na pokaz swą skupioną, a jednak lekko ironiczną minę. Gdy ktoś się do niego odzywa, łatwo reaguje uśmiechem.

– Ten stoi mocno na pokładzie – powiada Stary. Śpi spokojnie, gdy drugi ma wachtę na pomoście.

Pierwszy oficer ma za sobą dopiero jeden rejs. Podczas postoju w stoczni nigdy nie widywałem go w mesie. Wobec niego i drugiego mechanika dowódca czuje się skrępowany. Zachowuje się albo z podkreślaną rezerwą, albo z przesadną serdecznością.

W przeciwieństwie do drugiego owu, pierwszy jest bardzo wybujały, typ wyblakły i bezbarwny, z nieruchomą owczą twarzą. Brak mu pewności siebie i spokoju. Za to jest przesadnie gorliwy. Od razu spostrzegam: facet wykonuje swe obowiązki bez polotu i dowcipu. Muszle jego uszu są dziwnie mało wyraziste, płatki uszu przyrośnięte. Koniec nosa spłaszczony. Cała jego twarz sprawia w ogóle wrażenie niedokończonej. Ma szczególnie nieprzyjemny sposób rzucania ukradkowych spojrzeń spod oka, nie poruszając przy tym głową. Tylko kiedy Stary zdobędzie się na żarcik, uśmiecha się kwaśno.

– Kiedy zaczniemy wychodzić w morze tylko z gimnazystami i wyrośniętymi młodziami z Hitlerjugend, to będzie koniec – mruknął Stary w „Bar Royal” i zapewne miał na myśli również pierwszego oficera.

– Podawać kubki! – rozkazuje dowódca i nalewa wszystkim herbatę. Na gorący imbryk nie ma miejsca na stole. Muszę ścisnąć go udami i sięgać przez niego do mojego talerza.

Piekielnie gorący! Trudno wytrzymać.

Z widoczną przyjemnością dowódca siorbie Herbatę. Wciska się jeszcze głębiej w kąt i tak podciąga kolana, że może je oprzeć o blat stołu. Potem, lekko kiwając głową, patrzy to na jednego, to na drugiego z nas. Zupełnie jak ojciec, który jest zadowolony ze swego klanu.

W jego oczach widzę łobuzerskie błyski. Usta rozszerzają się w uśmiechu. Drugi

oficer musi znowu wstać. Ja również, razem z imbrykiem, ponieważ kuk chce przejść przez nasze pomieszczenie.

Kuk jest barczystym, niskim chłopem o szyi tak szerokiej, jak jego głowa. Uśmiecha się do mnie porozumiewawczo. Podejrzewam, że specjalnie przechodzi przez mesę, aby usłyszeć pochwały za jedzenie.

– O nim coś wam jeszcze opowiem – mówi Stary za kucharzem, nadal coś żując.

W głośniku coś trzaska. Włącza się głos: – Pierwsza wachta przygotować się!

Pierwszy wstaje i zaczyna się pedantycznie ubierać. Stary patrzy z zainteresowaniem, gdy pierwszy w końcu naciąga potężne morskie buty, z największą starannością zawiązuje sobie szalik na szyi i wreszcie, otulony w grubo watowaną kurtkę, regulaminowo się odmeldowuje.

Nieco później przychodzi starszy sternik, który do tej pory miał wachtę, z twarzą zaczerwienioną od wiatru, i składa meldunek: – Wiatr nordwest, z tendencją do skręcania w prawo, widoczność dobra, barometr tysiąc trzy.

Potem zmusza nas do wstania, bo chce się przebrać w mesie starszych podoficerów.

Starszy sternik znajduje się na tym okręcie od czasu jego wejścia do służby. Nigdy nie służył na innych okrętach, zawsze tylko na podwodnych. Już w dawnej marynarce cesarskiej na całkiem malutkich okręcikach o pojedynczych kadłubach.

Jako aktor starszy sternik na pewno by nie zrobił kariery: mięśnie twarzy ma wyraźne i bardzo mało ruchliwe. Wskutek tego jego twarz wygląda czasem jak maska. Tylko ciemne oczy, tkwiące głęboko i osłonięte krzaczastymi brwiami, są pełne życia. – Ten widzi tyłem głowy – słyszałem, jak powiedział o nim z respektem jeden marynarz z przedziału dziobowego.

Głosem tak ściszym, że starszy sternik nie może nic usłyszeć, Stary mówi do mnie: – Jest mistrzem w określaniu pozycji! Kiedy czasem trafimy na złą pogodę, całymi dniami, a nawet tygodniami, nie widzimy słońca ani gwiazd, pozycja naszego okrętu zawsze zgadza się zdumiewająco dokładnie. Sam się nieraz pytam, jak on to potrafi. Ma mnóstwo do roboty na pokładzie: dowódca trzeciej wachty i w dodatku ten cały kram nawigacyjny.

Zaraz po starszym sterniku chce przedostać się do przodu bosman. Behrmann jest kanciastym facetem, tryskającym zdrowiem. Za nim idzie, jakby zależało komuś na przedstawieniu kontrastu między marynarzami a załogą maszynowni, bladolicy szef motorzystów Johann. Dowódca nazywa go „umęczony Chrystus”. I mówi: – To znakomity fachowiec. Żyje ze swymi maszynami. Prawie nigdy nie wychodzi na pomost, typowy człowiek podziemia.

Po pięciu minutach trzech ludzie nowej wachty przeciskają się przez mesę w kierunku rufy.

Mnie to już nie przeszkadza, gdyż jak pierwszy oficer wstał, szybko usiadłem na jego miejscu.

– To był właśnie Ario – wyjaśnia główny mechanik. – A ostatni, ten mały, to nowy... No, jak on się nazywa... następca Backera. Przewisko już ma – „badacz Pisma Świętego”. Podobno czyta broszury religijne.

Niebawem przez pomieszczenie przechodzi zluzowana wachta. Główny mechanik cofnął się i mówi śpiewnym głosem: – Bachman, zwany „Jednotancerzem”. Palacz diesla. Co to za bzdury: do palenia nic już nie ma, ale tradycja trzyma się we flocie lepiej niż stare okręty. Hagen – palacz silników elektrycznych... tu jeszcze mniej do palenia. Turbo, drugi centralowiec. Pierwszorzędny chłopak.

Potem z przeciwnego kierunku pojawia się wysoki blondyn. – Hacker, mat mechaników torpedowych, starszy przedziału dziobowego.

– To zupełny wariat – mówi Stary. – Raz wyciągnął całkowicie schrzanioną torpedę z ładowni przy górnym pokładzie, przy dość dużej fali. Oczywiście, wewnątrz okrętu. To była nasza ostatnia torpeda i właśnie tę wsadziliśmy jeszcze jednemu dziesięcioletniemu. To był jego statek, jeśli się dobrze zastanowić. Niedługo dostanie „sadszone jajko”, zasłużył na nie.

Następny przechodzący przez mesę jest mały. Ma czarne, dokładnie szesane do tyłu włosy i życzliwie uśmiecha się do głównego mechanika swymi skośnymi oczami. Przedramiona ma tatuowane: na rysunku rozróżniam marynarza z dziewczyną pod rękę na tle czerwonego słońca.

– To był Dunlop, torpedysta. Robi dużo ruchu na pokładzie. Ten wielki akordeon w przedziale hydrolokacji należy do niego.

Ostatni przechodzi starszy motorzysta Franz. Główny mechanik rzuca za nim mroczne spojrzenie. – Ten zbyt łatwo się łamie. Johann, ten drugi motorzysta, jest lepszy.

Skończyliśmy jedzenie i wyruszam w drogę z mesy oficerskiej do pomieszczenia podoficerskiego.

Bosman musi być asem w załadunkach. Rozmieścił prowiant tak, że nie będzie się przesuwiał, i tak równomiernie, że trym nie ucierpiał. A do tego – jak mnie z dumą zapewnia – w ten sposób, że na wierzchu są zapasy najszybciej zużywane, a dopiero dalej nie psujące się artykuły. Nikt poza bosmanem nie wie, gdzie zniknęły olbrzymie ilości jedzenia. Tylko sucha

kiełbasa, połcie boczku i chleb są dla wszystkich widoczne: rzędy kiełbas zwisają z sufitu centrali jak w wędzarni. Świeży chleb pozostał w hamaku nad przedziałem podsłuchu i radia. Ilekroć ktoś chce przejść tamtędy, musi się garbić pod bochenkami chleba.

Przechodzę przez właz w drugiej grodzi. Moja koja jest teraz wolna. Wyposażenie we wzorowym porządku leży na kocu. Torba z różnymi gratami w nogach. Mogę zasunąć zieloną zasłonę koi i odciąć się od świata. Z jednej strony słoje drewna, wyżej biały lakier, z drugiej – zielona zasłona. Życie okrętu daje znać o sobie tylko w rozmowach i szmerach.

Po południu wyłażę na pomost. Drugi właśnie rozpoczął wachtę. Morze jest butelkowozielone. Tuż przy okręcie wygląda na niemal czarne. Powietrze jest wilgotne, niebo całkowicie zmętniało.

Gdy już dość długo stoję obok drugiego, ten zaczyna mówić, nie odejmując szkieł od oczu: – Mniej więcej tutaj wystrzelili do nas cztery torpedy na przedostatnim rejsie. Widzieliśmy, jak jedna torpeda przeszła za rufą, a druga przed dziobem. Silne wrażenie!

Na dość gładkiej powierzchni morza drżą krótkie fale. Choć spokojnie i prawdziwie wygląda woda – w każdym cieniu tych krótkich fal może ukrywać się oko peryskopu przeciwnika.

– Musimy tutaj piekielnie uważać! – mówi znowu drugi, pod swoimi skórzanymi rękawiczkami.

Dowódca wychodzi na górę. Mamrocze jakieś przekleństwa na temat pogody, a potem: – Uważajcie tylko, chłopaki, uważajcie! To przeklęty zakątek!

Nagle ochrzania prawego obserwatora rufowego: – Człowieku, wyglądasz, jakby cię przepuścili przez wyżymaczkę! Nie rozdziawiaj tak gęby! – A po chwili: – Kto to tak źle znosi, nie powinien się w to bawić. Wszyscy musicie znowu dojsć do siebie!

Na godzinę szesnastą trzydzieści dowódca zarządza zanurzenie próbne. Po długim okresie pobytu w stoczni okręt ma po raz pierwszy zejść pod wodę i być dokładnie wyważony, żeby podczas alarmu nie było dopiero dużego napełniania i przepompowywania. Najpierw należy sprawdzić, czy wszystkie zawory i kłapy są w porządku.

Rozkazem: „Pomost przygotować do zanurzenia” rozpoczyna się manewr. Amunicja pelot znika w kiosku. Stoją jeszcze trzej wachtowi i oficer na pomoście.

Rozkazy, meldunki, dzwonki. W przedziale rufowym zatrzymuje się i wyłącza diesle. Silniki elektryczne zostają przełączone na wały i ruszają z dużą prędkością. Jednocześnie z zastopowaniem diesli zamyka się wielkie, prowadzące na zewnątrz kanały, służące do wyrzucania spalin i dopływu powietrza. Siłownia diesli melduje centrali o swej gotowości do

zanurzenia. Również przedział dziobowy daje taki sygnał. Posterunki z pomostu już zeszyły w dół. Patrząc w górę przez szyb kiosku, widzę, jak oficer wachtowy szybko obraca pokrętle, żeby uszczelnić właz kiosku.

– Otworzyć odwietrzniki – rozkazuje główny mechanik. Ludzie przy dźwigniach odwietrzników balastów meldują szybko jeden za drugim: – Jeden. – Trzy obustronnie. – Pięć! – Pięć otwarty!

Brzmi to jak formułki zakłęb.

– Odwietrzniki otwarte – podaje główny mechanik w górę.

– Napełniać! – dobiega z góry.

– Napełniać! – powtarza główny mechanik swoim ludziom.

Podoficerowie z centrali otwierają klapy szybkiego odwietrzania. Powietrze, które utrzymywało okręt na powierzchni, ucieka grzmiącym strumieniem z balastów. Sternicy kładą przedni ster głębokości mocno w dół, a rufowy na minus dziesięć. Okręt przechyla się i ma wyraźny trym na dziób, wskazówka manometru głębokości przesuwa się powoli po cyfrach tarczy. Jeszcze grzmiące uderzenie fal o kiosk i nagle hałas morza urywa się całkowicie. Kiosk znajduje się już pod powierzchnią wody.

Przerażająca cisza – ani uderzeń fali, ani drżenia diesli. Radio milknie. Fale radiowe nie przenikają w głębinę. Również szum wentylatorów ustał.

Uważam, żeby nic nie uszło mojej uwagi. Może się kiedyś zdarzyć taka sytuacja, że to wszystko spadnie na mnie, muszę więc wiedzieć, co trzeba robić.

Główny mechanik rozkazuje: – Dziób plus dziesięć, rufa plus piętnaście! – Przegłębienie na dziób zostaje zlikwidowane. Prąd idący od śrub naciska na położony wyżej ster głębokości i stopniowo nadaje okrętowi trym na rufę. Ostatnie pęcherze powietrza, które ulokowały się w kątach balastów i mogły dawać niepożądany wypór w górę, znikają przy tym ze zbiorników.

Główny mechanik melduje dowódcy: – Okręt wyważony!

Dowódca rozkazuje: – Zamknąć klapy odwietrzników!

Klapy odwietrzników, które znajdują się w górnej części balastów, zamykane są z centrali pokrętłami i dźwigniami.

– Zejść na trzydzieści metrów! – rozkazuje dowódca. Opiera się nieruchomo o stół nakresowy, wysuwając łokcie do tyłu.

Główny mechanik stoi za obu sternikami głębokości, mając przed oczyma wskaźnik steru głębokości, głębokościomierz, trymomierz, szkła stanu wody, skale i strzałki manometrów.

Wskazówka głębokościomierza kręci się. Piętnaście metrów, dwadzieścia metrów, dwadzieścia pięć metrów.

Słychać tylko, jak z wielkiej dali, cichy szum silników elektrycznych. Gdzieś kapie woda do zęzy, wydając wysokie, przenikliwe tony. Mechanik ma czujny wyraz twarzy, podnosi się ze skrzyni i świecąc kieszonkową latarką, szuka czegoś między przewodami rur z prawej strony. Nagle kapanie ustaje samo z siebie. – Również się wyregulowało – mruczy główny mechanik.

Jakieś drżenie, jak zimny dreszcz, przebiega przez okręt.

Stary wygląda tak, jakby go to zupełnie nie interesowało. Wydaje się, że patrzy w pustkę, a jednak rzuca od czasu do czasu krótkie spojrzenie spod oka.

Wskazówka głębokościomierza zbliża się do trzydziestki, porusza się coraz wolniej. Wreszcie staje. Okręt nie opada już, unosi się w wodzie jak sterowiec. Wyczuwa się jednak wyraźnie, że jeszcze ma przegłębienie na rufę. Co prawda nie wykazuje żadnych tendencji do wznoszenia się albo do opadania, ale nie płynie jeszcze na równej ścieżce.

Główny mechanik zaczyna trzymowanie: – Sto litrów do przodu! – Turbo z centrali przekręca natychmiast jakiś zawór za studzienką peryskopu.

Mechanik każe ponownie położyć ster głębokości. Teraz okręt podnosi się bez szasowania. Powoli wskazówka głębokościomierza zaczyna cofać się po tarczy. Tylko przez uruchomienie steru i za pomocą ciągu śrub osiągnięta została nakazana głębokość – dynamicznie.

Główny mechanik coraz wydaje rozkaz sternikom. Wreszcie słychać również dowódcę: – Wyjść na peryskopową! – Odrywa się jednym ruchem od stołu nakresowego i ciężko wspina się do kiosku.

– Dziób plus dwadzieścia, rufa plus pięć! – rozkazuje mechanik.

Słup wody w papenbergu zaczyna powoli opadać. Mechanik skłania się w bok i melduje, wsadzając głowę do kiosku: – Peryskop wychodzi!

Każde podniesienie czy opadanie słupka wody w papenbergu oznacza wznoszenie się lub opadanie okrętu. Sternicy przez właściwe ustawianie steru głębokości muszą przeciwdziałać tym tendencjom do wznoszenia się lub opadania, jeszcze zanim się ujawnią, gdyż wtedy jest już za późno: albo peryskop wyjdzie za wysoko i przy ataku zdradzi okręt przeciwnikowi, albo też zanurzy się w wodzie i dowódca w decydującej chwili nic nie widzi.

Główny mechanik przez cały czas nie spuszczał oczu z papenberga. Również obaj sternicy głębokości wpatrują się w słupek wody. Teraz ledwie się porusza. Całkowita cisza na okręcie. Tylko od czasu do czasu cichy szum, kiedy włącza się silnik, za pomocą którego

dowódca wysuwa wyżej peryskop albo go opuszcza.

– Wachta na pomoście przygotować się! Ubrania sztormowe! – słychać teraz głos dowódcy z góry.

Wachty pomostowe wiążą mocno zbudwestki pod brodą i wciągają nieprzemakalne kurtki. Potem ustawiają się pod lukiem kiosku.

– Przygotowanie do wynurzenia! – rozkazuje dowódca.

Z tyłu motorzyści pompują teraz paliwo, żeby diesle natychmiast mogli zaskoczyć.

– Wynurzenie! – słychać rozkaz z góry.

Mechanik każe położyć ster przedni całkowicie w górę, a rufowy na plus pięć. Potem woła: – Szasować!

Sprężone powietrze z ostrym sykiem płynie do balastów.

– Wyrównać ciśnienie! – rozkazuje dowódca.

Nagle czuję ucisk na uszy; nadciśnienie zniknęło. Powstało ono krótko po szasowaniu, gdy jeden z balastów odpowietrzono do wnętrza okrętu. Teraz ustąpiło po otwarciu zaworów diesli i przewodów powietrza, prowadzących na zewnątrz. I już prąd świeżego powietrza z góry bije do wnętrza okrętu: właz kiosku jest otwarty. Wentylatory zostają włączone i potężnymi łykami wciągają świeże powietrze.

Serie rozkazów do maszyn:

– Przygotować lewy diesel!

– Lewy silnik elektryczny stop. Przełączyć!

– Lewy silnik wolno naprzód!

Zbiorniki szybkiego zanurzenia zostają znowu zapełnione. Potem dowódca rozkazuje: – Szasować dieslem!

Spaliny diesla wypychają teraz wodę z balastów. To pozwala oszczędzić sprężone powietrze. I jeszcze jedną korzyść daje ta metoda: tłuste spaliny zapobiegają korozji.

Szasuje się kolejne balasty. Główny mechanik przyjął meldunek, który natychmiast przekazuje w górę: – Jeden i pięć będą szasowane!

Dowódca na pomoście widzi po pęcherzach powietrza, które kłębią się po obu burtach okrętu, czy zbiorniki zostały właściwie wyszasowane. Po pewnej chwili woła w dół: – Wszystkie szasowały. Odejść od stanowisk zanurzenia!

Okręt zamienił się znowu w nawodny.

Dowódca rozkazuje: – Przygotować prawy diesel! Prawy elektryczny stop! Przełączyć! Prawy diesel wolno naprzód!

Główny mechanik wstaje, porusza ramionami, przeciąga się i patrzy na mnie

ironicznie: – No?

Kiwam tylko pokornie głową i niby trafiony bokser padam na worek ziemniaków, który stoi oparty o skrzynię z mapami. Główny mechanik bierze całą garść śliwek z dostępnej dla wszystkich skrzynki przy stole nakresowym i częstuje mnie: – Na wzmocnienie ducha! Tak, nie jesteśmy jednak zwykłym parowcem.

Gdy Stary zniknął, mechanik mówi stłumionym głosem: – Wesole jeszcze tu dzisiaj będzie. „Przegonić zmęczenie ze złajdaczonych kości”! Tak to Stary nazywa. Jemu nic nie umknie. Obserwuje każdego. Wystarczy, że ktoś nerwowo zabębni palcami, i zaraz mamy próbny alarm jeden za drugim.

Na stole nakresowym pod grubą celuloidową płytą leży mapa. Jeszcze jest to arkusz z kawałkiem wybrzeża. Teren za brzegiem jest pusty, jakby nie był zasiedlony: ani ulic, ani miejscowości – to mapa morska. Łąd poza brzegiem nie ma znaczenia dla marynarza. Najwyżej parę punktów namiarowych i latarnie morskie z ich sygnałami. Za to zaznaczone są wszystkie głębiny i mielizny przy ujściach rzek. Ołówkowa kreska prowadzi zygzakiem od St.-Nazaire. Przy niej krzyżyk: nasz ostatni namiar brzegowy.

Nasz generalny kurs wynosi trzysta stopni. Ciągłe jednak słyszę komendy na ster. Z powodu groźby okrętów podwodnych nie możemy iść prosto.

W centrali marynarz z załogi siłowni rozmawia z Turbo, który zachował swoją rudawą brodę przez czas pobytu w porcie i teraz wygląda jak imitacja Liczyrzepy: – Ciekawe, dokąd pójdziemy.

– Islandia chyba!

– Nie, typuję południe! Długi patrol na południe. Wzięliśmy mianowicie sporo rzeczy.

– To nic nie znaczy. Całkowicie obojętne, nie? Wyjść na ląd i postawić patyka nie możesz ani tu, ani tam.

Turbo jest już dawno na pokładzie. Ze zblazowaniem wynikającym z doświadczenia opuszcza ukryty do połowy pod szczecina brody kącik ust, klepie kolegę opiekuńczo po ramieniu i wyjaśnia mu: – Cap Hatteras w świetle księżyca... Wyspa we mgle... Można użyć życia w marynarce!

Jeszcze przed kolacją dowódca rozkazuje dokonać próby głębokiego zanurzenia. Chce wiedzieć, czy zawory zaburtowe będą szczelne również na dużej głębokości.

Okręty VII C wypróbowano do głębokości dziewięćdziesięciu metrów. Ponieważ jednak skuteczność bomb głębinowych jest tym mniejsza, im głębiej detonują – większe ciśnienie hamuje podmuch – tak więc okręty, które chcą ująć przed bombami głębinowymi,

muszą często zanurzać się o wiele głębiej. Do jakiej głębokości sztywny kadłub rzeczywiście wytrzyma i jakie więc jest maksymalne zanurzenie – któż to wie? Ci, co zeszli zbyt głęboko, nie mogli już złożyć meldunku, a ci, którzy naprawdę byli bardzo głęboko, nie mogą być pewni, czy rzeczywiście osiągnęli granicę. Na jakiej dokładnie głębokości okręt pęka – tego rodzaju doświadczenie załoga może mieć tylko jeden raz.

Seria komend do zanurzenia z dzisiejszego ranka powtarza się. Ale nie zatrzymujemy się już na głębokości trzydziestu metrów, tylko schodzimy coraz niżej. W okręcie robi się cicho jak makiem zasiał.

Nagle ostry gwizd, przeraźliwy hałas, torturujący bębenki uszu. Czuję na sobie przerażone spojrzenia. Ale Stary nie robi nic, żeby zatrzymać nasz stromy zjazd w dół.

Wskazówka głębokościomierza stoi na stu pięćdziesięciu. Znowu gwizd zmieszany z tępym zgrzytem.

– To nie jest idylliczne miejsce – mruczy główny mechanik. Wciągnął policzki i rzuca pytające spojrzenia na dowódcę.

– Okręt musi to poznać – mówi Stary lakonicznie. Nagle pojmuję, że szorujemy po skałach dna.

– Kwestia odporności nerwowej – syczy główny mechanik.

Przeraźliwy hałas nie zmniejsza się.

– Sztywny kadłub wytrzyma... ale śruby i ster... – mamrocze mechanik stłumionym głosem. Stary udaje, że nic nie słyszy.

Bogu dzięki – gwizd i zgrzyt ustają. Mechanik jest szary na twarzy.

– Brzmiało to tak jak tramwaj na zakręcie – mówi drugi oficer.

Stary zachowuje się jak pobłaźliwy proboszcz, gdy zwraca się do mnie z wyjaśnieniem: – Woda pięciokrotnie potęguje wszystkie dźwięki. Dużo hałasu, ale nie takie to groźne.

Mechanik wciąga powietrze jak ktoś, kogo uratowano od utonięcia. Stary obdarza go pełnym zainteresowania spojrzeniem psychiatry, a potem oświadcza:

– Na dziś starczy. Podnieść okręt!

Znowu litania rozkazów do manewru wynurzenia. Wskazówka głębokościomierza cofa się po skali.

Mam w głowie film o wynurzaniu się okrętu. Kamerę odporną na ciśnienie umieszczono na zewnątrz na spychaczu sieci i skierowano na kiosk. Najpierw był płowy, rozproszony półcień z ciemną masą w środku, która szybko przekształciła się w beczkę pionowo unoszącą się w wodzie, beczkę ze sterczącym na niej palem. Gdy kontury stały się

ostre, beczka zmieniała się w kiosk okrętu podwodnego z wysuniętym peryskopem. Jasna przestrzeń nad nią zrobiła się raptem plamiasta, przy czym plamy poruszały się gwałtownie, a potem trysnął spieniony prąd pęcherzy powietrza, plamy rozpląły się, nagle oślepiająca jasność i za ociekającym wodą kioskiem rozchwiane niebo. Spychacz sieci wystawał jak grube ramię z obudowy kiosku i opadały z niego płaty wody o dziwacznych kształtach.

Dowódca i wachta wychodzą. Towarzyszę im i ustawiam się za blaszaną osłoną w „ogródku zimowym”. Dokoła poczwórnego kaemu pelot jest dużo miejsca. Między poprzecznymi szczeblami relingu „zimowego ogródka” mogę patrzeć w dół. Mimo że idziemy z prędkością marszową, woda kotłuje się i pryska gwałtownie. Tysiące białych pęcherzy wiruje w niej, smugi piany splatają się i znowu szybko rozwijają. Czuję się całkowicie samotny. Sam jeden na żelaznej tratwie. Wiatr przyciska się do mnie, żelazo drży. Coraz to nowe wzory przepływają obok. Muszę spojrzeć w inną stronę, żeby nie zasnąć.

Nagle słyszę za plecami głęboki, niepewny głos Starego: – Pięknie tu, co?

Potem następuje jego zwykły niedźwiedzi taniec. – Rozprostowanie nóg – tak to nazywa.

Zerkam na nisko wiszące słońce, które przedarło się przez lukę w chmurach.

– Wycieczka dla przyjemności w środku wojny! Więcej nie można wymagać!

Teraz Stary spogląda na pokład dziobowy i mówi: – Okręt o największej dzielności morskiej, ze wszystkich, jakie istnieją... okręt o największym promieniu działania!

Potem patrzymy obaj na nasz ślad torowy.

– Tak... Ślad naszego okrętu! – mówi Stary. – Piękny przykład przemijania: jeszcze w zasięgu wzroku się kończy.

Nie ważę się spojrzeć na Starego. Dyrzymałki – powiedziałyby, gdyby usłyszał tak głębokie wypowiedzi u kogoś innego. Ale Stary snuje swój wątek jeszcze dalej: – Tak, dobra matka ziemia jest jednak bardziej tolerancyjną damą. Coś nam przynajmniej daje.

Dotykam językiem swych górnych siekaczy i wydaję dźwięk: ssst!

Ale Starego nie udaje się powstrzymać: – To przecież jasne: dostarcza nam złudzenia, że my, ludzie, uwieczniliśmy się na niej, pozostawiliśmy ślady, wycisnęliśmy swe piętno. Przy tym zostawia sobie do zlikwidowania tego wszystkiego więcej czasu niż woda. Parę tysięcy lat, jeśli już.

Kurczę się z zakłopotania.

– A w tych okolicznościach znowu panują we flocie te słynne jasne stosunki! – mówię i jest to wszystko, co mi przychodzi do głowy.

– No właśnie – powiada Stary i śmieje mi się w twarz.

Pierwsza noc na pokładzie: próbuję się wprowadzić w stan wewnętrznego otepienia, wymazać wszystkie myśli. Fale snu osiągają mnie również, wloką z sobą przez chwilę, ale zanim zdołam się im całkowicie poddać, znowu mnie opuszczają. Czy ja śpię, czy czuwam? W pomieszczeniu jest bardzo ciepło. Smród ropy! Cały okręt dygocze, maszyny przenoszą swój rytm na najmniejszy nit.

Zdenerwowanie ostatnich godzin robi swoje i ciągle na nowo odpędza sen.

Diesle pracują przez całą noc. Zrywam się ze strachem przy każdej zmianie wachty. Ilekroć otwiera się albo z hukiem zatrzaskuje właz, odchodzę od granicy snu.

Przebudzenie jest zupełnie inne niż na zwykłym okręcie: zamiast bulajów, przez które widać spienione morze, tutaj jest tylko brzydkie światło lamp we wszystkich pomieszczeniach.

Ciężka głowa, ołów w mózgu od oparów maszyn. Od pół godziny zbyt głośna muzyka radiowa piłuje moje nerwy.

Pod sobą widzę dwa zgarbione grzbiety, ale ani kawałka miejsca dla mojej szukającej oparcia stopy. Jeśli chcę teraz zejść z koi, muszę postawić nogę między opróżnionymi do połowy talerzami i rozmoczonymi w lurowatej kawie kawałkami białego chleba. Cały stół jest kleisty i zapaskudzony. Widok bladożółtej jajecznicy napełnia mnie obrzydzeniem.

Z maszynowni dolatuje smród smarów.

– Człowieku, do ciężkiej cholery, zamknij porządnie właz!

Radiotelegrafista Hinrich kieruje oskarżycielskie spojrzenie ku sufitowi. Gdy mnie odkrywa, wpatruje się we mnie jeszcze na pół zaklejonymi oczami, jakbym był jakąś zjawą.

– Daj no jeszcze tej lury ze szprycy na trypra! – domaga się mat z obsługi silników elektrycznych, Pilgrim.

Trzeba było wcześniej wstać z koi! Nie mogę teraz deptać im po śniadaniu. A więc opadam znowu na materac i słyszę: – Podnieś no tę swoją tłustą dupę!

– Zupełnie jak gówno noworodka ta zasrana jajecznicą! Już mnie mdli od samego smrodu tego proszku!

– Chciałbyś może trzymać kury w centrali?

Wizja kur, powiedzmy białych leghornów, które siedzą na zbiornikach wody w centrali, rozwesela mnie. Natychmiast mam przed oczami rozmazane na pokładzie ich zielonobiałe odchody między postrzępionymi kurzymi piórami i ich durne gdakanie w uszach. Jako dziecko brzydziłem się dotknąć kury. Do tej pory nie cierpię kur. Chromozomowy odór sparzonych kurzyczych piór... bladożółta kurza skóra... tłuste kupry...

– A w zęzie moglibyśmy trzymać kaczki... takiego małego gatunku. Moglibyśmy je karmić charchocinami.

– Ty stara, nieskrobana świnió!

– Ale, ale... Dlaczego: świnió? Nie rozumiesz, jakby się cieszyły: co rano taki tłusty kąsek to byłoby dobre zastosowanie, nie? Coś świeżego dla kochanych stworzonek.

Muszę przełknąć, bo zbiera mi się na wymioty.

– Żryjcie dalej, wy stare świnię.

Przez chwilę słyszę ciamkanie i mlaskanie. Potem jednak głucho i przeciągle beknięcie, które kończy się tak wysokim tonem, jakby miało zaraz polecieć coś konkretnego.

– Dostyc tego!

– Szlag może trafić, ty zasrany capie!

Głośniki ryczą teraz na cały okręt:

Ja jestem Lili, Lili z Najanki.

To jest miasteczko w Kamerunie koło rzeki Tanki...

Głośnik można tylko trochę ściszyć, całkiem wyłączyć go nie wolno, ponieważ służy także do przekazywania rozkazów. A więc muszę się poddać gustom radiowca, który w swoim przedziale obsługuje gramofon. Widać Lili przypadła mu do gustu. Płyta leci już po raz drugi dzisiejszego ranka.

Obrzydzenie budzi we mnie fakt, że jest dopiero gdzieś między czwartą a piątą. Jednak, aby zaoszczędzić sobie przeliczania przy meldunkach radiowych, stosujemy niemiecki czas letni. Poza tym jesteśmy tak oddaleni na zachód od południka zerowego, że między czasem słonecznym naszego miejsca pobytu i czasem naszych zegarów powstała różnica powyżej godziny. Właściwie jest całkiem obojętne, kiedy ustalimy początek dnia: zarówno w dzień, jak i w nocy w okręcie błyszczy elektryczne światło, a zmiana wacht odbywa się w odstępach niezależnych od pory dnia.

Najwyższy czas, żebym się wyplątał z koców! Mówię: – Przepraszam! – i stawiam stopę między dwoma ludźmi, którzy przycupnęli na koi pode mną.

– Wszystko dobre przychodzi z góry! – oznajmia Pilgrim.

Szukając butów, które wcisnąłem dla wszelkiej pewności za dwie rury, prowadzę poranną rozmowę z matem z centrali, siedzącym tuż obok mnie na składanym stołeczku.

– No, jak leci?

– Comme ci, comme ca, panie poruczniku!

– Barometr?

– Idzie w górę!

Teraz z rozważą wydrapuję strzępki wełnianego koca ze szczeciny brody. Grzebień, którym przeciągam po włosach, natychmiast robi się całkiem czarny. Moja czupryna zatrzymuje stałe cząstki oparów paliwa jak jakiś filtr. Z szafki wygrzebuję szmatkę i mydło. Poranne mycie chętnie wykonałbym w klozecie, ale rzucając szybkie spojrzenie przez gródź przednią, widzę, że nie jest to możliwe: pali się czerwony sygnał. Przetrzyjmy więc sobie nieco oczy, a szczotkę do zębów i mydło schowajmy do kieszeni na późniejsze okazje.

Sygnał świetlny zmajstrował główny mechanik. Zapala się, gdy tylko ktoś od wewnątrz przesunie rygielek na „zajęty”. Jest to jeden z pięknych małych wynalazków, które ułatwiają codzienne życie, gdyż nikt już nie musi w niepewności i zwątpieniu przebijać się przez wąskie przejście z jednego końca okrętu na drugi, by wreszcie stanąć przed zamkniętymi drzwiami.

Gdy opuszczam mesę podoficerską, słyszę, jak Pilgrim oznajmia: – Od porannego srania nie ma odwołania, choćby przyszło dopiero wieczorem – i natychmiast zaczyna mi burczeć w brzuchu. Zastosuję metodę Coué: „Nic mi nie burczy w brzuchu! W moim brzuchu panuje spokój. W moim brzuchu jest cicho i przyjemnie!”

Główny mechanik wychodzi po porannej wizycie w maszynowni z zaoliwionymi i tylko z konieczności kawałkiem szmaty otartymi rękami. Pierwszego oficera nie widać, drugiego mechanika także nie. Dowódca będzie się pewnie mył. Drugi owu ma jeszcze wachtę.

Kuka obudzono o szóstej. Do bladej jajecznicy, która pojawia się na stole już zimna, jest chleb, masło i czarna kawa, zwana „potem Murzyna”. Przeciwno potowi Murzyna mój żołądek broni się zdecydowanie: bulgotanie i mruczenie w kiszkaach nasila się. Zerkam, czy ustęp jest już wreszcie wolny.

– Nie smakuje? – pyta główny mechanik.

– Ach, nie wiem... Ten rosół nie jest zbyt zachęcający!

– Musi pan sobie wymyć zęby, może wtedy pójdzie lepiej – mówi mechanik z pełnymi ustami. Dowódca wychodzi ze swojej łazienki z plamami pasty do zębów na policzku i pociemniałą od wilgoci brodą, mówi: – Dzień dobry, panowie, nie umyć morscy bohaterowie – wciska się w swój kącik i patrzy w próżnię.

Nikt nie waży się cokolwiek powiedzieć.

Wreszcie Stary pyta o hasło dnia.

– Procul negotiis – proponuje mechanik i natychmiast tłumaczy, żeby nikogo nie

wprawić w zakłopotanie: – Daleko od interesów!

Dowódca kiwa głową: – Uczenie, uczenie... znakomicie!

Z głośnika brzęczy refren:

*Dobrze mi jest, wesoło mi,
tak czy inaczej, mówią ci.*

W okręcie panuje teraz duży ruch poranny. Co parę minut ktoś musi się przeciskać z dziobu na rufę albo z rufy na dziób przez mesę O. Ponieważ na swym składanym krzeselku siedzę w środku przejścia, muszę za każdym razem wstawać. W kiszkach burczy mi teraz potężnie.

Do wszystkich diabłów, myślę sobie, kiedyż wreszcie wyjdzie ten idiota, który tam siedzi?

Prawdopodobnie to wszystko nie byłoby problemem, gdyby użycie ustępu rozkładało się równomiernie. Gdyby nie było rush hour – jak ten ranek. Również o północy jest duże zapotrzebowanie, ponieważ wachta na pomoście i wachta maszynowa mają zmianę jednocześnie. Ośmiu ludzi naraz chce wtedy dostać się do ustępu. Ubiegłej nocy widać było, że ostatni z czekających skręcał się, jakby ich ktoś kopnął w brzuch.

Wreszcie otwierają się drzwi do ustępu. Pierwszy oficer! Błyskawicznie chwytam moje rzeczy i prawie wrywam pierwszemu klamkę z ręki. W ustępie nad małą umywalką jest jeszcze kran na słodką wodę. Słodka woda, której tak czy inaczej starcza tylko do umycia zębów i otarcia się szmatką, nie płynie. Mogę skorzystać z kranu do słonej wody i za pomocą odpowiedniego mydła również uzyskać trochę piany. Nie wezmę do ust tego słonego rosołu. Gdy wracam do mesy, wszyscy siedzą jeszcze dokoła stołu milcząc za przykładem dowódcy.

Z głośnika pyta cikliwy głos:

Czy nadal kochasz mnie?

Wczoraj mówiłeś: nie...

Główny mechanik wzdycha i wywraca oczy jak komediant ze sznurowatej sztuki.

Pociągam duży łyk kawy i popłukuję nią usta, aż robi się pienista, przeciskam brązowy sok przez wąziutkie odstępki między zębami, przetaczam ją od lewego policzka do prawego, zmywając wszystkie pozostałości oleju i śliny, i potem połykam tę pianę razem z całym szlamem. Uch! Już daje się lepiej oddychać przez usta. A teraz mocny haust powietrza przez

nos i połknąć razem ze wszystkim. Teraz trakt nosowo-gardłany jest wolny. Także kawa smakuje lepiej. Mechanik z pewnością miał rację.

Po śniadaniu dowódca z nieukrywaną niechęcią bierze się do zapisów w dzienniku wojennym. Szkolenie podchorążych każe rozpocząć za godzinę. Główny mechanik znika znowu gdzieś na rufie, a pierwszy oficer zajmuje się jakimiś papierkami. Stołowy zbiera naczynia: normalna rutyna okrętowa.

Kiedy w drodze do przedziału rufowego przechodzę znowu przez centralę, okrągły wycinek włazu kiosku jest nadal wypełniony czarną nocą. Z góry płynie chłodne i wilgotne powietrze. Dalej, na pomost! – mówię do siebie i stawiam lewą stopę na aluminiowej schodni, jakkolwiek nie mam najmniejszej chęci do wyjścia. Tak... A teraz prawa noga do góry!

Jestem już na wysokości sternika, który siedzi w kiosku, zgarbiony nad swymi lekko błyszczącymi szybami.

– Jeden na pomost?

– Tak jest! – Głos drugiego oficera.

Wysuwam głowę nad zrębnicę i życzę wszystkim dobrego dnia. Trwa pewną chwilę, nim moje oczy przyzwyczajają się do ciemności i mogą rozróżnić horyzont. Wysoko na niebie błyszczą jeszcze kilka bladych gwiazd. Na wschodzie przebija się stopniowo czerwona tkanina światła. Horyzont staje się, takie odnoszę wrażenie, coraz jaśniejszy. Stopniowo rozjaśnia się również woda.

Wstrząsa mną dreszcz.

Starszy sternik wychodzi na górę. Bez słowa rozgląda się, siąka nosem i rozkazuje podać sekstant.

– Stoper gotowy? – woła w dół zachrypłym głosem.

– Tak jest! – słychać jak z dużej odległości.

Starszy sternik wycelowuje instrument na Saturna i prawe oko wciska w okular. Przez chwilę trwa tak z pochyloną głową i ściągniętą twarzą, potem opuszcza sekstant i jednocześnie kręci śrubą noniusza: ściąga Saturna z nieba i sadza go dokładnie na horyzoncie.

– Uwaga... Saturn... Zero! – woła w dół.

W centrali mierzy się czas stoperem. Starszy sternik ma kłopoty z odczytaniem w mroku cyfr skali: – Dwadzieścia dwa stopnie, trzydzieści pięć minut – melduje w dół.

Według czasu i wysokości gwiazdy można teraz wyliczyć linię obserwacji. Z każdego punktu tej prostej widzi się o tym samym czasie obserwowaną gwiazdę pod tym samym kątem. Jednak jedna linia nie określa jeszcze położenia okrętu – potrzebna nam jest druga.

Starszy sternik znowu wycelowuje sekstant.

– Uwaga... Jowisz... Zero!

Przerwa, a potem: – Czterdzieści dwa stopnie, dwadzieścia siedem minut! – Starszy sternik ostrożnie podaje sekstant w dół, a potem sam schodzi. Złazę za nim. Na dole ściąga kurtkę i przyciska się do stołu nakresowego. Starszy sternik nie ma obszernej kabiny, jak oficerowie nawigacyjni dużych statków. Malutki stoliczek w centrali, po lewej burcie w chaosie przełączników, rur głosowych i zaworów musi mu wystarczyć. Nad stolikiem jest szafa na sekstant i lunetę, obok półka z tabelami i podręcznikami morskimi, tablicami pływów i azymutów, podręcznikami żeglarskimi, spisami latarni morskich, tabelami meteorologicznymi.

Sternik bierze ołówek i rachuje. Z sinusami, kosinusami, tangensami, kotangensami i ich logarytmami znajduje się na poufalej stopie.

– Właściwie to całkiem pocieszające, że posługujemy się nadal gwiazdami – mówię, aby tylko przerwać milczenie.

– Co proszę?

– Chodziło mi o to... że przy całej tej technicznej doskonałości, tu, na okręcie, to jest właściwie zdumiewające, że określenie pozycji pan robi nadal sekstantem...

– A jak mam robić?

Widzę, że moje rozważania są tu zupełnie nie na miejscu. Może godzina jeszcze na to za wczesna, pocieszam się i przykucam na skrzyni z mapami.

Starszy sternik podnosi celuloidową płytę, pod którą leży mapa morska. Mapa naszego rejonu morskiego jest jednolicie szaroniebieska. Nie ma zarysów wybrzeży, nie ma głębín – tylko gęsta sieć kwadratów z cyframi i literami przy poziomych i pionowych liniach.

Starszy sternik trzyma w zębach cyrkiel i mruży: – Tu byśmy mieli... całkiem niezły przelot, okrągłe piętnaście mil, no tak! – Ołówkową kreską łączy naszą ostatnią pozycję z nowo namierzoną. Pokazuje na kwadrat mapy: – Tu było raz całkiem wesoło, mało brakowało do komendy: „Czapki zdjąć! Do modlitwy!”

Prawdopodobnie starszy sternik chce pokazać, że jednak nie jest przeciwko małej pogawędce. Cyrkiel skierował na punkt, w którym „było całkiem wesoło”.

Mat z centrali również podchodzi i spogląda na punkt w siatce kwadratu.

– To na czwartym rejsie. Typowy rejs do nieba. Sztorm bez przerwy. Od samego początku się do nas przykleili. Przez cały dzień bomby głębínowe. Awarii trudno było policzyć...

Starszy sternik wpatruje się w ostrze cyrkla, jakby tam można było jeszcze zobaczyć ślady i dowody. Potem wciąga powietrze, składa cyrkiel i odsuwa go zdecydowanym, krótkim

ruchem.

– Nie było ani trochę wzniośle.

Wiem, że teraz nie należy się niczego spodziewać. Mat z centrali również wziął się już do swojej roboty. Starszy sternik ostrożnie wkłada sekstant do futerału. Od ostrza cyrkla została mała dziurka w mapie.

Teraz starszy sternik sięga po swą wiszącą na haku zjudwestkę, potem gumową kurtkę i lornetkę. Przygotowuje się do wachty.

Ponieważ na okręcie panuje jeszcze spory bałagan, wspinam się znowu na pomost, żeby nie stać na drodze.

Chmury są teraz ostro zarysowane, zupełnie jak intarsja na szaroniebieskim niebie. Jedna z nich zasłania na chwilę słońce. Jej cień pozbawia morze białozielonej poświaty. Chmura jest tak duża, że dolną krawędzią sięga do horyzontu. Są w niej jednak dziury, poprzez które słońce wysyła skośne promienie. Jakby przez jakąś przesłonę smugi świetlne kierowane są na morze, jedna z nich wędruje prosto na nasz okręt i przez chwilę jesteśmy oświetleni niby jakimś potężnym reflektorem w teatrze.

– SAMOLOT Z LEWEJ!

Okrzyk bosmanmata Doriany wstrząsa mną jak prąd elektryczny. W ułamku sekundy na tle szarych chmur dostrzegam ciemny punkt i już jestem we włazie kiosku. Dźwignia pokrywy luku między kioskiem a centralą trafia mnie w kość ogonową. Mógłbym krzyknąć z bólu. Zlatując w dół, przed oczami mam wyraźnie kształt skórzanej osłony, którą należałoby przykryć to wystające żelazo.

Na dole odskakuję w bok, ale za blisko. Następny już zjeżdża z góry. Trafia mnie butem w kark. Słyszę, jak bosmanmat ląduje z łoskotem na płytach podłogi.

– Cholernie blisko! – mówi zasapany.

Dowódca stoi z otwartymi ustami pod kioskiem i patrzy w górę.

– Napęlniać! – ryczy drugi oficer. Otwiera się kłapy odpowietrzania. Z góry wali się strumień wody, z którego drugi oficer wynurza się całkiem mokry.

Wskazówka głębokościomierza porusza się powoli, jakby musiała najpierw pokonać silny opór. Okręt jakby kleił się do powierzchni.

Główny mechanik ryczy: – Wszyscy na dziób!

Ludzie, potykając się, śpieszą przez centralę do przodu – łomocząca, przygarbiona kawalkada. Trym na dziób wreszcie zaczyna się zwiększać. Okręt ustawia się skośnie. Muszę się trzymać, żeby nie upaść.

Drugi oficer bez tchu melduje dowódcy: – Samolot wyskoczył z lewa, z luki w chmurach. Typu nie rozpoznano.

Pod zamkniętymi powiekami widzę znowu czarny punkt na tle szarych chmur. Stale powtarzam w myśli jedno zdanie: Teraz musi rąbnąć... teraz musi rąbnąć! A potem znowu tylko: Bomby... bomby... bomby.

Urywane oddechy. Dowódca nie odwraca oczu od głębokościomierza. Twarz ma nieruchomą, prawie obojętną. Woda skapuje do zęzy. Plusk... plusk... plusk. Całkiem cicho szumią silniki elektryczne.

Elektryczne silniki? Czy też jest to żyrokompas?

Czekać... Wstrzymać powietrze... Wreszcie zduszony oddech.

Nic?

– Na stanowiska do zanurzenia! – rozkazuje główny mechanik. Ludzie wspinają się, szukając rękami oparcia, jak alpinieści wchodzący na stromiznę.

– Oba stery głębokości plus!

Wyprostowuję się, wciągam powietrze. Kłujący ból przenika mnie jak gorące żelazo przez krzyż. Teraz dopiero spostrzegam, jak mocno uderzyłem w dźwignię.

– Sytuacja wyjaśniona – mówi dowódca. – Przesterować na trzydzieści metrów.

– Gówno! – mruczy starszy sternik.

Dowódca stoi pośrodku centrali, dłonie w kieszeniach spodni, czapka zsunięta na kark.

Burczy: – Teraz mają nas na oku. Mam nadzieję, że wkrótce nie będziemy mieli za sobą całej sfory. – Potem zwraca się do głównego mechanika: – Lepiej zostańmy teraz pod wodą. – A do mnie mówi: – Tak, jak panu wczoraj wspominałem: wiedzą dokładnie, kiedy wyszliśmy, i teraz to się na nas odbija!

Drugi alarm lotniczy przeżywam parą godzin później podczas wachty starszego sternika. Kiedy wrzeszczy ALARM! spostrzegam pod kątem czterdziestu pięciu stopni, na grubość kciuka nad horyzontem, jakiś punkt na szarym tle i natychmiast na łeb, na szyję zlatuję po metalowej drabince w dół. Starszy sternik ryczy z góry: – Napęlniać!

Widzę, jak wisi na pokrętle śruby, zamykającej górny właz, i szuka nogami oparcia. Wreszcie uszczelnia zamek.

– Pięć! Trzy podwójnie! Jedyńka! – słyszę okrzyki. Bulgocząc gwałtownie, woda wpada do balastów. – Samolot na kursie czterdzieści pięć stopni, odległość trzy tysiące metrów. Nie w bezpośrednim nalocie – melduje starszy sternik.

Odwietrzniki i zawory wydechowe diesli są zakręcone, oba silniki elektryczne przełączone na wał. Idą całą naprzód. Zamiast ryku diesli w okolicy słychać tylko wibrujące

brzęczenie.

Znowu wstrzymuję oddech.

– Okręt schodzi szybko – melduje główny mechanik, a wkrótce potem: – Szasować zbiorniki szybkiego zanurzenia! – Część balastów zostaje napełniona sprężonym powietrzem. Mają one pięć ton pojemności. Podczas pływania na powierzchni są napełniane i dodają okrętowi dodatkowego ciężaru, co pomaga pokonać powierzchniowe napięcie wody przy zanurzeniu. Teraz okręt jest o te pięć ton za ciężki. Z trzaskiem wystrzału sprężone powietrze wpada do zbiorników. Woda uchodzi z gwałtownym syczeniem na zewnątrz.

Ciągle jeszcze nie ma bomb!

Od naszego zanurzenia się minęło z pewnością tylko trzydzieści sekund. Jednak spieniona woda, która tworzy się w miejscu zanurzenia, jest widoczna jeszcze przez około pięć minut. W tę pianę Anglicy mają zwyczaj rzucać swoje bomby głębinowe...

Nie!

Stary dmucha przez nos. Starszy sternik naśladuje go w bardziej umiarkowanej formie. Mat z centrali kiwa lekko głową w moim kierunku.

Na głębokości osiemdziesięciu metrów główny mechanik z całym spokojem ducha każe za pomocą steru podnosić i opuszczać dziób.

– Okręt wyważony! – melduje. I rozkazuje: – Zamknąć odwietrzniki!

Stoimy bez słowa przez dobre pięć minut. Wreszcie Stary rozkazuje wyjść na peryskopową. Oba stery głębokości leżą ostro na plus, natomiast silniki elektryczne włączone są na małą naprzód.

Potem rozkaz, który mnie zaskakuje: główny mechanik każe napełniać balasty, chociaż okręt ma się wynurzać. Co prawda chodzi tylko o pięćdziesiąt litrów, ale mimo to rozkaz wydaje mi się bezsensowny. Muszę się namyślić, nim sobie przypomnę: kiedy się wynurzamy, okręt się rozciąga, bowiem ciśnienie słabnie. Wskutek tego stajemy się specyficznie lżejsi i musimy to znowu wyrównać, byśmy nie wyskoczyli zbyt prędko. Aby utrzymać okręt dokładnie na pożądanej głębokości, należy go dokładnie wyważyć.

– Prawdopodobnie wcale nas nie zobaczył! – mówi Stary.

Trzeci alarm lotniczy zaczyna się w pięć godzin później. Teraz to pierwszy oficer ryczy: – Napełniać!

– Wyskoczył prosto ze słońca! – wykrztusza zasapany.

– Wszyscy na dziób! – rozkazuje dowódca, bowiem okręt niezbyt szybko wchodzi w przegłębienie dziobowe. Znowu szurganie, trzaskanie, dziki łoskot przetacza się przez

centralę. Byle w dół!

Główny mechanik stosuje teraz dodatkową sztuczkę, by szybciej uzyskać trym na dziób: gdy tylko okręt jest już pochylony za pomocą sterów głębokości, które leżą mocno na minus, rozkazuje otworzyć również klapę odwietrznika skrajnego tylnego balastu. Przez kilka chwil wykorzystuje jego wypór, aby szybciej nadać okrętowi kierunek w dół.

– Do trzech razy sztuka – mruczy pierwszy, gdy jest już pewny, że nie spadają bomby.

– Nie określałbym tego w tak prymitywny sposób – gani go Stary.

– Robią się coraz zuchwalsi! – złości się główny mechanik. – Co za obyczaje!

– Zostaniemy jeszcze w głębinie – oznajmia Stary – na tyle szczęścia, ile miał Kramer, raczej nie należy liczyć.

Przenosimy się do mesy O. – Całkiem dobrze, panie pierwszy – mówi Stary dosyć głośno, żeby było to słychać aż w centrali. Pierwszy zarobił na pochwałę dlatego, że dość wcześnie rozpoznał samolot. To nie jest proste, jeśli w kabinie samolotu siedzi sprytny facet i nalatuje od strony słońca. W dziesięciu przypadkach są to mewy. Kiedy ze sztywno rozpostartymi skrzydłami, tuż nad horyzontem, lotem ślizgowym zbliżają się do okrętu, robi się alarm, zanim je można naprawdę rozpoznać. W migotliwym szklistym powietrzu, które rozmazuje kontury, złudzenie jest doskonałe. Ale za jedenastym razem nadlatująca mewa okazuje się samolotem.

– Przed samolotami trzeba bezwarunkowo skręcać na odwietrzną – mówi Stary. – Pierwszy zrobił to całkiem słusznie. Samolot musi wtedy dodatkowo pokonywać napór wiatru na pochylony płat i wyrzuca go na zewnątrz. Wiele to nie daje. Ale musimy tutaj wypracowywać sobie każdy metr przewagi.

– Zapamiętam to: na odwietrzną!

– O lotnikach, których teraz tu wysyłają, można powiedzieć tylko jedno: chapeau!

Stary przygryza dolną wargę, parę razy kiwa głową, zwięża oczy i mówi: – Siedzą całkiem samotnie w tych swoich gratach, a atakują jak Blücher pod Katzbach. Mogliby po prostu rzucić bomby do wody, a kaemy wystrzelać w niebo, kto by ich zobaczył?

Po chwili dalej opiewa chwałę Royal Air Force: – Ci, co siedzą w bombowcach, które atakują bazę, to też nie są trusie. Ile to maszyn zestrzeliliśmy ostatnio?

– Osiem – odpowiadam. – Jedna w La Baule nieomal zwała się nam na głowy... Prosto między sosny. Mózdzku cieleącego na grzance z pewnością nie będę już jadł.

– Dlaczego?

– Było tam trzech ludzi. Kabinę całkiem rozerwało. Mieli mnóstwo kanapek. Śnieżnobiały chleb... podwójne kromki z pieczenia i zieleniną w środku, a na jednej kanapce

leżał mózg pilota. Chciałem zabrać ich papiery czy cokolwiek, ale maszyna już się paliła i nagle wybuchła amunicja do kaemów... Musiałem zwiewać.

Próbuję czytać podręcznik morski. Jednym uchem słyszę po chwili znowu głos Starego: – Pilot, który zaatakował „Gneisenau”, to musiał być numer. Zamiast żelaznej porcji miał prezerwatywy w kieszeni...

Odkładam książkę.

– Chciał prawdopodobnie połączyć swoją robotę z odwiedzinami w burdelu przy Rue de la Paix. Kanadyjczycy myślą praktycznie – mówi główny mechanik.

– W czym się, niestety, pomylił – mówi Stary – ale to było czyste wariactwo. Lotem ślizgowym i spiralami w dół. Początkowo nawet pies z kusym ogonem nic nie zauważył... Żadnej zapory ogniowej! Ani jednego strzału! A potem on wychodzi na odpowiednią pozycję i zrzuca torpedę. Czysty cyrk! Szkoda, że już się nie zdążył poderwać! Rąbnął w wodę jak kamień. No, to teraz znowu...

Za Starym i głównym mechanikiem wchodzę do centrali. Czif melduje: – Okręt gotów do wynurzenia!

– Wynurzenie – rozkazuje dowódca i włazi na drabinkę.

– Szasować! – woła czif do mata w centrali, który natychmiast otwiera zawór główny kolektora szasu.

Mechanik w napięciu obserwuje opadanie słupka wody w papenbergu i wreszcie melduje: – Właz kiosku wolny.

Z góry dolatuje głos dowódcy: – Otwiera się właz kiosku!

– Wyrównać ciśnienie! – woła czif.

– Może te gnojki zostawią nas w spokoju – słyszę starszego sternika.

W centrali pół godziny przed północą wywietrzniki mruczą cicho. Przez otwarty właz kiosku diesle wysysają świeży prąd powietrza. Nieliczne lampy są przyciemnione, żeby światło nie przeniknęło w górę i nie zdradziło nas nocnemu lotnikowi. Ciemność rozszerza granice pomieszczenia w nieskończoność. Z niepewnych głębin cienia połyskują tylko fosforyzujące zielonym światłem kierunkowskazy, które w największym niebezpieczeństwie, gdy całe oświetlenie wysiadzie, mają nam wskazać drogę do włazu kiosku. Te strzałki są od niedawna. Wprowadzono je po katastrofie na okręcie Kallmanna: Kallmann jesienią roku 1940 zderzył się w śluzie z norweskim frachtowcem. Jego mały okręt, należący do flotylli Emsmanna, nie miał grodzi wodoszczelnych. Został trafiony tuż za centralą i rozpruty tak dokładnie, że zatonął w ciągu kilku sekund. Uratowali się tylko ci, co byli na pomoście. Kiedy podniesiono

okręt – Kallmann musiał w tym uczestniczyć – stwierdzono, że w centrali część załogi stłoczyła się razem, ale nie pod kioskiem, tylko po drugiej stronie studzienki peryskopu – w całkowicie niewłaściwym miejscu.

Ale co my mamy z tych zielonych strzałek? Jeśli okręt zatonie tutaj, spadnie na parę tysięcy metrów. Wtedy strzałki mogą sobie świecić, ile tylko chcą.

W mroku centrala wygląda tak, jakby zajmowała ogromną przestrzeń. Tylko z przodu widać odbłask światła, które wydobywa z ciemności okrągłe przejście w grodzi i ogranicza w ten sposób pomieszczenie. Światło pochodzi z kącika radiostacji i od lampy, która płonie w przejściu do mesy oficerskiej. W smudze światła można rozpoznać dwóch ludzi. Przykucnęli na skrzyni z mapami i obierają ziemniaki. Ledwie widoczny podoficer dyżurny centrali opiera się o swój pulpit i podlicza w dzienniku zanurzeń napełnianie balastów regulacyjnych. Pod płytami podłogi przelewa się, sycząc i bulgocząc, woda w zęzie. Obie zamknięte grodzie za mesą podoficerską przytłumiają hałas diesli; słysząc go jak przez jakiś filtr. Fale, które przelewają się wzdłuż burt, wypełniają centralę potęgującym się i słabnącym szumem.

Wychodzę przez właz przedniej grodzi. Dyżurny radzik siedzi, trzymając słuchawki na uszach, pogrążony w jakiejś książce. To Hinrich. Łokcie trzyma na blatach stołów, na których stoją jego aparaty. Wygląda to, jakby opierał się na dwóch kulach. Przy koi dowódcy, naprzeciwko kącika radiostacji, zielona zasłona jest zasunięta. Z wąskich szczelin przenika jednak światło: a więc dowódca również jeszcze nie śpi. Prawdopodobnie pisze na leżąco, jak to ma w zwyczaju, listy, które może wysłać dopiero po powrocie do bazy.

Mesa O teraz, gdy nikt nie siedzi przy stole, także wygląda na większą niż zwykle. Za stołem śpi na ławce główny mechanik. Tuż nad jego twarzą kiwa się we wszystkich kierunkach zegarek na krótkiej dewizce – jak zwariowane wahadło.

Na dolnej koi z prawej strony za zieloną zasłoną śpi przed wachtą pierwszy oficer. Właz do dziobowego otwiera się z hukiem. Mamrocząc coś, główny mechanik przekręca się na drugi bok i śpi, chrapiąc z twarzą zwróconą ku bakistom. Z przedziału dziobowego wchodzi do mesy jakiś marynarz o zmierzwionych włosach, salutuje zaspany, rozgląda się przez chwilę, jakby nie wiedział, co robić, i wreszcie rezolutnie odsuwa zasłonę przy koi pierwszego oficera: – Dwadzieścia minut do zmiany, panie poruczniku!

Ogłupiałe od snu oblicze pierwszego wynurza się na światło z cienia koi. Potem pierwszy z trudem wygrzebuje jedną nogę spod koców, przesuwa ją ostrożnie nad kratą koi i sam się za nią przetacza. Wygląda to jak skok wzwyż na zwolnionym filmie. Nie chcę go drażnić moim gapieniem się i idę dalej. W pomieszczeniu dla starszych podoficerów na stole siedzi ze smętną miną starszy motorzysta Johann. Ziewa i mówi: – Dzień dobry, panie

poruczniku!

– Trochę za wcześnie na to!

Johann bez słowa macha ręką i wstaje powoli.

W przedziale dziobowym świecą tylko dwie słabe lampy, więc panuje tam półmrok. Ciężki, kwaśny odór uderza mnie w nos: pot, olej, zęza, smród mokrych ubrań.

Tu, z przodu, najmocniej odczuwa się chwiejność okrętu. Dwa cienie poruszają się przy wyrzutniach torpedowych. Słyszę wyrzekania: – To aspołeczne! Gonić na barykady! W samym środku nocy!

Na matach podnoszą się dwaj ludzie, a potem jeszcze jeden z koi przy lewej burcie.

– Cholerny chlew! – To musi być Ario.

Ponieważ okręt znowu ciężko się zatacza, obaj dopiero po kilku nieudanych próbach wciągają buty.

– Wyboista pogoda, co? – mówi jeden. – Znowu przemoczymy nogi! – Obaj wciągają grube pulowery i do tego owijają sobie szyje ręcznikami, żeby za kołnierze gumowych kurtek, które wkłada się dopiero w centrali, nie dostała się woda.

Ludzie ze starej zmiany, którzy z całkiem zeszywniałymi kończynami schodzą z góry, są przemoknięci do nitki. Starszy sternik postawił kołnierz i naciągnął sobie głęboko na oczy nieprzemakalny kaptur. Inni mają twarze czerwone i obrzmiałe od bryzgów wody. Wszyscy wieszają lornetki na hakach i milcząc, tak samo jak nowa wachta, wysupłują się niezgrabnie i ciężko z mokrych gumowych kurtek. Najmłodszy z wachty obładowuje się całym naręczem mokrych sztormowych spodni, sztormowych kurtek i zjudwestek, i wynosi to wszystko do rufowego. Między obu silnikami elektrycznymi i z obu stron rufowej wyrzutni torpedowej wszystko schnie najprędzej.

Ludzie ze zluzowanej wachty szybko wypijają łyk gorącej kawy, wycierają swoje szklanki i odstawiają je.

– No... jeszcze pan nie śpi? – pyta mnie starszy sternik.

Bosmanmat Wichmann idzie na rufę, starszy sternik z dwoma obserwatorami na dziób.

Przez chwilę słyszę tylko szum fal i brzęczenie silników, aż do czasu, gdy marynarz z centrali uruchamia pompę zęzową, która wysysa ściekającą z góry wodę i wyrzuca na zewnątrz.

Naraz znowu robi się ruch w centrali: nowa wachta maszynowa obejmuje służbę. Rozpoznaję motorzystę Aria i elektryka Zornera.

W mesie P Wichmann rozparł się przy stole i żuje mlaskając.

Włazę do mojej koi. Teraz słyszę tuż koło ucha, jak fale przesuwają się wzdłuż burty.

Wygląda to jak wzmagające się i cichnące siorbanie i szum, który czasem przekształca się w ostry syk.

Ktoś otwiera gwałtownie wąż do kambuza. Zjawiają się Kleinschmidt i Rademaeher.

– Zostaw coś dla nas, stary żarłoku! Ile razy się ciebie widzi, zawsze coś wpieprzasz!

– A ty za to dużo i głupio gadasz!

– A ty nic innego nie umiesz jak żreć!

Między zasłonami widzę, jak Wichmann nic się nie krępując, drapie się między nogami. Nawet lekko unosi się z siedzenia, żeby mógł lepiej sięgnąć!

– Zabierz stamtąd te łapy, człowieku! – wymyśla Rademacher. – Nie będziesz się tu branzłował!

– Zaraz ciebie wypierdolę! – grozi Wichmann.

Ten dialog prawdopodobnie pobudził Kleinschmidta do wspomnień. Chichocze tak demonstracyjnie, że zwraca na siebie uwagę wszystkich.

– Coś takiego zdarzyło mi się w Paryżu w jednym bistro – mówi. – Siedzę po prostu na krześle, a naprzeciwko mnie na kanapie siedzi Murzyn z jakąś cizią, a ona pod stołem ciągle mu przy tym majstruje. W tym Paryżu to oni nie mają żadnych hamulców!

Rademacher kiwa głową ze zrozumieniem.

– Nagle Murzyn zaczyna sapać i wywraca oczy. Myślę sobie: muszę to obejrzyć i odsuwam moje krzesło, i właśnie widzę, jak się on spuszcza... prosto na mój but!

– Ale zalewa! – mówi Wichmann.

– No i coś zrobił? – chce wiedzieć Rademacher.

– Najpierw siedziałem, jakby we mnie piorun strzelił. – A potem... szkoda, żeście tamtych nie widzieli! Zerwali się i w nogi, i zwieli błyskawicznie!

– No, no, co to się nie dzieje na świecie – zdumiewa się nadal Rademacher.

Wichmann, jak się zdaje, dopiero teraz strawił tę historię. Poprawia się na krześle i oznajmia:

– Francuzi to jednak świnię!

Podchorąży kręci się demonstracyjnie. Ale trzech ludzi przy stole nie zwraca na niego uwagi.

– Teraz ona umie już po francusku... tylko mówienie trudno jej przychodzi – papie Wichmann.

Trwa jeszcze dobry kwadrans, nim w mesie podoficerskiej zalega cisza.

Nowy z centrali asem nie jest. Mat już kilkakrotnie porządnie go obrugał.

Ponieważ w wolnym czasie czyta oprawione czarno broszury, zamiast zajmować się powszechnym świntuszeniem, większa część załogi jest przeciwko niemu. Wskutek przesadnego podkreślania, że jest lepszy od innych, został, jak się zdaje, całkowicie izolowany. Co prawda ciągle na nowo próbuje się z kimś zaprzyjaźnić, pochlebiając mu, ale przeważnie zbiera za to tylko obelgi w rodzaju: „stary dupowłaz” albo „dewota”.

Szczególnie Ario nie powie dobrego słowa o nowym: – Jak się ten wazelinuje! Trzeba mu dać w kość!

Raz w dziobówce usłyszałem od Aria, że brat mechanika torpedowego Hackera siedzi w więzieniu. Jest tylko o rok starszy od Hackera. – Dwadzieścia jeden lat. Aby się zemścić za szykany, „okorował” sąsiadowi pięć drzew owocowych.

Ario wyjaśnia mi: – Kiedy dokoła pnia zetnie się pierścień kory, drzewo jest już do dupy!

– Ale przecież za to nie zamykają w więzieniu? – dziwię się tylko.

– Owszem, obecnie tak. To nazywa się teraz „zagrożenie swobody wyżywienia narodu niemieckiego”! Coś w rodzaju sabotażu!

Marynarz Schwalles słuchał tego wyjaśnienia. – Człowieku, to znaczy, że on jest dobrze zabezpieczony! – wybucha.

– Co ty bibrzysz?

– No wiesz... przecież tam nic mu się nie może przytrafić, nie? Można by tak powiedzieć: ma pomieszczenie zabezpieczone przed włamaniem.

Aria zamurkuje: – Człowieku, ależ ty masz poglądy!

Schwalles nie zaprzecza. Obojętnie pociąga porządny łyk lemoniady z ceramicznej trupiej czaszki.

To też wariactwo, myślę sobie, brać taki paskudny przedmiot na pokład.

W dzienniku działań bojowych dwa pierwsze dni znalazły następujące odbicie:

Sobota

g. 8.00 Wyjście

g. 16.30 Zanurzenie próbne

g. 18.00 Próba głębokości

Niedziela

g. 7.46 Alarm lotniczy, trening z zakłóceniami i głębokie zanurzenie

g. 10.55 Alarm lotniczy

g. 15.44 Alarm lotniczy

g. 16.05 Kurs do rejonu ataku.

– Pan ma ciągle jeszcze oczy jak królik albinos – docina mi główny mechanik następnego dnia. Jest to trzeci dzień rejsu.

– Co w tym dziwnego? Ostatni okres był dość nużący. Jeden wielki ubaw za drugim!

– Zgadza się! Szkoda, że nie widział pan tej słynnej rozróby w barze „Majestic”. To było tej nocy przed Thomsenem?

– Właśnie! Ale to panu umknęło! Jak radca budowlany prześlicznie przeleciał przez szybę...

– Jak to było? – pyta główny mechanik.

– Tego Schollego – mówię do mechanika – przecież pan również zna. On uważa się z pewnością za szczególnie ważnego dla wojny. A więc ten cymbał Scholle postawił natychmiast kolejkę. Ludzie traktowali go jeszcze dość uprzejmie. Zdaje się, że Scholle już przedtem coś niecoś łyknał. Czuł się bez wątpienia w szczytowej formie. Nie miał w ogóle zahamowań... Tak się zachowywał, jakby należał do nas. Zupełnie jakby wszyscy na niego czekali...

Widzę znowu blizny na obu obwisłych policzkach, czerwone jak pręgi od bata; widzę, jak pan Scholle dziko gestykuje, potem zatacza się powoli wte i wewte, i głądzi z pianą piwa na ustach: „Fantastyczne, po prostu fantastyczne, te wspaniałe sukcesy!... Wspaniali chłopcy, prawdziwe jądro narodu! Tak jest!” Widzę pogardliwe spojrzenia całej bandy i słyszę pytanie: „Czego ta dupa właściwie tutaj chce?” Pytanie głośne i wyraźne, ale pan radca budowlany Scholle słyszy tylko samego siebie: „Natężyć siły... Albion na kolana... Tak jest! Walczący front może się na nas oprzeć... Walka aż do ostatniego tchu dla ojczyzny... Zaprzysiężeni rycerze...”

– Te brednie ciekły z niego jak z kranu – mówię do głównego mechanika. – Te całe idiotyzmy ze wstępniaków o niezłomnym duchu bojowym frontu i tak dalej. Jasne, że miał na myśli również siebie. Siebie przede wszystkim. Poczciwy Markus wprost się gotował od dłuższego czasu. Ale to dobrze wychowany chłopak! Dopiero jak go Scholle poklepał po ramieniu i ryknął do tego: „Zawsze naprzód!” – i w ogóle nie dał się zahamować, a tylko odchrząknął i następnie oznajmił: „Ach... te parę gównianych bomb głębinowych!” – w Markusie widać przepaliły się bezpieczniki. Trzeba go było widzieć: zrobił się purpurowy z wściekłości i nie mógł wykrztusić słowa, zupełnie jakby mu odcięli dopływ powietrza. Ale inni... Wstali jak jeden mąż. Stół i krzesła... wszystko latało w powietrzu. Potem złapali pana radcę za ręce i nogi i ruszyli przez salę, na pół go ciągnąc, na pół niosąc. Prawdopodobnie

chcieli tego dekownika wyrzucić za drzwi kopniakiem w tylną część ciała. Ale bosman miał nagle lepszy pomysł: skoro już mieli radcę między sobą jak hamak, bosman skierował ten ryczący i wierzgający ciężar równolegle do wielkiej szyby i zakomenderował: „Dalej... dobrze rozmachać i na trzy puścić!” I zaraz to zrobili: „Raz – dwa – trzy!” Szkoda, że pan tego nie widział: radca pożeglował metr w powietrzu, potem rozległ się ostry brzęk i wylądował na ulicy.

Jeszcze wyraźnie słyszę łoskot i trzask paru spadających kawałków wielkiej szyby i bosmana, który mówi: „Tak!” I to byłoby wszystko. Bez słowa wszyscy czterej robią w tył zwrot, maszerują rzędem na swoje miejsca, otrzepują dłonie, jakby je sobie pobrudzili, i chwytają za kieliszki. „To ci głupia świnia!” – mówi mat.

Nagle ktoś ryczy: „Jest znowu!” i pokazuje wejście. W dymie papierosowym można rozpoznać w drzwiach zakrwawioną facjatę.

„On szuka swoich himmlerowskich binokli!” – słysząc czyjś głos.

Trzej marynarze podrywają się znowu z krzesel. Mimo że są pijani, błyskawicznie dopadają drzwi i przez próg wyciągają pełzającego na kolanach radcę budowlanego na dwór. Jeden odsuwa stopą nogę radcy, która zaczęła się o futrynę, i zamyka potem drzwi ze słowami: „Może teraz ma już dosyć ta głupia świnia!”

– A co było potem z żandarmerią polową? – pyta czif.

– Przyszła podobno w godzinę później, kiedy pozostali tylko matowie i lordowie, i wtedy była strzelanina. Jeden żandarm dostał kulę w udo.

– We flotyli wyrażano powszechne ubolewanie, że nie odstrzelono mu czegoś innego – mówi czif.

Wiem, dlaczego mechanik tak nie znosi wszelkiej policji i wszystkich tak zwanych organów kontroli: kiedy wracał pociągiem urlopowym z Paryża i w popołudniowym upale przygotowywał się do wygodnej drzemki, odpiąwszy dolny guzik kurtki i lekko przesunawszy się do przodu, a był tylko sam z jednym porucznikiem w przedziale, nagle otworzyły się drzwi i zaczął się cały teatr. Mechanik opisał mi to dokładnie w barze „Royal”:
– Nagle w przedziale staje spocony facet w szarozielonym mundurze, nocnik na głowie, buty z cholewami i ostrogami, bryczesy, oczywiście, można powiedzieć cały malunek wojenny, armata na brzuchu, a przez oba boczne okienka z lewa, i z prawa gapią się jak woły jego dwaj podwładni: „Proszę rozkaz wyjazdu, panie poruczniku, i zechce pan łaskawie uważać na swój strój. Nie jesteśmy tu we flocie!”

Wtedy główny mechanik, jak mi opowiadał, podniósł się, ale bynajmniej nie zapiął guzika, tylko rozpiął wszystkie pozostałe, sięgnął po swoje papiery, które podał temu

durniowi w hełmie, a ręce wsadził do kieszeni spodni.

– Trzeba go było zobaczyć. Prawie pękał! Ryczał jak byk: „Złożę meldunek! Złożę meldunek!”

– Ach, tak – ja na to – dlatego zapewne pomyślano już o następstwie za pana? Dlatego więc mamy pana kolegę z wydziału na pokładzie? Będzie się mówiło we flotylli, że nie można już z panem wytrzymać i nie daje pan właściwego przykładu załogom, tak jak życzy sobie nasz führer!

Widzę jeszcze, jak mechanik otwiera usta ze zdumienia. Ale potem rozjaśnia się jak zapalona choinka. Prawdopodobnie trafiłem w sedno.

Poniedziałkowy wieczór w mesie oficerskiej. Spoglądam na zegarek: godzina dwudziesta. Nie mogę pojąć, że dopiero trzeci dzień jesteśmy na morzu. Łąd znajduje się tak daleko za rufą, jakby nas dzieliło setki mil morskich. Z pewnym wysiłkiem muszę sobie uprzytomnić, że to dopiero piątek wieczorem, mniej więcej o tej porze, zaczęła się nasza popijawa w „Royalu”.

– Głęboko rozmyślamy? – chce wiedzieć Stary.

– Nie, niezupełnie, myślę tylko o Thomsenie.

– No, tamten mundur ja bym wyrzucił – mówi Stary.

WTOREK, CZWARTY DZIEŃ REJSU. Główny mechanik chodzi wyraźnie bez zajęcia. Dobra sposobność dla mnie, żeby go sprowokować do paru technicznych wyjaśnień. Wystarczyło tylko powiedzieć: – To wszystko jest piekielnie skomplikowane – a on już chętnie zaczyna mówić: – Święta prawda. Diabelnie bardziej skomplikowane niż na normalnych statkach, które pływają po morzu na zasadzie balii w kałuży. Mają określoną stateczność i stałą wyporność. Tyle i tyle ton rejestrowych brutto, tyle i tyle ton netto. A jeśli się już załaduje trochę więcej, łajba zanurza się nieco powyżej znaku wolnej burty. I to wszystko, nie ma powodów do niepokoju. Obchodzi to najwyżej kontrolę morską. Ale u nas nadwaga powoduje mnóstwo określonych skutków... – główny mechanik utyka i nerwowo mruży oczy. Boję się, że mógłby znowu zrezygnować, i wpatruję się uporczywie w jego usta. Ale on każe mi czekać.

Pływanie, czyli unoszenie czegoś przez wodę, uważałem zawsze za trudne do pojęcia zjawisko. Nie tyle drewniane łodzie wiosłowe, co każdy żelazny statek wydawał mi się, jako dziecku, po prostu cudem. Żelazo, które pływa w wodzie! Potem, któregoś dnia, widziałem na Łabie nawet statki betonowe, o ścianach grubych jak bunkier, i nie mogłem pojąć, że również

te potężne masy betonu pływają, a nawet przewożą ładunek w górę rzeki.

Jakkolwiek znam funkcje poszczególnych urządzeń okrętu podwodnego oraz przebieg manewrów, zanurzanie się i wynurzenie pozostaje dla mnie magiczną sztuczką. Fakt, że okręt podwodny może sam zniweczyć swoją zdolność pływania, aby ją potem znowu odzyskać, fascynuje mnie ciągle na nowo.

Kiedy główny mechanik znowu podejmuje temat, przybiera ton dydaktyczny: – Ta, że tak powiem, podstawowa różnica jest następująca: my osiągamy naszą wyporność nie tak jak normalne łajby dzięki wodzie wypychanej przez okręt, tylko dzięki powietrzu w balastach. Jesteśmy więc czymś w rodzaju koła ratunkowego na powierzchni wody. Po wypuszczeniu powietrza toniemy.

Mechanik czeka, aż ze zrozumieniem skinę głową.

– Trzeba bardzo uważać na nasze proporcje wagowe. Muszą zawsze pozostawać takie same. Przy zanurzeniu alarmowym nie mamy czasu zbyt długo się bawić. Wszystko musi iść z wariacką szybkością. Dlatego też o wiele wcześniej, a więc już wtedy, gdy idziemy na powierzchnię, musimy odpowiednio strymować okręt do pływania pod wodą. To znaczy: przez zmianę napełnienia w zbiornikach regulacyjnych tak wyważyć, by podczas alarmu usunąć tylko nadmiar znajdującego się w balastach wyporu. Jeśli potem okręt znajdzie się pod wodą, nie podnosi się ani nie opada w zależności od ciężaru.

Mechanik robi przerwę i pyta: – Jasne?

– Tak jest, czifie!

– Na określonej głębokości ciężar okrętu w stosunku do otaczającej go wody musi więc równać się zeru, aby okręt po prostu znajdował się w stanie nieważkości i reagował właściwie nawet przy niewielkiej pracy śrub oraz był łatwy do manewrowania za pomocą sterów bocznych i głębokości w górę i w dół, i na obie strony. Nie może ani przepadać, ani mieć wyporu w górę. Niestety, ciężar okrętu zmienia się codziennie: przez zużycie prowiantu, wody, paliwa, na przykład. Najgłupsze jednak jest to, że również ciężar wypieranej przez okręt wody nie zawsze bywa jednakowy. A więc nic innego, jak tylko stale zmieniające się czynniki, gdziekolwiek się spojrzy. Z liczenia już nic nie wychodzi. Człowiek po prostu boi się tu zakasać.

Mechanik milknie, żeby odetchnąć. Z bakisty wyciąga nadtłuczoną butelkę soku owocowego. O okucie drzwiczek zrywa kapsel butelki i przykłada ją do ust.

Ledwie otarłszy usta, ciągnie dalej: – Najwięcej mamy roboty ze zmianami ciężaru właściwego słonej wody. Zanurzenie w słodkiej wodzie byłoby o wiele prostsze. Potrzebowalibyśmy wtedy tylko codziennie, na miejsce zużytych artykułów żywnościowych,

paliwa i wody, wpuścić do zbiorników regulacyjnych taką samą ilość wody i sprawa byłaby załatwiona. Jednak w słonej wodzie panują skomplikowane stosunki. Inaczej nie można tego nazwać. Na tym jezioru atlantyckim woda nie jest równa wodzie. Dlatego też i nasz wypór zmienia się z dnia na dzień, a nawet z godziny na godzinę.

Mechanik znowu dramatycznie zawiesza głos, aby skontrolować działanie swych słów.

– Ciężar właściwy słonej wody zależy od wszelkiego rodzaju czynników. Znaczenie ma przy tym głębokość, temperatura, pora roku, różnorodne prądy, a nawet roślinność – plankton, na przykład, dość znacznie wpływa na ciężar właściwy. Trochę więcej planktonu w wodzie i już musimy szasować. Od słońca też to zależy.

– Od słońca? – dziwię się.

– Tak, słońce powoduje parowanie i w związku z tym zwiększenie się zawartości soli. Przy większej zawartości soli ciężar właściwy wody jest większy.

– Ale to może spowodować przecież tylko minimalne różnice?

Przez chwilę zastanawia się, marszcząc czoło. – Zmiana ciężaru właściwego wody, przyjmijmy rzeczywiście minimalną, o jedną tysięczną, oznacza, że aby to wyrównać, musimy zmienić ciężar okrętu również o jedną tysięczną. Całkiem logiczne. A teraz przyjmijmy, że okręt ma siedemset pięćdziesiąt ton. Zmiana o jedną tysięczną daje więc siedemset pięćdziesiąt kilogramów. Jednak odchylenie o siedemset pięćdziesiąt kilogramów byłoby już ciężkim błędem w obliczeniu napełnienia zbiorników regulacyjnych. Aby tylko jako tako utrzymać okręt w stanie nieważkości, musimy z pomocą zbiorników regulacyjnych wyważyć go z dokładnością do pięciu kilogramów. Mówię „jako tako”, gdyż praktycznie nie jest możliwe takie wyważenie okrętu, by bez pomocy śrub i sterów unosił się w stanie nieważkości. Już pół litra, ba, nawet naporstek wody w balastach za dużo powoduje zagłębienie się, a naporstek za mało – wynurzenie. Tak więc codziennie musimy określać ciężar właściwy otaczającej nas morskiej wody za pomocą gęstościomierza.

Z miną pełną samozadowolenia mechanik przysłuchuje się swemu płynnemu wykładowi. Po prostu rozkwita, jakby ta cała wiedza pochodziła od niego.

Dowódca, który już od pewnego czasu słuchał tokowania czifa, pyta przechodząc: – No, profesorze, czy to aby wszystko prawda?

Mechanik natychmiast wypada z konceptu. Kiedy zaczyna na nowo, w jego głosie brzmi ton skargi: – Starego interesuje tylko, żeby okręt był stale dobrze wyważony: ani litra za dużo, ani za mało...

Mechanik ma teraz minę człowieka wyczerpanego. Widzę jednak wyraźnie, że poszukuje słów na porządne zdanie zakończające.

– Tak – mówi teraz – wypływamy na morze z całym ładunkiem fizyki...

– I chemii.

– Tak, również chemii, tfu, tfu, na psa urok – mówi czif. – Jeśli już coś działa naprawdę chemicznie, działa i psychologicznie. I wtedy dopiero nic nie wiemy.

Naraz czifowi się śpieszy. Nie mogę już spytać, co właściwie miał na myśli.

Podczas obiadu Stary wygląda na rozbawionego. Nikt nie wie, co go wprawiło w ten stan. Przybiera nawet żartobliwy ton, którego nie znam. Główny mechanik zjawia się jako ostatni.

– I jak tam, czifie? – pyta dowódca słodkim tonem.

– Wszystko w porządku, panie kapitanie.

Dowódca zaprasza go serdecznie, by zajął miejsce w kącie koi. Podkreślona serdeczność irytuje mechanika. Spode łba zerka na nas. Mogę sobie wyobrazić, co nastąpi: gdy przechodziliśmy przez centralę, widziałem, jak dowódca dyskretnie wcisnął do ręki matowi małą karteczkę.

Mija tylko kilka minut, gdy nagle rozlega się przeraźliwy wrzask dzwonka alarmowego. Główny mechanik podnosi się z trudem. U sufitu kręci się urządzenie do klap balastów. Talerze zaczynają się zsuwać ze stołu.

– Łapać! – woła dowódca.

Główny mechanik rzuca mu gorzkie spojrzenie. Ale co to pomoże? Musi przedostać się do centrali.

– Zupełnie jak łasica! – szydzi za nim Stary.

Ryk z centrali potwierdza mi, że nie chodzi tu o zwykły alarm próbny, to brzmi jak ćwiczenia z utrudnieniami.

Wszystko, co znajduje się na stole, leci do przodu. Brzęk i trzaski, już depczę po skorupach.

Przeglębienie dziobowe nadal się zwiększa.

Pytające spojrzenie drugiego oficera. Jednak dowódca zachowuje się znowu tak, jakby go to nic nie obchodziło.

Z centrali dobiega krzyk alarmowy: – Przeciek nad wskaźnikiem stanu wody!

Zamiast skoczyć do góry, dowódca obdarza drugiego oficera jedynie szerokim uśmiechem, aż wreszcie ten pojmuje, że chodzi tu o doskonale przygotowane awarie.

Starego cieszą szatańsko klątwy i krzyki. Ciężko podnosi się i wspina do centrali, spokojnie, jak rozsądny turysta w górach.

Dokoła coś trzeszczy i chrzęści, potem następuje gwałtowne uderzenie. Musiał się przewrócić jakiś masywny przedmiot. Okręt wypróbował teraz stanie na głowie.

Oczy pierwszego oficera zaokrąglały się jak u ryby.

Zbieramy naczynia w przednim rogu skórzanej kanapy. Cholerne świństwo! Cały stół zapaskudzony jest resztkami potraw. To nie fair ze strony Starego – musiał akurat przy jedzeniu!

– Okręt musi to znać... Tomki również nie mają żadnych względów. Ćwiczenie to połowa życia... nie można obrosnąć mchem... – oto szydercze komentarze Starego wśród tego zamieszania.

Bogu dzięki: okręt stopniowo ustawia się na równej ścieżce. Stary udaje teraz łaskawego. Każe zejść na sześćdziesiąt metrów. Przychodzi stołowy i z wielkim zapalem bierze się do sprzątnięcia.

Po kwadransie zjawia się główny mechanik, całkowicie przemoczony i bez tchu. Dowódca pożyczka mu własny kożuszek i z wyszukaną grzecznością częstuje herbatą.

– Całkiem dobrze poszło!

Mechanik kwituje pochwałą dowódcy kosym spojrzeniem.

– No, no, no – mówi Stary.

Mechanik opiera się plecami i kładzie na kolanach dłonie: są umorusane olejem. Stary rzuca na nie dezaprobujące spojrzenie: – Ależ czifie, co sobie pomyśli nasz pierwszy, jeśli pan w takim stanie siada za stołem?

Pierwszy oficer natychmiast robi się czerwony. Mechanik wsuwa ręce do kieszeni spodni i pyta: – Czy tak jest lepiej? Ja już jadłem...

– Ależ panie główny mechaniku! Schudnie nam pan. Dzieci, jedzcie i pijcie, i bądźcie zdrowe. – Stary mamle z pełnymi ustami, a potem pyta tym samym szyderczym tonem: – Czy nie chciał pan czegoś zreperować w lewym dieslu? Teraz jest pierwszorzędna okazja. Może każe pan również przejrzeć prawy silnik? Pozostaniemy tyle czasu pod wodą. Wszystko dla pana!

Mechanikowi nie pozostaje nic innego, jak spojrzeć pokornie i zniknąć na rufie.

Stary uśmiecha się szyderczo i mówi: – Nareszcie koniec z tym całym cholernym bajzłem. Miałem już po dziurki w nosie tego skrobania się w bazie...

Od czasu jak okręt jest na morzu, dowódca wygląda na wesołego albo przynajmniej zadowolonego. Nawet z urlopu wrócił przed terminem. Okręt można było przygotować i bez niego, ale nie – chciał przy tym być.

Z jego o cały tydzień przedwczesnego powrotu ludzie wnioskuje, oczywiście, że dowódca nie miał zbyt słodko w domu.

O prywatnym życiu dowódcy, jak się zdaje, nikt nic nie wie. Również i ja mam o nim wyobrażenie tylko na podstawie niechętnie udzielanych wspomnień i cynicznych komentarzy oraz moich własnych obserwacji. Tymczasem Stary sortuje listy. Wszystkie pisane zielonym atramentem i olbrzymimi literami. Pani, która je wysyła, ma być podobno wdową po lotniku. Jej ojciec – przewodniczącym sądu. O fortepianie ze świecznikami – czerwone świece – i o „bardzo pięknych sukniach wieczorowych” Stary coś tam bąknął. Z kwaśną miną opowiadał również jakieś epizodziki z ostatniego urlopu. Musiał „ustawicznie” zawieszać order na szyi i chodzić z nim po zakupy. – Wtedy odrobinę więcej znajdowało się na wadze. Głupio. Co wieczór coś było. Ciągły ruch. Człowiek całkiem głupieje. Odczyty w szkołach również miałem mieć... Powiedziałem: beze mnie!

Stary wyjawiał również: – Oto, co każdy z nas chce mieć na urlopie: zmienić ciuchy. Kapać się całymi godzinami. Na wszystko gwizdać. Żadnych gazet. Żadnego radia. Wyłączyć się. Wyciągnąć. Ale wtedy dostaje się ładnie odprasowany świąteczny mundur wyjściowy wraz z kordzikiem i rapcami. Koszula biała jak kwiat, czarny jedwabny krawat, czarne krepowe skarpetki, białe rękawiczki, a nad tym wypucowany sidolem order na szyi, na nieskazitelnej czarno-biało-czerwonej rypsowej wstążce... ach, dajcie mi spokój!

Prace w przedziale diesli zostały zakończone po godzinie. Przez rozgłosnię pokładową dowódca podaje rozkaz do wszystkich przedziałów: – Do wynurzenia!

Wachta z pomostu ustawia się pod lukiem kiosku.

– Wynurzenie! – rozkazuje dowódca.

– Dziobowy ster głębokości plus dziesięć, rufowy plus pięć.

Mechanik kieruje manewrem wynurzenia.

– Szasować! – Ze stalowych butli sprężone powietrze z sykiem wpada do balastów, których przewody odpowietrzające jeszcze podczas zanurzenia zostają ponownie zamknięte. Wskutek tego woda zostaje wyciśnięta w dół przez otwarte klapy balastu.

– Okręt wznosi się. Kiosk wychodzi. Okręt na powierzchni! – melduje główny mechanik. Zostaje otwarty właz kiosku, zwiększone ciśnienie znika. – Szasować dieslem!

Wachta wychodzi na pomost. Chwiejba okrętu przekształciła się w ruch do przodu. Uderzenia fal zmieniły się w ostry syk. Gdy wszystko już wzasowano, dowódca rozkazuje: – Zejść ze stanowisk zanurzenia.

Jakiś palacz wspina się do kiosku. Zapala papierosa, przycupuje jak Arab po lewej

stronie i z zamkniętymi oczami oddaje się dobrodziejstwom papierosa. Nim wypalił do końca, z dołu już dobiegają okrzyki kolejnych chętnych na to miejsce.

Popołudnie. Okręt od dwóch godzin płynie w wynurzeniu – dla urozmaicenia „oba pół naprzód”, ale bez ładowania baterii, bowiem są już naładowane. Przy tej skali prędkości okręt osiąga czternaście, do piętnastu węzłów, nie więcej niż dobry rowerzysta.

ALARM! Dźwięk dzwonka trafia mnie prosto w serce. Zatyka mi dech. Cholerny, obłądny sygnał!

Jakiś marynarz wyskakuje z klozetu ze spuszczoneymi spodniami. Słyszę, jak krzyczą za nim: – Wysrać się pięknie do końca!

Diesle stopują, okręt zaczyna się zanurzać.

Co się dzieje? Czy mechanik znowu reguluje tę łajbę? Dopiero teraz spostrzegam: ten alarm jest prawdziwy.

Pozostajemy w zanurzeniu tylko kwadrans. Potem fale syczą znowu na naszej stalowej powłóce.

– Myślę, że... na dzisiaj... wystarczy – wypowiada się główny mechanik.

– Hm – mruczy Stary.

– Stary i Tomki uzupełniają się pierwszorzędnie – słyszę w mesie podoficerskiej narzekającego Zeitlera. – Człowiek ma dużo ruchu.

Włóczęga 1

ŚRODA, PIĄTY DZIEŃ REJSU. Rzępolenie radia powoduje, że leżę w półśnie. Potem trzaska włącz do kambuza. Zgiełk głosów wypełnia całe pomieszczenie. Mat Pilgrim ryczy: – Stołowy, co oznacza ten cipowy szlam na stole? Szybciej, sprzątnąć to!

Przez szczelinę w zasłonie spoglądam w dół. Wichmann wybałusza oczy na plamę z marmolady czteroowocowej i wrzeszczy: – To wygląda tak, jakby jakaś pani wywiesiła proporczyk Z!

Pilgrim i Wichmann znają tylko jeden temat. Niekiedy nie rozumiem ich słownika i ich aluzji.

– Królowna Śnieżka i czerwień róż – mówi Wichmann. Ma szeroko osadzone oczy. Ponieważ są przy tym lekko wypukłe, jego twarz mimo wąskiego podbródka ma w sobie coś żabiego. Żeby jego szczesane do tyłu czarne włosy leżały gładko, Wichmann używa brylantyny w sztabkach, którą starannie wciska między zęby grzebienia, a następnie dokładnie rozprowadza po głowie. Chętnie opowiada, jakie by pragnął mieć życie. Teatr, kabaret, wytworne towarzystwo, to nazywa „swoim snem”. Gaduła, który uważa, że coś mu się należy, ze względu na jego przerwane gimnazjalne wykształcenie. Mimo swych łgarstw jest podobno dobrym marynarzem, jakoby nawet wykrył pierwszy kilka konwojów.

Mat-elektryk Pilgrim jest, podobnie jak jego kolega Rademacher, Turyńczykiem, jest mały, blade i ma spiczastą bródkę. Tyle że gada więcej niż Rademacher.

Teraz Pilgrim i Wichmann wymieniają fachowe uwagi o pewnej określonej damie z burdelu dla marynarzy.

– Nie mogę już tego znosić, tych wiecznych lamentów: „Tylko nie zostań w środku!” Sama powinna uważać! Takie głupoty!

– Ale poza tym ostra jest!

– Porządną dupę ma w każdym razie, to trzeba jej przyznać!

Pauza. Potem znowu słyszę Pilgrima: – Tę małą z kiosku przetrząłem w parku na ławce. Ale pełnego kondona ściągnąłem sobie z palanta dopiero w domu...

Wyłączę z koi.

Język klei mi się jak kawałek skóry do podniebienia. Nie pomaga żadne odchrząkiwanie. Ponieważ nie ma ani łyku wody, muszę chodzić z zaflegmionym gardłem i

ustami. Jeszcze jedno odkaszlnięcie i śluz wypełnia mi usta. Dokąd z tym?

Stołowy melduje, że nakrycie dla mnie już przygotowane. Zaciskam usta i kiwam głową, teraz już ani słowa, bo inaczej flegma wydostanie się na zewnątrz. Znajduję kawałek gazety. Wypluwam wszystko na papier i pięknie zawijam. Zbiera mi się na wymioty. Wreszcie mogę przynajmniej mniej więcej wyraźnym głosem zapytać z centrali w górę: – Jeden na pomost?

– Tak jest! – słychać głos drugiego oficera.

Paczuszkę ze śluzem wsadzam do kieszeni skórzanych spodni i jazda na świeże powietrze.

– Dzień dobry, panie drugi! – mówię i won paczuszkę za burtę, wpuścić wiatr do gardła, potem przejść do ogródka zimowego, zbadać kierunek wiatru i wreszcie – ach, co za dobrodziejstwo! – wysikać się.

Dopiero teraz mogę patrzeć na niebo i morze.

Wkrótce pochylony nad prętami relingu zatracam się w obserwacji wody, która pode mną, hucząc i sycząc, mlecznie zmieszana z powietrzem, przelatuje wzdłuż okrętu. Pęcherze i strzępy piany układają się jak na nie kończącej się tkaninie w coraz to nowe wzory. Odrywam wzrok od białej smugi i kieruję go za rufę. Długi, kilka metrów szeroki tor znaczy naszą drogę. Na nim wysokie fale wygładzają się, jakby przeszedł przez nie walec i przyduśił wszystko, co wystaje.

Potem pytam drugiego oficera: – Co to jest proporczyk Z?

Drugi natychmiast wyjaśnia z zapalem: – Proporczyk Z to sygnał ataku. Proporczyk Z jest czerwony!

– A, to świntuchy! – Wrywa mi się.

Drugi oficer patrzy na mnie zdumiony.

– Dziękuję! – mówię i znikam w luku kiosku.

Sternik w kiosku niemal nie potrzebuje kręcić sterem. Pod wskazówką przełożenia steru chwieje się stale ta sama liczba na tarczy kompasu: dwieście sześćdziesiąt pięć stopni. Idziemy stałym kursem. Ażeby dotrzeć do naszego rejonu operacyjnego, potrzebujemy według obliczeń starszego sternika jeszcze dziesięć dni przy prędkości marszowej. Moglibyśmy tam być szybciej, gdyby diesle szły całą naprzód. Wybraliśmy jednak prędkość marszową, bowiem pochłania najmniej paliwa. Musimy nasze rezerwy mocy zachować na polowanie.

Przy śniadaniu na próżno czekam na dowódcę.

Wzdrygam się na głos dzwonka alarmowego. Samolot! – przenika mnie myśl.

Samolot! Cholerne ścierwo!

Przez otwarte drzwi dostrzegam jednak dowódcę w centrali. W rękę ma stoper.

Bogu dzięki. Alarm próbny! Stary kontroluje ze stoperem w garści, ile czasu potrzeba od sygnału alarmowego do zanurzenia okrętu.

W mesie robi się gwałtowne zamieszanie, tak że muszę usunąć się na bok. Okręt już się przechyla. Próbuję utrzymać talerze na stole, ale dwa czy trzy spadają na podłogę.

Myślę o tym, co się już zdarzało przy alarmach próbnym: na okręcie Kerschbaumera ktoś przez omyłkę zamknął zawory przewodów manometru głębokości. Kerschbaumer chciał szybko zejść na osiemdziesiąt metrów. Okręt nurkował odpowiednio. Skoro jednak wskazówka manometru nie ruszała się, Kerschbaumer myślał, że okręt ciągle jest na powierzchni, i kazał dopuszczać więcej wody. Potem jeszcze więcej, aż nagle zauważono błąd. Wtedy jednak okręt był już na dwustu metrach przy gwarancji stoczni do dziewięćdziesięciu metrów.

Gdy siedzimy przy obiedzie, następuje kolejny alarm próbny. Główny mechanik, zrywając się, zrzuca ze stołu pełną wazę zupy, i to prosto na drugiego oficera.

Jak się zdaje, Stary nie jest zadowolony również z drugiego alarmu próbnego: ani słowa uznania.

Koło godziny szesnastej następuje trzeci alarm.

Filizanki do herbaty spadają i tłuką się.

– Jeśli tak dalej pójdzie, szybko będziemy jedli łapami i chlali z garnków – narzeka jakiś bosman.

Wreszcie dowódca mówi: – Gra.

W centrali przy stole nakresowym próbuję dalej zapoznawać się z techniką. Wybuchający spór między Frenssenem a Wichmannem – wieczną kłótnię między maszyną a pokładem – kończy starszy sternik przez samo zjawienie się. Wichmann jeszcze zdążył nazwać diesle Frenssena „śmierdzielami”, na co Frenssen błyskawicznie przesunął swoje zasmarowane olejem łapy w bezpośrednie sąsiedztwo twarzy Wichmanna.

Gdy nastąpił spokój, mogę znowu skoncentrować się na systemie balastów. Do urządzeń zanurzenia okrętu podwodnego należą przede wszystkim zbiorniki balastowe. Gdy są wypełnione powietrzem, zapewniają potrzebną zdolność pływania. Jest ich trzy. Znajdują się wewnątrz i na zewnątrz sztywnego kadłuba. Wewnętrzny zbiornik balastowy ma takie wymiary, że okręt może na nim jednym pływać, gdyby zewnętrzne zostały uszkodzone.

W dolnej części balastów znajdują się zawory dopływu wody, a u góry odwietrzniki. Do zanurzenia jedne i drugie muszą być otworzone. Powietrze ucieka przez odwietrzniki, a

przez zawory denne wpływa woda. Poza balastami, okręt ma również zbiornik paliwa. Znajdują się one na zewnątrz, zaraz po wyjściu z bazy, są napełnione ropą. Dopiero po jej zużyciu wykorzystuje się je jako rezerwuary powietrza, które zapewniają dodatkowy wypór. W zależności od tego, czy w zbiornikach mamy ropę, czy powietrze, mówimy o stanie pływania A albo B.

Oprócz balastów i zbiorników paliwa okręt ma jeszcze zbiorniki regulacyjne i trymowe. Utracony skutek zużycia żywności, wody i ropy ciężar zastępuje się wpuszczaną do zbiorników regulacyjnych wodą morską. Zbiorniki regulacyjne znajdują się na wysokości centrali. Istnieje zasada: ciężar okrętu należy tak określić przez wpuszczanie albo wydalenie wody, żeby odpowiadał ciężarowi wody wypieranej przez okręt.

Zbiorniki trymowe służą do korygowania położenia zanurzonego okrętu. Kiedy okręt ma przegłębienie na dziób albo na rufę, można go znowu położyć na równej ściepce, przepompowując wodę między dwoma zbiornikami trymowymi, to znaczy – osiągnąć trym zerowy. Zbiorniki trymowe są szczególnie ważne dla okrętu, są naszą sztangą balansową, bowiem w wodzie okręt ma tendencję przechylania się zarówno wzdłuż, jak też na oba boki, co oznacza: równowaga wzdłużna okrętu jest pod wodą równa jego równowadze poprzecznej. Na okrętach nawodnych wygląda to inaczej. Przechylają się wprawdzie przy gwałtownej fali również mocno w bok, ale nie mają tendencji do stawania na głowie. Ich równowaga wzdłużna jest znacznie większa niż równowaga poprzeczna.

Jednak na okrętach podwodnych mogą występować pod wodą zakłócenia aż do czterdziestu stopni. W przeciwieństwie do okrętu nawodnego podwodny w zanurzeniu jest nadzwyczajnie wrażliwy na wszelkie przemieszczenia ciężaru i tylko z trudem daje się utrzymać na równej ściepce. Dlatego konstruktorzy nadali zbiornikom trymowym największą skuteczność, umieszczając je na zewnętrznych krańcach okrętu. W stosunku do centrali znajdują się one w pewnym sensie na długich dźwigniach.

Kiedy w zanurzonej okręcie przeniesie się z centrali do dziobowego cetnar ziemniaków, następuje trym na dziób. By to wyrównać, należy przepompować z centrali dwadzieścia pięć litrów na rufę. Tylko połowę wagi ziemniaków, ponieważ woda pochodzi ze zbiornika trymowego na drugim końcu okrętu. Część dziobowa zostanie przez to jednocześnie odciążona o połowę wagi ziemniaków. Gdyby jednak cetnar ziemniaków przeniesiono do dziobowego z maszynowni elektrycznej, obliczenie trymu wyglądałoby znowu inaczej. Wtedy trzeba byłoby przepompować pięćdziesiąt litrów z dziobu na rufę.

Wbijam sobie do głowy żelazną regułę: dzięki zbiornikom regulacyjnym można zmienić wypór okrętu, przez zbiorniki trymowe – położenie okrętu w wodzie.

Po kolacji włączę znowu do mojej koi, śmiertelnie zmęczony.

Młodzi podoficerowie, z którymi dzielę pomieszczenie, nie robią sobie ze mną, Bóg mi świadkiem, jakichkolwiek subiekcji. Kiedy leżę na koi, bez skrepowania biorą się za temat numer jeden. Mam wrażenie, że wystarczy, bym zaciągnął zasłony, aby już więcej dla nich nie istnieć. Wydaje mi się, że jestem zoologiem, który przyzwyczał do swego istnienia zwierzęta, jakie chce obserwować.

Dzień rozpoczął się z Pilgrimem i Wichmannem, teraz odprowadzają mnie do łóżka Frenssen i Zeitler. Ich obsceniczna fantazja musi być niewyczerpana. Wiele bym dał, żeby wiedzieć, czy Zeitler i Frenssen rzeczywiście przeżyli wszystko, co podają do publicznej wiadomości. Czy naprawdę są weteranami burdeli, tak jak się przedstawiają? Coś niecoś chyba należy im obu wierzyć.

Bosman Zeitler pochodzi z północnych Niemiec. Jego blada twarz nastolatka z rzadką szczeciną bródki nie pasuje ani do jego cynicznego gadania, ani do jego postawy zapaśnika wagi ciężkiej. Podobno jako marynarz jest pierwszorzędny. Nic go nie złamie. Należy do pierwszej wachty. Jeśli się nie mylę, Stary ma do niego większe zaufanie niż do pierwszego oficera.

Motorzysta Frenssen jest kanciastym chłopakiem i emanuje poczuciem pewności siebie, gdziekolwiek się zjawi. Nawet najmniejszy cień zwątpienia nie rysuje się na jego czole.

Frenssen pochodzi z Cottbus. Chętnie pozuje na bezwzględного faceta: całkiem jak gardzący ludźmi desperat z trzeciorzędnych kowbojskich filmów. Swe ponure, zacięte spojrzenie musiał studiować przed lustrem. Motorzyści – Ario i Sablonski – którzy należą do jego wachty, z pewnością nie mają z nim lekkiego życia. Frenssen nie ma więcej niż dwadzieścia jeden lat. Gnieździ się tuż pode mną.

Przez zaciągniętą do połowy firankę mojej koi słyszę:

- Ależ tu śmierdzi świńsko!
- Nie możesz żądać, żeby zalatywało kotem!

Stękanie i ziewanie.

- Niby co by to było?
- To, w co możesz się spuścić!

Przez chwilę słysząc tylko mlaskanie.

- Pewnie ci żal, że ty robiłeś to tylko paluchami.
- Ach, zamknij mordę! Tak jak ty to robisz kutasem, ja zawsze mogę jeszcze dużym

palcem od nogi.

– Jasne, kto pochodzi z Cottbus, ten robi to dużym palcem!

Słyszę sapanie, głośnie ziewanie, węszenie.

– Tak czy inaczej, teraz to już koniec z pierdoleniem. Teraz one dają się ruchać komu innemu, twoja mała również!

– Powiedział, co wiedział! Powinni cię odkomenderować do sztabu z taką mądrą główką. Tam potrzebują takich jak ty do wtykania chorągiewek.

– Musiałbyś ją zakleić, żeby nie mieć więcej dziurowych szwagrów! One rzną się, ile wlezie, a cóżeś myślał?

Szczęknięcie naczyń, szuranie butami.

Moja zasłona wydyma się do wnętrza, ponieważ ktoś przeciska się między stołem a kojami. Potem znowu słyszę głosy.

– Trochę odpoczynku po takim urlopie by nie zaszkodziło. Jeden nalot za drugim. Ja w każdym razie miałem dość. W porównaniu z tym to tutaj jest spokój.

– Człowieku, nie wywołuj wilka z lasu!

– Nawet jednego porządnego numeru nie mógł człowiek odrobić... nawet w południe w altanie!

Potem następuje wyjaśnienie: – Oni mianowicie mają taki ogródek działkowy z drewnianą budą. Picobello! Kanapa, lodówka – wszystko pod ręką. Ale ledwie człowiek znalazł się w środku, te cholerne syreny zaczynają wyć, a laleczka się denerwuje! To już nikomu nie robi przyjemności...

CZWARTEK, SZÓSTY DZIEŃ REJSU. Rano, jeszcze przed śniadaniem, jestem z dowódcą na pomoście.

Niebo pokrywają turkusowobłękitne batikowe chmury, połączone między sobą delikatnymi żyłkami. Wszędzie przebija czerwonawe tło. Nagle tło zaczyna świecić i jego promienie niszczą turkusowy błękit chmur. Czerwony żar opanowuje wschodnią część nieba, podnosi się za chmurami i przebija z każdej przerwy między nimi. Również i płaszczyzny chmur są usiane świecącymi punktami. Powoli migotanie i błyski matowieją, jakby światło się wyczerpało. Kolory nieba stają się bardziej pastelowe: słońce weszło za chmurami.

– Przyjemne morze dzisiaj! – mówi dowódca.

Podczas zmiany wachty wydaje mi się, że odkryłem nowe twarze.

– Nigdy nie widziałem człowieka! – mruczę, gdy znowu jakiś nieznajomy wychodzi z luku kiosku.

– Pięćdziesięciu ludzi to już cały tłum – mówi Stary. – Mnie również się zdarzało, że nie poznawałem własnych podwładnych. A niektórzy z nich potrafią się całkowicie przemienić, po prostu nie można ich rozpoznać, gdy zgołą te pasyjne brody. Po wejściu do bazy, kiedy się już ogolili i potem wychodzą na wachtę, wciąż pytam samego siebie: co to, jak to... z tym przedszkolem wypłynąłeś na morze? To przecież wszystko mleczaki, noworodki, które powinny być jeszcze przy matczynej piersi... I mówiłem sobie również: na miłość boską, w kronice tygodniowej i w gazetach powinny być tylko zdjęcia wchodzących okrętów, a więc wyłącznie z brodatą załogą. Ale nigdy wypływających z tymi oseskami. Po prostu ze względu na życie uczuciowe naszych przeciwników.

Stary pozwala mi jak zwykle przez chwilę zgadywać, co właściwie miał na myśli, nim zacznie mówić dalej: – Tomki muszą się wstydzić, kiedy zobaczą, kto im urządza to całe piekło: to przecież przedszkole z paroma hitlerjungami w roli oficerów. Człowiekowi wydaje się, że jest staruszkami przy tych wszystkich mleczakach. Zupełnie dziecięca wyprawa krzyżowa!

Najbardziej zmienił się Stary. Takiego, jak jest teraz, nigdy nie znałem. Zazwyczaj był milczący i mrukliwy, co prawda nie tak jak ktoś, kto nie jest zadowolony ze swego losu, ale tak jak człowiek zamknięty w sobie, powolny, zadumany. A teraz ciągle mówi – utykając wprawdzie, jak to ma w zwyczaju, ale długimi zdaniem.

Wszystkie rzeczy na okręcie znalazły już swoje stałe miejsce. Ani jedna skrzynia nie tarasuje przejścia i nie trzeba chodzić, pochylając głowę. Ludzie nie mają już zapuchniętych oczu. Dni wpadły w swój równomierny rytm. Wszystko działa teraz według rutyny okrętowej, co jest błogosławieństwem po zdenerwowaniu pierwszego okresu.

Mimo to czuję się tak, jakby między mną a rzeczywistością rozciągała się jakaś cienka błonka. Żyję jak w lekkim transie. Zmieszanie i konsternacja wobec tylu przewodów, manometrów, agregatów i zaworów wprawdzie ustąpiły – wiem teraz, do których zbiorników balastowych, regulacyjnych i trytowych prowadzą rurociągi i nawet którymi zaworami mogą być zamknięte. Pokręta, dźwignie, zawory i chaos przewodów uporządkowały się w przejrzysty system i odczuwam coś w rodzaju wielkiego poważania dla tego świata maszyn, nastawionego na rzeczowe spełnienie celu – niemniej trafia się jeszcze wiele rzeczy, które odbieram ze zdumieniem, jak prawdziwy cud.

Główny mechanik wyraźnie wziął sobie na ambit, żeby mnie stale zaskakiwać.

– Poza tym można okręt zawiesić na peryskopie – rzuca mimochodem i obserwuje kątem oka, czy chwyć przynętę.

– Zawiesić na peryskopie? – udaję zdumionego i obrzucam mechanika, jak tego oczekiwał, pytającym spojrzeniem.

– Tak – potwierdza mechanik. – Kiedy pod wodą odstawię maszyny, okręt podnosi się albo opada. Nie można go wyważyć tak dokładnie, by nie wykazywał tendencji do wznoszenia się albo opadania. Aby go utrzymać na równej głębokości, potrzebne mi jest działanie śrub i sterów.

Kiwam głową na znak, że jest to znane i oczywiste.

Teraz mechanik podnosi brwi, patrzy mi w twarz i mówi: – Przy spokojnej pogodzie mogę jednak dobrze wyważony okręt utrzymać na peryskopowej z wyłączonymi silnikami. To wygląda tak: kiedy okręt z wysuniętym peryskopem ma tendencję do zanurzania się, jego objętość w wodzie natychmiast się zwiększa, ponieważ części peryskopu, które jeszcze wystawały nad powierzchnię, teraz znalazły się w wodzie. Jeśli objętość okrętu się zwiększa, zwiększa się również wyporność. Logiczne?

Główny mechanik czeka, aż skinę głową, a potem rezonuje dalej: – Przez zwiększenie wyporności zostanie usunięta jednak tendencja do opadania i nawet zamieniona w tendencję do wznoszenia się. Również logiczne! Okręt znów się wynurza, peryskop wysuwa się wyżej, pojemność okrętu robi się znowu mniejsza, aż wreszcie ponownie wykaże tendencję do opadania. I tak to idzie dalej, ciągle w górę i w dół, aż okręt powoli zacznie się wahać na peryskopie.

– Wyrafinowane!

Po mechaniku widać, że jeszcze nie skończył. Pozwala mi tylko na krótką przerwę, po czym mówi dalej: – Gdy, na przykład, model okrętu podwodnego zanurzyć w misce... – ale wtedy podnoszę ręce do góry na znak kapitulacji. Główny mechanik udziela mi pardonu i zamiast tokować dalej, pociąga parę łyków z mojej butelki z sokiem jabłkowym.

Jeszcze nie rozszyfrowałem dokładnie drugiego mechanika. Nie jest dla mnie jasne, czy nie reaguje na wyzwania słowne dowódcy z tępoty, czy braku dowcipu. Nawet gdy dowódca z jowialną serdecznością wychodzi mu naprzeciw, drugi nie odpowiada. Prawdopodobnie jest całkowicie pozbawiony wyobraźni, typowy produkt jednostronnego wychowania w podchorążówce, które dąży do wyprodukowania ograniczonego, pozbawionego mózgu wypełniacza obowiązków, tępo oddanego führerowi.

Z jego życia prywatnego znam tylko najważniejsze fakty, nie więcej niż zawiera ich ankieta personalna. Ale i o innych oficerach wiem tyle samo.

Tylko główny mechanik opowiedział mi coś niecoś o swoich stosunkach rodzinnych. Jego żona spodziewa się dziecka. Matka nie żyje. Podczas urlopu odwiedził ojca. – To nie

było udane spotkanie – opowiadał mi. – Porobił sobie takie podstawki z błyszczącymi niebieskimi motylami. Szlifowane kieliszki. Nalewka własnego wyrobu. Był dyrektorem elektrowni wodnej. Przywiozłem mu różnego rodzaju zapasy. Nie chciał z tego nic jeść. Mówił, że zostało to zabrane walczącemu frontowi i tym podobne bzdury. Każdego ranka spacerował sztywno koło mego łóżka wte i wewte. Ani słowa, tylko pełne wyrzutu milczenie. Pokój, w którym musiałem mieszkać, był jak zmora senna: anioły z kaplicy sykstyńskiej nad łóżkiem. Kawałek brzozy z naklejonymi pocztówkami. W gruncie rzeczy to biedny człeczyna taki wdowiec. Jak on żyje: trzy razy dziennie zupa, a wieczorem coś ciepłego do picia. Komiczne, wszystko w nim jest niebieskie: twarz, ręce, garnitur... Wszystko niebieskie. Swoje rzeczy wiesza wieczorem na czterech krzesłach, potem je stamtąd zdejmuje i kładzie znowu. Kiedyś skonstruował nowy typ zlewu. Z tego żyje do tej pory... sławy wynalazcy. A teraz wygina druty do roślin pnących i wymienia je na coś do jedzenia. Omastę do chleba sfabrykował sam z drożdży. Potworne świństwo. „To całkiem jadalne” – według jego zdania. „Będę rozdawał paniom. Ważne jest sprawianie ludziom radości!” – To również coś w rodzaju jego hasła. Zawsze próbuje udowodnić, że nie jest taki, na jakiego wygląda. Uważa się mianowicie za wielkiego Nemroda. W portfelu nosi wyblakłą fotografię. „Moje trofeum 1926” pisze na niej. Jest to tak zwany dublet. Mój Boże...

Na polecenie Starego pierwszy oficer odczytuje sentencję kalendarzową na bieżący dzień: „Każdemu najlepiej dostoi to, co jest u niego najnaturalniejsze – Cicero”.

– Jak proszę? – pyta ironicznie główny mechanik, a Stary nagle budzi się z drzemki.

Pierwszy oficer mruga powiekami, jak zawsze, gdy coś go zakłopotало. Upuszczam na chodnik łyżkę pełną jajecznicą. Pierwszy oficer powtarza z pośpiechem: „Każdemu najlepiej dostoi to, co jest u niego najnaturalniejsze”.

– Niech pan pokaże! – żąda Stary z niedowierzaniem.

– Z samego rana! – czif udaje oburzenie. – Ten Cicero!

Pierwszy oficer czerwienieje na twarzy.

– Coś takiego! – mówi czif.

Kartka przechodzi z ręki do ręki. Pierwszy oficer opuścił głowę, jakby musiał patrzeć nad oprawą okularów.

Potem kartka trafia do matów. Kiedy jeszcze rozmyślam, jak mogła już tam zawędrować, słyszę wyjaśnienie Frenssena:

– W szpitalu również wszystkim wcześniej stał... jak wieża Eiffla. Mieliśmy taką siostrę, przynosiła wcześniej kaczkę. No, ona miała pierwszorzędnie elegancki sposób, żeby

każdemu położyć kutasa... tak przez wierzch dłoni. Tak, to naprawdę było niezłe...

– Powinni wam dawać więcej sody – oznajmia berlińczyk Dorian ze swej koi. Odsuwa trochę zasłonę i uśmiecha się kpiąco. Ze swoimi piegami na nosie i sterczącą rudawą czupryną na brodzie wygląda bezczelnie i łobuzersko.

Soda. Natychmiast czuję na języku smak tego proszku eunuchów. Już w Służbie Pracy się to zaczęło. Najpierw zachodziliśmy w głowę, co to za świńskie zioła mieszają nam do herbaty, aż wreszcie wyszło na jaw: to była soda! Ten napój nazywaliśmy „zwisolinem”.

– To był jeden z broni torpedowej... mechanik torpedowy – powiedział Stary za jakimś marynarzem, który przechodził z dziobu na rufę. – Nazywają go „Umęcz”.

Mija sporo czasu, nim wreszcie decyduje się na wyjaśnienie: – To nie pochodzi od męczenia, tylko nazywają go tak z powodu wąsików. Trudno na to wpaść bez dalszych wyjaśnień, co? A więc doszło do tego tak: powiedziałem kiedyś, że chłopak wygląda z tym wąsikiem zupełnie jak Menjou, bohater filmowy. Marynarze przekręcili to na Męcz-U, a ponieważ wydawało im się, że U stoi na niewłaściwym miejscu, przenieśli je na początek i obecnie nazywają faceta Umęcz. Co za etymolodzy!

Kuk Katter przechodzi teraz i szeroko uśmiecha się do dowódcy. Na głowie ma małą czarną furażerkę, która wygląda tak, jakby ją włożył dla żartów. Szyję ma tak krótką i mocną, że niemal łączy się z okrągłą głową. Potężne mięśnie uwypuklają się na gołych przedramionach.

– Kucharza musieliśmy już trzy razy wyciągać z więzień za pomocą dalekopisu – mówi Stary. – Teraz ma w ogóle całkowity zakaz urlopów. Nie możemy go nawet puścić do Niemiec.

No i patrzcie, myślę sobie, nasz stale przyjacielsko uśmiechający się kuk! To właśnie o tym Stary miał mi powiedzieć...

– Kuk, mianowicie, postępuje tak, jakbym na świecie istniał tylko ja jako przełożony i najwyższa instancja. „Niech to pań lepiej powie mojemu dowódcy”, „Niech się pan lepiej z tym zwróci do mojego dowódcy!” Wierna, oddana dusza! Ma coś w rodzaju mentalności owczarka: gryzie, gdy ktoś się znajdzie zbyt blisko niego.

Mogę sobie wyobrazić, co się dzieje, kiedy kucharz z Żelaznym Krzyżem pierwszej klasy i odznaką broni podwodnej na piersi, w zbakierowanej czapce ze wstążkami na okrągłej czaszce, napotyka patrol żandarmerii polowej.

Przypominam sobie marynarza z okrętu Kallmana, któremu trudności przystosowania się do zwykłego wojskowego drylu uratowały życie: za niedbałe salutowanie zamknięto go w areszcie, gdy jego okręt wychodził w morze. W tydzień później okręt zatonął.

– Niestety, kuk połapał się, że pyskując, nic właściwie nie ryzykuje – mówi Stary. – Jest potrzebny na okręcie. Tak dobrych kucharzy wydział kadr nie ma już dziś do dyspozycji, Kucharzy z Krzyżem Żelaznym także nie spotyka się często.

Teraz do mnie należy podtrzymanie rozmowy pytaniem: – Jak go zdobył?

– Zareagował fantastycznie, gdy wybuch bomby głębinowej otworzył właz kambuza i cały potop wlewał się do wnętrza. Udało mu się znowu uszczelnić właz. Gdyby tego nie zrobił, byłby już na tamym świecie, gdyż okrętu nie dałoby się ocalić. Grodzie kuliste też by nic nie pomogły, bowiem w tym okręcie, kiedy jeden z trzech przedziałów zostanie zatopiony... No, przecież pan wie.

W dziobowym. Nowy z centrali wypytuje się ostrożnie, jaki jest dowódca. Ten z pomostu wyjaśnia mu: – Stary? No, to jest komiczny facet. Zawsze się dziwię, jak on się cieszy, kiedy znowu wychodzimy w morze. Zawsze sobie mówię: coś się tu nie zgadza. Podobno jest zaręczony z taką jedną hitlerówką. Wiele się nie dowiesz. Wdowa po lotniku. Widać ciągle jeszcze sprawdza: najpierw lotnictwo, a teraz marynarka wojenna. Dobrze obsłużony Stary na pewno nie jest. To musi być cizia, która zadziera nosa. To, co widać na zdjęciu: długie nogi, całkiem porządny wodospad... no tak! Stary zasłużył sobie z pewnością na coś lepszego.

– Hitlerówki podobno są całkiem niezłe – słyszę głos Schwallego.

– Skąd wiesz?

– Przecież uczą ich różnych rzeczy w państwowej szkole narzeczonych. Na przykład, muszą sobie wsadzić kawałek kredy w tyłek i napisać na tablicy: „otto-otto-otto”. Przez to nabierają giętkości.

Podnosi się tak wielki ryk, że Schwalle nie może dokończyć.

Wreszcie Jednotancerz odchrząkuje kilkakrotnie i stopniowo zalega pełne oczekiwania milczenie. Gdy już nikt nawet nie mruknie, odzywa się Jednotancerz: – Wszystko ma koniec, tylko kiełbasa ma dwa...

Uporządkowanych opowiadań z pewnością nie należy się już spodziewać.

Wiele razy w ciągu dnia przechodząc koło otwartego włazu pomieszczenia radiowego, zauważałem sylwetkę radiotelegrafisty Herrmanna. Czy też może jest to Hinrich? Między blatami stołów, na których stoją jego aparaty, przykucnął w jakiś niezwykle skomplikowany sposób. W rękę prawie zawsze ma książkę. Słuchawki tak przekręcił, że tylko jedna muszla dotyka ucha. W ten sposób może słyszeć jednocześnie napływające znaki Morse'a, a wolnym

uchem – rozkazy wydawane na okręcie.

Herrmann znajduje się na pokładzie naszego okrętu od czasu jego wejścia do służby. Ma koję w mesie podoficerskiej naprzeciwko mojej. Od dowódcy dowiedziałem się, że ojciec Herrmanna był oficerem pokładowym na krążowniku, wraz z którym zatonął w roku 1917.

– Chłopak ma całkiem typowy życiorys – wyjaśnił mi dowódca. – Najpierw szkoła handlowa, potem do marynarki. W tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym roku jako radiotelegrafista na krążowniku „Köln”, później mat-radiotelegrafista na torpedowcu, dalej szkoła podwodniaków i wreszcie razem ze mną w akcji norweskiej. Parę razy zarobił sobie Krzyż Żelazny. Dostanie niebawem „sadzone jajko”.

Herrmann jest milczącym i szczególnie bladym mężczyzną. Podobnie jak główny mechanik porusza się po okręcie tak zręcznie, jakby nie istniały dla niego żadne przeszkody. Nigdy nie widziałem u niego obojętnego wyrazu twarzy, tylko zawsze nieco napięty. Ma w sobie coś zwierzęcego.

Jest nieśmiały i zamknięty w sobie. W towarzystwie matów trzyma się na uboczu. On i podchorąży Ulmann to jedyni, którzy nie dotykają kart do skata, a za to chętniej czytają.

Nachylałem się nad stołem Herrmanna i słyszę ze słuchawek cieniutkie tony, jak ciche brzęczenie owadów. Jeszcze ani ja, ani Herrmann nie wiemy, czy dyktando, nadawane w tej samej chwili z odległości setek albo tysięcy mil morskich dotyczy nas, czy nie.

Radzik podnosi głowę. Jego spojrzenie znowu robi się ostre. Ze swej szafki wydobywa kartkę papieru z bezsensowną zbieraniną liter. Drugi oficer chwyta ją i natychmiast z zapalonym zabiera się do odszyfrowywania.

Już po kilku minutach ma otwarty tekst: „Do DOP – z konwoju dwa frachtowce 5000 i 6000 BRT – siedem godzin pościgu z bombami głębinowymi – odpędzony – nacieram ponownie UW”. Drugi oficer wpisuje ten radiogram do dziennika radiowego i daje dowódcy do przeczytania. Dowódca podpisuje i podaje dziennik dalej. Czyta go pierwszy oficer i również podpisuje. Wreszcie drugi owu zwraca dziennik radzikowi.

Typowy sygnał, który zamyka historię ataku w najpotrzebniejszych słowach: sukces, ujęcie z życiem po siedmiu godzinach ataku bombowego i kontynuacja ataku mimo obrony.

– Jedenaście tysięcy BRT to nieźle. UW to jest Bischof – mówi Stary. – Wkrótce będzie chciał dostać Krzyż Rycerski.

Ani słowa o siedmiu godzinach obrzucania bombami głębinowymi. Stary udaje, jakby w sygnale nie było o tym ani słowa.

Minęło kilka minut i radiowiec znowu wydaje dziennik. Teraz to telegram DOP-a do okrętu, który znajduje się daleko na północy. Z największą prędkością ma się przenieść do

nowego rejonu ataku. Prawdopodobnie spodziewają się tam konwoju. Po niewidocznych nitkach radiowych okręt ściągany jest do określonego miejsca na Atlantyku. Poprzez tysiące mil morskich kierują nim z centrali dowódcy. Podejmuje na nowo łowy, nie widząc ani śladu nieprzyjaciela. Na wielkiej mapie w sztabie DOP-a zostanie przesunięta jedna z czerwonych chorągiewek, które oznaczają położenie okrętu.

Spokojny kurs pod wodą podczas codziennego nurkowania próbnego wykorzystuje się w przedziale dziobowym do regulacji torped.

Dziobowy zamienia się w halę maszyn. Hamaki zostają zwinięte, koje podniesione. Ludzie pościągali koszule. Do szyn ładowniczych przyczepiają liny na blokach. Potem otwiera się pokrywę pierwszej wyrzutni. Horyzontalnie przesuwające się na blokach liny wyciągają z rury pierwszą, grubo natłuszczoną i matowo połyskującą torpedę. Podtrzymują ją specjalne uchwyty. Po komendzie mechanika torpedowego wszyscy chwytają napięte na blokach liny, tak jakby ciągnęli cumę. Wywleczona do połowy torpeda stopniowo całkowicie wyslizguje się z rury. Teraz zwisa swobodnie na szynie ładowniczej i mimo że waży trzydzieści cetnarów, można nią lekko poruszać w przód, w tył i na oba boki.

– Ładny prosiak, co? – pyta mnie Ario i deklamuje: – Kto pracę zna, a się nie dekuje, ten szybko zwariuje!

Każdy z ludzi ma swoje zadanie: jeden sprawdza, czy silnik napędowy funkcjonuje, drugi – czy wszystkie łożyska i wały łatwo się obracają. Inni zakładają węże do sprężonego powietrza i napełniają nim komory powietrzne torpedy. Sprawdza się aparaty sterów kierunkowych i głębokości i uzupełnia oliwą w miejscach smarowania. Potem po wielu okrzykach „hej-hop!” torpeda znowu zostaje wsunięta do rury.

Potem rozpoczyna się ta sama procedura z drugą torpedą. Chłopcy, jak się zdaje, złapali dryg. – Wyłaż z pani! – ryczy Dunlop. – Dość tego dobrego! Tam ludzie stoją w kolejce, a ten nie chce wyleźć. Ruszcie się trochę, lenie. Sami cholerni alfonsi i ani jednego pracowitego.

Gdy wreszcie pokrywy wyrzutni zostają znowu dokręcone, zsuwa się na bok talię szyn ładunkowych i zwija liny. Teraz można również opuścić koje. Pomieszczenie zmienia się stopniowo w tę jaskinię do mieszkania, do której się przyzwyczailiśmy. Załoga dziobowego kuca całkowicie wyczerpana na deskach podłogi, pod którymi spoczywa drugi ładunek torped.

– Niedługo trzeba będzie wyciągnąć i te bydlaki – mruczy Ario.

O granaty do osiemdziesiątki nikt nie potrzebuje się troszczyć. Natomiast wysoce wrażliwe torpedy wymagają stałej opieki. Właściwie nie są to pociski, tylko małe

okręty z wysoce skomplikowanymi urządzeniami napędowymi. Oprócz sterów kierunkowych, tak jak każdy okręt, mają również stery głębokości. W gruncie rzeczy są małymi samodzielnymi okrętami podwodnymi z ładunkiem trzystu pięćdziesięciu kilogramów trotylu.

Dawniej nie mówiło się „strzelać torpedy”, tylko „wypuszczać torpedy”. To dokładniej oddawało istotę rzeczy: te precyzyjne półtoratonowe maszyny podwodne właściwie tylko za pomocą jednego impulsu wypuszczamy z rur w drogę. Potem biegną już o własnej sile – poruszane sprężonym powietrzem albo elektrycznie – i sterują według określonego z góry kursu.

Cztery z czternastu torped znajdują się w wyrzutniach dziobowych, jedna w wyrzutni rufowej: są to torpedy G7A, napędzane sprężonym powietrzem z komorami powietrznymi. Trzy mają zapalniki uderzeniowe, zaś trzy odległościowe. Zapalniki uderzeniowe detonują swój ładunek wybuchowy przy uderzeniu o statek w ten sposób, że wrywają dziury w burcie. Bardziej skomplikowane i z tego powodu wrażliwsze zapalniki odległościowe z magnetycznymi spłonkami detonują odpowiednio głęboko nastawioną torpedę w chwili jej przejścia pod statkiem. Podmuch detonacji trafia więc w miejsce konstrukcyjnie najsłabsze.

Dni mijają w ciągłej zmianie wacht. Ten sam system co na wszystkich okrętach całego świata. Załoga maszynowa odbywa wachty sześciogodzinne, pokładowa trzy wachty po cztery godziny. Po czterech godzinach wachty załoga pokładowa ma osiem godzin wolnego.

Pierwszą wachtą dowodzi pierwszy oficer, drugą drugi, trzecią starszy sternik.

Pierwsza wachta – to widzę wyraźnie – przysparza Staremu najwięcej trosk. Wprawdzie pierwszy oficer sprawia wrażenie bardzo biegłego, ale Stary nie daje się oszukać. Uważa go za markieranta. Szczęście, że na tej wachtce jest Zeitler. Kiedy Zeitler stoi na pomoście, jest zupełnie jak odmieniony. Z lornetą przy oczach koncentruje się całkowicie na obserwacji swojego sektora, zapominając, jak się zdaje, o seksualnych fantazjach.

Na miejsce Jensa, który zachorował na gripę i należy do drugiej wachty na pomoście, mam wskoczyć ja. A więc wachta nocna od godziny czwartej do ósmej czasu pokładowego.

Budzę się już o trzeciej, pół godziny za wcześnie. W centrali panuje cisza, lampy są przyćmione. Znowu mam wrażenie, jakby pomieszczenie to rozciągało się na wszystkie głębie.

Od mata z centrali zasięgam informacji o pogodzie. „Zalewa nas rzadko, ale jest zimno!” To oznacza: wziąć wełniany szal i gruby sweter, i może nawet moją wełnianą kominiarkę pod zjudwestkę. Ściągam swoje manele w jedno miejsce i rozglądam się dokoła.

Oczy przyzwyczały mi się już do przyćmionego światła. Teraz każde urządzenie, każdą część sprzętu oglądam pojedynczo i wymieniam ich nazwę w pamięci, jakbym jednocześnie sporządzał inwentarz i musiał skontrolować, czy wszystko jest na swoim miejscu: oba wskaźniki obrotów wałów, stół nakresowy z wyciągniętą na długim ramieniu lampą, będący polem operacyjnym dla naszych nawigatorów, wielka skrzynia, metalowe monstrum, dobre dwa metry sześciennie pojemności z mapami wszystkich akwentów, na które mądra decyzja DOP-u może nasz okręt skierować – zbiór, jaki trudno by znaleźć na pokładzie jakiegoś innego okrętu. Dotychczas nie używana echosonda; aparat do świeżej wody; pulpit centralny. To wszystko jeszcze łatwo przejrzeć, ale teraz zaczyna się chaos: pokrętła i dźwignie do odwietrzników poszczególnych balastów.

Rozpoznaję przełącznik na sterowanie ręczne steru głębokości. Po prawej burcie – nieco w prawo od steru głębokości – mnóstwo uszeregowanych jedno nad drugim pokręteł, które prawie całkowicie wypełniają wąską przestrzeń między kadłubem sztywnym i studzienką peryskopu: „choinka” z kolektorami szasu oraz wysokiego i niskiego ciśnienia.

Na każdy balast i każdą połówkę balastu siedzi tu jeden zawór. Pokrętła nad „choinką” są rozdzielnicami szasu dla zbiorników paliwa i regulacyjnych. Przewody wszystkich butli sprężonego powietrza schodzą się tutaj razem.

Rozpoznaję również zawory niskiego ciśnienia, które napełniane są z kolektora wysokiego ciśnienia poprzez automaty redukujące. (Powietrze z butli nie może być kierowane bezpośrednio do zbiorników, ponieważ ma zbyt wysokie ciśnienie. Balasty nie wytrzymałyby go, dlatego trzeba je najpierw zmniejszyć.) Poda mną zakrzywione rury z wieloma pokrętłami zaworów kolektora wody i szasu. Tuż obok jest pompa olejowa, a także butla z olejem do peryskopu. Wskaźniki stanu wody w pobliżu należą niewątpliwie do zbiorników paliwa i zbiorników regulacyjnych.

Z tyłu, rozdzielone między rurami na ścianach kadłuba sztywnego i ledwie dające się rozróżnić, znajdują się szare żelazne skrzynki z okrągłymi otworami na różnego rodzaju tarcze zegarowe: urządzenie kierujące wystrzeliwaniem torped; wyłącznik celownika celów stałych i powietrznych, do poszczególnych rur torpedowych, do strzału pojedynczego i wachlarzowego, strzału z rufy i z dziobu; żyrokompas i echosonda; aparat do wytwarzania słodkiej wody. Stanowisko steru centralnego znajduje się wprawdzie w kiosku, ale w razie awarii, gdyby kiosk został uszkodzony lub całkowicie zniesiony, można stąd sterować okrętem.

Inni wachtowi zjawiają się w centrali: berlińczyk i podchorąży.

– Całkiem chłodno – mówi wreszcie bosmanmat. – Druga wachta to jednak zasrana

wachta! – I zaraz potem wyraźnym głosem: – Pięć do zmiany!

W tej właśnie chwili przez luk przechodzi drugi oficer, tak zakutany, że jego twarz między zjudwestką a kołnierzem widać jak przez szparę przyłbicy.

– Dzień dobry!

– Dzień dobry, panie poruczniku!

Drugi oficer udaje, że jest niezwykle rzeński. Rusza na czele wachty. Istnieje porozumienie, by darowywać starej wachcie pięć minut.

Pierwszy oficer, którego wachtę luzujemy, melduje drugiemu kurs i prędkość.

Otrzymuję prawy rufowy sektor obserwacji. Oczy przyzwyczajają się szybko do ciemności. Niebo jest o jeden odcień jaśniejsze niż czarne morze, tak że horyzont rysuje się wyraźnie. Powietrze bardzo wilgotne, szkła szybko matowieją.

– Irchę na pomost! – woła drugi w dół. Nie trwa długo i skórzane płyty nasycają się wilgocią i zaczynają mazać. Niebawem pieką mnie oczy i muszę je coraz zamykać na kilka sekund. Nikt nie mówi słowa. Dudnienie silników, szum i huk fal stają się szybko dźwiękami należącymi do ciszy. Tylko od czasu do czasu ktoś uderza kolanem o osłonę kiosku, która brzęczy głucho.

Ponieważ obserwator lewego sektora rufowego wzdycha, drugi oficer wzdryga się i upomina: – Uważać, proszę państwa. Tylko uważać!

Czuję swędzenie na szyi. Jestem jednak owinięty jak mumia. Nawet porządnie podrapać się nie można. Każdej małpie wolno się drapać! Ale teraz nie mogę grzebać w swoich ciuchach. Drugi oficer natychmiast robi się niespokojny, jeśli ktoś choćby rozepnie guzik.

Drugi pochodzi z przedmieścia Hamburga. Chciał studiować, ale zrezygnował. Za to wziął się za naukę bankowości. Potem zgłosił się na ochotnika do marynarki. To wszystko, co o nim wiem. Ma pogodną naturę, lubi go zarówno dowódca, jak i załoga. Człowiek, który niczym się zbytnio nie martwi, swoją służbę wykonuje z nonszalancką swobodą, bez większego hałasu, jak najbardziej korekt. Jakkolwiek ujawnia się w ten sposób jako zwolennik takiego stosunku do służby, który pierwszemu oficerowi całkowicie nie odpowiada, jest jedyny, który jakoś z nim dochodzi do ładu.

Ślad torowy fosforyzuje. Nocne niebo jest czarne. Czerń z przyszytymi brylantami, wszystkie gwiazdy odcinają się ostro na niebie. Księżyc nie ma połysku. Jego światło jest blade, wylugowane, nieco zielonkawe. Księżyc wygląda jak nadgniła dynia. Widoczność nad wodą jest bardzo zła.

Parę chmur nasuwa się na księżyc. Trudno rozróżnić horyzont. Co to jest? Cień na

widnokregu? Meldować? Czekać? Nie ma cienia? Całkiem normalne chmury? Diabelnie dziwne chmury! Wyteżam wzrok, aż mi łzawią oczy, i wreszcie uzyskuję pewność: nic, żadnych cieni.

Oczyszczam nos, żeby lepiej węszyć. Już niejeden w czarną jak smoła noc wywęszył konwój – śmierdzące z daleka dymy albo paliwo, wyciekające z trafionego frachtowca.

– Ciemno jak u Murzyna w dupie – klnie drugi oficer. – Możemy się łatwo wkrochmalić na jakiegoś Tomka.

Świateł nie musimy wypatrywać. Anglicy bardzo się strzegą, by nie pokazać światła. Już nawet żarzący się papieros mógłby sprowadzić na nich zgubę.

Zeissowskie szkła są ciężkie. Stopniowo ręce mi mdleją. Mięśnie ramion zaczynają boleć. Zawsze to samo: zawiesić na chwilę szkła na pasku, wyciągnąć ręce i pomachać nimi, jakby były tylko lekko przytwierdzone do ciała. Potem znowu podnieść ciężką lornetę, okulary z gumowymi muszelkami, które uciskają łuki brwiowe, zbalansować lornetę na czubkach palców, żeby nie przenosiło się na nią drżenie kadłuba okrętu. I znowu szukać śladów przeciwnika na dziewięćdziesięciu stopniach horyzontu i morza. Całkiem wolno prowadzić szkła od jednej granicy sektora do drugiej, obmacywać horyzont milimetr po milimetrze. Potem opuścić szkła i objąć cały sektor spojrzeniem, poprowadzić oczyma po przestworzach niebios i znowu z lewej na prawą w milimetrowych odstępach przeszukiwać horyzont.

Od czasu do czasu wiatr podrywa fontanny wody. Wtedy obserwatorzy dziobowi wykonują sztywne ruchy i osłaniają soczewki lornet dłońmi i tułowiem. Kiedy gęste chmury zasłaniają księżyc, woda robi się czarna.

Wiem, że Atlantyk ma tutaj co najmniej trzy tysiące metrów głębokości – trzy tysiące metrów wody pod kilem, ale mnie się wydaje, jakbyśmy, zwolniwszy obroty silników, ślizgali się po jakiejś twardej masie.

Czas wlecze się. Ogarnia mnie coraz większa pokusa, by opuścić powieki i z zamkniętymi oczyma poddawać się ruchom okrętu, rozkoszować się jego kołysaniem i wreszcie zasnąć.

Chciałbym zapytać drugiego oficera o czas, ale wolę zrezygnować. Na wschodzie pojawia się nad widnokregiem ślad bladoczerwonej jasności. To wyblakłe zaczerwienie może zabarwić tylko cienki pas, ponieważ blisko nad horyzontem rozciąga się pasmo granatowoczarnych chmur. Mija sporo czasu, nim światło przenika wyżej i ich krawędzie zapalają się ogniem. Dziobową część okrętu widzę już jako ciemną masę.

Trwa dość długo, nim na niebie pojawia się tyle światła, żeby można było rozróżnić

poszczególne listwy. Stopniowo rozpoznaję twarze trzech moich towarzyszy: zmęczone, szare.

Teraz ktoś wychodzi do sikania, kieruje twarz na wiatr, a następnie siusia na zawietrzną przez reling ogródka zimowego. Słyszę, jak brzęczy stal na górnym pokładzie. Odór uryny uderza mnie w nos.

Znowu pytanie z dołu: – Jeden na pomost? – Wychodzą kolejno zaczerpnąć powietrza i wysiusiać się. Czuję dym papierosów, do moich uszu dolatują strzępy rozmów.

– Powinniśmy jeszcze sprzedawać prezerwatywy, to okrętowy szalec byłby na medal.

W chwilę później drugi oficer składa meldunek. Dowódca pojawił się na pomoście, musiał to zrobić bardzo cicho. Szybko zerkam w bok i dostrzegam jego twarz, oświetloną czerwono przez żarzące się cygaro. Ale zaraz przywołuję się do porządku: nie słuchać, nie zaprzętać swojej uwagi, stać bez ruchu, nie odwracać wzroku od, sektora. Mam tylko jedno zadanie: obserwować, wytrzeszczać oczy.

– Wyrzutnie, od pierwszej do czwartej, otworzyć pokrywy wylotowe!

Stary każe więc znowu robić ćwiczenia w strzelaniu. Nie odwracając głowy, słyszę, jak pierwszy oficer podaje kąty strzału. A potem z dołu nadchodzi meldunek: – Pokrywy wylotowe od pierwszej do czwartej otwarte! – Ciągłe na nowo pierwszy podaje swoje monotonne formułki zakłęcia. Jednak Stary ani nie mruknie.

Horyzont robi się coraz wyraźniejszy. Na wschodzie światło rozeszło się już nad nim szeroko. Niebawem zdobędzie cały krąg. W szczelinie między horyzontem a granatowymi chmurami płonie, teraz czerwony ogień. Wiatr się wzmaga i nagle ukazuje się na wschodzie błyszcząca górna krawędź naszej gwiazdy dziennej. Słońce podnosi się z głębin. Już drżą na wodzie węzowe linie czerwonego żaru. Rzucam tylko krótkie spojrzenie na słońce i barwę nieba, gdyż oświetlenie jest jak stworzone dla nieprzyjacielskich lotników. Jest dość jasno, by rozpoznać okręt po spienionym śladzie torowym, ale dla nas jeszcze za ciemno, by szybko odróżnić samoloty na tle nieba.

Przekłete mewy! One kosztują najwięcej nerwów! Chciałbym wiedzieć, ile już mają alarmów na swoim koncie.

Cieszę się bardzo, że nie mam sektora słonecznego.

Pierwszy oficer komenderuje dalej: – Wyrzutnie jeden do trzech gotowe... Strzela wyrzutnia jeden i trzy... Odległość czterysta... Wyprzedzenie osiemdziesiąt. Pytam: Położenie?

– Położenie dziewięćdziesiąt – słyszę z dołu.

Morze budzi się teraz całkowicie. Krótkie fale przyjmują rozbłyskujące światło dnia.

Pokład rufowy rozjarza się. Niebo szybko zmienia barwę, robi się czerwonożółte, żółte, a potem bladozielone. Spaliny diesli sięgają błękitnym welonem paru różowych chmur. Nasz ślad torowy rozrzuca tysiące okruchów słońca. Mój sąsiad zwraca twarz w moją stronę. Jest pokryta czerwonym nalotem od słonecznego światła.

Nagle w rozbłyskach krótkich fal dostrzegam w dali parę ciemnych punktów... i już znowu znikają. Co to było? Lewy obserwator rufowy również je zauważył.

– Delfiny!

Zbliżają się jak źle wycelowane torpedy – na pół w wodzie i na pół w powietrzu. Któryś ze stada spostrzegł okręt i teraz jak na jakiś sygnał pędzą ku nam. Już mamy je po obu burtach. Musi ich być wiele dziesiątków. Jasnozielono połyskują ich brzuchy. Potem znowu pionowe płetwy grzbietowe przecinają wodę jak dzioby okrętów. Delfiny bez trudu dostosowują się do naszej szybkości. To nie jest pływanie, raczej lekki slalom i skoki. Woda zdaje się nie stawiać im żadnego oporu. Muszę znowu upomnieć samego siebie: Nie gapić się, uważać na sektor!

Krótkie porywy wiatru marszczą powierzchnię morza. Niebo stopniowo mętnieje. Światło przesiąka z góry jak przez olbrzymią, zawieszoną poprzecznie szybę z mlecznego szkła. Niebawem nasze twarze robią się mokre od niespodziewanych bryzgów wody. Chwiejba wzmaga się.

Delfiny nagle odłączają się od okrętu.

Po wachcie czuję się tak, jakby mi oczy chciały wypłynąć z oczodołów. Wciskam je nasadą dłoni. Odnoszę wrażenie, że istotnie można je wepchnąć na miejsce.

Tylko z trudem poruszam zeszywniałymi kończynami, gdy wyłuskuję się z mokrego ubrania sztormowego i wyczerpany włączę na koję. W mesie jest za ciepło. Od razu mam pot na czole. Zrzucam koce. Przez szczelinę w zasłonie światło pada mi na twarz. Z głośnika dolatuje cicha melodia. Nawet huk diesli nie jest już dla mnie hałasem, tylko częścią składową powietrza. Z zewnątrz słyszę bez przerwy chlupot i szum, obmacywanie i postukiwanie wzdłuż całego okrętu. Potem nagle brzmi to, jakby ktoś drapał i piłował, a czasem jak jęk, przerywany łoskotem i grzmotem. Uderzenia fal o okręt są czasami głuche jak w źle napiętą skórę bębna, a potem nagle ostre i dźwięczne jak w blaszane puszki. Głosy z centrali dolatują tu jak z wielkiej odległości.

Do zmiany wachty pozostała jeszcze godzina. Już po raz tysięczny przyglądam się słojom drzewa na ścianie koi: nie dające się nigdy rozszyfrować tajemnicze pismo natury. Linie obiegające sęk wyglądają jak uwidocznione prądy powietrzne wokół płatów samolotu.

Nagle podrywa mnie gwałtownie dzwonek alarmowy.

Zdażyłem wyskoczyć z koi i zachwiać się na podłodze, nim moja świadomość zaczęła pracować. Wachtę ma starszy sternik. Co tam się mogło stać?

Gdy chcę wciągnąć buty, zataczam się. Całe pomieszczenie pełne jest nagle gwałtownego ruchu. Z kambuza przenika błękitny opar. Wyłania się twarz jakiegoś palacza. Ze sztuczną obojętnością w głosie pyta:

– Co się stało?

– Co się nie powinno stać, głupia świnió!

Okręt leży jeszcze na równej stępce. Co to ma znaczyć: alarm i nadal jesteśmy w poziomej pozycji?

– Odwołuję alarm! Odwołuję alarm! – dźwięczy teraz z głośnika i wreszcie przychodzi meldunek z centrali: – Fałszywy alarm!

– Ale gównno!

– Co za cholerna dupa to zrobiła?

– Markus.

Wszystkich zatyka na chwile, a potem wpadają we wściekłość: – Mógłbym tego bałwana z zimną krwią wyrzucić za burtę!

– Cholerne gównno!

– Dupa pierdolona!

– Musisz się zawsze wtrącać?

– Moja dziewczyna również mówi...

– Ach, zamknij mordę!

– Taka dupa, jak ty, nadaje się tylko na odbijacz.

– I to do możliwie dużej łajby!

Bójka wisi w powietrzu.

Starszy sternik wyszedł z siebie. Wprawdzie nie mówi słowa. Za to jego oczy strzelają błyskawicami.

Dyżurny sternik ma szczęście, że siedzi wysoko w kiosku. Również główny mechanik wygląda tak, jakby go chciał rozerwać w kawałki, gdyby go dostał w swoje ręce.

Gdy już jestem znowu w koi, podoficerowie jeszcze nie mogą pohamować swego wzburzenia:

– To głupia świnią. Ja mu kiedy przysolę!

– Taki dureń powinien uważać!

– No, jeszcze on zobaczy.

Rozlega się pierdnięcie. Widzę między zasłonami, jak berlińczyk podnosi się i markuje ukłon: – Bardzo mi przyjemnie! Znasz pana Krupę?

– Głupi baran!

Słyszę, jak Zeitler jęczy: – Pęknę ze złości. Cholerne gówno!

W mesie oficerskiej nie porusza się polityki. Ale również w rozmowie ze mną, jeśli tylko poważniejszy dialog kieruje się w stronę polityki, Stary przerywa go, szyderczo wykrzywiając usta. Pytania o sens i szansę wojny są całkowitym tabu. Przy tym nie ma wątpliwości, że Starego, kiedy duma po całych dniach, dręczą właśnie te sprawy, nie zaś problemy osobiste.

Stary kamufluje się. Tylko od czasu do czasu nieco uchyla przyłbicy, waży się na dwuznaczną uwagę i daje na chwilę poznać swoje prawdziwe stanowisko.

Zwłaszcza kiedy jest zły – dzienniki radiowe prawie zawsze wprowadzają go we wściekłość – wyraźnie okazuje swą niechęć wobec nazistowskiej propagandy: – Nazywają to upustem krwi w tonażu statków! Likwidacją tonażu! To durnie! Tonaż! Przy tym chodzi o dobre, sprawne statki. Przez swoją nędzną propagandę robią z nas kogoś w rodzaju urzędników administracyjnych – na złom, do kasacji...

Ładunek zatopionych statków, który dla przeciwnika przeważnie jest o wiele cenniejszy niż same statki, nigdy go nie interesował. Stary ma serce do statków, statki są dla niego żywymi istotami z rytmicznie bijącymi sercami maszyn. To, że musi niszczyć statki, jest dla niego koszmarem.

Pytam się często samego siebie, jak Stary upora się z tym nieuniknionym wewnętrznym rozdwojeniem. Prawdopodobnie sprowadził wszystkie problemy do jednego prostego mianownika: atakować, żeby samemu nie zostać wykończonym. Poddać się temu, co nieuniknione, jest chyba jego dewizą. Ale chce, by mu dano spokój z wielkimi słowami.

Czasami nęci mnie, by go wywabić z tej rezerwy, spytać, czy on również jakoś nie ludzi samego siebie, niewątpliwie w bardziej skomplikowany sposób niż większość z nas. Czy nie potrzeba dużej dozy iluzji, by żyć w przekonaniu, że określeniem „wypełnienie obowiązków” dają się przykryć wszystkie wątpliwości. Ale Stary za każdym razem wymyka mi się zręcznie. Najwięcej dowiaduję się jeszcze z jego antypatii i alergii.

Ciągle jeszcze Stary trapi się najbardziej pierwszym oficerem i nowym inżynierem.

Już sama pedantyczna sztywność, z jaką pierwszy siada przy stole, złości Starego. Do tego demonstracyjna, noszona na pokaz czystość. Również obyczaj pierwszego oficera przy posiłkach wprowadzają Starego z równowagi. Pierwszy operuje nożem i widelcem jak

skalpelami do sekcji. Przy każdej sardynce w oliwie dokonuje przepisowej obdukcji. Z największą starannością przygotowuje najpierw główne ości, a potem zaciekle zabiera się do ściągania skórki. Nic opuści nawet najmniejszego kawałeczka. Stary patrzy na to nieżyczliwie. Zafascynowany wytrzeszcza oczy na pole sekcji, ale milczy zaciekle. Oprócz sardynek w oliwie pewna odmiana kabanosów, która odznacza się szczególnie cienką skórką, nie dającą się oddzielić od reszty, stanowi ulubiony obiekt zajęć sekcyjnych pierwszego owu. Ściąga skórkę bardzo małutkimi kawałkami. W zagłębieniach zmarszczek wyschniętej kiełbasy w ogóle nie daje się jej usunąć. Wszyscy poza pierwszym oficerem pożerają dlatego kabanosy razem ze skórką. Jakkolwiek pierwszy przez całą wieczność majstruje przy nich nożem i widelcem, nic mu z tego nie wychodzi. W rezultacie odcina wreszcie i wyrzuca tyle tej kiełbasy, że prawie nic mu nie zostaje. Teraz już Stary nie może się powstrzymać: – To będzie radość w śmietniku! – Ale nawet tego typu uwaga jest zbyt subtelna, pierwszy nie chwyta. Patrzy tylko bez wyrazu w górę i zaciekle dłubie i tnie dalej.

Nowy inżynier najwyraźniej smakuje Staremu tak samo kiepsko jak pierwszy owu. Prawdopodobnie drażni go w nowym przede wszystkim wulgarny śmiech i kanciasty sposób bycia. – Niewiele da się zrobić z drugim mechanikiem, co? – badał kiedyś Stary czifa. Czif wyrócił tylko oczy i zakołysał się, jakby podejrzwał to u Starego, zupełnie jak automatyczny manekin wystawowy.

– No, co jest, czifie? Gadaj! – nalegał Stary.

– Trudno powiedzieć! To jest, że tak powiem, nordycki typ – wykręcił się główny mechanik.

– Ale całkiem powolny nordycki typ. Akurat właściwy człowiek na stanowisko głównego mechanika! – szydził Stary. – Pasuje co do włosa! – A po chwili: – Jestem tylko ciekawy, jak się go znowu pozbędziemy.

I oto zjawia się także drugi mechanik. Oglądam go sobie dokładnie: kwadratowa czaszka, błękitne oczy, właściwy model fotograficzny do broszur szkoleniowych. W swojej wypomadowanej gnuśności stanowi przeciwieństwo stale napiętego głównego mechanika.

Ponieważ w mesie O ma tak mało do powiedzenia, drugi mechanik trzyma się starszych podoficerów. Dowódca nie lubi takiego przekraczania granic i obserwuje drugiego mechanika kątem oka, kiedy ten znika w ich mesie. Zupełnie niewrażliwy drugi mechanik wcale tego nie dostrzega, tylko przycupnąwszy, jeśli jest miejsce, na kanapie, coś tam tokuje nosicielom porte-épée. Nic dziwnego, że rzadko bywa swobodny nastrój, kiedy pierwszy oficer i drugi mechanik siedzą z nami przy stole.

Rozmowy prowadzi się wtedy całkiem neutralne, omijając drażliwe tematy. Ale

czasami Staremu coś się wyrwie. Tak więc powiedział raz przy śniadaniu: – Panowie w Berlinie prawdopodobnie są całkowicie zajęci wymyślaniem nowych przezwisk dla pana Churchilla. Jak on się teraz nazywa w oficjalnym stylu ten stary korsarz? – Stary czatuje. Nie otrzymując odpowiedzi od współbiesiadników, podaje ją sam: – Pijak, moczymorda, paralytyk... Muszę powiedzieć, że jak na pijanego paralytyka, całkiem porządnie potrafi nam przygrzać.

Pierwszy oficer siedzi z zaciętą miną, wyprostowany jak świeca. Zdaje się, że nie pojmuje już świata. Drugi mechanik zastyga w swojej zwykłej postawie – z rękami obejmującymi kolano, patrząc między talerze, jakby znajdowało się tam coś interesującego.

Milczenie.

Dowódca nie daje się tym zbić z tropu. – Na kolanach to on jeszcze długo nie będzie. Nie chciałbym wiedzieć, ile z jego statków przechodzi. Teraz przechodzi, właśnie teraz, kiedy tu podskakujemy i wysuwamy pyskaczy na pierwsze miejsce.

I nagle Stary zachowuje się tak, jakby rozpierało go absolutne zadowolenie.

– Brak nam muzyki. Nasz przywódca Hitlerjugend mógłby wreszcie założyć płytę.

Jakkolwiek nikt nie patrzy na pierwszego oficera, czuje, że to do niego pito, i czerwony na twarzy zrywa się z miejsca. Stary woła za nim głośno: – Tipperary-song, jeśli mogę prosić! – A gdy pierwszy wraca i pierwsze takty zbyt głośno rozbrzmiewają w okręcie, Stary docina: – Pańskiej światopoglądowej podbudowie ta płyta chyba nie zaszkodzi, panie pierwszy? – A potem oznajmia, podnosząc znacząco palec: – Głos jego pana... Ale nie naszego!

W dziobowym tuż koło przejścia siedzę z podciągniętymi kolanami na deskach podłogi, ponieważ tu nie można inaczej: torpedy pode mną, plecami opieram się o gródź od mesy SP.

– Powinno się tu włączyć towarzystwo opieki nad zwierzętami. To byłaby awantura! Gdyby tu koty albo psy musiały się gnieździć... mój ty Boże!

– Konie w kopalniach skasowano z litości dla udręczonych stworzeń. Ale o nas nikt się nie troszczy.

Tu się mówi szczerze, prosto z wątroby. Nie ma przygnębiającego nastroju jak w mesie O. Głównymi mówcami w dziobowym są zawsze ci sami: Ario, Turbo, do tego Dunlop i Umęcz. Niektórzy, ponieważ nie mają dość ciętego języka, unikają dyskusji – podczas gdy inni gadają i bawią się własnym kosztem, oni chowają się w kojach i hamakach, zupełnie jak bojące się światła zwierzęta w swoich norach.

– Mnie raz jedna dziwka nasikała na plecy – słyhać głos z góry, z hamaka. –

Człowieku, to było uczucie!

– Świnia jesteś. To trzeba ci powiedzieć!

– Uczucie! Są jeszcze całkiem inne rzeczy – podejmuje Ario. – Mieliśmy na naszym frachtowcu pewnego typu, który mówił zawsze: wsadzić sobie korek z gwoździem do dupy, przywiązać do gwoźdźcia strunę, a potem pograć sobie na tej strunie!

– W bardziej skomplikowany sposób nie można, co?

– W dupie powinien być całkiem porządny rezonans – mówi Ario.

A potem słyszę tylko same fragmenty rozmowy: – Ta Emma nie wie do dziś, skąd złapała to dziecko.

– Jak to nie wie?

– Jak to nie wie! Jak to nie wie! O Boże, aleś ty durny! Usiądź kiedy gołą dupą na piłę tarczową i powiedz potem, który ząb cię zaciął!

Wielki ryk. Ktoś jęczy: – Człowieku, o człowieku, człowieczku!

Starszego maszynistę Johanna widzę po raz pierwszy na pomoście. W świetle dnia wygląda dwa razy bardziej wynędzniały i zniszczony niż w świetle lamp siłowni. Mimo że tylko co wszedł na górę, drży, jak ktoś, kto właściwie powinien leżeć w łóżku.

– Brak przyzwyczajenia do świeżego powietrza, co, Johann? – pytam. Zamiast odpowiedzieć, Johann zerka ukradkiem ponad osłoną, a w spojrzeniu ma coś w rodzaju odrazy. Widok morza to demonstruje wyraźnie, nie daje mu nic poza złym samopoczuciem. W tak kiepskim humorze jeszcze go nie widziałem. Zazwyczaj w jego oczach widać zadowolenie – ale wtedy patrzy na rurociągi i manometry; srebrzyście połyskujące płyty podłogowe siłowni elektrycznej są dla niego prawdziwą bazą życia, delikatna woń ropy w powietrzu stanowi ucztę dla jego płuc. Ale to tutaj – pierwotna natura – do diabła! Jego obrażone spojrzenie mówi wyraźnie, że widok morza prawdopodobnie jest odpowiedni dla prymitywów takich, jak marynarze pokładowi, ale nie dla specjalistów, którzy są na ty z wysoce skomplikowanymi maszynami.

Całkiem zgnębiony i drżący Johann znika w milczeniu na dole.

– Teraz wyplakuje się przed swoimi maszynami, narzekając na złe morze – szydzi za nim drugi oficer. – Komiczni faceci ci motorzyści. Prawdopodobnie świeże powietrze rozkłada ich delikatne płuca, światło dzienne szkodzi ich subtelnym spojówkom, a czysta woda to dla nich prawdziwy kwas solny.

– Ale nie dla głównego mechanika – zastrzegam.

Drugi oficer odpowiada natychmiast: – Ten to jest wręcz perwersyjny.

To, że stoję na mostku, jest dla mnie zbawieniem.

To szczęście, że poza posterunkami na górze może być jeszcze dwóch ludzi. Wykorzystuję każdą okazję, by wyjść na wierzch, gdy tylko można. Ledwie wysadzę głowę przez luk kiosku, ogarnia mnie uczucie wyzwolenia: wychodzę z tłoku maszyn, ciasnoty pomieszczeń, z kurzu, smrodu i wilgoci na światło i na czyste powietrze.

Najpierw patrzę na niebo, jaka jest pogoda, potem spoglądam szybko na horyzont. Z kolei parę razy obracam głowę i wreszcie zadzieram ją do góry. Przez kilka przerw między chmurami mogę zajrzeć w głębię kosmosu. Przed moimi oczami rozciąga się prawdziwe niebo – wielki kalejdoskop, który w miarę upływu godzin ukazuje coraz to nowe obrazy.

Notuję, co przedstawia panorama niebios na całym swym kręgu: teraz, na przykład, niebo w zenicie jest ciemnoniebieskie. Wszystkie dziury w zasłonie chmur, która się szybko przesuwa, wypełnia głęboki błękit. Tylko nad horyzontem zasłona się strzępi. Tu również błękit jest jaśniejszy, jakby wyługowały go podnoszące się do góry opary. Przy tym, tuż nad horyzontem, widnieje jeszcze nieduże pasemko czerwieni, w nim pływa pojedyncza ciemna, niebieskofioletowa chmura.

Za okrętem dzieje się coś cudownego: na połowie wysokości nieba rozciąga się stalowobłękitny wilgotny ton, który miesza się z powodzią płowej ochry, podnoszącą się w górę za widnokregiem. Rejony graniczne przybierają najpierw brudnozielonkawą barwę, lecz potem z tyłu zaczyna się przebijać matowo połyskujący błękit, który ma tylko maleńką domieszkę zieleni: błękit Veronesa.

Dokładnie w południe przestwór niebios wypełnia chłodna srebrzysta szarość. Skłębione chmury zniknęły, tylko parę jedwabistych cirrusów rozwiesza swe welony przed słońcem i rozprasza jego światło w srebrzyste migotanie i błyski. Spokojny pastel o jasnych i subtelnym tonach jak na zewnętrznej stronie ostrygowych muszli.

Po południu z prawej burty za granatowymi chmurami migoczą żółte i pomarańczowe pasy. Ich barwa jest nasycona, ciężka, prawie oleista. Granatowe chmury wznoszą się w górę jak podczas pożaru stepu. Afrykańskie niebo. Wyobrażam sobie do tego Góry Stołowe, akacje, żyrafy, gnu i antylopy.

Po lewej burcie w wielkiej dali, obok deszczowych chmur z zabrudzonej wełny, na niebie pojawia się tęcza. Druga, bledsza, wysklepia się nad nią. W środku, w tym półkolu, pływa ciemny kłębek jak chmurka od szrapnela.

Późnym popołudniem sceneria nieba przekształca się całkowicie. Przekształcenia dokonują się nie tylko za pomocą paru rozpiętych zasłon i zmian barwy, lecz odbywa się potężny przemarsz chmur, które szybko wypełniają całe niebo. Jakby gra kształtów nie była

jeszcze wystarczająco gwałtowna, przez szczelinę przebija się słońce i wystrzeliwuje ukośne lance promieni przez kłębowisko obłoków.

Po kolacji znowu wyłażę na mostek. Dzień jest zmęczony. Rozprasza się. Z jego światła pozostaje tylko tu i ówdzie plamka na chmurach. Chmury, uszeregowane jedna za drugą jak kulki na liczydłach, płyną po zachodniej części nieba. Wkrótce tylko jeden mały obłoczek, który zatrzymał ostatni błysk światła, ściąga na siebie spojrzenie. Nad horyzontem przez chwilę utrzymuje się żar zachodzącego słońca. Potem również tam światło chłodnie. Teraz dzień dobiegł końca. Na wschodzie noc już zdobyła wyżynę nieba. Woda przekształca się we fioletowych cieniach. Jej szum potężnieje. Jak oddech śpiącego fale przesuwają się pod okrętem.

Starszy sternik ma kwaśną minę, bo już od dwóch dni nie może zrobić namiaru. Gwiazdy były schowane za grubą warstwą chmur. Sternik pomaga sobie tylko w ten sposób, że mniej więcej co godzinę nanosi na mapę przebyty właśnie odcinek drogi i kurs. Ponieważ wiatr i pochód fal spychają okręt, a starszy sternik nie zna dokładnie tych czynników, zliczona pozycja okrętu nie może ściśle odpowiadać rzeczywistości.

Przez chwilę przyglądam mu się przez ramię. Akurat nie zajmuje się cyrklem i linijką, tylko wertuje atlas prądów, aby wykryć odchylenie od kursu. Potem próbuje coś zgłębić na temat pogody w następnych dniach i tygodniach, studiując mapy miesięczne, które według obserwacji statków podają główne kierunki wiatru i sytuację meteorologiczną dla różnych akwenów na każdy miesiąc. Z innych tabeli wylicza wreszcie czas wschodów i zachodów księżyca i początków zmierzchu na następne dni.

Budzę się regularnie o północy przy zmianie wachty w maszynowni. Wachty maszynowe – nowa i stara – muszą przechodzić przez mesę P. Przy tym przez chwilę włącz do maszynowni jest otwarty. Huk diesli wpada do pomieszczenia, a silniki potężnymi haustami wciągają powietrze, tak że zasłona na mojej koi unosi się w górę. Przeciskając się koło nie złożonego stołu, ktoś ze starej wachty całkiem ją ściąga. Teraz minie dłuższa chwila, nim znowu będzie cisza.

Oczy mam zamknięte i usiłuję nie słyszeć głosów ludzi. Dosłownie czepiam się snu. Jednak do tego ktoś zapala światło. Blask lampy, która wisi tuż przy mnie na suficie, trafia mnie prosto w twarz i budzę się całkiem. W pomieszczeniu śmierdzi spalinami. Zmienieni maszyniści ściągają zasmarowane kurtki i spodnie, popijają parę łyków soku jabłkowego i gadając półgłosem, włączają do swoich koi.

– Wielka uroczystość – słyszę, jak opowiada Kleinschmidt. – Serwis do kawy z

bukietem kwiatów i filiżankami o złotych brzegach u moich przyszłych teściów. Całkiem przyjemni ludzie. Stary sześćdziesiąt pięć lat, a ona już siedemdziesiąt. Babka i placek ze śliwkami. Przedtem wino porzeczkowe własnej roboty, wszystko pierwszorządne. Moja narzeczona była właśnie w kuchni i nalewała kawę. Ja siedzę na kanapie, z opuszczonymi rękami, i nagle poruszam się tak, że trafiam prawą dłonią w szczelinę między siedzeniem a oparciem, możecie sobie to wyobrazić?

– Jasne, gadaj dalej!

– I wyciągam... No, co wyciągnąłem?

– Człowieku, skąd mam to wiedzieć!

To musi być głos mata Isenberga z centrali.

– Nie trzymaj nas w takim napięciu!

– Paczkę prezerwatyw. Na pięć sztuk. Trzy jeszcze były. Dwóch brakowało. No i co ty na to?

– Ze pierwszorządnie umiesz rachować!

– Trzasnąłem tę paczuszkę na stół. Starzy gapią się na to idiotycznie. Potem wstałem i wyszedłem, i koniec pieśni!

– Ty chyba masz fioła!

– Co znaczy: fioła? Według ciebie miałem jeszcze swojego dziurowego pana szwagra zaprosić na kawę, co?

– No... i co dalej?

– Albo... albo! U mnie nic innego nie ma!

– Ale z ciebie typ. Skąd mogłeś wiedzieć, że ta mała rzeczywiście...

– Ach, nie gadaj bzdur: to może ten stary ich używał?

Odwracam się do ściany z dykty, ale wtedy właz znowu otwiera się z trzaskiem i jako ostatni zjawia się bosmanmat Wichmann. Zatrzaskuje za sobą właz i włącza wszystkie światła. Z poprzednich nocy wiem już, co teraz nastąpi. Ale dziwna ciekawość zmusza mnie do obserwowania spod uchylonych powiek, co się teraz dzieje.

Wichmann ustawia się przed lustrem, które jest przytwierdzone koło przejścia, i robi miny do samego siebie. Kciukiem przejeżdża parę razy po zębach grzebienia, a potem szesuje sobie włosy na twarz. Po wielu próbach udaje mu się zrobić przedziałek we właściwym miejscu. Gdy trochę oddala się od lustra, widzę, że na jego twarzy maluje się nabożna powaga. Teraz następuje chwila, że trzymając ukośnie głowę, obserwuje samego siebie od prawej do lewej. Potem idzie do bakisty, grzebie w niej przez chwilę, aż wreszcie znowu ustawia się przed lustrem z puszką brylantyny w rękę. Brylantynę rozsmarowuje

starannie między zębami grzebienia, potem przeciąga grzebieniem po włosach, aż uzyskuje gładką płaszczyznę, w której odbija się światło.

Wreszcie chowa swoje utensylia, ściąga kurtkę, zdejmuje buty nie rozwiązując sznurowadeł i walcuje się na koję. Światła nie gasi.

Pięć minut później wyłażę, by dostać się do wyłącznika. Rzucam przy tym spojrzenie na koję bosmanmata: cała wspaniałość fryzury już znikła.

PIĄTEK, CZTERNASTY DZIEŃ REJSU. Spotykam Starego w centrali. Wygląda łaskawie. Według wszelkich znaków miałby chęć na rozmowę. Tym razem ja zaczynam i pytam go, jak to wyjaśnić, że mimo wysokich strat tylu ludzi ochotniczo zgłasza się do broni podwodnej.

Zwykłe minuty namysłu. Potem niepewnie: – No, z dzieciaków wiele nie można wydobyć. Naturalnie nęci ich sława broni podwodnej. My jesteśmy, że tak powiem, najlepsi z najlepszych: ochotniczy korpus Dönitza. Propaganda z pewnością również robi swoje...

Długa przerwa. Stary wpatruje się w płyty podłogowe. Wreszcie znowu zaczyna mówić: – Może oni nawet nie potrafią sobie wyobrazić, co ich czeka. To wszystko są jeszcze nie zapisane karty... trzy lata nauki, potem zaraz służba i normalne szkolenie. Przecież oni jeszcze nic nie widzieli... niczego nie przeżyli. I nie mają również wyobraźni. – Na jego twarzy pojawia się coś w rodzaju uśmiechu, gdy na wpół zwraca się ku mnie: – Latać z karabinem po polu... tego nie mogę sobie wyobrazić jako czegoś szczególnie wzniosłego. W każdym razie nie ja. A pan miałby ochotę ganiać po polu w podkutych buciorach? To tutaj już, Bóg mi świadkiem, mamy lepiej. Wozi się nas. Nie musimy maszerować i nie dostajemy pęcherzy na nogach. Mamy regularne posiłki, najczęściej nawet ciepłe. Czego więcej potrzeba? Poza tym porządne koje. Jest ciepło. I zawsze dobre, ożywcze morskie powietrze... A do wyjścia na ląd eleganckie kilońskie garniturki i piękne ordery. A więc, gdy pan mnie już pyta: chłopaki z pewnością mają tutaj lepiej niż w normalnym wojsku albo na tresurze marynarskiej. Wszystko jest względne!

Przy słowach na „tresurze marynarskiej” widzę od razu „oddawanie honorów w marszu przez pojedynczego marynarza”. Bosmanmat ryczy z całych sił. Po każdym ryku unosi się na palcach: – Podnoście łaskawie wasze cholerne łapska szybciej! Już ja wam zagotuję wodę w dupie, że będzie wam parowała przez nos i uszy!

Kiedy taki rykała był w najwyższej formie, udawało mu się nawet doprowadzać swe przenośnie aż do surrealizmu: – Ja wam rozerwę dupę aż do kołnierzyka i jeszcze wyżej, żebyście sobie mogli powyglądać przez dziurę w dupie!

W ciasnej izbie pierdzenie osiemnastu ludzi, kiedy do jedzenia była kapusta! To cud, że cała wypełniona gazem buda nie wyrwała się z fundamentów i nie poleciała do nieba.

A przedtem w Służbie Pracy... August Ritter von Karavec nazywał się ten diabeł, który pełnił u nas służbę oberfeldmistrza, po wielu już karnych przeniesieniach. – Kiedy się właściwie dowodzi, pododdział można odróżnić od terenu tylko po białkach oczu – to była jego zasada. Zmieniając kierunek biegu o dziewięćdziesiąt stopni na bagnistej łące i ćwicząc krok defiladowy, nie potrzebował nawet pięciu minut, byśmy cali byli schlapani lodowato zimnym szlamem, nie mając już butów na nogach, te utknęły w błocie, za to przemoczeni aż do skóry. Dwie godziny później ten szaleniec przeprowadzał kontrolę umundurowania i każdemu miał coś do zarzucenia. To jednak oznaczało: wszystkie rzeczy zwalić na kupę na środek izby i dopiero stamtąd dwudziestu ludzi mogło znowu wysortować swoje ruchomości. Za karę przeprowadzał z nami zmiany frontu na zboczu wzgórza. To było jeszcze gorsze niż bagnista łąka, ponieważ ludziom na skrzydle, biegnącym pod górę, płuca podchodziły do gardła, a ten diabeł oberfeldmistrz pilnował, żeby każdy chociaż raz trafił na skrzydło...

Cyniczny uśmiech znika już z twarzy Starego, gdy znowu podejmuje wątek.

– Prawdopodobnie to tutaj można uprawiać tylko z dziećmi, ponieważ, że tak powiem, są one jeszcze nie oświecone. Wydaje się, że jeszcze nie potrafią naprawdę trzymać się życia. Nie mają żadnych powiązań. Jeśli ktoś się załamie, to prawie zawsze jakaś szarża. Ludzie, którzy mają w domu żonę i dzieci! Komiczne: raz wyławialiśmy z morza załogę zatopionego niszczyciela – jednego z naszych. Musiało to być jakieś dwie godziny po utonięciu okrętu, kiedy przybyliśmy na miejsce. A więc dość szybko. To było w lecie, toteż woda nie była zbyt zimna. Jednak większość młodych marynarzy wisiała już utopiona w swoich kamizelkach. Oni po prostu zrezygnowali... Po prostu zwiesili głowy, jakkolwiek fala była średnia, do umiarkowanej. Walczyli tylko starsi. Przy tym jeden... już czterdziestoletni i poważnie ranny... ale ten mężczyzna przetrwał mimo dużego upływu krwi. Natomiast osiemnastoletni, którzy nie mieli nawet skaleczenia, nie przeżyli. – Stary milczy dłuższą chwilę, jakby myślał nad sformułowaniem podsumowania, i wreszcie mówi: – Starsi prędzej się łamią, młodzi prędzej rezygnują.

Główny mechanik pojawia się w pobliżu. Rzuca mi szybkie, zdziwione spojrzenie.

– Właściwie należałoby się tutaj obywać znacznie mniejszą załogą. Wyobrażam sobie zawsze okręt, na którym pływa dwóch lub trzech ludzi. Zupełnie jak samolot. W gruncie rzeczy mamy tak liczną załogę na pokładzie, ponieważ konstruktorzy nie potrafili właściwie rozwiązać swych zadań. Większość załogi służy tylko do zatykania dziur. Zatykają dziury, które konstruktorzy zostawili w maszynerii pokładowej. Ludzie, którzy przykręcają i

zakładają bolce albo przekładają jakieś dźwignie, to właściwie nie są żołnierze. Nie mogę już słuchać, kiedy DOP mydli ludziom oczy swoim sloganem reklamowym „Atak – Naprzód – Zatopić”. To tworzy tylko fałszywe wyobrażenia. Kto mianowicie tu atakuje? Przecież tylko jeden jedyny dowódca. Chłopaki nie widzą nawet śladu wroga.

Stary robi przerwę. Teraz nie potrzebuje nic mówić. Dziś Stary sam się wywnętrza:

– To przykre, że stary Dönitz również przystał do tych pyskaczy. Najpierw przecież jemu przysięgaliśmy – mówi półgłosem. Od dawna wiem, co boli Starego: jego stosunek do dowódcy mocno ochłódł od czasu ostatniej odprawy.

– Dawniej uważaliśmy go za kogoś w rodzaju Moltkego od wojny morskiej, ale teraz: „Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”, „Jeden naród, jedna Rzesza, jeden führer”, „Führer patrzy na was”, „Führer, führer, führer...” Nie można tego słuchać, zawsze ta sama płyta. „Niemiecka kobieta najszlachetniejszym dobrem” – również był łaskaw zapodać. A także: „Kiedy wracam od führera, czuję się zawsze jak krasnoludek”. Coś takiego może zwalić z nóg najmocniejszego mężczyznę.

Stary tyle mówił, że wpadł w rozgoryczenie. Powtarzając „Tak, tak to jest” – próbuje zatrzeć złość.

Główny mechanik patrzy prosto przed siebie nieruchomym wzrokiem i zachowuje się tak, jakby niczego nie słyszał.

– Tak, ci chłopcy, ochotnicy... – Stary wraca do wyjściowego tematu: – Koleżeństwo, wspólny los wszystkich na pokładzie, „zaprzyjęzona społeczność”... – to właśnie nie jest tylko frazesem. To przyciąga ludzi. A przede wszystkim właśnie poczucie przynależności do elity. Wystarczy obserwować tych chłopaków na urlopie. Nadymają się jak indory, nosząc oznakę bojową okrętów bojowych na kurtce. Wydaje się, że działa to również na panie...

Głośnik trzeszczy. Potem słychać: – Druga wachta przygotować się! – Tym razem to wezwanie dotyczy również mnie. Odbędę tę wachtę jako motorzysta. Posterunek: klapy wydechowe i diesel.

Główny mechanik dał mi watę do uszu. – Sześć godzin hałasu diesla to dużo!

Ssanie silników trzyma włącz do maszynowni tak mocno, że muszę użyć wszystkich sił, by go otworzyć. Natychmiast łoskot spada na mnie jak porcja batów. Dychawiczne kłapanie zaworów i dźwigni jest tylko towarzyszeniem perkusji do ciągłego ryku wybuchów w cylindrach oraz głębokiego i szumiącego pomruku, który, jak przypuszczam, pochodzi od dmuchawy. Przy tym prawy diesel idzie tylko na połowie obrotów. Lewy jest wyłączony. A więc tego głębokiego pomruku nie może powodować dmuchawa, której używa się tylko

wtedy, gdy potrzeba więcej powietrza, jeśli silniki idą całą naprzód.

Diesle dotykają prawie zaokrąglonego sufitu. Z boku prawego diesla sprężyny między dźwigniami i trzonkami zaworów pracują równomiernym rytmem.

Służbę ma starszy maszynista Johann. Na razie nie pozwala sobie przeszkadzać. Obserwuję grę wskaźnika obrotów: strzałka waha się mocno. Niekiedy przeskakuje gwałtownie kilka kresek na skali i drży nerwowo, bowiem nasze śruby we wzburzonym morzu natrafiają na zmienny opór. Również bez wskaźnika obrotów uświadamiam sobie tutaj, na rufie, wyraźniej niż w centrali, jak fale przytrzymują okręt, wypuszczają go znowu i zaraz potem przesuwają kawałek naprzód. Śruby pracują najpierw ciężko, gdy jednak okręt odzyskuje swobodę, kręcą się znacznie szybciej.

Johann sprawdza po kolei ciśnienie oleju i wody w chłodnicy, potem obejmuje skupionym spojrzeniem diagnostyka przewód paliwa, rozgałęziający się pod pompą olejową, by zbadać jego temperaturę. Wreszcie wchodzi na połyskujący srebrzyście chodnik z boku diesla i obmacuje podskakujące złącza dźwigni. Robi to wszystko bardzo powolnymi, dokładnie przemyślanymi ruchami.

Johann, rycząc, wyjaśnia mi, co mam robić: uważać, żeby się nic nie rozgrzało, zawsze sprawdzać przewody chłodzące oraz dźwignie na zaworach, tak jak to właśnie pokazywał. A jeśli da znak, przeczyszczać kłapy wydechowe. Przecież wielokrotnie widziałem, jak to się robi.

Johann udaje się znowu do pulpitu sterowniczego, wyciera sobie dłonie kolorową wełną, ze skrzynki przy pulpicie wyciąga flaszkę soku i solidnie pociąga z niej parę razy.

Drgające złącza ociekają olejem. Macam kolejno jedno po drugim, przy czym gwałtownie uderzają mnie w rękę. Wszystkie złącza są jednakowo ciepłe. Wybuchy w cylindrach następują bez pauz, jeden po drugim. Przypominam sobie: ssanie, sprężanie, praca i wydech.

Po kwadransie Johann otwiera drzwi do kambuza i obraca pokrętkiem przy suficie. Przy tym wyjaśnia mi wrzeszcząc: – Zamykam... zawór dolny diesla... Teraz diesel zasysa powietrze z okrętu... jest ładny przeciąg!

Godzinę później starszy maszynista opuszcza pulpit sterowniczy i wchodzi między oba bloki silników. Po stronie pracującego diesla otwiera kurki wskaźników jeden po drugim. Z każdego tryska strumień ognia. Johann uspokojony kiwa głową: zapłon we wszystkich cylindrach w najlepszym porządku. Nic nie nawala. Komiczne, myślę, palić na okręcie nie wolno, ale tego rodzaju pokaz miotaczy ognia jest dozwolony.

Zrównoważonymi krokami tancerza na linie Johann przechodzi do swego pulpitu

sterowniczego, po drodze ściera parę plam oleju z gładkiej płaszczyzny i znowu oczyszcza sobie ręce kłębkami wełny. Wełna wciśnięta jest tuż koło szafki między dwie rury. Po chwili sięga za siebie i ustawia w zaworze wodę pod ciśnieniem do przepychania paliwa. Potem rzuca okiem na zdalne termometry elektryczne, które podają temperatury wszystkich cylindrów i zbiorczych przewodów spalin. Ogryzkiem ołówka tak krótkim, że może go trzymać tylko koniuszkami palców, robi zapisy w dzienniku maszynowym. Dane zużycia paliwa, temperatury, zmiany ciśnienia.

Do przedziału wchodzi jakby wessany przez powietrze maszynista z poprzedniej zmiany z pełnym naręczem ubrań sztormowych, przeciska się koło mnie i dalej, przy poręczach diesla, do siłowni elektrycznej, gdzie rozwiesza do wysuszenia wokół rufowej wyrzutni torpedowej mokre łachy.

Mat z obsługi diesla przycupnął po drugiej stronie, przy stanowisku sterowniczym lewego silnika, na niskiej skrzynce z narzędziami, i czyta w skupieniu jakiś postrzępiony spłacheć, jego diesel odpoczywa, a więc nie ma nic do roboty. Musi być jednak na stanowisku, ponieważ w każdej chwili ten silnik może się okazać potrzebny.

Coraz balansuję na gładkiej żelaznej schodni z boku prawego diesla do przodu i z powrotem. Manometry wskazują normalne ciśnienie.

Starszy maszynista daje mi znak: powinienem się precyzyjnie przemieszczać do siłowni elektrycznej. Tuż przy grodzi wiszą na skrzynce z wyłącznikami brązowe worki aparatów ratunkowych. Sprowadzają one na mnie przygnębiające myśli: centrala i pomost są bardzo daleko. Długa droga ucieczki do wjazdu kiosku. Nie jest to właściwy posterunek dla ludzi z wyobraźnią. Można sobie dziesięć razy powtarzać, że długość drogi ucieczki do wjazdu kiosku jest całkiem obojętna, jeśli okręt zostanie trafiony na głębi. Jednak uczucie, że jest się całkiem zamkniętym z tyłu, działa człowiekowi na nerwy.

Poza tym okręt może być wykończony również na powierzchni morza – na przykład przez staranowanie – wiadomo, że wtedy wśród uratowanych zazwyczaj nie spotka się nikogo z maszynowni, tylko zawsze wachtę z pomostu i chłopaków z centrali.

Dźwięk dzwonka przebija się przez hałas silników. Zapala się czerwona lampa. Natychmiast przenika mnie strach. Mat od diesla zerwał się na nogi. Co się dzieje? Johann robi uspokajający gest ręką. Teraz rozumiem: potrzebny jest lewy silnik. Mam już robotę, muszę otworzyć klapy wylotowe lewego diesla. Mat włącza na wał, sprężone powietrze z sykiem przenika do cylindrów. Starszy maszynista przesunął już dźwignię dopływu paliwa. Zawory trzaskają i teraz następuje pierwszy zapłon. Dźwignie zaczynają się poruszać, lewy silnik budzi się ze swej drętwoty. Zapłon we wszystkich cylindrach i już hałas lewego silnika

łączy się z hukiem prawego.

Znowu przez dłuższą chwilę nie ma nic do roboty. Manometry wskazują, że maszyny są zaopatrzone we wszystko, czego im potrzeba: paliwo, powietrze i wodę do chłodzenia.

Minęło dopiero trzy godziny wachty, równo połowa.

Po uruchomieniu lewego diesla powietrze w pomieszczeniu szybko stało się cieplejsze i cięższe.

O dziesiątej kucharz przynosi nam dzban z sokiem cytrynowym. Piję pożądliwie prosto z dzbanka.

Johann wskazuje kciukiem w stronę sufitu: czas na przetarcie klap wylotowych. One nie mogą się zatkać. Zamykają rury wydechowe podczas pływania pod wodą. Muszą być absolutnie szczelne, żeby morską wodę nie przeniknęła do maszyny. Podczas pływania nawodnego jednak osadza się na nich mnóstwo pozostałości niezupełnego spalania, które uniemożliwiają szczelne zamknięcie przy zanurzeniu. Na początku wojny rzeczywiście okręty ginęły w ten sposób, że klapy wydechowe, na których było dużo osadu, nie zamykały się szczelnie i woda dostawała się przez nie do okrętu. By uniknąć tego niebezpieczeństwa, musimy co cztery godziny „przeszlifowywać” klapy.

Znowu zapala się czerwone, migoczące światełko. Telegraf maszynowy przeskakuje na pół naprzód. Starszy maszynista podciąga do góry dźwignię napełniania. Teraz do pomp cylindrów dociera mniej paliwa, prawy diesel traci obroty i łoskot eksplozji staje się urywany. Johann przesuwając już dźwignię na zero i silnik staje. Daje mi znak pięścią, że wielkim pokrętelem u sufitu powinienem zamknąć zewnętrzną klapę wydechową. Potem biorę bor i kręcę ze wszystkich sił talerzem klapy wydechowej w jego łożysku wte i wewte, żeby usunąć zwęglenia. Powtarzam to wiele razy, aż Johann każe mi przerwać.

Skąpany w pocie i oddychając gwałtownie, stoję tam, gdy prawy diesel rusza znowu. Krótco potem zostaje zatrzymany lewy silnik i ta sama procedura powtarza się z jego klapami wylotowymi. Nie mam już siły i z największym trudem kręcę borem. Pot strumieniami leje mi się po twarzy.

Ledwie oba diesle zaczęły chodzić, gdy na twarzy starszego maszynisty pojawia się wyraz napięcia. Jak skamieniały wsłuchuje się w rytm maszyn. Chwyta latarkę kieszonkową, klucz do śrub i przeciska się koło mnie. Tuż przy włączniku rufowym podnosi płytę w podłodze, świeci w dół i kiwa na mnie. W dole widać wariacki gąszcz przewodów, filtrów, zaworów i kranów, jeszcze większy niż na górze. Tu mieszczą się urządzenia obiegu wody chłodzącej i oleju oraz dopływu paliwa.

Teraz również to widzę: z jakiegoś przewodu tryska cienki strumień wody. Johann

rzuca mi znaczące spojrzenie, potem przeciska się między rurami, wygina jak akrobata i rzeczywiście dociera ze swoim narzędziem do uszkodzonego miejsca. Po chwili podaje śruby i nakrętki. Usunął pakunek uszczelniający. Nie rozumiem, co ryczy do mnie. Musi najpierw wystawić głowę z płataniny rur, bym wreszcie mógł skapować. Mat od diesla powinien przyciąć nową uszczelkę. Nagle mamy pełne ręce roboty. Naprawa nie jest prosta. Na plecach Johanna zarysowuje się wielka plama potu. Wreszcie zasmarowany olejem przeciska się między rurami do góry i mruga okiem: a więc wszystko w porządku. Ale jak on wyczuł to uszkodzenie? Musi mieć szósty zmysł do swoich maszyn.

Pięć minut przed dwunastą przybywa nowa wachta. Jeszcze łyk soku jabłkowego, wytrzeć ręce i już nic, tylko wyjść z tego piekła maszyn i dopiero w centrali wdychać naprawdę świeże powietrze.

W mesie podoficerskiej Wichmann i Kleinschmidt rozmawiają półgłosem na kojach, jednak dość głośno, bym rozumiał każde słowo: – Czasami zapytuję sam siebie, jak kobiety chcą to wytrzymać... przez cały czas nic ciepłego w brzuchu.

Wichmann jest zaręczony. Pokusy, na jakie jego dziewczyna może być narażona, martwią go bardzo.

Zdaje się, że Kleinschmidt wie, co Wichmanna boli. Zamiast okazać subtelność, wali prosto z mostu: – Idź do diabła z babami. Wystarczy przecież tylko powiedzieć: „Proszę, niech pani zajmie miejsce” i już leżą na plecach. Człowieku, mógłbym jednego dnia odstawić dobry tuzin numerów.

– Przesadzasz! – mówi tylko Wichmann.

– Dlaczego? Nie wierzysz? Na pewno twoja kochana myszka przez cały czas zatyka sobie cipkę. Ona jest przyzwoita dama.

Nagle w przejściu robi się taki tłok, że Kleinschmidt nie może mówić dalej. Kiedy się rozluźniło, pyta: – Na czym stanęliśmy?

– Ach, pocałuj mnie w dupę! – proponuje mu Wichmann i staje się cud: Kleinschmidt milczy obrażony.

PIĘTNASTY DZIEŃ REJSU. Dwa tygodnie na morzu. Fale są dziś krótkie. Bez wyraźnej granicy przenikają się nieskładnie nawzajem. Okręt podskakuje w górę i w dół, nie znajduje stałego rytmu. Martwa fala, która w dużych odstępach podnosi się i opada pod żwirowaną powierzchnią, wprowadza jeszcze większe urozmaicenie do ruchów okrętu.

Przez wiele dni nie widzieliśmy nic poza jedną beczką, paroma skrzyniami i kilkuset

korkami od butelek – z tego dowódca nie mógł wyciągnąć żadnych wniosków: – One nie mogą pochodzić z jakiejś pijackiej orgii... same korki i ani jednej butelki... To zupełne wariactwo.

Idę na wachtę ze starszym sternikiem. Przynajmniej bicepsy będę miał wytrenowane. Od stałego trzymania ciężkiej lornety czuję cały system mięśni ramion aż do łopatek. Teraz muszę opuszczać szkła częściej niż w pierwszej godzinie wachty. Starszy sternik może trzymać szkła godzinami, jakby mu ręce wyrosły pod kątem prostym.

– Prowadzimy tu naprawdę podwójne życie – zaczyna starszy sternik ni stąd, ni zowąd.

Nie wiem, o co mu chodzi. Starszy sternik nie jest bynajmniej człowiekiem towarzyskim. Dlatego jego słowa wydobywają się w sposób urywany spomiędzy skórzanych rękawiczek: – Że tak powiem, na pół na okręcie, a drugie pół na ładzie. – Starszy sternik chce mówić dalej, ale wyraźnie nie znajduje właściwych słów.

Zajmujemy się obaj obserwacją naszych sektorów.

– To jest tak – ciągnie wreszcie dalej. – Tutaj jesteśmy całkowicie pozostawieni samym sobie... ani poczty, ani jakichkolwiek połączeń, nic. Ale mimo to jesteśmy w jakiś sposób związani z domem.

– Tak?

– Na przykład, człowiek się martwi. Musi ciągle na nowo myśleć, co tam dzieje się w domu? A ci, co są w domu, znowu myślą. Nie dowiadują się nawet, gdzie my się właściwie włączymy.

Znowu przerwa. Potem starszy sternik mówi: – Kiedy wychodzimy... – i zawiesza na długo zdanie – to wtedy jak byśmy na pół zaginęli. Jeśli okrętowi rzeczywiście coś się przytrafi, upływają miesiące, zanim ogłoszą meldunek o stracie.

Starszy sternik pogrąża się w milczeniu. Potem niespodzianie ciągnie znowu: – Kiedy człowiek jest żonaty, to wtedy wart jest tylko połowę. – Wygłasza to jak pewnik, którego nic nie może podważyć.

Wreszcie przejaśnia mi się w głowie. On mówi o samym sobie. Udaję jednak, że nie dostrzegam, o co chodzi w jego ogólnikowych wypowiedziach.

– Nie wiem, Kriechbaum, czy obrączki rzeczywiście tak wiele znaczą... Od kiedy właściwie główny mechanik jest żonaty?

– Dopiero od pół roku. Ma taką wysoką blondynkę z lokami.

Teraz mówi nie utykając, ulżyło mu, ponieważ nie chodzi już o jego własne problemy: – Postawiła mu ultimatum: „Nie pozwolę sobie zepsuć wszystkiego” i tak dalej w tym

rodzaju. Przy tym nie wygląda ona tak, żeby nie miała rozrywek, kiedy my się tu włączymy. Gówniana sytuacja dla głównego mechanika. Teraz w dodatku ona jest w ciąży.

Kiedy Kriechbaum po długiej przerwie zaczyna znowu, jąka się tak jak na początku. Widać znowu mówi o samym sobie. – Człowiek, chociaż nie chce, wlecze z sobą mnóstwo balastu. Lepiej byłoby o niczym nie myśleć!

– To już ktoś kiedyś powiedział, wyciągnął konsekwencje i spalił za sobą okręty – mruczę, trzymając lornetkę. Obaj pozostali wachtowi nie muszą nas słyszeć.

– Spalił okręty? Kto spalił okręty?

– Ten jegomość nazywał się Agathokles. Agathokles z Syrakuz. Wtedy pożegłował do Afryki, żeby bić się z Kartagińczykami.

– I?

– Ta historia jest nieco skomplikowana. Mianowicie Kartagińczycy oblegali jego miasto.

– Myślę, że ten pan jakmutam chciał ich pobić w Afryce?

– Bardzo słusznie... Ale flota Kartagińczyków była pod Syrakuzami!

– Rozumiem! – mówi starszy sternik.

– Agathokles przedarł się przez blokadę i dotarł do Afryki. Teraz trzeba było maszerować. I wtedy pan Agathokles kazał podpalić wyciągnięte na brzeg okręty: nie było już możliwości powrotu.

– Trochę za gwałtownie – mówi starszy sternik.

Poświęcamy się znowu obserwacji horyzontu. Centymetr po centymetrze obmacuję swój sektor lornetą. Potem oczy mi odpoczywają, gdy bez szkieł patrzę na morze i niebo. Zamykam powieki i znowu przykładam lornetę do oczu. Zawsze to samo: przeszukiwać widnokrag, odsunąć szkła, rozejrzeć się i znowu przyłożyć je do oczu.

Przed okrętem, dwie kreski z lewa, widać ławicę mgły – kłęb szarozielonej brudnej wełny – dokładnie na horyzoncie. Starszy sternik coraz to kieruje swe szkła w tamtą stronę: pasma mgły są szczególnie podejrzane.

Mija dobre dziesięć minut, nim starszy sternik znowu podejmie wątek: – Prawdopodobnie najszluszniejsze, co można zrobić: won z tą całą menenke! – Przez chwilę tłucze mi się w głowie: powiedział „menenke”... czy to nie po żydowsku? Skąd mógł on wytrzasnąć to menenke? Fisimatenty to też jest takie słowo. Menenke... fisimatenty... człowiek całkiem idiocieję od tego wytrzeszczania oczu.

Muszę pomyśleć o podchorążym Ullmannie. Ten również ma swoje kłopoty. Ullmann

jest wrocławianinem. Z tym zadartym nosem i rozsypanymi po całej twarzy piegami można go wziąć za czternastolatka. Na jego młodociany wygląd wpływa również pewien rys nieśmiałości. W bazie widziałem go raz w granatowym mundurze wyjściowym. W zbyt wielkiej czapce z daszkiem sprawiał wrażenie przebierańca, a do tego był śmieszny jak konfirmant, którego ubrano na wyrost.

Podchorąży cieszy się powszechną sympatią. Wygląda na twardego chłopaka. Właściwie nie jest wcale mały, tylko raczej krępy, a gdy mu się bliżej przyjrzeć, okazuje się, że musi być starszy, niż się początkowo wydawało. Zmarszczki na jego twarzy nie są tylko zmarszczkami mimicznymi.

Pewnego dnia, gdy byłem z podchorążym w mesie podoficerskiej, zachowywał się dziwnie. Bez sensu przekładał pozostałe na stole nakrycia, przesuwając je to w jedną stronę, to w drugą, ułożył nóż równoległe do widelca i parę razy podnosił oczy do góry, szukając mojego spojrzenia. Zauważyłem, że chce mi coś powiedzieć.

– Czy zna pan kwaciarnię koło kafejki „A l’ami Pierrot”?

– Oczywiście i również obie sprzedawczynie. Ładne dzidzie... Jeannette... i jak się nazywa ta druga?

– Francoise – powiedział podchorąży. – Z tą właśnie się zaręczyłem, naturalnie w tajemnicy!

– Tsss! – syknąłem najpierw z samego zdumienia: nasz mały podchorąży z czupryną jak szczotka i zbyt obszernym mundurem wyjściowym, a zaręczony z Francuzką!

– Ładna dziewczyna – powiedziałem potem.

Podchorąży przysiadł na koi, ręce na udach, obrócone wnętrzem dłoni do góry, i wyglądał bezradnie – właśnie tak, jakby to wyznanie całkowicie go wyczerpało.

Stopniowo dowiedziałem się więcej. Dziewczyna jest w ciąży. Podchorąży nie jest taki naiwny, by nie wiedział, co znaczyłoby dla niej, gdyby wydała dziecko na świat. Jesteśmy wrogami. Z kolaborantami często sprawa bywa krótka. Podchorąży wie, jak aktywni są maquis. Dowiedziałem się od niego, że dziewczyna wie o tym wszystkim jeszcze lepiej.

– Nie chce również usunąć dziecka! – powiedział podchorąży, ale tak niepewnie, że spytałem: – I?

– Nie chce, jeśli wrócimy!

Wtedy przypomniałem sobie epizod, gdy wychodziliśmy ze schronu. Gdy dowódca rzucił okiem na basen portowy, zapytał mruklawie: „Czy to do pana?” i wskazał głową w kierunku pustego domu na prawo od śluzy. W oknie na drugim piętrze zobaczyłem machającą

ręką dziewczynę.

– Nie mam pojęcia! – powiedziałem Staremu i spytałem: – Czy nie jest to rejon zamknięty?

– I jeszcze jak!

Zapytałem podchorążego: – Kiedy wychodziliśmy w morze, czy pana... jak ona się nazywa?... Françoise była w porcie?

– Tak! Mówiłem jej, że nie wolno.

– Przecież dokoła stoją posterunki!

– Oczywiście... ale jej się udaje. Przyjechała rowerem do St.-Nazaire. – Podchorąży miał taką minę, jakby wzmianka o rowerze wyjaśniała wszystko.

– Hm – mruknąłem. Z zakłopotania nie potrafiłem nic mądrzejszego powiedzieć jak tylko: – Człowieku, przecież to nie jest powód do zmartwienia... wszystko się wyjaśni. Też masz się czym przejmować!

– Tak – odparł krótko podchorąży.

Znowu szkła do góry! Te lornety należałoby robić lżejsze! Starszy sternik obok mnie staje się zgryźliwy: – Ci państwo w kraju powinni sobie to obejrzeć: ocean, nic tylko ocean i ani śladu złego wroga. Domyślam się, jak oni sobie to wyobrażają: wypłynąć, parę dni się pokreć i, patrzaj, już płyną statki, całymi stadami i z pełnymi brzuchami. Wtedy szybki atak... strzelanina ze wszystkich luf... parę bomb głębinowych na główkę, żeby nam woda sodowa nie uderzyła... proporczyk zwycięstwa na peryskopie za same tylko wielkie zbiornikowce... i już uśmiechnięci od ucha do ucha przycumowujemy do pirsu... orkiestra dęta i ordery... oczywiście.

Podczas swego przemówienia starszy sternik ani na sekundę nie oderwał oczu od swego sektora. Teraz opuszcza szkła i patrzy mi w twarz, na pół zgorzkniały, na pół rozbawiony. Ledwie podniósł znowu lornetę do oczu, wraca do swego tematu: – Ale to ktoś powinien kiedy sfilmować: wielkie panoramiczne zdjęcia niczego. Wygolony horyzont, parę chmur... poza tym nic... absolutnie nic. A potem powinni nas sfilmować, nas, na dole w okręcie: spleśniały chleb, brudne szyje, zgniłe cytryny, postrzępione koszule, przepecone koce, a przede wszystkim nasze wynędzniałe facjaty.

SZESNASTY DZIEŃ REJSU. Wydaje się, że główny mechanik jest w dobrym humorze. Prawdopodobnie dlatego, że rano udała mu się szczególnie skomplikowana reperacja maszyny. Pozwala sobie nawet coś gwizdać pod nosem.

– Nadaje się do kabaretu! – mówi Stary.

Wystarczy mi tylko zamknąć oczy na sekundę, aby wywołać scenerię z „Bar Royal”. To właśnie tam mechanik Merkela chciał mnie nauczyć gwizdać na dwóch palcach. Sztuka gwizdania jest, jak się zdaje, w tej flotyli specjalnością inżynierów.

Jak dawno to już była ta pijacka noc: puste, wytrzeszczone spojrzenia muzykantów, zwariowany Trumann. Myślę, o zakładzie, który proponował Prastary. Widzę Thomsena leżącego w urynie, gdy ryczy hasła wśród pęcherzyków piany.

– O Trumannie dawno już nic nie słyszeliśmy – mówi nagle Stary, jakby czytał w moich myślach. – A przecież od dawna musiał wyjść w morze.

O Trumannie nic. Ale również o Kortmannie nic i nic o Merkelu.

Dowiedzieliśmy się tylko, że Kallmanna i Saemischa wzywa się do podania położenia. No i do tego meldunki okrętów Flechsiga i Bechtela, które również przyjął nasz radzik.

– To będzie zasrany miesiąc – burczy Stary. – Widać innym również nie idzie lepiej niż nam.

Do kolacji została jeszcze godzina i dziesięć minut, a więc siedemdziesiąt minut – cztery tysiące dwieście sekund!

Zjawia się radzik Hinrich, by przekazać sygnał skierowany bezpośrednio do nas. Pierwszy mechanik bierze pasek papieru, wyciąga z szafy maszynę do rozszyfrowywania, stawia ją między naczyniami na stole, starannie bada nastawy i zaczyna naciskać na klawisze.

Niby przez przypadek zjawia się starszy sternik i obserwuje czifa spod oka. Ten jednak przybiera wyraz skupienia i z jego miny nie da się nic wyczytać. Wreszcie mruga do sternika, a odszyfrowany radiogram podaje dowódcy.

Nie ma w nim nic, poza wezwaniem do podania pozycji.

Dowódca znika w centrali wraz ze sternikiem. Nie potrwa długo i radzik wystuka krótki sygnał z naszymi koordynatami.

Włóczęga 2

Gdy tylko jest miejsce na górze, zaraz wychodzę na pomost. Rozglądam się dokoła jak z małej, pozbawionej drzew wysepki. Ani nadbudówki pokładowe, ani maszty i reje nie zasłaniają widoku na morze.

Codziennie, już od rana, niebo przybiera inną barwę. Są więc nieba zielone, witriolowozielone, pistacjowozielone. Czasami zieleń jest tak ostra jak podświetlona lemoniada marzankowa. A potem znowu zielona toń staje się tylko wyblakłą zielonkawą plamą, jak z kipiącego garnka ze szpinakiem, albo jest to lodowo zimna zieleń kobaltowa, która szybko blaknie i zamienia się w żółć neapolitańską.

Z barw żółtych sklepienie niebios oferuje wczesnym rankiem często chłodną żółć chromową. Wieczne nieba mają; żółć nasyconą jak mosiądz, również żółć kadmową albo indyjską. Czasami całe niebo jakby płonęło żółtym ogniem. Również chmury niekiedy stroją się na żółto: jest to brudna siarczana żółć. Wieczne zorze połyskują żółcią – od zielonkawej żółci złota do chłodnego złota oraz nakrapianego pomarańczowo złota.

Najwspanialsze są czerwone nieba. Rano i wieczorem mogą wypłynąć na niebo całe powodzie czerwieni o najwyższej intensywności. Wydaje się, że czerwienie są najbogatsze i najbardziej zmienne ze wszystkich barw: od lekkiego nalotu delikatnego, opalizującego różu do głębokiej purpury, od ulotnej czerwieni malw do jaskrawej czerwieni hydrantu. Między tym jest czerwień perłowa, czerwień geranii, szkarłatna czerwień. A między czerwienią i żółcią bezkresna skala tonów pomarańczowych.

Rzadziej niż czerwone spotyka się fioletowe pożary nieba. Wyblakłe i ulotne fiolety, które szybko przekształcają się w barwę szarą, każą myśleć o spłowiałej tafcie. Natomiast granatowe fiolety z domieszką czerni wyglądają groźnie i złowrogo. Bywają również wieczory z całkowicie kiczowatymi fioletami purpurowymi, których żaden malarz nie odważyłby się zastosować.

Szare nieba mają niezliczone mnóstwo odcieni: ciepła szarość, chłodna szarość. Zmieszane są z umbrą, ciemną ochrą i sieną. Szarość Velasqueza, szarość gołębia – obok tych barwnych szarości są również odcienie całkowicie pozbawione wyrazu: betonowa i stalowa.

Poza szarością błękit jest główną barwą nieba. Najwspanialej wygląda głęboki błękit nad szalejącym morzem, które wydyma się ku górze od pędzących podmuchów wiatru:

wysoko, wysklepiony kobaltowy błękit bez chmur burzowych. Czasem błękit bywa tak nasycony, jak rozpuszczone w wodzie indygo. Zdarza się rzadko i dlatego tym bardziej cenny jest zielonkawy błękit nieba.

Równie zmienne jak barwy nieba są barwy morza. Szarzyzna morza parującego o przedświcie. Czarne, butelkowozielone, szare, fioletowe, białe morze...

Zmieniająca się stale struktura morza wprowadza do tego nowe odmiany: jedwabiste morze, porysowane morze, zmarszczone, zorane, zbałwanione morze. Falujące, drżące, spokojne morze.

Okręt taszczy nadal ładunek czternastu torped i stu dwudziestu granatów do osiemdziesiątkióssemki. Tylko amunicji 37 mm trochę nam ubyło wskutek strzelań próbnych. Ze stu czternastu ton paliwa zużyliśmy już wiele. Jesteśmy również lżejsi o znaczną część prowiantu.

Wielkoniemieckiemu dowództwu wojny morskiej nie przynieśliśmy jeszcze nic: nie zadaliśmy nieprzyjacielowi najmniejszych strat. Nie przynieśliśmy jeszcze honoru naszemu krajowi. Nie rozluźniliśmy duszącego chwytu Albionu, wawrzynowemu wieńcowi niemieckiej broni podwodnej nie dorzuciliśmy nowego listka i tak dalej...

Chodziliśmy tylko na wachty, żarliśmy i trawiliśmy, wdychaliśmy smród i sami go produkowaliśmy.

Nie zdarzyło się nam nawet spudłować. Spudłowane strzały zrobiłyby nam przynajmniej miejsce w przedziale dziobowym. Ale torpedy są w komplecie, znakomicie zakonserwowane, nasmarowane i regularnie sprawdzane.

Gdy niebo się przyciemnia, płaty piany, którymi się obwiesza spychacz sieci przy każdym zanurzeniu, robią się tak szare jak bielizna wyprana zwykłym wojennym mydłem. Wkrótce dokoła widać tylko szarzynę. Bez żadnej linii granicznej szarość morza przechodzi w szarość nieba. Dalej w górze, tam gdzie powinno być słońce, szarość jest tylko o jeden odcień jaśniejsza. Niebo wygląda jak zupa z grysiku, zbyt rozcieńczona wodą.

Również piana poszczególnych grzywaczy nie jest już biała. Jest to zabrudzona, wypluta piana.

Wycie wiatru grzmi jak skowyt kopniętego psa: beznadziejnie i deprymująco.

Walczymy z morzem. Okręt kiwa się jak koń na biegunach: up and down. Ciągłe up and down. Wysilek patrzenia staje się męką. Wciąż na nowo muszę podkręcać samego siebie, aby mnie nie przygniotła szara beznadziejność i nie pogrążyła w apatii.

Szare, jakby przefiltrowane przez gazę światło uciska powieki. W tej szarej zupie oko

nigdzie nie może uchwycić czegoś trwałego. Pył wodny jeszcze bardziej zmętnia tę szarzyznę.

Gdyby się wreszcie coś stało! Gdyby diesle choć przez chwilę ruszyły całą naprzód!
Gdyby okręt zaczął znowu ciąć fale, zamiast prowadzić tę otepiającą jazdę po wybojach!

Wata w głowie. Ciężkie kończyny. Bolące oczy.

Zasrana wilgoć, zasnany wiatr, zasnany rejs!

Obserwuję, jak jeden z torpedystów dłubie w nosie. Nie robi tego mimochodem, lecz działa tak, jakby to była określona regułami procedura: najpierw wtyka w dziwnie pokrętny sposób – zwracając grzbiet dłoni ku twarzy – zakrzywiony mały palec prawej ręki do prawej dziurki, tak jakby chciał ją najpierw trochę rozszerzyć, potem wprowadza palec wskazujący i wygrzebuje starannie zaschnięte w ciągu nocy smarki. To, co wydobywa na światło dzienne między czubkiem palca a paznokciem, ogląda wnikliwie, bez oznak niechęci ani też radości na obliczu. Prawdopodobnie chodzi o całkiem normalne boby, z których formuje teraz między kciukami a palcem wskazującym zielonkawą kiełbaskę – cierpliwie, jakby już miał dokładne wyobrażenie jej kształtu i wiedział, że da się on zrealizować tylko stopniowo. Ciekawi mnie, gdzie też uplasuje tę bobę. Torpedysta nie robi sobie kłopotów: zdecydowanie ociera ją o skórzane spodnie i zaraz przystępuje do oczyszczenia lewej dziurki nosa. Używa do tego tej samej ręki. Tym razem jednak mamy pewną zmianę. Nie robi kluski, tylko kulkę ze śluzu, którą po starannym jej uformowaniu wystrzeliwuje z kciuka palcem wskazującym w stronę zaworów dennych rur torpedowych. Wreszcie klaszcze ocierając sobie dłonie jak arabski przekupień po udanej sprzedaży i przybiera na twarz wyraz zadowolenia: No, tośmy załatwili!

Jako najstarszy członek załogi elektryk Hagen cieszy się powszechnym szacunkiem. Widać po nim, że zdaje sobie i tego sprawę. Z jego twarzy widzę w półmroku najpierw tylko oczy i nos; podkreśnione koniuszki wąsów prawie dotykają powiek. Czoło zasłania gęsta czupryna. Jego czarna broda jest również gęsta i okazała, ponieważ zapuszcza ją już w czasie postoju w porcie. Hagena nazywają „skromny ucziwy sposób” wedle jego ulubionego powiedzonka. Hagen ma już za sobą siedem rejsów bojowych, z tego sześć na innym okręcie.

– No tak – mówi Hagen i już wszyscy milczą.

Wyciągam nogi, opieram się plecami o siatkę dolnej koi i zastygam w oczekiwaniu tego, co nastąpi.

Hagen smakuje to oczekiwanie, bardzo dokładnie wyciera dłonie o swe włosy na

piersiach, a następnie podnosi imbryk. Potem spokojnie i ze smakiem siorbie herbatę.

– No dalej, stary rycerzu! – zachęca go wreszcie Jednotancerz. – Nie certuj się... Mów, panie, twój lud słucha!

– Raz wściekłem się na Tomków...

– ...na mój skromny, uczciwy sposób! – przerywa mu głos z koi, a Hagen rzuca scenicznie pogardliwe spojrzenie w tamtą stronę.

– Przy takiej samej świńskiej pogodzie jak dzisiaj dobrali się nam do skóry koło Orknejów. Cała gromada eskortowców wisiała ciągle nad nami. Nie mieliśmy porządnej głębokości pod stępką. Żadnej szansy, by uciec pod wodą. Strzelające cukierki przez cały dzień...

Hagen popija herbatę. Jednak nie łyka jej natychmiast, tylko kilkakrotnie hałaśliwie płucze nią zęby.

– Awarie jedna po drugiej. Tomki byli tak uprzejmi. I czekali tylko, byśmy się wynurzyli, a potem wio: do rąbania lasów w Kanadzie.

– Optymista! – mówi ktoś.

Hagen nie daje się zbić z tropu: – Następnej nocy ryzyk fizyk wynurzyliśmy się i daliśmy dęba. Faceci musieli po prostu spać. Do dziś tego nie rozumiem. Zaraz następnego dnia zrobiliśmy niszczyciela. Prawie na niego wpadliśmy we mgle. Musieliśmy strzelać na całkiem małą odległość!

Hagen wpada w głębokie zamyślenie, a Jednotancerz znowu spełnia rolę akuszerki: – Wypowiedz się, człowieku, dalej!

– Dostaliśmy niszczyciela w położeniu zerowym! – Hagen pokazuje sytuację za pomocą dwóch zapalek: – Tu jest nieprzyjacielski niszczyciel, a to nasz okręt! – Hagen ustawia obie zapalki główkami do siebie: – Ja go pierwszy wykryłem... Na mój skromny, uczciwy sposób!

– No, nareszcie się zgadza! Kto by śmiał wątpić? – słychać znowu głos z koi.

Hagen streszcza się teraz. Przesuwając zapalki, demonstruje bez słowa atak: – W parę sekund niszczyciel zniknął!

Hagen chwyta zapalkę, która przedstawia niszczyciela, i łamie ją w połowie. Potem podnosi się i jeszcze depta ją nogą. Teraz każdy może widzieć, jak wielki jest jego gniew. Jednotancerz krzyczy: – Da capo!

Mały Benjamin twierdzi, że jest całkiem wstrząśnięty. Patrzy Hagenowi prosto w twarz i próbuje przy tym ukraść kanapki, które Hagen sobie przyrządził. Ten jednak jest czujny i uderza go gwałtownie po palcach: – Tylko nie sięgaj tak ufnie po chleb z masłem!

Na małym Benjaminie nie widać śladu zakłopotania.

– Omyłka – usprawiedliwia się – jak powiedział jeź, złącząc ze szczotki klozetowej!

Turbo z centrali również chce coś pokazać. Z reklamy w jakimś tygodniku wyciął cygaro i śliwkę i wykleił z nich obsceniczny montaż, który teraz z dumą demonstruje.

– Stara świnia! – mówi Hagen.

Przez trzy dni i trzy noce radiotelegrafista nie odbiera nic poza sygnałami określającymi pozycję innych okrętów. Zwycięskie meldunki nie napływają. – Tak parszywie to jeszcze nigdy nie było – mówi Stary. – Absolutne dno!

Morze pieni się i gotuje. Wiatr ciągle wtlacza nowe potężne ilości powietrza w wodę i morze staje się białoszarą płaszczyzną. Nigdzie nie widać choćby metra kwadratowego zwykłej butelkowej zieleni. Tylko matowa biel i szarość. Gdy dziobowa część naszego okrętu wynurza się z fal, wygląda, jakby przykleiły się do niej po obu stronach ciągliwe pasma gipsu.

Przy śniadaniu Stary tak się zadumał, że zapomniał o żuciu. Dopiero gdy stołowy przychodzi posprzątać, Stary wzdyga się z przestachem, przez parę minut porusza szybko szczęką i zaraz potem jest znowu daleko ze swoimi myślami.

Obojętnie odsuwa talerz i wreszcie wraca do siebie. Dziękuje nam uprzejmym spojrzeniem i otwiera usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie wymawia ani słowa. Wreszcie zdobywa się na kilka służbowych poleceń: – O dziewiątej zanurzenie próbne! O dziesiątej szkolenie podchorążych. Kurs trzymać do południa! – Zawsze to samo.

W niemałym stopniu psuje Staremu humor pierwszy owu. Jego ciągle lekko krytyczne, a często nawet lekceważące spojrzenie działa Staremu na nerwy. Swą pedanterią pierwszy zakłóca stosunki towarzyskie i służbowe – zupełnie jak kierowca, który zachowując się dokładnie według przepisów, może wprowadzić zamieszanie w ruchu. Przede wszystkim jednak jego prawie nie ukrywane przekonania polityczne drażnią Starego.

– Zdaje się, że on naprawdę nienawidzi Anglików – powiedział wczoraj za pierwszym, który właśnie objął swoją wachtę. – Dobrze wytresowany. No tak, on przynajmniej ma prostą linię.

Dałbym wiele, bym przez pół godziny mógł spacerować albo naprawdę pobiegać: bieg w lesie. Mięśnie moich łydek sflaczały. Moje bytowanie składa się przecież tylko z leżenia, stania, siedzenia. Myśl o lesie sprowadza natychmiast w moje nozdrza zapach żywicy. Widzę prawie pomarańczowe przekroje ściętych sosen, szafas z okrągłaków, który sobie

zbudowaliśmy, słyszę szmer sitowia, widzę siebie podczas polowania na szczury wodne. Jezu...

Wpłynął sygnał. Wszyscy na siłę zachowujemy obojętność, a jednak każdy oczekuje rozkazu, który położy koniec naszej włóczędze. Dowódca rzuca pogardliwe spojrzenie na maszynę do szyfrowania, czyta kartkę, poruszając bezgłośnie ustami, i wychodzi bez słowa.

Patrzemy na siebie znacząco.

Dręczony ciekawością przenoszę się do centrali. Dowódca pochylił się nad mapą. Na razie muszę daremnie czekać na objawienie treści sygnału. W lewej ręce dowódca trzyma radiogram, prawą ustawia cyrkiel.

– Mogłoby się udać! Całkiem nieźle! – mruczy.

Pierwszy oficer nie wytrzymuje już niepewności i prosi o ten pasek papieru. Jest na nim napisane: „Konwój kwadrat XY. Kurs zygzakiem do sześćdziesięciu stopni. Prędkość osiem węzłów. – UM”, Spojrzawszy na mapę, nabieram pewności, że kwadrat XY jest dla nas osiągalny.

Starszy sternik chrząka i pyta dowódcę z najbardziej obojętną miną o nowy kurs. Zachowuje się tak, jakby sygnał nie zawierał nic poza nową ceną ziemniaków w handlu detalicznym.

Również po dowódcy nie widać żadnego wzruszenia. – Czekać – mówi tylko.

Tymczasem nic się nie dzieje. Główny mechanik wierci sobie językiem w zębie. Starszy sternik oddaje się obserwacji swoich paznokci, podczas gdy dowódca przykłada ekierkę do mapy i mierzy cyrkiem odległości.

Starszy sternik zagląda mu przy tym przez ramię. Sięgam po parę śliwek ze skrzyni i gryząc je, usiłuję jak najstaranniej oddzielić miąższ od pestek. Na pestki marynarz z centrali przybił pustą puszkę po mleku do drewnianego oszalowania. Jest już do połowy wypełniona. Moje pestki są jednak najczystsze.

UM to okręt Martensa, który przedtem służył u Starego jako pierwszy oficer, a teraz należy do 6 floty w Breście.

Z nowych sygnałów dowiadujemy się, że rozkaz ataku na konwój dostały trzy okręty, potem cztery, a wreszcie nawet pięć.

Nas nie wymieniono.

– Teraz musi tam lecieć wszystko, co tylko pływa! – komentuje Stary. Myślę, że o wiele chętniej powiedziałby: Do cholery, kiedy wreszcie przyjdzie rozkaz dla nas.

Mija godzina za godziną, ale nie wpływa żaden sygnał, skierowany bezpośrednio do nas. Dowódca przysiadł w kącie koi i zajmuje się mnóstwem kolorowych skoroszytów, w

których zebrane są najróżnorodniejsze dokumenty: tajne instrukcje, reguły taktyczne, rozkazy flotylli i tym podobne papierzyska. Każdy wie, jak niechętnie Stary odnosi się do wszelkich papierków. I że te skoroszyty wziął tylko po to, by ukryć napięcie.

Koło godziny siedemnastej nadchodzi wreszcie nowy sygnał. Dowódca unosi brwi. Cała jego twarz rozjaśnia się: my jesteśmy adresatami! Stary czyta i jego twarz znowu pochmurnieje. Niechętnie podaje mi pasek papieru: jest to wezwanie, byśmy podali sytuację meteorologiczną.

Sternik przygotowuje meldunek i wręcza dowódcy kartkę do podpisu: „Ciśnienie wzrasta. Temperatura powietrza pięć stopni, wiatr NW6, pochmurno, cirrostratus, widoczność ponad siedem mil morskich. UA.”

Ażeby nie zarazić się złym humorem Starego przenoszę się do centrali i wychodzę na górę. Cienkie welony cirrusów zagęściły się. Błady błękit stopniowo niknie za nimi. Niewątpliwie niebo znowu ubierze się w szarocie. Światło staje się chłodniejsze. Dokoła, tuż nad horyzontem, ułożyły się ciemne chmury. Ich dolne krawędzie przechodzą teraz bez wyraźnych konturów w szare tło nieba. Tylko u góry odcinają się ostro od mętnej bieli. Stoję, wsadziwszy głęboko ręce w kieszenie skórzanej kurtki, i uginam się w kolanach w takt ruchów okrętu, chmury rozdymają się coraz bardziej, jakby ktoś je nadmuchiwał od środka. Z prawej strony wiatr wrywa w nich lukę, ale natychmiast zsuwają się z obu stron i zamykają przerwę. Tworzą potężną falangę, która wkrótce zdobędzie całe niebo. Jakby te wszystkie przesunięcia nie spowodowały jeszcze dość zamieszania, przez szczelinę wyziera słońce i skośnymi wiązkami promieni wywołuje dramatyczną grę światła i cienia w tłumie rozdętych kształtów. Na morzu pojawia się teraz jasna plama: dokładnie z prawej strony. Potem smugi słonecznego światła wędrują po sfalowanej krawędzi chmur, która rozbłyskuje, a ciemność nad nią wydaje się jeszcze ciemniejsza. Jakby nie miał ani minuty, promień słońca porusza się szybko to w tę, to w tamtą stronę, niezdecydowany, której chmurze użyć aureoli.

Na drugim oficerze zmiany nieba nie robią wrażenia. Klnie: – Cholerne nalotowe chmury! – Dla niego ten wspaniały widok jest tylko oszustwem i podstępem. Ciągłe podnosi szkła ku górom z chmur, które wyrosły już prawie do zenitu.

Schodzę w dół i zajmuję się moimi kamerami.

Jest wieczór. Znowu wychodzę na pomost. Chmury zalewane są teraz tęczowymi barwami. Nasycają się nimi. Nagle światło słońca opuszcza obłoki i natychmiast robią się one szare i smutne. Wysoko na niebie pojawia się jak blade widmo ostatnia kwadra księżyca. Godzina osiemnasta.

Po kolacji daremne oczekiwanie na nowy sygnał paraliżuje języki. Dowódca jest

niespokojny. Co kwadrans znika w centrali i staje przy stole nakresowym. Kiedy wraca, pięć par oczu zawisa na jego wargach. Na próżno – dowódca nic nie mówi.

Główny mechanik próbuje wreszcie wywabić Starego z jego ponurego milczenia: – Najwyższy czas, żeby kontaktowy znowu się odezwał.

Dowódca wcale nie słucha.

Mechanik sięga po książkę. Dobrze, jeśli nie można tu mówić, również i ja udaję, że czytam.

Drugi owu i drugi mechanik przerzucają czasopisma, pierwszy owu grzebie w urzędowo wyglądających skoroszytach.

Gdy właśnie mam coś wyjąć ze swej szafy i przeciskam się koło radiostacji, widzę, że radzik, z na pół przymkniętymi oczyma, w świetle swej małej lampy szybko notuje sygnał.

Staję jak wkopany i wracam zaraz do mesy O. Drugi oficer natychmiast bierze się do odszyfrowywania. Nagle przybiera zniechęconą minę. Coś nie w porządku.

Dowódca trzyma w ręku odszyfrowany sygnał, a na twarzy pojawia mu się ten nieco zdziwiony wyraz, jaki niekiedy miewają bokserzy po ciężkim ciosie w podbródek.

Dowódca czyta: „Zaskoczony przez niszczyciela w szkwale. Cztery godziny obrzucania bombami głębinowymi. Straciłem kontakt, przebijam się w kwadracie Bruno Karl. UM.”

Przy ostatnich słowach ścisza głos. Patrzy przez dobrą minutę na radiogram, potem robi głęboki wdech, patrzy znowu i wydmuchuje powietrze. Jednocześnie opada na swój kącik kanapy. Ani słowa, ani przekleństwa, nic.

Później przysiedliśmy na relingu w „ogródku zimowym” za pomostem.

– To jest właśnie szaleństwo – mówi Stary. – Mamy wrażenie, że sami jedni znajdujemy się na Atlantyku, gdy tymczasem z całą pewnością, właśnie w tej chwili, płyną po nim setki statków, a niektóre z nich prawdopodobnie niedaleko od nas, tylko właśnie za horyzontem. – Z goryczą w głosie dorzuca: – Krzywizna ziemi... Kochany Bóg musiał ją wymyśleć właśnie dla Anglików! Co my właściwie możemy widzieć przy tak nisko położonym punkcie obserwacji? Siedzimy tu głęboko jak na składaku. Po prostu przykro, że jeszcze niczego nie wynaleziono.

– Owszem, wynaleziono... – mówię. – Samoloty!

– Tak, samoloty! Samoloty ma nieprzyjaciel. Gdzie tkwią nasze morskie samoloty zwiadowcze, to chciałbym chętnie wiedzieć. Ten gruby błazen potrafi mieć tylko gębę od ucha do ucha, nasz pan łowczy Rzeszy!

To szczęście, że zjawia się główny mechanik: – Chciałem łyknąć świeżego powietrza

– mówi.

– Będzie tu trochę ciasno – mówię i schodzę na dół.

Spojrzenie na mapę morską: to co zawsze – ołówkowa kreska, która znaczy nasz kurs, zygzakuje w tę i tamtą stronę, co wygląda jak niedbale rozłożona calówka.

Stary również schodzi z góry. Siada na skrzyni z mapami i czeka chwilę, nim podejmie przerwany wątek: – Może jeszcze będziemy mieli szczęście. Kiedy wprowadzi się do akcji wystarczającą ilość okrętów, istnieje szansa, że któryś znowu złapie kontakt!

Następnego ranka odczytuję sygnał, który nadszedł w nocy: „Poszukiwania w kwadracie Bruno Karl bez rezultatu. UM.”

Następny dzień jest najgorszy ze wszystkich. Staramy się nie rozmawiać ze sobą. Schodzimy sobie z drogi, jak byśmy mieli świerzb. Przeważnie siedzę sam na skórzanej kanapie w mesie. Główny mechanik nie wychodzi z maszynowni nawet do jedzenia. Również i drugi mechanik tam siedzi. My trzej, pierwszy i drugi oficer oraz ja, nie ważymy się odezwać do Starego, który zagłębiony w sobie patrzy w przestrzeń i przełyka tylko parę łyżek gęstej zupy.

W sąsiedniej mesie SP także panuje milczenie.

Radzik Hermann boi się założyć płytę na gramofon. Również stołowy wykonuje swe obowiązki, opuszczając oczy, jakby obsługiwał towarzystwo na stypie.

Wreszcie dowódca otwiera usta: – Tamci faceci nie popełniają już błędów!

Także w kubryku dziobowym nastrój jest nędzny. – No i dobra: ma śmieci w mózgu, bo zapomniał trzepać – drażni Ario badacza Pisma Świętego. A Dunlop dodaje: – Zapomniał, mówisz? On nawet na to jest za leniwy!

Badacz Pisma Świętego nie kontruje. Patrzy to na jednego, to na drugiego, a potem wznosi oczy w górę, jakby błagał o niebiańską pomoc.

– No ty, tylko bez tych rzeczy! – oburza się Ario, a badacz Pisma opuszcza wzrok na deski podłogi. Jego uszy są przeraźliwie czerwone.

– Ten mnie naprawdę wkurwia tymi swoimi zagrywkami – Ario zwraca się do wszystkich. – Gdyby to od niego zależało, musielibyśmy wszyscy śpiewać tu chorały i czołgać się na kolanach.

Badacz Pisma przełyka, ale nie mówi słowa.

Gdy wracam do mesy podoficerskiej, słyszę, że Zeitler gada jak smakosz: – Właśnie rano ma się z tego największą frajdę... – i wiem natychmiast, co ma na myśli. Wichmann i

Frenszen słuchają.

– Raz w Hamburgu musiałem oddać list od mojego mechanika. Ten również był z Hamburga. Wtedy jeszcze byłem na trałowcach. Dzwonię, otwiera mi taki anioł z włosami blond. Mama właśnie jest na poczcie, ale zaraz wróci, mówi ona. Wchodzę... mieli taką sień z kanapą. Sięgnąłem małą ręką pod sukienkę, a ona mi między nogi, to najpierw. Potem wciągnąłem kondon i odstawiłem jeden numer. Właśnie gdy drzwi trzasnęły, byliśmy już gotowi. Oni tam mieli taki łańcuch zabezpieczający i drzwi o niego trzasnęły. Kanapa na szczęście stała tak, że przez szparę nic nie można było zobaczyć. Mała wsadziła szybko majtki pod poduszki kanapy, ale ja mało nie zapomniałem zapiąć rozporoka. Potem podaję starej paluszki: „Zeitler... Bardzo mi przyjemnie”. Dopiero parę godzin później, w szalecie, widzę, że nie zdjąłem kondona, a właściwie wcale nie widzę, tylko szczę prosto do niego! Zaraz zrobił się taki jak żółty ogórek. Koło mnie stał jakiś facet, i mało nie pękł ze śmiechu, bo cały się zaświniłem!

Siedzimy w mesie oficerskiej i patrzymy na siebie. Dowódca nie ma. Drugi mechanik jest w siłowni.

– Jest coś Ringelnatza, co tu pasuje – mówi mechanik półgłosem i przypomina sobie: – Szczawik... za torem rósł przy rowie...

– ...chciał zobaczyć parowiec. I był ten szczawik bardzo zły, bo wciąż tylko pociągi szły, ale nigdy parowiec... – uzupełniam.

– Kto? – chce wiedzieć pierwszy oficer.

– Szczawik... za torem!

Pierwszy czerwieni się, myśląc, że z niego kpimy.

– To zgadza się całkiem przypadkowo! – mówi drugi owu. – Pan musi się trochę rozejrzeć w subtelniejszej literaturze, a nie czytać tylko Grimma, Johsta i Beumelberga!

Główny mechanik dziękuje drugiemu promiennym spojrzeniem. Patrzcie no, nasz baby-oficer!

– Inaczej nie będzie pan mógł podzielać naszych szczawikowych uczuć, panie pierwszy – docina mechanik. – Musi pan coś zrobić dla swojego wykształcenia, zamiast ciągle czytać regulaminy!

Dowódca na swojej koi chce wiedzieć, co się dzieje.

– Szczawik! – informuje mechanik i, o dziwo, to jedno słowo wystarcza dowódcy.

Codzienne golenie, na które pozwala sobie pierwszy owu, jest tematem rozmowy w

dziobowym. – On wprowadza zamieszanie na całej łajbie... kto to widział, żeby się ciągle golić w klozecie!

– Stary powinien dać mu rozkaz!

– Jedyna sralnia dla całej załogi i do tego taki czyścioszek na pokładzie!

Mat elektryk Pilgrim wyciąga zdjęcia z portfela. Jedno z nich przedstawia nieboszczyka. – Mój ojciec! – wyjaśnia mi. Brzmi to jak prezentacja. – Zmarł w kwiecie swoich lat. Ja też chciałbym tak umrzeć!

Zapominam języka w gębie. Nie ważę się spojrzeć w twarz Pilgrimowi, mamroczę tylko: – Piękne zdjęcie!

Pilgrima to zadowala.

– Życie uczuciowe większości ludzi jest dla mnie czarną magią – powiedział mi raz Stary. – Co my wiemy, co sobie ludzie myślą. Czasami człowiek dowiaduje się czegoś takiego, że ścina go z nóg... na przykład historia tej donny mata Frenssena. A więc: mat Frenssen poznał tę pannę na urlopie. Ponieważ później nie otrzymywała od niego listów, poszła do wróżki. Podobno ciągle jeszcze się to zdarza. Jak się zdaje, Frenssen nie poinformował swojej wybranki, że rzadko chodzimy na pocztę. Wróżka zrobiła podobno mnóstwo różnych hokus-pokus i potem wymamrotała: „Widzę wodę... nic, tylko wodę.”

Stary naśladuje teraz na zmianę głos wróżki i panny: „I nie ma okrętu podwodnego?” „Nie...woda i woda... nic tylko woda!” Donna, która uważała się już za narzeczoną naszego mata, wrzasnęła: „To znaczy, że on nie żyje!” Na to wróżka milczała jak grób. I wie pan, co się dalej dzieje? Dziewucha złapała się za głowę i jęknęła: „To straszne... a ja ciągle jeszcze chodzę w czerwonym!” Pisała jeden list za drugim do flotylli. Również do mnie. Zakończenie tej historii znam od Frenssena. Podczas ostatniego urlopu w ogóle nie dojechał dalej niż do Paryża. Miał dosyć!

Siedzę sam ze Starym w mesie O. Dostajemy sygnał skierowany do Bachmanna. Po raz trzeci w ciągu czterech dni okręt Bachmanna wzywany jest do meldunku.

– Cisza w lesie – mamrocze dowódca. – Tego prawdopodobnie również trafiło. W takim stanie, w jakim był, nie powinni go w ogóle wypuścić.

Stary temat: kiedy dowódca jest „gotów” i należy go zmienić? Dlaczego nie ma lekarzy, którzy by uważali, żeby nie wychodziły w morze okręty z dowódcami znajdującymi się u progu całkowitego załamania nerwowego?

U Bachmanna jako pierwszy oficer pływał Ziemer. Ziemer utonął? Nie można sobie tego wyobrazić! Widzę Ziamera, jak leży w słońcu z kelnerką z kasyna oficerskiego. Pilny

Zierner każe sobie wyjaśniać po francusku szczegóły anatomiczne. Ćwiczył na żywym modelu. Najpierw chwycił ją za piersi i powiedział: „Les duduns”. „Les seins” – poprawiła go kelnerka. Potem sięgnął jej między nogi i powiedział: „Le lapin!”, co ona skorygowała: „Le vagin”. I w ten sposób szło to dalej.

W pobliżu słyszymy głos pierwszego owu, który ma wykład o zachowaniu tajemnicy. – A potem tak czy inaczej paplą! – komentuje Stary. Rozmyśla przez chwilę: – Te wszystkie szopki z tajemnicą są mocno przesadzone! Tomki od dawna mają nasz nie tknięty okręt.

– Tak?

– Jak, jeden się poddał. Okręt Ramlowa. Na południe od Islandii, na pełnym morzu, i cały nasz tajny materiał, wszystkie szyfry wpadły w ręce Tomków!

– To DOP musiał mieć ładną minę!

– Jeśli sobie wyobrazić, że Ramlow sam prawdopodobnie był funkcjonariuszem służby bezpieczeństwa!... Przecież nie można już wierzyć nawet własnej prawej ręce. Że zmusił do tego oficerów... wprost niewiarygodne!

Znowu dzień, który zapowiada się pięknie. Miarkuję to już po pierwszych haustach powietrza w centrali.

Potem stoję bez ruchu na pomoście, wsadziwszy ręce głęboko do ukośnych kieszeni skórzanej kurtki. Przypatruję się, jak wysoko sklepienie poranne niebo stopniowo nasycy się błękitem. Gdy wiatr spędził ostatnie zamglenia nad horyzontem, pojawia się słońce jak oko Cyklopa.

Schodzę w dół i rzucam okiem na mapę: w nieregularnych odstępach drżąca kreska w siatce kwadratu przerywana jest liczbami określającymi czas. Ołówkowe kreski między godzinami odpowiadają odcinkom, które okręt przebył w każde cztery godziny. Po ich różnej długości mogę rozpoznać, czy płynęliśmy szybko, czy wolno.

Pojawia się starszy sternik.

– To cały nasz rezultat... te hieroglify na mapie! I nawet one nie zostaną! Po rejsie wytrę je gumką, ponieważ mapa będzie znowu potrzebna. Tylko przebitka na kalce pozostaje.

Wpatruję się w mapę, bo wygląda na to, że starszy sternik ma ochotę dodać półgłosem kilka dalszych uwag. Lecz on pyta mnie po chwili:

– Coś się nie zgadza?

– Co się miałoby nie zgadzać?

– Ach... No, bo pan tak patrzy!

Mijają dwie czy trzy minuty, a potem starszy sternik odzywa się:

– Może to i dobrze, że nie przychodzi tu poczta, marynarka wojenna jest przecież wyspecjalizowana w jasnych stosunkach!

Tego rodzaju wyznań nigdy bym się nie spodziewał po starszym sterniku. Teraz dopiero dostrzegam, jak izolowany jest taki człowiek jak Kriechbaum: wprowadzie swoimi umiejętnościami o wiele góruje nad pierwszym oficerem, ale jego stopień służbowy odpowiada tylko stopniowi starszego bosmana. Niewidoczna ściana, której sam nie może przebić, oddziela go więc od oficerów. Dzięki swoim osiągnięciom zajmuje, co prawda, wyjątkowe stanowisko – we wszystkich sprawach nawigacyjnych jest prawą ręką dowódcy – ale to tylko pogłębia jego izolację, przede wszystkim wobec innych starszych podoficerów. A wobec matów i szeregowych marynarzy musi tak czy inaczej utrzymywać dystans.

W kraju niczym, między snem i jawą, słyszę, jak fale syczą wokół naszej meduziej tratwy. Ponieważ nie mogę usnąć, wyłażę wreszcie z koi, wciągam morskie buty i skórzaną kurtkę, i wychodzę przez właz w grodzi do centrali. Pomieszczenie jest oświetlone słabo, tylko przez małą lampkę przy pulpicie podoficera dyżurnego. Mat rozwiązuje krzyżówkę. Na kolektorach wody przykucnął wachtowy i obiera ziemniaki. Jest to rudobrody Turbo.

– Jeden na pomost? – pytam zadzierając głowę. Na chwilę w otworze luku pojawia się Kriechbaum.

– Tak jest!

W kiosku siedzi dyżurny sternik nad swoim oświetlonym kompasem.

Wymacuję drogę na platformę broni przeciwlotniczej między peryskopem i osłoną pomostu. Obserwator rufowy robi mi miejsce.

Mimo ciemności widać wyraźnie horyzont. Również chmury pędzące po niebie. W jednym miejscu, prawie dokładnie nad środkiem prawej burty, niebo powoli jaśnieje. Światło rozpełza się jak żrąca plama kwasu. Pod nim zaczyna rozbłyskiwać woda. Na chwilę chmury znowu się zagęszczają. Lecz nagle ta zasłona otwiera się i ukazuje odwrócony ku górze sierp księżyca. Zaokrąglenie pełnej tarczy odcina się mglistą szarością na granatowym tle. Krótkie fale rozbłyskują w tysiącach miejsc. Świecą również strumienie piany, przesuwane się wzdłuż okrętu. Kilwater miota srebrne iskry, cała rufa migocze. W jej wilgoci odbija się księżyc. Chmury, które przeciągają koło jego sierpa, naładują się na chwilę jasnością.

Na fałdach mokrych ubrań sztormowych wachty pomostowej słabe księżycowe światło wywołuje migotliwe refleksy.

Gdy okręt pochyla się w bok, osłona pomostu wyskakuje ponad horyzont.

Teraz cienkie chmurki niby przetarta tkanina przeciągają przed księżycem i

zaciemniają go. Nie na długo, niebawem błyszczą znowu i rozlewa swe drżące światło na wodzie. Jednak po chwili z zachodu nadciągają grube chmury jak ciężkie siatki żaglowe, zasłaniają gwiazdy na swej drodze i wsuwają się na księżyc. Morze staje się natychmiast ciemne jak roztopiony ołów. Nie można już rozpoznać szczelin między listwami na pomoście. Rufa jest już tylko ciemną masą, która ciężko przewala się z boku na bok.

Morze podnosi się i opada. Ciemny wiatr uderza mnie chłodem w twarz i wypędza ciepło z ciała. W ciemności połyskują tu i ówdzie jaśniejsze plamy: są to załamujące się grzywy fal, wyglądają jak rząd wyszczerzonych zębów.

Noc oddziela mnie jak przepaść od starszego sternika. Naraz jesteśmy daleko od siebie. Nagle budzi się we mnie pragnienie, by wyciągnąć rękę i dotknąć znajdującej się koło mnie nieruchomej postaci. Ale już rozlega się w mroku głos starszego sternika: – Komiczna huśtawka. – Potem mamrocze jeszcze parę słów, lecz odwrócił głowę, tak że nie mogę zrozumieć.

Przed księżyc wsunęły się nowe chmury. Ciemność robi się jeszcze gęstsza. Niekiedy po obu burtach gotuje się fosforyzująca piana i wydobywa na sekundy z czerni kształt okrętu. Czasami wydaje mi się, że widzę w mroku cienie jeszcze ciemniejsze niż noc. Wtedy rozszerzonymi i bolącymi oczami usiłuję coś rozróżnić.

I nagle pojawia mi się ostro obrazek ze starej morskiej książki: Czarna noc. Potężny dziób statku wznosi się nad małym żaglowcem. Ostry jak lemiesz pług, wraz z odkosami dziobowymi odrzuca połamane maszty i splekane deski... Parę strzępów żagli i dwaj mężczyźni, bezsilnie wznoszący ręce do góry. Pod tym tytuł kursywą: „Zderzenie!”

Nasz dziób podskakuje i zatacza się. Świecenie morza jest coraz mocniejsze. Również ślad torowy fosforyzuje zielono. Z otwartego włazu kiosku przez mgnienie oka błyska światło i gaśnie. Ktoś na dole zapalał papierosa.

Niespodziewanie niebo przed nami rozbłyskuje chłodnym białawym światłem, które zarysowuje wyraźnie krawędzie chmur. A teraz błyskawica przeskakuje bezgłośnie w przerwie między chmurami. Nerwowe migotanie przebiega przez sekundę nad horyzontem.

– Dziwne – mówi starszy sternik. – Jak zepsuty kontakt.

Przypomina mi się noc koło Kanału Brystolskiego: kiedy stałem na pomoście, przyciśnięty do ściany, gdy wszystkie reflektory zaczęły macać w nocnej czerni i nagle – jakby płynąc we mgle – pojawiła się pierwsza blada zjawa: kuter rybacki przy sieciach! Potem skośnie padająca smuga światła trafia jeszcze jeden i znowu jeden – całą flotę, a nim pociski oświetlające z broni maszynowej znalazły pierwszy cel, minęły tylko sekundy. Nie wyglądało to wcale na wojnę, a jakby chodziło raczej o to, by świecąca krawędź pogрузić

znowu w ciemności. Później strzelała artyleria i wtedy zaczęły się kłątwy, bowiem żaden pocisk nie trafiał w nieruchome cele. Minęła wieczność, nim drewniane statki potonęły. Było to pomyślane jako wypad, przemieniło się jednak w przykrą rzeźnię. Wstrętne. Nawet nie listek do chwały. To nie była potyczka, tylko zwykła mordownia. Inaczej to sobie wyobrażałem. A ci biedacy, fishermeni: nagle reflektory, a potem już wyjące granaty. Gdy podeszliśmy bliżej, wyglądało na to, że nikogo na kutrach już nie ma. Czy wyskoczyli do wody? Czy ktoś ich wyciągnął?

Jeszcze jeden dzień rejsu do rejonu operacyjnego. Przyjęto sygnał. W napięciu czekamy na otwarty tekst.

Sygnał skierowany jest do Flechsig, który dostaje rozkaz, żeby przesunął się o siedemdziesiąt mil na zachód. Prawdopodobnie tam spodziewane jest przejście konwoju. Starszy sternik pokazuje mi oznaczone miejsce na mapie w mniejszej skali. Znajduje się ono w pobliżu amerykańskiego wybrzeża, a więc oddalone od nas o wiele dni podróży. W chwilę później przejmujemy radiogram do okrętu, który znajduje się w pobliżu Islandii. To okręt Böhlersa. Wreszcie sygnał do kogoś, kto operuje koło Gibraltaru. UJ, okręt Kortmanna, który przeżył to całe zamieszanie z tankowcem „Bismarcka”.

Jeden okręt melduje, że nie jest zdolny do zanurzenia. To okręt Meiniga. Pechowiec Meinig. Utrata zdolności do zanurzenia oznacza niemal stratę okrętu.

– Parszywie! – mówi Stary. – Nie mają nawet ochrony myśliwców... o wiele za daleko. Możemy tylko trzymać kciuki!

Nachyla się, trzy razy odstukuje pod stołem i mówi: – Miejmy nadzieję, że im się uda. I to akurat Meinigowi się przytrafiło!

Wszyscy siedzimy w milczeniu. Stary porusza bezdźwięcznie ustami. Może wylicza, ile czasu potrzebuje okręt Meiniga, by dotrzeć z szybkością marszową do St.-Nazaire?

Po plecach przebiega mi zimny dreszcz: co oni robią, gdy pojawią się sunderlandy? Albo niszczyciele? Jako okręt nawodny są o wiele słabsi od przeciwników: za słabe silniki, żeby móc uciec, brak pancerza, za słaba broń. Okręt podwodny jest bardziej kruchy niż jakikolwiek inny: wystarczy jedno trafienie w sztywny kadłub i koniec.

– Ludzie, ludzie! – mówi tylko główny mechanik. Widać po nim wyraźnie, jak bardzo wczuwa się w położenie swego kolegi na okręcie Meiniga. Aż pobladał.

– U Meiniga czifem jest przecież Meier... drugi czy trzeci? – pyta Stary.

– Meier drugi, panie kapitanie... pływałem razem z nim!

Nikt nie mówi słowa. Wszyscy patrzymy na blat stołu, jakby tam było Bóg wie co

ciekawego. Ze zmartwienia ledwie ważyć się oddychać. Ja również znam kogoś z tamtego okrętu: Habermanna, Bałta Habermanna, z którym brałem udział w tym strasliwym rejsie inspekcyjnym do Gdyni, w środku zimy, dwadzieścia pięć stopni poniżej zera i wschodni wiatr.

Wyraźnie widzę Habermanna siedzącego na zimnym linoleum – nagusieńkiego, ze sztywno wyciągniętymi nogami, plecy oparte o jedwabne obicie „Cap Arcony”, głowa zwieszona na piersi, w ustach pasma śliny, dokoła olbrzymia wodnista kałuża, a w niej napęczniałe i całkiem nie strawione duszone śliwki, które były na kolację.

Ogarnia mnie nerwowy chichot: Habermann, dumny nagus, wtedy miał za sobą dopiero swego trzeciego trypra. Żadnego respektu dla wytwornego wnętrza ongiś luksusowego statku, który służył teraz jako pływające koszary.

Aby zabić smak tego jedzenia dla niemowlaków ryżu z duszonymi śliwkami – chcieliśmy coś zorganizować: wielkie pijaństwo w pustym salonie. Habermann wkrótce spał się w trupa. Musieliśmy tego draba zawlec do kajuty. Potem wyłuskaliśmy go z ciuchów, aż był całkiem nagi... i łups go na dolną koję – to była szampańska zabawa. I później, kiedy koło godziny drugiej w nocy stwierdziłem, że Habermann zniknął. Wszystkie jego łachy leżały jeszcze w kącie, tak jak je rzuciliśmy, a więc musiał wyjść nagusieńki.

Najpierw szukałem go sam na naszym bezkresnym pokładzie, potem wyruszyliśmy na poszukiwanie w trójkę. Nigdy jeszcze nie widziałem takiej olbrzymiej łajby jak „Cap Arcona” od środka: to był prawdziwy labirynt pokładów i schodni.

Ani śladu Habermanna. Zaglądam do każdego klozetu, potrząsam każdymi drzwiami, a potem bardzo długo szukamy naszej własnej kajuty – żaden z nas nie zapamiętał numeru, a wszystkie drzwi wyglądają jednakowo.

Myśleliśmy: ten wariat Habermann po pijanemu wypadł za burtę. Dokoła statku była lodowata woda, co prawda tylko na szerokości kilku metrów wolna od lodu, ale do utonięcia wystarczyło. A potem jeszcze raz ruszyłem na poszukiwania, chociaż obaj kumple od dawna już chrapali. To musiało być jasnowidzenie: w dół po schodni i na pokład znajdujący się pod naszym, potem wzdłuż nie kończącej się burty, zaglądam w każdy kącik, ale bez rezultatu, a jednak wreszcie – po drugiej stronie, przy lewej burcie, odnajduję go: bez jednej szmatki na ciele i we własnych rzygowinach. Prawdopodobnie siedział tam już od paru godzin.

Później dowiedzieliśmy się od niego, że szukał klozetu i zablądził. Zrozpaczony i nagi usiadł wtedy i czekał, aż go ktoś wyratuje.

Widzę w powiększeniu duszone śliwki, olbrzymią ilość napęczniałych, nie uszkodzonych ani jednym nadgryzieniem śliwek wokół nagiego faceta. Ten prymitywny

bałtycki zwierzak musiał je łykać, nie rozgryzając ani jednej.

Zapalenie płuc? Mowy nie ma! Tego starego dzikusa wielogodzinne wysiadywanie nagim tyłkiem na zimnych rzygowinach nie mogło wykończyć. Także jego dziesięć tryprów go nie wykończyło. Ale teraz wygląda na to, że Tomkom się uda. Niedługo będzie trzygwiazdkowy meldunek. Fleming, Habermann... wielu już nie ma!

Stary odzywa się jako pierwszy. Chce zmienić temat, ale właściwie nadal przy nim pozostaje: – Prawdziwy okręt podwodny to dopiero byłby wynalazek. Bo okrętem podwodnym przecież wcale nie jesteśmy. To tutaj jest tylko okrętem nurkującym.

Milczę. Dopiero widząc moje zdumione spojrzenie, Stary wyjaśnia nieskładnie: – Zapas energii naszych akumulatorów wystarcza w końcu do wykonania krótkich ataków z podniesionym peryskopem albo do ucieczki pod wodą przed naszymi prześladowcami. Właściwie jesteśmy w dużym stopniu uzależnieni od powierzchni. Więcej niż osiemdziesiąt mil morskich pod wodą przy najoszczędniejszym zużyciu energii nie wyciągniemy. Gdybyśmy płynęli z największą prędkością podwodną dziewięciu węzłów, baterie już po godzinie, najwyżej dwóch, się wyczerpią. To niewiele. Przy tym baterie są olbrzymim balastem. Ich płyty ołowiane ważą więcej niż wszystkie maszyny okrętu razem wzięte. Prawdziwy okręt podwodny wyobrażam sobie w ten sposób, że pływa pod powierzchnią wody, a więc bez diesli, które potrzebują powietrza i wytwarzają spaliny. Wtedy nie byłby również taki wrażliwy, bo nie musiałby mieć wielu urządzeń, które teraz są konieczne do pływania nawodnego na dieslach: klap wydechowych, wentylatorów – wszystkich otworów w kadłubie sztywnym. Potrzebny nam jest napęd uniezależniony od dopływu powietrza z zewnątrz. Tak!

Ledwie osiągnęliśmy nowy rejon operacyjny, otrzymujemy sygnał. Połączymy się w grupę z innymi okrętami, które mają zająć pas rozpoznania. Pas ten leży dobry kawałek drogi dalej na zachód. Będzie nam potrzeba dwóch dni, by tam dotrzeć z szybkością marszową.

– „Drapieżny Wilk” nazywa się ta grupa... Znacząco! – mówi sarkastycznie Stary. – Prawdopodobnie mają teraz kogoś w rodzaju nadwornego poety przy sztabie. On wymyśla te wszystkie bzdury... „Drapieżny Wilk”! Mogłoby być i „Fiołek”, ale nie: ciągle muszą walić w bęben...

Staremu nawet „obszar operacyjny” wydaje się zbyt patetyczny. Gdyby od niego zależało, słownik używany w marynarce musiałby być całkowicie pozbawiony gromkich słów. On sam potrafi myśleć godzinami, nim znajdzie do wpisów w dzienniku wojennym

same banalne określenia.

Czytam, co zanotowałem w swoim niebieskim zeszytcie szkolnym.

NIEDZIELA, SZESNASTY DZIEŃ REJSU. Meldunek o konwoju idącym na wschód. Idziemy kursem prostopadłym do kierunku konwoju.

PONIEDZIAŁEK, SIEDEMNAŚTY DZIEŃ REJSU. Dostajemy nową linię docelową. Bardziej na południe. Sieć, w którą ma wpaść nieprzyjaciel, zostaje przeciągnięta na południe. Prawdopodobnie w naszym patrolu jest tylko pięć okrętów. Jest to wątła sieć: albo oczka za duże, albo sieć za mała. Prędkość osiem węzłów. Miejmy nadzieję, że namiary się zgadzają. I chyba w sztabie właściwie ocenili niekorzystną sytuację pogodową w naszym rejonie morskim.

Nie ma akcji bojowych z powodu złej pogody. „Możemy sobie pospać”. Zanurzenie w celach podsłuchu.

WTOREK, OSIEMNAŚTY DZIEŃ REJSU. Nowy patrol rozpoznawczy – kurs 170 stopni, prędkość 6 węzłów.

ŚRODA, DZIEWIĘTNASTY DZIEŃ REJSU. Znowu nowy patrol. Niewielka martwa fala, akcja bojowa niemożliwa. Pogoda sprzymierzeńcem nieprzyjaciela.

CZWARTEK, DWUDZIEŚTY DZIEŃ REJSU. Cisza radiowa z wyjątkiem meldunków o nieprzyjacielu. Teraz w naszym rejonie morskim zgromadzono już więcej niż pięć okrętów. Nieprzyjaciel nie powinien wykryć tego zgrupowania. Kursy poszukiwawcze: nic. Średnia martwa fala. Słaby wiatr z północnego zachodu. Stratokumulus. Jednak warstwa mgły tuż nad wodą. Ani śladu konwoju.

DWUDZIEŚTY PIERWSZY DZIEŃ REJSU. Okręt otrzymał nowy pas rozpoznania.

– Diabli wiedzą, którędy ci faceci płyną! – klnie dowódca.

Ciągle ten sam obraz: dowódca pochyla się nad mapą i opierając o nią łokcie, „główkuje”. Rozmyślając głęboko, coraz chwyta za cyrkiel i przykłada ekierkę.

– Może uciekają na północ, bo tam noce są dłuższe? A kiedy ich się szuka na północy, zataczają po prostu olbrzymi łuk na południe? Idą, jeśli trzeba, całkiem wariackimi kursami. Czas, jak się zdaje, nie ma już znaczenia. Musielibyśmy kontrolować właśnie większe akweny. – Nagle Stary podnosi głos: – Gdzie są nasi lotnicy, panie Göring? – Jakby się już w ten sposób uspokoił, zaczyna znowu pomrukiwać: – No tak... namiary tych braciszków są... e... błędne. Dwadzieścia, trzydzieści mil morskich dla lotnictwa nie ma żadnego znaczenia.

Dowódca starannie kładzie ekierkę i liniał na mapie, na chwilę pochyla się nisko nad

stołem nakresowym, przesuwa linię i ekierkę w inne położenie, wreszcie bierze do pomocy cyrkiel, próbuje tak i owak.

Trwa to przez pewien czas. W końcu wskazuje cyrkiem jakiś punkt na monotonnym błękitnie: – Tu musielibyśmy teraz być, tu coś się dzieje. Tędy przechodzą albo nazywam się Max!

Nie widzę nic poza dziurką od cyrkla w siatce kwadratu. Linie i liczby – żadnych innych punktów orientacyjnych. A jednak dowódca spostrzega teraz na zadrukowanej niebiesko i pokrytej siatką płaszczyźnie ruchome obrazy: smugi dymu za horyzontem, cienkie i rozwiane, tak że trudno je wykryć. Możliwe, że widzi również nadbudówki pokładów, kabiny pasażerskie, żurawie przymasztowe, statki z dużymi ładowniami, statki, których nadbudówki są cofnięte na rufę: zbiornikowce.

– Cholerne świństwo te całe przekłete patrole! – Wreszcie wyprostowuje się powoli, tak jakby coś go bolało w krzyżu. Jeszcze chwilę wpatruje się niezdecydowanie w arkusz mapy, potem rzuca linię i ekierkę, dmucha przez nos. Macha ręką z wyrazem rezygnacji i odwraca się nagle od stołu nakresowego, przekłada nogę przez właz, pochyla się i znika w swoim kącie.

DWUDZIESTY DRUGI DZIEŃ REJSU. Wachty na pomoście ciągną się w nieskończoność. Niebo jak wołowy łój. Przez cały dzień ten potężny ciężki garnek z łojem wisi nad ciemnym morzem i nie ma słońca, które mogłoby stopić ten łój.

Nie mogę nawet podłubać w nosie. Czym mianowicie? Tym sztywnym, mokrym palcem wskazującym? Jedyna przyjemność, na którą tu można sobie pozwolić, to pierdnięcie.

Ujście gazów nie jest łatwe. Utykają w brudnej bieliźnie, muszą się z trudem przeciskać przez sfilcowaną bawełnę, a gdy już mają to za sobą, trafiają na gumowe ubranie, które dla gazu jest tak przenikliwe jak Fort Knox dla kasiarza. Pozostają więc i zdychają w środku.

Dziś mamy pierwszorzędny, nieskazitelny horyzont. Nic na nim nie widać. Nawet jednego czubka masztu. Nic. Gdybyśmy tylko mogli wyjść wyżej! Próbowano już różnych sposobów. Na przykład latawca. Wypuszczano człowieka na latawcu. Robiono to już podczas pierwszej wojny światowej, ale widać niewiele to dało.

DWUDZIESTY TRZECI DZIEŃ REJSU. Wiatr przybiera na sile. Morze stało się jedną olbrzymią kipiela. Fale nie są wysokie, jednak wszystko się załamuje. Z tego powodu morze wygląda białoszaro i starczo.

Niebo jest nadal mętną, jednolicie szarą chustą, którą rozpięto tuż nad naszymi głowami. I od tej szarej chusty zwiesza się jeszcze po prawej burcie firanka deszczu. Przez opadające ukośnie frędzle przebłyskuje, tuż nad horyzontem, nieco jaśniejsze wyblakłe tło. Ściana deszczu jest szara jak żwir z odcieniem fioletu. Od niej na wszystkie strony rozchodzą się mgliste opary. Ponieważ ściana deszczu powoli przesuwana się ku okrętowi, dowódca każe sobie podać ubranie sztormowe i zjudwestkę. Klnie w żywy kamień.

Już jesteśmy w ulewie. Nie ma już atmosfery. Bicz wody ścina grzebienie fal. Fale robią się garbate. Nie wąż się nawet drgnąć w górę, nie mają już odrobiny połysku. Tylko gwałtownie zapadający się dziób rozrywa je i wzbija fontanny wody. Potoki deszczu mieszają się z bryzgami morza na naszych twarzach.

Z góry leje się woda, z dołu tryska woda. Słona i słodka. Czy w ogóle spadają poszczególne krople? Wylewa się na nas zawartość olbrzymich wiader.

Zgasła szklista zieleń fal. Zniknęły białe żyłki. Morze postarzało się o sto tysięcy lat. Jest szare, nędzne, dziobate.

Ani błysku, ani barwy. Nic, tylko monotonna, przygnębiająca szarzyzna.

Wachtowi stoją jak skalne bloki, na które wytrzyma się niebo. W szóstku próbujemy przeniknąć ściany deszczu. Nie możemy już używać szkieł, natychmiast by zmętniały. Nigdzie ani śladu światła. Wygląda tak, jakby ulewa chciała nas zatopić.

Dopiero wieczorem dzika gwałtowność deszczu zmniejsza się. Dopiero w nocy przestaje padać.

DWUDZIESTY CZWARTY DZIEŃ REJSU. W centrali. Stary mówi na pół do siebie, na pół do mnie: – Dziwne, jak krótko każdy z obu przeciwników ma przewagę dzięki nowej broni. To trwa zawsze tylko parę miesięcy. Gdy wymyśliliśmy taktykę stada, nieprzyjaciół rozbudował swój system ubezpieczeń. I to funkcjonuje. W końcu okręty Priena, Schepkego, Kretschmera zginęły wszystkie podczas ataku na jeden jedyny konwój. Teraz mamy nowe torpedy akustyczne z samonaprowadzającą głowicą i już Tomki ciągną na długich stalowych linach te cholerne grzechoczące boje. One ściągają torpedy na siebie, bo robią jeszcze więcej hałasu niż śruby. Działanie i przeciwdziałanie... zawsze to samo... Nic nie mobilizuje tak wielu sił ducha, jak pragnienie zniszczenia nieprzyjaciela.

Już od przeszło trzech tygodni płyniemy w próżnię. Monotonnie mijają dni. Na wschodzie podnoszą się nad horyzontem, ukazują swą spraną szarzyznę w szarzyźnie i potem wędzną na zachodzie.

Rutyna okrętowa funkcjonuje jak zwykle. Bez zakłóceń. Dzień po dniu te same

działania: próbne zanurzenie, zliczanie przebytej drogi, zużycia paliwa, zużycia wody, zużycia prowiantu; sprzątanie okrętu, wyciąganie torped – stale te same monotonne zmiany wachty.

Wachtowi wypatrują sobie oczy, szukając, czy na gładko wygolonym horyzoncie nie wyrosnie jedna szczecinka, czy też nie ukaże się chmurka, która nie składa się z powietrza i wody.

Tylko techniczne określenia naszych czynności zmieniają się od czasu do czasu: zamiast „podejścia do rejonu operacyjnego” jest „wykonywanie kursów poszukiwania”. „Kursy poszukiwania” zostają następnie zastąpione przez „patrole rozpoznawcze”. Teraz naszym zadaniem jest „gotowość w rejonie ataku”.

Przebijając się przez wysoką martwą fałę, płyniemy w kierunku przypuszczalnej marszruty konwojów, z południa na północ. Telegraf maszynowy stoi na „mała naprzód”. Diesle warczą cienko i nierówno. Odkosy dziobowe zwijają się leniwie i bez połysku. Dosłownie pełzamy na wodzie. Dewizą jest oszczędność paliwa. Ale nawet przy tak małej prędkości nasz zapas ropy zmniejsza się z minuty na minutę.

Już ostatni rejs okrętu nie przyniósł rezultatów. Nie wystrzeliwszy ani jednej torpedy, po męczącej długiej wyprawie wrócił do bazy. – Chyba te gbury nas unikają – mówi drugi oficer, jedyny, który jeszcze sili się na dowcip.

Zużywamy pół dnia, by obejść przydzielony nam rejon ataku, potem trzymamy się jego północnej granicy. Przez otwarty luk kiosku sternik woła na górę: – Czas na zmianę kursu!

– Ster lewo! Na kurs sto osiemdziesiąt stopni! – rozkazuje oficer wachtowy.

Dziób powoli przesuwają się po półkolu horyzontu. Ślad torowy zakrzywia się jak ogon węża, a słońce, które za wieloma warstwami chmur przemieniło się w białą plamę, przechodzi stopniowo na drugą stronę okrętu.

– Ster leży sto osiemdziesiąt! – rozlega się wreszcie głos sternika.

Wskaźnik kursu stoi teraz na stu osiemdziesięciu stopniach. Przedtem stał na trzystu sześćdziesięciu. Poza tym nic się nie zmienia.

Powodzi się nam jak żaglowcowi wśród zmiennych wiatrów, w tej tak piekielnie niełaskawej dla żaglowców strefie między pasatami: na swój sposób unieruchomiła nas „cisza”.

Na pomoście niewiele widać. Morze również drzemie. Od czasu do czasu trochę kędziorów na zmęczonej martwej fali. Także powietrze się nie rusza. Chmury wiszą nieruchomo jak balony na uwięzi.

Czując zmęczenie we wszystkich kościach, patrzę jednak przytomnym okiem, jak wskazówka minutowa na tarczy wiszącego nad przejściem do kambuza zegara uparcie wędruje dalej. Wreszcie osiągam stan drzemki.

Cienka powłoka snu zostaje nagle zerwana: brzęczy przeraźliwie dzwonek alarmowy. Podłoga już pochyla się ukośnie.

Ze zmierzwioną od snu czupryną główny mechanik przykuca za sternikami głębokości. Dowódca stoi bez ruchu koło tej grupy. Starszy sternik, który ogłosił alarm, trzyma się schodni do luku kiosku. Sapie jeszcze ciężko po wysiłku zamykania włazu.

– Podnieść rufę, z przodu dziesięć, tył piętnaście, wolno w górę! – rozkazuje czif sternikom głębokości.

– To był jakiś cień... na dziewięćdziesięciu stopniach... wąski! – wyjaśnia mi wreszcie starszy sternik.

Aparat podsłuchowy jest obsadzony. Hydroakustyk pochyla głowę. Ma oczy bez wyrazu, szukając swoim przyrządem szmerów w wodzie. Teraz melduje: – Szumy śrub pod kątem siedemdziesiąt... Oddalają się! – A po chwili: – Szumy słabną... odchodzą!

– No tak – mówi spokojnie dowódca i lekko wzrusza ramionami. – Na kurs sto trzydzieści stopni – rozkazuje i wychodzi przez właz. Po czym pozostajemy na razie w zanurzeniu.

– Bogu dzięki, teraz jest spokój!

– Jakiś szybki samotny statek... Nie było szans w tych ciemnościach.

Włazę na koję i natychmiast zapadam w sen.

”Widać nieprzyjacielski konwój – UX.”

„Zaobserwowano konwój kwadrat XW, sto sześćdziesiąt stopni, prędkość dziesięć węzłów – UX.”

„Nieprzyjaciel idzie kursem zygzakowatym, kurs generalny pięćdziesiąt stopni. Prędkość dziewięć węzłów – UW.”

„Konwój idzie licznymi kolumnami. Ubezpieczenie dokoła konwoju. Kurs dwadzieścia stopni, prędkość dziewięć węzłów – UK.”

Radio nie przemilcza nam niczego. Musimy przyjąć do wiadomości wszystko, co dzieje się na atlantyckim teatrze wojny. Jednak żaden z meldowanych konwojów nie jest dla nas osiągalny, wszystkie wykryto na północnym Atlantyku. Znajdujemy się o wiele za daleko na południu.

Stary ssie fajkę.

– W Kernevelu zbierają wszystko, co tylko da się wyłowić z nasłuchu radiowego i meldunków agentów, a mimo to nic się nie zgadza. Może nasi agenci śpią. Rozpoznanie lotnicze z pewnością jest pod psem. A rozszyfrować sygnały radiowe Tomków... tego nasi też nie potrafią!

I po przerwie: – Ale Tomki... ci, jak się zdaje, wiedzą wszystko: nasze terminy wyjścia... nasze straty... nazwiska wszystkich dowódców... dosłownie wszystko.

Stary bulgocze tak hałaśliwie swoją fajką, jakby cała była wypełniona plwociną.

– Czasami tak to już wyglądało, jakby Tomki złamali nasz szyfr: na przykład ustawiano okręty gęstą tyralierą, poprzecznie do domniemanych kursów konwojów, a potem największe konwoje obchodziły wielkim łukiem w prawo albo w lewo całe nasze zgrupowanie. Może ci braciszkwowie potrafią już nas namierzyć, kiedy nawet porozumiewamy się krótkimi sygnałami, może nawet te parę liter naszych codziennych meldunków sytuacyjnych już jest za dużo. Coś znowu musieli wymyślić.

Marynarz Merker wyjaśnia czystą saksońszczyzną, skąd pochodzi. Z miejscowości Kötzschenbroda. Takiej nazwy jeszcze nikt nie słyszał.

– Tam psy szczekają ogonem! – komentuje Dufte.

– Tylko ty nie szczekaj swoim ogonem... Mógłby ci zachrypnąć!

– To musi być pierwszorzędna okolica, gdzie wychowują poronione płody, a normalne dzieci wyrzucają na śmietnik!

Tego Merker nie chwytą tak prędko. Dufte docina dalej: – Gdzie indziej to nie jest w zwyczaju, nie?

Merkerowi coś zaczyna się przejaśniać.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nic, mój mały! Możesz mi wierzyć – łagodzi Dufte, ale półgłosem dodaje: – Poroniony płód!

Inni śmieją się.

Merker mówi niepewnie: – Tobie jeszcze wypoleruję gębę pod włos! Masz u mnie jak w banku!

Badacz Pisma Świętego czyta jakąś broszurę. Ario to widzi i kpi: – No i co On nam każe, pan Sabaoth?

Potem deklamuje pastorskim tonem: – Ten, który stworzył ichtiozaury wielkości

szpilki, pożerające ludzi psie pchły, pocące się nogi, gęsią pieczeń z bananowym nadzieniem, smarki w nosie i wrzodzianki, niech będzie pochwalony Pan, któremu zawdzięczamy sadzone jaja i smażone kartofle, który wodę oddzielił od suchego, tak że prosto z jodeł skoczyliśmy przez grządkę szpinaku do nas, do świetlicy. Alleluja, amen, alleluja, chwała bądź Bogu na wysokościach, na wieki wieków, amen!

– Przestań pieprzyć! – wrzeszczy Dufte ze złością. – Zrób mi tę przyjemność.

– Już się to stało – oświadcza Ario i smaruje sobie chleb. – Zaprawdę powiadam wam, jesteśmy już bogobojną parafią. Sami nabożni, nieoddziewiczeni katolicy bracia od łóżka!

– Ach, zamknij mordę!

– Poczytajmy! – mówi Ario do badacza Pisma Świętego i szybko wrywa mu broszurę. Udając, że zagląda w tekst, zaczyna: – A teraz, kochani bracia, połączymy się we wspólnym śpiewie pięknej pieśni: „Było raz trzech Żydów!” Trzy, cztery!

Sądząc po precyzyjnym początku, wszyscy znają tę piosenkę. Ario dyryguje, kreśląc prawicą w powietrzu wielkie leżące ósemki. Śpiew rozbrzmiewa w dziobowym w rytmie chorału.

– Jeśli tak dalej pójdzie, na święta będziemy jeszcze na morzu – mówi Zeitler.

– No to co? – pyta Rademacher. – Tutaj to na nikim nie zrobi wrażenia. Choinkę mamy już na pokładzie.

– Co ty gadasz?

– To, co wiem: składaną choinkę z jakiegoś sztucznego tworzywa, rozkładaną jak parasol, w kartonowym pudełku. Jak nie wierzysz, możesz spytać pierwszego.

– Typowe dla marynarki! – mówi podchorąży Ullmann. Potem, ku memu zdziwieniu, zaczyna opowiadać swe przeżycia na świętach Bożego Narodzenia: – U nas, we flotylli, zawsze byli zabici na święta. W Sylwestra również. W roku tysiąc dziewięćset czterdziestym to był jeden bosman. Udawał cyrkowego kłowna, przystawił sobie pistolet do czoła i rzeczywiście nacisnął spust na oczach zdumionego towarzystwa. Naturalnie, wcześniej wyjął magazynek, tylko nie był na tyle mądry, by pomyśleć, że jeden nabój został w lufie... I bum! odleciała mu z tyłu cała pokrywa czaszki. Takie draństwo!

Odlatująca pokrywa czaszki naprowadza Hinricha na inne wspomnienie: – U nas jednemu zerwało całą facjatę w noc sylwestrową. To było wtedy, jak jeszcze pływałem na dozorowcu. Wszyscy byliśmy porządnie zalani. Dokładnie o dwunastej podnosi się jeden z matów i ma w rękę taki strzelający cukierek. Są mianowicie takie głupie zabawki, które, podobnie jak żabki, podpala się lontem. Facet stanął przy relingu, przyłożył zapalony papieros

do lontu i porządnie go rozdmuchał. Tylko potem coś mu się pomyliło z łapami i papierosa wyrzucił do morza, a tego strzelającego cukierka trzymał przy gębie, aż łupsnęło... to też był ładny klops!

Nie mogę tego więcej słuchać. Przy stole siedzą sami cyniczni, krwawi żołdacy, którzy zachowują się tak, jakby wychowali się z tasakiem w garści.

W mesie SP znowu odbywa się szkolenie podchorążych. Słyszemy, jak pierwszy oficer tokuje: – ...padł w walce przeciwko konwojowi.

Stary ze złością patrzy w górę.

– Padł? To również takie bzdurne wyrażonko. Czyżby się potknął? Widziałem wiele fotografii żołnierzy, którzy „padli”. Po tym padaniu pięknie już nie wyglądali! Dlaczego nikt nie może się zdobyć na to, by powiedzieć, że delikwent się utopił? Mdło mi się robi, kiedy słyszę albo czytam idiotyzmy w ten sposób podawane.

Podnosi się i steruje ku szafce, wraca z wycinkiem gazety. – Znalazłem to... wyciąłem specjalnie dla pana. – Czyta: „»Tak, panie pierwszy, tośmy załatwili! Znowu pięciotysięcznik. Ale rano moja żona ma urodziny. Coś jej jestem winien. Szanujcie kobiety! Niech pan o tym nie zapomina!« Pierwszy owu uśmiecha się ze zrozumieniem, a dowódca kładzie się na swojej twardej kanapie, żeby odrobić stracony sen. Ale już po godzinie pierwszy budzi go: »Urodzinowy frachtowiec, panie kapitanie!« Dowódca jak błyskawica wyskakuje na górę, teraz wszystko idzie bardzo szybko: »Przygotować wyrzutnię pierwszą i drugą do strzału podwodnego!« Obie torpedy trafiły. »Co najmniej sześć tysięcy BRT!« – mówi dowódca. »Czy pan kapitan jest zadowolony z prezentu urodzinowego?« – pyta pierwszy. »Bardzo zadowolony!« – odpowiada dowódca, a twarz jego pierwszego owu promienieje”.

Stary znowu zaczyna wymyślać: – I coś takiego czyta naród! Wprost trudno w to uwierzyć! I zawsze te idiotyczne wysiłki, by przedstawiać naszych przeciwników jako głupie mały – kretynów, półgłówków, morskich łamagów!

Gdziekolwiek spojrzeć – wszędzie zamurowane gęby, tępe twarze, na których maluje się obrzydzenie, złość, niechęć.

Trudno już uwierzyć, że gdzieś tam znajduje się stały ład. Domy. Pokoje. Wiszące lampy. Ciepło pieców.

Ciepło pieca: czuję nagle zapach pieczonych jabłek. Przenika on przez żelazną kratę zielonego pieca kaflowego, który sięga aż po sufit pokoju w mieszkaniu przy ulicy Dworcowej 28 w Rochlitz. W tym czasie zawsze były pieczone jabłka. Wdycham ich słodki,

barwny zapach. Przerzucam pieczone jabłko z ręki do ręki: gorące, gorące, gorące... i delektuję się grą barw na pękniętej skórce. Jest gładka, błyszcząca, jak polerowana. Jabłka z własnego drzewa, odmiana z czerwonymi plamkami na żółtym tle. Ośrodkiem czerwonego promieniowania jest ogonek. Wygląda to, jakby każde jabłko spryskano z góry przezroczystym czerwonym lakierem.

– Przyjemnie tutaj. Ani poczty, ani telefonu – zaczyna bez związku Stary, siadając przy mnie na sofie. – Pięknie wywietrzony okręt, ładna boazeria, jedzenie na koszt firmy. Dobrze nam się udało!

– Jak końskiemu jabłku – mówi czif, który zjawił się jak diablik z pudełka.

– Czy jemu dobrze się nie udało? – pyta. – A o swoją przyszłość też może się nie martwić... nawet dymić mu wolno.

Stary jest zakłopotany.

Tymczasem wszyscy zabrali się do codziennego wyciskania cytryn, obowiązku, który sami sobie nałożyliśmy i który nabrał stopniowo rytualnego charakteru. W naszych głowach straszą obrazy spustoszeń, jakich może dokonać brak witaminy C. Widzę swych towarzyszy jako bezzębnych upiorów, mamlących z trudem twarde skórki chleba: skorbut.

Każdy opracował sobie własną metodę przyswajania soku cytrynowego. Mechanik przepoławia najpierw żółty owoc, następnie tak dokładnie, jakby chciał poświęcić tej czynności cały wieczór, dziurawi miąższ w obu półkulach, wsadza do każdej kostkę cukru i wysysa sok przez cukier, bardzo hałaśliwie, nie zwracając uwagi na etykietę.

Szczególnie nieprzyjemną metodę wymyślił sobie drugi owu: wyciska cytrynowy sok do szklanki, miesza go z cukrem i dodaje skondensowanego mleka. Mleko natychmiast się zsiada i cała mieszanina nabiera paskudnego wyglądu. Stary wstrząsa się za każdym razem, ale drugiego oficera to nie peszy. Dumnie nazywa to picie „specjalnym koktajlem OP”, pyta: – Jesteście zazdrośni? – i łyka to, wywracając oczy z rozkoszą.

Jedynie asystent maszynowy nie robi sobie żadnych kłopotów. W prymitywny sposób wbija swe zdrowe zęby w przepoławiony owoc, zjadając równocześnie miąższ.

Stary przygląda mu się z wyraźną dezaprobatą.

Nie mogę się nadziwić drugiemu mechanikowi. Najpierw uważałem go za upartego, teraz jednak wiem, że to po prostu człowiek, który przez naturę nie został obdarzony subtelnymi uczuciami, lecz naprawdę słoniową skórą. Udaje niezłomnego, markuje opanowanie, zgrywa się na silny charakter, a jest tylko tępym, gruboskórnym facetem. Do tego myśli bardzo powoli i niezwykle wolno się porusza – stanowi dokładne przeciwieństwo naszego pierwszego mechanika w swych duchowych i fizycznych reakcjach. Bóg wie,

dlaczego wybrał akurat karierę inżynierską i jak przy swojej powolności przeszedł przez wszystkie kursy i egzaminy.

Różnica między nim a Starym: Stary udaje powolnego i gnuśnego, drugi mechanik jest taki rzeczywiście. Stary uprawia mimikrę, robi wrażenie, że należy do najbardziej ograniczonych i upartych facetów, drugi należy do nich naprawdę.

Przez chwilę zajmujemy się wyłącznie naszymi cytrynami. Gdy wysane i wyciśnięte z soku połówki tworzą już górę na stole, zjawia się stołowy i zgarnia resztki naszej uczyty do śmietnika. Potem wyciera kwaśno cuchnącym zmywakiem resztki obfitującego w witaminy soku.

Dzień pokładowy będzie trwał jeszcze okrągłe sześć godzin. Nasze szare komórki mają wakacje. Po prostu wegetujemy – jak emerycy na ławce w parku. Właściwie brak nam tylko lasek, byśmy mogli na nich opierać dłonie. Pompy naszych serc funkcjonują same z siebie, włosy i paznokcie rosną żwawo, śluzówki są odpowiednio zwilżane, włosy łonowe chronione przed wyschnięciem, a we wnętrzościach zachodzą procesy chemiczne – w tej właśnie chwili działa tam kwas askorbinowy z cytryn.

Drugi oficer wziął się do francuskich gazet. Ma zwyczaj czytać je wraz ze wszystkimi ogłoszeniami. Trafiał przy tym na artykuł, którego nie rozumie. Nad pięcioma fotografiami dziewczyn tytuł wielkimi literami: „On a couronné les rosieres”. Chodzi o podział nagrody, którą ustanowiła zmarła obywatelka miasta Nancy dla cnotliwych cór miasta. Muszę przetłumaczyć drugiemu cały artykuł, w którym śpiewa się hymny pochwalne na cześć cnoty pięciu nagrodzonych dziewczyc. Wzruszająco opisano, jak cnotliwe córki w niedzielę, w dzień rozdziału nagród, pociągnęły na cmentarz i ustroiły kwiatami grób fundatorki.

– Ile wypadło na łebka? – chce wiedzieć drugi owu.

– Dwieście franków każda!

Drugi wychodzi z siebie: – To przecież nie więcej niż dziesięć marek, nie? – Potrzebuje dłuższej chwili, by dojść wreszcie do konkluzji: – Takie bzdury! Gdyby te panie nie zwracały uwagi na swoją cnotę, byłyby im dostępne źródła zarobku całkiem innej wielkości...

– Inteligentne spostrzeżenie – mówię.

Na pokładzie istnieje prawdziwa biblioteka w szafce dowódcy. Jednak jej zawartość spotyka się ze znacznie mniejszym zainteresowaniem niż wiele kryminałów, które leżą przede wszystkim w dziobowym. Na ich okładkach wymalowane są ociekające krwią epizody i tytuły: „Knebel z czarnego kattunu”, „Strzał w plecy”, „Trzy cienie w oknie”, „Zasłużona pokuta”, „Niewinna kula”. Większość z nich tak często wędrowała z ręki do ręki, że okładki

są wystrzępione, a zatłuszczone strony już się rozlatują. Tymczasem rekord ma marynarz Schwalle. Podobno na ostatnim rejsie połknął dwadzieścia książek, a teraz też już jest przy osiemnastej.

DWUDZIESTY SIÓDMY DZIEŃ REJSU. Wpłynął sygnał: „Do grupy Drapieżny Wilk: rozpocząć nowy patrol zwiadowczy. Kurs trzysta dziesięć stopni. Prędkość siedem węzłów. Pas działania osiągnąć dwudziestego trzeciego o godzinie siódmej. DOP.” Z tego wynika nowy kurs. Poza tym z pewnością nic się nie zmienia.

Z radia słychać: „Niezlomna siła bojowa...”

– Wyłączyć! – ryczy główny mechanik tak głośno, że się wzdrygam.

Anglicy, jak się zdaje, dużo się nauczyli – mówi Stary i zwraca ku mnie zmarszczoną twarz: – Niech pan przeczyta ostatnie sygnały: „Zanurzenie wskutek zaskoczenia przez lotnika... Zepchnięto nas... Straciłem kontakt... Zanurzenie wskutek zagrożenia przez niszczyciela... Bomby głębinowe”. Stale ta sama litania. Wygląda na to, że karta się odwróciła. Nie chciałbym tkwić w skórze DOP-a. Gröfaz zrobi z niego szmatę, jeśli szybko nie dostanie czegoś do koszyczka meldunków specjalnych.

– No, to zawsze da się jakoś sklecić – wtrącam.

Stary podnosi wzrok: – Wierzy pan, że...

– Wierzyć... to brzmi bardzo po kościelnemu.

Jednak Stary nie daje się sprowokować.

– Gdzie my właściwie jesteśmy? – pyta Frenssen „Głuchaczka” w centrali po zejściu z wachty.

– Prawie koło brzegu Islandii.

– Ładne rzeczy! – wyrywa się Frenssenowi. – A ja myślałem, że niedługo dojdziemy do Ameryki.

Mogę tylko ze zdziwieniem pokręcić głową: to typowe dla ludzi „z maszyny”. Gdzie okręt operuje, jest im przeważnie całkowicie obojętne. Na wszystkich okrętach jest tak samo: ludzie z maszyny pieszczą i głaszczą swoje diesle i agregaty i nie troszczą się nawet o to, czy jest dzień, czy noc. Strzegą się świeżego powietrza i ze swej strony dziwią się marynarzom pokładowym.

Mogę tylko westchnąć: och, jaki podział kastowy wśród załóg na morzu! Kiedy marynarze wobec „podludzi” okazują przesadną pogardę, motorzyści odpowiadają wyraźnym zwiększeniem swej dumy zawodowej wykwalifikowanych specjalistów.

Nawet tutaj, w ciasnocie okrętu podwodnego, panuje zwykły na wszystkich jednostkach pływających duch kastowy. Dwie główne kasty to marynarze i ludzie z maszyny. Górny pokład i dolny pokład. Tutaj kasta dolnego świata dzieli się znowu na elektryków i dieslowców. Poza tym jest jeszcze kasta centralowców, mechaników torpedowych i mała, wybrana kasta radzików i hydroakustyków.

Wychodzi na jaw, że bosman wśród swych zapasów ma również puszki z golonką. Do tego parę puszek kiszzonej kapusty. Dowódca zarządza ucztę na następny dzień. – Przynajmniej raz porządnie! – oto cały jego komentarz.

Gdy stołowy w południe wchodzi z dymiącymi miskami, twarz dowódcy rozjaśnia się, jakby dostał świąteczny prezent. W oczekiwaniu podnosi się z krzesła i stojąc, wdycha pachnącą parę, unoszącą się z kawałków golonki. Pulchne i sękaty cisną się na wielkim okrągłym, aluminiowym półmisku. Z różowego mięsa sterczą po obu stronach przerabane kawałki kości i białe chrząstki. Ugarniowane plasterkami cebuli i ogórków potężne porcje leżą, całkiem jak należy, na podkładce z gotowanej kwaszonej kapusty.

– Piwo do tego byłoby niezłe – podsuwa mechanik, jakby nie wiedział dokładnie, że na pokładzie mamy tylko po butelce piwa na głowę, które miano wypić dopiero po zwycięstwie nad jakimś parowcem. Wydaje się jednak, że dowódca jest dziś zdecydowany na wszystko: – Należy święcić święta tak, jak przypadają. Pół butelki piwa jest dozwolone dla każdego, a więc dwóch ludzi na flaszkę!

Wiadomość przenika szybko aż do dziobowego i zostaje tam pokwitowana rykiem.

Oстрыm szarpnięciem o ramę włazu mechanik zrywa blaszane kapsle na trzech butelkach piwa, które przyniesiono do mesy, i biała piana wylewa się z szyjek jak z gaśnic pianowych, nim jeszcze zdążyliśmy przygotować szklanki.

– Najlepszego! – dowódca podnosi szklankę. – Żeby wreszcie ta przeklęta włóczęga się skończyła!

Mechanik wypija szklankę jednym haustem i zastyga z zadartą głową, wytrząsając ostatnią kroplę. Na koniec zlizuje jeszcze pianę z dłoni i ssie ją cmokając. Potem jęczy z samej rozkoszy.

Gdy sprzątnąwszy kości po posiłku, stołowy zjawia się jeszcze raz, nie wierząc własnym oczom: niesie przed sobą wielką babkę królewską, polaną czarną czekoladą.

Dowódca każe natychmiast wezwać kuka. Ten robi zakłopotaną minę i na swoje usprawiedliwienie mówi, że musiał zużyć jaja, gdyż inaczej by się zepsuły.

– Ile w końcu upiekliście?

– Osiem babek, dla każdego trzy kawałki!

– A kiedy?

– Ostatniej nocy, panie kapitanie!

Z twarzy Starego kuk odczytuje zezwolenie na głupi śmiech. Po tych luksusach następuje pełna zadowolenia cisza. Stary krzyżuje ramiona na piersiach, wciąga głowę w ramiona i życzliwie uśmiecha się do wszystkich.

Mechanik mości się wygodnie w swoim kąciku kanapy, jest to skomplikowana procedura. Zupełnie jak pies szuka długo właściwego miejsca. Gdy wreszcie mu się to udało, z pomostu podają: – Główny mechanik na górę!

Klnąc, wstaje znowu. To wynika z tego, że chciał, by go zawiadamiano zawsze, ilekroć będzie coś interesującego do zobaczenia. Zaledwie wczoraj złościł się, że go nie zawołano, gdy w pobliżu okrętu wynurzyły się trzy wieloryby i towarzyszyły mu jak eskorta, wyrzucając wielkie fontanny wody.

Wspinam się za mechanikiem i wysadzam głowę akurat w porę, by usłyszeć, jak pyta niechętnie: – Co jest, u diabła? – A drugi oficer odpowiada mu oleistym głosem: – Trzynaście białych mew właśnie okrążało okręt!

Widzę z tyłu, że wachtowi na pomoście uśmiechają się kpiąco.

– Właśnie zniknęły za horyzontem – uzupełnia drugi.

Drugi mechanik grozi: – Niech pan tylko poczeka!

Potem lokuje się w centrali. Widać po nim wyraźnie, że myśli o rewanżu.

Tym razem Stary pomaga mu w kłopotcie. Jeszcze podczas wachty drugiego oficera następuje alarm próbny. Okręt zanurza się, nim drugi zdążył zakręcić luk. Skutkiem tego jest potężny prysznic. Czif obrzuca wesołymi spojrzeniami złażącego do centrali i ociekającego wodą drugiego owu. Ten zaczyna nagle obmacywać głowę.

– Co się stało? – pyta zatroskany dowódca.

Drugi wciąga głęboko powietrze, porusza szczękami i robi przygnębioną minę. – Moja czapka... na pomoście – jąka. – Zdjąłem ją i zawiesiłem na kolumnie celownika.

Dowódca pyta z kelnerską uprzejmością: – Czy szanowny pan sobie życzy, byśmy się natychmiast wynurzyli, przeszli na przeciwny kurs i rozpoczęli poszukiwania?

Drugi opada bezwładnie na siedzenie. Człowiek przegrany, którego nic już nie może uratować.

Mucha krąży bez celu pod lampą nad stołem nakresowym. Stanowi ona dla mnie zagadkę: w końcu muchy nie są albatrosami, które potrafią przelecieć w poprzek Atlantyku. A gdy wychodziliśmy z St.-Nazaire, to nie była odpowiednia pora roku dla much – już zbyt

późno, już za chłodno, nawet na francuskie stosunki. Pozostaje tylko możliwość, że ta mucha dostała się na pokład jako jajko, a więc jeszcze w stanie przedembrionalnym, prawdopodobnie z tysiącem innych muszyczych jaj, które rozwinęły się mniej korzystnie. A może mucha trafiła do naszych rur wojny morskiej jako larwa. Może nawet wyrosła w zęzie, stale ścigana przez zakorzenioną w naszym beo manię sprzątania? Prawdziwy cud to musze życie – przecież tu jest wszystko zalutowane, nawet kawałka sera nie ma na wierzchu. Nie wyobrażam sobie, jak mimo wszystko jej się udało.

W ogóle mało się wie o sąsiadach. Oto siedzimy w najprawdziwszym sensie tego słowa w jednej łodzi, a ja nie mam pojęcia o tej muszej egzystencji. Nie wiem nic o życiu uczuciowym zwykłej muchy pokojowej. Muchę owocową natomiast znam przynajmniej z jej łacińskiej nazwy: *drosophila melanogaster*. W moich latach szkolnych była bardzo modna: krótkoskrzydła i długoskrzydła *drosophila*. Mieliśmy odpowiednią ilość każdej odmiany w probówce z papką bananową. Psor od biologii łączył dokładnie odliczoną ilość egzemplarzy w trzeciej probówce, ale spodziewany rezultat kopulacji nigdy się nie zgadzał, ponieważ w tajemnicy wpuściliśmy parę dodatkowych krótkoskrzydłych do tych z długimi skrzydłami. Profesor stał więc i próbował, fałszując liczby, troszeczkę poprawić wyniki, ale wtedy wszyscy zaczęliśmy krzyczyć: – Kanciarstwo!

Oko muchy pod mikroskopem to prawdziwy cud. Muchy należy chwycić z przodu, ponieważ nie mogą startować do tyłu. Jasne jak rosół z makaronem. Jednak tej muchy nikt nie złapie. Podlega ona mojej osobistej opiece. Może nawet będzie miała małe, a te potem znowu małe, jedna generacja much pokładowych po drugiej, zaś ja będę ich muszym patronem. Przy tym nie przepadam za tymi gadzinami.

U Swobody, mojego kolegi ze studiów, grube granatowe muchy zagnieździły się natychmiast w kącikach oczu, ledwie wyciągnęliśmy go z zarośniętego trzciną jeziora. Swoboda zeszywniał w bardzo dziwnej przykucniętej pozie ze zgiętymi kolanami. Jak bardzo pachniały akacje w meklemburskim letnim upale! Dopiero wieczorem u Swobody cofnęło się zeszywnienie pośmiertne i mogliśmy go wyprostować. Wtedy wykryłem musze jaja – dwie żółte kupki wielkości ziarna grochu w obu kącikach jego oczu.

Mogę mieć tylko nadzieję, że nasza mucha nie oczekuje czegoś podobnego. – W takim razie mylisz się zasadniczo, moja droga! Nie u nas!

Chciałem to powiedzieć cicho, ale wyszło półgłosem. Dowódca patrzy na mnie ze zdziwieniem.

Pierwszy owu prowadzi szkolenie podchorążych. Poprzez brzękanie talerzy, które

stołowy uważa za nieuniknioną część swojej pracy, przebija fragment zdania: – Rozerwać duszący chwyt...

Stary kieruje obolałe spojrzenie ku sufitowi i pyta podniesionym głosem: – Znowu się pan rozlicza z Albionem, panie pierwszy?

Starszy sternik wykrył jakiś obiekt na kursie trzydziestu stopni. Dowódca, tak jak stoi, w swetrze i drelichowych spodniach, wspina się na górę. Ja sięgam przynajmniej po gumową kurtkę wiszącą na haku. Na szczęście, mam na sobie skórzane spodnie i buty na korkowej podeszwie.

Pływający obiekt można łatwo zobaczyć gołym okiem. Dowódca przez dobre dwie minuty obserwuje ten przedmiot przez lornetkę i wydaje rozkaz, który kieruje dziób naszego okrętu prosto w tamtym kierunku. Obiekt powiększa się szybko i przyjmuje kształt łodzi, która płynie w położeniu dwieście.

Stary odsyła obu wachtowych z pomostu na dół i burkliwie wyjaśnia: – Tego nie muszą widzieć!

Szybko stwierdzamy, że nie było to potrzebne: łódź ratunkowa jest pusta.

Stary każe zastopować oba silniki: – ...trochę bliżej, starszy sterniku, i odczytać nazwę!

„Stel-la Ma-ris” – mówi powoli starszy sternik. Stary każe wrócić wachtowym. – Niech pan zrobi notatkę do DW – poleca sternikowi i daje nowe rozkazy na ster i maszynę.

Po paru minutach jesteśmy znowu na starym kursie. Schodzę w dół za Starym. Łódź ratunkowa, dryfująca po szarozielonym morzu, musiała sprowadzić Starego na tor wspomnień: – Zdarzyło mi się już, że ludzie płynęli łodzią prosto na nas. To była komiczna historia...

No, wygadaj się! – myślę.

Ale Stary na razie nie robi nic w tym rodzaju. Jego pełne nabożeństwa ruchy i pięciominutowe zwlekanki doprowadzają mnie któregoś dnia do depresji.

Muszę odpowiednio panować nad sobą, by go nie ponaglać.

Tym razem wkrótce dochodzę do wniosku, że Stary nie uprawia swej zwykłej reżyserki. Widać, jak mu się zmienia wyraz twarzy: z pewnością nie wie na pewno, jak ma przykroić swoją historyjkę. Dobrze, poczekamy. Wsadzam głęboko ręce do kieszeni, poprawiam się i przesuвам ciężar ciała z jednego pośladka na drugi, jak gdybym w ten sposób rozszerzał bazę do jeszcze wygodniejszego siedzenia. Czasu mamy przecież mnóstwo.

Gdy ja słucham pluskania kropel i szumu fal, Stary zaczyna wreszcie opowiadać: –

Raz zatopiłem parowiec, to znaczy, wykończyła go jego własna prędkość... to było na trzecim rejsie. Torpeda trafiła go dość daleko z przodu i zerwała dziób. Parowiec natychmiast zaczął tonąć od przodu, a ponieważ płynął z dużą szybkością, poszedł na głębie jak okręt podwodny. Wprost nie do wiary: natychmiast zniknął. Chyba nikt się nie uratował!

Po chwili Stary dorzuca: – Komiczne, było to kiepskie trafienie... ale tak to właśnie bywa.

Myślę sobie, że to nie ten epizod Stary właściwie chciał opowiedzieć, interesujące również i typowe dla niego jest, z czym wychodzi: rzeczowo przedstawione doświadczenia zawodowe... wypadki szczególne i ciekawostki... odchylenia od normy, które warto wspomnieć. Ale właściwa anegdota? Przecież odgrywała w niej jakąś rolę łódź ratunkowa. Muszę zacząć mu wiercić dziurę w brzuchu: – Więc ci nie zdążyli dostać się do łodzi...?

– Nie, ci nie! – potwierdza Stary.

Nie robię mu tej przyjemności, by dalej nalegać, i czekam.

Stary dwa razy pociąga nosem, potem pociera go grzbietem prawej ręki: – Człowiek nie powinien robić się cyniczny...

Teraz należy zwrócić głowę ku niemu, by w ten sposób podkreślić moje oczekiwanie. Nic więcej. Stary patrzy jednak nieruchomo przed siebie, jakby całkiem nie zauważył, że odwróciłem głowę. Też dobrze, myślę sobie. Tylko nie ponaglać. Dopiero gdy przerwa została należycie wygrana, pytam tak obojętnie, jak tylko potrafię: – Niby jak, dlaczego?

Dowódca przez chwilę żuje jeszcze ustnik fajki i wreszcie, zacinając się, zaczyna mówić: – Myślę właśnie o tym... raz to przeżyłem... jak ludzie w łodzi ratunkowej, Anglicy, dziękowali mi, i to naprawdę serdecznie, mimo że właśnie zatopiłem im statek!

Teraz już nie mogę udawać obojętności. – Tak? – pytam w napięciu.

Stary ssie jeszcze parę razy zimną fajkę i bulgocze na niej, wreszcie mówi dalej: – Parowiec nazywał się „Western Star”. Piękny, duży statek. Dziesięć tysięcy ton. Płynął samotnie. To było zwykłe szczęście, że go trafiliśmy. Przez czysty przypadek mieliśmy właściwą pozycję przednią. Strzelałem cztery torpedy, ale tylko jedna trafiła, i to ze zdumiewająco małym skutkiem. Łajba zanurzyła się tylko nieco głębiej i zmniejszyła prędkość. Potem uzyskaliśmy jeszcze jeden celny z wyrzutni rufowej. Ale statek długo nie tonął. Widziałem, jak ludzie zeszli do łodzi, i wtedy wynurzyłem się.

Tamci spuścili dwie łodzie i obie wzięły kurs prosto na nas... podeszły szybko na zasięg głosu i był tam jakiś facet, który mi nie przestawał dziękować, że jesteśmy takimi porządnymi ludźmi. Trwało dłuższą chwilę, zanim skapowałem: oni myśleli, że nie strzelaliśmy dalej, by im dać możliwość zwiania ze statku. Dziękowali za fairness. Należy

stwierdzić, że po prostu nie mieliśmy ani jednej torpedy w rurach. Oczywiście, nie mieli pojęcia, że trzy razy chybiliśmy. Nasi chłopcy tyrali jak wariaci, ale ponowne załadowanie musi przecież potrwać. A oni myśleli, że myśmy czekali z ostatecznym strzałem, by im dać czas...

Patrząc z ukosa widzę, że Stary uśmiecha się krzywo. A potem zdradza mi swoje właśnie znalezione podsumowanie: – Tak więc, zanim się człowiek obejrzy, może zostać uznany za porządnego.

Przez radio przydzielają nam nowy rejon. Nie mamy płynąć do określonego punktu, tylko – dla odmiany – mając podany kierunek i prędkość, krążyć po okolicy. Na wyliczoną z góry godzinę okręt powinien być tam, gdzie według planu wydziału operacyjnego dowództwa trzeba będzie zamknąć lukę w szyku. W tym rejonie morskim mamy chodzić tak, jak jesteśmy już przyzwyczajeni: pół dnia bardzo wolno na północ, pół dnia na południe.

Jestem w centrali, gdy Stary wraca z pomostu. Na jego swetrze widać parę mokrych plam. Również z twarzy i daszka czapki ściekają krople.

– Paskudna pogoda! Wiatr coraz silniejszy! – informuje starszego sternika. Potem znika za grodzią.

Czuję, że okręt pracuje z większym wysiłkiem. Kiełbasy przy suficie wkrótce kiwają się jak wahadła tam i nazad. Gumowe ubranie na haku coraz odsuwa się od ściany. Woda w zęzie z potężniejącym sykiem przelewa się z jednej burty na drugą.

Dni ciekną jak dziesięć razy przysmażony szary rybi tłuszcz z dziurawej patelni.

Główny mechanik proponuje: – Wolni od wachty oficerowie powinni nauczyć się robić na drutach... Starszy sternik może wam pokazać... on to naprawdę umie, a Pomoc Zimowa potrzebuje ciepłych skarpet.

– A skąd wziąć wełnę? – pyta pierwszy owu.

– Sprujemy pulowery! – mówi drugi.

– A z naszych skarpet zrobimy znowu pulowery. Fajnie! A z pulowerów skarpetki i znowu ze skarpetek pulowery! – szydzi czif.

Obserwuję twarze dokoła. Jacy obcy i starzy stali się wszyscy! Po wyjściu w morze poza dowódcą byli sami młodzieńcy w tej mesie. Stopniowego zarastania ich twarzy nie mogłem przecież świadomie rejestrować, bo odbywało się to powoli. Dopiero teraz nagle uświadamiam sobie, jak bardzo się zmieniły. Czuję się tak, jakbym dobrych przyjaciół nie widział długie lata. Brody zrobiły z nich starych ludzi.

Długa i bez tego twarz mechanika przedłużyła się jeszcze przez czarną klinowatą brodę, którą z poświęceniem pielęgnuje i przystryga w szpic. Wygląda jak hiszpański grand. Co prawda dowódca twierdzi: – Zupełnie jak rabin.

– Zazdrość! – kontruje mechanik wesoło. W końcu dowódcy rośnie tylko sfilcowana jasna bródka o barwie przypalonej kwaszonej kapusty, wskutek czego wygląda na okrągłego i dobrodusznieszego, niż jest w rzeczywistości.

Pierwszy oficer ma tylko czasami trochę miękkiego czarnego puchu, który natychmiast goli. Najgorzej przy tym wychodzi drugi owu: na jego podbródku tu i ówdzie widnieje kilka wysepek krótkich szczecinek. Są to oazy na bladej pustynnej żółci jego twarzy. Nasze dziecko wygląda jak stary Chińczyk, któremu trąd partiami zniszczył zarost. Na pozostałych wysepkach jego intensywnie czarne włosy dojrzewają tym bujniej.

– Ty dać mi, please, pot of tea!

– Ja nic rozumieć suaheli, sorry!

– Shut your głupi mouth.

Otępienie tego towarzystwa mogłoby zabić każdego normalnego człowieka. Ale normalnych tu nie ma. To jest dumny parowiec „Szczawik”.

Puste dowcipy. Humor spadł do poziomu zerowego. Godzinami w okręcie panuje ołowiana cisza.

Główny mechanik wyciągnął jeden z postrzępionych kryminalów z półki i przez pewien czas udaje, że czyta. Obserwuję go przez pięć minut, a potem proponuję mu z całym szyderstwem, na jakie mogę się zdobyć, by jednak przewrócił stronę, bo te bzdury mają pewnie dalszy ciąg: – Doświadczenie! Empiria, że tak powiem!

Mechanik rzuca mi wściekłe spojrzenia, a ja szybko wbijam jeszcze parę banderillos: – Touché!

Mechanik robi taką minę, jakby poddawał się losowi, wzrusza ramionami i rzeczywiście zaczyna kartkować książkę.

To posłuszeństwo muszę pochwalić: – No i proszę!

Po czym czif nie tyle robi się zły, co demonstruje, jak dokładnie potrafi przewracać strony. Kartkuje i kartkuje, jakby szukał w tej szmirze określonego miejsca, a ja cały poświęcam się obserwowaniu go. Dobrze pięć minut wytrzymuje to, potem trzaska książką jak kartą do skata o kanapę między sobą a Starym.

– Ho, ho – odzywa się Stary i spogląda na głównego z niechęcią.

Drugi owu wychodzi z centrali. Ponieważ jego wachta zaczyna się za parę minut, przygotował się już do wyjścia na górę. Wiem, co mu potrzeba: nowych rakiet ES. Te jednak

są w szafie za plecami mechanika.

Podnoszę się szybko, żeby drugi mógł tam sięgnąć. Wspaniale – coś się jednak dzieje. Drugi potrzebuje nowych fajerwerków do sygnału rozpoznawczego. Powinien je mieć! Co by z nami było, gdyby jakiś dureń z naszego fakultetu wynurzył się i uznał nas za Tomków!

Co nam dzisiaj może zabłysnąć? Trzy gwiazdy świąteczne, cztery, pięć? Niebieskie czy różowe?

Drugi oficer stoi w niewygodnej postawie i czeka, żeby mechanik również się podniósł.

Teraz czyf tak czy inaczej musi wstać. Robi to z największym rozgoryczeniem. Stary naśladuje zachwyconego kibica, jakby jeszcze nie widział czegoś tak zabawnego jak my dwaj wyprostowani na całą wysokość.

Występ się skończył. Nieruchomiejemy znowu. Najpierw rusza się pierwszy owu. Coś tam grzebie w swojej szafce i wyciąga maszynę do pisania. Nie do pojęcia! Stary zaciska dłonie na stole, w oczach ma mord.

Pierwszy stuka na maszynie dwoma wyprostowanymi palcami wskazującymi jak dzielnicowy z policji.

– Brzmi to jak maszyna do sztancowania dziur – mówi mechanik.

Ku memu wielkiemu zaskoczeniu naraz Stary znowu udaje, że ma nadzieję: – Jeszcze jakoś to będzie... – Dla uzasadnienia swego optymizmu oznajmia: – Kochany Bóg nie opuszcza swojego błędzącego stadka!... Czy też może nie wierzycie w kochanego Pana Boga?

– Owszem, owszem – odpowiada mechanik, szybko kiwając głową. – Oczywiście wierzę bardzo mocno w wielkiego Gazokształtnego.

– Niedobry z pana chłopczyk, panie czyfie! – kpi Stary. Mechanikowi to nie przeszkadza. Oświadcza, bardzo podniecony, że raz pojawiła mu się Maria... tuż przy spychaczu sieci... bladoróżowa z fioletowym odcieniem... a przy tym całkiem przezroczysta... dosłownie zachwycająca! Pani pokazała palcem w górę i wyduła policzki!

– Chciała prawdopodobnie, żeby się pan natychmiast zameldował do lotnictwa – wtrąca Stary. – Do wojsk balonowych.

– Nie o to chodziło – odpowiada sucho mechanik. – Po wynurzeniu zapomniałem przedmuchać balastów dieslami!

Stary z trudem zachowuje powagę: – To musi pan zameldować papieżowi. Łatwo uzna pana za świętego. Po dwudziestu pięciu latach, jak to jest w zwyczaju w stolicy Piotrowej!

Wszyscy zgadzamy się, że mechanik będzie naprawdę pięknie wtedy wyglądał. – Pobożny i szlachetny – powiada Stary – i jeszcze bardziej uduchowiony niż teraz... Ozdoba

katolickiego kościoła!

Kiedy przechodzę przez mesę SP, starszy sternik porządkuje swą szafkę. Siadam przy stole i przeglądam podręcznik żeglarski. Starszy sternik wyciąga z podniszczonego portfela zdjęcia i daje mi do obejrzenia: bardzo niedoświetlone fotografie dzieci. Trzech małych chłopców, ustawionych według wzrostu i mocno opatulonych na sankach. Na innym zdjęciu są w kąpielówkach. Na twarzy starszego sternika pojawia się zakłopotany uśmiech. Oczami zawisa na moich ustach.

– Fajne dzieciaki!

– Tak, sami chłopcy!

I starszy sternik natychmiast daje mi odczuć, że tutaj, wśród mokrych od skroplonej pary stalowych ścian, nie ma miejsca na subtelne wzruszenia. Jakby schwytyany na niewłaściwym uczynku zabiera szybko zdjęcia.

DWUDZIESTY ÓSMY DZIEŃ REJSU. Słońce ma barwę gotowanej kury. Niebo jest szarozółte jak rosół. Horyzont coraz częściej znika we mgle. Po godzinie wokół okrętu falują smugi mgły, podnoszące się znad wody.

– Brak widoczności! – melduje starszy sternik. Dowódca daje rozkaz do zanurzenia.

Gdy okręt zszedł na pięćdziesiąt metrów, urządzamy się wygodnie w centrali. Nogi w górze. Buty oparte o skrzynię z mapami. Dowódca ssie zgryzioną cygarniczkę. Zamyślił się. Od czasu do czasu kiwa głową, jakby mu się coś przypominało.

W dzienniku działań bojowych czytam zapiski z okresu pobytu okrętu w porcie:

28.08 Opróżnienie okrętu.

29.08 Początek robót stocznioowych.

2.09 Wprowadzenie okrętu do doku i początek prac.

16.09 Wyprowadzenie okrętu z doku.

17.09 Pobranie paliwa i smaru.

18.09 Próba wytrzymałości.

19.09 Próbne wyjście w morze.

21.09 Regulacja radiostacji. Kompensacja. Próba obciążenia. Pobranie amunicji artyleryjskiej, torped i prowiantu.

26.09 Pobranie świeżego prowiantu.

Wedle dziennika okręt prawie miesiąc przebywał w porcie. Prawie miesiąc jesteśmy już na morzu.

– Marzenia przy francuskich kominkach! – mówi nagle dowódca. A więc dobrze... Również i ja, mając w uchu to hasło, potrafię przypomnieć sobie bardziej budujące obrazy niż ten gąszcz rur w centrali: na przykład las masztów za szarymi sieciami rybackimi, na których krawędziach wplecione są zielone szklane kule jako pływaki. Pomalowane na niebiesko statki łowców tuńczyków, które już nie wychodzą w morze, bo nie ma paliwa i całe przedsięwzięcie jest zbyt ryzykowne. Zachodnia wioska rybacka po przeciwnej stronie zatoki. Ogniska. Stare kobiety, przycupnąwszy w blasku ognia, łatają sieci. Wieczór przy basenach solnych, w których paruje morska woda; niebo z fioletowego srebra, czerwona tarcza słońca nisko nad horyzontem, niemal pozbawiona siły promieniowania. Powietrze jest już chłodne i wilgotne. Tu i ówdzie pośród szarej zieleni błyszczą kupa białoszarej soli. W dali kamienne wiatraki, tak nieskazitelne, jakby je wytoczono na tokarce. Skulone wioski z czarnymi oczami okien na białym tle, jak kostki domina. Na polu pracuje jeszcze jakiś chłop z motyką. Nachyla się, wyprostowuje do połowy, pochyla się znowu: obraz Milleta. A teraz słyszę całkiem blisko turkot kół, a potem czyjś głos za krzakami. Jakiś człowiek rozmawia ze swoim koniem. Wiele pajaków przeciągnęło nici w poprzek drogi. Koń ma już z tego szary welon na łbie. Błoto, przecięte głęboko koleinami, jest twarde jak kamień. Również racice krów odcisnęły się w nim jak niezliczona ilość małych kraterów. Świerszcze ćwierkają.

Z kiosku rozlega się donośny głos: – Do dowódcy! Początek zmierzchu!

– Jeden na pomost? – pytam zrzędlwym głosem. – Słyszę: – Tak jest – i wyłażę na górę.

Drugi oficer zwraca ku mnie swą zmiętą twarz. Wydaje mi się, że zrobił się jeszcze mniejszy w ciągu nocy. Możliwe, że wrażenie to wywołuje wysoka osłona pomostu. Drugi tylko z trudem może nad nią wyglądać.

– Zaraz będzie dęło jak diabli, trzecia wachta może się cieszyć – mówi mi wesoło. Jakby na potwierdzenie jego słów z tyłu nadlatuje potężny grzywacz i pieni się, zalewając pomost. Woda z gulgotem ucieka przez szpigaty.

Jest półmrok. Na zachodzie noc zawisła nad horyzontem. Morze jest jak ciemne, zmięte łoże, przez które przetacza się wiatr. Tu i ówdzie wzbijają się z sykiem białe pasma i rozplývają się znowu, by zjawić się na innym miejscu. Od czasu do czasu dziób wyrzuca w górę bladą pianę. Wiatr dmucha ostro.

Koło południa niebo wygląda szaro i lepko jak rozgotowane płatki owsiane. Pogoda

zgodnie z zapowiedzią drugiego owu pogorszyła się. Ze wszystkich stron ciemne chmury tłoczą się nad horyzontem. Tarcza słoneczna niebawem nie może już nic zdziałać przeciw czarnej przemocy, staje się przyćmioną plamą światła, która stopniowo się kurczy. Niebawem gaśnie zupełnie.

Fala potężnieje. Strzelają w nas potężne szpryce wody. Nie ma już sensu przecierać lornet irchą. Co parę minut robią się mokre. Kawałki skóry do polerowania soczewek wilgotnieją. Ich słona wilgoć zamazuje szkła. Najlepiej oczyszczam soczewki językiem, starcza to przynajmniej na kilka minut, bo potem znowu ostra fontanna wody trafia w moje szkła.

Wieczorem w mesie O. Mimo wszelkich wysiłków nie potrafię wymienić nazwy znanego drzewa iglastego. Ponieważ nie mogę dłużej, samoudręczając się, szukać w mózgu zgubionego słowa, pytam zdecydowanie drugiego owu: – Jak nazywa się to krajowe drzewo iglaste, które w zimie traci igły?

– Modrzew! – odpowiada natychmiast drugi. – Czy chciałby pan może sadzić modrzewie?

– Nie, nie zamierzam... Po prostu nie mogłem sobie przypomnieć.

Drugi nic już nie mówi, ale parszaniem i marszczeniem nosa daje wyraźnie do zrozumienia, że swoje myśli.

Grzebię w starych gazetach i trafiam na miejsce, które uznaję za godne rozpowszechnienia: „Ludzie morza dzisiejszych dni nie są inni niż ich poprzednicy sprzed trzech czy czterech tysięcy lat, przyjaciele i uporczywi pogromcy słonych oceanów, oddzieleni tylko przez parę desek od praźródła życia, i dlatego bezwiednie zahartowani przeciwko beznadziejnemu zwątpieniu w świat i wrogiemu życiu rozszczepianiu włosa na czworo. Opowieści morskie wszystkich czasów są wszystkie razem świadectwem witalności, której kompleksy epoki nie potrafiły zaszkodzić”.

– Dobrze, że naród się o tym dowiaduje! – powiada czif.

DWUDZIESTY DZIEWIĄTY DZIEŃ REJSU. Jestem na warcie przedpołudniowej razem ze starszym sternikiem. Dokoła szare chusty mgły. Zimne, wilgotne powietrze przyprawia mnie o drzenie. Od czasu do czasu silne porywy wiatru przenikają przez pulower aż do szpiku kości. Fala się zwiększa. Pojawiły się na niej kocie łapki. Wiatr gra na mocno napiętej strunie spychacza sieci, cichnie, zaczyna na nowo, jakby tylko wypróbował różne gwizdy i świsty.

Na wschodzie szara pokrywa chmur jest nieco bledsza niż na zachodzie. Błyszczą nawet na niej jaśniejsza plama. Przed nią przesuwa się coś, co wygląda jak kleksy i nitki. Plama powiększa się, kleksy i nitki robią się coraz bardziej przezroczyste. Wygląda to tak, jakby jakiś materiał przeciągano koło lampy. Całe niebo pędzi zbitą masą z zachodu na wschód.

Spostrzegam, że starszy sternik od czasu do czasu przesuwa również szkła po moim sektorze. Widać nie całkiem dowierza mojej czujności.

Centymetr po centymetrze przeszukują prawy sektor dziobowy horyzontu. Dotarłszy do lewej granicy, opuszczam szkła i pozwalam odpocząć oczom, patrząc na niebo. Potem jeszcze raz przeglądam cały sektor gołym okiem, znowu przykładam szkła, bardzo powoli, milimetr po milimetrze, kreska po kresce, przesuвам je znowu po horyzoncie.

Już po godzinie, wskutek wysiłku patrzenia, w głowie tuż nad oczami pojawia się przewlekły ból. Czuję się tak, jakby oczy chciały się stopniowo wydostać z oczodołów i wpełznąć do lornety. Od czasu do czasu łzy zasłaniają mi wzrok. Ocieram je wierzchem skórzanej rękawicy.

– Uważajcie, ludzie! – A potem starszy sternik” zwraca się do mnie: – Oni chodzą prawie całkiem bez dymu! – Ma na myśli nieprzyjacielskie niszczyciele. – Mają obserwatorów na maszcie, i to tych z najlepszymi oczami.

Również trzydziestego dnia rejsu widnokrąg pozostaje pusty. Wiatr jest wschodni. Wschodni wiatr niesie ze sobą chłód. Wachtowi na pomoście opatulają się ciepło. W okręcie włącza się elektryczne grzejniki.

Nadchodzi sygnał. Dowódca podparafowuje go i podaje mnie:

„Do grupy »Drapieżny Wilk«: pas rozpoznania od punktu G do D obsadzić dwudziestego ósmego o godzinie 8.00. Odstęp dziesięć mil morskich. Kurs okrętów dwieście trzydzieści. Prędkość osiem węzłów. DOP.”

Dowódca rozkłada wielką mapę i ołówkiem pokazuje mi pozycje: – Tutaj jesteśmy teraz... a tam musimy być! – Ołówek przesuwa się daleko na południe. Bite trzy dni drogi. Jak się zdaje, całą operację przerwano. Teraz to coś całkiem nowego. Kto wie, co się za tym kryje. W ten sposób dojdziemy na wysokość Lizbony.

– I dzięki Bogu wydostaniemy się z zimna – mówi mechanik i otrząsa się jak pod lodowatym natryskiem.

Przez pół otwarty właz z dziobowego przenika sennie wyciągany śpiew:

Od Szanghaju do Sankt Pauli

Długi szlak po oceanie.

Marynarze w sinej dali

Marzą wciąż o Reeperbahnie...

Strofka powtarza się. Śpiewający nie mogą przejść dalej, zupełnie jak gramofon, którego igła wpada ciągle w ten sam rowek płyty. Po każdym powtórzeniu śpiew robi się coraz bardziej ospały. Idę naprzód. Świecą tutaj tylko dwie mętne lampy, hamaki są wypchane.

Pojawia się kuk: – Takie draństwo! – zaczyna od razu wymyślać. – Takie gówno! Wylało mi się pięć dużych puszek sardynek. Prosto w cukier. – Kucharz jest wściekły. – Takie zasrane świństwo... teraz możemy cały ten cukier wyrzucić!

– Ja bym go jednak zachował – mówi Ario. – Nigdy nie można wiedzieć. Może będziesz musiał słodzić kiedyś rybę.

Z górnej koi pojawia się wymachujące ramię, a potem również zmierzwiona czupryna. To Jednotancerz. – Ale wariacki kawałek w tej knipie – przerywa Ariowi. – Tylko słuchajcie: „Wielorybnik, który się myje, traci szczęście. Żaden wielorybnik, który się umył, nie złapie nigdy wieloryba, dopiero aż zacznie śmierdzieć!”

– No, właśnie! – rozlega się głos z innego hamaka. – Od razu wiedziałem, że nic się nam nie trafi przed lufę, jeśli mamy na pokładzie takich zwariowanych czyścioszków jak Schwalle i ten torpedysta.

Wszyscy są zdumiewająco jednomyślni w pochwałach brudu. W ten sposób moja tęsknota za kąpielą jeszcze się wzmacnia.

Przysiadam na koi głównego mechanika i wraz z drugim oficerem poddaję się najbardziej dręczącym rojeniom.

Na wannę proponuję zielony marmur z kamieniołomów w Carrarze. Drugi owu nie chce być gorszy. Za jeszcze wspanialszy uważa alabaster „biały jak łabędzi puch”. Wtedy nadchodzi główny mechanik. On chce, oczywiście, mieć wszystko z chromoniklowej stali. – Z ostrymi natryskami oraz delikatnie rozpylającymi wodę prysznicami... na zmianę ostro i delikatnie... tylko tak jest prawidłowo!

Z chromoniklowych natrysków przechodzi, jakby to było oczywiste, na czerkieskie niewolnice kąpielowe. – Odpowiednio pulchne, rozgrzane tańcem, garniowane rzeżuchą wodną i tak dalej!

– Ale, ale – powiadam. – Motor pańskich tęsknot nie chodzi raczej na lemoniadzie!

Główny mechanik robi głęboki wdech, a potem mówi, kręcąc głową: – Bardzo ładnie pan to wyraził.

Teraz moja kolej, by unieść się lekko z siedzenia: – Dziękuję za ten szczodry komplement!

Mijają trzy dni z prędkością marszową na południowy zachód, a wachty pomostowe nie wykrywają jakichkolwiek śladów nieprzyjaciela poza pustymi beczkami i dryfującymi deskami ze skrzynek.

Teraz zaczyna się monotonne łażenie w tę i nazad w pasie rozpoznania. Dowództwo próbuje tego i owego, i pilnie ciągnie krótką kołdrę w różne strony. Kołdra nie starcza ani na górze, ani na dole, ani z lewa, ani z prawa.

Wśród tej wiecznej monotonii zatraciliśmy już dawne poczucie czasu. Nie wiem, jak długo trwa ta włóczęga. Tygodnie? Miesiące? Czy też może okręt przemieszcza się po Atlantyku już pół roku? Również granica między dniem i nocą rozplywa się coraz bardziej.

Zapas dykteryjek dawno się wyczerpał. Pomagamy sobie płaskimi gadkami, które nie naruszają kapitału myśli, trywialnymi kawałami i wygłupami.

Z głównym mechanikiem nie można już rozsądnie rozmawiać; Obojętne, o czym się mówi, on natychmiast wrzuca swe głupie: „Dlaczego by nie?“, co dławii każdą rozmowę. Również drugi oficer pomaga sobie stereotypowym zwrotem: „Prawie całkiem nieprawdopodobne”. Niekiedy decyduje się na odmianę: „Całkiem niezupełnie nieźle”. Z reguły zabijają dialogi powiedzonka: „Moja dziewczyna też tak mówi” oraz: „Sam sobie winien”.

Na całym okręcie jak zaraźliwa choroba rozpowszechniło się jako pochwalny przymiotnik słówko „bombforcjonalny”. Nikt nie wie, kto puścił w świat to idiotyczne wyrażenko. Ale naraz wszystko jest bombforcjonalne. Również nowa uniwersalna jednostka miary grasuje na pokładzie. Nazywa się ona „promień”. Najpierw słyhać było „promień” tylko przy śniadaniu: „Dolej mi jeszcze promień kawy, jeśli mogę prosić”. Potem promień pojawił się również jako jednostka czasu: „Zrobię to, ale promień później”. A teraz nawet główny mechanik pyta mnie, czy nie mógłbym się przesunąć o promień na bok.

Mechanik sięga po wystrzępione pisemko z zagadkami. Po pewnej chwili czyta: – Jak odjąć czterdzieści pięć od czterdziestu pięciu w ten sposób, żeby pozostało czterdzieści pięć? – Wiem, że nie ma sensu próbować dalej czytać, bo czif zaraz znowu o coś spyta. Zawsze to samo: jeśli sam nie jest zajęty, nie chce również, żeby inni coś robili. Błądzą spojrzeniem po słojach przeciwległej drewnianej ściany. Znam każdą linię, każdy poszczególny sęk. Znam

również każdą rurę i każdy nit na suficie. Andaluzyjkę na ścianie i małego pieska z głupimi szklanymi oczami, który figuruje jako nasza maskotka. Przy tajnej szafce jak zwykle wisi na dewizce kieszonkowy zegarek mechanika z małym kluczykiem do nakręcania. Na ramach zdjęcia, przedstawiającego spuszczenie okrętu na wodę, osadził się kurz. Po drugiej stronie, przed koją drugiego owu, chwieją się zasłony. Trzeciego kółka z lewej brak.

Mógłbym to wszystko narysować z pamięci.

Mechanik zadaje teraz pytania, jedno po drugim: – Łańcuch wzgórz koło Brunszwiku? Narzędzie malarskie na p? Grupa wysp wulkanicznych koło Alaski?

Wentylatory szumią jak stado pszczoł. Z centrali dochodzą przytłumione głosy. Od czasu do czasu przez luk kiosku chlapie woda. Brzmi to jak daleki deszcz. – Obmywanie ciała na k, sześć liter? – bada dalej czif.

Chociaż dokładam wysiłków, by nie słuchać, nie mogę się powstrzymać. – Kąpiel – mówię.

– Dziękuję pięknie, jestem bardzo zobowiązany. Wóz bojowy na cztery litery?

– Tank! – stwierdza półgłosem drugi owu.

– Dobrze! No, wspaniale. Udaje się bombforcjonalnie! – triumfuje główny mechanik. I dalsza seria: – Mocna skłonność... otwarty wagon towarowy...

W trakcie tego pierwszy oficer spogląda na mnie i mówi bez żadnych wstępów: – Za mało tu uduchowienia!

Co za piękna myśl! Z pewnością długo nad tym dumiał. Uduchowanie!

Torpedy w pięciu rurach, a w mesie górnotne przemówienia, zamiast naszego wygłupiania się – to by pasowało naszemu szlachetnemu młodzieńcowi! Musiałem, chociaż próbowałem opanować wyraz twarzy, spojrzeć na niego boleśnie: pierwszy czerwieni się. Mam ochotę spytać go, co właściwie sobie pod tym słowem wyobraża. Zamiast tego mówię tylko: – Może być. – Wzdycham i zagłębiam się w antykwaryczne czasopismo ilustrowane.

– Nie ma parowców... za to coraz więcej brudu – słyszę głos Jednotancerza z centrali.

Z rozmnażaniem się brudu ma rację. Jego pochodzenie jest tajemnicze. Temat do rozmyślań. Dokoła nic tylko woda, a jednak każdego poranka przy sprzątanii okrętu pod chodnikami i kratownicami znajdują się wprost potworne złoza. Temat do dysertacji: „Powody mnożenia się zwykłego śmiecia na przebywających na morzu wojennych obiektach pływających”.

Obserwuję muchę, która biega po twarzy andaluzyjskiej piękności na ścianie szafki. Zatrzymuje się dokładnie przed lewą dziurką w nosie. Z pewnością jest jej przykro, że nie może wleźć do środka.

Mucha mości się wygodnie na prawym brzoskwiowym policzku konterfektu tej damy. Tam wreszcie przykleja się na dobre. Udaje muszkę na policzku. Od czasu do czasu podnosi tylne nóżki i pociera je o siebie. Posuwam się głębiej i zapadam w sobie jak niedokładnie napełniony worek mąki. Tylko kolana, dociśnięte do stołu, dają mi jeszcze trochę oparcia.

Wydaje się, że mucha nie ma na dziś żadnych planów. Siedzi na ścianie i drzemie.

Zjawia się stołowy i niesie nakrycia na kolację. Przy tym wystrasza muchę. Szkoda.

Dowódca w centrali znowu przymierza ekierkę i liniał do mapy i coś tam mruczy do siebie. Potem układa w pedantycznym porządku ekierkę, linię i ołówek, i wchodzi do kiosku.

Pozostaję w centrali, siedzę na skrzyni z mapami i próbuję czytać. Po godzinie dowódca ciężko schodzi z kiosku.

– Pięknie! – mówi. Na czole ma zmarszczki ze zmartwienia. Przemierzywszy centralę trzy czy cztery razy jak tygrys w klatce, siada koło mnie na skrzyni i zamiast coś mówić, ssie swą od dawna wystygłą fajkę. Odkładam książkę na bok, ponieważ czuję, że dowódca miałby ochotę pogadać. Obaj bez słowa patrzymy w przestrzeń.

Czekam, że on zacznie pierwszy. Wyciąga z kieszeni zgnieciony, pisany zielonym atramentem list i parę razy uderza w papier wierzchem dłoni: – Tu już przedtem coś znalazłem. Oni prawdopodobnie mają komiczne wyobrażenie o naszym bytowaniu! – Wiem, że zielonego atramentu używa narzeczona dowódcy, wdowa po lotniku.

Dowódca wysuwa dolną wargę i energicznie potrząsa głową. – Temat wyczerpany – mówi niespodziewanie ostro i robi taki ruch dłonią, jakby chciał zetrzeć z tablicy własną wypowiedź.

Jak nie, to nie – myślę.

Mimo że dzięki lepszej pogodzie płyniemy z otwartym włazem, w mesie P cuchnie paskudnie. Śmierdzi spleśniałym chlebem, gnijącymi cytrynami, gnijącymi kiełbasami, śmierdzą tłuste opary oleju, mokre ubrania sztormowe, gumowe buty, pot i zapleśniałe z brudu penisy.

Otwiera się właz i w chmurze dieslowego smrodu wchodzi stara wachta maszynowa. Kłątwy i wymyśły. Zatraskuje się drzwiczki bakist. Motorzysta Frenssen ryczy nagle jak pijany: – Tylko miłość, tylko miłość, tylko ona zaprowadzi nas do portu, tam gdzie żona!

Oczywiście: Frenssen, zawsze Frenssen!

– Teraz powinno być dobre piwo!

– Pięknie wychłodzone, z białym kołnierzykiem piany... i to jedno po drugim... żeby

tak wlewać w siebie. Ach, Boziu!

– Zamknij gębę! Nie wkurwiał mnie!

– Calvados też byłby nie najgorszy... Albo dżin! Człowieku, na „Caribii” robili obłądne rzeczy z dżinem: koktajl szronowy, koktajl „Manhattan” i jak się to tam jeszcze nazywało... Chyba stale byliśmy tipsy!

– Ciągłe pod gazem to też uregulowane życie. Twoje szczęście, że jak się człowiek schła, to zawsze wytrzeźwieje!

– Ale kto głupi był, to i głupi zostanie, ty paskudny karaluchu!

Słysząc trzaśnięcie, potem gwałtowne przekleństwa. Przypuszczam, że jednemu z tej trójki poleciała na głowę któraś z naszych kryminalnych szmir. Przekręcam się na drugi bok i mówię sobie: nigdy nie piłem bez umiaru. Ale teraz mógłbym. Wypijać jedną butelkę po drugiej. Ten ascetyczny okręt! Brak jakiegokolwiek alkoholu na pokładzie. Nic poza połówką butelki piwa, która pozostała na głowę po golonkowej uczcie, i jedną butelką koniaku. Tę jednak przechowuje dowódca we własnej szafce do celów medycznych.

Ponieważ oszczędzamy paliwa, diesle idą na małych obrotach. Warczą dychawicznie. Można policzyć prawie każdy z poszczególnych taktów: ssanie, sprężanie, praca, wydech. Przeważnie pracuje tylko jeden z dwóch silników. Drugi wypoczywa, do czasu aż go znowu włączą, wtedy zaczyna do niego napływać ze zbiorników kosztowne paliwo.

Niski stopień szybkości nie wychodzi maszynom na zdrowie. Głównemu mechanikowi również nie. Udręczony głos diesli działa mu na nerwy.

Słaba pociecha, że dalej, na północy, inne okręty tak samo tępo jak my krążą po morzu.

Widok mapy z naniesionym kursem działa jak złośliwe szyderstwo. Płatana linii, która, gdy się na nią patrzy, nie ma żadnego sensu. Wygląda jak nitka miodu, która skapnęła na chleb z masłem.

Odkosy dziobowe zamieniły się w zmęczone loczki. Kawałki drewna przepływają koło okrętu tak wolno, jakby chciały zademonstrować wachcie pomostowej, jak się okropnie i beznadziejnie wlecemy.

– Powinniśmy „wygasić kotły” i stanąć tu na kotwicy! – mówi pierwszy oficer.

Marynarze pokładowi są przygnębieni. Gdzie się spojrzy, widać tylko zatroskane twarze. Ludzie zachowują się tak, jakby nie było nic bardziej haniebnego niż powrót bez proporczyka zwycięstwa. Jakby to był blamaż nie do odrobienia.

Sposób mówienia w mesie O stał się bardziej gwałtowny. Gdy ktoś uważa, że

zwrócono się do niego niewłaściwie, reaguje znacznie mocniej niż poprzednio. Niektórzy snują się dokoła, jakby obrażono ich tak ciężko, że nigdy w życiu już nie będą mogli tego przeboleć.

Również Stary okazuje zły humor. Obsztorcował sternika, pytając go, czy zamierza wypisać okrętem swoje nazwisko na morzu! Przy tym, Bóg mi świadkiem, przy takiej fali trudno jest dokładnie utrzymać kurs.

– Wszystko do bani! – jęczy główny mechanik.

– Niezupełnie – burczy dowódca.

Nie wierzę własnym uszom: czyżby Stary chciał nagle wszystko afirmować, czy też tylko chce pocieszyć samego siebie?

– Już konieczność prowadzenia statków w konwojach szkodzi w znacznym stopniu przeciwnikowi. Z tego powstają w końcu przewlekłe okresy oczekiwania dla statków już załadowanych. Porty są przecież przystosowane do ruchu ciągłego, a nie na coś w rodzaju poczekalni.

Stary nagle urywa. W pobliżu słychać stukot maszyny do pisania. Na obliczu dowódcy pojawia się wściekłość. Gryzie wędzidło, myślę. To jest właściwe określenie.

– Słoniowa skóra! – parska Stary. – Kiedy wreszcie ta kłapaczka pójdzie do diabła!

– Proszę, panie... panie kapitanie – jąka czif. – Proszę o pozwolenie zapytania pana kapitana, czy mam to traktować jako rozkaz służbowy.

Teraz Stary znowu się uśmiecha.

Niebo jest dzisiaj nieruchome jak zsiadłe mleko. Ani drgnie. Wydaje się, że woda również stała się gęściejsza. Fale garbią się tylko okrągło i leniwie, nie mają grzebieni. Na ich czarnozielonym tle tylko tu i ówdzie widać białe żyłkowanie. Atlantyk nabrał jednej barwy czarniawej zieleni – nie jest to widok, który by podnosił na duchu.

Duże statki przynajmniej tu i ówdzie dają oku jakąś barwę: znaczki na kominie, malowane na biało nawiewniki, czerwone obwódki. U nas wszystko jest szare. Ani jednej barwnej plamki na całym okręcie. Tylko szarzyzna, i to bez żadnych odcieni.

My sami znakomicie pasujemy do tej szarzyzny: również nasza skóra przyjmuje stopniowo odcień jasnej serowatej szarości. Z różowego koloru, którego dzieci używają do malowania twarzy, nie widać u nas ani śladu. Nawet bosman, choć jeszcze w porcie miał twarz jak czerwone jabłko, wygląda teraz, jakby wyszedł po długim pobycie ze szpitala. Mimo to jest przy głosie. Słyszę, jak ryczy: – Rozdziawcie te swoje kluzy, może wtedy zamknie się wam dupa!

Wszyscy powinniśmy iść do psychiatry. Może wyperswadowałby pierwszemu

oficerowi jego spektakularne gesty – to byłoby zadanie! A także marszczenie nosa, delikatne, tak nieskończenie pobłażliwe uśmiechy.

Jeśli chodzi o dołki w policzkach drugiego owu, to inna sprawa: należy je zachować. Nasze dziecię w ogóle jest jeszcze w jakim takim porządku. Ale głównego mechanika należałoby poddać intensywnej kuracji, tak jest nerwowo i napięty. Tik w kąciu jego lewego oka powinien zniknąć, krzywienie ust, wciąganie policzków i warg, a także pozbawione podstaw robienie ryjka oraz, przede wszystkim, gwałtowne reakcje – na przykład wzdryganie się przy najmniejszym hałasie. Przynajmniej kawałek grubej skóry drugiego mechanika należałoby transplantować czifowi. To dla drugiego byłoby nawet korzystne. Jemu przydałaby się cieńsza skóra.

A potem te hałaśliwe odruchy Starego: drapanie brody, ssanie fajki, bulgotanie na fajce, które brzmi tak, jakby na całkiem wolnym ogniu smażył się tłuszcz, parskanie nosem. Czasami również wypycha ślinę przez szczelinę w zębach w ten sposób, że bulgocze i syczy.

Johann robi się coraz bardziej podobny do Chrystusa. Ilekroć odgarnie swą płową czuprynę i odsłoni wysokie czoło, wystarczy mu tylko opuścić powieki i już robi wrażenie doskonałej odbitki chusty świętej Weroniki.

Nie należy dokładnie przyglądać się ludziom. Niektórzy z nich wyglądają całkiem nędznie. Przypominają mi fotografie górników, którzy przez dwa tygodnie zamknięci byli pod ziemią i w ostatniej chwili zostali uratowani. My gnieźdзимy się również w pewnego rodzaju wyrobisku, zgarbieni i skurczeni jak górnicy, dzień i noc przy sztucznym świetle. Naszym prowadzącym do góry szybem jest kiosk, z centrali do przodu i do tyłu rozchodzą się chodniki. Torpedyści tyrają na przodku. Ich latarki są lampami górniczymi.

Naprawdę martwię się o podchorążego. Najpierw uważałem, że wygląda całkiem łobuzersko. Teraz ten urwisowski wyraz zniknął. Parę razy widziałem go skurczonego na koi i pogrążonego w zadumie.

Przez radio dowiadujemy się, że Meinig zatopił samotny chłodniowiec, o pojemności dziewięciu tysięcy BRT.

Wpatruję się w sygnał: trudno w to uwierzyć! Jak mógł tego dokonać uszkodzonym okrętem! Meinig meldował, a więc Habermann również jeszcze żyje. Powinienem był to wiedzieć; jego nic tak łatwo nie wykończy.

– Miał dużo szczęścia – mówi Stary. – Bez szczęścia czegoś takiego nie da się obecnie osiągnąć. Jeśli przypadkowo okręt nie ma wyprzedzenia i nie może poczekać, aż mu jakaś

łajba podejdzie pod wyrzutnie... Wszystko, co obecnie pływa pojedynczo, ma dużą szybkość. Pogoń od rufy nie ma już celu. Szybki chłodniowiec po prostu pozostawia bez trudu pościg za sobą. Często próbowałem się przykleić... ale za każdym razem marnowaliśmy tylko paliwo. Nawet jak robiliśmy trzysta sześćdziesiąt obrotów, osiągaliliśmy tylko jeden, do dwóch węzłów więcej niż szybki, samotny statek... A jeśli jeszcze zacznie zygzakować w korzystną dla niego stronę, a my się za późno w tym zorientujemy, to tak czy inaczej jest już po wszystkim.

TRZYDZIESTY TRZECI DZIEŃ REJSU. Kalendarz wskazuje środę. Rano o ósmej meldunek: „Oczekiwać konwoju z kursem zachodnim w kwadracie Gustaw Fritz”.

Pochylony nad stołem nakresowym Stary wykrztusza z siebie sceptyczne: – No tak!... Nie całkiem korzystnie, ale jakoś... przy odrobinie szczęścia możemy się tam dostać... Właśnie tak – objawia nam po pięciu minutach zadumy. Nowy kurs, większa prędkość. Poza tym nic się nie zmienia.

– Najwyższy czas, żebyśmy zapisali parę ton na nasze konto – mówi drugi owu i natychmiast robi zakłopotaną minę, bo sam dostrzega, że jego uwaga zabrzmiała zbyt bez trosko jak na nasz stan rozdrażnienia.

Południe. Wychodzę na pomost za pierwszym oficerem, który właśnie zaczyna wachtę. Powietrze jest nieruchome i gnuśne. Morze przygarbiło się pod rozproszonym światłem i pokryło szarą skórka, która tylko tu i ówdzie nieco się marszczy i wydyma: bardzo nudny widok, który działa otępiająco.

Jednak wieczorem podczas wachty drugiego oficera obraz zaczyna nabierać barwy: pojedyncze, zawieszane płasko nad horyzontem ławice chmur zaczynają się żarzyć jak w palenisku kuźni. Szybko całe niebo staje się czerwone, a również morze pokrywa się wspaniałym żarem. Okręt z huczącymi silnikami ciągnie przez czerwony obłęd. Cały kadłub się żarzy. Jego część dziobowa wygląda jak olbrzymi kawał rozpalonego żelaza. Również twarze na pomoście są zalane czerwienią. Czarna i czerwona farba wystarczyłyby do wymalowania tego wszystkiego: morza, nieba, kadłuba okrętu i twarzy pod zjudwestkami.

Przez kwadrans niebo i morze stoją w ogniu, potem karmazynowy żar obłoków gaśnie, ubierają się one nawet w mroczną, siarczaną szarość. Teraz wyglądają jak góry popiołu, w których wnętrzu coś jeszcze cicho się tli.

Nagle, dokładnie z przodu, w szarej ścianie rozżarza się jedno miejsce. Potem, jakby pod działaniem kowalskiego miecha, cały pożar roznieca się na nowo. Jednak już po paru minutach czerwone ognisko kurczy się, świeci przez chwilę jak otwór spustowy pieca

hutniczego i wreszcie gaśnie całkowicie: słońce zatoneło za widnokreśm.

Wysoko, nad pasmami chmur, na płaszczyźnie nieba czerwień jeszcze się utrzymuje. Całkiem powoli staje się przezroczysta i pasmowa, a na jej miejscu występuje szafranowożółty ton, który stopniowo przechodzi w zielony i opada aż do horyzontu.

Morze odbija teraz to jadowite zielonożółte zabarwienie. Zastygło jak w paraliżu pod zielonożółtą skórą.

Dowódca wchodzi na pomost, węszy i obserwuje niebo. – Kolorowe, ale nieładne! – stwierdza kwaśno.

We śnie czuję, jak okręt walczy z falą. Śni mi się, że jestem na trampolinie. Usztywniony, z rękami przy szwach spodni, pozwalam się wyrzucać w górę – sto, tysiąc razy. Robię również salta i urozmaicam nawet skoki piruetami oraz saltami na półtora obrotu, tak że raz nogami, raz głową, ale zawsze sztywny jak kij ląduję na miejscu.

Drugi oficer zrywa Kartkę z kalendarza. Pojawia się słowo CZWARTEK. Do śniadania, ponieważ okręt gwałtownie się zatacza, stołowy musi założyć listwy sztormowe. Dzielą one stół na regularne czworoboki. Talerze i filiżanki są teraz jakby w małych zagrodach.

Dowódca oznajmia, że musimy przejść przez sztormowy niż, który nadciąga od wybrzeża Nowej Fundlandii ku wschodowi, a powstał wskutek zetknięcia ciepłych mas powietrza Golfstromu z masami zimnego powietrza Prądu Labradorskiego.

– W nocy wiatr skręcił na północ, potem na północny północo-wschód – mówi dowódca. – Ale z pewnością tak się nie utrzyma. W następnych godzinach liczę się z ostrą zmianą kierunku o połowę róży wiatrów... przez zachód do południa.

Stołowy musi teraz z całym wysiłkiem balansować z pełnymi talerzami przez przejście. Ponieważ nie ma wolnej ręki, by się przytrzymać, próbuje się opierać łokciami po obu stronach.

Dowódca wciska się w swój kącik i starannie się w nim mości. – Dość obłądnie to wygląda: o wiele większa fala niż zazwyczaj przy tej sile wiatru. Z pewnością mamy jeszcze do czynienia z martwą falą. Niedawno musiało tutaj całkiem porządnie dmuchać!

– Trzymać imbryk! – krzyczy czif. W tym samym mgnieniu oka całe pomieszczenie przechyla się gwałtownie z jednej strony na drugą. Potem unosi się w górę i opada, i nabiera nawet ruchów obrotowych.

– Całkiem ładnie huśta! – mówi drugi mechanik.

– Chwieje się – poprawia pierwszy oficer.

Drugi mechanik zastyga z otwartymi ustami. Pierwszy owu uznaje to za pełną oczekiwania zachętę do dalszych pouczeń: – Huśtaniem nazywa się ruch w górę i w dół w kierunku wzdłużnym.

– A jak zatem szanowni nawigatorzy nazywają ruchy boczne? – włącza się czif.

Pierwszy owu nie reaguje na szyderstwo: – Kołysaniem!

– Nie przechylaniem? – draży dalej główny mechanik.

– Nie. Przechył oznacza pewien stan... kąt... mianowicie ten, o który okręt odchyła się od pionu. Oba czynniki: huśtanie i kołysanie dają chwiejbę!

– Na wieki wieków amen – parska czif. – To było bardzo subtelne wyjaśnienie dla durnych maszynistów!

Nie mogę spać. Przechodząc przez centralę, widzę, że niebawem będzie północ. Pierwsza wachta pokładowa właśnie się zbiera. W niepewnym świetle w czarnych ubraniach sztormowych wyglądają niezgrabnie jak nurkowie. Prawie się nie odzywają. Dwaj z dziobowego ziewają tak wytrwale, jakby dawano za to nagrody. Zgiętym palcem wskazującym prawej dłoni pierwszy oficer przeciera sobie oczy. Mat z centrali zrobił kawę. Pierwszy siorbie z poobijanej filiżanki bardzo hałaśliwie, całkiem nie na swój elegancki sposób. Piją jeden po drugim. Są tylko dwie filiżanki. Bosmanmat Zeitler już wciągnął grube skórzane rękawice. Filiżanka znika między nimi całkowicie. Każdy amortyzuje w stawach kolanowych ruchy okrętu, żeby się nie wylała ani kropla kawy. Od czasu do czasu pierwszy oficer zezuje na zegar tuż pod sufitem koło studzienki peryskopu. Zeitler klnie, bo mu zamieniono nieprzemakalny kaptur, dostał mu się inny, z zasupłanymi taśmami. Marynarz z centrali uprzęta dzbanek i filiżanki. Pięć minut przed dwunastą: cała czwórka wychodzi na górę.

W mesie P siedzą zluzowani z trzeciej wachty i gadają. Dorian klnie z za zasłony, że chce spać.

– Człowieku, złap się za dupę i sprawdź, czy jeszcze tam jesteś. Będziemy gadali tak długo, ile zechcemy, a jak ci się to nie podoba, możesz sobie napchać pakuł w uszy! – To był Kleinschmidt, a Wichmann popiera go: – Nie udawaj stale, jakbyś był od nas lepszy, dlatego że żyjesz w uregulowanych stosunkach!

W parę godzin później podchorąży pyta w półśnie: – Co się stało?

– Ach, gówno... nic się nie stało! – klnie Zeitler, robi przerwę i złości się dalej: – Co by się mogło stać w Marynarce?

Teraz Wichmann budzi się całkiem: – Ty poprzecznie pierdolona dupo... nie mogłeś przyzwoicie odpowiedzieć?

– Człowieku boży, nie denerwuj się. Poszliśmy w zanurzenie, bo nic nie było widać. Czego podskakujesz?

Zeitler zawija się w koc i burczy jeszcze: Głupie bydło, głupie – dwa razy przycha gwałtownie i śpi.

Kiedy Stary nie stoi na pomoście, spędza wiele godzin dnia w pustelniczej izolacji za zieloną zasłoną albo w kiosku na siodełku peryskopu. Czasem słyszę z dołu, jak zaskakuje silnik peryskopu. Potem Stary, siedząc tam, jeździ jak na karuzeli.

Ludzie całymi dniami nie słyszą jego głosu. Mogliby myśleć, że okręt działa na morzu bez dowódcy.

Włóczęga odbija się źle również na głównym mechaniku. Stracił wiele ze swej ruchliwości. Wygląda tak, jakby pod oczami rozsmarował sobie zieloną szminkę, by dodać demonizmu swemu spojrzeniu, jednak jego zielonkawo podkrążone oczy są prawdziwe. Od dawna nic już nie majsterkował. Jeśli nie kontroluje właśnie maszyn, widać go przeważnie z opuszczoną głową, na której odcina się jaśniejszy przedziałek. Wpadł w manię czytania. Tylko na posiłkach podnosi głowę do góry, a dowódca mówi „dzień dobry” do jego poźółkłej jak ser twarzy. Czasem główny mechanik siedzi tylko beczynnio i wietrzy swoje troski.

Obywające się bez słów porozumienie między głównym mechanikiem a dowódcą mimo ich drażliwości nie zostaje zmacone. Wydaje się, że wszystkie napięcia między nimi od dawna już zanikły. Mają za sobą siedem wspólnych wypraw przeciwko nieprzyjacielowi.

Jesteśmy teraz prawie trzy tysiące mil morskich od bazy. Co prawda okręt ma promień działania długości około siedmiu tysięcy mil morskich. Ale włączając się w tę i nazad w pasie rozpoznania, spaliliśmy już dużo paliwa, tak że mamy tylko niewiele „luzu”. Z tak małym zapasem w zbiornikach nie możemy już być skierowani przeciw bardziej odległym konwojom. Na dłuższy kurs całą naprzód, który w operacji przeciwko konwojowi jest nieunikniony, nasze rezerwy właściwie już nie wystarczą.

Pierwszy oficer denerwuje głównego mechanika zamykaniem i otwieraniem bakist, brzęczeniem kluczami i przrzucaniem papierów. Nikt nie wie, co sobie przyswaja z kolorowych skoroszytów.

– Uczy się na pamięć regulaminu burdeli przed powrotem do portu – przypuszcza czif, gdy pierwszy owu zniknął w centrali. Jeden ze swych skoroszytów zostawił na stole. Nie

mogę się oprzeć pokusie i otwieram go. SPRAWOWANIE KIEROWNICTWA LUDŹMI NA OKRĘCIE PODWODNYM – czytam czerwony tytuł na pierwszej stronie. Przewracam dalej kartki i już nie mogę oderwać oczu:

„Punkt 1 – osobliwości życia na okręcie podwodnym.

Życie na pokładzie jest przez długi czas monotonne. Przez wiele tygodni musi się znosić niepowodzenia. Gdy do tego dochodzą bomby głębinowe, jest to wojna nerwów, która przede wszystkim ciąży na przełożonych.”

Znowu czerwonym ołówkiem: „Duch załogi jest zależny:” i następnie punkt po punkcie niebieskim atramentem:

„1. od dyscypliny załogi;

2. od sukcesu dowódcy;

Jeśli dowódca odniósł sukces, wtedy załoga, choćby nawet był głupcem, będzie go kochała bardziej niż kogoś, kto nie ma sukcesów. Ale właśnie dowódca, któremu się nie powiodło, musi mieć załogę, która wypełniona jest właściwym duchem.

3. od dobrej organizacji codziennego życia na pokładzie;

4. od przykładu i wzorowej postawy oficerów;

5. od naprawdę inteligentnego kierowania ludźmi, połączonego z wzorowym zaopatrzeniem załogi.”

Czerwonym ołówkiem „Co do dyscypliny”, a potem znowu niebieskim atramentem:

„Dowódca ma zadanie troszczyć się o to, by na jego okręcie panował duch żołnierski, a zdanie złych żołnierzy niewiele znaczyło. Być może, powinien na pokładzie postępować jak ogrodnik, który wyrывa chwasty, a pielęgnuje właściwe rośliny.”

A teraz czytam pod tytułem wypisanym czerwonym ołówkiem „Cytaty z odczytu kapitana L.”:

„Wiem dobrze, że kobiety mogą podważyć bojowe morale żołnierza, wiem również, że mogą wzmocnić mężczyznę w jego postawie i wielokrotnie stwierdziłem, że właśnie żonaci, wypoczęci po urlopie, szczególnie dobrze przystępowali do nowego patrolu przeciwko nieprzyjacielowi. Trzeba powiedzieć żonatym podoficerom, czego muszą wymagać od żony żołnierza. Cieszyłem się, gdy raz w kraju miałem sposobność zaprosić większość żon moich żołnierzy na kawę, poznać je i powiedzieć im, że oczekuje się od nich dzielnej postawy. Sądzę, że niejednej z nich wzmocniłem w ten sposób kręgosłup, i prosiłem moją żonę, by od czasu do czasu do nich pisała i utrzymywała z nimi kontakt.

Trzeba apelować do żelaznej woli utrzymywania swego zdrowia i przewycięzania drobniejszych trudności. Jeśli dwóch żołnierzy ma prawo otrzymać Żelazny Krzyż pierwszej

klasy, a można go dać tylko jednemu, daję go raczej temu, który zostaje na pokładzie i pływa dalej, niż temu, co ma szczęście zostać matem lub bosmanem i z tego powodu musi wymustrować. W końcu Żelazny Krzyż nie jest instytucją charytatywną, tylko nagrodą za dzielność w obliczu nieprzyjaciela, na którą jeszcze po jej wręczeniu trzeba zarabiać na nowo.”

Oczy robią mi się okrągłe ze zdziwienia: a więc to jest biblia naszego pierwszego oficera! Nie muszę długo czytać, by znowu zrobić odkrycie:

„Na długich rejsach bojowych młodzi żołnierze tłuką wiele naczyń. Upomnienia, jak wiadomo, mało pomagają, zwłaszcza że przy dużej fali roznoszenie jedzenia jest często trudne. Każę teraz każdej wachcie robić przegląd naczyń. Jeśli zbyt wiele brakuje, stołowy musi jeść przez trzy dni z puszki po konserwach. Surową karą jest również zakaz palenia. Trzy dni zakazu gry w karty dla namiętnych graczy działa cuda.”

Teraz następuje strona odbita na powielaczu:

„Jest sprawą honoru i również przywiązuję do tego wagę, by zapewniono etykietę na pokładzie. W porcie, naturalnie, w wyższym stopniu niż na morzu, gdzie musi wystarczyć, by w pomieszczeniach, do których dowódca wchodzi po raz pierwszy w ciągu dnia, wołano »uwaga!«, żeby zawsze najstarszy wybrany żołnierz meldował o rodzaju wykonywanych zajęć, podobnie jak na pomoście ma się zameldować oficer wachty. W porcie okres pobytu w stoczni musi być wykorzystany do jednego przynajmniej apelu dziennie. Szczególną wagę przywiązuję do godnej gali flagowej. Również na morzu trzeba od czasu do czasu kontrolować porządek w bakistach i zwracać uwagę na stały porządek na okręcie...”

Miałem na morzu jednego zabitego i paru rannych. Na zmianę ściągnąłem sobie na morzu z pewnego niemieckiego parowca ochotnika w stopniu młodszego marynarza. Miał dziewiętnaście lat, od czternastego roku życia pływał na niemieckich statkach za granicą. Przybył na pokład w słomkowym kapeluszu na głowie i powiedział: »Cześć, kapitanie, podobno mam tu wsiąść. Nie miał pojęcia o zewnętrznej formie żołnierstwa. Przydzieliłem mu mojego najlepszego podoficera jako instruktora, który go nauczył chodzić i stać, i wyjaśnił mu podstawowe problemy. Po czternastu dniach złożył przysięgę. W tym celu przeszliśmy w zanurzenie, przedział dziobowy ozdobiliśmy flagami i przekształciliśmy tę przysięgę w prawdziwą uroczystość. Ten marynarz nauczył się wcześniej przysięgi na pamięć. W swoim wystąpieniu opowiedziałem mu o obowiązkach niemieckiego żołnierza. Załoga siedziała przy tym jednolicie umundurowana w brunatne koszule tropikalne. Na tę uroczystość wszyscy porządnie się ostrzygli, a najpierw były pieśni, które miały uprzyjemnić to święto. Ponieważ ustalono wcześniej, co będzie śpiewane, śpiew wyszedł bardzo dobrze.

Młodemu marynarzowi wręczyliśmy poza tym »Obowiązki żołnierza«. Ktoś wypisał je ozdobnym pismem.” Tytuł „Święta i obchody” zaciekawia mnie szczególnie: „Podczas adwentu w każdym pomieszczeniu płonęły elektryczne świece adwentowe na jodłowych wieńcach, które sporządzono ze zwiniętych ręczników oraz zielonego papieru toaletowego. Piekarnia świąteczna była czynna przez czternaście dni i każdy mógł łąsuchować, tak jak w domu. Na wigilię ustawiliśmy w świątecznie ozdobionym kubryku dziobowym choinkę własnej roboty. Zjawia się święty Mikołaj, który w tropikach ubrany jest tylko w prześcieradło, i ofiarowuje każdemu żołnierzowi słodycze i książkę z dedykacją, wszystko naturalnie z dodatkiem pięknych wierszy i przysłów. Niektóre czynności sygnalizowaliśmy na pokładzie muzyką. Podczas zanurzenia wachta wolnej burty dowiaduje się o tym poprzez piękny marsz sterników: »Zrobimy to i wszystko będzie dobrze«, który gramy naszemu głównemu mechanikowi, gdy się trudzi sterowaniem głębokościowym. A gdy wachta ma się przygotować do wynurzenia, dowiaduje się o tym poprzez marsz: »Dzisiaj ruszamy na morze błękitne.«”

Pierwszy atak

Radiotelegrafista podaje sygnał ze swego przedziału. Na twarzy ma zwykły wyraz, to znaczy wiecznie ten sam życzliwy uśmiech.

Pierwszy oficer z ważną miną stawia maszynę szyfrową na stole, kładzie obok siebie pasek papieru, przechyla głowę jak kura szukająca ziarna, sprawdza nastawę i wreszcie naciska klawisze.

W tym samym czasie główny mechanik demonstruje znudzoną minę angielskiego właściciela stajni wyścigowej. Drugi owu, wolny od wachty, nawet nie podnosi oczu z nad książki. Ja również udaję obojętność.

Zaledwie pierwszy odszyfrował ostatnie słowo, dowódca bierze – rzucając pogardliwe spojrzenie na całą aparaturę, ale o sekundę za szybko – papierowy pasek z maszyny, czyta go, marszcząc twarz, podnosi się i steruje ku centrali, nie mruknąwszy nawet słowa. Przez pierścień wjazdu widzę, jak starannie dopasowuje lampę nad stołem.

Wymieniamy znaczące spojrzenia z głównym mechanikiem.

– Oho! – mówi czif.

Powściągam ciekawość i dopiero po paru chwilach wchodzę za dowódcą do centrali. Starszy sternik jest tam również, jakby sprowadzony przez jakieś czary.

Stary pochylił się nad mapą morską. W prawej ręce ma radiogram, w lewej cyrkiel. Nie rzuca nam nawet spojrzenia.

– Całkiem możliwe – mruczy wreszcie. Potem bez słowa wręcza mi sygnał, a ja czytam: „Godzina 8.10, widać konwój. Kwadrat Bruno Max. Kurs północny. Odpędziły mnie samoloty. Nieprzyjaciel zniknął. UR.”

Dowódca pokazuje cyrkiem kwadrat Bruno Max. Leży on niedaleko od nas.

– Licząc pi razy oko – mówi dowódca – z maksymalną prędkością potrzeba nam dwudziestu czterech godzin, by się tam dostać.

Teraz wszystko zależy od tego, czy UR znowu złapie kontakt, bowiem tylko wtedy dowództwo skierowałoby nas przeciwko konwojowi.

– A więc na razie ten sam kurs i prędkość.

Następne godziny mijają na przypuszczeniach: – Wygląda, jakby ten konwój szedł do Ameryki, ale może to być również konwój gibraltarski. Nic dokładnie nie wiadomo – mówi

starszy sternik.

– UR to Bertold – mówi Stary. – Stary zejman. Nie żaden żółtodziób. Od niego nie tak łatwo się oderwać... Musiał wyjść w morze tydzień po nas, miał jeszcze jakiś problem z peryskopem.

Zapraszającym gestem daje mi znać, bym również usiadł na skrzyni z mapami. Oczekiwanie i napięcie ożywiły go. – Zawsze te zasrane samoloty... Teraz działają grupami myśliwskimi wraz z licznymi niszczycielami, a jeśli taka sfora kogoś zauważy... Dawniej, kiedy w tej okolicy prawie nie spotykało się samolotów... tak, to były czasy. Musieliśmy uważać tylko na wodę i wiadomo było dość dokładnie, z czym należy się liczyć.

Marynarz z centrali, który przy swoim stojącym pulpicie zajęty jest wpisami do dziennika zanurzeń okrętu, przestaje pisać.

– Zrobili wszystko, by się od nas oderwać. Ich ostatnie niszczyciele już od dawna nie służą do bezpośredniej ochrony stada frachtowców. Wychodzą teraz naprzód i w dużym odstępnie od kosztownych parowców, krążąc z największą prędkością, ubezpieczają konwój z zewnątrz, by nas zepchnąć już przy pierwszym kontakcie, na krawędzi widoczności, albo zmusić do zejścia pod wodę. A swoich „wymiataczy” puszcza daleko z przodu, przed konwojem... Nie ma już miłości wśród ludzi. Nawet udało im się przekonstruować wielkie frachtowce na lotniskowce eskortowe. Z małych lotniskowców i niszczycieli dadzą się oczywiście tworzyć grupy poszukiwawczo-uderzeniowe, które mogą nam urządzić piekło. Potrzeba im teraz tylko jeszcze lepszego treningu we współdziałaniu i już wykryty przez „aniołkę” okręt będzie obrabiany przez zaalarmowane niszczyciele do tej pory, aż cenne parowce odejdą daleko, tak że okręt nie będzie miał ani cienia możliwości, by je znowu odnaleźć. Można się potem zamęczyć na śmierć i tylko zmarnować paliwo...

Stary wygląda na całkowicie odprężonego. Robi się nawet gadatliwy: – Powinniśmy właśnie już wcześniej uderzyć całą siłą, nim przeciwnik się ocknął i zorganizował obronę. Ale gdy wybuchła wojna, mieliśmy tylko pięćdziesiąt siedem okrętów podwodnych, a z nich nie więcej niż trzydzieści pięć można było użyć na Atlantyku. To, oczywiście, nie wystarczało, by zablokować dojścia do wyspy. To było, że tak powiem, tylko próbne duszenie! I do tego ta gadanina: czy mamy postawić jedynie na okręty podwodne, czy powinniśmy również budować duże okręty? Wujkowie z Marynarki Cesarskiej nigdy nie byli tego całkiem pewni. Potrzebowali swojej dumnej floty, obojętne, czy pancernikami można jeszcze coś zdziałać, czy nie. Jesteśmy mianowicie kon-ser-wa-tyw-nym towarzystwem!

Gdy później chcę sobie rozchodzić nogi w centrali, napływa nowy sygnał: „Godzina 9.20 poszedłem w zanurzenie, by ukryć się przed lotnikiem. Godzina pod wodą.

Nieprzyjacielski konwój znowu widoczny. Kwadrat Bruno Karl. Pozycja nieprzyjaciela niedokładna. UR.”

– Mówiłem: ten nie da im tak łatwo zwiać! Starszy sterniku, zdaje się, że konwój idzie kursem równoległym?

Tym razem dowódca spędza tylko parę minut przy stole nakresowym, potem odwraca się gwałtownie i natychmiast rozkazuje: – Na kurs dwieście siedemdziesiąt stopni. Oba silniki cała naprzód!

Rozkazy zostają pokwitowane. Dzwoni telegraf maszynowy. Gwałtowne drżenie przebiega okręt, ryk silników łączy się w potężny huk, który zagłusza wszystkie dźwięki.

Oho, myślę, Stary idzie na całego! Nie czeka nawet na rozkaz z Kernévelu!

Łoskot diesli potęguje się, przechodzi w zaśpiew, potem brzmi znowu głucho i dudniąc, jakby go przytłumiono: to falowanie morza przełożone na muzykę diesli. Zduszony ton oznacza dużą falę, w której utyka dziób, śpiewny – dolinę między falami, w którą zsuwa się nasz okręt.

Nasi ludzie sprawdzają tyle razy już sprawdzone przewody. Robią to bez rozkazu, mimochodem, niejako prywatnie.

– Jeden na pomost? – pytam w górę.

– Tak jest!

Najpierw rzucam okiem na ślad torowy. Pieni się biało – potężny, gruby, połyskujący tren, który dopiero na granicy widoczności znowu nabiera koloru butelkowozielonego i rozchodzi się na poszczególne pasma, jakby mu popękały szwy. Po obu stronach białego trenu widać pasma z jasnej zieleni, w tonacji podświetlonej butelki po piwie. Nad pokładem unosi się błękitna mgiełka spalin.

Potem zwracam się ku dziobowi. Natychmiast trafia mnie w twarz bicz wody, tak gwałtownie, jak podczas sztormu. Idziemy przeciw fali, a silniki pracują na maksymalnych obrotach – o tym powinieneś pomyśleć, mój drogi!

Woda ścieka mi z nosa.

– Gratuluję – mówi drugi owu.

Teraz przymrużonymi oczami patrzę zza osłony pomostu na nasz okręt. Pchamy się naprzód, tak że dziób podrywa wysoko strzepy wody, a szerokie pasma piany gotują się po obu burtach.

Dowódca wsadził ręce w kieszenie skórzanych spodni. Jego ongiś biała, zawadiacko powyginana czapka, z oksydowanymi na zielono haftami, jest zsunięta głęboko na czoło, przymrużonymi oczami Stary bada niebo i wodę. Coraz przestrzega wachtowych: – Uważać,

dzieci, uważajcie tylko, żeby się ktoś na nas nie wkrochmalił!

Nie schodzi nawet do jedzenia.

Dopiero pełną godzinę później złazi na dół, żeby sobie obejrzeć na mapie rozwój sytuacji. Ja również znikam z pomostu.

Starszy sternik przez cały ten czas nadal pilnie rachował i kreślił.

– Aha – mówi dowódca, a potem, zwracając się do sternika: – Wygląda to całkiem nieźle, co?

Mały krzyżyk na mapie morskiej oznacza ostatnią pozycję nieprzyjaciela. Już z naszej własnej mapy możemy odczytać jego kurs i prędkość. Jeszcze jeden krzyżyk: punkt przecięcia przypuszczalnego kursu nieprzyjaciela z naszym. Nasze spojrzenia skierowują się stale na ten punkt, jak igły kompasów na północ.

Mija godzina za godziną. Przewody chłoną paliwo.

– Piją jak smoki! – mówi Dorian. Główny mechanik nie powinien tego słyszeć.

Drugi owu wraca z nowym sygnałem.

– Aha – mówi dowódca z wyraźnym oczekiwaniem w głosie. Pozwala sobie nawet przeczytać ten sygnał głośno: „Do UA. Z maksymalną prędkością skierować się na konwój meldowany przez UR – DOP.”

Dowódca rozkazuje: – Do OW: kurs trzysta czterdzieści stopni, nastąpią dalsze rozkazy. – Jak echo słyhać powtórzenie rozkazu przez sternika w kiosku.

– Walcie naprzód... Walcie prosto naprzód!

Dowódca pokazuje nam na mapie pozycję konwoju i naszą: – Jutro rano, tak koło szóstej, musimy tam być.

Bertoldowi nie wolno teraz atakować. Utrzymanie kontaktu jest ważniejsze – wykrytemu nieprzyjacielowi nie pozwolić odejść, tak długo nadawać krótkie sygnały, aż z dali Atlantyku zostaną ściągnięte inne okręty.

– To się uda – wywnętrzam się ostrożnie.

– Tylko nie chwalić dnia przed wieczorem – natychmiast fuka na mnie dowódca.

W otworze wjazdu pojawiają się zaciekawione twarze. Ku swemu wielkiemu zdziwieniu ludzie widzą, że dowódca tańczy w centrali, przestępując jak niedźwiedź z nogi na nogę.

– A jednak! – mówi Dorian. – Tak jak przeczuwałem...

Dowódca bierze mikrofon i podaje do wszystkich przedziałów: – Okręt kieruje się na konwój, z którym UR ma kontakt. Od godziny szóstej należy oczekiwać spotkania. – Stuk w głośnikach. Nic więcej.

Przez otwarte w połowie drzwi do dziobówki słyhać monotony śpiew:

*Nataszy, tej z Odessy,
Nie dadzą rady biesy,
A oczy ma jak błękit mórz,
Więc wódki nalej już!*

Dowódca zadziera głowę do góry. Łokcie wsadził między szprychy koła steru głębokości. Teraz wyciąga prawe ramię, wyjmując fajkę z ust, jej cybuch zatacza szeroki łuk, i zaczyna bez żadnych wstępów: – To coś niesamowitego, taki okręt. Są ludzie, którzy mają coś przeciwko technice. Rzekomo ma ona oteplić człowieka, niszczyć jego najlepsze siły... i takie tam bzdury.

Zamyśla się. Mija dobre dziesięć minut, nim znowu podejmie wątek: – Dla mnie nie ma jednak nic piękniejszego niż okręt podwodny... I nie jest to żadna blaga, broń Boże!

Stary głęboko wciąga powietrze, parę razy parska, jakby chciał kpić z samego siebie. Potem jednak mówi dalej: – Żaglowce są również cudowne. Na świecie nie ma w ogóle piękniejszych linii jak na statkach żaglowych! Dawniej pływałem na trzymasztowym barku. Już pierwsza reja znajdowała się dwanaście metrów nad pokładem. A do samej góry było całe pięćdziesiąt metrów. Przy złej pogodzie nikt nie wchodził chętnie aż do skajsla. A gdy potem jeden spadł z góry, uderzenie słyhać było na całym statku. Zdarzyło się to trzy razy podczas jednego rejsu. Gdy coś gruchnęło w ten określony sposób... głucho, ale jednak przenikliwie... każdy wiedział natychmiast, co się stało.

Stary znowu robi pauzę, słyhać ssanie i skwierczenie zimnej fajki.

– To był cudowny statek. Każda ładownia wielka jak kościół... nawa, po łacinie okręt... dlatego się je pewnie tak nazywa. Przeważnie mieliśmy piasek jako balast. Niektóre rzeczy były tam nieco inne niż tu... – teraz Stary uśmiecha się do siebie – choćby to, że mogliśmy sobie porządnie pochodzić!

Przez chwilę jego ręka z fajką, zaciśniętą w garści, zawisa w próżni, potem, nim ją opuścił, przesuwając pięścią czapkę na kark. Pod czapką kłębią się jego jasne, kędzierzawe włosy. Nadaje mu to wyrazu zuchwałości. – Dla mnie nie ma nic przyjemniejszego, niż słyhać tych diesli, kiedy idą całą naprzód. A są ludzie, którzy zatykają sobie uszy, gdy słyżą diesle! – Kręci głowę, jakby nie mógł się nadziwić ludziom, którzy nie lubią warkotu silników. – Są również tacy, co nie znoszą zapachu benzyny. Moja narzeczona nie cierpi zapachu skóry... Komiczne!

Nagle zaciska usta, jak chłopak, który coś wypaplał.

Nie przychodzi mi do głowy jakiegokolwiek właściwe pytanie. Siedzimy więc bez słowa i wpatrujemy się w płyty podłogi, jakby był tam jakiś interesujący tekst do przeczytania. Zjawia się wtedy główny mechanik i pyta, czy można wyłączyć na kwadrans lewy silnik. Powód: prawdopodobnie defekt przy wale korbowym.

Dowódca robi nagle taką minę, jakby skosztował cytryny: – Tak, czifie, jeśli inaczej się nie da. – Mechanik odchodzi w kierunku rufy. Już w parę chwil później huk silników słabnie. Dowódca przygryza dolną wargę.

Dopiero po otrzymaniu nowego sygnału, twarz mu się znowu rozjaśnia. „Ostatnio zaobserwowana pozycja nieprzyjaciela kwadrat Bruno Anton. UR.”

Druga wachta przygotowuje się w centrali. Pasy zabezpieczające nie są już potrzebne. Gdy duża wskazówka dochodzi do dwunastej, czterej ludzie wyłażą na górę.

– Kurs trzysta czterdzieści stopni, prawy diesel idzie całą naprzód, lewy wyłączony – melduje starszy sternik, zdając służbę.

Zluzowana wachta schodzi z pomostu. Twarze ludzi mają barwę gotowanych homarów. Starszy sternik, który jako ostatni pojawia się w centrali, staje na baczność: – Melduję się po wachcie. Małe zachmurzenie od północnego zachodu. Wiatr północnozachodni do zachodniego z tendencją do skręcania w prawo. Wskutek dużej prędkości zalewa pokład.

Jak na potwierdzenie tego woda chlapie z góry na płyty podłogi.

– Dziękuję – dowódca kiwa głową. Wszyscy wachtowi salutują, następnie podają sobie ręce. Woda ścieka z ich gumowych ubrań na całą centralę. Jeden ze starej wachty ryzykuje pytanie: – Jak daleko są tamte łajby?

– Jeszcze cały jeden promień! – odpowiada ten z centrali.

Przechodzi stołowy. Widać, że go rozpiera. Tańczy, jakby chciał naśladować starszego kelnera. To cud, że jeszcze nie wcisnął sobie serwetki pod ramię.

Po stołowym pojawia się kuk w drodze do dziobówki. Ma na pokaz zawodowy uśmiezek właściciela knajpy, który wita swych gości i pyta o ich życzenia.

– Zupełny małpi teatr dzisiaj – mówi Stary i nie dostrzega, że on sam gra w tym główną rolę, kiedy tak siedzi w swoim kąciku i rzuca promienne spojrzenia, jak zadowolony że swych dzieci ojciec.

Mam także wrażenie, jakby rozluźniła się jakaś pętla, jakbyśmy mogli teraz swobodnie oddychać. To już nie są patrole poszukiwawcze ani krążenie w tym samym rejonie morskim: wreszcie określony kurs, największa prędkość w kierunku przeciwnika. Jedynej, który nie

znajduje przyjemności w huku diesli i syczeniu fal, to główny mechanik: – Mnóstwo mojego paliwa idzie do diabła – mruczy i robi do tego zgnębiałą minę. Ale również i w jego głosie słyszeć zadowolenie, gdy melduje, że lewy diesel jest znowu sprawny.

– Pięknie, czifie, już usłyszeliśmy! – mówi Stary. – Tylko teraz wal pan pełnym gazem.

Przemieszczam się w kierunku dziobowego. Przeszedłszy właz, już widzę, że panuje tutaj „podniosły nastrój”. Za mną zjawia się kuk z wielkim dzbanem lemoniady. Wolna wachta oblega go jak horda umierających z pragnienia.

– Miejmy nadzieję, że tym razem się nam uda – mówi mały Benjamin, ledwie cokolwiek wypił.

– Ja myślę! – powiada chłodno Schwalle.

– W każdym razie mam tej wędrowki po dziurki w nosie!

– Ale bohater! – szydzi ktoś z półmroku.

– Ależ malutki, nie pozwól demolować twojego morale, jesteś w porządku.

– Co ty trujesz? – pyta ten sam głos z półmroku.

– Nie pasuje ci? Zawsze te negatywne typy! Poza tym nam już lepiej nie może się powodzić!

– Tak? – pyta ten sam głos.

– Weźcie, na przykład, mnie – mówi Ario. – W domu musze, pół godziny zapychać do roboty, a tutaj dają mi ją prawie przy samej koi... I... i w domu każdy pętał mówi do mnie „ty”, a tutaj nawet panowie oficerowie zwracają się przez „pan”. No, czy to nic nie znaczy? – Ario przesuwając swój wzrok dokoła niby reflektor, oczekując oklasków, i powtarza: – To nic nie znaczy?

Przez chwilę słyszeć tylko senne rzępolenie muzyki radiowej, gdy szum morza nieco cichnie. Nagle rozmowa kieruje się na meldowany konwój: – Jeśli Stary chce coś osiągnąć, musi już dzisiejszej nocy do nich dojść – stwierdza torpedysta z ważną miną.

– A to dlaczego? – pyta ten z pomostu.

– Bo jutro jest niedziela, ty karaluchu! – grzmi mały Benjamin z boku. – W Biblii stoi napisane: powinienesz dzień święty święcić i nie rypać siostry twojej.

Wydaje mi się, jakbym znalazł się wśród samych aktorów. Nasz morski amatorski teatr wystawia sztukę o męstwie, zimnej krwi i bohaterstwie... I w ten sposób wszyscy zagłuszają tylko swój strach.

Podczas nocy fala się wzmaga. Czuję to wyraźnie w półśnie.

Zaraz po piątej wyłażę na pomost. Wachcę ma drugi owu. Dowódca również jest na

górze. Przedświt. Okręt walczy z jeszcze ciemnymi falami. Ich grzebienie dymią. Pył wodny wypełnia również doliny między falami. Najwyższa czujność: jeśli konwój w nocy poszedł zygzakiem w naszą stronę, nasz okręt w każdej chwili może przeciąć jego kurs. Pędzimy na pogrzeb? – pytam samego siebie. Ach, bzdury! Wiem przecież: to nie piknik... Na pewno nie... Stary to wyjaśniał, konwoje są podwójnie i potrójnie ubezpieczone. Pilnowane z powietrza. A jak wyglądali dowódcy, którzy mieli za sobą ataki na konwój, to również wiem... Jakoś tam będzie! Czy mam wyć i szczekać zębami? Owszem, odczuwam jakieś wariackie napięcie, jak lekki rausz albo gorączka. Staremu się uda! Przecież każdy wie, że Stary jest rozsądnym człowiekiem... To nie żaden zwariowany huzar, nie cierpi na przerost ambicji. To śmieszne: najpierw ta włóczęga do zdechu, a teraz nagle wszystko na jedną kartę.

Słońce ukazuje się za rufą jak mleczna szybka. Z przodu jednak niebo zasłaniają czarne ściany chmur. Bardzo powoli oddzielają się od horyzontu, jakby podciągano je w górę na linie: dekoracje, które już nie będą potrzebne. Mimo to jest mglisto.

– Cholernie nieprzejrzysta pogoda – złości się drugi oficer.

Wkrótce nowe ciemne chmury szorują tuż nad wodą. Przekształcają się w ciemną kurtynę. Dokładnie z przodu kurtyna zaczyna się strzępić. Strzępy są dokładnie czarnoszare, jak same chmury, dotykają wody. Widnokrąg znika całkowicie.

Parę kresek w stronę rufy inna chmura nie może już utrzymać swego ładunku deszczu. Nie trwa długo i zwisające w dół frędzle obu chmur zrastają się.

Już spada kilka kropli. Stukają po zjudwestce i kurtce sztormowej jak dzioby ptaków. Prąd deszczu rozciąga się jeszcze dalej na boki. Coraz większe odcinki widnokregu znikają w oparze. Wygląda to, jakby wokół okrętu rozciągano ciemną sieć. Już zaciska się za nami. Nie ma widzialności.

W napięciu badamy szare zasłony milimetr po milimetrze, szukając śladów nieprzyjaciela. Wypatruję całą duszą. W każdej z szarych ścian przed nami może być nieprzyjaciel, z pędzących chmur w każdej chwili mogą wyskoczyć samoloty.

Bryzgi wody, przelatujące za osłonę pomostu, mają słony smak.

Mój przeciwdeszczowy kaptur jest dachem. Deszcz bębni po nim ciężko. Krótkie uderzenia kropli czuję na skórze głowy. Z kryzy leje się tuż koło oczu jak z nieszczelnej rynny. W fałdach naszych błękitnozielonych, błyszczących od wilgoci ubrań sztormowych deszcz spływa strumieniami. Stoimy jak kamienne bloki, na które wylewa się niebo.

Na falach widać teraz wszędzie pęcherze i zmarszczki. Ich pienne czuby zniknęły. Boki są tępe jak rumowisko skał polodowcowych. Widzę wyraźnie, jak deszcz przygniata fale, tak jakby przeszedł przez nie ciężki walec. Tylko nasz dziób wyrywa im białoszarą

pianę. Tarczy słońca już nie widać. Całe niebo przybrało się w ponurą deszczową szarzyznę.

Musi już być koło siódmej. Koło szóstej mieliśmy się spotkać z konwojem.

Słyszę, jak Dorian wykrzykuje: – Ta pogoda jest pod zdechłym psem! Mam już tego po dziurki w nosie! – Drugi oficer wzdryga się i burczy. – Uważajcie tylko, chłopcy, uważajcie!

Mimo ręcznika, który zawinąłem sobie zamiast szala na szyi, woda ścieka mi już po brzuchu.

Gdy schodzę w dół, mat z centrali rzuca mi wyczekujące spojrzenie. Ku jego zdziwieniu wzdycham tylko z rezygnacją, potem przebieram się całkowicie i zanoszę mokre rzeczy do siłowni elektrycznej.

„Wiatr północno-zachodni 5, stan morza 4, niebo zachmurzone, zła widoczność” – brzmi tekst przygotowany do dziennika działań bojowych. Okręt zatacza się coraz bardziej ciężko.

Ostatni meldunek o kontakcie mieliśmy przed trzema godzinami: „Nieprzyjaciel zmienia kurs na sto pięćdziesiąt stopni. Posuwa się szerokim frontem. Cztery kolumny. Około trzydziestu statków”. Od tej pory nie było nowych wiadomości. Diesle idą jeszcze na maksymalnych obrotach.

Słyszę, jak morze wstrzeliwuje salwę za salwą przeciw naszemu kioskowi. Wygląda tak, jakbyśmy znaleźli się w zasięgu wysokiej martwej fali, którą wiatr teraz poruszył na nowo.

O godzinie ósmej następuje zmiana wachty.

Isenberg pyta berlińczyka: – Jak tam wygląda?

– Przestało padać! Teraz leje kubłami!

– Ach, zostaw, tę głupią gadkę... Co się dzieje?

– Odrąbiono... Wszystko odwołane z powodu mgły!

Zjawia się Ario i szepcze do Turba: – Ciągłe to samo!

Stary, zaczyna nagle kląć: – Ta cholerna świńska pogoda! Zawsze, jak nie jest potrzebna, ta świńska pogoda! Może się zdarzyć, że przejdziemy o parę mil koło tamtych braciszków! Przeklęta pralnia! – A potem spokojnie: – Żeby tylko Bertold się ruszył!

Choć oczekujemy w napięciu, nowy sygnał nie nadchodzi.

Bez nowego meldunku kontaktowego jesteśmy na lodzie, gdyż nasze obliczenia opierają się na bardzo kruchej podstawie. Astronomiczne określenie pozycji w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin nie było u Bertolda możliwe: również w jego rejonie niebo z pewnością dzień i noc zakrywały chmury. A więc i on podawał pozycję zliczoną.. Nawet jeśli

starszy sternik na okręcie Bertolda rachował bardzo precyzyjnie, mógł tylko w przybliżeniu ocenić dryf.

Dowództwo również milczy. Czy Bertolda spędzono pod wodę? Czy zaskoczył go niszczyciel?

Od innych okrętów, skierowanych przeciwko konwojowi, nie możemy oczekiwać meldunków o kontakcie wzrokowym. Wszystkie były o wiele dalej niż my. Że od nich nie mamy słowa, to w porządku... Ale nasz kontaktowy Bertold powinien się odezwać.

– Trafił na tę samą łaźnię parową – mówi Stary.

Silniki dudnią równomiernie. Mechanik nie ma teraz wiele roboty. – Przy takiej fali tamci koledzy potłuką się na śmierć – mówi.

Potrzebuję dłuższej chwili, by się zorientować, że współczucie czifa odnosi się do załóg nieprzyjacielskich okrętów. Czif dodaje jeszcze: – Można współczuć tym na niszczycielach... Płynąć na takim żelaznym pudle...

Widząc moją zdumioną minę, mówi: – To przecież prawda. Nasze niszczyciele nie wychodzą teraz, gdy tylko zerwie się choćby najmniejszy wietrzyk.

Centrala zaludnia się coraz bardziej. Zjawił się tu chyba każdy, kto ma choćby formalne uzasadnienie do tego. Poza dowódcą, starszym sternikiem i matem z dwoma marynarzami widzę również pierwszego oficera, drugiego mechanika i Doriana.

– Koniec! Niech to diabli! – mówi Dorian tak cicho, że tylko ja go słyszę. Wszyscy inni milczą, zupełnie jak porażeni nagłą niemocą. Nagle Stary podnosi głowę i rozkazuje: – Przygotować się do zanurzenia!

Wiem, co dowódca ma na myśli: podsłuchiwać. Woda w głębinie przenosi hałas śrub i silników nieprzyjacielskich okrętów o wiele dalej, niż teraz sięga nasza widzialność.

Następuje zwykła seria komend i manewrów.

Patrzę na głębokościomierz. Wskazówka zaczyna się kręcić i nagle za jednym zamachem milknie huk i szum fal.

Dowódca każe zejść na trzydzieści metrów i przykuca w przejściu koło przedziału radiowego. Twarz hydroakustyka zostaje oświetlona od dołu i jest całkiem bez wyrazu. Spojrzenie puste. Włożywszy słuchawki, próbuje wśród wielu szumów głębiny odnaleźć ślady nieprzyjaciela.

Dowódca pyta co chwila: – Nie ma echa? – i znowu niecierpliwie i z napięciem: – Całkiem nic?

Przez chwilę przyciska sobie słuchawkę do ucha, a potem podaje ją mnie. Nie słyszę nic poza brzękliwym szumem, podobnym do tego, jaki słychać w dużych muszlach, gdy się je

przyłoży do ucha.

Już od godziny okręt idzie pod wodą. Nie ma echa. – No tak – mruży główny mechanik i nerwowo drapie się po głowie.

– Zdrada! – mówi ktoś półgłosem.

Dowódca chce się właśnie wyprostować i dać mechanikowi komendę do wynurzenia, gdy jego wzrok pada na twarz hydroakustyka. Ten zamknął oczy, zacisnął usta, twarz mu się ściągnęła, jakby go coś bolało. Powoli obraca gałkę swego aparatu w lewo i prawo. Wreszcie przesuwa pokrętło tylko o centymetr: wyłowił szum! Z trudem kryjąc zdenerwowanie w głosie, melduje dowódcy: – Namiar sześćdziesiąt stopni... bardzo słabe!

Dowódca wyprostowuje się gwałtownie i znowu przyciska słuchawkę do ucha. Na jego twarzy widać napięcie.

Nagle hydroakustyk lekko się wzdryga, a dowódca wciąga usta między zęby:

– Bomby głębinowe! Kogoś rąbią. Jaki namiar?

– Siedemdziesiąt stopni... Przesuwa się do tyłu... Daleko! – odpowiada hydroakustyk.

Dowódca wychodzi przez właz do centrali. Szorstko rzuca komendę: – Kurs pięćdziesiąt stopni! Przygotować się do wynurzenia! – A potem mówi do starszego sternika: – Niech pan zapisze w dzienniku: „Mimo złej pogody decyduję się operować na powierzchni przeciw konwojowi”.

Pogoda stała się jeszcze gorsza. Niskie deszczowe szkwały zaciemniają dokoła niebo. Cała jasność dnia zniknęła. Wygląda tak, jakby już był wieczór. Bryzgi wody powlekają morski krajobraz bladą mgiełką.

Okręt zatacza się ciężko. Morze atakuje ukośnie od tyłu. Przez otwarty właz kiosku wali w dół woda. Jednak właz musi być teraz otwarty, bowiem nieprzyjaciel w każdej chwili może nas zaskoczyć.

Śruby szaleją, diesle żyłuje się do ostatnich granic. Dowódca nie schodzi już z pomostu. Spod głęboko wciągniętego i błyszczącego od wilgoci kaptura zjudwestki obserwuje wodę. Stoi bez ruchu i powoli obraca głowę w lewo i prawo.

Po kwadransie schodzę, by przyrzeć się sytuacji na mapie. Starszy sternik liczy pilnie. Nie podnosząc głowy znad stołu nakresowego, mówi: – Tu jesteśmy... a tu należy spodziewać się konwoju. Ale prawdopodobnie znowu zrobili skręt.

Moje bezsensowne wystawanie jest krępujące. Trzymając już lewą dłoń na aluminiowej drabince, mówię do siebie: to wchodzenie i schodzenie wygląda, jakbym się

denerwował. Teraz muszę być całkiem spokojny i niedbały. Przecież i tak we właściwym czasie powiedzą mi, co się dzieje. Która godzina? Co, już minęło południe? A więc teraz zachowywać się tak, jakby to wszystko nie mogło nami wstrząsnąć i precz z mokrymi ciuchami.

W mesie próbuję czytać książkę, aż wreszcie stołowy przynosi talerze i filiżanki do obiadu. Dowódca się nie zjawia.

Ledwie usiedliśmy przy stole – czif, drugi mechanik i ja – gdy w centrali rozlega się jakiś ryk. Czif przyjmuje natychmiast postawę pełną oczekiwania. Z pomostu nadchodzi meldunek: – Top masztu z lewej przed nami!

Nim zacząłem myśleć, jestem już w przejściu do centrali. Konwój!

Wychodzę na górę przed głównym mechanikiem. Deszcz leje jeszcze gwałtowniej. Mój pulower natychmiast robi się mokry od deszczu i chlustającej wody. W pośpiechu zapomniałem wziąć z wieszaka kurtkę sztormową.

Słyszę dowódcę: – Ster prawo, na kurs sto osiemdziesiąt!

Wachtowy bez wezwania podaje mi lornetkę. Patrzę w tym samym kierunku co dowódca. W okularach pojawia się tylko szarość deszczu. Nic, tylko mętna szarzyzna! Wstrzymuję oddech, zmuszam się do spokoju, wyszukuję prawy kraniec zasłony deszczu, a potem prowadzę szkła bardzo powoli z prawej na lewą. Nagle wykrywam w pasmach tej szarości cienką jak włos kreskę, która natychmiast znika. Czy to złudzenie? Czy tylko wmawiam sobie tę kreskę? Oddycham głęboko, rozluźniam stawy kolan, sprężynując na nich lekko, szkła podtrzymuję tylko czubkami palców. Okręt skręca pode mną. Nie od razu odnajduję kierunek, orientuję się według dowódcy. Kreska zjawia się znowu!

Drży i tańczy w szklach wte i wewte. Maszt! Bez wątpienia. Ale: maszt bez smugi dymu koło niego? Tylko pojedynczy, cienki jak włos maszt? Chociaż wytężam oczy, nie znajduję nic poza masztem, który jakby powoli coraz bardziej wysuwał się nad horyzontem.

Wiem, że każdy parowiec ma smugę dymu, która go zdradza na długo przed tym, nim jego maszty wyjdą z za horyzontu. A więc to nie może być parowiec.

Do wszystkich diabłów... Gdzie ta kreska? Już ją mam. Można ją teraz zobaczyć gołym okiem. Odsuwam szkła i patrzę – jest!

Dowódca przygryza wargi. Znowu przykładają szkła do oczu. Burczy przez zęby: – Zastrany niszczyciel!

Mija minuta. Moje spojrzenie wbija się w cienką kreskę nad horyzontem. Ze zdenerwowania serce podchodzi mi do gardła.

Teraz nie ma już wątpliwości: maszt wynurza się coraz bardziej, a więc niszczyciel

idzie prosto na nas. Na naszych powolnych silnikach nie mamy możliwości ucieczki na powierzchnię.

– Musieli nas zobaczyć! Niech to diabli! – klnie dowódca i tylko nieco podniesionym głosem zarządza alarm.

Jednym skokiem znajduję się w luku kiosku. Moje buty z hukiem trzaskają o płyty podłogi. Dowódca schodzi ostatni. Uszczelnia luk. Nim skończył to robić, rzuca komendę: – Napełniać!

Dowódca pozostaje w kiosku. Spokojnym głosem woła z góry do centrali: – Wysterować na peryskopową! – Mechanik wstrzymuje zanurzenie. Wskazówka głębokościomierza staje, potem powoli zaczyna się cofać po skali. Dufte w mokrym ubraniu i oddychając ciężko, stoi koło mnie. Zeitler i Böckstiegel przycupnęli za guziczkami steru głębokości. Wpatruję się w kolumnkę wody w papenbergu. Pierwszy oficer, opuściwszy głowę, pozwala ściekać deszczówce z kryzy zjudwestki.

Nikt nie mówi słowa. Tylko całkiem cicho, jakby przytłumiony przez wyściełane drzwi, słychać szum elektrycznych silników od rufy.

Wreszcie tę ciszę przerywa głos dowódcy z góry: – Pytam: głębokość?

– Dwadzieścia metrów! – melduje główny mechanik.

Kolumnka wody w papenbergu opada powoli. Okręt podnosi się. Zaraz wyjdzie okular peryskopu.

Ponieważ okręt nie leży jeszcze na równej stępce, mechanik każe ze zbiornika dziobowego trzymować na rufę. Powoli okręt układa się horyzontalnie. Nie leży jednak spokojnie. Fale rzucają nim we wszystkie strony. Wsysają, ciągną, przesuwają. Obserwacja przez peryskop będzie diabelnie trudna.

Nasłuchuję, czekając na głos dowódcy, gdy melduje się hydroakustyk: – Na trawersie z prawej niszczyciel!

Podaję meldunek na górę.

– Zatwierdzam – odpowiada dowódca. Potem równie sucho: – Na stanowiska!

Podśluchowiec wychyla się górną częścią ciała ze swej przegrody. Oczy ma rozszerzone, bez wyrazu. Przy oświetleniu od przodu jego twarz jest płaską maską, nos – tylko dwiema dziurkami.

Oprócz dowódcy jest on jedynym człowiekiem, którego zmysły sięgają ze stalowej rury na zewnątrz. Dowódca widzi nieprzyjaciela, ten marynarz go słyszy. My wszyscy jesteśmy ślepi i głusi. Teraz hydroakustyk melduje: – Echo wzmacnia się... przesuwaj lekko ku rufie!

Głos dowódcy brzmi jakby stłumiony: – Woda do wyrzutni od pierwszej do czwartej!

Myślę sobie: Stary chce załatwić niszczyciela. Chce zarobić czerwony proporczyk. Jeszcze niszczyciela brakuje mu do kolekcji. Jak po rozkazie alarmu kazał przesterować na peryskopową, byłem już tego pewny.

Z góry znowu głos dowódcy: – Do centrali... główny mechanik... dokładnie utrzymywać głębokość!

W jaki sposób, mówię do siebie, przy tak wzburzonym morzu? Wątle mięśnie na twarzy mechanika napinają się i rozluźniają w szybkim tempie. Wygląda, jakby żuł gumę. Biada, jeśli okręt wyjdzie za wysoko, przebije powierzchnię i zdradzi nas nieprzyjacielowi!

Dowódca wepchnął się w kąt między studzienką peryskopu i grodzią kiosku. Siedzi na siodełku, przyciskając głowę do gumowych muszelek, a uda – do potężnego trzonu. Stopy ma na pedałach, za pomocą których może bezszelestnie i szybko obracać tę potężną kolumnę wraz ze swoim siedzeniem. Prawą rękę trzyma na dźwigni, która włącza silnik do wysuwania i opuszczania rury peryskopu.

Teraz silnik brzęczy: dowódca wciąga kawałek rury. Głowicę peryskopu trzyma najniżej, jak się tylko da, nad powierzchnią wody.

Mechanik stoi bez ruchu za dwoma ludźmi z wachty pokładowej, którzy obsługują ster głębokości. Oczy wlepił w papenberg, gdzie kolumnienka wody powolutku porusza się w górę i w dół. Każde jej podniesienie się lub opuszczenie odpowiada podnoszeniu się lub opadaniu okrętu.

Nikt nie mówi głośno. Brzęczenie silnika peryskopu dobiega jak przez gęsty filtr, silnik rusza, staje, potem znowu rozbrzmiewa brzęczenie. Dowódca wysuwa peryskop tylko na krótkie mgnienia oka i natychmiast zanurza go w wodzie. A więc niszczyciel musi być bardzo blisko.

– Woda do piątej wyrzutni! – słychać szept z góry.

Komenda zostaje po cichu przekazana do rufowej wyrzutni torpedowej. Znajdujemy się w samym środku potyczki.

Siadam we włązie. Z tyłu nadchodzi szeptany meldunek: – Wyrzutnia piąta przygotowana do strzału podwodnego z wyjątkiem pokrywy wylotowej.

Wszystkie wyrzutnie są już wypełnione wodą. Wszystkie pięć torped już pływa. Teraz potrzebne jest tylko otwarcie pokryw i wpuszczenie sprężonego powietrza, by torpedy wysłać w drogę. Dowódca chce tylko znać położenie steru.

Naraz spostrzegam, że mam jeszcze w ustach kęs chleba. Teraz jest to chlebowa papka z kawałkami suszonej kiełbasy. Smakuje kwaśno.

Odnoszę wrażenie, jakbym już gdzieś przeżywał podobną sytuację. Migoczą obrazy, nasuwają się na siebie, przenikają, nakładają nawzajem. Wygląda to tak, jakby jakimś skomplikowanym systemem wrażenia z teraźniejszości były kierowane przez centrum pamięciowe i stamtąd przenikały do świadomości jako wspomnienie.

Stary zwariował – atakować niszczyciela przy takiej fali!

Ale fala ma również dobre strony. Na przykład nasz peryskop trudno rozpoznać. Smugi piany, która by go mogła zdradzić, trudno rozróżnić w tym chaosie. Krople skapujące do zęzy słychać ostro, jakby wzmocnione przez głośnik. Szczęście, że dotychczas wszystko grało: nie było trudności z wysterowaniem. Czif był dobrze przygotowany, wszystko dokładnie wyliczył.

Gdyby Stary zaczął strzelać, główny mechanik musi zaraz wpuszczać wodę, by wyrównać ciężar torped. Inaczej okręt wyskoczyłby w górę. Torpeda waży półtorej tony, a więc potrzeba tysiąc pięćset litrów wody na każdą torpedę. Jeśli przemnożyć to przez liczbę wystrzelonych torped, uzyska się całkiem duży ciężar.

Dowódca milczy.

Trafić niszczyciela bardzo trudno. Małe zanurzenie. Zbyt szybko zmienia kurs. Ale gdy się go już trafi, znika natychmiast, jak zdmuchnięty. Wybuch torpedy... gejzer wody i kawałków żelaza... i nie ma już nic.

Nagle rozlega się mocny głos dowódcy: – Otworzyć pokrywy wylotowe. Włączyć wyrzutnię jeden i dwa. Kurs zbliżenia piętnaście. Dziób w lewo. Namiar sześćdziesiąt. Odległość tysiąc!

Drugi oficer nastawia te wartości na przeliczniku. Z dziobowego meldują, że pokrywy są otwarte. Pierwszy owu podaje cicho, ale dobitnie na górę: – Wyrzutnia jeden i dwa gotowe do strzału podwodnego!

Teraz dowódca trzyma rękę na dźwigni odpalenia i czeka, aż nieprzyjaciel wejdzie w krzyż celownika.

Widzieć! Żeby tylko móc widzieć!

Cisza daje pole do popisu wyobraźni. Pojawiają się katastroficzne obrazy: niszczyciel, który skręca w położenie zerowe. Dziób niszczyciela z pieniącą się falą odkosów – z białą kością w pysku – rośnie i uderza taranem. Szeroko rozwarte oczy, ostra szczelina pęknięcia, rozdarte stalowe blachy, zielone potoki wody, które jak z hydrantu wlewają się przez pęknięcie.

Z góry rozbrzmiewa głos dowódcy, ostry jak cięcia bicia: – Zamknąć pokrywy. Zejść na sześćdziesiąt metrów. Szybko na głębie!

W ułamek sekundy później czif wydaje komendę: – Oba minus... oba cała naprzód! Wszyscy ludzie naprzód!

Mieszanina donośnych głosów. Wzdrygam się, uchylam na bok, nogi z trudem unoszą ciało. Już pierwszy marynarz przeciska się przez tylny właz, potyka, podrywa się znowu i przygarbiony przebiega koło przedziału podsłuchu.

Szeroko rozwarte, pytające oczy kierują się na mnie. Zaczyna się wariacka ślizgawka, tupotanie, łomoty, obijanie się. Dwie butelki lemoniady wytaczają się z mesy P, uderzają o ścianę centrali i pękają z brzękiem.

Oba stery głębokości leżą mocno w dół. Okręt ma już duże przegłębienie przednie, ale ciągle jeszcze przybiegają ludzie z rufy. Zsuwają się przez ukośnie pochyloną centralę jak na dziecięcej zjeżdżalni. Jeden pada jak długi i miota straszliwymi przekleństwami.

Na rufie pozostała tylko obsługa siłowni. Podłoga usuwa mi się spod nóg. Na szczęście znajduję oparcie na podstawie celownika przeciwlotniczego. Wiszące kielbasy odstają daleko od ściany. Z góry, poprzez tupot butów i łomoty, słychać głos dowódcy: – Zaraz polecą bomby głębinowe! – Jego głos brzmi rzeczowo, jakby chodziło o mało istotną informację.

Ciężko złazi w dół – akcentuje tę powolność, jakby na ćwiczeniach. Przytrzymując się obu rękami, trawersuje skos podłogi i przysiada na skrzyni. Prawą ręką chwyta się rury.

Główny mechanik powoli wyrównuje okręt i komenderuje: – Na stanowiska! – Ludzie, którzy biegli na dziób, teraz wspinają się po pochyłości.

Kielbasy zachowują się jak wahadła: nadal mamy jeszcze dobre trzydzieści stopni przegłębienia na dziób.

Rabaum!... Rum... Rum!

Trzy ostre uderzenia, jakby ostrzem topora, wstrząsają mną. Na pół ogłuszony słyszę potężny szum. Co to jest? Strach pazurami chwyta mnie za serce. Co tak szumi? Wreszcie pojmuje: jest to woda, która wraca w leje wyrwane wybuchami.

Znowu dwie potężne detonacje.

Mat z centrali wciągnął głowę w ramiona. Nowy marynarz, badacz Pisma, zatacza się i chwyta stołu nakresowego.

Jeszcze jeden wybuch, potężniejszy niż poprzednie.

Koniec! Ciemność!

– Awaria oświetlenia zastępczego! – rozlega się krzyk.

Rozkazy głównego mechanika słychać jak z wielkiej dali. Stożki światła latarek wyrrywają z ciemności białe plamy. Ktoś woła o bezpieczniki. Dowódcy poszczególnych zespołów podają swe meldunki przez rury głosowe: – Dziobowy w porządku! Siłownia

elektryczna w porządku! Siłownia diesli w porządku!

– Nie ma przecieków! – mówi starszy sternik. Jego głos brzmi przy tym tak rzeczowo, jak głos dowódcy.

Nie trwa długo i następują dwie potężne podwójne eksplozje, od których tańczą płyty podłogi.

– Wypompować wyrzutnię torpedową jeden! – Pompa rusza z ostrym szumem. Gdy tylko przebrzmi echo detonacji, zostanie zaraz zatrzymana. Inaczej nieprzyjaciel mógłby ją namierzyć swymi aparatami podsłuchowymi.

– Podnieść dziób – rozkazuje czif sternikowi. – Okręt wyrównany – melduje dowódcy.

– Zaraz będzie dalsza porcja – mówi Stary. – Ci goście rzeczywiście widzieli nasz peryskop. Prawie nie do wiary. Przy takiej fali!

Dowódca ogląda się. Na jego twarzy nie widać śladu przerażenia. W jego głosie słyhać nawet odcień szyderstwa: – Teraz zadziałają psychologicznie, proszę panów.

Mija dziesięć minut i nic się nie dzieje. Lecz nagle detonacja wstrząsa okrętem. Potem jeden wybuch za drugim. Okręt dygocze i jęczy.

– Piętnaście! – liczy starszy sternik. – Szesnaście... siedemnaście... osiemnaście... dziewiętnaście!

Czif wpatruje się we wskazówkę głębokościomierza, która porusza się szybko po każdym wybuchu. Oczy ma wielkie i ciemne. Dowódca opuścił powieki, by odciąć się od otoczenia i skoncentrować na liczeniu: kurs własny, kurs przeciwnika, kurs uchylania się. Dowódca musi reagować w ciągu sekundy. Z nas wszystkich jest jedynym, który walczy. Od prawidłowości jego komend zależy nasze życie.

– Ster lewo na burt!

– Ster leży lewo!

– Na kurs zero!

Dowódca liczy bez przerwy. Zasadnicze czynniki jego rachunku zmieniają się z każdym meldunkiem. Według echa śrub i kierunku najścia niszczyciela określa kurs uchyleń. Teraz nie ma już bezpośrednich ustaleń zmysłowych, musi prowadzić okręt jak pilot w nocnym locie, podejmować decyzje według wskazówek, jakich mu dostarczają przyrządy.

Z zamkniętymi powiekami widzę wyraźnie, jak czarnoszare beczki, wylatujące z wyrzutni, ciężko koziołkują w powietrzu, wpadają z pluskiem w wodę, wlokąc za sobą perliste smugi, dążą na głębiny i wreszcie wybuchają w czerni. Żarzące się magnezjowe kule, płomienne, ogniste słońca!

Woda przenosi ciśnienie o wiele silniej niż powietrze. Gdy gwałtowna fala ciśnienia

przechodzi przez okręt, rozrywa go w spojeniach. By rozwalić zanurzony okręt podwodny, bomba nie musi w niego uderzyć. Wystarczy, by wybuchła tylko w zasięgu tak zwanego promienia rażenia. Lekkie bomby głębinowe, zrzucone z samolotów, mają sześćdziesiąt kilogramów. Bomby niszczycieli ważą około dwustu. Promień rażenia na stu metrach głębokości wynosi od osiemdziesięciu do stu metrów. Czego się nauczyłem, to wiem. Mam coś w rodzaju zadośćuczynienia, że nawet teraz mogę się posłużyć swoją wiedzą.

Na chwilę zapada cisza. Natężam słuch, jak tylko mogę: ani szumu śrub, ani plusku spadających bomb. Tylko delikatny pomruk naszych silników elektrycznych. Wstrzymuję oddech. Potem wygląda na to, że dowódca przypomniał sobie o załodze. Nie ruszając się, spogląda na nas i mówi po cichu: – Widziałem ich dokładnie. Stali na pomoście i patrzyli prosto na peryskop. Na samej górze było trzech ludzi. To korweta!

Dowódca nachyla się i szepcze przez właz do hydroakustyka: – Uważać, czy korweta odchodzi! – Nadal pochylony, pyta po minucie: – Głośniej czy ciszej?

Hydroakustyk odpowiada natychmiast: – Bez zmian. – To Herrmann. Twarz jak maska, bez barwy. Oczy i usta stanowią tylko wąskie kreski. Gdy podnosi głowę, dwa ciemne punkty tworzą jego nos. Stary każe zejść głębiej.

Nasz kadłub sztywny wytrzymuje bardzo dużo. Ale wszystkie przekłete otwory są naszymi piętami achillesowymi, tak łatwo nas zranić. A jest ich dużo: przewody do szasowania zbiorników, przewody głównego wentylatora w obudowie kiosku, przewody doprowadzające powietrze do diesla, kłapy wydechowe obu diesli, przewody do wody morskiej chłodzącej diesle, przewód kolumny steru... No, mówię do siebie, a łożyska wałów śrubowych obu silników? A to prawdopodobnie jeszcze nie wszystko!

Najniebezpieczniejsze dla okrętu są wybuchy bomb ukośnie pod stępką, ponieważ w dolnej części jest najwięcej otworów i przewodów zewnętrznych. Na dużych głębokościach promień rażenia jest mniejszy; ciśnienie wody, które na głębi jest bardziej dla nas groźne, powoduje bowiem duże obciążenie spoin, ogranicza jednocześnie działanie bomb do czterdziestu – pięćdziesięciu metrów.

Nagle jakby ktoś sypnął na okręt garstką żwiru.

– Asdic! – słyszę jakiś głos z tyłu centrali. To ostro dźwięczące słowo zapala się nagle jakby jaskrawo świecącymi wersalikami w mojej głowie: ASDIC.

Druga garść żwiru... trzecia!

Po plecach przebiega mi dreszcz: Allied Submarine Detection Investigation Committee, urządzenie ultradźwiękowe!

To wiązka ultradźwięków, uderzająca o nasz pokład, powoduje ten brzękliwy,

ćwierkający ton. W absolutnej ciszy nabiera on wymiarów akustycznych syreny okrętowej. Przerwy między impulsami: około trzydziestu sekund.

Chciałbym ryknąć: wyłączyć! To ćwierkanie piłuje po moich nerwach. Nikt już się nie waży podnieść głowy albo sapnąć. Przy tym asdic znajdzie nas również wtedy, gdy nikt nawet nie westchnie. Na asdic milczenie nic nie pomaga. Również wyłączenie silników elektrycznych. Normalne aparaty podsłuchowe to prymityw w porównaniu z asdikiem. Asdic nie zależy od szumów, on reaguje na naszą masę. Głębia nie daje nam już żadnej osłony.

Słucham w napięciu. Drżą mi dłonie. Cieszę się, że nie muszę stać na nogach, tylko mogłem przykucnąć we włazie. Próbuję różnych funkcji ciała, które nie wymagają poruszania kończynami: przetykania, zamykania powiek, ściskania zębów, napinania mięśni twarzy, ryjek w lewo, ryjek w prawo, przecisnąć ślinę między zębami.

Hydroakustyk szepcze: – Zbliża się!

Dowódca puszcza studzienkę peryskopu i balansuje koło mnie na czubkach palców: – Jaki zamiar?

– Zamiar dwieście dziewięćdziesiąt pięć.

Cztery detonacje w krótkich odstępach. Ledwie szum i bulgotanie fali detonacyjnej się skończyły, dowódca mówi półgłosem: – Był pięknie pomalowany, dosyć stary okręt, mocno wystająca nadbudówka na dziobie, nieco kanciasty!

Mocne uderzenie od stóp wstrząsa mną. Płyty podłogowe podskakują.

– Dwadzieścia siedem, dwadzieścia osiem – liczy starszy sternik i próbuje naśladować Starego akcentowaną niedbałością tonu.

Kałuża przelewa się kawałek po płytach podłogi.

– Do ciężkiej cholery, spokój!

Teraz wygląda to tak, jakby ktoś potrząsnął żwirem w puszcze raz w tę, raz w tamtą stronę, a między tym gwałtowniejszy, śpiewny ton, z podkładem ostrego, szybkiego ćwierkania: to szum śrub korwety. Stoję zdrętwiały, jak ścięty lodem. Nie ważę się na najmniejszy ruch, jakby najlżejsze poruszenie, nawet najcichszy szmer mógł zwabić bliżej obracające się śruby. Również ani mrugnięcia powieką, ani poruszenia okiem, ani oddechu, ani drgnięcia nerwów lub mięśni, ani dreszczu na skórze.

Znowu pięć bomb! Starszy sternik dolicza je do poprzednich. Na mojej twarzy nie drgnął nawet mięsień. Teraz dowódca podnosi głowę. Wśród hałasu bulgoczącej wody mówi, wyraźnie akcentując słowa: – Spokojnie... Tylko spokojnie, moi panowie, to przecież w ogóle nic nie jest!

Spokój w jego głosie jest dobroczynny, działa kojąco na rozedrgane nerwy.

Nagle trafia nas pojedyncze druzgoczące uderzenie, jakby ktoś walnął olbrzymią maczugą w olbrzymią blachę. Dwóch czy trzech ludzi zatacza się.

Powietrze jest mgliste, wisi błękitnymi smugami w pomieszczeniu. I dalej: bum... rakbaum... rabum!

– Trzydzieści cztery... trzydzieści pięć... trzydzieści sześć! – Tym razem słyszę to liczenie jako szept.

Jednak dowódca mówi mocnym głosem: – No i co, no i co... co wielkiego się stało? – Potem zagłębia się znowu w swoich obliczeniach kursu. Na okręcie zalega martwa cisza. Po chwili znowu szept: – Jaki zamiar?

– Dwieście sześćdziesiąt stopni... Zbliża się!

Dowódca wyprostowuje głowę. Podjął już decyzję:

– Ster prawo na burt! – I zaraz potem: – Do podsłuchu: skręcamy w prawo.

Należy przekazać do pomieszczenia rufowego klucz do śrub. Chwytam go z zapalem i podaję dalej. Boże, żeby tylko można było coś zrobić. Poruszać pokrętłami, przesuwając dźwignie, obsługiwać pompę...

Hydroakustyk wychyla się górną połową ciała ze swojej przegródki. Ma otwarte oczy, ale nas nie widzi. Jego źrenice nastawione są na nieskończoność. Teraz jedynie on ma kontakt z zewnętrznym światem. Gdy tak wpatruje się w próżnię, wygląda, jakby mówił w hipnozie: – Echo zbliża się... Dwieście trzydzieści... dwieście dwadzieścia!

– Wyłączyć zbędne światło – rozkazuje Stary. – Diabli wiedzą, jak długo będzie nam jeszcze potrzebny prąd!

Hydro melduje dalej: – Zaczyna się najście... echo dwieście dziesięć stopni, zbliża się szybko... Jest już dość blisko! – Ze zdenerwowania nie zachowuje właściwej formy meldunku. Dowódca rzuca komendę: – Ster zero, oba silniki cała naprzód!

Sekundy wloką się w nieskończoność. Nic! Nic się nie rusza.

– Żeby tylko nie ściągnął swoich kolegów! – Stary wypowiada to, o czym już od dawna myślę: wymiatacze, killers... Wiele psów to śmierć zająca.

Ten, który się do nas zabrał, nie jest nowicjuszem, a my jesteśmy bezbronni, chociaż mamy pięć torped w rurach. Ale nie możemy ich użyć. Nie możemy wyskoczyć z ukrycia i rzucić się przeciwko wrogowi. Nie mamy nawet tej paskudnej pewności, jaką daje użycie broni. Nawet wrzeszczeć nie powinniśmy. Tylko kulić się. Schodzić coraz głębiej. Jak głęboko jesteśmy teraz? Nie wierzę moim oczom: wskazówka głębokościomierza stoi na stu czterdziestu. Gwarancja stoczni: dziewięćdziesiąt metrów – przebiega mi przez głowę.

Mija dziesięć minut i nic się nie dzieje.

Znowu garść żwiru trafia na wysokości balastu lewej burty. Po twarzy hydroakustyka widzę, że znów lecą bomby. Porusza wargami. Teraz liczy sekundy do wybuchów.

Pierwsza trafia tak celnie, że huk słyszę aż w kręgosłupie. Przykucnęliśmy w wielkim bębnie, który ma stalowe blachy zamiast zwykłej skóry. Widzę, jak poruszają się usta sternika, ale nic nie słyszę. Czyżbym ogłuchł?

A jednak rozumiem dowódcę. Każe znowu zwiększyć prędkość i wyjść wyżej. A teraz donośnym głosem mówi w tym chaosie: – Bardzo dobrze... tylko tak dalej, moi panowie, trzeba wyrzucać te rzeczy. W domu jest...

Milknie w środku zdania. Nagle znowu zalega cisza, drgająca, napięta, jak struna skrzypiec cisza. Tylko parę pluśnięć w zęcie.

– Dziób w górę! Mocno! – rozkazuje główny mechanik sternikom. Jego szept dźwięczy w ciszy szczególnie ostro. Silniki elektryczne przestawia się znowu na wolne obroty. Woda w zęcie przelewa się na rufę. Skąd się bierze tyle wody w zęcie? Czyż niedawno jej nie wypompowano?

– Trzydzieści osiem do czterdziestu jeden – liczy starszy sternik.

Mając jeszcze w uszach ryk i huk bomb, odczuwam ciszę, która teraz następuje, jako potworną akustyczną dziurę, czarno wytapetowaną i pozbawioną dna. Chyba tylko po to, by ta cisza nie działała zbyt dręcząco, dowódca szepcze: – Nie jest pewne, czy ci na górze mają kontakt! – W tej samej chwili nowe eksplozje wstrząsają głębiną: wyraźna odpowiedź.

Znowu nie potrafię ich rozdzielić słuchem. Nie mam również wycucia, czy bomby pękają z prawa, czy z lewa, nad, czy pod okrętem. Widocznie jednak Stary potrafi zlokalizować te eksplozje. On jeden też pewnie wie, w jakim położeniu się znajdujemy w stosunku do naszego prześladowcy. Czy może starszy sternik również rachuje? Ja w każdym razie nie mam już żadnego wyobrażenia. Widzę tylko, jak wskazówka głębokościomierza powoli przesuwają się po tarczy ku przodowi: znowu schodzimy coraz głębiej.

Główny mechanik pochylił się nad sternikami. Jego twarz w świetle lamp odcina się kontrastowo na ciemnym tle i widać na niej każdą kosteczkę, jak na twarzy aktora w światłach rampy, jest ostro ukształtowana przez ciemne cienie. Jego ręka wygląda jak ulepiona z wosku. Przez prawy policzek przebiega czarna pręga. Mocno zacisnął powieki, jakby go oślepiło.

Obaj sternicy głębokości przycupnęli sztywno za swymi guziczkami. Nawet kiedy przesuwają ster, nie widać żadnego ruchu. Do tego minimalnego nacisku palca, jaki jest im potrzebny, nie muszą zmieniać postawy. Nasze stery poruszane są elektrycznością. Wszystko jest doskonałe – tylko urządzenia, umożliwiającego obserwację nieprzyjaciela, nie ma w

ogóle.

Mamy przerwę na uspokojenie się? Próbuję się jeszcze lepiej usadowić. Korweta z pewnością nie da na siebie długo czekać. Zatacza teraz nowy krąg, oddała się, ale trzyma nas tym swoim przeklętym asdikiem. Na pewno zebrali wszystkich aktualnie nie zatrudnionych ludzi na pomoście, by patrzyli w morze, obserwowali żyłki piany na tle zieleni, by znaleźć jakieś ślady naszego istnienia. Ale nie ma nic do zobaczenia poza żebrowatym wzorem na zieleni, biało-zielony marmurkowy papier ze śladami czerni. Woleliby zobaczyć migotliwą plamę ropy ci na górze. To by im odpowiadało...

Hydroakustyk ciągle jeszcze się nie rusza: nie ma szumów.

Nagle... co oznacza to dziwne szczękanie? Nowa sztuczka w lokalizowaniu nas? Mijają minuty, nikt nie rusza nawet palcami. Nawet powietrze przy ustach pozostaje nie poruszone. Szczękanie ustaje, natomiast znowu garść żwiru stuka o okręt – tym razem jest to delikatny żwir ogrodowy. Dowódca gwałtownie podnosi głowę: – Czy my... go... znowu złapiemy?

Złapiemy? Czy mówiąc „go”, ma na myśli konwój, czy też korwetę?

Teraz dowódca pochyła się i przekazuje cicho hydroakustykowi: – Uważać, czy odchodzi! – Po sekundach pyta znowu niecierpliwie: – Głośniej czy ciszej?

– Bez zmian – odpowiada hydroakustyk, a po chwili dodaje: – Głośniej!

– Jaki zamiar?

– Zamiar dwieście dwadzieścia.

Dowódca natychmiast każe położyć ster w prawo. Znowu więc zataczamy łuk w głębinie.

A teraz każe obu silnikom przejść na małą naprzód.

Skraplająca się woda przerywa w regularnych odstępach wyostrzoną ciszę: picz, pacz... tik, tak... picz, pacz.

Od potężnego ciosu płyty podłogowe podskakują z brzękiem. – Czterdzieści siedem, czterdzieści osiem – liczy starszy sternik. A potem: – Czterdzieści dziewięć, pięćdziesiąt, pięćdziesiąt jeden!

Spojrzenie na zegarek na przegubie dłoni: czternasta trzydzieści. Kiedy był alarm? Zdaje się, zaraz po dwunastej. A więc polują na nas od dwóch godzin.

Mój zegarek ma czerwoną wskazówkę sekundnika, która siedzi na tej samej ośce, co obie główne wskazówki, i drżąc, krąży wokół całej tarczy. Koncentruję myśli na obserwacji tej wskazówki i postanawiam zmierzyć odstęp czasu między poszczególnymi wybuchami bomb: dwie minuty trzydzieści sekund... Znowu wybuch: trzydzieści sekund... Następny:

dwadzieścia sekund.

Cieszę się, że mam coś, na czym się mogę skoncentrować. Teraz pozostała mi tylko ta wskazówka. Zaciskam mocniej prawą dłoń, jakbym w ten sposób mógł zaostrić koncentrację na wskazówce. To przecież musi minąć. Musi minąć. Musi... musi... musi!

Znowu twarde, suche uderzenie: czterdzieści cztery sekundy. Czuję wyraźnie, jak moje wargi, które bezgłośnie formowały sylaby, układają się w leżący owal i odsłaniają mi zęby. Do trzymania się muszę użyć także lewej ręki. Tracę z oczu wskazówkę sekundnika.

Dowódca każe zejść o dwadzieścia metrów głębiej.

Teraz dwieście metrów. Gwałtowne jęki i trzaski przebiegają przez okręt. Nowy z centrali rzuca na mnie wystraszone spojrzenie.

– To tylko deski – szepcze dowódca.

To wykładzina jęczy i trzaska tak ostro, architektura wnętrza nie znosi zgniatania naszego sztywnego kadłuba. Dwieście metrów: okrągła liczba. Z nią można rachować. Teraz na każdym centymetrze kwadratowym naszej stalowej skóry spoczywa ciężar dwudziestu kilogramów, a więc dwieście ton na metrze kwadratowym. Przy tym grubość stali wynosi dwa centymetry. Trzaski stają się ostrzejsze.

– Nieładnie! – mamrocze główny mechanik.

Napięcie naszej stalowej powłoki dręczy mnie jak tortura, jakby napinano tak moją własną skórę. Gdy coś trzaska jak wystrzał karabinowy, skóra ściąga się mi na czaszce. Pod tak szaleńczym naciskiem nasza powłoka jest wrażliwa jak skorupa jajka.

Nie dalej niż pół metra widzę naszą muchę pokładową. Jak może ona znieść to piekielne bębnienie? Każdy wybiera sobie swój własny los: mucha, ja. Również i ja przystąpiłem do tego przedsięwzięcia z własnego wyboru.

Podwójny wybuch, później jeszcze jeden, niewiele słabszy od poprzedniego. Teraz łowią nas coraz gęściejszą siecią eksplozji.

Znowu brzęczą płyty podłogowe i rozlega się potężny szum.

Cisza trwa tylko tyle, co parę uderzeń serca, potem wśród przeraźliwych grzmotów na podłogę spada z brzękiem szybka głębokościomierza, światło gaśnie.

Stożek światła latarki błądzi po ścianach i zatrzymuje się na tarczy manometru. Robię straszliwe odkrycie: wskazówki obu głębokościomierzy zniknęły. Wodowskaz między obu sterami głębokości pękł i tryska z niego w poprzek pomieszczenia syczący strumień wody.

– Przekiek nad wodowskazem – słyszę drżący głos.

Dowódca prycha gniewnie: – Bzdury, tylko bez komedii!

Puste tarcze wyglądają jak zaszklone przez śmierć oczy. Nie możemy z nich odczytać,

czy okręt opada, czy się wznosi.

Znowu ściąga mi się skóra na głowie. Instrumenty nas opuszczają. Bez nich nie mamy wyczucia naszego położenia w wodzie.

Patrzę w napięciu na czarne punkty osiek, ale bez wskazówek nie ujawniają one nic.

Mat z centrali grzebie między rurociągami przy świetle latarek kieszonkowych. Prawdopodobnie próbuje wymacać zawór, który może zatrzymać tryskający strumień wody. Nim mu się to udaje, jest mokry od stóp do głów. Chociaż zdołał zahamować strumień, nadal szuka czegoś na podłodze. Nagle koniuszkami palców trzyma już wskazówkę. Ostrożnie, jakby to było jakieś kosztowne znalezisko, podnosi ją do góry i zakłada na czworokątne zakończenie ośki małego manometru, który pokazuje większe głębokości.

Czuję się tak, jakby życie nas wszystkich zależało od tego, czy ten cienki pasek metalu poruszy się teraz, czy nie.

Mat cofa rękę. Wskazówka drga i zaczyna się powoli przesuwac. Dowódca na znak uznania kiwa głową.

Głębokościomierz wskazuje sto dziewięćdziesiąt metrów.

Wtedy odzywa się hydroakustyk: – Echo zbliża się, dwieście trzydzieści stopni... dwieście dwadzieścia stopni!

Dowódca zdejmuję czapkę z głowy i kładzie ją na skrzyni z mapami. Jego mokre od potu włosy wyglądają jak sfilcowane. Głęboko wciąga powietrze i mówi: – Byle dalej!

Dowódca nie panuje już nad swoim głosem! Można było w nim wyczuć odcień rezygnacji.

– Echo dwieście dziesięć stopni! Zbliża się... Początek najścia.

Dowódca natychmiast każe ruszyć z największą prędkością. Potężne szarpnięcie przebiega przez kadłub, okręt robi gwałtowny skok naprzód. Dowódca opiera się plecami o połyskującą smarem kolumnę celownika przeciwlotniczego i zadziera głowę.

Dawno zapomniane obrazy pobudzają moją świadomość: widzę spiralnie pomalowane, obracające się w przeciwnych kierunkach tekturowe tarcze dwóch maszyn do lodów w jarmarcznej budzie: czarno-biały wir wypełnia całkowicie moją głowę. Rozpoznaję w nim ogony dwóch bomb wodnych, błyszczące komety, które wszystko spalają białym żarem.

Hydroakustyk przestrasza mnie. Znowu podaje meldunek. Wpatruję się w jego usta, ale słowa nie przenikają do mego mózgu.

Następuje czekanie z zapartym tchem. Już najmniejszy dźwięk boleśnie razi nerwy, zupełnie jak dotknięcie powierzchni rany. Odnoszę wrażenie, że nerwy przeniknęły przez naskórek i są teraz odsłonięte. W mózgu mam tylko jedną myśl: są nad nami, dokładnie nad

nami. Dokładnie nad nami. Zapominam wciągnąć powietrze. Dopiero gdy zaczynam się dusić, powoli i ostrożnie napełniam płuca. Na zamkniętych powiekach widzę znowu obrazy bomb, które, ciągnąc za sobą ogon iskrzących pęcherzyków powietrza, pionowo opadają w głębie i pękając, zamieniają się w białe, ogniste słońca. Wokół płonącego jądra pryskają barwy widma w obłądnym chaosie, jedne wyżej, inne niżej, coraz ich więcej, aż wreszcie całe wnętrze morza żarzy się jak spust surówki z wielkiego pieca.

Mat z centrali przerywa te omamy: gestami i przekleństwami zwraca uwagę czifa, że w kącie centrali przelewa się puszka z olejem. W danej chwili jest wysoce obojętne, czy olej przeleje się, czy nie, ale matowi nie podoba się to.

Ponieważ główny mechanik kiwa głową, mat uznaje, że powinien coś zrobić. Rura, z której cieknie olej, sięga do wnętrza puszki. Nie może po prostu wyciągnąć puszki spod rury, tylko musi ją pochylić. Przy tym jeszcze więcej oleju wylewa się na płyty podłogi i tworzy odrażającą czarną plamę.

Starszy sternik z obrzydzeniem potrząsa głową. Mat wyciąga przepelnioną puszkę tak ostrożnie, jakby był włamywaczem, który musi uważać, by jakimkolwiek ruchem nie włączyć elektrycznego urządzenia ostrzegawczego.

– Szumy korwety przesuwają się w kierunku rufy – melduje hydroakustyk. Prawie w tej samej chwili detonują dwie bomby. Ale huk wybuchów jest słabszy i bardziej głuchy niż poprzednio.

– Daleko – mówi dowódca.

Ruwum... tiuwum!

Jeszcze bardziej głucho. Dowódca chwytą swą czapkę. – Co za manewry! Powinni jeszcze porządnie poćwiczyć w domu!

Mat z centrali zabrał się do wsadzania nowych szklanych rurek do popękanego wskaźnika stanu wody, jakby wiedział, że widok zniszczenia działa jak trucizna.

Wyprostowuję się. Moje kończyny są sztywne. Nogi pozbawione czucia. Próbuję zrobić krok i odnoszę wrażenie, że wstępuję w próżnię. Chwytam się pulpitu i spostrzegam mapę morską.

Oto ołówkowa kreska, która znaczy drogę okrętu, a tam krzyżyk ostatnio namierzonej pozycji. A tu ołówkowa kreska urywa się nagle... koordynaty tego miejsca zapamiętam sobie, kiedy stąd wyjdziemy... Hydroakustyk przeszukuje cały krąg swojej skali.

– No? – pyta dowódca. Udaje znudzonego i językiem wypycha od środka lewy policzek.

– Odchodzi! – odpowiada hydroakustyk.

Dowódca rozgląda się. Jest teraz ucieleśnioną uprzejmością. Uśmiecha się nawet: – Wygląda na to, że jak na razie, sprawa została załatwiona!

Wstaje na nogi i robi niepewny krok: – Bardzo pouczające... od najsmaczniejszych sadzonych jaj między najefektowniejsze bomby! – Ciężko przechodzi przez właz do swego pomieszczenia.

– Dajcie kawałek papieru! – woła stamtąd za chwilę. Czyżby Stary chciał zapisać coś wzniosłego w dzienniku działań bojowych? Albo jakąś wiadomość dla dowództwa? Z pewnością nie zanotuje nic innego, jak tylko: „Zaskoczony w deszczu przez korwetę, trzygodzinny atak bombami głębinowymi”. Musiałbym go źle znać, jeśli zapisze więcej niż kilka tych suchych słów.

Po paru minutach pojawia się znowu w centrali. Wymienia spojrzenie z głównym mechanikiem, potem rozkazuje: – Wyjść na peryskopową! – i natychmiast szybko wspina się w górę.

Czif każe odpowiednio położyć ster.

Z góry dolatuje głos dowódcy: – Pytam głębokość!

– Czterdzieści metrów!

Potem czif melduje po kolei: – Dwadzieścia metrów... piętnaście metrów... peryskop wychodzi!

Słyszę, jak szumi silnik peryskopu, urywa, znowu szumi. Mijają minuty. Z góry nie dolatuje ani słowo. Czekamy i czekamy. Stary ani nie mruknie.

Patrzymy na siebie pytająco. – Coś nie w porządku... – mamrocze mat z centrali.

Wreszcie dowódca daje znak o sobie: – Szybko do zanurzenia! Na głębię. Wszyscy na dziób!

Powtarzam rozkaz. Hydroakustyk przekazuje go dalej. Od rufy słyszę zwielokrotnione echo. Ludzie z widocznym zdenerwowaniem pędzą przez centralę na dziób.

– Niech to najjaśniejsze pioruny! – klnie półgłosem główny mechanik.

Wskazówka manometru głębokości znowu kręci się w przód: dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści metrów...

Pojawiają się morskie buty dowódcy. Powoli złazi do centrali. Wszystkie spojrzenia czepiają się jego twarzy. Ale dowódca uśmiecha się tylko kpiąco i rozkazuje: – Oba silniki wolno naprzód. Kurs sześćdziesiąt stopni! – A potem wyjaśnia wreszcie: – Korweta stoi w odległości pięciuset metrów. Prawdopodobnie z wyłączonymi silnikami. Chcieli nas zaskoczyć, głupcy! – Nachyla się nad mapą. Po chwili zwraca się do mnie: – Cwaniaki! Banda łobuzów. Człowiek nigdy nie może być dość ostrożny... No, teraz po cichu i

przyjemnie oderwiemy się od nich w kierunku zachodnim.

Potem pyta starszego sternika: – Kiedy początek zmierzchu?

– O osiemnastej trzydzieści, panie kapitanie!

– Dobrze, na razie zostaniemy pod wodą!

Wydaje się, że nie ma już bezpośredniego niebezpieczeństwa, dowódca w każdym razie znowu mówi głośno. Teraz hałaśliwie wciąga powietrze, wydyma klatkę piersiową i wstrzymując dech, kiwa głową.

– Po bitwie – mówi i demonstracyjnie spogląda na odłamki szkła, porzucone ubrania sztormowe i rozlane kałuże.

Widzę obrazki Dixy: leżące na grzbietach konie, brzuchy otwarte jak pęknięte okręty, wszystkie cztery nogi sterczą ku niebu, zatopieni w błocie piechurzy, którzy szczerzą zęby jak szaleńcy. Jednak tu, na pokładzie, chociaż ledwie uniknęliśmy zagłady, nie ma wypływających wnętrzności, spalonych kończyn ani rąbanki, z której przez płachtę namiotową przecieka krew. Te parę stłuczonych szkieł, uszkodzone manometry, wylana puszka skondensowanego mleka, dwa rozbite obrazy w przejściu – to są już wszystkie ślady naszej walki. Pojawia się stołowy, rzuca zdziwione spojrzenie na ten bałagan i zaczyna sprzątać. Portret dowódcy okrętów podwodnych pozostał, niestety, nietknięty.

W pomieszczeniach maszynowych było jeszcze wiele uszkodzeń. Główny mechanik wyśpiewuje całą listę technicznych detali. Stary cierpliwie kiwa głową.

– Niech pan każe wszystko solidnie połatać – mówi do czufa. – Mam takie uczucie, że w tej okolicy będą nas jeszcze potrzebować. – A potem do mnie: – Czas coś zjeść. Jestem piekielnie głodny. – Zdejmuje czapkę z głowy i wiesza ją nad ubraniami sztormowymi na ścianie.

– Sadzone jajka z pewnością wystygły – oświadcza drugi oficer i uśmiecha się przy tym sztucznie.

– Hej, kuk, usmażyć świeże jajka! – woła dowódca w kierunku rufy.

Jestem jak ogłuszony. Czy to prawda, że siedzimy tu w przyjemnym towarzystwie, czy złudzenie? Moje wewnętrzne ucho rozbrzmiewa znowu jak woskowa płyta, która nagrała wybuchy bomb. Nie mogę pojąć, że wyszliśmy cało z tej burzy bomb głębinowych. Siedzę niemo i potrząsam głową, jakbym mógł się w ten sposób pozbyć oszołomienia i omamów.

Nie minęła jeszcze godzina od ostatniej bomby, a radzik zakłada płytę gramofonową. Rozbrzmiewa głos Marleny Dietrich: „Schowaj sobie pieniądze, zapłacić możesz innym razem...” Płyta pochodzi z prywatnych zbiorów Starego.

Zaglądam do dziobowego i słyszę, jak Ario atakuje badacza Pisma Świętego: – Teraz pewnie myślisz, że uratowałeś nas swoimi cholernymi modłami? Teraz myślisz pewnie, że Stwórca nieba i ziemi, który przyjdzie sądzić żywych i umarłych, że on wyciągnął nad nami swą chroniącą rączkę, ponieważ ty, durniu, sobie tego życzyłeś! I co, mamy cię za to pewnie całować po nogach? Człowieku, człowieku, jesteś głupią świnia! Tylko nie wierz, że ten stary zbieracz napletków kiwnął choćby palcem dlatego, że ty tu zebrzesz! Gdyby on był, wtedy Tomki mogliby rzucać tylko bomby bez zapalników. Jasne, ty żłobie? Już ty zobaczysz, będziesz miał rozdartą dupę tak samo jak każdy inny, nie pomoże ci żadne alleluja, nie pomogą ci żadne prośby i jęki, żadne siedzenie po prawicy Boga, Stwórcy nieba i ziemi, jesteś dokładnie taki sam, jak my wszyscy... możesz być tego pewny. Chwała bądź Bogu na wysokościach i alleluja, amen, i pocałuj mnie w dupę z tymi swoimi idiotycznymi modlitwami!

Badacz Pisma skurczył się w sobie. Jednak Ario nie przyjmuje kapitulacji: – Pewnieś się nawet nie zastanowił, w jakiej rozterce twój kochany Bóg się znajduje, jeśli Tomki na swoich niszczycielach mają również takiego bęcwała, jak ty... Musiałby chyba grać w kości z samym sobą!

Jest już godzina dziewiętnasta, gdy dowódca przez rozgłośnię pokładową daje komendę: – Przygotować się do wynurzenia! – Główny mechanik błyskawicznie przeskakuje przez właz i wydaje odpowiednie komendy sternikom głębokości. Wachta pomostowa wkłada gumowe ubrania i ustawia się pod lukiem kiosku, doprowadzając do porządku szkła.

– Sześćdziesiąt metrów... pięćdziesiąt metrów... okręt wznosi się szybko! – melduje główny mechanik. Gdy wskazówka głębokościomierza sięga trzydziestki, dowódca każe prowadzić nasłuch w kręgu. Nikt nawet nie sapnie. Ledwie ważymy się oddychać. Nic.

Dowódca wchodzi po schodni. Gdy okręt jest już na peryskopowej, po przekładaniu dźwigni orientuję się, że dowódca prowadzi obserwację okrężną.

Czekamy w napięciu: nic!

– Wynurzenie! – rozkazuje dowódca.

Sprężone powietrze z sykiem wpada do zbiorników. Dowódca wciąga peryskop. Trwa pewną chwilę, nim z trzaśnięciem schowa się całkowicie. Teraz zdejmuje główkę gumowej muszelki okularu.

– Luk kiosku wolny – melduje główny mechanik do góry, a potem rozkazuje: – Wyrównać ciśnienie!

Pierwszy oficer przekręca rygiel włazu. Pokrywa odskakuje z hukiem jak korek

szampana. Wyrównanie ciśnień nie było jeszcze skończone. Świeże powietrze wpada do wnętrza okrętu. Jest mokre i wilgotne. Chciwie wsysam je szeroko otwartymi ustami. Przyjmuję powietrze jak bezcenny podarunek, napompowuję się nim do syta, smakuje je na języku. Okręt gwałtownie kołysze się na fali.

– Przygotować się do szasowania! Otworzyć odwietrzniki, siłownia diesli pozostaje w gotowości do zanurzenia! – woła dowódca z pomostu.

Główny mechanik ze zrozumieniem kiwa głową. Dowódca jest nieufny, nie chce ryzykować.

W pierścieniu włazu ciemne niebo. Parę rozproszonych gwiazd. Iskrzą i migoczą jak malutkie, drżące na wietrze latarenki.

– Lewy diesel gotów!

– Lewy diesel jest gotów!

Okręt się chwieje. Okrągły wycinek włazu kiosku przesuwa się po mrugających gwiazdach w tę i w tamtą stronę.

– Lewy diesel wolno naprzód!

Drgania i wstrząsy przebiegają przez okręt. Silniki zaskakują.

Dowódca wzywa na górę wachtę pomostową i starszego sternika.

– Trzeba wysłać sygnał! – słyszę.

Starszy sternik znowu schodzi w dół. Zerkam mu przez ramię i nie mogę powstrzymać uśmiechu, bowiem zapisał prawie dokładnie ten sam tekst, jaki sobie wymyśliłem.

Starszy sternik robi zdziwioną minę, bo nie wie, jak rozumieć mój uśmiech.

– Lapidarnie – mówię. Ale również tego starszy sternik nie rozumie. Widzę, jak kręci głową, idąc do przedziału radiowego.

– Jeden na pomost? – pytam.

– Tak jest! – słyszę w odpowiedzi głos dowódcy i wspinam się w górę.

Przesłona z chmur otwiera się przed księżycem. Księżyc pływa po torach swego światła. Tam, gdzie jasna smuga trafia w wodę, morze migocze i lśni. Teraz przesłona chmur zamyka się znowu. Błyszczy tylko kilka rozproszonych gwiazd i woda. Piana za okrętem fosforyzuje, jest to czarodziejskie zielonkawe światło. Fale syczą na pokładzie, jakby wlewano wodę na gorące żelazne płyty. Wśród tego ostrego syczenia rozbrzmiewa głuchy szum. Od czasu do czasu podnosi się większa fala i ciężko uderza w burtę okrętu jak w gong.

Wydaje mi się, jakby okręt nie był niesiony przez wodę, tylko raczej ślizgał się między głębiną a nieboskłonem na cienkiej, stwardniałej skórce: przepaść w górze, przepaść w dole. Tysiąc pięter nocy w górę i tysiąc pięter nocy w głąb. Błąkające się myśli, rozplywające się,

nie ustawione ostro: jesteśmy uratowani. Żeglarze po Orkusie, którzy odnaleźli powrotną drogę.

– Tak czy inaczej dobrze, że ta sadzawka ma trzy wymiary! – odzywa się dowódca tuż koło mojej głowy.

Siedzę przy stole. Śniadanie. Z mesy SP odbieram jednym uchem strzępy rozmowy. Sądząc po głosie, jest to Johann. Widocznie znajduje się w połowie relacji:

– ...i nareszcie zdobyliśmy piec. Boże, Boże, to było ganianie! Niczego nie można dostać. Nawet ze znacznym broni podwodnej na kurtce. Szafka kuchenna, Bogu dzięki, nie stanowi problemu. Mam szwagra, który jest dyrektorem więzienia, on każe to zrobić w więzieniu... Wózka, oczywiście, też nie można dostać! Mówiłem już do Gertrudy: „Czy w obecnych czasach w ogóle potrzebny jest taki wózek? Murzynki przywiązują sobie dzieciaki chustką!” No to teraz potrzebujemy jeszcze stojącej lampy, wtedy dopiero cały kącik do siedzenia będzie gotów. Za nią jednak powinien zapłacić stary... Moja Gertruda jest już dość okrągła. Szósty miesiąc! Ciekawe, czy będziemy wreszcie całkiem gotowi, gdy już do tego dojdzie... Nie, żadnych tapet! Tapety to bzdura. Poza tym skąd wziąć, a nie ukraść? To mógłby załatwić inny mój szwagier, on jest malarzem pokojowym. Sam siebie nazywa elegancją: dekorator... Zawsze mówię: żeby tylko ta buda stała! Ostatnio w jednym tygodniu było osiem nalotów!

– No, jeszcze jeden rejs, a potem na szkolenie – mówi innym tonem pocieszenia. To bosman.

– Stół można pomalować na biało, a na licznik zrobić skrzyneczkę.

– To mogliby zrobić chłopaki na stocznii. Taką małą skrzyneczkę mógłbyś wziąć pod pachę. To głupstwo.

To zapewne mówi starszy sternik.

– Ja bym kazał sobie zrobić również wózek, na takie coś oni są przecież nastawieni – dowcipkuje bosman.

– Jak będzie mi potrzebny wózek pancerny, to twoja rada byłaby dobra – mówi Johann.

Jakkolwiek wypowiedział już wyraźnie kończące zdanie, jednak ciągnie dalej: – Że też teraz robią tyle szumu z zaoszczędzonym prowiantem. Każdemu by się przydało wziąć ze sobą parę puszek. Gertruda mogłaby tego potrzebować.

Następnego dnia koło dziesiątej trafiamy na pływające rumowisko. Tutaj jakiś okręt

podwodny musiał zrąbać konwój. Nasza fala dziobowa spycha czarne od ropy deski. Potem pojawia się gumowy ponton z człowiekiem w środku. Człowiek siedzi jak na huśtawce. Jego stopy zwisają z gumowej burty, prawie sięgając wody. Przedramiona ma podniesione do góry, jakby chciał czytać gazetę. Dziwię się, że są takie krótkie. Gdy podchodzimy bliżej, poznaję, że brak mu obu dłoni. Twarz jest spaloną czarną maską, w której błyszczą zęby. Przez chwilę miałem złudzenie, że ten człowiek wciągnął czarną pończochę na głowę.

– Martwy! – mówi starszy sternik.

Mógłby sobie tego zaoszczędzić.

Ponton z nieboszczykiem przepływa szybko. Nasza fala rufowa kołysze nim gwałtownie. Wygląda to tak, jakby ten człowiek był zadowolony, że siedzi sobie w takiej wygodnej pozycji i jeszcze do tego się huśta.

Nikt nie waży się powiedzieć słowa. Wreszcie odzywa się starszy sternik: – To był przecież cywilny marynarz. Pytam się tylko, skąd on miał gumowy ponton. Na statkach mają przecież tratwy. Ponton... to komiczne. Wyglądał, jakby był z marynarki wojennej!

Te fachowe rozważania są teraz dobrodziejstwem. Stary chętnie podejmuje temat. Przez dłuższą chwilę obaj się zastanawiają, czy na statkach nie pływają już od dawna żołnierze – inaczej kto by obsługiwał działa?

Nie ma końca dryfującym szczątkom. Trafiony statek zostawił na wodzie szeroki tor rumowisk, czarne paliwo, skrzynie, potrzaskane łodzie ratunkowe, zakopcone, porozdzierane tratwy, boje, całe pomosty. Między tym trzy czy cztery trupy, które z opuszczonymi głowami wiszą w swych kamizelkach ratunkowych. Teraz jest ich coraz więcej: całe pole dryfujących zwłok, większość bez kamizelek, twarzą w wodzie, wielu okaleczonych.

Starszy sternik zbyt późno wykrył zwłoki wśród rumowiska. Teraz nie możemy ich ominąć.

Lodowatym tonem Stary przekazuje do maszyny rozkaz zwiększenia prędkości. Przebijamy się przez potrzaskane i postrzępione szczątki. Nasza fala dziobowa odrzuca wszystko na boki jak pług śnieżny. Stary patrzy przed siebie. Starszy sternik obserwuje swój sektor.

Widzę, jak wachtowy na rufie przełyka ślinę, gdy przepływa trup wiszący na biało malowanej belce, twarzą w dół.

Jak go mogło trafić?

– Tam pływa boja! – mówi Stary, a jego głos brzmi skrzypiąco, jak źle naoliwiony.

Stary wydaje szybko kilka rozkazów do maszyny i sternika, nasz okręt szuka powoli kierunku na czerwono-białą boję, która tylko na krótkie chwile jest widoczna wśród fal.

Dowódca zwraca się do starszego sternika i mówi o wiele za głośno: – Wezmę ją lewą burtą. Dalej... zawiadomić beo.

Utrzymuję tańczącą boję spojrzeniem. Szybko robi się większa.

Bosman melduje się bez tchu na pomoście, potem złazi po klamrach z kiosku. Ma w ręku małą kotwiczkę na lince.

Jakkolwiek od dawna wiemy, co Stary zamierza, on mówi: – Zobaczymy, jak się nazywa ta łajba!

Starszy sternik ustawia się tak, by mógł podczas manewrów widzieć cały okręt od dziobu do rufy. Potem podaje w dół: – Lewy silnik mała naprzód! Prawy cała naprzód! Ster lewo na burt!

Sternik w wieżyczce kwituje te rozkazy. Boja tymczasem ginie w dolinach fal. Uważamy ostro, żeby w ogóle nie znikła nam z oczu.

Starszy sternik każe zatrzymać lewy silnik, a prawemu przejść na wolno naprzód. Znowu to spostrzegam: z całej tak sławnej zwrotności okrętu podczas sztormu niewiele zostaje. Jest długi, a do tego tak wąski, że obie śruby są zbyt blisko siebie.

Gdzie jest teraz boja? Gdzie ta przeklęta boja? Teraz powinniśmy ją już mieć na trawersie lewej burty. Bogu dzięki – właśnie się wynurza.

– Lewo piętnaście, przejść na sto stopni, oba mała naprzód!

Dziób powoli przyjmuje kierunek na boję. A teraz starszy sternik każe dać ster na zero i tak trzymać. Wygląda na to, że jest dobrze.

Bosman w jednej ręce ma kotwiczkę, w drugiej linę zwiniętą jak lasso. Niepewnie, szukając oparcia na spychaczu sieci, idzie po śliskich listwach ku dziobowi. Teraz boja znajduje się na wysokości dziobu. Głupio: napis jest, jak się zdaje, po drugiej stronie. A może zarósł?

Boja przesuwa się powoli wzdłuż okrętu, w odległości trzech metrów. Lepiej nie mogło być. Bosman celuje teraz i rzuca kotwiczkę. Chybił! Jęczę, jakby trafił we mnie. Zanim zdążył ściągnąć kotwicę, boja jest już daleko z tyłu.

– Oba silniki stop!

Do diabła, co teraz? Okręt jeszcze się porusza. Nie możemy przecież użyć hamulców. Bosman pobiegł na rufę i jeszcze raz rzuca stamtąd, tym razem jednak za wcześnie pociąga linę. Kotwiczka pluska do wody w odległości pół metra od boi, a bosman patrzy w górę z pokorną miną.

– Nowe podejście, proszę – mówi lodowato dowódca. Podczas gdy okręt zatacza wielki krąg, w napięciu utrzymuję boję w lornecie.

Teraz podchodzimy tak blisko, że bosman, gdyby się wyciągnął na mokrym pokładzie, mógłby sięgnąć do boi ręką. Ogranicza się jednak do swej linki z kotwiczką i tym razem trafia.

– „Gulf Stream”! – ryczy w stronę pomostu.

W mesie oficerskiej Stary mówi: – Mam nadzieję, że nikomu nie zrobimy przykrości naszym działaniem.

Główny mechanik robi pytającą minę. Również pierwszy oficer unosi brwi do góry. Ale Stary ma czas. Wreszcie, zacinając się, wyjawia, co mu przyszło do głowy: – Przypuśćmy, że ci na tym okręcie, który zatopił statek, nie rozpoznali nazwy... a potem w meldunku o sukcesie mocno przesadzili. Przypuśćmy, że zameldujemy o piętnastu tysiącach BRT, a teraz my meldujemy, że znaleźliśmy fragment parowca „Gulf Stream”, i wtedy wyjdzie na jaw, że według rejestru parowiec miał tylko dziesięć tysięcy...

Dowódca robi przerwę, by sprawdzić, czy wszyscy należycie rozumiemy, a potem mówi: – To byłoby przykre, bardzo przykre, nie?

Obserwuję linoleum na stole i pytam się w duchu: o czym my mówimy? Czy jakiś dowódca mógłby się zblamować, czy nie? Ta ponura rzeźnia, a teraz te rozważania...

Dowódca odsunął się. Podnoszę oczy i widzę, że grzbietem prawej dłoni gładzi brodę. Po twarzy przebiega mu przy tym nerwowe drganie. Oczywiście, Stary tylko udaje takiego twardego, by w nas zaszcześcić odporność. Nim również szarpnęło to wszystko. Przesadza w aktorstwie, bawi audytorium swymi obserwacjami i przypuszczeniami tylko po to, by nie poruszać obrazów grozy...

Ja jednak nie mogę zapomnieć martwego marynarza. Przesłania mi widoki z morskiego pobojuwiska. Był to pierwszy obcy martwy marynarz, jakiego widziałem. Z daleka wyglądał, jakby wygodnie usadowił się w pontonie i płynął z przyjemnością, zadarłszy głowę, by lepiej obserwować niebo... Te spalone dłonie... koledzy musieli go wciągnąć do pontonu. Bez dłoni nie udałoby mu się to. Zagadka. Co się tam właściwie stało?

Rozbitków, myślę, nie było widać. Prawdopodobnie zabrał ich jakiś „wymiatacz”. Ludzie, którzy tracą swój statek w konwoju, mają jeszcze szansę. Ale inni? Ci na samotnie płynących statkach?

Dowódca jest znowu przy stole nakresowym i rozmyśla. Nie trwa to długo. Rozkazuje siłowni przejść na całą naprzód.

Teraz wyprostowuje się. Przeciąga się i wypina pierś. Przeciąga się bardzo dokładnie, odchrząkuje chyba przez minutę, wypróbowuje głos, nim wreszcie wykrztusi zgłoski... słowa:

– Połknę poprzecznie palmową miotłę, jeśli nie znajdujemy się dokładnie na kursie konwoju. Głupia sprawa... prawdopodobnie przebywając pod wodą, nie przyjęliśmy wielu meldunków. Miejmy nadzieję, że da się jeszcze usłyszeć okręt kontaktowy albo jakikolwiek okręt, który teraz jest przy nich.

A potem mówi nagle: – Bomba głębinowa jest najbardziej niedokładnym pociskiem ze wszystkich, jakie istnieją.

Główny mechanik usłyszał to również. Na jego twarzy maluje się zakłopotanie. Stary kiwa głową z odcieniem zadowolenia z siebie. Wszyscy w centrali słyszeli jego wypowiedź. Staremu udało się nawet wyciągnąć wniosek z ataków korwety: bombami głębinowymi się nie trafia. Stanowimy w końcu dowód na to – żywy dowód.

Bertolda wzywają wielokrotnie do podania pozycji. Podobnie jak ludzie z Kernévelu czekamy w napięciu, że Bertold się zamelduje.

– Hm – mruczy Stary i szarpie sobie kilka włosów na brodzie. Jeszcze raz: – Hm.

Sztorm

PIĄTEK. 42 DZIEŃ REJSU. Wiatr północno-zachodni jest coraz silniejszy. Starszy sternik wyjaśnia to tak: – Widocznie znajdujemy się na południe od rodziny cyklonów, które od Grenlandii wędrują do Europy.

– Komiczne obyczaje mają cyklopy ze swoimi rodzinami – mówię.

– Jak to cyklopy?

– Cyklop to jednooki wiatr. – Starszy sternik obrzuca mnie spojrzeniem pełnym wątpienia.

Czas już na mnie, by znowu łyknąć świeżego powietrza.

Morze jest teraz granatowozielone. Próbuję określić jego odcień. Barwy tui? Nie, chyba bardziej niebieskie niż tuja. Onyks? Tak, raczej onyks.

W dali, pod nisko zwisającymi masami chmur, morze wygląda na prawie czarne. Dokoła, wzdłuż horyzontu, wiszą pojedyncze chmury, szarogranatowe i postrzępione. Na połowie wysokości do zenitu i niedaleko od nas unosi się inna szara chmura, która jakby miała gęściejszą konsystencję. Po obu jej bokach – w porządnym szyku – brudnoszare obłoki o kształcie olbrzymich czółenek tkackich. A całkiem w górze rozwiane przez wiatr cirrusy, które z trudnością odróżniam od tła – właściwie nie są to już chmury, tylko trochę rozpaćkanej bieli kryjącej.

Natomiast na wschodzie widać gwałtowny ruch na niebie. Coraz to nowe chmury wypływają tam nad horyzont, zaokrąglają się i wreszcie odrywają od widnokregu jak balony, które zostały już należycie napełnione do swobodnego lotu. Obserwuję, jak zdobywają niebo: od ciemnej gromady wojsk, która zalega na zachodzie, tuż nad horyzontem, odrywają się najpierw zwiadowcy – małe grupki chmur, stopniowo przenikające aż do zenitu. Dopiero gdy tam się osadziły, postępują za nimi ciemne szeregi. Powoli wznoszą się w górę, trafiają na wiatr i zostają zepchnięte w bok. Ale pod nimi nowe chmury wysuwają swe postrzępione krawędzie ponad horyzont. Wygląda to tak, jakby coś je wyciskało z niewyczerpanego zbiornika. Chmury i chmury.

Marynarz Böckstiegel, lat dziewiętnaście, zgłasza się do sanitariusza Herrmanna, bo swędzi go pod pachami.

– Ty stara świnio – mówi Herrmann. – To wszy łonowe! Ściągnij no portki! – Nagle sanitariusz zaczyna wrzeszczeć: – Czyś ty zwariował? Tu przecież aż się roi od tych blondynek. Takiego kurdupła jak ty to one migiem zeżrą.

Sanitariusz składa meldunek pierwszemu oficerowi. Pierwszy zarządza kontrolę dla wolnej wachty na godzinę dziewiętnastą. Dla wachty pełniącej służbę – półtorej godziny później.

Dowódca, który śpi, dowiaduje się o tym dopiero po godzinie w mesie O. Jak byk podrażniony kapą miota z oczu iskry na pierwszego oficera. Potem uderza się lewą dłonią w czoło i z trudem wywalczywszy panowanie nad sobą, wykrztusza: – No, pięknie! – W mesie P wrze: – Aż cały zdrętwiałem... Mocna rzecz... to już szczyt wszystkiego!... Nowy numer w programie!... Te to mają nerwy!

A więc teraz oprócz muchy pokładowej mamy jeszcze mendy na pokładzie, myślę. Stajemy się rodzajem Arki Noego dla niższych stworzeń.

U pięciu ludzi stwierdzono mendy. Po czym na okręcie rozprzestrzenia się odór nafty: to środek zniszczenia.

Jak tłoczony z jakiejś ciasnej rury nadlatuje z rykiem wiatr. Czasami słabnie na kilka chwil, potem wygląda to tak, jakby napełniał się najpierw jakiś miech, by nagle z nową siłą znowu zadać potężnie.

Woda z minuty na minutę staje się bardziej wzburzona pod tymi ssącymi podmuchami. Pasma piany rozchodzą się wszędzie jak pęknięcia na ciemnym szkłe. Fale nabierają złośliwego wyglądu. Tu i ówdzie już się strzępią, wyrzucając płaty piany. Piana z sykiem obmywa nasz pokład i tryska w górę między listwami. Wiatr wpada między poszczególne fontanny, naładowuje się w powietrzu wodą i miota nią ostro w twarze wachtowych.

Wilgoć w centrali zwiększa się. Stopniowo pokrywa wszystko jak cienka błonka. Również trapy są mokre i zimne w dotyku.

Bez ubrań sztormowych i zjudwestek nie można już wytrzymać na górze. Na dole rzucam przede wszystkim okiem na barograf. Jego igła wykreśliła prowadzącą w dół krzywą linię w kształcie schodków. Wygląda ona jak przekrój kaskad Wilhelmshöhe. Niedługo ta opadająca linia złej pogody dotknie dolnej krawędzi papieru.

Barograf jest fascynującym instrumentem: pogoda pisze jakby swoją autobiografię na bębnie, który obraca się powoli na pionowej osi. Ta linia pogody jest jednak w regularnych odstępach przerywana ostrymi, zwróconymi ku górze klinami.

Ponieważ nie rozumiem zupełnie tych zygzaków, pytam starszego sternika, co one

znaczą.

– To pochodzi z naszych codziennych zanurzeń próbnych. Barograf reaguje przecież nie tylko na zmiany ciśnienia powietrza na zewnątrz, ale również na różnicę ciśnienia na okręcie. Te zygzaki wywołuje więc zwiększenie ciśnienia.

Pogoda najwidoczniej sprawia dowódcy kłopoty. – Takie nize przesuwają się niekiedy z szybkością dwustu do trzystu kilometrów na godzinę z dużymi zawirowaniami i wahaniami między subtropikalnym a polarnym powietrzem – wyjaśnia. – Wtedy wytwarzają się bardzo rozległe zakłócenia, a wiatry mogą być zupełnie wariackie.

– Otrzyma pan wszystko, co należy – kpi główny mechanik i uśmiecha mi się w twarz. Stary pochyla się nad mapą, starszy sternik zagląda mu przez ramię.

– To typowe dla północnoatlantyckich frontów – mówi dowódca. – Na tylnym froncie nizu będzie zimne powietrze, które prawdopodobnie przyniesie szkwały i... miejmy nadzieję... również lepszą widoczność. Moglibyśmy iść dalej na północ, ale wtedy trafilibyśmy z pewnością w samo centrum. A umknąć na południe, niestety, nie możemy ze względów taktycznych. No, Kriechbaum, nie pozostaje nam nic innego, jak dzielnie i bogobojnie ładować się w sam środek. Na razie mamy, niestety, falę skośnie z lewej burty.

– Niedługo będzie całkiem ładnie rzucało – mówi głucho starszy sternik.

Paru ludzi ze zmiany właśnie przywiązuje cienkimi linami skrzynie z prowiantem. Poza tym nie ma wiele do roboty: żadnych przygotowań do sztormu, jak na statku nawodnym. Zatroškany Stary może tylko położyć na udach swoje ciężkie dłonie.

W mesie P słyszę, jak Zeitler mówi: – Na pewno niektórzy z panów dostaną kaszlu z zawartością!

Jakby już był bliski tego, porusza grdyką. Ale z rezultacie tylko odbija mu się potężnie.

Głuchaczek burczy: – Cholernie kiepska akustyka!

– Otwórz okno i zrób trochę przeciągu, to będzie lepsza! – odcina się Zeitler.

Stołowy z mesy O ciężko obciążony przeciska się przez wąskie przejście między stołem i koją. Dorian kpi za nim: – Widać po chodzie cykor w narodzie.

Do obiadu musimy założyć listwy sztormowe i mimo to uważać stale, żeby zupa się nie wylała.

Naraz czif odzywa się mimochodem do drugiego mechanika: – Co pan właściwie ma na rzęsach i powiekach? Powinien pan to pokazać sanitariuszowi!

Kiedy obaj oficerowie pokładowi i drugi mechanik odeszli, czif rzuca beztrosko: –

Poza tym to były mendy.

– Jak... co? – dziwi się Stary.

– To, co asystent miał na brwiach i rzęsach.

– Żartuje pan?

– Bynajmniej, ale kiedy te bydlęta już się tam kotłują, to jest, że tak powiem, piąty stopień!

Stary wciąga wielką ilość powietrza przez nos i wpatruje się w głównego mechanika, wyprowadzony z równowagi, czoło zmarszczone jak tarcza, usta na pół otwarte.

– Szanuję pańską wiedzę, czifie... ale czy to ma znaczyć, że pański następca in spe...?

– No... nie należy może od razu przewidywać najgorszego!

Mechanik ma na twarzy cyniczny uśmiech. Dowódca zwraca głowę to w jedną, to w drugą stronę, jakby chciał sprawdzić funkcjonowanie swoich kręgów szyjnych. Wreszcie mówi: – W takim razie mój szacunek dla drugiego mechanika jeszcze wzrasta! Jestem tylko ciekaw, co on teraz robi.

Z kolei główny mechanik otwiera usta z samego tylko zdziwienia.

Na okręcie uspokoiło się. Słychać wyraźnie szum wywiewników. Tylko gdy się otwiera właz do dziobowego, dolatuje stamtąd przez chwilę śpiew i zmieszane głosy. Wstaję i idę na dziób.

– Wielki ubaw w komorze łańcuchowej – mówi starszy sternik, kiwając przyzwalająco głową, gdy przechodzę przez mesę SP. W dziobowym jest jeszcze większy hałas niż zwykle.

– Co się tutaj dzieje?

– Ubaw, radość i wesołość! – odpowiada mi wiele głosów. Wolna wachta siedzi w kucki na płytach podłogi. Wygląda to tak, jakby chcieli odegrać scenę ze zbójcami z „Carmen” i do tego celu powyciągali najdziwniejsze kostiumy z magazynu: zasmarowane olejem drelichowe kurtki, pulowery w paski.

Okręt nagle się przechyla. Skórzane kurtki i ubrania sztormowe odsuwają się od ściany. Musimy chwycić się mocno lin przy kojach. Z głębi pomieszczenia rozlegają się gwałtowne przekleństwa. Patrzą między głowami i hamakami w ciemność. Ktoś tam tańczy całkowicie nago!

– To ten z pomostu! Zmięcza swój cenny tułów – wyjaśnia mi Benjamin. – Robi to często. Kocha samego siebie!

Z dwóch przednich koi i hamaka rozlega się tęskny śpiew. Na dziobie tłucze się kocioł, który ten z pomostu wcisnął między wyrzutnie torpedowe, i brzęczy przeraźliwie. Teraz Benjamin wyciąga organki, starannie wystukuje je o dłoń, przeciąga parę razy po nich

ustami i rozpoczyna melodię, którą tremoluje lekko szybkimi uderzeniami wolnej ręki. Hagen nuci do wtóru, stopniowo przyłączają się inni. Teraz Böckstiegel jest zapiewają:

*Z Hamburga jechała do Bremy,
Ale w Flensburgu wysiadła.
Chcąc życie sobie odebrać
Natychmiast na szyny padła.
Widział to młody konduktor
I do hamulca podskoczył,
Lecz pociąg stanąć nie zdążył,
Jej głowa w piasek się toczy.*

– Ach, diabli, tylko dziesięć minut do zmiany! – stwierdza Fackler bez związku. – To nie jest życie! Ledwie człowiek usiadzie, już musi znowu włączyć na górę... Gówno! – klnąc opuszcza towarzystwo.

Również Schwalke rzeczowo ściąga pas i mówi, wychodząc: – Zasuwa do roboty!

– Szczęść Boże! – woła za nim Böckstiegel.

W mesie O nadal tkwi główny mechanik. Spogląda na mnie wyczekująco i pyta: – Co robi szklarz, kiedy nie ma szkła?

Mogę sobie wywracać rozpaczliwie oczami, czif jest nieubłagany:

– Pije z butelki!

Ze zmęczeniem macham ręką.

Chlustanie wody słysząc w centrali jak ulewę podczas burzy. Niekiedy olbrzymia pięść wali od dołu w dno okrętu. Nagle coś gruchocze tak głośno pod płytami podłogi, że wzdrygam się przerażony. Dowódca uśmiecha się i mówi: – To są morskie słonie, które wzięły nasz okręt za samicę!

Znowu głucho dudnienie. Główny mechanik wstaje, przytrzymując się, ostrożnie podnosi płytę podłogi i kiwa na mnie dłonią:

– Tam ktoś sobie jeździ!

Zaglądam do otworu i widzę w świetle latarki kieszonkowej mały wózek, który zwisa na dwóch belkach. Leży w nim jakiś człowiek w skurczonej pozycji.

– Sprawdza zawartość kwasu w akumulatorach – wyjaśnia główny mechanik.

– Piękne zajęcie przy takiej fali!

– Można powiedzieć!

Biorę książkę, lecz stwierdzam niebawem, że jestem zbyt zmęczony i rozbity, by jeszcze przyjmować słowo drukowane. Wypić sobie jednego, to by właśnie było to. Porządnego drinka i być daleko stąd – nie w tym obrzydliwym stanie między wieszaniem a duszeniem: piwo Becka... Prazdrój Pilzneński... dobre monachijskie Löwenbrau... Martel... Hennessy... fajne trzygwiazdkowe płyny! O Boże, tak!

I nagle czuję na języku mdły cukierkowy smak i natychmiast widzę zielony fuzele i jako kontrast do tego czerwony jak atrament gorący napój. Skąd te dwie panie wytrzasnęły to niewiarygodne świństwo, które nadawało się najwyżej do sklepania torebek! Bosmanmat Friedrich był na tyle bezczelny, że koło „Aschingera” zagadał do nich: – Skarbeczki, tak ładnie pachniecie, a gdzie mieszkacie?

„Kłaść wszystko, co trafi pod lufę” – było jego dewizą, kiedy zeszedliśmy na ląd. „Ale najpierw porządnie sobie pochlać!” – to była jego zwykła zapowiedź.

Boże, co za obłądana noc! Obie wypindrzone panie: blondynka i ruda. Uczesane z przodu w fale, z tyłu – w strąki.

– No, jak leci? – Ach, nasi błękitni chłopcy! Co macie za ordery? To musimy ale uczcić!

I zaraz zaczął się ubaw. Blondynka wiedziała co robić. Wypięła brzuch, unieruchamiając mi udo!

– Przecież tańce są wzbronione! – bąknął ktoś przez ramię.

– Ale nie u nas w chałupie, stary! Dalej, Ida, wołaj taksówkę! Paplanina, piskliwy chichot. Podniecony szofer.

W oszklonej szafce lalki w plisowanych spódniczkach – wszystkie rozmiary – ustawione jak piszczałki w organach. Między dwoma oleandrami w pokoju malutkie karzełki ogrodowe, przynajmniej tuzin, zmieszane z lakierowanymi figurkami kapeli aniołków z Seiffen, w Rudawach. Gipsowe jelenie ze srebrnym szychem na plecach, a następnie żarówka o czerwonym odcieniu w stojącej lampie, poduszki na otomanie, każda z nich uderzona w środku kantem dłoni, by oba jej brzegi unosiły się sztywno do góry. Również okrągłe poduszki we włóczkowych powleczeniach o wszystkich barwach tęczy, między tym trzy czy cztery misie, jeden z nich nawet różowy. A na ścianie taniec elfów. W tej chwili widzę to wszystko wyraźnie przed sobą: koronkowe serweteczki pod kieliszkami likieru, a pod serwetkami intarsjowana taca z kościołem świętego Marka w Wenecji. Olbrzymia lalka, która rozkraczała swoje różowe celuloidowe nogi na oszklonej szafce, zapewne była również zdobyczą z Włoch.

Na kanapie wzór z ciemnoczerwonych liści wina, na zasłonach olbrzymie hortensje, na

dywanie czerwone fantazyjne kwiaty. Makatki z czarnego aksamitu z wiśniami, głuszcami i wiatrakami. Gdy zapaliła się czerwona lampa, z tego wszystkiego, na szczęście, nie było wiele widać, zielony płyn w kieliszkach zabarwił się prawie na czarno w czerwonym świetle.

– Pewnie nas chcecie otruć, babki – powiedział bosmanmat Friedrich i mruknął zaraz do mnie: – Lepiej przejdźmy do obłapki... – poetycki talent ten Friedrich. Majster do wszystkiego.

– Nie myślcie sobie tylko... – zaczęła ruda zaczepnie. – Na miłość boską, nie, łaskawa pani! – przerwał jej Friedrich. A potem piszczenie dyszkantem oraz: – Ręce precz od Zagłębia Ruhry, czego tu chcesz? – I znowu Friedrich: – powinnaś zgadnąć!

Potem ruda, która wraz z Friedrichem po ciemku umieściła się wygodnie na dywanie, zaczęła wśród ciągłej gadaniny Friedricha pojękiwać rytmicznie jak wypełniony powietrzem miech. I wśród tych pojękiwań oświadczyła: – Jesteśmy przyzwoitymi żonami żołnierzy... możecie wierzyć!

Natychmiast miałem na szyi tę drugą, blondynkę, która z rozpiętą bluzką leżała obok mnie na sofie.

Potem obie panie zaczęły się kłócić. Blondynka wymyślała rudej, że to ona zaczęła z tym ciupcianiem.

– Zwariowałaś? Dopiero jak wyście zaczęli, było mi już wszystko jedno...

Friedrich ryknął z całych płuc:

Berlińska roślinko

Mocno ci współczuję,

Myślisz, że cię Kocham,

Gdy z tobą...

Nagle dostał w mordę, aż go замуrowało. Jednak czerwonowłosa dama źle znała naszego Friedricha. Zaraz nastąpiła szamotanina, wierzganie, a potem klap, klap po pupie żołnierskiej żony.

Butelka z fuzlem spadła, kieliszki się potłukły.

– Natychmiast spokój! – krzyczała blondynka. – Sąsiedzi są w domu! Czyście zbzikowali?

Naraz spostrzegam, że główny mechanik intensywnie obserwuje mnie z boku. A teraz szydzi: – Rozmarzony... to jest właśnie odpowiednie określenie... nasz rozmarzony poeta pokładowy!

Wtedy zrywam się, wyszczerzam zęby i parskam jak drapieżne zwierzę. To podoba się czifowi. Jeszcze długo potem się uśmiecha.

SOBOTA. Idę na ranną wachtę ze starszym sternikiem. Przez noc wiatr porozrywał martwą falę na białe spienione grzebienie i przesuwał się szybko zielone doliny. Łańcuchy wzgórz bez połysku, spękane, jak polodowcowe rumowisko. Na szczęście nie mamy fali poprzecznie z lewej, tylko całkiem z przodu. Nie wiem, jakiej okoliczności zawdzięczamy nocną zmianę kursu.

Odnoszę wrażenie, jakbyśmy stali w miejscu, a wodne góry wychodziły nam naprzeciwko.

Ostre bryzgi wody trafiają mnie zawsze prosto w twarz. Woda szybko znajduje drogę do szyi i ścieka mi małymi strumyczkami po piersi i plecach. Drzę z zimna.

Wiatr jest niestały. Siła jego porywów, jak również ich kierunek, zmieniają się.

Niebo szare, niemal bez jednej jaśniejszej plamki. Na tym tle ciemniejsze chmury piętrzą się jak kłęby zabrudzonej bawełny. Nigdzie przyjemniejszego odcienia, wszędzie tylko szarzyzna, przygnębiająca szarzyzna. Jedynie na bokach stalowoszarych fal białe żyłkowanie i brudna piana na grzebieniach. Tam, gdzie powinienem widzieć słońce, rozróżniam tylko nieco jaśniejszą poświatę.

W połowie wachty dźwiga się dokładnie przed nami ściana, jakby ulepiona z czarnoszarego gipsu. Sięga od horyzontu wysoko w niebo. Stopniowo ściana ożywia się. Wyrastają z niej ramiona i wyciągają się we wszystkie strony na ćwierć nieba. Wygaszają niebawem ostatni słaby odbłask naszej gwiazdy. Powietrze staje się coraz cięższe od ciśnienia. Fale huczą i syczą jeszcze głośniejsze, bo nie ma wycia wiatru.

Już jest sztorm! Niespodziewanym atakiem pędzi na nas od ściany naprzeciwko, zdzierając mimochodem białozieloną skórę z fal.

Fale z minuty na minutę stają się większe. Niebawem rzucają się na nas jak poszczuta ujadająca nagonka.

Niebo jest teraz jednolitą płaszczyzną mysiego koloru, która zdaje się stać w miejscu. Tylko parę ciemniejszych plamek na tej jednolitej szarzyźnie zdradza, że całe niebo pędzi z ogromną prędkością.

Poszczególne fale, jakby wystraszone, wypiętrzają się wyżej od innych. Ale sztorm natychmiast wyrównuje je twardymi ciosami i porywa drgającą wodę w swoim kierunku.

Piłowanie po stalowej linie spychacza sieci staje się coraz bardziej przeraźliwe.

Sztorm wypróbowuje wszystkie możliwe tony i natężenia głosu, gwizdże, wyje, ryczy.

Ilekróć dziób jest zanurzony wraz ze spychaczem sieci, ostry dźwięk urywa się na parę chwil. Ale natychmiast wraca znowu, gdy tylko dziób wyskoczy z białozielonej kipieli. Strzęp wody, który wisi na spychaczu sieci, zostaje porwany i rozszarpany przez wiatr jak stary łachman, w jednej sekundzie nic z niego nie pozostaje.

Zapieram się plecami o studzienkę peryskopu i wyciągam się w ten sposób, że ponad osłoną pomostu mogę widzieć całą dziobową część okrętu. Natychmiast pędzące porywy wiatru trafiają mnie w głowę. To nie jest już powietrze – lekki żywioł – tylko stała, materialna masa, która zatyka mi gardło, gdy otworzę usta.

To jest sztorm! Mógłbym ryczeć z zachwytu. Tak, to jest sztorm! Wyteżam oczy i przyjmuję w nie migawkowe obrazy ruchów fal: wykonane w pętli czasu zdjęcia z dziejów powstania Ziemi.

Bryzgi wody zmuszają do ukrycia się za osłoną pomostu. Uderzają mnie jak ciosy bicia w twarz. Powieki mi obrzmiewają. Moje buty morskie wypełniły się wodą. Są błędnie zaprojektowane: woda wlewa się górną do cholew. Również rękawiczki nie nadają się do niczego. Dawno już, ponieważ były całkowicie przemoczone, oddałem je na dół. Kostki moich palców są tak białe, że jeszcze nigdy u siebie takich nie widziałem: ręce praczeki.

Szumujące potoki przykrywają nas tak, że całymi minutami nie ważę się wyprostować. Stoję jak pod wodospadem, który tylko od czasu do czasu przestaje płynąć.

Tej odsłoniętej z tyłu blaszanej wanny, w której przykucamy jak broniący się bokserzy, nie powinno się w ogóle nazywać „pomostem”. To miejsce nie ma nic wspólnego z pomostami zwykłych statków, rozciągającymi się na całą ich szerokość, porządnie oszklonymi, suchymi i ciepłymi: bezpieczną ochroną przed ciosami morza. Z nich można obserwować sztormowe morze z wysokości dziesięciu czy piętnastu metrów jak z wyższego piętra domu poprzez szybko wirujące szklane szyby, na których nie utrzymuje się ani jedna kropla wody.

Natomiast to tutaj nie jest niczym więcej niż wielką tarczą czy rodzajem przedpiersia. Osłony przeciwwiatrowe, które umieszczone są dokoła na górnej krawędzi osłony pomostu, powinny nas wprawdzie chronić, przekształcając nadlatujący poziomo wiatr w prąd wstępujący i tworząc coś w rodzaju muru powietrznego, ale przy tej sile sztormu nie dają odczuwalnego efektu. A z tyłu pomostu nie ma w ogóle żadnej osłony: od rufy nasze stanowisko jest otwarte. I właśnie z tej strony wałą potoki wody.

Dłuższy czas stoję w środku spienionej, napływającej wody, jak w szarpiącej i ssącej dzikiej rzece. Ledwie potoki odpłyną w kierunku rufy i przez szpigaty drugi oficer ryczy znowu: – Trzymać się! – i następny wodospad wali na pomost. Robię uniki jak w zwarciu na

ringu, przyciskając podbródek do piersi. Lecz woda ma swoje sztuczki. Bije mnie od dołu w twarz – uppercuts, zgodne z przepisami haki w podbródek.

Aby nie być wyrzuconym ze stanowiska, wciskam się między kolumnę przyrządów optycznych a obudowę pomostu. Wcisnąć się, napompować pełno powietrza, zrobić się ciężkim! Na pasy nie można liczyć, choć wyglądają na tak grube i solidne.

Ledwie – i to całkiem jeszcze nieśmiało – wysunąłem głowę i szybko omiotłem oczami mój sektor, drugi oficer ryczy znowu: – Uwaga! – i pędzi nowa fala Natychmiast odwrócić głowę. Od razu cios w plecy, a potem kolejny cios z dołu. Trzymam się tak kurczowo, że kostki niemal przebijają skórę na wierzchu dłoni.

Ryzykuję spojrzenie ku rufie: z tylnej części okrętu, między prętami relingu i koło lawety broni przeciwlotniczej, nic nie widać, wszystko jest pokryte grubą warstwą kipiącego potopu. Klapy wylotowe zniknęły pod zbełtaną pianą, szyby wlotu powietrza również, A więc dieszle ciągną teraz powietrze z wnętrza okrętu.

Warstwa piany na części rufowej szybko się rozplywa, staje się coraz cieńsza, okręt wynurza się i rozrywa ostatnie strzępy tej piany. Potoki wody ściekają z obu burt. Klapy wylotowe wydostają się spod wody. Oleisto-niebieskie spaliny wzlatują w górę i nim zdążą się rozplynać, porywa je wiatr.

Tym, którzy są w środku, te ciągłe zmiany bardzo dręczą bębrenki w uszach: nadciśnienie, podciśnienie, nadciśnienie i tak ciągle.

Mija tylko kilka sekund i już nowa fala tłucze tępo w kiosk i wspina się po nim jak po skale. A teraz dwa walce oślepiającej piany wałają się z obu burt na część rufową i przy zderzeniu strzelają z rykiem w górę, I znowu na pokładzie spieniony wir i bulgot, aż kadłub okrętu wyrwie się z kipieli, unosząc ze sobą drgające masy wody wraz z szarobiałą pianą, i dygocząc, otrząśnie je aż do ostatniego strzępu. Na kilka chwil cały pokład jest wolny. Natychmiast spienione pięści fal biją go na nowo i wpychają rufę w głąb. Ciosy i uniki, upadki i powstania, podciąganie i spychanie na zmianę.

Zszedłszy pod pokład, nie czuję rąk ani nóg. Postępując, wyłuskuję się z gumowej kurtki. Wszystko mokre! Obok mnie klnie ten z pomostu: – Nieprawdopodobnie chłoną wodę! Ten, kto wymyślił te ciuchy, to dopiero była piękna dupa z uszami!

Nie przestaje kłać, ściągając z ciała mokre szmaty.

– Złóż zażalenie u DOP-a – podżega Isenberg. – On cieszy się z każdej wskazówki od walczących wojsk, to pewne.

– Morze dosyć szorstkie! – komentuje Stary. Siedzi przy stole i wertuje niebieskie i

zielone zeszyty.

Chciałbym mu powiedzieć, że dla mnie przymiotnik „szorstki” charakteryzuję zawsze powierzchnię papieru ściernego, a nie takie obłądne morze – ale co ja mogę: zdaje się, że u Starego poza „szorstkim” nie ma już wyższego stopnia na określenie burzliwego morza.

Stary czyta, dukając: „Okręt podwodny może niepostrzeżenie, nie zauważony przez przeciwnika, udawać się do wszystkich akwenów, w których chce być czynny bojowo. Okręt podwodny jest również odpowiednim stawiaczem min i przenosi miny bezpośrednio do wybrzeży nieprzyjacielskich, w rejon nieprzyjacielskich portów i ujść rzek. Tu, w tych punktach zapalnych nieprzyjacielskiej komunikacji, niewielka ilość min, które okręt podwodny może przewieźć, działa mniej ujemnie. Również nieliczne miny mają tu lepsze możliwości skutecznego efektu.”

Teraz patrzy mi prosto w twarz: „Chce być czynny...” „miny mają lepsze możliwości!” – sztydzi Stary. – No, to jest styl, nie?

Niebawem znajduje jeszcze jeden fragment, który go zachęca do przeczytania: „podwodniak kocha swoją broń. Udowodniła swego dzielnego ducha w wojnie światowej, a również dzisiejsza broń podwodna rozwija tę odważną wolę najlepszych dążeń.”

– Również pięknie powiedziane – komentuję.

– I jeszcze jak! – mówi Stary i parska. – To pochodzi od DOP-a!

W chwilę później Stary czyta, kręcąc głową, informację z gazety: „Helios jest niespodzianką w Pucharze!” Na chwilę przyrymka oczy, a potem mamrocze: – Ale ludzie mają zmartwienia!

Jak daleko jesteśmy od tego wszystkiego!

Uświadamiam sobie, jak niewiele myśli poświęcamy stałemu lądowi. Mało kto mówi o domu. Czasem wydaje mi się, jakbyśmy byli już od lat w drodze. Gdyby nie sygnały radiowe, moglibyśmy wierzyć, że błąkami się jako jedyne pozostałe przy życiu egzemplarze gatunku homo sapiens na naszej planecie.

Bawię się myślą, że dowództwo o nas zapomniało. Co by wtedy było? Jak daleko byśmy dotarli przy najbardziej oszczędnym zużyciu paliwa? Wprawdzie mamy okręt o największej dzielności morskiej. Ale na jak długo wystarczyłoby nam prowiantu? W naszym mrocznym świetle musielibyśmy sobie hodować grzyby. Dla grzybów panuje tu odpowiedni klimat. Pleśń na chlebie tego dowodzi. Albo rzeżucha wodna. Rzeżucha powinna rosnać również przy oświetleniu elektrycznym. Bosman znalazłby z pewnością miejsce na taką hodowlę, choćby w przejściu tuż pod pokładem. Musielibyśmy się tylko mocniej schylać, mając nad głowami ogródek z rzeżuchą na kardanowym zawieszaniu.

W końcu moglibyśmy również wyławiać glony. Glony mają wysoką zawartość witaminy C. Może jest nawet jakaś odmiana, która by dojrzewała w zębie i smakowałby jej znajdujący się tam smar jako rodzaj nawozu.

NIEDZIELA. – Teraz powinny znaleźć się na stole świeże chrupiące bułeczki – mówi główny mechanik przy śniadaniu. – Nasmarowane pięknie żółtym posolonym masłem, które się troszeczkę nadtopi, ponieważ bułeczki w środku są jeszcze ciepłe, prosto od piekarza! A do tego filiżanka gorącego kakao... Nie powinno być słodkie, raczej z tych bardziej gorzkich gatunków, ale tak czy inaczej całkiem gorące... To by było jedzenie!

Główny mechanik wywraca oczy w górę i ostentacyjnie wdycha wymaginowany zapach.

– Nadaje się do kabaretu – mówi Stary. – A teraz niech pan pokaże, jak smakuje panu dostarczone przez marynarkę wojenną śniadanie z jajecznicą z torebki.

Mechanik dławi się i przetyka, porusza gwałtownie grdyką, jego oczy zwracają się na jeden punkt na stole i wyłażą z orbit.

Stary jest zadowolony. Ale pierwszy oficer, który z nieruchomą twarzą również przy jedzeniu demonstruje zapał służbowy, pochłaniając przydzielone mu porcje porządnie i bez pozostawiania resztek, teraz nie może już przełknąć. Udręczony rozgląda się dokoła.

– Sprzątać! – woła dowódca do centrali i zjawia się stołowy ze swoim kwaśno cuchnącym zmywakiem. Pierwszy owu z obrzydzeniem odwraca nos.

Po śniadaniu przenoszę się do mesy P. Spróbuję trochę się przespać. – Jeszcze nam się da we znaki! – To jest ostatnie zdanie dowódcy, które słyszę z centrali.

– Otwierają się dwuskrzydłowe drzwi i wchodzi hrabia! – Pilgrim zapowiada zjawienie się Głuchaczka. Pokrywa włazu do kambuza trzaska tak mocno przy każdym przechyle okrętu, że wzdrygam się przerażony. Głuchaczek jakby na usprawiedliwienie przyobleka twarz w bezradny uśmiech. Systematycznie ściąga z siebie mokre ubranie sztormowe i wpycha się za stół.

A to co, myślę, dlaczego radzik ma na sobie ubranie sztormowe? Przecież nie przyszedł z pomostu. Potem słyszę gwałtowny plusk wody lejącej się do centrali i już wiem.

– Nie rozwalaj się tak, ty stara kupo galarety! – wymyśla Frenssen Głuchaczkowi – i zanieś swoje mokre klamoty gdzie indziej. Masz świra?

Potem słyszę: – Czuję się parszywie.

– Pewnie chciałbyś się przegłodzić?

– Ach, człowieku, koń by się uśmieł! Rzuć mi tę przyłepkę!

Jakkolwiek się wychylam i stale wypróbuję nowe pozycje, nie udaje mi się tak wcisnąć mego ciała w koję, by mną nie rzucało z boku na bok albo w górę. Do kołysania, gdyby tylko chodziło o jako tako równomierny rytm, mógłbym się jeszcze przyzwyczaić. Ale ostre szarpnięcia, gdy dziób zderza się z falą, albo ciężkie uderzenia w rufę doprowadzają mnie do rozpacz. A do tego jeszcze nowe groźne dźwięki. Potężne ciosy w kiosk i coraz to inny podkład dźwiękowy: nigdy nie kończące się piłowanie, szuranie, skrobanie, skrzypienie i o wiele głośniejsze grzmiące werble bez rytmu, otępiające nerwy piski, gwizdy, wycia. Ani jedna minuta nie mija bez gwałtownego wstrząsu kadłuba okrętu i odgłosów przenikających do szpiku kości. Temu nie kończącemu się maltretowaniu mnie i tej orgii hałasu mogę przeciwstawić tylko tępą uległość.

Najgorsze jest to, że również w nocy hałas się nie kończy. Ponieważ wtedy nie ma różnorodnych dźwięków na okręcie, ryk fal wydaje się jeszcze potężniejszy. Niekiedy brzmi to tak, jakby całe wodospady wylewały się z wylotu wielkiego hutniczego pieca. Leżę wtedy z otwartymi oczami i próbuję wysondować składniki tonów, z których składa się ten hałas za burtą: do piłowania i syczenia dochodzi jeszcze burczenie, pluskanie, dłutowanie. Potem znowu zaczynają się potężne, grzmiące uderzenia, a pod nimi okręt dudni jak olbrzymi bęben, na którym co parę minut inaczej napina się skórę. To Klabund, myślę, głuchy bęben i pijany gong! Sztorm z pewnością zamiata teraz z prędkością przynajmniej pięćdziesięciu mil morskich na godzinę.

– Tsztszszsssum! – Dziób wykonuje głęboki pokłon. Pomieszczenie ucieka w dół do przodu, ustawia się skośnie, coraz skośniej. Nasze rzeczy oddalają się o czterdzieści pięć stopni od ściany. Moja zasłona odsuwa się sama z siebie, nogi podnoszą się górę, głowa spada w dół, a teraz w dodatku cała mesa wykonuje ruchy obrotowe, ponieważ okręt usiłuje wyrwać się w bok. Nie chce stanąć na głowie. Od rufy słychać takie dźwięki, jakby nasze śruby wkręciły się na amen w bawełnę. Okręt drży jak w febrze, jedna żelazna część tłucze gwałtownie o drugą: werbel na bębnie.

Frenssen rzuca mi znudzone spojrzenie, potem wywraca oczy w górę: – Wyboisto, co? – pyta.

– Tak, całkiem niezłe wyboje!

Wreszcie wyzwolone śruby zaczynają szaleć. Mesa ustawia się poziomo. Rzeczy wiszą porządnie na hakach. Zaciągam zasłonę. Ma to sens? Zaraz okręt przyjmie następną falę.

W półśnie słyszę, że zjawił się Dorian: – Stary paskudniku! Nie wykrzywiał tak

jadaczki!

– A ty się łaskawie nie wydzieraj!

– Ach, bzdury! To mogę ci powiedzieć nawet szeptem!

PONIEDZIAŁEK. Dawno już nie byłem na pomoście. Czas byłoby znowu wy leźć na górę i się przewietrzyć. Ale co z tego mam?

Wycie fal, razy dyscypliną o siedmiu rzemieniach, przemoczenie do skóry, złodowaciałe kończyny, sparaliżowane kości, bolące oczy.

To są z pewnością przekonujące argumenty! A więc siedźmy na miejscu! Jeszcze najlepsze miejsce jest tu, w mesie O: suche.

Jakaś książka spadła z półki. Musiałem widzieć, jak zlatywała, ale spostrzegam ją dopiero teraz, leżącą na podłodze. Najprawdopodobniej wszystko, co przyjmuje oko, jest przekazywane do świadomości z opóźnieniem. Nerwy są rozciągnięte jak zużyta guma. Wyraźnie czuję w sobie wezwanie do podniesienia książki: przecież nie może tam leżeć! Nie chcę jednak go usłuchać. Zamykam uszy i pozwalam, by zmarniała ta ostatnia odrobina inicjatywy: tak jak leży, nie przeszkadza nikomu!

Główny mechanik wraca od swoich maszyn, widzi książkę i schyla się po nią. No więc!

Mechanik rozkłada się teraz z podciągniętymi nogami na swojej koi i sięga po gazetę spod poduszki. Nie mówi przy tym ani słowa. Tkwi tam tylko ponuro, rozsiewając wokół siebie opar paliwa.

Po kwadransie zjawia się podchorąży i prosi o nowe naboje do sygnału rozpoznawczego. Zdolność pojmowania głównego mechanika również ucierpiała: nie słyszy podchorążego. Musi on powtórzyć głośniej swoją prośbę. Wreszcie czif ponuro spogląda w górę. Z boku obserwuję, jak impuls z trudem przenika do jego umysłu. Czif walczy ciężko o jakąś decyzję. Rakiety rozpoznawcze, to przecież on wie, są sprawą poważną! I znajdują się w bakiście za jego plecami! Bóg wie, czy ich kiedykolwiek będziemy potrzebowali. Jednak codzienna wymiana tych rakiet należy do uświęconej rutyny.

Mechanik wstaje wreszcie i z wyrazem najwyższego obrzydzenia otwiera bakistę. Robi to tak, jakby mu właśnie podstawiono pod nos ekskrementy. Jego gazeta zsuwa się z koi do jakiejś kałuży, która tam z pewnością została od czasu ostatniego posiłku. Podchorąży z zatroskaną miną znika ze swoimi nabojami. Mechanik mamle jakieś przekleństwo i znowu kuca w swoim kąciuku. Tym razem podciąga nogi jeszcze wyżej. Wygląda tak, jakby chciał się za nimi schronić.

Grób ze skurczonymi zwłokami, myślę. Główny naśladowe prehistoryczny grób. Chcę podzielić się z nim tym wrażeniem. Ale nawet do tego jestem za leniwy.

Nie mija nawet pięć minut, a podchorąży zjawia się znowu. Całkiem jasne: musi dać zamknąć stare naboje. Z nabojami ES nie można postępować lekkomyślnie. Nie mogą leżeć byle gdzie. Teraz dopiero czif wybuchnie jak bomba, myślę. Ale on nawet nie mruknie. Podnosi się z niejaką energią, rzuca mi zdziwione spojrzenie, wsadza gazetę pod pachę i znika w kierunku rufy. Dwie godziny później znajduję go w siłowni elektrycznej. Oparty plecami o rufową wyrzutnię torpedową siedzi tam w smrodzie na skrzynce ze śliwkami i czyta swą gazetę dalej.

Po kolacji jakiś wewnętrzny głos przypomina mi, że przez cały dzień nie byłem na pomoście. Uciszam go argumentem, że teraz na górze jest już prawie ciemno.

Aby jednak zorganizować sobie trochę odmiany, przenoszę się do dziobowego. Gęsta mieszanka smrodu zęzy, resztek jedzenia, przepoconych ubrań i gnijących cytryn uderza mnie w nos. Dwie słabe żarówki dają przyćmione burdelowe oświetlenie.

Rozpoznaję Schwallego, który przytrzymuje nogami wielką aluminiową miskę. Wystaje z niej łyżka wazowa. Dokoła straszny bałagan, chleb i kielbasa z ogórkami, otwarte puszki sardynek, a nad tym dwa hamaki wybrzuszone od ciężaru śpiących marynarzy. Górne koje z lewej i z prawej są również zajęte.

Tu, z przodu, ruchy okrętu są najsilniejsze. Co parę minut całe pomieszczenie wpada w gwałtowne przechyły, a Schwallo musi za każdym razem szybko podnosić miskę, żeby się z niej nie wylało.

Torpedysta Dunlop wychodzi na czworakach z głębi pomieszczenia, trzymając w jednej ręce czerwoną i zieloną żarówkę, które chce wkręcić na miejsce białych. Trwa długo, nim mu się to udaje. Torpedysta wpada w zachwyty nad swym dziełem. Bengalskie oświetlenie świąteczne! Jego dzieło!

– Ładnie, wesoło – słycać słowa uznania z hamaka.

– A do tego czyściutko, co? – słyca, jak Jednotancerz pyta małego Benjamina. – Jak myślisz, jak długo noszę już na sobie tę koszulę?

– Na pewno od wyjścia!

– Ale! – odpowiada Jednotancerz z triumfem w głosie. – Już od dwóch tygodni wcześniej.

Obok Schwallego i Aria oraz torpedysty Dunlopa siedzą bezpośrednio na podłodze motorzysta Bachmann, Jednotancerz, Dufte, Fackler i mały, Benjamin, ten z wąsikami Menjou.

Dowódca kazał skrócić wachty. Wskutek tego siedzą obok siebie ludzie, którzy do tej pory nigdy się nie widywali w wolnym – czasie.

Okręt nieoczekiwanie szarpie mocno. Aluminiowa miska wyskakuje spomiędzy nóg Schwallego i wylewa strumień zupy na chleb. Chleb przesuwa się i wpada w wariacki korkociąg. Z łoskotem wywraca się śmietniczka koło szafki i wyrzuca swą zawartość, składającą się ze spleśniałych skórek chleba i wyciśniętych cytryn. Woda w zęzie bulgocze. Dziób z traskiem opada, cały przedział trzęsie się jak w febrze. Woda w zęzie z szumem przelewa się do przodu.

– Pieroński chlew! – klnie Schwallo.

– Niech to diabli, do ciężkiej cholery! – Mały Benjamin toczy się po podłodze, wymyślając, wstaje znowu i przysiada, trzymając się ręką szczebla koi, zupełnie jak medytujący Budda.

– Nie rozpieraj się tak! – upomina go Ario.

– Chwileczkę... dla twojej przyjemności zaraz wyparuję! – Aby się nie przewrócić, Ario zahacza lewe ramię o napiętą linę przy dolnej koi. Potem sięga po wielki, zapleśniały bochenek chleba i wycina z niego wielkim nożem niekształtne kawały, w których nie zapleśniałe części są mniej więcej wielkości śliwki. Przy tej robocie bicepsy robią mu się całkiem okrągłe z wysiłku.

Okręt się znowu przechyla. Ale Ario zawisa na swym zahaczonym ramieniu.

– Zupełnie jak małpa na kiju! – docina mu Schwallo.

– Dlatego właśnie tobie szkoda!

– Tylko uważaj, mam pierwszorzędne referencje od ludzi, którym dałem parę razy w mordę... Wszyscy byli zadowoleni!

Znowu brzęczenie i łoskot. Z przodu, między występami wyrzutni torped, tłucze się wielki kocioł. Nikt się nie podnosi, by go unieruchomić znowu. Ręcznik, który wisi na kratce prawej koi, wyprostowuje się z wolna i przez chwilę stoi ukośnie, jakby był wykrochmalony na sztywno.

Ario z uwagą obserwuje ręcznik: – Szacunkowo pięćdziesiąt stopni – komentuje.

Ręcznik opada znowu w rozsądne położenie, a potem przykleja się na dobre do kratki: okręt przechylił się w prawo.

– Sram konkursowo na takie coś! – jęczy torpedysta, który zablokował wiadro między belkami i usiłuje je wyczyścić. Jego ścierka śmierdzi kwaśno na całe pomieszczenie. Teraz brudna woda, która parę chwil wcześniej była jeszcze w wiadrze, zaczyna pełznąć po deskach podłogi ku siedzącym. Ario chce się już zerwać, lecz woda zatrzymuje się nagle jak

zahipnotyzowana, a potem znowu spływa wolno do przodu.

Ario wyciera sobie wierzchem dłoni pot z czoła, wstaje ciężko, opiera się ukośnie o koję, przy czym uważa, by trzymać się stale jedną ręką liny, i ściąga kurtkę. Przez dziury w jego koszuli wyłazą czarne włosy na piersi jak wyściółka z przetartego materaca. Ario jest mokry od potu na całym ciele. Sapiąc, kuca znowu i oznajmia wszystkim, że teraz na przekór pogodzie tak sobie nabije bandzioch, że można będzie na nim rozgniatać pchły paznokciem. Na kawałek jeszcze nie całkiem spleśniałego chleba układa starannie masło, kiełbasę, ser i sardynki, jedno na drugim.

– Zupełnie jak budowa wieży Babel – wyraża mu uznanie Jednotancerz. Ario wie, jak powinien zareagować na to uznanie, i obojętnie nakłada na to wszystko jeszcze grubą warstwę musztardy. Ciamkanie i glamanie. Czerstwy, suchy chleb wymaga odpowiedniej pracy mięśni żuchwy.

– Zawsze jeszcze lepsze niż ten gnój z puszek – bełkocze Ario.

Tę gęstą papkę splukuje wreszcie czerwonożółtą herbatą. Gęby błyszczą od tłuszczu: kanibale przy swoich miskach. Nogi na przekładankę, tak jak w przedziale kolejowym. Od czasu do czasu Ario udowadnia beknięciem, jak mu smakuje. Butelka z sokiem jabłkowym krąży od jednego do drugiego.

Niektórzy przygotowują się do zmiany wachty i odchodzą w kierunku rufy. Po pewnej chwili otwiera się właz. Zataczając się, wchodzi czerwono włosy Markus. W swoim trykocie w poprzeczne granatowo-białe paski wygląda jak zapaśnik z lat osiemdziesiątych. Wraz z nim wpada do pomieszczenia smród diesli i miesza się z kwaśnym odorem. Najpierw Markus zajmuje się wygłaszaniem odpowiednich porównań w związku z oświetleniem, potem ściąga poplamiony smarem trykot przez głowę. Zatacza się przy tym, jakby był pijany. Wreszcie całym swoim ciężarem jak znokautowany bokser pada w lukę między swymi kolegami. Ario oburzony szturcha go w bok. Ale Markus nie reaguje. Żując, oświadcza: – F. C. Hertha przegrała... słyszeliśmy przez radio. Nawsuwali im pięć do zera! – Do przerwy trzy do zera. Teraz nie mają już żadnej szansy na półfinał!

– Coś takiego!

– Do diabła!

F. C. Hertha przegrała, a sztorm, co nami trzęsie, przegrywa natychmiast swoją walkę z nami.

Zaraz rozwija się gwałtowna debata: – I to właśnie F. C. Hertha! Nawet bez honorowej bramki! Można się wściec!

Wydaje się, że Aria to drażni. Mówi przekornie: – Tak, to naprawdę wzruszające, jak

się nie ma poważniejszych zmartwień!

Gdy po kwadransie temat zostaje całkowicie wyczerpany, towarzystwo dowiaduje się od Aria, że Benjamin nosi się z zamiarem małżeństwa. Wybucho wielki ryk. Ze wszystkich stron na Benjaminą spadają docinki: – Uspokój się!... Tobie chyba szajba odbiła, takiego jak ty powinni prowadzić po ZOO i urządzać krzyżówki z szympanсами... Biedna kobieta!... A fe!

Benjamin wpada w prawdziwą złość i wrzeszczy: – Teraz dam po mordzie!

Ario musi użyć całej swej sztuki przekonywania, by go wreszcie uspokoić. W końcu ostrożnymi zwrotami krasomówczymi doprowadza go nawet do tego, że Benjamin wyjmując z szafki podniszczony portfel, z którego wydobywa całą serię zdjęć omawianej damy. Jednotancerz szybkim chwytem wyrywa te zdjęcia. Zanim zaczął podawać je pojedynczo dalej, komentuje każde: – Co za karoseria!... Marka do użytku domowego!... Ratunku, jestem niewinna!... Głupie rzną się dobrze!... Skromnie, ale bez smaku! – Gdy już nie ma nic więcej w ręku, zwraca się z udanym zdziwieniem do Benjaminą i mówi: – Ty chyba nie chcesz na serio twierdzić, że ten sfatygowany materac da się ciupciać? – Ale Benjamin w ogóle go nie słyszy, robi rozpaczliwe wysiłki, by odebrać zdjęcia. Przy tym przewraca się imbryk. Między wierzgającymi nogami na podłodze szybko wytwarza się straszliwy bałagan: kawałki chleba, plasterki kiełbasy, puszki po sardynkach i splątane ręce. Dopiero mat mechaników torpedowych i starszy kubryku dziobowego musi ze swej koi rzucić paroma przekleństwami, by rozróżba się skończyła.

Benjamin, jakkolwiek odebrał wszystkie zdjęcia, nadal zachowuje się napastliwie. Teraz to już na pewno gra. Sprawia przy tym wrażenie, jakby potajemnie nie był wcale niezadowolony z takiej awantury o damę swego serca. Benjamin uwodziciel.

Przez pięć minut słychać tylko mlaskanie i żucie.

Właz znowu się otwiera.

– Do diabła, jak tu w tej izbie wygląda! – oburza się ten z pomostu i otrząsa wodę z twarzy i rąk.

Odpowiada mu ryk śmiechu.

– Powtórz to jeszcze raz! – szydzi Fackler.

– W izbie! Jak wygląda w tej izbie! – Jednotancerz naśladuje przybyłego i mówi: – Tobie pewnie na mózg padło! – Długo nie może się uspokoić: – Oj, ludzie, ludzie, to jest sposób wyrażania się: „w izbie”. Prawie takie ładne, jak „przynieść kule z piwnicy”.

– Jakie kule z piwnicy? – chce się dowiedzieć Fackler.

– To powiedział jeden taki podczas ostatniej potyczki artyleryjskiej. Nie wiedziałeś?

„Przynieść kule z piwnicy” powiedział, zamiast: „Podać granaty z komory amunicyjnej”!

Bezradny uśmiech pojawia się na twarzy tego z pomostu. Jest on tak okrągły, że można byłoby domyślać się w nim raczej kucharza okrętowego niż marynarza. Wciąż wykrzywia twarz. Czarna bródka jest na niej jedynym stałym miejscem. Na pewno jest spokojnym, dobrodusznym człowiekiem, bowiem nie obraża się, tylko szuka bez słowa miejsca w towarzystwie. Z trudem wciska się w jakąś lukę.

– Nie rozpychaj się tak! – wymyśla teraz Fackler. Ale ten z pomostu uśmiecha się tylko życzliwie. Za to Fackler wpada w złość: – Z ciebie to jest komiczna kupa galarety... prawdziwy durny pomnik z galarety.

Jednotancerz szturcha biedaka w bok i mówi doń uspokajającym, pastorskim tonem: – Chodź, nie daj się denerwować brzydkim chłopakom! – Nagle woła głośno: – Gdzie jest filiżanka ze złotym brzeżkiem? Nasz gość powinien pić ze złotej filiżanki! – Ten z pomostu demonstruje, jak można jednocześnie się uśmiechać i żuć. Od czasu do czasu wydyma policzki i powstrzymuje bekanie.

– Nie zadawaj sobie trudu – drażni go znowu Fackler. – Z ciebie jest komiczny puchacz: pierdzieć jak dziki osioł to możesz, ale bekanie uważasz za nieeleganckie!

I tu, jakby mu się skończył zapas docinków, Fackler wstaje. Gdy chce się rzucić na swoją koję, widzi, że leży tam mokra gumowa kurtka i pulower.

– Co robią tu te zasrane pieluchy na koi? – parska ze złością.

– Czują się dobrze! – odpowiada niewzruszony ten z pomostu i wreszcie beka przeciągle.

– Człowieku, uważaj. U Spartan już od dawna by cię wynieśli w krzaki i pozwolili ci zdechnąć!

– Wykształcony! – szydzi Ario. – Niech mnie diabli, tu jakiś rzuca Spartanami.

Przez chwilę panuje spokój. Za to łomotanie kotła między rurami torpedowymi i mlaskanie jedzących słychać głośnie.

Torpedysta Dunlop wchodzi w czerwone światło lampy i coś tam grzebie przy bakiście. Ukazuje się mnóstwo butelek. Szukamy przedmiot musi leżeć gdzieś z tyłu.

– Czego szukasz? – pyta wreszcie Fackler ze swojej koi.

– Mojego kremu do twarzy!

Jakby to było oczekiwane hasło dla całej bandy, wszyscy zaczynają krzyczeć jeden przez drugiego: – Patrzcie no na tego słodkiego czyścioszka... Zaraz namaści swe alabastrowe ciało!... Proszę, proszę, proszę, tylko nie rób mnie pedziem!

Torpedysta wrzeszczy wściekły: – Wy, buce, nie macie pojęcia, że istnieje coś takiego

jak higiena!

– Ach, dobra, dobra, tylko nie podskakuj!... Reklama higieny tu, na łajbie, chyba ci odbiło?... No patrzcie tylko na niego: pieprzy o higienie, a kutas już mu sparcił z brudu!... Właśnie ty, głupia małpo, musisz mówić o higienie! To lubię: zapaskudzony jak świnia i jeszcze paćka się smarem... to nazywasz higieną!

Starszy dziobowego ryczy: – Do najjaśniejszych piorunów, czy tu będzie spokój, czy nie?

– Nie! – mówi Ario, ale tak cicho, że mat mechaników torpedowych nie słyszy tego na swojej koi.

WTOREK. Fala coraz większa. Okręt zapada się tak raptownie, że mnie zatyka. Gwałtowne drżenie przenosi się do wszystkich nitów i trwa pół minuty. Mam wrażenie, że dziobowa część okrętu w ogóle się nie wyswobodzi, tak głęboko utknęła w jakiejś fali. Okręt przetacza się z prawej na lewą, czuję wyraźnie, jak próbuje uciec w bok... wreszcie dziób się podnosi, śruby zaczynają normalnie wirować, wygląda to tak, jakby rozluźnił się jakiś chwyt.

Próbuję zachować śniadanie w sobie i nawet pisać. Ale znowu pomieszczenie tak szybko opada w dół, że podnosi mi żołądek. Całą siłą trzymamy się różnych przedmiotów, ponieważ doświadczenie uczy, że raptowny zjazd w dół kończy się mocnym szarpnięciem. Jednak tym razem okrętowi jakoś się udaje ześliznąć. Śruby znowu gwałtownie drą wodę.

Obiad składa się z kielbasy i chleba. Ciepłe jedzenie skreślono z programu. Jest tylko zimne żarcie z puszki, bo kuk nie może już utrzymać swoich garnków na kuchni. To cud, że mu się udaje dostarczać nam przynajmniej gorącej herbaty lub kawy. I ciągle jest jeszcze kawa o północy. Kucharz rzeczywiście robi, co może, jest to twardy chłopak.

Po południu dowódca wspina się na górę. Wciągnął gruby pulower pod ubranie sztormowe. Zamiast zjudwestki ma kaptur gumowy, który dokładnie przylega do głowy, z otworami tylko na oczy, usta i nos.

Nie mija pięć minut, gdy dowódca, ociekając wodą i miotając niezrozumiałe przekleństwa, znowu zjawia się między nami. Mrukliwie dobywa się z mokrych gumowych ciuchów, ściąga pulower przez głowę i pokazuje mi wielką, ciemną plamę wody, która w tym krótkim czasie, gdy był na górze, utworzyła się na jego koszuli. Sapiąc, opada na skrzynię z mapami, a marynarz z centrali ściąga mu gumowe buty. Woda chlusta z cholew i znika w zęzie.

Podczas gdy dowódca wyżyma skarpetki, mokre jak zmywaki, z góry spada potok wody, syczy na płytach podłogi, przemieszczając się w różnych kierunkach, i znajduje w

końcu ujście w zęcie.

– Włączyć pompę zęzową! – rozkazuje dowódca, podskakuje boso po mokrych płytach podłogi, przechodzi przez właz w grodzi i zawiesza mokre ubranie do wyschnięcia nad świecącym czerwono piecykiem w przedziale podsłuchu.

Starszemu sternikowi, który chce się za nim precyzyjnie, przekazuje swoje spostrzeżenia: – Wiatr skręca na lewo. Jak do tej pory, całkiem zgodnie z programem.

A więc prawidłowy sztorm, który zachowuje się zgodnie z przewidywaniami.

– Czy trzeba utrzymywać kurs? – pyta starszy sternik.

– Musimy!... Jak długo jeszcze się uda... W każdym razie... jeszcze się przecież udaje!

Niby kontrargument, przy gwałtownym przechyle z przedziału podsłuchu wylatuje kufer od harmonii. Potężna skrzynia wali z trzaskiem w przeciwną ścianę.

– Mam nadzieję, że pusty – mówi dowódca. Nagle kufer jak wystrzelony z procy rąbie w drugą ścianę, pęka i wyrzuca z siebie zawartość. Główny mechanik wysadza głowę, patrzy z zaciekawionym i nieco zaniepokojonym, i stwierdza zdecydowanie: – Od tego lepsza nie będzie!

Marynarz z centrali zbliża się, bardziej pełznąco niż biegnąc, i zbiera szczątki futerału wraz z harmonią.

Dowódca chwiejnie przedziera się do mesy O i wciska w swój kącik przy węższym boku stołu. Mości się tam, zamyka na parę sekund powieki, jakby musiał się dokładnie zastanowić, jak poprzednio umieszczał kończyny, i wypróbować potem najróżnorodniejsze pozycje, aż wreszcie znajduje tyle oparcia, że przy następnym przechyle nie zostaje wyrzucony z siedzenia.

Wszyscy trzej zwiesili głowy nad naszymi książkami. Po chwili dowódca podnosi oczy: – Niech pan to przeczyta! Tutaj, to dokładnie pasuje!

Znajduję wskazane miejsce i czytam:

„Kaprysy wiatrów, podobnie jak samowola ludzi, pociągają za sobą zgubne skutki, wpływające z pobłażania samemu sobie. Długotrwały gniew Wiatru Zachodniego, jego poczucie nieokiełznanej potęgi psuje szczerą i szlachetną jego naturę. Wygląda to, jakby serce władcy zostało wynaturzone przez złośliwy, potężny gniew. Monarcha pustoszy własne królestwo, marnotrawiąc swawolnie siły. Północny zachód jest częścią nieba, gdzie pokazuje pochmurne czoło. Daje folgę wściekłości wśród straszliwych szkwałów i przytłacza swe państwo kotłowaniną nieprzebranych chmur. Rzuca ziarno niepokoju na pokłady pędzących statków, postarza ocean, pokrywając go pręgami piany i nakrapia siwymi włosami głowy kapitanów na statkach, które wracają do kraju, zmierzając ku Kanałowi Angielskiemu. Wiatr Zachodni z południowo-zachodniej strony sprawuje często władzę jak oszalały monarcha,

pędząc przed sobą wśród dzikich przekleństw najwierniejszych dworzan na rozbitcie, klęskę i śmierć.”.

Spoglądam na stronę tytułową: Joseph Conrad – „Zwierciadło morza”.

ŚRODA. – Ta parszywa pogoda ma jednak coś dobrego – mówi Stary. – Teraz przynajmniej lotników mamy z głowy!

Prawie nie można spać w nocy. Moja koja usiłowała mnie wyrzucić przez kratę albo potoczyć w górę po ścianie z dykty. Dwa razy wyłaziłem z niej, bo nie mogłem już wytrzymać. Teraz czuję się tak, jakbym tydzień nie spał.

Sztorm nie wykazuje najmniejszej skłonności do słabnięcia. Dzień mija mi w tępych odrętwieniu. Cała załoga coraz bardziej zapada w apatię.

CZWARTEK. Dowódca odczytuje samemu sobie ostatnie słowa tekstu, który wpisał do dziennika działań bojowych: „Wiatr południowo-zachodni, 9-10. Stan morza 9. Mglisto. Barometr 711,5. Silne szkwały”.

„Mglisto” – zwykle pomniejszanie. Gdyby Stary napisał „łaźnia parowa”, bardziej by to odpowiadało rzeczywistości. Na górze wygląda mianowicie tak, jakby ilość żywołów chciała się zmniejszyć przez połączenie wody i powietrza. Sztorm jeszcze spotęźniał. Dokładnie tak, jak Stary przewidywał.

Zdejmuję z haka moje ubranie sztormowe, związuję sobie jak zwykle ręcznik pod szyją, przynoszę gumowe buty z przedziału podsłuchu, gdzie się suszyły przed elektrycznym słońcem. Chcę iść na wachtę ze starszym sternikiem. Gdy już jeden but mam na pół wciągnięty na nogę, podłoga ucieka mi spod stóp. Toczę się w przejściu jak chrabąszcz przewrócony na plecy. Gdy wreszcie udaje mi się stanąć na nogach, kolejne szarpnięcie przewraca mnie znowu. Wreszcie, bez tchu, opierając się o przewody wody chłodzącej, podnoszę się z podłogi.

Buty są wewnątrz mokre. Obrzmiała stopa nie chce przejść przez cholewę. Na stojąco się to nie uda, więc próbuję siedząc. No, jakoś idzie. Kto by powiedział! Dlaczego nie od razu? Następny przechył odsłania całkowicie kotarę przedziału dowódcy. Dowódca tworzy dziennik działań bojowych. Teraz gryzie ołówkę. Zdanie, które napisał, z pewnością ma o jedno słowo za dużo. Stary robi to zawsze tak, jakby układał telegram do wysłania za ocean, gdy każde słowo kosztuje majątek.

Teraz spodnie przeciwsztormowe na buty. Również spodnie są mokre wewnątrz. Wyczyniam mnóstwo skrętów, zanim udaje mi się podciągnąć je do kolan. No, unieś już tyłek

i na nogi! Te cholerne portki opierają się nawet teraz. Jestem cały mokry od potu, kiedy wreszcie udaje mi się wciągnąć je do końca.

Teraz gumowana kurtka. Pije pod pachami, bo mam dwa pulowery na sobie. Na górze jest podobno bardzo zimno. W końcu to już listopad i całkiem daleko na północy. Powinienem się znowu zorientować na mapie. Musimy być gdzieś koło sześćdziesiątego równoleżnika. Prawdopodobnie już blisko Islandii. A przecież mieliśmy najpierw przejść na wysokość Lizbony.

Teraz zjudwestka. Jest całkiem mokra w środku. Przechodzi mnie dreszcz od wilgotnego dotknięcia skóry głowy. Tasiemki są zasupłane i tak napęczniałe od wody, że nie dają się rozwiązać.

Dowódca przestaje tworzyć swą telegraficzną poezję, wstaje, wyciąga się, widzi, jak pracuję nad supłem tasiemki, i docina ironicznie: – Ciężkie życie na morzu, co? – a potem woła: – Ho, ho! – bowiem gwałtowne szarpnięcie okrętu niemal go przewraca.

Wszystko, co wisi, oddala się ukośnie od ścian. Para morskich butów jeździ w tę i nazad. Przez właz przechodzę jeszcze elegancko, ale w centrali chwyta mnie ruch w przeciwnym kierunku: nie trafiam na niską listwę przy stole nakresowym, tracę równowagę i siadam mocno na przewód wody i szasu. A wtedy Stary intonuje znowu swój kretyński wierszyk: „Uważaj, moja miła, byś się nie przewróciła”. Musi to być stary przebój... jeden z tych, co były modne jeszcze przed moimi czasami.

Teraz pomieszczenie zatacza się na lewo. Lecę na wysklepioną haubę żyrokompasu, ale potem łapię się trapu do włazu kiosku. Stary twierdzi, że widział kiedyś kubańską rumbę, ale to było gównem w porównaniu z moim osiągnięciem. Kpiącym tonem potwierdza moje uzdolnienia taneczne: – ...przede wszystkim do tańców ludowych i tubylczych!

Stary, to trzeba mu przyznać, ma doświadczenie. Kiedy zaczyna się chwiać, błyskawicznie kątem oka wyszukuje odpowiednie miejsce lądowania. Pomaga ruchowi nadanemu przez przechył okrętu, sterując zręcznie, i siada z rozważą. Zazwyczaj rozgląda się potem obojętnie, jakby właśnie w tej chwili nie miał innego zamiaru, niż usiąść na skrzyni z mapami.

Ociekając wodą, schodzi z góry drugi oficer. Potężna fontanna leje się za nim. Bez tchu melduje: – Morświn przeskoczył nam nad działem, dokładnie nad nim! Po lewej burcie mieliśmy taką stromą falę, a morświn wypadł jak ze ściany tuż nad działem! Wprost nieprawdopodobne!

Zakładam na siebie jeszcze szeroki pas z ciężkim hakiem karabińczyka i wspinam się na górę. W kiosku jest ciemno. Tylko tarcze instrumentów w sterówce świecą mętnie. Nade

mną na pomoście bulgocze woda. Czekam parę sekund, aż bulgotanie osłabnie, następnie szybko, jak tylko mogę, wypycham ciężką pokrywą luku, wyłażę na wierzch i znowu zamykam luk. Zrobione! Ale już muszę się chować za osłoną pomostu przed następną syczącą falą. Wodospad wali mnie w plecy, szarpiące strumienie Wirują wokół moich nóg. Nim zdołały mnie porwać, zaczepiam karabińczyk o obudowę przyrządów optycznych i wciskam się między studzienkę peryskopu a ścianę pomostu.

Dopiero teraz mogę odważyć się na spojrzenie ponad osłoną: mój Boże, nie ma już morza! Moje oczy wędrują po szarobiałym, matowym, drżącym śnieżnym krajobrazie, z którego pagórków wiatr wzbija śnieżną pianę. Poprzez biel biegną ciemne rysy, czarne pręgi, które drgają i tworzą wciąż nowe układy. Nie ma już sklepienia nieba, tylko płaski szary talerz, który leży prawie dokładnie na szarobiałej pustyni.

Powietrze jest oparem leżącej słonej wody. Jest to agresywna mgła, która zaczerwienia oczy, oblepia dłonie i szybko wyługowuje ciepło z ciała.

Teraz z potoków piany wytacza się gnuśnie okrągły brzuch naszego balastu. Fala, która nas wyniosła, zaczyna opadać, okręt skłania się coraz bardziej na lewo i trwa w skrajnym przechyle przez kilka sekund, jednocześnie zanurzając się coraz głębiej.

Jedna białą prążkowana fala po drugiej pędzi na nasz okręt. Od czasu do czasu wyskakuje jakaś, przerastająca wszystkie inne potężną grzywą piany. Tuż pod okrętem front wody zaczyna tworzyć tunel, najpierw powoli, potem coraz prędzej i wreszcie załamuje się i wali jak potężny młot w część dziobową.

– Uwaga, zero! – ryczy starszy sternik. Teraz gejzer tryska przy kiosku i załamuje się nad nami. Cios w ramiona, potem woda, bulgocząc, podnosi się od dołu aż do brzucha. Pomost drży i dygocze. Gwałtowne wstrząsy przebiegają przez okręt. Wreszcie dziób wyrwa się z piany. Starszy sternik ryczy: – Uważać... może łatwo... zmyć z pomostu!

Przez parę chwil okręt pędzi w dolinie. Białe góry fal zamykają widok. Potem zostajemy znowu wyniesieni wysoko; okręt ślizga się po olbrzymiej stromiźnie. Otwiera się pole widzenia, okręt wychodzi coraz wyżej. Pole widzenia coraz większe, okręt jest teraz na spienionej grzywie fali i możemy oglądać sztormowe morze jak z wieży widokowej. To już nie jest stary, ciemnozielony Atlantyk, tylko morze jakiejś planety, która drga w dreszczach tworzenia.

Czas wachty na pomoście skrócono o połowę. To jest górna granica. Po dwóch godzinach uników wpatrywania się w morze i kolejnych uników człowiek jest wykończony. Cieszę się, że przy zmianie wachty mogę jeszcze powłóczyć nogami na tyle, by zejść do wnętrza okrętu. Czterogodzinnej wachty w tych warunkach nikt by nie wytrzymał.

Jestem tak wyczerpany, że najchętniej rzuciłbym się w mokrych ciuchach na płyty podłogi. Wszystko, co się dookoła dzieje, odbieram tępo, jak przez mgłę.

Mam zapalenie spojówek, czuję każde poruszenie powieką. Najlepiej zamknąć oczy, położyć się, wyciągnąć wszystkie cztery kończyny. Zaraz tutaj, w centrali. Jednak moja świadomość jeszcze jakoś funkcjonuje. Każe mi posterować ku rufie. Gdy podnoszę prawą nogę, by przejść przez właz, mam ochotę ryczeć z bólu. O nieba, jestem wykończony.

Ściąganie ubrania jest możliwe tylko z długimi przerwami. Muszę zaciskać zęby, by nie jęczeć głośno. A najgorsze: ta gimnastyka z włazieniem na koję. Nie ma drabinki jak w wagonie sypialnym. Wymach prawej nogi, odbicie się lewą stopą... mam łzy w oczach, gdy wreszcie już leżę.

Mija cały tydzień sztormu, jak długo ma to trwać? Niewiarygodne, że nasze ciała jeszcze znoszą te tortury: nikt nie ma reumatyzmu, ischiasu, lumbago, szkorbutu, sraczki, kolki, zatwardzenia, żadnych poważniejszych zapaleń. Według wszelkich pozorów jesteśmy zdrowi i odporni jak nasza mucha.

PIĄTEK. Dzień spędzony w tępych półśnie i mozolnym czytaniu. Leżę na koi. Z centrali słyszę ostry łoskot zlatującej z góry wody. Właz kiosku jest z pewnością zamknięty, ale nie zaśrubowany. Tak więc, gdy wanna kiosku jest pełna, stale się leją potoki wody.

Zjawia się starszy sternik i oświadcza, że nowego marynarza na jego wachcie bardzo ciężko chwyciło: – Siedzi na podłodze i rzyga, i rzyga...

Ku mojemu zdumieniu starszy sternik urozmaica swoje słowa pantomimicznymi gestami. Dowiadujemy się od niego również, że jeden z motorzystów zrobił wynalazek, który ma ogromne powodzenie – na sznurku na szyi zawiesił sobie puszkę po konserwach jak maskę gazową. – Już trzech ludzi za jego przykładem chodzi z „rzygalnymi puszkami” – mówi do mnie starszy sternik, bez najmniejszego odcienia kpiny.

Nawet pięciu minut nie mogę leżeć w jednej pozycji. Lewą ręką trzymam się szczebelków koi i układam ciało w ten sposób, żebym mógł się zaprzeć plecami o ścianę. Jednak rychło chłód żelaza przenika przez cienką warstwę drewna, a również krata koi wprowadza zimny prąd do mojej ręki.

Właz do kambuza otwiera się. Zwiększa się ciśnienie w uszach i wszystkie dźwięki natychmiast stają się mniej wyraziste: kłapy doprowadzające powietrze do silników są zatłkane w ciężkiej fali. Diesle nie otrzymują już powietrza przez szyby wlotowe. Podciśnienie... Nadciśnienie. Bębenki uszne wciśnięte do środka, wypchnięte na zewnątrz – w

tej sytuacji nikt nie mógłby spać. Przewracam się na brzuch i żeby mieć lepsze oparcie, kładę lewe ramię na kracie koi. Nie trwa długo, gdy schodzący z warty palacz przechodzi przez pomieszczenie i całym ciężarem uderza mnie w ramię.

– Au!

– Co jest? Ach tak... Przepraszam!

Koja, która najpierw wydawała mi się taka wąska, jest teraz o wiele za szeroka. Mimo że wypróbuję najróżnorodniejsze pozycje, nie znajduję właściwej. Najpierw leżę nadal na brzuchu i rozkraczam nogi jak zapaśnik, który nie chce dać się przekreślić na plecy. O spaniu nie można przy tym myśleć.

Po godzinie wpadam na pomysł, by wcisnąć zagłówek między kratę koi a moje ciało. Niezbyt pasuje, ale gdy obrócić go węższą stroną do góry, jakoś to funkcjonuje. Teraz leżę wciśnięty między drewnianą ścianą a zagłówkiem, jak w jakimś etui. Zdaje się, że tak jest nieźle.

Widzę samego siebie jak litografię w atlasie anatomicznym z odpowiednimi cyferkami na poszczególnych wiązках mięśni: pożytek z kursów anatomii – przynajmniej wiem teraz, jak się nazywa każdy mięsień, który mnie właśnie boli. Zazwyczaj noszę te włókniste paczki mięsa na kościach, czuję zadowolenie, gdy się ściągają i znowu rozluźniają – jest to samodzielna, użyteczna dla mnie instalacja, rozsądnie zaplanowana i pracująca bez zakłóceń – ale teraz całe urządzenie nie chce funkcjonować, buntuje się, robi trouble, wysyła sygnały ostrzegawcze: tu ukłucie, tam znowu ćmiący ból. Wiele części tego aparatu ruchu czuję dopiero po raz pierwszy w życiu: platyzmę, na przykład, która jest potrzebna do ruchów głowy. Mięsień psoas do poruszania nóg w stawie biodrowym. Najmniej przykrości sprawiają mi bicepsy. Są wytrenowane. Ale z pectoralisem już się zaczyna: musiałem leżeć skrzyżony, bo skąd by mnie tak bolało!

SOBOTA. Notuję w niebieskim szkolnym zeszycie: Bez sensu – korkociągi na środku Atlantyku. Nieprzyjaciela ani śladu. Wrażenie, że jesteśmy jedynym okrętem na świecie. Smród zęzy i rzygowin. D-ca uważa pogodę za całkiem normalną. Gada jak stary żeglarz, który opłynął Cap Horn.

NIEDZIELA. Codzienne próbne zanurzenie, odczuwane przedtem jako dokuczliwość, jest teraz dobrodziejstwem. Tęsknimy za paroma minutami odprężenia mięśni, jakie nam ono daje: wreszcie się wyciągnąć, wreszcie się rozluźnić, wreszcie głęboko oddychać, nie musieć się kurczyć i trzymać, człowiek znowu może stać swobodnie i prosto – odprężony.

Rytuał zaczyna się od rozkazu: „Przygotować się do zanurzenia”. „Otworzyć odwietrzniki” – to następna komenda. Czif stanął za obydwoma sternikami głębokości. Ci z centrali, którzy czuwają przy odwietrznikach balastów, meldują: – Jeden!... Trzy obustronnie!... Pięć!

Główny mechanik woła w głąb kiosku: – Odwietrzniki otwarte!

– Napełniać! – słysząc głos drugiego owu z góry.

– Napełniać! – powtarza główny mechanik. Teraz ci z centrali ciągną odwietrzniki.

– Dziób mocno w dół, rufa średnio! – rozkazuje główny mechanik sternikom głębokości. Przy „średnio” musi podnieść głos, by przekrzyczeć szum wody, wpadającej do balastów. Na piętnastu metrach głębokości główny mechanik każe opróżnić zbiornik wyrównawczy. Zamiast huku fal słyszymy teraz sapanie sprężonego powietrza i zaraz potem ryk wody wyciskanej ze zbiornika.

Na głębokości trzydziestu pięciu metrów wskazówka głębokościomierza zatrzymuje się. Okręt leży prawie na równej stepce, ale porusza się jeszcze tak gwałtownie, że ołówek na pulpicie toczy się to w jedną, to w drugą stronę.

Główny mechanik każe zamknąć odwietrzniki balastów, a dowódca rozkazuje: – Wysterować na czterdzieści pięć metrów! – Ale również na czterdziestu pięciu metrach głębokości okręt nie leży jeszcze spokojnie. Stary zajmuje swoje zwykłe miejsce, opierając się plecami o studzienkę peryskopu. – Zejść na pięćdziesiąt metrów! – A po chwili: – Tak, teraz, zdaje się, mamy spokój.

Co za ulga! Tortura się skończyła. Przynajmniej na godzinę, jeśli mogę się zorientować ze wskazówek, jakie Stary dawał głównemu mechanikowi.

Głowę mam jeszcze pełną szumu i brzęku, jakbym trzymał wielkie muszle morskie przy uszach. Ale stopniowo wszystko zaczyna się uciszać w mojej skołatanej czaszce.

Teraz nie tracić ani minuty: szybko na koję. Jezu, jak boli! Robię się całkiem ciężki – sztywno wyciągnięte ramiona układam równoległe do tułowia, a wewnątrz dłoni zwracam ku materacowi. Opuszczając podbródek, mogę widzieć, jak moja klatka piersiowa podnosi się i opada. Mimo że dziś jeszcze nie byłem na pomoście, oczy mnie pieką. To nie są przecież oczy rybie, przystosowane do patrzenia przez słoną wodę. Wciągam wargi między zęby i smakuję ból. Oblizuję usta i czuję jeszcze więcej soli. Prawdopodobnie na całym ciele mam sól. Przecież morska woda wpełza wszędzie. Jestem dobrze nasolony, jak peklowana szynka albo kasselskie żeberko... Kasselskie żeberko! Z kwaszoną kapustą, listkami bobkowymi, ziarnkami pieprzu i dużą ilością czosnku. Na smalcu gęsim smakuje jeszcze lepiej, a z kieliszkiem sektu to już wielka klasa. Komiczne: ledwie się skończyła ta wywracająca

żołądek skakanka, zjawia się znowu apetyt. Jak długo właściwie nic nie jadłem?

Pięknie jest na mojej koi. Nigdy nie wiedziałem, jak wspaniałe może być leżenie. Rozpłaszczam się jak deska i każdym centymetrem mojej odwrotnej strony wyczuwam materac, również potylicą, ramionami, wnętrzem dłoni. Teraz poruszam palcami prawej nogi, następnie lewej, wyciągam prawą nogę, później lewą. Rosnę, robię się coraz dłuższy. W głośniku smaży się słonina, potem takie dźwięki jakby ktoś bulgotał, i wreszcie zaczyna się... jedna z płyt, które sam Stary przyniósł na pokład:

*Sous ma porte cochère
chante un accordèon,
musique familière
des anciennes chansons.
Et foublie la misère
quand vient l'accordèon,
sous la porte cochère
de ma vieille maison...*

Od swojej donny, tej od zielonego atramentu, myślę sobie, tej płyty nie dostał. Skąd ta płyta pochodzi, mogę się tylko domyślać. Stary... czyżby jednak cicha woda?

Nagle wchodzi Isenberg i melduje, że nakryto do stołu.

– Już?

Dowiaduję się, że Stary przełożył obiad o godzinę, byśmy go mogli skosztować w spokoju.

Zaraz pojawią się kłopoty z trawieniem. Dobrze jest jeść w spokoju... ale jak mamy się pozbyć nie strawionych resztek przy tej skakance? Panicznie boję się „trytonu”.

Moje zastrzeżenia wydają się obce Staremu. Pochłania ogromne kęsy galarety z głowizny, na które nakłada grube warstwy musztardy. Do tego są ogórki, cebula i chleb z puszek. Pierwszy oficer sekuje z niezwykłą starannością wydobyty z galarety kawałek brodawki z paroma białymi włoskami na niej i odsuwa ją z obrzydzeniem na brzeg talerza.

– Źle ogolone są te zwierzaki! – mówi na to Stary i dodaje, żując z zapałem: – Brak tu piwa i smażonych kartofli!

Zamiast wytęsknionego piwa stołowy przynosi herbatę. Drugi oficer chce sobie wcisnąć gorący imbryk między uda, nagle przychodzi na niego olśnienie, że nie jest to już potrzebne, i teatralnie uderza się lewą dłonią w czoło.

Stary przedłuża czas zanurzenia na dalsze dwadzieścia minut: „Bo jest niedziela!”

Matowie w mesie P wykorzystują spokojne pływanie pod wodą w swój zwykły sposób. Frensen opowiada, jak będąc na ostatnim urlopie, z powodu nalotu dojechał tylko do Strasburga i natychmiast znalazł się w burdelu.

Leżę na koi, kiedy zaczynamy się wynurzać. Tak więc wyczuwam całym ciałem, jak okręt tylko lekko się porusza. Potem czuję się jak kierowca, któremu w zimie na zakręcie urwały się tylne koła w samochodzie. I już całe pomieszczenie zaczyna się kiwać. Słyszę pierwszą falę, która uderza jak potężna łapa. Jesteśmy na powierzchni i taniec świętego Wita zaczyna się znowu.

Hałas z centrali. Wachtowy klnie, ponieważ z góry bez przerwy leje się woda.

Przeciskam się przez właz w grodzi. Gdy mat mnie widzi, zaczyna na nowo: – Cholerne świństwo! Niedługo człowiek już nigdzie nie będzie tu bezpieczny!

PONIEDZIAŁEK. Sanitariusz ma robotę. Paru ludzi jest skaleczonych. Stłuczenia, przytrzaśnięte palce, jeden fioletowy od uderzenia paznokiec, podeszłe krwią pęcherze – nic poważnego. Jakiś marynarz walnął głową w echosondę. Rana tłuczona wygląda brzydko.

– Ładny pasztet! Mam nadzieję, że sanitariusz da sobie radę, inaczej ja będę się musiał za to wziąć! – mówi Stary.

Przygotowuję się na wachtę drugiego oficera od godziny szesnastej. Jeden z wachtowych zapadł na morską chorobę. Za niego mam wskoczyć ja.

Zanim jeszcze zdążyłem podnieść pokrywę włazu, jestem już mokry jak pudel. Jak najszybciej wciskam się między studzienkę peryskopu a osłonę pomostu i zaczepiam karabińczyk mojego pasa. Potem dopiero próbuję się wyprostować, by spojrzeć ponad osłonę.

Widok zapiera mi dech w piersi. Jeden tumult! Fale przeskakują przez siebie. Padają sobie na plecy i pożerają się nawzajem.

Okręt tkwi właśnie na grzbiecie potężnej fali: olbrzymi wieloryb wziął go na barana. Przez sekundy widzę prastary morski pejzaż jak z gondoli diabelskiego młyna. Teraz okręt zaczyna się zataczać, a dziób przesuwają się to w jedną, to w drugą stronę, jakby chciał znaleźć cel, ale już zaczyna pędem zjeżdżać w dół. Nim zdążył się wyprostować w dolinie, spada na nas ciężarem wieluset ton druga olbrzymia fala, wali z wariackim hukiem w górny pokład, rzuca nas na kolana, przykrywa całkowicie, szarpie i pcha nasze ciała. Trwa całą wieczność, nim okręt wyrwie się spod niej. Tylko na mgnienie oka widać dziobową część okrętu na całej długości, zaraz wali w nią następna fala.

Niebawem zaczyna piec mnie kark. Sztywny kołnierzyk kurtki ociera skórę na szyi.

Słona woda zaostrza ból, pali jak kwas.

Na lewym nadgarstku mam ranę ciętą. Póki słona woda dostaje się tam, rana nie może się wygoić. Słony rosół rozpuszcza nas i pożera stopniowo. Niech go diabli wezmą!

I do tego – ten ostry, zimny wiatr Rozrywa białą skórę fal i rozrzuca ją płasko. Z bryzgów wody robi śrut. Kiedy przelatują nad pomostem, musimy się chować.

Drugi oficer odwraca się. Na jego schłostanej do czerwoności twarzy pojawia się uśmiech. Mam nadzieję, że drugi nie jest człowiekiem, na którym ta huśtawka robiłaby wrażenie. Poprzez szum i ostry syk ryczy do mnie: – To byłby ubaw... przy takiej pogodzie nie mieć okrętu pod nogami!

Syk fal jest ostry jak prychanie tygrysa.

Ale drugiemu udaje się jednak przekrzyknąć to prychanie: – Woda... woda, nic tylko woda! I nie ma nawet szmaty do wytarcia!

Nie mam ochoty przekrzykiwać syczenia i prychania. Tak więc pukam się tylko w czoło, gdy drugi spogląda w moją stronę.

Ilekoć podniosę lornetę do oczu, woda leje mi się wzdłuż ramion. Ta męczarnia z gumowym ubraniem i ta trzykroć przeklęta męczarnia ze szklami! Przeważnie na pomoście nie ma ani jednej lornety, ponieważ wszystkie są zapotniałe od słonej wody. W centrali bez przerwy majstruje się przy nich, ale gdy już takie dobrze wytarte szkła znajdują się na pomoście, po kilku minutach są znowu nie do użytku. Naszą całkowicie przemoczoną irchą od dawna już nic nie możemy zdziałać.

Nagle uśmiecham się, bo przyszło mi na myśl, jak w morskich filmach robi się sztorm: w wannie z modelami statków. A do zdjęć w naturalnej wielkości buduje się na trampolinie kawałek pomostu i huśta nim raz w lewo, raz w prawo, zaś aktorom ze wszystkich stron leje się wiadrami wodę w twarz. I zamiast się schować, ci panowie rzucają dokoła przenikliwe spojrzenia.

Tu mogliby poznać właściwe dekoracje: widać nas tylko przez kilka sekund. Wciągamy głowy, garbimy się, podstawiamy falom górną część czaszki. Tylko przez sekundy obserwuję przymrużonymi oczami swój sektor, potem chowam twarz. W dół – tak jak w klinchu. Mimo to cienkie bicze lecącej wody trafiają mnie. Przeciwno nim nie ma żadnej osłony. Jeden prawdziwy potężny chlust w twarz łatwiej jest znieść niż te ostre podstępne cięcia. Palą jak ogień.

Zaraz muszę znowu wziąć na plecy bulgoczący zalew. Kierując oczy w dół widzę, jak woda wiruje dokoła moich cholew, jak wzdymając się i szarpiąc, odpływa niby wokół pali kładki. I znowu potok wody, a zaraz potem następny.

Zmiana wachty przed czasem jest jak ułaskawienie. Drugi owu może sobie być junakiem – pełnej wachty na pewno by nie wytrzymał.

Zdejmowanie ubrania jest ciężką pracą: gdy już wyciągnąłem jedną nogę ze spodni, podłoga usuwa mi się spod stóp. Walę się jak długi na jej płyty i mam chęć głośno jęczeć z bólu. Leżąc plecami na pokrętłach, wreszcie wyzwałam się całkowicie ze spodni.

Mat z centrali rzuca mi ręcznik. Muszę wydobyć się jeszcze z mokrego puloweru i mokrej bielizny, by móc wytrzeć się jedną ręką, jednocześnie mocno trzymając się drugą.

Boję się nocy. Jak mam znieść te długie godziny na materacu, który staje dęba, ucieka i wyrzuca mnie?

WTOREK. Od początku sztormu minęło tylko półtora tygodnia. Półtora tygodnia męczarni i tortur.

Po południu wyłażę na górę. Nad nami postrzępione niebo, na które w ciągle ponawianych szaleńczych rozbiegach skaczą fale. Wygląda to tak, jakby woda z rozpaczliwym wysiłkiem chciała się oderwać od ziemi. Ale jakkolwiek fale się wznoszą i wyskakują, siła przyciągania porywa je z powrotem i łamie.

Przepaści i góry. Dna przepaści wyrzucane są w górę potężnymi erupcjami, szczyty się wala, znikają w przepaściach, znowu się piętrzą, wyrastają drżącymi zboczami do nieba i gwałtownie zapadają w głąb.

Tempo, z jakim idą na nas fale, zapiera dech. Grzywacze nie mają już grzebieni piany. Jeszcze w chwili ich powstawania sztorm je zrywa. Widnokrąg całkowicie zniknął w szaleństwie żywiołów. Nie wytrzymuję dłużej niż pół godziny. Ręce sztywnieją od trzymania się, wzdłuż kręgosłupa spływa mi do spodni woda.

Kiedy znowu znajduję się na dole, okręt brzęczy, jakby trafił go olbrzymi młot kowalski. Kadłub sztywny drży na wszystkich spojeniach, stęka i jęczy.

ŚRODA. Późnym popołudniem przycupnąłem z dowódcą na skrzyni z mapami. Przekleństwa i wymysły z pomostu przenikają aż do centrali. Ponieważ przekleństwu nie ma końca, dowódca wstaje ze skrzyni, chwyta się drabiny do wjazdu kiosku i trzymając głowę w odpowiedniej odległości od skapującej wody, pyta, co się, u diabła, dzieje.

– Okręt schodzi w lewo... tylko z trudem daje się utrzymać na kursie – odpowiada sternik.

– Nie ma powodu do zdenerwowania! – woła dowódca. Pozostaje jeszcze przez chwilę przy władze kiosku, potem pochyla się nad stołem nakresowym. Nie trwa to długo, już woła

starszego sternika. Dolatują mnie tylko słowa: – ...nie ma celu... prawie stoimy na powierzchni.

Dowódca namyśla się jeszcze chwilę, a potem rozkazuje przez głośnik pokładowy: – Przygotować się do zanurzenia! – Mat z centrali, który właśnie jak zdechła mucha tkwi na przewodach wody, zrywa się z zapałem i wydaje z siebie westchnienie ulgi. Główny mechanik przechodzi przez właz w grodzi i wykrzykuje zarządzenia. Naraz słychać tylko bulgot wody w zęzie i wielokrotnie wzmocnione przez nagłą ciszę uderzenia fal. Potok wody leje się z włazu. Wachtowi złażą z pomostu, ociekając wodą. Natychmiast dwaj z nich obsadzają ster głębokości, pierwszy oficer komenderuje: – Napęlnić! – Powietrze sycząc ucieka z balastów. Szybko uzyskujemy przegłębienie na dziób. Woda w zęzie przelewa się, bulgocząc, do przodu. Potężny cios trafia jeszcze w kiosk, ale następna fala brzmi już głucho, a kolejne nie znajdują w ogóle oporu. Szum i bulgotanie, a potem cisza.

Stoimy sztywno, jak zaczarowani nagłą ciszą. Cisza jest niby potężna ściana izolacyjna, która wysunęła się przed wrzaskliwą orkiestrę.

Twarz pierwszego owu wygląda jak oparzona. Jego wargi są pozbawione krwi. Oczy tkwią głęboko w oczodołach. Na kościach policzkowych osadziła się sól. Sapiąc, odwiązuje z szyi nasycony wodą ręcznik.

Głębokościomierz wskazuje czterdzieści metrów. Ale wskazówka nadal przesuwa się po tarczy. Pięćdziesiąt, sześćdziesiąt metrów. Aha: tym razem musimy zejść jeszcze głębiej, by znaleźć spokój. Dopiero gdy osiągamy sześćdziesiąt pięć, główny mechanik każe wyrównać okręt i ustawia go na równej stępce. Zęza przelewa się w stronę rufy, potem wraca. Stopniowo wszystko się uspokaja: szum i pluskanie milkną. Blaszana puszka, która toczyła się po płytach podłogi, leży już nieruchomo.

– Okręt na równej stępce – melduje czif dowódcy.

Pierwszy owu opada na skrzynię z mapami i zwiesza wyługowane do białości ręce między kolanami – zbyt zmęczony, by zdjąć z siebie mokre rzeczy.

Sześćdziesiąt pięć metrów wody nad okrętem!

Jesteśmy tak zabezpieczeni przed atakiem morza jak w martwym polu działa. Morze samo daje nam osłonę przed swoimi ciosami.

Dowódca zwraca się do mnie: – Trzymanie się jest teraz zbędne! – Wtedy spostrzegam, że ciągle jeszcze obejmuję rurę przewodów.

Stołowy przynosi nakrycia do kolacji i zaczyna układać listwy sztormowe.

– Precz z listwami, człowieku! – ochrzanią go główny mechanik i sam błyskawicznie je zrzuca.

Bochenek chleba, który przyniósł stołowy, jest całkowicie zniszczony przez wilgoć. Zielony grzyb pleśni, która wyrasta codziennie z brązowej skórki, kuk co prawda stale wycierał swoją kwaśno cuchnącą szmatką, ale wiele to nie pomogło. Chleb jest jak gorgonzola, całkowicie przeżarty przez pleśń. Do tego doszły jeszcze żółte pasma, które wyglądają jak osad siarki.

Główny mechanik mówi: – Nie mam nic przeciwko pleśni. Pleśń jest zdrowa – i staje się nawet marzycielski: – pleśń jest szlachetną rośliną w rodzaju hiacyncytu! Właśnie w tym otoczeniu człowiek powinien cieszyć się ze wszystkiego, co rośnie!

Pracujemy z taką samą cierpliwością jak przy wycinaniu wzorków włościcą, by wyrznąć z grubych kromek małe, choćby w połowie czyste kawałki. Z całego bochenka pozostaje tylko okruch, mniejszy niż dziecięca piątka.

– Produkcja artystyczna z wolnego wieczoru – nazywa dowódca pozostałe resztki.

Drugi oficer twierdzi jednak, że to dłubanie w chlebie daje mu satysfakcję, i wycinając z akcentowaną skrzętnością nieregularne gwiazdy z szarych kromek chleba, opowiada o żeglarzach, którzy całymi miesiącami jedli robaki, mysie gówno i pył po sucharach. Przedstawia to z takimi szczegółami, że można wierzyć, iż on sam to wszystko przeżył.

Wreszcie główny mechanik przerywa mu: – Oczywiście, stary matrosie, wiem, to było wtedy, kiedy pan żeglował pod kapitanem Magellanem przez Pacyfik, ponieważ pański szef chciał ochrzcić tam jedną cieśninę swoim imieniem, stary pyszałek. Jestem poinformowany. To musiało być ciężkie życie!

Po jedzeniu przenoszę się do dziobowego. Tumult głosów uderza mnie już w mesie SP. Dziobowy gra w skata: – Dwadzieścia cztery! Żołądź przebija! – Pięści trzaskają w stół.

Wchodzi Dunlop. Niesie przed sobą zreperowany futerał harmonii jak dziecięcą trumienkę.

– Ten Dunlop! Raczył się zjawić!

Dunlop patrzy z wyższością na towarzystwo i informuje skąpymi słowami, że sześć basów w jego harmonii zacięło się wskutek wilgoci.

Upadek więc jej nie zaszkodził.

– No to co! To przecież mała różnica!

Zachęcany ze wszystkich stron Dunlop siada na dolnej koi, rozciąga miech, próbuje paru akordów i wreszcie zaczyna jakąś melodię, podczas gdy pozostali nadal trzaskają kartami o stół.

– Piosenkę! – woła starszy motorzysta Flackler.

*Kobiety gdzieś w Afryce
na dwa metry mają cyce.
Prosimy panów, panie,
nie nadeptywać na nie...*

Ryk zagłusza melodię. Gra w skata straciła nagle na uroku, karty zostają zsunięte na środek stołu. Pieśń przez chwilę wlecze się nierówno, wreszcie nabiera rozmachu. Potem Dunlop zaczyna wysokim głosem, jak śpiewaczka koloraturowa:

*O'Ranzo was no sailor,
he shipped on board a whaler.*

W górze rozszalałe fale, z rozwianymi grzywami, a tu chłopcy oparli łokcie na stole i śpiewają. Mam ochotę dotknąć ich twarzy, by się przekonać o ich cielesności.

CZWARTEK. Kłapa. Załatwione. Sztorm nie słabnie. Wreszcie wybawienie, gdy pod wieczór dowódca daje rozkaz zanurzenia z powodu niewystarczającej widzialności.

Stopniowo w okręcie robi się znowu spokojnie. Tuż koło wjazdu w grodzi siedzi berlińczyk i rozkłada lornetę, w której woda dostała się między soczewki.

Przedział radiowy jest pusty. Radzik siedzi obok, w przedziale podsłuchowym. Wsadził słuchawki na uszy i niedbałymi ruchami przesuwają pokrętko aparatu.

W mesie O jest pierwszy owu, zajęty swoimi kolorowymi skoroszytami, oczywiście. Przyniósł sobie nawet dziurkacz. Komiczne, że mamy dziurkacz na pokładzie. Maszynkę do temperowania ołówków również. Widocznie jesteśmy wyposażeni jak normalne biuro. Szczęście, że owu przynajmniej maszynę do pisania zostawił w spokoju.

Czif ogląda jakieś zdjęcia. Drugi mechanik, zdaje się, jest w maszynowni. Dowódca nad czymś duma.

Niespodziewanie czif mówi: – W kraju z pewnością leży już śnieg!

– Śnieg?

– Zupełnie prawdopodobne... przecież to jest koniec listopada! – powiada dowódca – Komiczne: od lat nie widziałem śniegu.

Mechanik pokazuje zdjęcia: śnieżne krajobrazy. Postaci jako ciemne plamki na bieli – on sam ze swoją dziewczyną. Wzgórze ze śladami nart. Z lewej strony zdjęcia kawałek płotu. Na kołkach płotu śnieg jest stopiony. Kiedy patrzę na fotografie, budzą się wspomnienia.

Pewna wioska w Rudawach krótko przed Bożym Narodzeniem. Ciepła przytulność niskich izb. Niemordowane ręce, które z miękkiego sosnowego drewna różnymi nożykami i dłutkami wycinają nowe figurki do wysokiej obrotowej piramidy albo mechanicznej szopki Bożego Narodzenia. Owiewa mnie zapach drzewa i ciepła od pieca. Do tego zapach farby i kleju, i alkoholu z wielkiej patery na środku stołu, zwanej „szkołą jazdy”, ponieważ obraca się dokoła. Kościelny zapach kadzidlanych świeczek, które wetknięte są w okrągłe usta drewnianych krasnoludków, górników w czarnych skórzanych fartuchach i dzikich figurek Liczyrzepy, A na dworze śnieg i mróz tak ostry, że przy oddychaniu ściąga skrzydełka nosa. Sanie z wielotonowymi brzękadłami. W świetle latarni biała para z końskich nozdrzy! Świecące aniołki między pagórkami z mchu we wszystkich oknach...

– Tak – mówi Stary. – Żeby tak był prawdziwy śnieg... to byłoby dobrze!

Główny mechanik starannie zawija swoje zdjęcia.

Dowódca każe przyśpieszyć kolację.

– Właściwie robię to dla drugiego owu – mówi – żeby mógł zjeść w spokoju!

Ledwie drugi przełknął ostatni łyk, w całym okręcie rozbrzmiewa: – Przygotować się do wynurzenia!

Natychmiast napinają mi się wszystkie mięśnie!

W nocy silniki zostają znowu odstawione. W północy siadam na koi. W głowie szumi mi jeszcze łoskot diesli. W pomieszczeniu pali się jedyna żarówka. Przez gródź słyszę rozkazy z centrali, wypowiedane półgłosem, jakby chodziło o jakiś spisek. Teraz dobiega mnie syczenie. Okręt nachyla się z przodu. Światło lampy wpada przez właz grodzi. Fale, które biją jeszcze w kadłub okrętu, brzmią tak, jakby ktoś tłukł dłonią po napiętej luźno skórze bębna. Potem cisza. Wyraźnie słychać oddechy ludzi z wolnej wachty.

Ktoś, macając rękami, nadchodzi od strony centrali.

Frenssen zatrzymuje go: – Co się dzieje?

– Nie mam pojęcia!

– Zaraz opowiesz tu wszystko grzecznie, co się stało. Zrozumiano?

– Nic szczególnego. Nie ma widoczności. Czarno jak u niedźwiedzia w dupie.

– Zatwierdzam! – mówi Frenssen.

Moszczę się w koi i zasypiam z uczuciem głębokiego zadowolenia.

Musi być koło drugiej, gdy budzę się znowu. W mesie jest bardzo gorąco. Odór wypoczywających maszyn przeniknął z przedziału diesli. Szumią wywiewniki. Wyciągam się jak najwygodniej. Koją jest całkiem nieruchoma. Odczuwam to dobrodziejstwo głęboko w brzuchu.

PIĄTEK. Dopiero po śniadaniu dowódca rozkazuje podnieść okręt. Już na czterdziestu metrach chwieją nami głębokie fale. Szybko dostajemy się w szarpiące prądy i już pierwsze bałwany wałą w kiosk. Z góry wylatuje tyle wody, że zęza wypełnia się szybko. Nie ma pozycji, w której można by odprężyć mięśnie. Boli mnie każdy mięsień, trapesius, pectoralis, glutaenus przede wszystkim, do tego kości, szczególnie kość ogonowa.

Kierunek fali musiał się znowu zmienić. Jakkolwiek okręt utrzymywał kurs pod wodą, teraz uporczywie skręca w lewo. Czasami przerażająco długo utrzymuje się w skrajnie skośnym położeniu na lewej burcie.

Starszy sternik melduje, że wiatr skręcił na prawo i dmie teraz z zachodnio-południowego zachodu. A więc!

– Boczna fala... długo nam się nie uda! – mówi dowódca. Ale podczas obiadu, gdy z trudem usiłujemy utrzymać się przy stole, dowódca wygłasza pocieszające mowy: istotnie fala jest teraz nieco skośna. Ale niedługo wiatr się zmieni. Gdyby zaczął dąć od rufy, wszystko byłoby w najlepszym porządku.

Decyduję się zostać po obiedzie wraz ze Starym w mesie O. Przed szafką drugiego oficera odkrywam książkę, która przesuwana się po podłodze. Sięgam po nią niezgrabnie i otwieram na chybił trafił. Chwytam tylko poszczególne słowa: „bezanreja, bomkliwer, grotbramżagiel, bakbrasy, bramsztaksel...”

Fachowy żargon z czasów statków żaglowych; piękne, barwne słowa. Nie mamy niczego podobnego.

Szum fal wzdłuż naszej stalowej powłoki przybiera na sile i przekształca się w szaleńcze furiozo.

Nagle okręt kładzie się na lewej burcie, zostaje wyrzucony z siedzenia, półki z książkami opróżniają się całkowicie. To, co jeszcze stało między listwami sztormowymi na stole, zlatuje z trzaskiem. Stary zaparł się skośnie, jak hamujący saneczkarz. Główny mechanik leży na podłodze. Trwamy tak ponad minutę, jak byśmy mieli się fotografować bez światła błyskowego. Okręt nie wyjdzie z tego skośnego położenia. Mój Boże, to niemożliwe, teraz nas dopadło! Tego za wiele!

Dopiero po minutach pomieszczenie ustawia się pionowo. Główny mechanik wypuszcza powietrze z płuc z dźwiękiem syreny. Stary podnosi się jak na zwolnionym filmie, siada i mówi: – No, no, no!

– Oha! – ryczy ktoś w dziobowym.

Najchętniej kucnąłbym na podłodze. Zaraz całe pomieszczenie pochyla się w prawo.

Huk potężnieje. Mój Boże, jak to zniesie wachta na pomoście!

Udaję, że mam zamiar czytać. Przy tym kręci mi się w głowie. Muszę poznać okręt, mówi dowódca. Jego dzielność morską jest większa niż jakiegokolwiek innego okrętu. Stępka balastowa ma metr szerokości, pół metra wysokości, pełna żelazna sztaba. Jest to długa dźwignia, licząc od środka. Całe obciążenie jest w dole. Na górze tylko lekki kiosk. Nie ma nadbudówek. Środek ciężkości wagi pod środkiem ciężkości sylwetki. Żaden inny okręt tego by nie wytrzymał.

– Co to jest? – pyta Stary, patrząc na moją książkę.

– Coś o żaglowcach?

– Ha – mówi w odpowiedzi – prawdziwy sztorm na żaglowcu... Powinien pan to kiedyś przeżyć. Tutaj się w ogóle nic nie odczuwa.

– Dziękuję pięknie!

– Zamknąć luk kiosku. To wszystko, co mamy do roboty. Ale na żaglowcach... Mój ty Boże! Żagle ściągać i refować, wszystkie płótna przymocować do rei refsejzingami, szoty sztormowe założyć, rozpiąć liny sztormowe na pokładzie, uszczelnić luki... pełno roboty! Potem nie zostaje nic innego, jak siedzieć w rufówce i oddać się pod opiekę boską. Nic do jedzenia. Ale za to na wanty, zwijać i ściągać podarte żagle. Przyszywać nowe kablowym sznurkiem przy baksztogach rei. To młyn na kości. A potem to stałe brasowanie, kiedy wiatr skacze...

I oto znowu ta precyzyjna, żywa, barwna mowa, o którą zubożeliśmy.

Gdy pomieszczenie pochyla się w lewo, podnoszę się z siedzenia. Chcę zobaczyć w centrali przechyłomierz.

Przechyłomierz jest zwykłym wahadłem ze skalą. Wahadło wychyla się teraz w lewo aż do pięćdziesiątki. Okręt przechylił się więc w prawo o pięćdziesiąt stopni. Utrzymuje się w tym skrajnym położeniu, zamiast się wyprostować. Potrafię wytłumaczyć to sobie tylko tak, że druga fala wpadła na okręt, nim zdążył wrócić do normalnej pozycji. Teraz wahadło posuwa się jeszcze dalej, do sześćdziesięciu stopni. A na mgnienie oka osiąga nawet sześćdziesiąt pięć.

Dowódca przyszedł za mną. – Wygląda imponująco – mówi – ale trzeba od tego coś odjąć, bo wahadło wychyla się za daleko z powodu swego ciężaru! – Prawdopodobnie, żeby wreszcie naprawdę się zdziwił, okręt musiałby płynąć do góry kilem.

Ludzie, którzy pełnią służbę w centrali, mają teraz ubrania sztormowe, zęzę trzeba wypompowywać jak najszybciej. Wydaje mi się, że pompa działa bez przerwy.

Pojawia się starszy sternik. Podpiera się obu rękami, jak ktoś, kto złamał nogę.

– No? – zwraca się do niego dowódca.

– Od godziny dwudziestej czwartej wczorajszej nocy należy przyjąć odchylenie wskutek prądu o piętnaście mil morskich.

– Niech się pan wyraża mniej ostrożnie, będzie się zgadzało. – Do mnie mówi półgłosem: – On zawsze jest taki ostrożny, ale w końcu jego obliczenia zgadzają się prawie dokładnie. Za każdym razem tak było.

Napłynął sygnał. Dowódca dostaje brulion. Czytam, zaglądając mu przez ramię: „Z powodu złej pogody nie mogę osiągnąć nakazanego rejonu operacyjnego w nakazanym czasie. UT”.

– To sobie przepisemy i dodamy monogram naszego okrętu – mówi Stary. Potem podnosi się z krzesła i idzie chwiejnie, zręcznie wykorzystując przechyły okrętu, ku dziobowi. Wkrótce wraca z rozłożoną do połowy mapą, którą rozpościera na skrzyni.

– Tu jest UT, dosyć dokładnie na kierunku naszego marszu, a tu jesteśmy my.

Widzę, że te dwa punkty oddziela kilkaset mil morskich. Dowódca jest zły. – Jeśli chodzi o ten sam niż, to smacznego! Wygląda na potwornie rozbudowany front, bez skłonności do szybkiego przemieszczenia się.

Starannie składa mapę i odsuwa rękaw swego swetra, by sprawdzić godzinę na zegarku. – Niedługo czas na kolację – mówi, jakby to był jedyny wniosek z sygnału i wszystkich rozmyślań.

Gdy już czas na kolację i dowódca zjawia się w mesie, nie wierzę własnym oczom: ma na sobie ubranie sztormowe. Inni wytrzeszczają na niego oczy, jakby był kimś obcym na pokładzie. Z jego twarzy nic nie można wyczytać, tak się opatulił.

– Strój sztormowy jako obowiązkowy do kolacji. Z powodu zupy – mamrocze Stary i szczyrzy do nas zęby między postawionym wysoko kołnierzem kurtki a głęboko obciągniętym kapturem zjudwestki, jak przez szparę przyłbicy.

– No, panowie – pyta niecierpliwie – pewnie nie jesteście głodni? Tymczasem kucharz ma wspaniałe osiągnięcie: zupę przy tej pogodzie..

Zamurowało nas na dłuższą chwilę, ale już jak posłuszne dzieci toczymy się do centrali, gdzie wiszą ubrania sztormowe. Oczyma mego ducha widzę grupę Laokooną, obserwując skręty i korkociągowe ruchy, jakie wykonują panowie inżynierowie i oficerowie pokładowi, by wbić się w dość jeszcze mokre łachy.

Wreszcie siedzimy jak sami stórtebekerzy wokół stołu. Dowódca jest wcieloną radością. Karnawałowe przebranie!

Nagle łoskot w przejściu: stołowy leży na brzuchu. Obiema rękami trzyma nad głową

wazę z zupą. Ani kropla się nie wylewa.

– Tego jeszcze nigdy nie zламаło – stwierdza niewzruszony dowódca, a główny mechanik kiwa głową z uznaniem.

– Bez treningu i zaraz taki numer... Rzeczywiście klasa!

Drugi oficer rozlewa zupę do talerzy. Składa się ona z ziemniaków, mięsa i jarzyn. Podczas tej czynności przytrzymuję go silnym chwytem za pas pod kurtką sztormową. Mimo to już przy drugim talerzu wylewa całą chochlę obok.

– Cholerne draństwo!

Zaraz potem główny mechanik wypuszcza swój na pół wypełniony talerz i w ten sposób powiększa znacznie kałużę na stole. Jak bryły lodu z lodowca, który właśnie zaczął pękać, jasne kawałki ziemniaków pływają w ciemnobrązowym rosolu pomiędzy poszczególnymi listwami. Przy następnym przechyle na stole pozostają tylko kawałki ziemniaków, rosół znalazł drogę pod listwami i wylewa się na łono dowódcy i czifa.

Dowódca rzuca dokoła triumfujące spojrzenie: – No, proszę! – Prawdopodobnie nie może się doczekać, by wylało się jeszcze więcej zupy.

Gdaczący chichot drugiego oficera zostaje przerwany przez głucho uderzenie. Rozbawiony uśmiech dowódcy zamiera. Stary natychmiast się przyczaja. Czif zrywa się, by mu zrobić miejsce, gdy z centrali meldują: – Skrzynia z mapami się przewróciła.

Przez otwór włazu widzę, jak czterech ludzi próbuje z największym wysiłkiem to ciężkie żelazne pudło ustawić na nowo.

Dowódca patrzy osłupiały, a potem mruczy: – Czyste wariactwo. Od czasu, jak ten okręt rozpoczął służbę, skrzynia stała w tym samym miejscu, nigdy dotąd nie przesunęła się ani o cal.

– Tak, w domu nikt w to nie uwierzy – mówi główny mechanik. – Tego nie potrafią sobie w ogóle wyobrazić. Na następnym urlopie muszę zabawić się w podwodniaka – proponuje i zaraz mówi, jak to sobie wyobraża: – Miesiącami się nie golić i nie myć. Nie zmieniać bielizny. Do łóżka kłaść się w butach i śmierdzących skórach. Przy jedzeniu wciskać kolano w stół, a szpinaku nie kłaść na talerz, tylko rozmazywać po sobie...

Główny mechanik połyka szybko parę kęsów i dalej rozwija swój plan: – A gdy zadzwoni telefon, ryczeć jak wariat: „alarm!”, przewracać stół i pędzić do drzwi.

SOBOTA. Wiatr z porywistego przekształcił się w równomierny i bez przerwy atakuje okręt od dziobu. Cały przestwór powietrzny znajduje się w szybkim ruchu: stały ład wraz z wodą Atlantyku krąży obecnie pod szalejącym przestworem niebios. Barograf kreśli stromo w

dół.

– Chciałbym tylko wiedzieć – mówi Stary – jak Tomki przy takiej anielskiej pogódce mogą utrzymać swe łajby w szyku. Przecież nie skręcają chyba całym takim olbrzymim konwojem? A do tego ci kolesie na blaszanych pudełkach niszczycieli. Ci teraz coś niecoś przeżywają!

Przypominam sobie wypadły na niszczycielu przy stanie morza 5. To było już wystarczająco kiepskie. Przy piątce nie można nawet myśleć o całej prędkości. Przy szóstce nasze niszczyciele w ogóle nie wychodziły z Brestu. Czas ochronny. Jednak angielskie niszczyciele nie mogą sobie wybierać pogody. Muszą zapewnić ochronę konwojom w każdych warunkach – również obecnych.

Po południu nadziewam na siebie ubranko typu „wielki pies morski” i wspinam się na górę. Czekam tuż pod włazem, aż potoki wody odpłyną z bulgotem, następnie wypycham przykrywę i wychodzę na zewnątrz. Teraz jednocześnie wciskam nogą pokrywę luku i zaczepiam karabińczyk mojego pasa.

Doliny między falami są całkowicie wypełnione wodnym kurzem. Wszędzie na falach powiewają chorągwie piany i natychmiast porywa je wiatr. Trzepoczą wysoko, ale zostają rozdarte w kawałeczki. Z daleka poszczególnych grzyw nie można już rozróżnić, morze wygląda jak skłębiona wełna. Jednak fale, które niespodziewanie wyrastają tuż koło osłony pomostu, są barwy butelkowo-zielonej. Pasma piany przebiegają po nich jak jasne pęknięcia.

Jakiś grzbiet, jakby potwornego wieloryba, pojawia się ukośnie przed okrętem. Robi się coraz większy, traci swoje zaokrąglenie, wypiętrza się w ścianę. Ściana robi się wklęsła, Połyskując szklistą zielenią, rusza na nas. A teraz dziób okrętu kłuje w nią. – To nie ma... – zaczyna mówić drugi oficer, gdy fala zadaje druzgocący cios kioskowi. Okręt pochyła się ukośnie.

– To nie ma celu – kończy drugi po kilku minutach.

Wiem, że całe załogi pomostów były porywane przez potwornej wielkości fale, a nikt na okręcie o tym nie wiedział. Takie mordercze góry wodne mogą powstać całkiem nieoczekiwanie z nałożenia się na siebie poszczególnych ruchów falowych. Przeciw takiemu gigantowi nie pomogą już żadne pasy.

Co to może być za uczucie – tkwić w ciężkim ubraniu w morzu i widzieć, jak okręt się oddala, coraz mniejszy i mniejszy, znikający chwilami wśród fal, a potem znikający w ogóle... koniec, fini. Chciałbym widzieć twarz człowieka, który jako pierwszy odkrywa, że cała wachta pomostowa zniknęła, a okręt płynął ślepo po morzu.

Płyniemy powoli. Większa prędkość byłaby przy tej fali niebezpieczna. Okręt mógłby

pójść w głąb. Były już takie przykłady: na wzburzonym morzu szybko poruszające się okręty wjeżdżały pod tym kątem, jaki miały, ześlizgując się z olbrzymiej góry wodnej, w następną falę i jak strzała przenikały na głębokość trzydziestu, do czterdziestu metrów. Załogi pomostowe nieomal tonęły. I jeśli w takim wypadku zbyt wiele wody dostanie się przez szyby wlotowe diesli, okręt może nawet pójść na dno.

Nasz główny mechanik jest na szczęście człowiekiem ostrożnym. Teraz z pewnością siedzi w centrali, by w razie potrzeby natychmiast interweniować. Od czasu do czasu nachodzi mnie strach, że nasza wyporność może nie wystarczyć, by utrzymać okręt na powierzchni tego szalejącego morza. Strach, że mimo zamkniętego luku może wlać się zbyt wiele wody, a ci w centrali nie wypompują jej we właściwym czasie. Pytam już samego siebie, czy nie należałoby okrętu bardziej wynurzyć, przez szasowanie komór balastowych na przykład, i dać odpowiedź samemu sobie: to także nie ma celu, dalibyśmy falom tylko większą powierzchnię, okręt musiałby wtedy przyjmować jeszcze brutalniejsze ciosy.

Drugi oficer nagle zwraca ku mnie swą czerwoną twarz: – Chciałbym wiedzieć, jaką my właściwie mamy prędkość na powierzchni!

– Nagle krzyczy: – Uwaga zero!

To znaczy: znowu się skulić i wstrzymać oddech.

Spostrzegam jeszcze, jak drugi otwiera ze zdumieniem usta, widzę, jak zielona góra kieruje się skośnie z lewa na pomost, jak się wysuwa biała łapa i czatuje nieruchomo. A teraz uderza z siłą piorunu z burty w dziobową część okrętu. Pod tym ciosem okręt zapada się głęboko. Schylić głowę! Wrzący potop przewala się po pomoście. Pomost tonie. Nie mamy już okrętu pod stopami.

Ale teraz ta sama fala podnosi okręt do góry. Dziób całkowicie wydobywa się z wody i przez chwilę wisi w próżni, aż morze pozwoli opaść okrętowi. Przez szpigaty i tylną część pomostu wylewa się woda. Spienione potoki szarpią nas za nogi.

W wyobraźni widzę olbrzymie pięści, które potrzęsają naszym okrętem, puszczają go, chwytają gwałtownie, w wariackim rytmie trzęsą nim jak olbrzymią perkusją, potem ciskają daleko, znowu łapią – i tak bez przerwy.

– Do ciężkiej cholery! – klnie drugi owu. Potem, gdy następna fala przeleciała właśnie nad okrętem, każe otworzyć właz i woła: – Do dowódcy: widzialność bardzo ograniczona przez przelewające się fale. Pytam: czy można przejść na trzysta stopni?

Przez chwilę z otwartego luku kiosku rozbrzmiewa muzyka. Potem dolatuje głos z dołu: – Można przejść na trzysta stopni.

– Na kurs trzysta! – rozkazuje drugi sternikowi. Okręt powoli skręca i skręca do tej

chwili, aż morze zaczyna uderzać skośnie od rufy. Teraz okręt wykonuje ruchy konia na biegunach. Fale unoszą stewę rufową, rycząc dziko wzbijają się na wysokość kiosku, roztrzaskują się. Dziób robi głęboki skłon. Zagrzebuje się w przelatującym grzywaczu, wyłazi znowu i idzie wysoko wynurzony w głębokiej dolinie między dwiema górami fal. Dokoła okrętu morze jest białą, wrzącą i dygoczącą płaszczyzną, w którą włamują się coraz to nowe zielone fale.

– Ster leży trzysta – dobiega głos sternika z dołu. Znowu zamyka się właz.

Twarz mnie piecze, gdy ocieram ją rękawem. Nie wiem, ile ciosów bicia już w nią trafiło. Dziwi mnie tylko, że oczy całkiem mi nie zapuchły. Każdy ruch powieką jest bolesny. Wydaje się, że moje powieki mają podwójną grubość. O Boże, co za męczarnia!

Bez słowa kiwam głową drugiemu oficerowi, przeczekuję kolejny zalew, podrywam pokrywę i znikam w luku.

Opanowuje mnie bezgraniczne przygnębienie. Ta męczarnia jest jakby próbą tego, co człowiek może znieść. Eksperyment badania granic naszej zdolności cierpienia.

Radzik przyjmuje sygnały SOS od wielu statków.

– Teraz parowcom wygniata przykrywy luków i ładownie wypełniają się wodą. Takie fale nawet łodzie ratunkowe rozbijają na drzazgi.

Stary odmalowuje różnego rodzaju spustoszenia sztormowe, jakie mogą się zdarzyć na normalnym statku: – Kiedy teraz na takiej łajbie nawali maszyna sterowa albo odleci śruba, to załoga może się tylko modlić.

Szum morza, chlupot wody i syczenie w zęzie jest podkładem tonicznym dla tępych, wibrujących echem uderzeń przy zapadaniu się dziobowej części naszego okrętu.

Można się tylko dziwić, że to ciągłe miotanie w górę i w dół nie rozluźniło wszystkich spojeń, że okręt nie zrobił się jeszcze miękki. Trochę porcelanowych nakryć i parę butelek z sokiem jabłkowym to wszystko, co się do tej pory zniszczyło. Wydaje się, jakby morze nie mogło nic zrobić samemu okrętowi. Ale nas rzuca na kolana. Technika trwa, tylko my, ludzie, jesteśmy źle skonstruowani i nie przystosowani do takich tortur.

Przysiadam w centrali. Starszy sternik robi właśnie notatki do dziennika działań bojowych. Widzę, co wykoncypował: „Barometr 758,8. Wiatr skręcił na południowy wschód. W porywach do 11. Bardzo wysoka fala ze wschodu na południowy wschód”.

Stary podchodzi i mamrocze: – Takiego parszywego miesiąca jeszcze nie było, mogą sobie dać spokój z fanfarami meldunków nadzwyczajnych. Zastrana sytuacja! Jeśli tak dalej pójdzie, możemy spasować.

Już ze słabego ruchu w eterze mogę stwierdzić, że naszym okrętom brak sukcesów. Wezwania do podania sytuacji, utrzymywanie łączności – i to wszystko.

Muszę pomyśleć o pewnym fragmencie w „Młodości” Josepha Conrada, jak to bark „Judea” z ładunkiem węgla dla Bangkoku trafił na Atlantyku na sztorm zimowy, który stopniowo rozbijał statek: nadburcie, wsporniki, łodzie, nawiewniki, nadbudówkę z kambuzem i kubryk! Jak oni stali przy korbach pomp, od kapitana do jungi, i walczyli o życie, przywiązani do masztu – dzień i noc. Zdanie: „Zapomnieliśmy, jak się czuje suchy człowiek” mam jeszcze w pamięci.

Wspomnienie o tym jest dla mnie teraz pociechą. Nas morze nie mogłoby zatopić. Żaden okręt nie ma takiej dzielności morskiej jak ten.

NIEDZIELA. Nawet przed najmniejszą czynnością muszę staczać walki z samym sobą: powinienem... czy raczej nie?

Najbardziej niszczy nasze siły brak snu. Prawdziwy spokój panuje tylko wtedy, kiedy nie ma widzialności i nasz dowódca każe zejść pod powierzchnię. Kiedy okręt jest już wyważony, prawie nie słychać głośniejszych rozmów. Karty do skata leżą nie używane. Każdy próbuje przespać się podczas godziny czy dwóch pobytu pod wodą.

Cisza w zanurzeniu jest za każdym razem niesamowita. Kiedy wszyscy zmożeni do cna leżą na kojach albo na deskach podłogi, wydaje się, że załoga opuściła okręt.

PONIEDZIAŁEK. Mam jeszcze tyle siły woli, by zanotować W zeszycie:

„Nakrywanie do stołu niemożliwe. Wszystko bez sensu. Tuż przed drugą zanurzenie. Wspaniałe: pozostajemy pod wodą. Coraz więcej zapaleń. Wrzody najgorszego rodzaju. Świerzb. Maść ichtiolowa na wszystko”.

WTOREK. Dowódca opisuje miniony dzień w dzienniku działań bojowych:

„13.00. Oba silniki idą pół naprzód. Mimo to stoimy prawie w miejscu.

13.55. Zanurzenie z powodu złej pogody.

20.00. Wynurzenie. Nadal silna fala. Ograniczona możliwość użycia torped.

22.00. Kurs podwodny z powodu sytuacji pogodowej.

01.30. Wynurzenie. Silna fala. Słaba widzialność.

02.15. Zmiana kursu z powodu bardzo wysokiej fali”.

ŚRODA. Wiatr skręca na południowy wschód. Jego siła znowu wzrosła do 11.

„Bardzo wysoka fala ze wschodu i południowego wschodu. Barometr mocno spada” – pisze dowódca w dzienniku.

W centrali starszy sternik zaparł się rozkraczonymi nogami o stół nakresowy. Chce mu zajrzeć przez ramię, patrzy z ponurą miną i burczy: – Od dziesięciu dni nie było namiaru! I to przy tym wariackim znoszeniu przez falę i wiatr!

Głośno siąka nosem. Brzmi to tak, jakby poprzednio płakał. Ołówkiem wskazuje długi pasek papieru wypełniony kolumnkami cyfr i wyjaśnia: – Tu zestawilem sobie dane z moich doświadczeń. Bo w końcu, jeśli nadal będę tylko tak podliczał, dojdę do Bóg wie czego. Więc wykombinowałem, o ile mil okręt zostanie zniesiony przez wiatr i falę przez tyle to a tyle godzin, jeśli na przykład będziemy szli małą naprzód na obu silnikach pod kątem trzydziestu stopni przeciwko fali.

Wodospad szumi we włazie i zagłusza jego głos. W jednym skoku opadam tyłkiem na skrzynię i udaje mi się jeszcze podnieść nogi. Woda z sykiem spada za mną na płyty podłogowe i odpływa ku rufie.

Jak kapryśne dziecko starszy sternik depcze w kałuży swymi ciężkimi morskimi butami. Może w ten sposób zdeptuje swoją wściekłość.

CZWARTEK. O świcie starszy sternik chce znowu spróbować szczęścia. Widoczność rzeczywiście nieco się poprawiła. Niebo tu i ówdzie się przeciera i ukazuje kilka gwiazd. Widnokrąg można dość wyraźnie rozróżnić, jeśli nie zakrywają go właśnie grzbiety ciągnących fal. Potem wygląda tak, jakby na równej linii pływały garby.

Ale ilekroć starszy sternik już się przymierzy i wymieni nazwę jakiejś gwiazdy, potężne szpryce omiatają pomost i sekstant robi się nie do użytku. Starszy sternik musi go podać do centrali i czekać, aż wysuszony znowu wróci na górę. Po kwadransie rezygnuje: – Niedokładna pozycja okrętu jest tyle warta co żadna! – mówi, schodząc w dół. O zmierzchu chce spróbować jeszcze raz.

Wygląda na to, że morze się uspokaja. Koło jedenastej, podczas wachty drugiego oficera, wołają starszego sternika. Podobno słońce bywa chwilami widoczne.

– Okazja na namiar według słońca! – podają dalej do mesy SP. Żadnej odpowiedzi. Starszy sternik prawdopodobnie śpi. Wstaje, przeciskam się do pomieszczenia i potrząsam nim:

– Okazja do namiaru według słońca!

Kriechbaum gorliwie wygrzebuje się z koi: – To na pewno nie dowcip?

– Skąd!

Z niepewnym spojrzeniem znika w centrali. Niebawem widzę, jak wspina się na pomost.

PIĄTEK. – Parszywe życie! – stwierdza główny mechanik już przy śniadaniu.

– Nasz system poszukiwań – mówię do Starego – przypomina mi pewne metody rybackie, praktykowane we Włoszech. – Robię przerwę, jak to zwykł czynić Stary, kiedy rzucił przynętę. Dopiero gdy spytał „tak?”, mówię dalej: – Widziałem w okolicach Wenecji, jak rybacy z mola przez coś w rodzaju stewy spuszczały do wody olbrzymie kwadratowe sieci. Oczekiwali chwilę i potem podciągali sieci na wałkach w górę, w nadziei, że jakaś ryba była tak głupia i zatrzymała się akurat nad siecią.

– To brzmi jak krytyka dowództwa! – wtrąca się czif.

– Typowy przypadek rozkładania morale wojska! – oświadcza Stary, a główny mechanik obwieszcza: – Należałoby mądre głowy obsadzić na właściwych miejscach, durniów won z dowództwa, a za to pana do sztabu, żeby się wreszcie coś działo!

– A czif do Muzeum Niemieckiego! – krzyczę za nim, gdy jeszcze nie zdążył zniknąć w centrali.

SOBOTA. Jest godzina szósta czterdzieści rano, gdy meldują sylwetkę z lewej za rufą. Siła wiatru osiem do dziewięciu, stan morza osiem. Widoczność marna. To cud, że wachta pomostowa w jednostajnym szarym sosie tak wcześnie wykryła statek. Bez wątpienia samotny wędrowiec, który ostro zygzakuje.

Mamy szczęście: jesteśmy w dobrej pozycji wobec ciemnoszarego cienia, który tylko od czasu do czasu wynurza się za spienioną falą, a potem znowu jak zaczarowany znika na długie minuty.

– Ten uważa się prawdopodobnie za szybszego, niż jest. Wyciąga najwyżej czternaście węzłów! Musiałby zrobić wielki zygzak w niewłaściwą stronę, żeby nam uciec – mówi Stary. – Najpierw troszkę się przymierzmy! Na tle chmur nie może nas widzieć!

Mija tylko dziesięć minut, gdy dowódca każe przejść pod powierzchnię. Wachta torpedowa zajmuje stanowiska bojowe.

Rozkazy na maszynę, rozkazy na ster. A potem: – Włączyć na strzały pojedyncze, wyrzutnia pierwsza i trzecia!

Jak dowódca chce strzelać przy takiej fali? Wszystko postawić na jedną kartę, zapewne takie jest teraz hasło – osiągnąć sukces, choćby kije z nieba leciały.

Dowódca sam podaje dane, bez najmniejszego zdenerwowania w głosie: – Kurs

zbliżenia czternaście. Położenie sto. Odległość tysiąc metrów.

Pierwszy oficer melduje gotowość wyrzutni, również on robi to jakby mimochodem. Nagle Stary klnie w żywy kamień i każe zwolnić. Prawdopodobnie zbyt duża prędkość spowodowała wibrację peryskopu.

Silnik peryskopu szumi, włącza się tylko na bardzo krótkie chwile. Stary robi, co może, by mimo wysokiej fali nie stracić z oczu nieprzyjaciela. Prawdopodobnie wysuwa teraz rurę wyżej. Przy takiej fali nie ryzykuje w ten sposób wiele. Kto na statku mógłby w ogóle wpaść na pomysł, że w tym szaleństwie morza jakiś okręt podwodny przygotowuje się do ataku? Doświadczenie i szkoła uczą: przy takiej pogodzie podwodny nie może użyć swej broni. Kotłujemy się po morzu.

Dowódca podaje w dół: – Dziesięć tysięcy ton okrągło. Ma cholernie wielką armatę... na rufie. Niech diabli porwą te szkwały.

– Tak to nic nie będzie! – słyszymy nagle z kiosku. Stary rozkazuje: – Wynurzenie! – Główny mechanik reaguje błyskawicznie. Pierwsza ciężka fala, która nas trafia, rzuca mnie w poprzek centrali, ale ląduję prawidłowo na stole nakresowym.

Dowódca pozwala mi wyjść na pomost.

Nisko wiszące ciemnoszare zasłony nad szalejącym morzem. Z parowca ani śladu. Zniknął w ulewie.

– Uwaga! – ostrzega Stary przed nadlatującą zieloną falą.

Gdy tylko przeszła, ryczy mi w twarz: – Na pewno nie mógł nas zauważyć!

Każe przebijać się w ogólnym kierunku na parowiec. Musimy przy tym iść z dużą prędkością przeciw fali. Bryzgi wody tną jak biczem. Nie wytrzymuję nawet dziesięciu minut, potem znikam z pomostu w potężnym wodospadzie. Główny mechanik musi co parę minut uruchamiać pompy. – Bez sensu – oświadcza po paru minutach. – Tamtego już nie ma!

Mimo że leje się jak z natrysku, odważam się ukośnie zajrzeć do kiosku. Przy sterze jest mały Benjamin. Dobry fachowiec, ma teraz mnóstwo roboty, by utrzymać nakazany kurs. Nawet nie widząc toczących się fal, czuję, jak dziób jest stale spychany w bok. Właz zostaje zatrzaśnięty na głucho. Do łączności z pomostem zostaje tylko rura głosowa.

Stary nakazuje zanurzenie, by trochę posłuchać, A więc nie chce zrezygnować. Podśluch powinien sięgać teraz dalej niż widzialność.

Ociekając wodą, z twarzami jak gotowane raki, schodzi wachta z pomostu.

Sterujemy na głębokość czterdziestu metrów. Na okręcie cisza jak na cmentarzu. Tylko w zębie pluszcze, ponieważ fale ciągle jeszcze nami poruszają. Wszyscy, poza dwoma wachtowymi z pomostu, którzy są teraz przy sterze głębokości, zerkają na hydroakustyka.

Jednak on, jakkolwiek obraca swoimi pokrętłami, nie znajduje niczego. Stary rozkazuje: kurs sześćdziesiąt stopni!

Po półgodzinie Stary każe się wynurzyć. Czy wreszcie zrezygnował? Wychodzę z wachtą pomostową starszego sternika. Dowódca zostaje na dole.

Takie fale sztormowe, jakie teraz się nam ukazują, mogli widzieć najwyżej rozbitkowie. Okręt jest spychany tak nisko i tak gwałtownie zalewany pianą, że w tym całym tumulcie płyniemy jak na tratwie.

– Młynek na kości! – ryczy starszy sternik. – Uważać... na okręcie... wachtowy raz... – starszy sternik nie może krzyknąć dalej, bowiem przed nami jakaś fala ustawia się do ciosu. Właczam się w osłonę pomostu i przyciskam podbródek do piersi: uderzenie w ramiona, potem kłębowisko piany i szarpanie za nogi.

Ledwie woda spłynęła, starszy sternik ciągnie tym samym wyteżonym tonem: – ...on złamał sobie... trzy żebra... pękł mu pas... rzuciło go do tyłu... prosto na oerlikony. Miał szczęście. – Potem, gdy okręt przyjął następne trzy fale, starszy sternik odwraca się szybko, wyjmując zatyczkę z rury głosowej i woła w dół: – Do dowódcy: nie ma widzialności!

Dowódca sprawdza. Nowe zanurzenie i nasłuchiwanie. Znowu nic.

Czy się opłaca ściągać z siebie mokre łachy? Sternicy głębokości nie zdjęli nawet swoich zjudwestek. Już za pół godziny okazuje się, że mieli rację: dowódca każe się wynurzyć.

– Teraz została nam tylko jedna możliwość: że zrobił duży zakręt... zmianę głównego kursu... i w ten sposób utracił wyprzedzenie – mówi Stary.

Przez dobre pół godziny siedzi skurczony ze ściągniętymi brwiami i na pół przymkniętymi oczami. Nagle zrywa się. Wzdrygam się na ten gwałtowny ruch. Stary musiał usłyszeć dźwięk na pomoście. Jeszcze nim z góry nadchodzi meldunek, że parowiec jest znowu widoczny, Stary dociera już do włazu.

Znowu alarm. Zanurzenie.

Gdy wchodzę do centrali, Stary siedzi w kiosku przy okularze. Wstrzymuję oddech. Kiedy huk fal na chwilę zacicha, słyszę tłumione przekleństwa. Stary ma kłopoty. Jak przy takiej fali chce utrzymać ten parowiec w peryskopie dłużej niż kilka sekund?

– Jest!

Wzdrygam się na ten okrzyk z góry. Stoimy dobrze oparci albo wciśnięci między przyrządy, ale z pomostu nic więcej nie nadchodzi.

Stary klunie głośno, bo nic nie może zobaczyć. Potem słyszeć rozkazy na ster. A teraz – nie wierzę własnym uszom – Stary każe obu silnikom elektrycznym iść całą naprzód. Przy tej

pogodzie?

Mijają trzy czy cztery minuty i nagle dolatuje z góry: – Szybko na sześćdziesiąt metrów! – Spoglądamy po sobie. Mat z centrali wygląda na całkowicie ogłupiałego.

Co to znaczy?

Stary wyzwała nas z niepewności. Złaząc w dół, oznajmia: – Wprost niewiarygodne... zobaczyli nas. Ten statek skręcił prosto na nas. Chciał taranować. Taki zacięty drań. Wprost niewiarygodne!

Stary próbuje się opanować, ale bez skutku. Wściekły ciska rękawicę na płyty podłogi: – Ta parszywa pogoda... ta cholerna...

Klnie do utraty tchu, przysiada na skrzyni z mapami i zapada w apatię.

Stoję zakłopotany i myślę: Byle się tylko teraz nie wynurzać... Byle nie być gruszką treningową dla fal.

Mam w sobie zakorzeniony strach przed męczarnią ciągłego napięcia mięśni, przed akustyczną torturą, przed tym nieprzerwanym łoskotem i grzmotem.

– Do chrzanu – słyszę Dorianą.

NIEDZIELA. Płyniemy w zanurzeniu. Prawdopodobnie ludzie po cichu życzą sobie złej widzialności, bowiem zła widzialność oznacza zanurzenie, a zanurzenie – spokój.

Zamieniliśmy się w starych, zniszczonych mężczyzn, na pół zagłodzonych Robinsonów, mimo że jest dosyć jedzenia. Ale nikt już nie ma więcej ochoty, by choćby tknąć tego oślizłego zarcia.

Najbardziej wynędzniali są ludzie z maszyny. W ogóle nie wychodzą już na świeże powietrze. „Zimowego ogródka” od przeszło czternastu dni nie można używać. Dowódca zezwolił wprawdzie na palenie w kiosku „przy wiejskiej lipie”, ale pierwszemu, który próbował zapalić papierosa, zapałka natychmiast zgasła. Jest tu zbyt silny przeciąg, bowiem diesle zasysają powietrze z okrętu.

Nawet Frenssen stał się milczący. Również i wieczorne „rozróby w komorze łańcuchowej”, głędzenie i śpiewy w dziobowym skończyły się.

Tylko podsłuch i stery są obsadzone. Mat centralowiec i jego dwaj marynarze pełnią służbę. Obsługa silników elektrycznych również. Sternik steru bocznego w kiosku musi uważać, żeby nie zasnąć.

Jakiś silnik szumi. Już od dawna nie zadaję sobie trudu, by myśleć o tym, który by to mógł być. Okręt porusza się z prędkością pięciu węzłów. O wiele wolniej niż rowerzysta, a mimo to szybciej niż na powierzchni.

Nasz brak powodzenia mocno przygniata Starego. Z dnia na dzień robi się coraz bardziej zadumany. Przystępny ani towarzyski nie był nigdy, ale teraz trudno się wprost do niego odezwać. Jest tak zdeprimowany, jakby niepowodzenia całej broni podwodnej spoczywały na jego barkach.

Wilgoć na okręcie zdaje się zwiększać każdego dnia.

Znakomity czas dla pleśni: zaatakowała już moje koszule. Jest to inna odmiana, która nie rośnie tak gwałtownie w górę jak ta na kiełbasach, ale za to tworzy wielkie czarno-zielone plamy. Również skóra sportowych pantofli pokryta jest zielonym nalotem, koje czuć zgnilizną. Prawdopodobnie pleśnieją od środka. Jeśli choćby przez jeden dzień nie wkładam moich morskich butów, są zielonkawoszare od pleśni i soli.

PONIEDZIAŁEK. Jeśli się nie mylę, gwałtowność sztormu spadła w ciągu nocy o kilka stopni.

– Zupełnie normalne – mówi Stary przy śniadaniu – nie ma powodu do radości. Może się nawet zdarzyć, że trafimy do dość spokojnej strefy, jeśli będziemy musieli przejść przez oko niżu. Ale potem z całą pewnością taniec zacznie się znowu... że tak powiem, na drugiej stronie.

Jakkolwiek fale są dokładnie tak samo wysokie jak poprzedniego dnia, wachtowych na pomoście nie biczą już po twarzach bryzgi wody. Od czasu do czasu mogą się nawet odważyć na użycie szkieł.

Płyniemy znowu z otwartym włazem kiosku. Tylko od czasu do czasu jakaś fala wpada do wanny pomostu i wlewa się do centrali, ale nie więcej, niż pompa zębowa, uruchamiana co kwadrans, może znowu wytlóczyć za burtę. Dręczące uszy wycie na linii spychacza sieci osłabło.

Morze wygląda tak, jakby poruszały je potężne siły erupcyjne setek wulkanów, które są czynne w głębinie, wyrzucają w górę i spiętrzają masy wody.

Wysoka fala powoduje to, że ludzie z głębi okrętu prawie nie wyczuwają różnicy w porównaniu z poprzednim dniem. Wiadomość, że sztorm osłabł, pozostaje dla nich abstrakcją: okręt miota się równie gwałtownie jak wczoraj.

WTOREK. Nie muszę już oglądać się za jakimś oparciem, kiedy chcę dotrzeć do centrali. Możemy nawet jeść bez listew sztormowych i nie musimy trzymać misek między udami. Jest już zupełnie normalny posiłek: boczek z ziemniakami i brukselką. Czuję, jak apetyt mi wzrasta przy jedzeniu.

Przy zmianie wachty wieczorem w mesie P zaczyna się straszliwe pierdzenie! Brukselka! Bosmanmat Wichmann szczególnie się w tym wyróżnia. Wydaje z siebie serię krótkich pierdnięć, a potem drugą – przeciągłych.

Berlinczyka nie udaje mu się w ten sposób obudzić. Jeśli chodzi o innych, to chyba wahają się między oburzeniem a rozbawionym uznaniem. Tylko Kleinschmidt się złości: – Wsadź sobie korek w dupę, ty stara świni!

Ponieważ w tym smrodzie nie ma co myśleć o spaniu, wyłażę z koi. Okrągły wycinek nieba we włazie kiosku nie jest ani trochę jaśniejszy niż czarna rama włazu. Oparty o pulpit starszego sternika czekam przez całe dziesięć minut w centrali, aż wreszcie pytam: – Jeden na pomost?

– Tak jest! – słyszę w odpowiedzi głos drugiego oficera. Moje oczy przyzwyczyły się do ciemności w mrocznej centrali – natychmiast mogę rozpoznać wachtowych.

Bomczwum! – Fale biją w okręt. W przerwach słychać ostre syczenie i głuchy szum. Sznury piany połyskują blado po obu stronach i za rufą wplatają się w ciemność.

Opieram się o osłonę. Czum, czsium... Coraz rozbrzmiewają jak głuchy gong uderzenia o kadłub okrętu. Od czasu do czasu jakiś grzywacz przelatuje przez część dziobową, a spychacz sieci wydaje z siebie cienki śpiewny ton.

Z boku, na falach, drży odbicie jednej jedynej gwiazdy. Wysuwam się wyżej, by widzieć cały dziób okrętu. Przy burtach woda połyskuje zielono, jakby była podświetlona od wewnątrz. Zielony połysk wyraźnie uwidacznia w ciemności kształty kadłuba.

– Przeklęta fluorescencja morza! – klnie drugi owu. Księżyc płynie za pasmami mgły. Od czasu do czasu błyska jakaś gwiazda i gaśnie znowu.

– Parszywie ciemno – burczy Dorian do siebie. Potem upomina obserwatorów rufowych: – Tylko uważajcie, chłopaki!

Gdy koło dwudziestej trzeciej schodzę do centrali, widzę dwóch marynarzy z centrali, którzy zatrudnieni są przy zaworach przewodu kolektora wody. Przyglądając się z bliska, spostrzegam, że trą ziemniaki.

– Co to jest? – pytam i słyszę głos Starego za sobą: – Placki kartoflane, ziemniaczane, czy jak one się tam nazywają.

Muszę iść do kambuza wraz z nim. Tam sięga po patelnię i smalec. Jeden marynarz przychodzi z centrali z miską pełną startych ziemniaków. Dowódca rozpuszcza smalec i cieszy się przy tym jak uczeń. Podnosi patelnię do góry i przelewa syczący tłuszcz z jednej strony na drugą. Wlewa teraz ziemniaczaną papkę, tłuszcz pryska prosto na moje spodnie. Niby chemik pochylony nad swymi retortami Stary obserwuje, jak ziemniaczana masa ścina

się i brązowieje. – Zaraz będzie pierwszy z serii! – Stary, marszcząc nos, wciąga unoszący się zapach, a teraz chwyta za trzonek patelni. Następuje wielka chwila. Zamach, placek przelatuje w powietrzu, robi salto i już leży znowu płasko na patelni: złotobrazowy.

Z pierwszego gotowego placka urywamy sobie po kawałku i trzymamy między zębami, unosząc wargi, by nieco przestygł. – Fajne, co? – pyta dowódca. Kuk musi wstać ze swojej koi i przynieść wielkie puszki z musem jabłkowym.

Stopniowo z gotowych placków powstaje spory stos. Jest prawie północ: zmiana wachty w maszynie. Otwiera się właz i umorusany smarami Jednotancerz wchodzi do kambuza. Zaskoczony patrzy na dowódcę i chce szybko precyzyjnie się przez pomieszczenie, – Stój! Stop! – woła do niego dowódca i Jednotancerz staje jak przynitywany do podłogi.

Teraz na rozkaz musi zamknąć oczy i otworzyć usta, a dowódca wpycha mu zwinięty w roladę placek ziemniaczany i jeszcze rozsmarowuje na tym łyżkę musu jabłkowego. Część musu trafia również na brodę Jednotancerza.

– Naprzód marsz! Następny!

Procedura powtarza się sześciokrotnie. Z nową wachtą postępuje tak samo. Nasz zapas topnieje szybko. Niebawem pokazuje się dno miski.

– Następna porcja będzie dla pomostu!

Jest godzina pierwsza, gdy dowódca przeciąga się i rękawem kurtki ociera pot z czoła. – Dalej, zjadać! – Przy tych słowach podsuwa mi ostatni placek.

ŚRODA. Po południu wychodzę na drugą wachtę. Widok morza zmienił się całkowicie. Nie ma już wędrujących łańcuchów górskich z powoli podnoszącymi się zboczami na odowietrznej i przepaściami na zawietrznej, z uporządkowanej falangi fal powstał dziki zamęt. Jak daleko w wodnej mgłę sięga spojrzenie przymrużonych oczu, cały krajobraz wodny ulega gwałtownym, nierytmicznym drganiom. Olbrzymie masy wody są wyrzucane we wszystkich kierunkach. Fale w ogóle nie mają wyraźnych zarysów. Widać sztorm na starą falę położył nową. Wskutek tego olbrzymie góry wodne spotykają się z potężnymi poprzecznymi falami. Przy zderzeniach potworne słupy wody wzbijają się tak wysoko, jakby chciały skoczyć do nieba.

Nasz dziób wybija wariacki takt na tym nieregularnym drganiu fal. Dwa, trzy, cztery uderzenia jedno po drugim, potem następuje przerwa i znowu seria szybkich ciosów.

Prawie nie ma widzialności. Brak horyzontu. Tylko pył wodny przed oczami. – Te parszywe krzywe fale! – klnie starszy sternik. Nasz okręt wykonuje rodzaj tańca wirowego. Szarpie i zatacza się, nie znajduje już rytmu. Dziób chwieje się w różne strony. Ale teraz jego

ciosy trafiają przeważnie w próżnię.

Spotyka nas nowa kara. Znowu zrobiło się zimno. Lodowate podmuchy wiatru tną moją moką twarz jak nóż.

CZWARTEK. Wiatr dmie z zachodnio-północnego zachodu. Barometr spada dalej. W moim mózgu zalega się najbardziej idiotyczne życzenie, by padała oliwa. Nie pragnę niczego tak bardzo jak ulewy z oliwy, która by mogła wygładzić morze.

Dowódca zjawia się na kolacji z mroczną twarzą. Przez długi czas nie pada ani jedno słowo, wreszcie syczy przez zęby: – Cztery tygodnie! To niedobrze, panie bobrze!

Od czterech tygodni morze trzęsie nami i miota, biczuje nas i tłucze.

Stary wali pięścią w stół, głęboko wciąga powietrze, zatrzymuje je długo, wypuszcza i zamykając oczy, skłania głowę w bok: obraz człowieka, który poddaje się losowi. Siedzimy dokoła i nie możemy już patrzeć na siebie.

Starszy sternik melduje, że horyzont jest teraz jaśniejszy. Wiatr północno-zachodni przepędził więc nisko wiszące chmury i przywrócił nam możliwość widzenia.

PIĄTEK. Morze jest olbrzymią zieloną i poszarpaną pikowaną kołdrą, z której wszędzie wylazi wata. Dowódca próbuje wszystkiego, by chronić okręt przed ciosami fal. Wodoszczelny bak zostaje zamknięty. Zbiorniki wyrównawcze opróżnione. Poprzeczne fale są nie do zniesienia. Wreszcie nie pozostaje nam nic innego, jak zmienić kurs.

Bołącymi oczami przeszukuję dziury, leje, fałdy, pęknięcia i rumowisko w dali, ale nigdzie nie widać ciemniejszej plamki – nic! O lotnikach w ogóle już nie myślimy. Jaki samolot mógłby utrzymać się w tym sztormie? Jakie oko mogłoby nas odkryć w tym tumulcie? Nie zostawiamy przecież śladu torowego, nie wlecze się za nami zdradziecki ogon.

Znowu zjeżdżamy w dolinę, a skośnie za nami wyrasta następna fala. Drugi oficer wpatruje się w nią nieruchomo, ale nie schyla się, nadal stoi sztywno, jakby miał zapalenie korzonków.

– Tam przecież coś było... – słyszę, jak ryczy, ale już fala wali w kiosk. Przyciskam podbródek do piersi, wstrzymuję dech, zapieram się, robię się ciężki, aby ssący wir nie zwałił mnie z nóg. A potem znowu głowa do góry i przeszukiwanie szalejących fal. Fałda na fałdzie.

Nic.

– Tam coś było! – ryczy znowu drugi. – Dwieście sześćdziesiąt stopni... było coś... niech mi kaktus...!

Ochrzania obserwatora rufowego: – Człowieku... człowieku... pan tego... nie widział?

Pędząca winda unosi nas w górę. Stoję ramię przy ramieniu z drugim oficerem. O, tam! Nagle wśród pyłu wodnego wyskakuje w górę jakiś ciemny przedmiot. W następnym okamgnieniu znika.

Beczka? Jak daleko?

Drugi wyjmuje zatyczkę z rury głosowej i przyciska usta do muszli. Każe podać lornetkę. Ktoś otwiera od dołu przykrywą wjazdu i podaje szkła akurat we właściwym momencie, przed uderzeniem nowej fali. Drugi szybko przyciska pokrywą nogami. Lorneta częściowo jeszcze pozostaje sucha.

Kulę się obok drugiego, który lewą dłonią osłania szkła przed wodnym pyłem i czeka w napięciu, by dryfujący przedmiot znowu wyskoczył w górę. Nic jednak nie widać poza kotłowaną pociętymi białymi pasmami pagórków. Znajdujemy się w głębokiej dolinie między falami. Gdy zaczynamy się podnosić, trzeba przymrużyć powieki, zwięzić je jak szczeliny przyłbicy.

– Diabli diabli diabli! – klnie drugi. Gwałtownie przykłada szkła do oczu. Wpatruję się w tym samym kierunku co on. Nagle wrzeszczy: – Tam! Tam coś było! – Bez wątpienia drugi ma rację: tam coś było! Znowu! Ciemny przedmiot. Unosi się w górę, utrzymuje się na parę uderzeń serca i zapada w głąb.

Drugi opuszcza szkła i ryczy: – Tam... To jest przecież...

– Co?

Drugi połyka zgłoski. Potem zwraca się do mnie całą twarzą i wykrztusza: – To... musi być... okręt podwodny!

Okręt podwodny? Okręt podwodny? Ta wirująca beczka jest okrętem? Ma świra! Na mózg mu padło!

– Wystrzelić ES? – pyta bosmanmat.

– Nie... jeszcze nie... jeszcze poczekać... Niepewne! – Drugi schyla się znowu nad rurą głosową: – Irchę na pomost! Szybko!

Czatując jak harpunnik na wielorybniku, schyla się za osłoną pomostu i czeka, aż znowu wyjedziemy w górę. Wypełniam płuca powietrzem, że niemal pękają, i wstrzymuję oddech, patrząc na wrzące fale, jakby od tego miał się zaostrzyć wzrok.

Nic!

Drugi podaje mi szkła. Zapieram się jak alpinista w kominie i szukam pod kątem dwustu sześćdziesięciu stopni.

– Jasna cholera! – Okrągły wycinek białoszarego morza. Poza tym nic.

– Tam! – ryczy drugi owu i wyciąga prawe ramię. Podaję mu szybko szkła. Drugi

wpatruje się zaciekle. Opuszcza szkła. Jednym skokiem jest przy rurze głosowej: – Do dowódcy! Z lewej za rufą okręt podwodny!

Znowu podaje mi szkła. Nie ośmielam się przyłożyć ich do oczu, bowiem za rufą wypiętrza się potężna fala. Przytrzymując się kurczowo, staram się osłonić lornetę. Nowy potop dochodzi mi aż do pępka.

– Diablidiabli!

Teraz olbrzymia fala unosi nas. Podrywam mokre szkła do góry, przez dwie, trzy sekundy przeszukuję szalejącą pustynię wodną... i mam już ten przedmiot. Nie ma wątpliwości: drugi owu ma rację, to przecież kiosk okrętu podwodnego. Tylko przez kilka sekund, potem znika jak zjawą.

Właz otwiera się, gdy tylko woda spłynęła z pomostu. Dowódca przeciska się na górę i każe drugiemu pokazać sobie kierunek.

– Rzeczywiście! – burczy pod swymi szklami.

– Oni chyba się nie zanurzają? – ryczy nagle. – Chyba się nie zanurzają? Szybko ręczny reflektor na górę!

Przez kilka sekund, mimo usilnych poszukiwań przez trzy pary oczu, nic nie widać. Dostrzegam zakłopotane spojrzenie dowódcy. Nagle na zielonkawej szarzyźnie ukazuje się jakiś czubek – pionowo postawiona beczka!

Stary każe podejść bliżej na obu silnikach. Co chce zrobić? Dlaczego nie każe strzelać ES? Dlaczego tamci nie strzelają ES? Czyżby nas nie zobaczyli?

Mimo że bryzgi wody i piana ciężkimi płatami biją z tyłu w pomost, wyprostowuję się. Od rufy nadciąga cały łańcuch górski z białymi, śnieżnymi wierzchołkami. Przez kilka uderzeń serca boję się, że pierwsza olbrzymia fala mogłaby nas nie podnieść we właściwym czasie i załamać się nad nami. Ale już słychać ostry syk, fala przechodzi pod okrętem, tylko że zaraz, jak potężny wał wysokości domu, zasłania wszystko. A następna fala odcina nam widok za rufą.

Jednak kiosk tamtego okrętu ukazuje się wysoko nad grzywami piany jak korek wystrzelony z butelki. Przez chwilę ten korek tańczy, a potem coś znowu wciąga go w dół. Przez minutę nie widać nic.

Drugi oficer wrzeszczy. To nie są słowa, tylko rżące wrzaski. Dowódca podnosi pokrywę włazu i ryczy w dół: – Kiedy będzie ten reflektor?

Podają go wreszcie. Dowódca wciska się znowu między studzienkę peryskopu i osłonę jak alpinista w kominie i chwytając reflektor oboma rękami. Przyciskam udo dowódcy, żeby miał lepsze oparcie i mógł się lepiej wyprostować. Słyszę, że już naciska taster. Krótka – krótka –

długa. Dowódca przerywa. Koniec. Ryzykuję podniesienie głowy. Tamten okręt zniknął, jakby wchłonięty przez przepaść. Dokoła tylko szara pustynia wodna.

– Wariactwo! Czyste szaleństwo! – słyszę dowódcę.

Nagle błyska coś, jakkolwiek nie zdążyłem ponownie odnaleźć tamtego kiosku, w szarej pianie. Białe słońce zapala się w wodnym pyle, gaśnie, promieniuje znowu: krótka – długa – długa. Przez chwilę nic, a potem znowu rozbłysk w chaosie.

– To Thomsen! – ryczy Stary.

Trzymam się całą siłą, wciśnięty ukośnie w osłonę, obejmując lewe udo dowódcy, drugi oficer jest tuż koło mnie. On przytrzymuje prawe udo dowódcy. Teraz nasz reflektor rozbłyskuje znowu, dowódca przekazuje swoje znaki. Ponieważ twarz muszę mieć zwróconą w dół, nie widzę, co nadaje, ale za to słyszę. Dyktuje sam sobie głośno: – kurs-i-prę-d-kość-za-cho-wać-po-dej-dzie-my-bli-żej!

Góra wodna, potężniejsza od wszystkich, jakie dotychczas widzieliśmy, sunie od rufy. Nad grzbietem tej olbrzymiej fali wiruje pył wodny, biały jak płatki śniegu podczas zadymki. Dowódca oddaje reflektor i opierając się na naszych ramionach, zsuwa się szybko w dół.

Zatyka mi dech w piersi. Ryk i syczenie tej wysokiej jak czteropiętrowy dom fali zagłusza hałas wzburzonego morza. Przyciskamy się plecami do przedniej części osłony pomostu. Drugi oficer zasłania twarz lewym przedramieniem jak broniący się bokser.

Nikt już nie patrzy na tamten okręt. Wpatrujemy się w tę potworną górę, która z niesamowitą swobodą zbliża się do nas, ciężka jak ołów, druzgocząca swoją niesamowitą masą. Na jej grzbiecie złośliwie błyszczą piana. Przy zbliżaniu się wyrasta coraz wyżej ponad szarozielony tumult dokoła. Nagle wiatr przestaje wiać. Morze wokół okrętu drga bezwładnie. Rozumiem natychmiast: ta prafala jak gigantyczna barykada odcięła nas od sztormu. Znajdujemy się na jej zawietrznej.

– Trzymać się! Uwaga zero! – ryczy dowódca z całych sił.

Kulę się jeszcze bardziej, napinam wszystkie mięśnie, by unieruchomić się mocno, jak w imadle, między osłoną pomostu a kolumną celownika przeciwlotniczego. Serce mi zamiera. Tego za dużo! Jeśli ta fala się załamie, to niech nas Bóg ma w swojej opiece! Tego okręt nie zniesie. Tego nie wytrzymamy! Nasze kości... mój Boże!

Wszystkie inne dźwięki zostają teraz zagłuszone przez złośliwy, ostry syk. Brzmi to tak, jakby jednocześnie wylewano tysiąc wiader wody na olbrzymie, rozpalone do białości płyty. Przez parę uderzeń serca trwam bez tchu. Potem czuję, jak coś podnosi okręt od tyłu, coraz wyżej i wyżej. Idzie w górę, przyklejony ukośnie do splekanego zbocza, tak wysoko, jak nigdy dotychczas. Duszący uścisk strachu już się rozluźnia, gdy nagle załamuje się grzebień

fali. Ważąca wiele ton ciężka maczuga rąbie w kiosk, który dudni, a cały okręt drży gwałtownie. Słyszę przeraźliwy, gulgoczący pisk, wir wody szaleńczo wali na pomost.

Zaciskam usta i zatrzymuję powietrze w płucach. Przed oczyma mam zielone szkło. Próbuję zwiększyć ciężar ciała, żeby twarde wiry nie podcięły mi nóg. Wielki Boże, czyżbyśmy mieli utonąć? Cała wanna pomostu aż po brzegi wypełniona jest wodą.

Wreszcie kiosk kładzie się ukośnie. Wynurzam się i chwytam powietrze, ale znowu zatyka mi dech. Pomost kładzie się jeszcze bardziej... pomost chce nas wyrzucić.

Czy okręt podwodny może się przewrócić? Nasza stępka! Czy nasza stępka może być odporna na takie siły?

Wir wodny chce mi zerwać ubranie z ciała. Otwieram usta, pompuję powietrze do płuc i wyciągam po kolei prawą i lewą nogę z wirów niby z jakiejś pętli. A teraz odważam się spojrzeć. Nasza rufa jest skierowana w niebo. Szybko zwracam głowę ku dziobowi, wyprostowuję się nieco i spoglądam ponad osłoną pomostu. Dziobowa część okrętu jest zanurzona głęboko w biało-zielonej kipieli. Widzę twarz drugiego oficera: otworzył szeroko usta, jakby chciał krzyczeć z całych sił. Ale nie słychać żadnego dźwięku.

Z twarzy dowódcy ścieka woda. Z obrzeża zbudwestki leje się jak z rynny. Twarz ma zbitą do czerwoności. Stoi bez ruchu i patrzy przed siebie. Spoglądam w tym samym kierunku.

Tamten okręt musi być teraz z lewej i z przodu. Nagle staje się widoczny na całej swojej długości. Ta sama fala, która przeszła pod nami, unosi go ku niebu. Trwa to tylko parę chwil, potem również jego dziób pogrąża się w potopie piany. Wygląda to tak, jakby płynęło tylko pół okrętu. A teraz przy jego kiosku wzbija się pionowo kolumna piany, wysoko jak przy urwisku skalnym, które stoi w przyboju. W szarym pyle wodnym znikają całkowicie.

Drugi owu krzyczy coś, co brzmi jakby „biedne chłopaki”. Biedne chłopaki? Co on, wariat? Czy zapomina, że jesteśmy dokładnie tak samo zalewani i miotani jak tamci?

Skręcamy dalej. Kąt między kursem okrętu a kierunkiem najścia fal staje się coraz bardziej ostry. Wreszcie udaje nam się i możemy skierować dziób przeciwko falom.

– Precyzyjna robota... o, cholera! – ryczy drugi oficer. – Byle tylko oni... teraz właśnie... nie zrobili jakiejś fuszerki!

Również mnie ogarnia strach, że tamci przy takiej fali nie utrzymają okrętu na kursie. Na naszej scenie obrotowej szybko jesteśmy niesieni ku nim. Góry wodne, odcinane przez dziób tamtego okrętu jak przez pług śnieżny, spotykają się już ze skotłowanymi poprzecznymi falami, które my wyoraliśmy. Strzępy wody strzelają pionowo w górę, dziesiątki gejzerów, małe, duże, olbrzymie...

Znowu zostajemy uniesieni w górę. Znowu jakaś szaleńcza fala powstała z głębin i wzięła nas na plecy jak monstrualny wieloryb. Unosimy się... wniebowstąpienie submaryny... kyrie elejson. Zupełnie jakbyśmy chcieli się oddzielić od ziemi, unosimy się jak czarny sterowiec, coraz wyżej. Dziobowa część okrętu jest wolna na całej długości.

Jak z dachu jakiegoś domu widzę teraz pomost tamtego okrętu... A niech to! Czy Stary nie za dużo ryzykuje? Gdyby nas tak rzuciło na tamtych!

Ale Stary nie wydaje żadnych rozkazów. Mogę rozróżnić każdego z tamtej piątki, która wciskając się w prawą stronę osłony, patrzy ku nam: Thomsen jest w środku.

Wszyscy mają szeroko otwarte usta, jak parkowe śmietniczki w kształcie karzełek, albo pisklęta, które czekają, aż nadleci ich ptasia matka.

Tak to więc wygląda! Tak mogliby nas zobaczyć Tomki, gdyby byli teraz w drodze: beczka z pięcioma przywiązany do niej mężczyznami, czarny punkt w plamie piany, pestka w białym miąższu owocu. Tylko wtedy, gdy odchodzą fale, obraz się zmienia – stalowa rura wytacza się z wody.

Teraz zjeżdżamy po grzbiecie wieloryba i spadamy w dół. W dół, w dół.

Do wszystkich diabłów, dlaczego Stary nic nie robi?

Widzę jego twarz. Uśmiecha się. Ten piekielnik jeszcze może się uśmiechać! A teraz wrzeszczy: – Uwaga, zero!

Szybko wygiąć grzbiet jak kot. Wcisnąć – kolano w osłonę, plecy w cokół peryskopu. Napiąć mięśnie. Wciągnąć brzuch. Ściana, ściana wody, butelkowieczona z heraldycznymi skrzydełkami, wypiętrza się przed nami jak fala Utagawy Iliroshige. Teraz w górnej części tej ściany robi się wklęsnięcie, wygina się ku nam – chować głowę! Jeszcze szybko powietrze do płuc i skurczyć się, przycisnąć szkła do brzucha... i znów spada wielki młot. Trzymać powietrze, liczyć. Zwalczyć dławienie i liczyć dalej, aż szarpiący zalew się cofnie!

Dziwię się, że nie zepchnęło nas w bok, czego tak się bałem.

Dowódca, stary cwaniak, wiedział, jak się wieloryb zachowa. On czuje wodę. Wie, jak się porusza taka monstrualna fala.

Teraz okręt Thomsena balansuje na grzebieniu góry wodnej. Zupełnie jakby go monstrualna pięść wypychała coraz wyżej. Przez lornetę widzę, jak jego balasty całkowicie się wynurzają i błyszczą jasno. Całą wieczność nasz okręt zachowuje się w ten sposób, a potem nagle jak wystrzelony z procy wpada w następną dolinę. Między obu okrętami wzbija się biała, postrzępiona grzywa i zasłania tamtych, jakby nigdy nie istnieli. Przez dziesiątki uderzeń serca nie widzę nic więcej, jak tylko białe kipiące fale i drżące śnieżne góry. Z tamtym okrętem w dole wyglądają jeszcze bardziej potężnie i pierwotnie.

I pomyśleć, że w brzuchu tamtego okrętu podczas tego szaleńczego tańca stoją wachty przy maszynach, że radzik siedzi w swoim przedziale, że w dziobowym tkwią w swoich kojach, czytają albo próbują spać, że pali się tam światło i gnieźdzą się ludzie...

Chłopcze, chłopcze, mamroczę do siebie, jesteś zupełnie taki sam jak drugi oficer, zapominasz całkiem, że pływamy na bliźniaczym okręcie. Naszym ludziom powodzi się nie inaczej niż tamtym z przeciwka.

Dowódca żąda flag do semafora. Flagi do semafora? Całkiem zdurniał! Jak tu ktoś ma nadawać semaforem?

Ale dowódca osobiście chwytą flagi jak dwie pałeczki w sztafecie, a gdy teraz znowu unosimy się ku niebu, rozpiną szybko swój pas zabezpieczający, opiera się plecami o studzienkę peryskopu, wysuwając się ponad osłonę, zapiera się mocno jak alpinista, rozwija flagi i z całym spokojem, jak byśmy pływali po Wannsee, nadaje swoje znaki: c-o-z-a-t-o-p-i-l-i-ś-c-i-e.

Wprost niewiarygodne: naprzeciw ktoś rzeczywiście robi ramionami znak „zrozumiałem”. I podczas gdy my naszą pędzącą windą kopalnianą znowu lecimy w głąb, tamten piekielnik z przeciwka sygnalizuje ramionami: d-z-i-e-s-i-ę-ć-t-y-s-i-ę-c-y-t-o-n.

Jak z kabin dwóch obracających się naprzeciwko diabelskich młynów poprzez lecającą pianę wymieniamy informacje w języku głuchoniemych. Na mgnienie oka okręty znajdują się na jednakowej wysokości. Gdy znowu unosimy się w górę, Stary przekazuje tamtym nowe znaki: p-o-w-o-d-z-e-n-i-a-s-t-a-r-e-d-i-a-b-ł-y.

Tamci już także dostali flagi semaforowe. Chóralnie odczytujemy, co przekazuje sygnalista: s-e-r-w-u-s-z-ł-a-m-a-n-i-a-m-a-s-z-t-u-i-s-t-e-n-g-i.

Morze rzuca nami gwałtownie, teraz wariacko zlatujemy w dół. W krańcowo skośnym położeniu wpadamy w dolinę wypełnioną pyłem wodnym.

Wysoko nad nami unosi się dziób drugiego okrętu, wysunięty wiele metrów nad przepaścią, trwa w tej niewiarygodnej pozycji całą wieczność – pokrywy obu rur torpedowych lewej burty są wyraźnie widoczne, a również każda szczelina do przelewania wody, cała część podwodna – tak długo, aż wisząca w powietrzu dziobowa część okrętu spada w dół jak tnące ostrze. Uderza z siłą, która powinna rozerwać stal. Kadłub okrętu wbija się jak klin i rozłupuje morze. Z lewej i prawej burty woda odlatuje na boki w potężnych zielonkawych skibach. Teraz łamią się fale nad głęboko zanurzoną dziobową częścią okrętu, pokrywają ją drżącymi, skaczącymi wirami i przechodzą również przez pomost. W szalejącej pianie widać tylko parę ciemnych punktów: to głowy wachty na pomoście i ramię, które wymachuje czerwoną flagą semaforową.

Chwytam błędne spojrzenie drugiego oficera, potem spoglądam na ekstatycznie wykrzywioną twarz głównego mechanika, który od pewnego czasu musiał znajdować się na pomoście.

Jednym ramieniem obejmuję peryskop i podciągam się nieco wyżej. Tamten okręt zniknął wśród fal. Nagle znowu staje się beczką, podskakującą w górę i w dół, potem tylko tańczącym korkiem, a w parę minut później już go w ogóle nie widać.

Stary każe wrócić na poprzedni kurs. Otworzyć właz, poczekać, aż spłynie woda, i w dół przez wąską rurę!

Sternik w kiosku robi mi miejsce. Okręt przechyla się w prawo. Mimo wszystko sternikowi nie udaje się uniknąć prysznicu.

– Co to było? – chce wiedzieć.

– Spotkaliśmy okręt podwodny... Thomsena. Dosyć blisko!

Z góry przyciskają nogami właz. Błede twarze, wydobyte z ciemności jakby przez lampy górnicze. Znowu wróciliśmy do kopalni. Dopiero teraz uświadamiam sobie, że nawet sternik nie wiedział, co się zdarzyło.

Rozwiązuję zjedwestkę pod brodą, ściągam z trudem gumową kurtkę. Mat z centrali wpatruje się w moje usta. Muszę mu tak czy inaczej rzucić parę strzępów informacji: – Wprost niewiarygodne, jak dowódca umie manewrować... słowo honoru... to była precyzyjna robota!

Odnoszę wrażenie, jakby podniecenie mobilizowało również moje mięśnie: wydobywam się z mokrego ubrania o wiele szybciej niż w poprzednich dniach. Obok mnie czif wyciera się starannie ręcznikiem.

Dziesięć minut później zbieramy się znowu w mesie O.

Chociaż jestem jeszcze cały roztrzęsiony, próbuję zachowywać się swobodnie: – Czy to wszystko nie było dość nieformalne?

– Co mianowicie? – odpowiada pytaniem Stary.

– Powitanie.

– A to jak?

– Czy nie pominęliśmy sygnału rozpoznawczego?

– Ach, mój Boże – mówi dowódca. – Kiosk można przecież było rozpoznać na pierwszy rzut oka. Wystraszylibyśmy ich śmiertelnie, gdybyśmy wystrzelili ES. Musieliby przecież zaraz odpowiedzieć. A kto wie, czy przy tej pogodzie byli na to przygotowani. Nie można wprawiać kolegów w zakłopotanie.

– I po to, żeby w wątpliwych przypadkach nie używać sygnału rozpoznawczego,

musimy wstawać parę razy dziennie z powodu naboju ES!

– Tylko nie kwękać – mówi Stary. – Co trzeba, to trzeba... przepis.

Po dziesięciu minutach wraca do mojego zarzutu: – Z angielskimi podwodniakami nie musimy się przecież liczyć przy tej pogodzie. Co oni mieliby mianowicie do roboty? Szukać może niemieckich konwojów?

SOBOTA. Oszołomienie minęło. Kurtyna zapadła. Znowu przytwierdziliśmy się do stołu na obiad i żujemy. Ludzie z wolnej wachty stopniowo zapadają w poprzedni letarg.

Po jedzeniu Stary wreszcie otwiera usta: – Ale oni szybko to załatwili!

Mówiąc „oni”, myśli z pewnością o Thomsenie i jego ludziach. Stary zdumiewa się, że Thomsen wynurzył się w tym rejonie.

– Przecież przybył do bazy na krótko przed naszym wyjściem... a jakie miał uszkodzenia!

– Szybko to załatwili, to znaczy: krótki pobyt w stoczni.

– Tak, dowództwu się śpieszy! – mówi Stary.

Skrócone okresy pobytu w stoczni, szybkie załadowanie. Pacjent musi prędko wychodzić z koi i stawać na nogach. Koniec z długim wylegiwaniem się. Mija dobry kwadrans, gdy Stary odżywa się znowu: – Coś się tu nie zgadza. Kiedy na Atlantyku powinniśmy mieć dużo okrętów, mamy ich mniej więcej tuzin. Od Grenlandii do Azorów jeden tuzin... a my dwaj prawie się zderzamy. Coś tu się przecież nie zgadza! No tak, nie mój kłopot!

Nie jego kłopot! Przy tym Stary od rana do nocy, a prawdopodobnie również w nocy, łamie sobie głowę nad oczywistym dylematem: za wielkie pole bitwy – za mało okrętów – brak samolotów.

– Czas, żeby wreszcie coś wymyślili!

Kolacja. Tego piekielnego chleba z puszki po prostu nie można przełknąć. Również Stary ma z tym kłopoty. Przeżutą papkę chlebową przesuwa od policzka do policzka, nim ją wreszcie przełknie. Ciągle jeszcze chyba rozważa spotkanie z tamtym okrętem: – Prawdopodobnie przydzielono mu przyległy pas patrolowania – mówi utykając i woła zaraz starszego sternika.

– Czy nasza pozycja zgadza się choćby w połowie? – zwraca się do swego nawigatora.

– W połowie... tak to można nazwać, panie kapitanie! Od siedmiu dni nie robiliśmy namiarów. A potem wiatr parę razy się zmieniał!

– To pięknie, Kriechbaum.

Stary zwraca się znowu do nas: – A jeśli u tamtego pozycja również zgadza się tylko w połowie? Zdarza się, że dwa okręty łażą w tej samej okolicy, a dalej, na południe, albo na północ, są olbrzymie luki. Tamtędy Anglicy mogą sobie pływać całą armadą, a my nie mamy nawet o tym pojęcia. Tutaj, na morzu, wszystko wygląda inaczej niż w sztabie w Kernévalu.

Trzeciego dnia po spotkaniu, budząc się, stwierdzam po ruchach okrętu, że fala się zmniejszyła.

Jak najszybciej wkładam ubranie sztormowe i wyłażę na pomost. Nie jest jeszcze całkiem jasno.

Horyzont został oczyszczony przez wiatr. Na wypiętrzonej wodzie tu i ówdzie załamują się fale. Co prawda unoszą one okręt prawie tak samo wysoko i strącają go prawie tak samo szybko w dół jak podczas ostatnich dni, jednak ich ruchy stały się o wiele miększe, już nic nami nie szarpie i nie potrząsa gwałtownie.

Wiatr się ustalił. Tylko od czasu do czasu odchyła się niespokojnie o parę kresek od swego głównego kierunku – północnego zachodu. Jest zimno.

Niebawem wzejdzie słońce. Na wschodzie pojawia się czerwona iluminacja, która szybko podnosi się aż do zenitu. Pierwsze promienie słoneczne wystrzelają jak błyszczące lance zza horyzontu. Jeszcze ciemne od nocy góry chmur mają teraz pomarańczowe krawędzie.

Dziobowa część okrętu rozbłyskuje w pierwszym blasku słońca. Wysokie fale przez kontrast wydają się w świetle poranka bardzo ciemne. Cała panorama morza staje się olbrzymim drzeworytem – światło i cień, jasność i ciemność.

Koło południa wiatr ucicha prawie zupełnie. Zamiast wycia słychać tylko stłumione syczenie i szum. Mam jeszcze w uszach potężną muzykę sztormu. Niezwykła cisza wprawia mnie w niepokój. Czuję się tak, jakby w kinie urwał się dźwięk: fale podnoszą się jeszcze wysoko, niespokojnie, białogrzywe stado, które wychodzi naprzeciwko okrętu poważne i uroczyste.

Prawie nie można sobie wyobrazić, że przy tym pośpiesznym pochodzie masy wody nie poruszają się naprzód, że cała powierzchnia morza nie znajduje się w szybkim ruchu. Muszę przywołać na pomoc obraz falującego na wietrze łanu zboża, by sobie uświadomić, że te olbrzymie masy wody tak samo nie ruszają się z miejsca jak źdźbła zboża.

– Rzadko widzi się tak potężną martwą falę! – mówi starszy sternik. – Osiąga łatwo te swoje tysiąc mil.

Następnego dnia morze porusza się tylko jak pod warstwą płynnego ołowiu. Wydaje się, jakby przez noc ciężar właściwy wody uległ podwojeniu. Również niebo pogrążyło się w bezruchu, jest jak zsiadłe mleko.

– Zawsze wszystko na odwrót – mówi starszy sternik z pretensją w głosie. – Takiego spokojnego morza potrzebowaliśmy, Bóg mi świadkiem, nieco wcześniej!

Później w centrali starszy sternik powiada: – Tu jesteśmy dzisiaj – i wskazuje ostrzem cyrkla krzyżyk na mapie – a tam byliśmy wczoraj o tej porze! – Ściąga kąciki ust, robiąc gorzką minę: – Na tym kawałku kręcimy się tylko tam i nazad! – Wyciąga ze skrzyni mapę, która została sporządzona z pewnej liczby naszych zwykłych map morskich i obejmuje również wybrzeża. Wskazuje na całkiem mały kwadrat na południowy zachód od Islandii: – Ten kwadrat odpowiada mapie, którą mamy na stole!

Ostrzem cyrkla pokazuje drogę, jaką przebyliśmy: – Ten cały kawałek szliśmy na zachód. Potem nastąpiła ta zła pogoda. Wtedy skręciliśmy tutaj, potem znowu na północ, później wielkim zygzakiem na południe, znowu na zachód i wreszcie ten hak na północ. Tutaj parę zygzaków i od początku na zachód... a tu tkwimy jak zamurowani.

Wpatruję się w mapę, jakby było na niej wiele do zobaczenia. I to jest wszystko, myślę sobie, co pozostaje z naszego żmudnego pływania: skacząca tu i tam, wariacko zygzakująca ołówkowa kreska w siatce kwadratów mapy!

Otrzymujemy wiadomość radiową od Hinricha: „Zatopiono trzy samotne statki”.

– Ten jeszcze awansuje na admirała – mówi Stary. Jednak brzmi w tym raczej zdziwienie niż zazdrość. – Tam w górze, na duńskiej drodze!

Rozgoryczenie Starego znajduje ujście w napadzie wściekłości: – Nie mogą nam kazać po prostu kręcić się w kółko... tylko na chybił trafił! Tak to być nie może!

Nastrój na okręcie spadł znowu do poziomu zerowego. Zdaje się, że najlepiej jeszcze czuje się bosman. Siła jego głosu nie osłabła w najmniejszym stopniu. Co rano, gdy jeszcze wszyscy są skąpi w słowach, szaleje jak orkan, bowiem jego zdaniem niestaranie posprzątano. Z reguły czeka, aż dowódca znajdzie się na pomoście, ale wtedy eksploduje, jakby za swoje napady wściekłości otrzymywał specjalny dodatek.

Dla odmiany porządkuję moją maleńką szafkę. Wszystko sparszywiało: na wszystkich koszulach szaro-czarne plamy. Pleśń zabarwiła pas na zielono. Wszystkie łachy czuć stęchlizną. To cud, że my również nie gnijemy albo stopniowo za życia nie rozpuszczamy się na galaretę i szlam.

Co prawda wydaje się, że u niektórych ten proces już się zaczął. Twarz Zörnera jest

całkowicie zniekształcona przez czerwone guzy z żółtym rdzeniem w środku. Kontrast z jego żółtawą skórą nadaje wrzodom szczególnie złośliwy wygląd. Najgorsze dla marynarzy jest to, że ciągły kontakt ze słoną wodą nie pozwala, by wygoiły się ich rany i wrzody.

Sztorm minął. Pomost jest znowu miejscem wypoczynku.

Nic nie przerywa kręgu horyzontu. Jest linią bez skazy, wzdłuż której niebo i woda są dokładnie dopasowane.

Morze jest jak wielka płaska tarcza, na której postawiono dzwon z szarego opalizującego szkła. Jakkolwiek się poruszamy, dzwon ciągnie wraz z nami i pozostajemy w środkowym punkcie czarno-zielonej tarczy. Do jej krawędzi jest tylko szesnaście mil morskich. Tarcza ma więc trzydzieści dwie mile średnicy. Tyle co nic w stosunku do wielkości Atlantyku.

Kontakt

Pierwszym sygnałem, jaki dziś odebrano, było wezwanie do Thomsena, by podał swoją pozycję.

– Gdzie teraz tkwi Thomsen? – pytam Starego.

– Nie zameldował się – mówi. – Już go wzywali dwa razy.

Natychmiast nawiedzają mnie obrazy: okręty widziane z góry, wokół nich detonacje bomb, skłębione i białe jak olbrzymie kalafiory.

Powtarzam sobie, że oni już wiedzą, dlaczego milczą. Istotnie, zdarzają się sytuacje, w których najkrótszy sygnał radiowy może być zdradziecki.

Następnego ranka przy śniadaniu pytam możliwie najobojętniej: – Jest coś o Thomsenie?

– Nie! – mówi Stary i żuje dalej, patrząc tępo przed siebie. Uszkodzenie anteny, myślę sobie, zakłócenia w nadawaniu! Przewód antenowy zalany albo coś w tym rodzaju.

Herrmann podchodzi z brulionem. Stary chwytą go cokolwiek zbyt niecierpliwie, czyta meldunki, podpisuje je i zamyka brulion. Sięgam po niego i oddaję radiotelegraficznie. Stary nawet nie mruknie.

Bywały wypadki, że okręty bombardowane przez samoloty nie miały już możliwości nadania najprostszego meldunku.

– On już dawno powinien zameldować się sam – mówi Stary.

Następnego dnia nic się nie mówi o Thomsenie. Temat jest tabu: żadnych przypuszczeń. Po Starym jednak widać, co myśli Niebawem znowu będzie trzygwiazdkowy meldunek.

Koło dwunastej, gdy właśnie mają wnieść jedzenie, słyszymy z centrali: – Do dowódcy: smugi dymu na kursie sto czterdzieści stopni!

Dowódca zrywa się na nogi. Wpadamy za nim do centrali. Przebiegając, chwytam szkła z haka i wychodzę na górę zaraz za Starym.

– Gdzie?

Starszy sternik wyjaśnia dowódcy: – Tam, po lewej burcie, pod prawymi pasmami

wielkiego kumulusa... odcinają się bardzo słabo.

W podanym kierunku mimo wszelkich wysiłków nie widzę nic. Chyba starszy sternik nie pomylił chmur na niebie z chmurami dymu? W tym rejonie nad horyzontem gromadzi się szczególnie wiele chmur, jest tam największa ilość szarych i czerwonych odcieni. Dowódca pochyla głowę nad lornetą. Ja znowu badam wzrokiem horyzont. W szklach skacze on gwałtownie w górę i w dół. Nie widać nic poza zwieszającymi się jedna za drugą szarymi zasłonami chmur, różnorodnej szarości, od barwy mysiej do jasnioletowej, a każda z nich wygląda jak smuga dymu. Wyteżam oczy, jak tylko mogę. Już mi zachodzą łzami.

Boże, ale tam tłok i kotłowniana! Wreszcie odkrywam cieniutką smugę, o mały odcień ciemniejszą niż czerwone tło i rozszerzającą się ku górze jak lejek. Tuż obok powtarza się identyczny kształt jak odbicie w lustrze – wprawdzie nieco słabszy i bledszy, ale dość wyraźny. A tam... tak jest, szereg malutkich, cienkich pinii, których pnie sięgają za horyzont. Dowódca odkłada szkła:

– Konwój! Jasne! Jaki zamiar?

– Dwieście pięćdziesiąt stopni!

– Na kurs dwieście trzydzieści! – Dowódca nie waha się ani sekundy.

– Leży dwieście trzydzieści!

– Oba silniki pół naprzód!

Dowódca zwraca się do starszego sternika, który nawet na chwilę nie opuścił szkła: – Idzie chyba kursem na południe, panie starszy sterniku. – Ten odpowiada: – Również tak przypuszczam! – Przy tym nadal nie odejmuje szkła od oczu.

– Musimy chłopaczków najpierw wyprzedzić i dobrze zobaczyć, dokąd idą – mówi dowódca i wydaje komendę na ster: – Lewo dziesięć!

Żadnego wybuchu zdenerwowania. Żadnej gorączki łowieckiej. Wokół mnie nieruchome twarze.

Tylko Wichmann jest podniecony. On pierwszy wykrył smugi dymu.

– Tak, trzecia wachta, zawsze mówię: tylko trzecia wachta! – mruczy zadowolony z siebie, nie opuszczając szkła. Widząc jednak kątem oka, że dowódca go usłyszał, czerwieni się i milknie.

Malutkie pinie nie zdradzają nam jeszcze niczego o kursie statków. Kurs południowy – to było tylko przypuszczenie. Konwój może zbliżać się do okrętu, albo się od nas oddalać. Rozpoznane po smugach dymu statki mogą poruszać się za horyzontem we wszystkich możliwych kierunkach róży wiatrów.

Utrzymuję cel w szklach, podczas gdy okręt pode mną obraca się powoli.

– Ster zero!

Sternik w kiosku przekłada ster w położenie zerowe.

Okręt jeszcze skręca.

– Ile leży? – pyta dowódca.

– Sto siedemdziesiąt stopni! – nadchodzi odpowiedź z dołu.

– Na kurs sto sześćdziesiąt pięć!

Okręt skręca teraz powolutku, aż do chwili, gdy malutkie, wyblakłe pinie znajdują się dokładnie nad naszym dziobem. Dowódca nieufnym wzrokiem bada pokryte szarymi chmurami niebo. Zadziera głowę do góry i obraca się raz prawie dokoła własnej osi. Tylko żeby nie było teraz jakichś lotników!

Z dołu nadchodzi meldunek: – Obiad podany!

– Nie ma czasu! Przynieść tutaj – burczy dowódca.

Naczynia stawia się na małych rozkładanych krzeselkach, przytwierdzonych do osłony pomostu. Tam też pozostają. Nikt nawet nie tknie jedzenia.

Dowódca pyta teraz starszego sternika, kiedy zachodzi księżyc. A więc chce poczekać z atakiem do nocy. Na razie nie mamy nic do roboty, tylko uważać i za wszelką cenę utrzymać kontakt, aby na konwój można było skierować jeszcze inne okręty.

Stopniowo chmury dymu unoszą się wyżej nad horyzontem i lekko przesuwają się w prawo.

– Myślę, że idzie w prawo! – mówi starszy sternik.

– Wychodzący konwój – potwierdza dowódca. – Będzie płynął pod balastem. Właściwie szkoda. Wracający byłby lepszy.

– Widać już razem dwanaście masztów! – melduje Wichmann.

– To mi na razie wystarczy! – kwituje dowódca i pyta: – Sternik, ile leży?

– Sto sześćdziesiąt pięć stopni!

Dowódca zastanawia się półgłosem: – Namiar konwoju dwadzieścia stopni z prawej, a więc normalny namiar sto osiemdziesiąt pięć stopni... Odległość?... Z pewnością są to średnie parowce... a więc około szesnastu mil morskich.

Nasz ślad torowy pieni się jak woda selcerska. Wysoko na niebie wiszą białe szrapnelowe chmurki, które tu i ówdzie pojawiły się bez strzelania. Okręt spienionym pyskiem przebija się przez szare morze.

– Idą dość ciasno!... Ten już nam nie umknie! – mówi dowódca. – Jeśli nic się nie zdarzy! – ogranicza się zaraz i rozkazuje sternikowi: – Ster prawo na burt. Na kurs dwieście pięćdziesiąt pięć!

Chmury dymu stopniowo przesuwają się na lewo. Okręt idzie teraz przypuszczalnie równoległym kursem do konwoju.

Dowódca odejmuje szkła od oczu tylko na sekundy. Od czasu do czasu coś mruczy do siebie. Słyszę z tego tylko urywki: – Całkiem... potrzeba... nigdy się nie... niewłaściwy kurs.

A więc: wolałby wyładowany po brzegi i idący do Anglii konwój. Nie tylko z powodu ładunku, który zostałby zniszczony, lecz również dlatego, że ścigając konwój, idący kursem wschodnim, zbliżamy się do kraju. Ogromne zużycie paliwa przy dużej prędkości martwi Starego. Gdyby pościg za statkami odbywał się jeszcze w kierunku naszej bazy, łatwiej byłoby to przeboleć.

– Paliwo – słyszę teraz z ust starszego sternika. Zazwyczaj unika on tego słowa, jakby oznaczało coś nieprzyzwoitego. Dowódca robi minę kryminalisty i szepce coś ze starszym sternikiem. Wreszcie ściągają głównego mechanika. Ten przybiera ponury wyraz twarzy.

– Wszystko dokładnie obliczyć! – rozkazuje Stary, a czif ze zręcznością akrobaty znika we wnętrzu okrętu.

Mija jakieś pół godziny i dowódca daje komendę „cała naprzód” dla obu silników. Chce po zapadnięciu ciemności znaleźć się w odpowiedniej odległości od konwoju.

Łoskot silników ma śpiewny ton, wybuchy w kolejnych cylindrach łączą się w jeden ryk. Spomiędzy listew na pokładzie tryska piana i pokrywa nas jak mydło do golenia. Odkosy dziobowe rosą.

Nagle zjawia się główny mechanik. Troska o paliwo sprowadza go na górę.

– Dość dużo zużyliśmy! Jest tylko pięćdziesiąt ton, panie kapitanie – upomina z gorzką miną. – Z tą prędkością możemy iść najwyżej trzy godziny!

– W takim razie, ile pan liczy na powrót z najmniejszą prędkością? – pyta dowódca obojętnym tonem. Ponieważ mechanik pochyla się do przodu i składa ręce przy ustach, jakby chciał sobie zapalić papierosa na wietrze, nie mogę zrozumieć jego odpowiedzi. Tak czy inaczej swoje liczby ma natychmiast w pogotowiu.

Postrzępione kulki dymu stopniowo wyrastają nad horyzontem i łączą się w jedną tłustą, brązową ławicę. Czubki masztów między nimi wyglądają jak powoli rosnąca szczecina brody.

Stary odejmuje szkła od oczu, nakłada na nie skórzany ochraniacz i zwraca się do pierwszego oficera, który tymczasem przejął sprawę:

– Nie pozwolić, by topy masztów było widać więcej niż teraz! – Potem znika w luku kiosku. Nie tak zręcznie jak mechanik, myślę sobie i włączę za nim.

Na dużym arkuszu papieru milimetrowego starszy sternik w centrali zliczył wszystkie

kursy okrętu. Właśnie nanosi nowy namiar nieprzyjaciela i odległość do niego.

– Pokazać! – przerywa mu pracę dowódca. – Tak więc na razie płyną! Wygląda całkiem nieźle! – A zwracając się do mnie: – Dokładny kurs wyjdzie z połączonych namiarów w następnych godzinach. – W jego głosie brzmi odcień nacisku, gdy poleca starszemu sternikowi: – Niech pan jeszcze rozłoży dużą mapę, żebyśmy zobaczyli, skąd oni idą. – Nachylając się nad mapą, rozpoczyna monolog: – Idą z Kanału Północnego! Jaki mogą mieć kurs generalny? No, to zaraz zobaczymy... – Dowódca kładzie kątomierz między pozycją konwoju a Kanałem Północnym i odczytuje kąt: – W przybliżeniu dwieście pięćdziesiąt stopni. – Myśli przez chwilę: – Ale to nie jest ich właściwy kurs. Z pewnością skręcili daleko na północ, by ominąć przypuszczalne pozycje okrętów podwodnych. No, nic im to nie pomogło... Tak, tak to jest!

Równomierny dźwięk obu diesli wypełnia okręt do ostatniego zakątka. Działa na wszystkich jak ożywczy eliksir: podnosimy wyżej głowy, staliśmy się jakby elastyczniejsi. Czuję się tak, jakby mój puls uderzał gwałtowniej.

Najbardziej zmienił się sam Stary. Jest rozluźniony, prawie wesoły, jego usta coraz to wyginają się w uśmiechu. Silniki idą całą naprzód i już świat jest dla nas znowu różowy, jakbyśmy za niczym innym tak nie tęsknili, jak tylko za ciągłym rykiem i łoskotem diesli. Przez chwilę panuje cisza. Potem dowódca mówi: – Przed zmrokiem tak czy inaczej nie możemy ich dojąć. Mogą mieć w zanadrzu jakieś niespodzianki.

Do zapadnięcia ciemności jest jeszcze wiele godzin.

Przenoszę się do mesy P. Trzeba się trochę wyciągnąć na zapas. Zeitler i Kleinschmidt siedzą przy stole. – Nie udawaj, że nie miałeś jeszcze żadnej mężatki. Te są przecież najostrzejsze! – słyszę. Najwyraźniej temat numer jeden wzbudza znowu dawne zainteresowanie.

– One przyzwyczały się do rżnięcia i nagle wszystko ma się urwać, i fini? Musisz przecież myśleć logicznie. Ty też przecież nie zachowujesz się jak dziewica. Ale od twojej myszki tego żądasz. Że właśnie najgorsi kurwiarze muszą udawać zazdrosnych jeleni... to przecież można się uśmieć!

– Spokojnie przerzuc się z twojej dzidzi na inne, ty głupi palancie.

– Człowieku, złap się za dupę i pomacaj, czy jeszcze tam jesteś. Niczego nie kapujesz? Tam ci się dużo tego nagromadziło. Nazywa się to zapotrzebowanie dodatkowe! – Zeitler wkłada w tę rozmowę tak wielką siłę przekonywania, jakby chciał nawrócić poganina. Nagle przybiera agresywny ton: – Możesz mi wierzyć, jesteś najgłupszym osłem, jakiego w życiu widziałem!

Zjawił się Wichmann i również zabiera głos: – Nie zwracajcie mi głowy mężatkami... Ja też kiedyś jedną poderwałem i gdy już byliśmy bardzo ładnie w trakcie, obok zaczyna ryczeć jej znajd. Człowieku, to jednak przeszkadza! A przynajmniej mnie przeszkadza... od razu fatalnie odbija się na nastroju. To już drugi raz mi się tak zdarzyło. A więc... nic z tych rzeczy... po prostu mnie zatyka!

– Nie czaruj, ty szlachetny młodzieńcze!

Wichmann nie może się oderwać od swoich wspomnień: – Mnie już wystarczy, jak, na przykład, słyszeć ciągle dzwonek.

Między zasłonami widzę, jak Kleinschmidt się podnosi i wsadza prawą dłoń pod swój sweter w biało-niebieskie poprzeczne paski. Drapie się dokładnie po brzuchu. Między kciukiem i palcem wskazującym wyciąga wreszcie szary strup wielkości pestki wiśni i bada go dokładnie. Potem oświadcza: – Tak, ja jedną też poderwałem... to było w Hamburgu i ona, po pierwsze, wyciąga nocnik, siada na nim i szczy. Od razu mi minęło! Głupia historia, poznałem ją na ujeżdżalni. Dziesięć razy tam jeździłem... i zawsze bez strzemion.

– To od tego jeżdżenia całkiem sobie spłaszyleś jajka i potem się dziwisz! Człowieku, ale z ciebie trep!

– Dobrze ci mówić... pięć marek wsadziłem do dupy, a on mi nawet nie chciał stanąć!

– Ach, to już zapłaciłeś? To rzeczywiście byłeś głupi!

Tylko kwadrans potrafię wytrwać na koi. Muszę zobaczyć, jak to wygląda w siłowni. Właz do przedziału diesli nie daje się otworzyć. Muszę szarpać całym ciałem, zanim wreszcie pokonuję potężne ssanie silników, idących całą naprzód. Huk diesli trafia mnie w głowę jak cios. Otwieram usta i oczy: ruchu dźwigni przy dieslach wcale nie można rozróżnić. Wskazówki na tarczach manometrów drżą gorączkowo. Opary ropy wypełniają pomieszczenie jak gęsta mgła.

Służbę ma Johann. Frenssen jest również. Gdy mnie widzi, na jego twarzy pojawia się szeroki uśmiech. Nie ma już swego zwykłego, zmęczonego wyglądu. W jego oczach błyszczy duma. Wszystko w porządku. Teraz widać, co siedzi w obu dieslach.

Johann wyciera sobie czarne od smaru ręce kolorowym gałganem. To cud, że tu nie ogłuchł. A może ten piekielny ryk diesli jest dla niego jak szum lasu? Johann nachyla się do mojego ucha i wrzeszczy z całych sił: – Co się dzieje?

Z wysiłkiem ryczę bezpośrednio do muszli jego ucha: I-dzie-my-na-kon-wój. Cze-ka-my-do-zmro-ku! – Starszy maszynista dwa razy porusza powiekami, kiwa głową i wraca do swoich manometrów. Potrzeba mi kilku sekund, by zrozumieć, że ludzie tu na rufie nawet nie

wiedzą, dlaczego idziemy całą naprzód. Pomost jest daleko. Gdy się tu stoi na żelaznych rusztach, świat kończy się na grodzi. Telegraf maszynowy, lampy sygnałowe i telefon pokładowy stanowią jedyne połączenie ze światem na górze. Jeśli Stary nie potrudzi się, by podać przez głośnik powód zmiany prędkości, nikt tu nie wie, co się dzieje.

Za każdym razem, ilekroć postawię stopę w siłowni, równomierny łoskot eksplozji, ten potężny potok hałasu zagarnia mnie całkowicie. Jestem jak ogłuszony i już kształtują się złe wizje, dręczące wyobrażenia: maszynownie wielkich statków – cel dla naszych torped! Potężne hale z turbinami wysokiego i niskiego ciśnienia, z olbrzymimi, grubo izolowanymi rurociągami, w których stale jest wysokie ciśnienie, z wysoce wrażliwymi kotłami i napędami, i wieloma mechanizmami pomocniczymi. Nie są podzielone grodziami. Po trafieniu wypełniają się wodą szybciej niż jakiegokolwiek inne pomieszczenie statku. Z zatopioną maszynownią żaden statek się nie utrzyma.

Przesuwają mi się całe serie obrazów: trafienie w śródkręcie – reakcja łańcuchowa: kotły z parą pod ciśnieniem eksplodują, rury pękają, statek traci natychmiast swą siłę napędową. Połyskujące srebrzyście żelazne schodnie, tak wąskie, że mieści się w nich jeden człowiek, ale wszyscy naraz w ciemności i przez kłęby pary chcą się wydostać na górę.

Co to za robota! W maszynowniach, trzy metry pod linią wody, i wiedzieć przy tym, że w każdej sekundzie bez jakiegokolwiek uprzedzenia torpeda może rozerwać ścianę burty! Ile razy ludzie podczas rejsu w konwoju obmacują oczyma cienkie płyty, które oddzielają ich od wody. Ile razy potajemnie wypróbują najszybszą drogę do góry, zawsze z przedsmakiem panicznego strachu w ustach, mając już w uchu rozdzierający szczęk żelaza, ostry huk eksplozji i szumiące wtargnięcie morza. Ani nawet sekundy poczucia bezpieczeństwa. Zawsze tylko strach, tylko czekanie na dzwonek alarmowy. Piekło strachów – trzy, cztery tygodnie.

Na zbiornikowcach jest jeszcze gorzej. Taki zbiornikowiec, gdy torpeda trafi go w śródkręcie, staje się szybko jednym piekłem płomieni. Od dziobu aż do rufy żarzy się każdy metr kwadratowy. Gdy eksplodują nagromadzone gazy, statek wylatuje w powietrze w jednym gwałtownym wybuchu ognia i dymu. Zbiornikowce z benzyną palą się po eksplozji jak gigantyczne pochodnie.

Mała zmiana na twarzy Johanna wyrywa mnie z moich obrazów grozy. W jego rysach występuje wyraz czujnej koncentracji, trwa tak przez minutę i rozplywa się znowu: wszystko w porządku. Przejście do siłowni elektrycznej jest otwarte. Ciężkie od oleju ciepło szklarni wypełnia przedział. Silnik elektryczny obraca się na luzie. Krótkie uderzenia wskazują, że działają sprężarki powietrza. Mat Rademacher zajmuje się właśnie sprawdzaniem temperatury

łożysk wału. Na kupie ubrań sztormowych siedzi motorzysta Zörner i czyta. Jest zbyt zagłębiony w lekturze, by spostrzec, że patrzę mu przez ramię i przez pewien czas czytam razem z nim: „Hrabia trzymał kobietę w ramionach i przegiął ją do tyłu, tak że błysk światła padł na jej okolone czernią oblicze, i napotkał spojrzenie równe wściekłemu wyzwaniu, gdy czuł, że jego własne spływa na Marię żarem, jakby ono, jak również jej oddanie, chciały być brane bardziej gwałtownie, aż do końca, aż do oszałamiającego zatracenia, powrotu w ową ciemność, z której wyszli do złotej i śpiewającej sali zagrożonego dokoła życia, do potwornej daremności ich przelotnych spojrzeń. Oblicze hrabiego skamieniało w groźnym i paraliżującym nadmiarze siły, aż wreszcie otworzyło się boleśnie i powoli, a on zająkliwie powiedział w szum ciszy, jakby język tylko z trudem go słuchał, że pragnąłby ją zabić...”

Pomost jest daleko. Muszę wydobyć się w rzeczywistość jak po nici Ariadny. Zatrząskując właz, ucinam huk diesli jak nożem, ale w mojej czaszce rozbrzmiewa on tępo dalej. Potrząsając głową, usiłuję się od tego wyzwolić. Lecz potrwa jeszcze kilka minut, nim pozbędę się tego głuchego rżenia w obu uszach.

– Oni muszą mieć naprawdę skomplikowany system zygzakowania – mówi Stary, gdy znowu wracam na pomost.

– Zdumiewające, jak to przeprowadzają, przecież nie płyną swoim generalnym kursem z dodatkiem schematycznego zygzakowania. Nie, oni wbudowują w swój system zygzakowania różnego rodzaju odchylenia, żebyśmy szybko go nie rozszyfrowali. W ten sposób mocno denerwują naszego starszego sternika. Ma teraz mnóstwo roboty, pocziwiec: domniemany kurs nieprzyjaciela, kurs własny, kurs kolizyjny. To wcale niełatwe, żeby utrzymać razem taką gromadę! – Nie od razu wpadam na to, że Stary w swoim ostatnim zdaniu nie ma już na myśli naszego starszego sternika, tylko angielskiego dowódcę konwoju.

– Przedtem odchodzili z kursu tylko regularnymi zygzakami. Wtedy szybko wiedzieliśmy, jak była pomyślana całość, ale oni tymczasem nauczyli się, jak nam utrudnić życie, braciszku. Każdy stara się, jak może. To musi być całkiem ciekawa robota, być tam u nich dowódcą konwoju! Utrzymać takie stado baranów, przeprowadzić je w poprzek Atlantyku i zawsze na qui vive...

Teraz my jesteśmy kontaktowymi. Teraz my musimy zważać na to, by nas nie odpędzono lub nie zepchnięto pod wodę. Musimy być uparci jak nasza mucha. Gdy ktoś się na nią zamachuje i nie trafia, siada natychmiast na starym miejscu. Mucha – symbol uporczywości, a więc właśnie odpowiednie stworzenie na herb. Dlaczego nikt nie wymalował jej na kiosku? Dziki, rozwścieczone buhaje dowódcy każą sobie malować, ale na muchę jeszcze nikt nie wpadł. Trzeba zaproponować Staremu: wielką muchę na kiosk! Tylko nie

teraz. Teraz on, wsadziwszy głęboko ręce w kieszenie, wykonuje swój niezdarny taniec wokół otwartego włazu. Jeden z wachtowych odważa się na zażenowane spojrzenie. Stary natychmiast go ochrzania: – Człowieku, gdzie macie oczy!

Takiego Starego jeszcze nie widziałem. Coraz to wali pięścią w osłonę kiosku. Teraz to już jest wręcz ogień huraganowy, cały pomost dudni. Potem dowódca ryczy: – Starszy sterniku, musimy jednak przygotować sygnał. Chcę jeszcze raz szybko namierzyć, byśmy mogli podać porządną kurs generalny.

Namiernik ustawia się na pomoście. Dowódca osadza go na kompasie pokładowym, namierza smugi dymu i odczytuje liczbę stopni. Potem podaje w dół: – Do starszego sternika: namiar sto pięćdziesiąt pięć stopni, odległość czternaście mil morskich.

Po chwili starszy sternik melduje: – Kurs konwoju dwieście czterdzieści stopni!

– A więc dokładnie tak, jak przypuszczaliśmy – mówi dowódca do siebie i kiwa głową. Potem pyta w dół: – Może pan coś już powiedzieć o prędkości?

Twarz starszego sternika ukazuje się w luku: – Między siedem przecinek pięć a osiem przecinek pięć mil, panie kapitanie!

Nie mija minuta, gdy podają kartkę z sygnałem: „Konwój w kwadracie AX trzysta pięćdziesiąt sześć – kurs dwieście czterdzieści stopni – prędkość około ośmiu węzłów. UA” – odczytuje dowódca. Ogryzkiem ołówka podparafowuje radiogram i podaje go znowu w dół.

Wychodzi główny mechanik. Robi zamyślony wyraz twarzy. Jak kopnięty pies patrzy na dowódcę z dołu.

– Pan znowu tutaj! – dowódca próbuje wyprzedzić żalę czifa. – Kto chce prędko jechać, musi również płacić! Czy też może ma pan poważne obawy?

– Nie z powodu diesli, panie kapitanie! Tylko powrót zaczyna być wątpliwy.

– Ach, panie czifie, niech pan nie biadoli! Zawsze dzielnie i z bojaźnią bożą! Czy też nie wierzy pan w Boga, naszego Pana, wszechmogącego Ojca niebios i ziemi? Jedzie się dobrze, co?

Gdy czif zniknął, dowódca zasięga jednak informacji u starszego sternika: – Kiedy robi się ciemno?

– O dziewiętnastej.

– Nie musimy więc już długo iść całą naprzód. Na pierwszy atak wystarczy w każdym razie. A potem musimy skorzystać z ukrytych rezerw, jakie panowie mechanicy zawsze mają schowane.

Chmury dymu wyglądają teraz jak balony na uwięzi, które zawieszono na krótkich niciach nad horyzontem. Naliczam piętnaście.

Sztucznie obojętnym tonem dowódca mówi: – Musimy się teraz zatroszczyć o ubezpieczenie. Niech no pan podejdzie trochę bliżej. Będzie dobrze wiedzieć na noc, z jakim ubezpieczeniem musimy się liczyć.

Pierwszy oficer natychmiast przesuwa kurs o dwadzieścia stopni w lewo. Beo, który obserwuje prawy sektor dziobowy, odzywa się: – Coś tam jest!...

Dowódca natychmiast mówi ostro: – Uwaga, moi panowie! Do zmroku jeszcze niejedno może się zdarzyć!

Straszy! Jestem jednak przekonany, że Stary w głębi ducha jest całkiem pewny swego. Tylko ten stary przesąd: byle nie zapeszyć.

Z sygnałów dowództwa wynika, że tymczasem na konwój skierowano pięć okrętów. Pięć to już jest stado. Jeden z tych okrętów, jak się dowiadujemy z meldunku o jego pozycji, może podejść już w nocy. Flechsig znajduje się na zachód od nas.

W mesie oficerskiej siedzi pierwszy oficer. Zdradza niewątpliwe oznaki nerwowości. Widzę, że jego wargi poruszają się niemo. To zapewne będzie jego „modlitwa przed bitwą” – przypomina sobie rozkaz dla broni podwodnej. Pierwszy, ponieważ okręt na ostatnim rejsie nie napotkał nieprzyjaciela, zbliża się do swego pierwszego ataku. Tak czy inaczej dopiero teraz nie grozi nam jego maszyna do pisania.

W centrali wpadam na głównego mechanika. Ma opanowane ruchy, ale przy tym siedzi jak na rozżarzonych węglach. Obserwuję go bez słowa, lecz z demonstracyjnym uśmiechem, aż wreszcie pyta wściekły, co w nim jest takiego interesującego.

– No, no! – mruczy Stary, który się nagle wynurzył.

– Mam nadzieję, że rury wydechowe wytrzymają – mówi czif. – Ten przewód od lewego diesla ma mianowicie uszkodzenie!

Dopiero przed kilkoma godzinami Johann opowiadał mi następującą historyjkę: – Na UZ, kiedy utrzymywaliśmy kontakt, rury wydechowe silników pękły. To był ubaw! Wszystkie spaliny szły do maszynowni! Nie widzieliśmy nawet dłoni przed oczami. Musieliśmy uciekać z maszynowni i wrócić do niej w aparatach ratunkowych. Dwóch motorzystów wysiadło. Zostali zmienieni. Stary sam zszedł na dół. Pytanie było: zrezygnować i wypuścić te łajby, czy też wytrzymać do ataku w zagazowanej maszynowni. To stało na ostrzu noża, ale przez całe trzy godziny! Ściany były całkiem czarne, a my wyglądaliśmy jak Murzyni!

Główny mechanik czuje się nieswojo w centrali. Bez słowa znika na rufie. Jednak po

pięciu minutach jest już znowu.

– No i jak wygląda?

– Comme ci comme ca – daję sybilińską odpowiedź.

Zdaje się, że dowódca, który zajęty jest przy stole nakresowym, tego nie słyszy.

Radiotelegrafista przychodzi z zeszytem do parafowania. Potem mijają kolejne dwie godziny.

– Nasze ostatnie wiadomości – mówi Stary. – Sygnał do Merkela, nic szczególnego, ma tylko podać swoją pozycję. On przecież wyszedł tego samego dnia, co my.

Że stary Merkel, zwany również Merkelem katastroficznym, jeszcze pozostaje przy życiu, dziwią się wszyscy. Jak się dowiedziałem od jego pierwszego oficera, podczas ostatniej akcji zaczął polować na zbiornikowiec przy niezwykle wzburzonym morzu. – Zbiornikowiec miał pecha. Właśnie zmieniał swój kurs generalny, wyszedł nam prosto na muszkę. Morze było tak wzburzone, że początkowo nie mogliśmy go nawet złapać w peryskop. Musieliśmy podejść całkiem blisko, żeby temu tankowcowi nie pozostał czas do ucieczki. Potem Stary nakazał strzał pojedynczy z trzeciej wyrzutni. Na okręcie słychać było detonację po trafieniu i zaraz potem jeszcze jedną. Czif robił, co mógł, by utrzymać nas na peryskopie, mimo to nic nie było widać. Minęły minuty, nim peryskop wyszedł i nagle przed nami pojawiła się wielka ściana statku. On rzeczywiście zrobił koło! Nie mieliśmy możliwości ucieczki. Staranował nas na piętnastu metrach. Oba peryskopy poszły w diabły, ale sztywny kadłub wytrzymał w zdumiewający sposób. Jednak wgniół się na parę centymetrów. Nie można było wyjść. Właz naszego kiosku zaciął się bowiem na amen po zderzeniu. To dość nieprzyjemne, kiedy się już nic nie widzi i nie można wydostać się przez właz kiosku. Całkiem niedobre uczucie. Wydostaliśmy się później przez luk kambuza i pokrywę włazu kiosku wyważyliśmy z zewnątrz, młotem i łomem. Ale nie mogliśmy się już zanurzać alarmowo...

Wtedy nikt nie ważył się spytać starego Merkela, jak im się udało przeżyć ze zdemolowanym kioskiem i bez peryskopu te dwa tysiące mil do bazy. Siwe włosy Merkel miał już przedtem.

Kiedy w mesie P chcę przygotować moje kamery, trafiam na głośną rozmowę wolnej wachty. Mimo bliskości konwoju są znowu przy temacie numer jeden.

– Miałem raz jedną, która zawsze stawiała garnek z wodą na gazie, zanim się rozebrała...

– Chciała ci umyć kutasa?

– Ach, bzdury. To było na później. Sobie do płukania. Praktyczna dziewczynka,

najpierw zapalała gaz. To nie jest zbytnio zachęcające, nie?

– Ale cholernie potrzebne! Tę jego ostatnią donnę musicie sobie obejrzeć. Rocznik tysiąc osiemset siedemdziesiąt, on jej musiał najpierw zmiatać pajęczynę...

Zeitler beka głośno i przeciągle.

– Długodystansowiec! – mówi Pilgrim z uznaniem.

Uciekam do dziobowego. Siedzi tam wolna zmiana, pięciu czy sześciu ludzi pod zwisającymi hamakami, na deskach podłogi, z podciągniętymi nogami albo na pół leżąc. Między nimi brak tylko małego ogniska obozowego.

– No, jak tam wygląda? – zwracają się do mnie.

– Zdaje się, że wszystko idzie według programu!

Jednotancerz miesza zatłuszczonym nożem w filiżance z herbatą.

– Wariacki bulion – uśmiecha się Ario. – Ale pożywny!

Marynarz z centrali wchodzi do pomieszczenia i udaje zdziwionego:

– Co za kanadyjski nocny obóz założyliście sobie tutaj?

– Co on powiedział? – kpi Jednotancerz. – Kanadyjski nocny obóz. To się nazywa granadyjski.

Ten z centrali utyka na sekundę, potem decyduje: – Kanadyjski czy granadyjski to wszystko jedno!

Kiedy potem chce dołączyć do towarzystwa, Ario oburza się: – Tylko nie łap się za mój chleb z masłem! Wczoraj też to zrobiłeś. Zaraz ci przykropię! – Marynarz sięga po inny kawałek chleba, siada sobie wygodnie i oświadcza: – Mówiąc w zaufaniu, to z was są całkiem głupie świnię!

Nikt mu tego nie bierze za złe.

– Jutro już nie będziemy więcej jedli na dechach! – oznajmia Jednotancerz donośnym głosem. – Wszystkie torpedy pójdą. Będziemy mogli przyśrubować nasz stół.

– A na nim atlasowy obrus! I filiżanki ze złotym brzeżkiem! I stare srebra rodzinne! – Ario podejmuje wątek. A potem niespodziewanie wybuch: – Nie mogę słuchać tego cholernego mamrotania!

Chwyta zmywak i próbuje trafić badacza Pisma Świętego w hamaku.

– Pudło! – stwierdza marynarz z centrali.

Teraz dopiero Ario bierze się na serio: – Dalej, wyłaż! Przestań bełkotać. Rzuć się prawidłowo na kolana i błagaj go, tego twojego starego brodacza. Może upiecze nam wtedy jedną dodatkową kiełbasę, a może cię wyprowadzi za rączkę z okrętu, gdybyśmy mieli zdychać ze strachu.

– Zostaw! – mówi Hacker.

Ale Ario warczy jeszcze: – Te dyrdymały doprowadzają mnie do wariacji!

– Chodź, uspokój się! – mówi do niego Hacker.

Z hamaka badacza Pisma nie słyhać już nic.

Napięcie nie daje mi spokoju. Z powrotem do mesy P. Nie muszę nawet słyhać, żeby zaraz wiedzieć, o co chodzi. Teraz ma głos Zeitler: – Na trałowcu również mieliśmy taką świnię!

– Jeśli, mówiąc „świnia”, miałeś na myśli mnie, to będziesz mógł pobierać dodatek z opieki społecznej! – odzywa się Frenssen. – I to natychmiast.

– Bzdury, ty bałwanie. Kto mówi o tobie?

– Uderz w stół, a nożyce się odezwą – mruczy tymczasem Pilgrim.

Rozglądam się po mesie: Rademacher zaciągnął zasłonę w koi. Wydaje się, że Zeitler gra rolę obrażonego. Prawdopodobnie naśladuje w tym Frenssena i czeka, aż go przeproszą. Pilgrim ma jednak coś do zaproponowania: – Znałem jednego, co miał tę rzecz z gumy... i nakładał to sobie... Było całkiem fajnie odrobione... nawet z włosami!

– Z gumy... tego mi nie mów! – oświadcza szorstko Frenssen.

– Jaką masz znowu pretensję?

– Guma, człowieku, to nie idzie! To już wolałbym kupić sobie za każdym razem funt świńskiej wątroby, i zrobić w niej szparę. Jeśli już ma być namiastka, to przynajmniej kierunek musi się zgadzać!

Pełne respektu milczenie. Swoje uznanie Pilgrim wyraża krótko słowem „klasa”. A potem dodaje: – Tutaj to człowieka całkiem zepsują, niech was!

Właz do kambuza otwiera się. Następny – do maszynowni – stoi otworem. Wśród łoskotu diesli nie słyhać gadania. – Dziesięć przed czasem! – słyseż głos. Łomotanie, wymysły, klątwy – przygotowania do zmiany wachty w maszynowni. Musi być godzina osiemnasta.

Znowu na pomost. Niedługo zacznie się zmierzchać. Pod szarym niebem zaciągnęły się już ciemne chmury. W niektórych miejscach szarość jak przetarty materiał ma prześwitujące miejsca. Chwilami wydaje się, jakby światło w mgnieniu oka było gotowe znowu się przedrzeć i zalać niebo. Ale potem w szarości nieba rozlewa się ciemny granat jak na mokrym papierze. Rozpływa się stopniowo, aż wreszcie zatonię w nim ostatni niepewny blask na zachodzie.

Przenikliwy, ssący dźwięk dmuchaw po obu stronach pomostu zagłusza łoskot diesli.

– Nie chciałbym być u nich dowódcą konwoju, kiedy atakujemy gromadą – mówi Stary donośnym głosem, ciągle trzymając szkła przy oczach. – Mała prędkość! Są zmuszeni poruszać się tak wolno, jak najpowolniejszy parowiec. A do tego brak zwrotności! Wśród kapitanów bywają tępaki... Taką bandą płynąć w określonym systemie zygzakowania, no, to ja dziękuję! To przecież wszystko są ludzie przyzwyczajeni do zapychania na wprost i trudno im się nawet pogodzić z regulaminem szlaków morskich...

Po chwili zaczyna znowu: – A mimo to ten, kto u nich pływa na zbiornikowcu z benzyną, to musi być odważny wariat albo nie mieć nerwów. Przy takim gównianym tempie siedzieć tygodniami na samej benzynie i czekać na torpedę? No, dziękuję pięknie!

Długą chwilę patrzy nieruchomo przez lornetę. – Twarde chłopaki tam są – burczy potem. – Słyszałem raz o jednym, którego nasi ludzie z niszczyciela po raz czwarty wyciągnęli z morza. Trzy razy tracił swój statek. Trzy razy go uratowano i zamustrował po raz czwarty. Do tego potrzeba już jakiejś... Oczywiście, forszę dostają masami... miłość ojczyzny plus forsa to jest prawdopodobnie najlepsza mieszanka... że tak powiem, najbardziej żyzna gleba dla bohaterów. – A potem dorzuca sucho: – Sama woda też często daje takie rezultaty.

Rama anteny jest już od pewnej chwili wysunięta. Wysyłamy sygnały do znajdujących się w pobliżu okrętów. Dla zatykających chorągiewki u dowódcy okrętów podwodnych w Kernévalu będziemy nadawać w godzinnych odstępach krótkie sygnały, określone układy liter, z których mogą wszystko wyczytać, co powinni wiedzieć o konwoju: pozycję, kurs, prędkość, liczbę statków, system ochrony, własny zapas paliwa i nawet pogodę. Z naszych zmian kursu mogą sobie wyrobić obraz ruchów konwoju. Zanim inne okręty podwodne nie zostaną ściągnięte, nie możemy atakować.

Nastrój na okręcie zmienił się. W przedziałach jest dziwnie cicho. Zdaje się, że podniecenie minęło. Większość ludzi pokładła się i próbuje jeszcze, w ostatniej godzinie przed atakiem, zdrzemnąć się porządnie.

W centrali wszystkie urządzenia są od dawna przygotowane. Coraz sprawdza się na nowo przewody. Teraz dla badacza Pisma nie ma już nic do roboty. Mat z centrali rozwiązuje krzyżówkę i pyta mnie, czy znam jakieś miasto we Francji zaczynające się na „Ly”.

– Lyon.

– Dziękuję! Pierwszorzędnie!

Główny mechanik zjawia się od strony rufy. – No, jak tam wygląda? – pyta.

– Myślę, że dobrze.

Pozornie wydawałoby się, że główny mechanik poza swoimi troskami o paliwo nie ma innych problemów. Już dość się nabiegał po okręcie. Teraz siada sobie na skrzyni z mapami i ma ochotę pogadać: – Wygląda na to, że włączę jeszcze się opłaca, a już w to nie wierzyłem. Boże, co za zasrane czasy! Tak, dawniej to szło wszystko, veni, vidi, vici. – Wymawia to „wejnywyddywyczy”. – Można było zacząć się przy drodze i czekać, aż ktoś się na niej pojawi. Teraz państwo w karecie pojawiają się rzadko... i mają rację ze swego punktu widzenia.

Godzina dziewiętnasta. W centrali przygotowane są już szkła do kolumny celownika nocnego. Trzech ludzi majstruje przy tym. Sprawdza się urządzenia do odpalania torped.

Jednym uchem słyszę: – Cały tłum łajb... coś wspaniałego!

Znowu na pomost. Jest już prawie dziewiętnasta trzydzieści. Na górze oprócz asystenta inżyniera zebrali się wszyscy oficerowie. Główny mechanik przycupnął na cokole peryskopu przeciwlotniczego jak myśliwy na ambonie. Ster leży sto osiemdziesiąt stopni. Za smugami dymu niebo podzieliło się na krwistoczerwone poprzeczne pasy. Wygląda jak wielka markiza. Słońce zaszło za chmurami. Czerwień pasów stopniowo przemienia się w bladą, jedwabistą zieleń. Tylko parę chmur, które przesuwają się nisko nad horyzontem z postrzępionymi krawędziami, jest jeszcze oświetlonych czerwono. Gdy tak przeciągają, różowe i nakrapiane, przypominają kosztowne odmiany złotych rybek o welonowatych ogonach. Teraz rozżarzają się ich łuski, świecą i iskrzą, potem znowu bledną. Ryby mają ciemne plamki, jakby je kto chwycił palcami.

Na wschodzie noc już jest wysoko. Tak wyczekiwana przez nas ciemność zdobywa niebo, strefa po strefie.

– Starszy sterniku, niech pan zanotuje: „Dziewiętnasta trzydzieści – początek zmierzchu – małe zbliżenie – szyk konwoju w czterech wyrównanych kolumnach – moja decyzja: atak nocny.” Tak, to już mamy do DDB.

Stary daje komendę do siłowni. Szum diesli natychmiast się zmniejsza. Ich rytm staje się bardziej urywany. Brzmi to znowu jak jazda po wybojach. Biała grzywa fali rufowej zapada się w sobie i zamienia w jasnozielony tren.

Jesteśmy już dość daleko przed konwojem. Chodzi teraz o to, by mimo zmniejszającej się widzialności rozpoznawać każdą zmianę kursu konwoju i odpowiednio oddalać się lub zbliżać, tak by nadbudówki statków nie wychodziły zbyt wysoko z za horyzontu.

Na niebie pojawiła się już wapiennobiała tarcza księżyca. Stopniowo nabiera blasku.

– To jeszcze może potrwać – mówi Stary do mnie. Ledwie to powiedział, melduje się wachtowy rufowy z prawej burty: – Top masztu za rufą! – Nasze szkła zwracają się wszystkie

w tym kierunku. Znowu nic nie znajduję. Stary mruczy: – Niech to najjaśniejsze pioruny!

Rzucam mu spojrzenie z boku, obserwuję, w którą stronę skieruje swoje szkła. Potem uchwytuję horyzont i prowadzę po nim szkła w lewą stronę, próbując odnaleźć kierunek dowódcy. Horyzont odcina się słabo od wieczornego nieba. Szukam i szukam... Tam! Rzeczywiście: masz! Cienki jak włos! Nie ma dymu. A więc płynący bezdymnie okręt eskorty. Korweta? Niszczyciel? Wymiatacz, który robi wieczorny wypad, by jeszcze przed nocą oczyścić swój rewir?

Czy już nas widzieli? Mają przecież swoich najlepszych ludzi w koszu masztowym.

Tak czy inaczej jesteśmy dokładnie przed nimi. A na zachodzie jeszcze nie tak szybko zrobi się wystarczająco ciemno. Dla Tomków jesteśmy na tle o wiele za czystego horyzontu.

Stary... Dlaczego Stary nic nie przedsięwzię? Stoi skulony jak harpunnik, który za swoją armatką czatuje na nowy wytrysk wieloryba. Nie odejmując szkieł rozkazuje teraz: – Oba silniki cała naprzód!

Nie wydaje rozkazu na ster. Ani rozkazu do nurkowania. Szyby wlotowe zaczynają huczeć. Okręt wykonuje skok. Mój Boże, ten biały spieniony ślad rufowy musi przecież zasygnalizować nas Tomkom! Nasz kadłub jest co prawda malowany na szaro, ale ten biały tren i niebieska chmura spalin nad nim... diesle wypluwają teraz tyle błękitnego gazu, co uszkodzony chłopski ciągnik. W tej gęstej chorągwi spalin całkowicie znika horyzont za rufą, wraz z cienkim jak igła masztem. Nie widzę, czy stał się większy, czy mniejszy.

Jeśli my go nie widzimy, myślę, prawdopodobnie i on nas nie widzi.

Piekielny ryk diesli. Teraz dopiero będzie ubytek w zapasach głównego mechanika.

Spostrzegam, że czif zniknął z pomostu. Stary ciągle trzyma swe szkła zwrócone w kierunku rufy. Ani o jedną kreskę nie zesliśmy z kursu. Starszy sternik również patrzy do tyłu.

Po chwili Stary każe przejść obu silnikom na małą naprzód. Szlak torowy maleje. Stopniowo rozchodzi się błękitny opar. Stary i starszy sternik w napięciu przeszukują horyzont. Robię to samo, milimetr po milimetrze. Nic nie znajduję.

– Hm – burczy Stary. Sternik milczy. Balansuje swą lornetką między kciukiem a palcem środkowym. Wreszcie mówi: – Nic, panie kapitanie!

– Sprawdził pan godzinę, kiedy masz się pojawił?

– Tak jest, panie kapitanie, godzina dziewiętnasta pięćdziesiąt dwie.

Stary podchodzi do luku i podaje w dół: – Zapisać: „Godzina dziewiętnasta pięćdziesiąt dwie, widoczny eskortowiec... – macie to już? – Całą naprzód oderwaliśmy się na powierzchni. Eskortowiec nie widzi nas, bo jesteśmy – macie to? – dobrze zasłonięci przez

ścianę spalin...”

A więc o to chodziło. Stary potrzebował spalin... postawił na kopeć.

Serce bije mi jeszcze mocno.

– Sporo napięcia? – pyta Stary. Nagle wstrząsa mną nowy strach: na zachodzie wznosi się rakieta nad horyzontem. Wisi przez chwilę, jej tor zakrzywia się, zarysowując kształt rączki spacerowej laski, potem gaśnie.

Dowódca jako pierwszy odejmuje szkła od oczu: – Co to ma znaczyć?

– Zmieniają kurs! – mówi starszy sternik.

– Możliwe! Możliwe również, że ściągną niszczyciela – burczy dowódca – jeśli nie mają zamiaru wziąć się do nas. Uważać, panowie, uważać! – A po chwili: – Jedna rakietka... chyba mają szmergla!

Starszy sternik podaje w dół: – Zapisać: „Raca świetlna nad konwojem na dziesięciu stopniach...” Do tego czas!

– Komiczne! – burczy znowu Stary. Potem zwraca twarz do księżycy: – Miejmy nadzieję, że ten łysy wkrótce się schowa! – Stoję tuż koło dowódcy, patrząc na niebo. Księżyc ukazuje ludzką twarz: gruby, okrągły, łysy. – Jak taki prawdziwy, stary, spokojny gość burdelowy – zauważa drugi oficer.

– Dwaj mężczyźni podziwiający księżyc – mrużę do siebie.

– Jak proszę?

– Ach... nic. Tak się nazywa pewien obraz Friedricha.

– Jakiego Friedricha?

– Caspara Davida... To niemiecki malarz romantyczny.

– Rozumiem! Przyjaciel natury...

– Topy masztów wychodzą wyżej! – melduje starszy sternik. Nieprzyjaciel musiał zrobić zygzak.

– Niech pan znowu skręci! – rozkazuje dowódca.

Z dołu meldują nowe położenie steru: leży dwieście stopni!

Księżyc zdobi się szeroką aureolą w barwach widma.

– Miejmy nadzieję, że pozostawią nas w spokoju – mruży dowódca kwaśno. Głośno pyta o zużycie paliwa.

Główny mechanik zjawia się tak szybko, jakby czekał w dole, i melduje: – O osiemnastej wszystko dokładnie wymierzaliśmy, panie kapitanie. Przy wielkich prędkościach zużyliśmy pięć i ćwierć tony. Praktycznie nie mamy już rezerw.

– Bosman ma zawsze zapas oleju jadalnego – szydzi Stary – a jak się inaczej nie da,

będziemy musieli żeglować do domu.

Przysiadam na zlanej wodą desce, obok platformy broni przeciwlotniczej. Poda mną tryskają białe grzywy, tworząc coraz to nowe wzory. W szlaku torowym lustrzany obraz księżycy rozpada się w gruzy. Tysiąc małych odłamków układa się w coraz to nowe figury. Morze jest przezroczyste i podświetlone od wewnątrz przez małe zielonkawe punkty. Kadłub okrętu wyraźnie rysuje się w tym migotaniu: to plankton. Żelazne pręty relingu rzucają ostre cienie na belkowanie pokładu. Wraz z cieniem między poszczególnymi beleczkami tworzą wyraźnie zarysowany wzór, składający się z samych rombów. Teraz wzór się przesuwa, cienie relingu wędrują przez moje buty, a więc okręt skręca bliżej ku konwojowi.

Nagle cienkie wiązki promieni wystrzeliwiają w górę na kształt wachlarza bladozielonej barwy i rozprzestrzeniają się na niebie.

– Zorza polarna! Tego nam jeszcze brakowało! – słyszę dowódcę.

Zasłona z połyskujących szklanych patyczków, jaką mieliśmy niegdyś przy starej wiszącej lampie w domu, przesuwa się poprzecznie przez całe sklepienie nieba. Bladozielone rozbłyski przechodzą falami przez szklistą zasłonę. Potem zza horyzontu wystrzeliwiają płonące wiązki lanc, gasną, zapalają się na nowo, gasną do połowy, wydłużają się, rozbłyskując. Woda wokół okrętu skrzy się, jakby było w niej tysiące robaczków świętojańskich. Szlak torowy staje się połyskliwym welonem.

– Wszelkiego rodzaju iluminacja – mówi dowódca. – Piękne, ale niepożądane.

Z krótkich zdań, jakimi przerzucają się dowódca ze starszym sternikiem, pojmuję, że rozważa się sprawę przeniknięcia okrętu z przedniej pozycji w środek konwoju. Starszy sternik z namysłem kiwa głową z prawa na lewą i znowu na prawą. Wydaje się, że Stary również nie jest pewny.

– Lepiej nie! – mówi wreszcie dowódca i zwraca się ku księżycowi. Księżyc jest teraz prawie całkowicie okrągłym, wyciętym w ciemnej chuście niebios otworem, przez który wpada światło białe, wapienne, a jednak niezwykle jasne, jak płonącego gazu. Nad horyzontem unosi się jeszcze parę chmur, jak szare lodowe kry. Gdy tylko trafiają w zasięg księżycowej poświaty, rozbłyskują, odziewają się w kosztowny strój, tu i ówdzie błyszczą jak wysadzane szafirami.

Morze pod księżycem jest olbrzymią płaszczyzną ze zgniecionego srebrnego papieru. Lśni i jarzy się, i utysiąckrotnie białą poświatę. Wydaje się, jakby zamarło w księżycowym świetle. Nie widać ruchu fal, tylko nieruchome, połyskliwe fałdy. Przypominam sobie scenę nocy pożegnalnej w barze „Royal” i Thomsena. Nie powinienem teraz o tym myśleć.

Mimo księżycowej jasności Stary ryzykuje i podchodzimy jeszcze trochę bliżej do

konwoju. Wierzy zapewne w nasze piękne ciemne tło, stawia również na brak czujności marynarzy na parowcach.

Poza tym i tak prawie nie wystajemy z wody. Przy tej prędkości nie mamy także dużych odkosów. Gdybyśmy mogli pokazać przeciwnikowi tylko naszą wąską sylwetkę, bylibyśmy prawie niewidoczni. Niestety, nie jest to możliwe: utrzymujemy w stosunku do konwoju równoległy i nieco wyprzedzający kurs.

Czy tak wielki konwój nie ma silniejszych ubezpieczeń zewnętrznych? – pytam samego siebie. Czy ten jeden dozorca to już wszystko, co Tomki mają do ochrony skrzydeł? Czy też może już jesteśmy między ubezpieczeniem zewnętrznym i konwojem?

Stary będzie wiedział, co robić. To nie jest przecież jego pierwszy konwój. Zna się na praktykach nieprzyjaciela. Raz nawet obserwował przez peryskop zrzuty bomb głębinowych, przeznaczonych dla niego. Dowódca niszczyciela uważał, że okręt podwodny znajduje się na dużej głębokości i w miejscu, które on już dawno opuścił. Stary kazał odstawić wszystkie maszyny, zawiesił okręt na peryskopie i przyglądał się, jak niszczyciel robił swoje najścia i rzucał całe dywany bomb. Podobno bawił się przy tym w sprawozdawcę sportowego i wszystko, co widział, przekazywał do wnętrza okrętu, żeby chłopaki też coś z tego mieli.

Teraz Stary milczy. W ciągu następnego kwadransa wypowiada tylko słowa: – Cztery kolumny.

Umykanie na pełnej prędkości przed dozorcą wyprowadziło nas prawdopodobnie zbyt daleko przed konwój. Pewnie dlatego już od dłuższej chwili płyniemy wolno. DOP użyje wielu okrętów podwodnych, które są jeszcze daleko. Naszym zadaniem będzie tymczasem nadawanie sygnałów z namiarami.

– Możemy się jeszcze trochę zbliżyć?

Pytanie dowódcy skierowane jest do Kriechbauma.

– Mhm! – mruży starszy sternik i nieruchomo trzyma swe szkła, skierowane na konwój. Wydaje się, że Staremu wystarcza to jako potwierdzenie. Daje rozkaz na ster, który kieruje nasz dziób skośnie do kursu konwoju.

Stoimy znowu sztywno i niemo. Zdenerwowanie? Broń Boże! Jak chińscy bożkowie, przechodzi mi przez głowę. Chińscy bożkowie? Jak oni właściwie wyglądają? – pytam sam siebie, ale zaraz się strofuję: Ach, do diabła z tym, lepiej porządnie uważaj!

– Na stanowiska bojowe! – rozkazuje Stary. Jego głos brzmi jak źle nasmarowany. Musi odkaszlnąć, by oczyścić krtań. Z dołu jeden po drugim dolatują wykrzykiwane głośno meldunki o gotowości:

– Do czifa: siłownia w alarmie bojowym!

– Do czifa: centrala w alarmie bojowym!

Główny mechanik melduje na górę:

– Dolny pokład w alarmie bojowym!

Ale wrzaskom nie ma jeszcze końca:

– Do pierwszego owu: broń torpedowa w alarmie bojowym!

A teraz charakterystyczny dziecinny głos pierwszego oficera:

– Broń torpedowa w alarmie bojowym!

Podaje się na górę przyrządy celownicze. Pierwszy oficer zakłada je starannie – jakby były kruche niby surowe jajko – na kolumnę do celowania nocnego.

Jesteśmy – patrząc od strony konwoju – po stronie oświetlonej przez księżyc. Nie rozumiem, dlaczego Stary pozostaje tutaj, a nie przejdzie w cień. Prawdopodobnie myśli teraz szarymi komórkami nieprzyjaciela. Przecież w części oświetlonej morze jest jasne jak cynfolia, błyszczy mocniej niż w jasny dzień. A więc z pewnością nie włączy się po nim żaden niemiecki okręt podwodny.

Dowódca opiera się również na tym, że w części oświetlonej nieprzyjacielskie ubezpieczenie boczne jest słabe. Prawdopodobnie ma rację, bo gdyby po tej stronie nie było luk w ubezpieczeniu, nieprzyjaciel odkryłby nas od dawna.

Potrafię wyobrazić sobie szyk konwoju i okrętów ubezpieczających wyraźnie jak na fotografii lotniczej: w wydłużonym prostokącie – cztery kolumny. W środku najcenniejsze statki, zbiornikowce. Jako ubezpieczenie czołowe dwie korwety, wymiatacze, które pędzą przed konwojem długimi zakosami, by przeszkodzić okrętom podwodnym w przeniknięciu z przedniej pozycji między statki. Dalej ubezpieczające z boku niszczyciele albo korwety chodzą tam i z powrotem na skrzydłach konwoju, oczywiście po nie oświetlonej stronie. W dużym odstępnie od stada płynie straż tylna, the killers: eskortowce, których nie używa się bezpośrednio do osłony konwoju, bo atak od tyłu jest mało prawdopodobny. Straż tylna ma przejąć namierzone przez korwety okręty podwodne i zwalczać je, gdy konwój płynie dalej.

Godzina dwudziesta. Przychodzi mi do głowy, że do mojej kamery powinienem mieć w pogotowiu drugi film nocny. Schodząc szybko, utykam we włazie. Ledwie znalazłem się w centrali, z góry dolatuje mnie wrzawa. Bez filmów wracam szybko na górę. – Jakaś sylwetka – słyszę głos dowódcy. – Tam... z przodu... wyraźnie się zbliża!

Zapiera mi dech w piersiach. Z dziobu, cztery kreski z lewej, wykrywam topy masztów konwoju. Ale Stary zwrócony jest ku rufie. Szukam w tym kierunku. I już mam: na horyzoncie pojawił się wąski cień.

Co teraz będzie? Zanurzenie? Rezygnacja? Koniec?

– Oba silniki cała naprzód! – Głos dowódcy jest monotony. Czy chce wypróbować starą sztuczkę i dalej płynąć po prostu przed siebie?

– Lewo dziesięć!

A więc nie.

Mija minuta i wtedy Stary przekazuje nam swój zamiar: – Idziemy na konwój!

Gdy znowu skierowałem szkła na statki, starszy sternik melduje tonem, który mógłby brzmieć bardziej obojętnie: – Topy masztów wychodzą wyżej!

W ciągu minuty popadliśmy w tarapaty. Musimy teraz albo zanurzyć się, by uniknąć podchodzącego szybko niszczyciela, albo za bardzo zbliżyć się do konwoju.

Nasz ślad torowy, drżąc, wije się jak potężny ogon. Nad nim szeroko rozsnuwa się opar z diesli. On nas zasłania mgłą... możliwe, że to i teraz pomoże. Tak czy inaczej cienia niszczyciela przez osłonę spalin już nie widać.

Znowu przesuwam szkła. Konwój mamy teraz dokładnie przed dziobem.

– Niech to wszyscy diabli! – klnie dowódca.

– Niszczyciel chyba odstaje – melduje starszy sternik. – Długie minuty niepewnego napięcia, aż starszy sternik przerywa milczenie: – Odległość zwiększa się!

Dowódca nawet nie rzucił okiem w kierunku niszczyciela. Całą swą uwagę koncentruje na pagórkach na horyzoncie, dokładnie przed naszym dziobem.

– Ile leży?

– Kurs pięćdziesiąt stopni!

– Prawo piętnaście, na kurs sto czterdzieści! – rozkazuje dowódca.

Przeżalenie tkwi mi jeszcze w kościach.

Dowódca mówi: – Idą dość luźno. – Dopiero potem wraca do niszczyciela: – Dobrze, że się nie zanurzyliśmy. Teraz było już kiepsko.

Nieoczekiwanie pyta starszego sternika: – Kriechbaum, jakie ma pan wrażenie?

Starszy sternik, opierając się nadal łokciami, zwraca głowę ze szkłami do dowódcy i mówi: – Pewniak, panie kapitanie! Całkiem pewne. Musi się udać.

– Jasne! – przytakuje dowódca.

Co to za śmieszny dialog, myślę sobie, czyżby ci dwaj dodawali sobie odwagi?

Rzucam szybkie spojrzenie do wnętrza kiosku. Zdjęto osłony z przeliczników wyprzedzenia i rozchylenia oraz z przełącznika odpalania torped. Na tarczach przyrządów błyszczą błękitnawa poświata.

– Czas? – pyta dowódca.

– Dwudziesta dziesięć!

Wprost niewiarygodne, że nie niepokojeni przez nikogo płyniemy przy konwoju, jakbyśmy do niego należeli.

– Tamten cień mi się nie podoba – mruczy dowódca do starszego sternika.

Zwracam się w tym samym kierunku co dowódca i chwytam ten cień w szkła. Jest zwrócony do nas ostrym końcem. Czy się zbliża, czy oddala – tego nie można stwierdzić. Trzydzieści stopni czy sto pięćdziesiąt? Z pewnością nie parowiec! Ale Stary odwraca się znowu.

Pierwszy oficer nerwowo majstruje przy przyrządach celowniczych, patrzy przez celownik, potem znowu na chwilę podnosi się znad szkła i prosto ponad osłonę kiosku namierza w kierunku konwoju. Stary, który wyczuwa niepokój, pyta z odcieniem kpiny: – Ma pan dobrą widzialność, panie pierwszy?

Z kolei zwraca twarz ku księżycowi. Następnie wyraża swe niezadowolenie: – Tego należałoby zestrzelić...

Pokładam nadzieję w chmurach, które gęstą gromadą leżą nad horyzontem i stopniowo podnoszą się w górę, tak wolno wprawdzie, że potrwa jeszcze długo, nim osiągną księżyc.

– Przecież oni zygzakują w prawo! – mówi Stary, a starszy sternik odpowiada: – Też mam takie wrażenie!

Cienie istotnie spłaszczyły się.

Stary każe znowu skrócić o cztery dziesiątki w prawo.

– Chyba nie będą robili trudności?

Stoję tak blisko przyrządów celowniczych, że słyszę oddech pierwszego oficera. Niepokoi mnie, że jaśniejszego cienia nie można już odnaleźć.

– Czas?

– Dwudziesta dwadzieścia osiem!

Drugi atak

Księżyc stał się jeszcze bielszy, bardziej lodowaty. Dokoła jego ostro zarysowanej tarczy niebo jest całkowicie wolne od chmur. Tarczę otacza tęczowo mieniący się pierścień. Jedna z chmur znad horyzontu zbliża się do księżyca. Wygląda to tak, jakby była przednią strażą całej kolumny.

Patrę tylko na tę chmurę. Posuwa się właściwą drogą. Po chwili jednak zwalnia. Prawie przestaje się wznosić. A teraz w dodatku rozpada się na pasma i zaczyna strzępić. Na naszych oczach rozłazi się całkowicie. Pozostaje po niej tylko mglisty welon.

– Draństwo! – syczy starszy sternik.

Teraz inna chmura robi przygotowania, by się oderwać od horyzontu. Jest nawet grubsza i pełniejsza niż poprzednia.

Wiatr przesuwają ją nieco w bok, dokładnie tak, jak nam potrzeba. Nikt już nie klnie, jakby przekleństwo mogło zrazić chmurę.

Przenoszę znowu oczy na horyzont. W szklach widać już wyraźnie dzioby, rufy i nadbudówki parowców.

Dowódca instruuje pierwszego oficera: – Podejść i natychmiast strzelać. Po strzale niezwłocznie skręcić w lewo. Gdy tylko ta chmura się podniesie, zaczynam!

Pierwszy daje niezbędne rozkazy do urządzenia przelicznikowego, które obsługuje jeden człowiek w kiosku i drugi w centrali.

– Wyrzutnie od pierwszej do czwartej gotowe do strzału nawodnego!

Teraz do wszystkich wyrzutni zostaje wpuszczona woda. Z dziobowego meldują przez rurę głosową: – Wyrzutnie pierwsza do czwartej gotowe do strzału nawodnego!

– Połączyć celownik z przelicznikiem wyprzedzenia. Odpalenie z pomostu! – rozkazuje pierwszy owu.

Rozkazy wydaje płynnie. To więc potrafi. Tego się nauczył.

Mat przy przelicznikach melduje o wykonaniu rozkazu.

Stary zachowuje się tak, jakby te liturgiczne zaklęcia wcale go nie obchodziły. Tylko jego napięta postawa wskazuje, jak bardzo uważa.

Pierwszy przekazuje teraz matowi w kiosku: – Położenie nieprzyjaciela dziób w prawo... Namiar pięćdziesiąt... prędkość nieprzyjaciela dziesięć węzłów... odległość trzy

tysiące metrów... prędkość torpedy trzydzieści... głębokość trzy, namiar na bieżąco.

O właściwe wyprzedzenie dla torped pierwszy nie musi się troszczyć. Określi je przelicznik torpedowy. Urządzenie przelicznikowe ma bezpośrednie połączenie z żyrokompasem i kolumną celownika i poza tym jest bezpośrednio włączone do torped, których mechanizm sterujący reguluje się od tej chwili na bieżąco: każda zmiana kursu okrętu jest przenoszona automatycznie na torpedy jako poprawka kursu. Pierwszy oficer potrzebuje tylko utrzymywać cel w krzyżu celownika.

Teraz pochyła się nad przyrządami: – Przygotować się do wyrównania ciśnień! Ciśnienie... zero!

– Podejście musi się udać – mamrocze dowódca. Znowu zerka na księżyc. Druga chmura stanęła jak balon na uwięzi, który osiągnął przewidzianą wysokość. Jest na trzy kciuki pod księżycem, tam wisi i nie rusza się już.

– Jedno wielkie łajdactwo! – starszy sternik wygraża pięścią w górę. Jest to wybuch emocji, który zaskakuje mnie u tak spokojnego człowieka jak Kriechbaum. Nie mam jednak czasu dziwić się starszemu sternikowi, dowódca gwałtownie odwraca twarz od księżyca i rozkazuje: – Oba silniki cała naprzód! Ster lewo na burt! Początek podejścia! Otworzyć pokrywy wylotowe!

Z dołu głośno powtarzają komendy. Dziób zaczyna już przesuwac się po horyzoncie. Szuka cieni.

– Ster zero! Tak trzymać! Dalej dziewięćdziesiąt stopni! – Teraz okręt pędzi dokładnie na cienie, które z sekundy na sekundę robią się większe.

Lemiesz dziobu wrzyna się w błyszczące morze i odrzuca na boki dwie świecące skiby wody. Odkosy dziobowe rosną i migoczą tysiącami ogników. Dziobowa część okrętu unosi się w górę. Natychmiast zaczynają się wodne szpryce. Diesle idą na pełnych obrotach. Osłona pomostu dygocze.

– Uchwycić cel! – rozkazuje dowódca.

Pierwszy oficer jest pochylony nad przyrządami.

– Tam, te dwa, które zachodzą na siebie... te niech pan weźmie. Tam, ma pan? W lewo, koło tego pojedynczego parowca! Do tego dużego dwie torpedy, do pozostałych pojedyncze. Strzał podwójny na skraj pomostu i tuż przed tylnym masztem!

Stoję za dowódcą, który wyciąga głowę w kierunku statków.

– Wyrzutnie jeden do czterech gotowe!

Bicie serca czuję wysoko w przełyku.

Moje myśli miotają się chaotycznie: ryczące silniki... cienie... srebrne morze... księżyc!

Ten pęd! Przecież jesteśmy okrętem podwodnym... gdyby się tylko udało!

Pierwszy oficer trzyma cel w szklach. Jego głos rzeczowo i sucho dobywa się ze zwróconych w dół ust. Stale koryguje swoje namiary. Już trzyma prawą dłoń na dźwigni odpalenia.

– Włączyć wyrzutnię jeden i dwa... namiar sześćdziesiąt pięć... namiar zmieniać na bieżąco!

– Pytam o namiar.

– Namiar siedemdziesiąt... namiar osiemdziesiąt!

Tuż koło mego ucha słyszę dowódcę: – Wyrzutnia jeden i dwa... Zezwalam na strzał!

W kilka sekund później pierwszy oficer komenderuje: – Wyrzutnia jeden i dwa pal!

Wyostrezam wszystkie zmysły: ani huku, ani szarpnięcia okrętem – nic! Okręt pędzi dalej, zbliżając się jeszcze bardziej do parowców. Nic nie widzą! Nic nie widzą!

– Włączyć wyrzutnię trzy!

– Wyrzutnia trzy pal!

– Lewo dziesięć! – rozkazuje dowódca.

Dziób znowu przesuwają się, szukając po łańcuchu statków.

– Włączyć wyrzutnię cztery! – słyszę pierwszego oficera. Czeka, aż podejdzie mu nowy cel, i rozkazuje: – Wyrzutnia cztery... pal!

Tuż koło namierzonego parowca odkrywam w tej samej chwili jakiś wydłużony statek, jakiś cień, który nie jest tak ciemny jak pozostałe – prawdopodobnie pomalowany na szaro.

– Ster lewo na burt! Włączyć wyrzutnię rufową! – To był głos dowódcy. Przy zwrocie okręt kładzie się leniwie na bok. Cienie przesuwają się na prawą burtę.

Starszy sternik krzyczy: – Sylwetka skręca!

Widzę, jak teraz nasza rufa kieruje się w cień. Ale widzę również, jak ten jasny statek robi się węższy. Teraz już widać nawet rąbek jego fali dziobowej.

– Wyrzutnia pięć... pal! Ster prawo na burt! – ryczy dowódca. Okręt nie zdążył jeszcze skręcić, gdy naprzeciwko miga pomarańczowa błyskawica, a w ułamek sekundy potem jeszcze jedna. Potężna pięść podcina mi kolana. Ostre wycie przenika mnie jak zimna stal.

– Strzelają, te świnię! Alarm! – ryczy Stary.

Jednym skokiem jestem przy luku i wpadam w niego. Czyjeś buty walą mnie w ramiona. Odskakuję, wciskam się za stół nakresowy, łamiąc się z bólu. Przede mną po podłodze toczy się jakiś człowiek.

– Napełniać! – krzyczy dowódca i zaraz potem: – Ster lewo na burt! – Z góry wali się woda. Wielka prędkość wpycha okręt z dużym przegłębieniem dziobowym w dół. Mimo to

Stary rozkazuje: – Wszyscy do przodu!

– Były cholernie dobre! – wykrztusza, przyłączając się do nas.

Z trudem pojmuję, że jest to pochwała nieprzyjacielskiej artylerii. Kawalkada chłopaków zjeżdża przez pomieszczenie. Wychwytyję przerażone spojrzenia. Teraz wszystko się ślizga. Skórzane kurtki i lornety, które wiszą na paskach z lewej i prawej strony przejścia, odsuwają się od ściany.

Wskazówka głębokościomierza przesuwa się szybko po skali, aż główny mechanik każe dać przeciwster. Teraz skórzane kurtki i lornety opadają stopniowo, bardzo powoli zbliżają się do ściany. Okręt staje na równej stępce.

Nie mogę uchwycić spojrzenia dowódcy. Były cholernie dobre... Gdyby jeszcze lepsze, to byłoby całkiem źle. Potem powtarzam w myśli tylko jedno: torpedy... torpedy... torpedy.

– To był niszczyciel, od razu sobie pomyślałem – mówi dowódca. Brzmi to wymuszenie. Widzę, jak jego klatka piersiowa unosi się i opada.

Potem zerka na nas, jakby się chciał upewnić, czy wszyscy są, i mówi półgłosem: – Zaraz zacznie się taniec.

Niszczyciel! Mała odległość! Pewnie Stary dawno już wiedział, że ten jaśniejszy cień to nie był parowiec. Niszczyciele są pomalowane jasnoszaro. U Tomków tak samo jak u nas. Jeden niszczyciel i z wariacką prędkością prosto na nasz balast! Zaraz zacznie się taniec! Zaraz zacznie się taniec! Zaraz polecą bomby! Zaraz polecą bomby.

– Zejść na dziewięćdziesiąt metrów... powoli – mówi Stary.

Czif powtarza to samo ścisłym tonem.. Znowu przycupnął za sternikami i nie spuszcza oka z manometrów.

Ktoś szepce: – Ale mamy pasztet!

Zwiększyć swój ciężar, zmniejszyć się, skurczyć!

Torpedy! Wszystkie chybione! Czy coś takiego się zdarza? Cztery strzały, jeden podwójny, dwa pojedyncze, a do tego wyrzutnia rufowa podczas zwrotu. Strzał z wyrzutnia piątej z pewnością nie był dokładnie wycelowany, ale tamte! Dlaczego nie słycać huku?

Głowa głównego mechanika przysuwa się jeszcze bliżej do okrągłego oka manometru. Na czoło występuje mu pot jak błyszczące krople rosy. Widzę, jak poszczególne krople się łączą i zostawiają na jego twarzy ślady, zupełnie przypominające mokre ślady ślimaków. Obojętnym ruchem, wierzchem prawej dłoni, ściera pot z czoła.

Ślady ślimaków... Ślady ślimaków! Prawie nie ruszamy się z miejsca.

Teraz on musi być tuż nad nami!

Co się dzieje? Dlaczego nic nie huczy?

Wszyscy stoją milczący i skuleni – pozbawione szyi skórzane lemury. Wskazówka głębokościomierza przesuwają się o następne dziesięć małych kresek.

Próbuję myśleć jasno. Ile czasu od zanurzenia? Prędkość niszczyciela? Pudła! Wszystko pudła! Te zasrane torpedy! Znana choroba! Mamy do czynienia z sabotażem! Może nie? Błędnie sterują te bydlęta! I zaraz Tomki dobiorą się nam do dupy! Stary chyba zwariował. To był atak ścigacza! Nad wodą! Po prostu na wariata. Musieli na to patrzeć z zaciekawieniem! Najpierw udaje spokojnego, a potem coś takiego! Ile tam było metrów odległości? Ile sekund potrzebuje niszczyciel całą naprzód, by dojść do nas? Obłądne komendy na ster! Hak!... Hak? Wariactwo: Stary zrobił haka przy zanurzaniu się. To jest całkowicie niezwykle. Co to ma znaczyć? Teraz rozumiem: Anglicy widzieli nas, że zanurzaliśmy się po skręcie w prawo. Stary chciał ich zmylić... miejmy nadzieję... że nie są tacy sprytni!

Stary przysiadł na jednym udzie na skrzyni z mapami. Widzę tylko jego zgarbione plecy, wywinięty kołnierz kożuszka i spłowiata biel czapki.

Starszy sternik prawie całkowicie zamknął oczy. Szczeliny oczu wyglądają, jakby je ktoś ostrym dłutem wyrzeźbił w drzewie. Wargi wciągnął między zęby. Prawą ręką trzyma się podstawy peryskopu opl. Twarz mata z centrali już z odległości dwóch metrów jest tylko zamazaną bladą plamą.

Głuchy, stłumiony ton przerywa ciszę, zupełnie jak uderzenie pałeczki po luźno napiętej skórze bębna.

– Tego trafiło! – krzyczy dowódca. Podrywa głowę do góry i ukazuje mi swą twarz. Jego oczy są zamknięte, usta wykrzywione.

Teraz głuche uderzenie.

– I tego również! – Dowódca dodaje sucho: – Piekielnie długi czas przebiegu.

Co to było? Torpedy? Czyżby dwie torpedy trafiły?

Drugi oficer wstał. Ma zaciśnięte pięści i odsłania zęby jak orangutan. Widzę wyraźnie, że chce krzyknąć. Ale przełyka ślinę. Jego twarz przez sekundy zastygła w grymasie.

Wskazówka głębokościomierza powoli przesuwają się po skali.

Znowu uderzenie pałką.

– Numer trzy! – mówi ktoś.

Ta głucha detonacja... nic więcej? Zaciskam powieki. Wszystkie moje nerwy wciskają się w przewody słuchu. Czy to ma być już wszystko?

Nagle słysząc dźwięk, jakby przedartło w środku jakieś prześcieradło, a drugie szybko rwano w strzępy. Potem coś gwałtownie skrobie po metalu i teraz dokoła jedno tylko trzaskanie, piłowanie, pęknięcie i łamanie.

Tak długo wstrzymywałem oddech, że muszę teraz szybko wciągnąć powietrze. Niech to diabli. Co się znowu stało?

Stary podnosi głowę.

– Dwa toną, starszy sterniku... To przecież są dwa?

Ten hałas... czy to pękające grodzie?

– Te dwa trafione! – Stary wykrztusza te sylaby bez tchu.

Nikt się nie rusza. Nikt nie wybucha triumfalnym krzykiem. Obok mnie stoi mat z centrali. Bez ruchu, w swojej zwykłej postawie. Jedną dłoń na trapie, głowa zwrócona prosto na głębokościomierze. Obaj sternicy: sztywne fałdy ich gumowych ubrań, ich błyszczące od wilgoci zjudwestki. Białe oko głębokościomierza: wskazówka stoi. Mój Boże, obaj sternicy mają jeszcze zjudwestki na sobie!

– Cholernie długi czas przebiegu. Już położyłem krzyżyk!

Głos dowódcy brzmi znowu niewyraźnie i burkliwie. Nie ma końca trzaskom, skrzypieniu, brzęczeniu i dudnieniu.

– Tych już więcej nie da się użyć.

Nagle druzgocący cios zwala mnie z nóg. Ledwie zdołałem się chwycić rury. Brzęczy szkło.

Wstaję znowu, zataczając się robię odruchowo dwa kroki w przód, potykam się o kogoś, trafiam w jakiś twardy kant i osuwam się w ramach włazu.

Teraz się zaczyna! Teraz chodzi o obrachunek! Tylko się nie wzdrygać! Lewe ramię przyciskam gwałtownie do metalu i robię się tak ciężki, jak tylko można. Obiema rękami chwytam za rurę, która przebiega pod moimi udami. To moje stałe miejsce! Dłonie wyczuwają gładką warstwę lakieru i szorstką, łuszczącą się rdzę po drugiej stronie rury. Trzymam się z całej siły. Ściskam rurę jak w imadle. Obserwuję intensywnie wierzch mojej lewej, a potem prawej dłoni, jakby to spojrzenie mogło jeszcze wzmocnić chwyt.

Następny cios?

Zupełnie jak żółw wysuwam skuloną głowę do góry, zawsze przygotowany na uderzenie, gotów natychmiast skurczyć się znowu. Słyszę tylko siąkanie nosem.

Czapka dowódcy przyciąga moje oczy jak magnes. Teraz dowódca odstepuje o metr w bok i widzę jednocześnie czapkę i biało-czerwone skały po obu stronach wodowskazu: jak pryce z pasami dla wariatów. Albo też przesadnie długie lizaki na drewnianym patyku, które,

zupełnie jak kwiaty, tkwią w wazonach paryskich cukierni. Lizaki. Wyglądają dokładnie tak. Albo jak latarnia morska, którą mieliśmy po lewej przy wyjściu z portu. Ta również była pomalowana na czerwono i biało.

Właz w grodzi chce mnie wyrzucić. Potężna detonacja chce mi rozerwać bębni uszu. Potem następuje uderzenie po uderzeniu, jakby głębina była pełna ładunków prochu, które są odpalane jeden za drugim.

Zrzut wielokrotny.

Niech to diabli, leży dobrze! Mają nas! To było pierwsze podejście. Nie są głupi, nie dali się wykołować.

Wszystko się we mnie kurczy.

Poza okrętem wszystko ryczy, bulgocze i szumi! Prądy głębinowe kołyszą okrętem.

To szczęście, że trzymam się mocno jak w kole do treningu.

Nagle cichnie bulgotanie wody wpływającej do lejów po wybuchu, ale głuche trzaski, drapanie i pęknięcie słychać nadal.

Dowódca śmieje się jak wariat: – Padają na kolana!... Cha, cha! To nam oszczędza strzału miłosierdzia... Szkoda tylko, że nie widzimy, jak toną te łajby.

Zirytowany zamykam oczy. Jednak Stary przybiera znowu swój chłodny, zwykły ton: – To było drugie trafienie!

Słyszę głos hydroakustyka. Moja zdolność pojmowania musiała być częściowo wyłączona. Z pewnością podawał bieżące meldunki, ale ja nic nie słyszałem.

– Niszczyciel, namiar trzydzieści stopni z lewej. Szum zbliża się!

Dowódca wisi spojrzeniem na wargach hydroakustyka: – Zmienia kurs?

Ten zwleka z odpowiedzią. Wreszcie melduje: – Namiar przesuwają się za rufę!

Dowódca każe natychmiast zwiększyć prędkość. Wreszcie mogę się pozbyć mgły z mózgu, mogę śledzić, co się dzieje dalej, i myśleć. Miejmy nadzieję, że niszczyciel, tak jak chce Stary, przecina kurs naszego okrętu spory kawałek za rufą.

Jeszcze nie wiemy, w którą stronę niszczyciel skręci, by spróbować nowego podejścia – Stary przypuszcza, że z lewej, bowiem kazał skrócić w prawo.

Starszy motorzysta Franz przechodzi przez pomieszczenie. Jego twarz jest biała jak kreda. Krople potu, grube jak z gliceryny, błyszczą mu na czole. Chociaż nie ma chwiejby, przytrzymuje się na zmianę to lewą, to prawą ręką. – Teraz nas mają! – wykrztusza. Potem woła głośno o bezpieczniki do żyrokompasu.

– Nie wrzeszcz pan tak! – opieprza go wściekły dowódca.

Cztery wybuchy, jeden po drugim, prawie jeden huk, wstrząsają okrętem. Jednak

prądy głębokościowe nas nie dosięgają.

– Za rufą... o wiele za daleko za rufą! – szdyzi Stary. – To nie takie proste!

Unosi nogę i opiera ją na skrzyni z mapami. A teraz majstruje coś przy swoim kożuszku. Odpina pętelki przy guzikach... chce mieć wygodnie. Wsadza ręce do kieszeni skórzanych spodni i zwraca się do sternika.

Znowu pojedynczy wybuch... Niezbyt bliski, ale dziwnie przeciągły. Bulgotanie i szum nie mają końca. W głuchym hałasie słychać głos Starego: – Rąbią w niewłaściwe miejsce.

Wydaje się, że niszczyciel nie ma najlepszych zamiarów: znowu parę wybuchów dość daleko. Ale akustyczny efekt każdej bomby działa nam na nerwy, nawet tych bomb, które detonują w odległości paru tysięcy metrów. Przeciwnicy wiedzą jak mogą nas demoralizować nawet dalekimi zrzutami.

– Niech no pan zapisze, starszy sterniku...

– Tak jest, panie kapitanie!

– „Godzina dwudziesta druga czterdzieści rozpoczynam atak...” Dwudziesta druga czterdzieści, to się chyba zgadza, starszy sterniku?... „Rozpoczynam atak. Kolumny w szyku zwartym...” Tak, w szyku zwartym. Ile kolumn, nie potrzebujemy przecież podawać... „Niszczyciele z przodu i po stronie oświetlonej przez księżyc dobrze widoczne...”

Jak?... Dobrze widoczne?... Niszczyciele z przodu i po stronie oświetlonej przez księżyc dobrze widoczne? Z przodu również? A więc było ich kilka! Zasycha mi w gardle. O tym Stary ani nie mruknął. Przeciwnie: przez cały czas działał tak, jakby po naszej stronie nie było żadnego ubezpieczenia.

– „...dobrze widoczne”. Ma pan to? „Zaatakowałem od prawego skrzydła drugiej kolumny...” Tak... ma pan?

– Tak jest, panie kapitanie... Za-a-ta-ko-wa-łem.

– „Bardzo jasna księżycowa noc...”

– Można to tak powiedzieć – mruczy drugi oficer, ale tak cicho, że dowódca nie słyszy.

– „...bardzo jasna, ale do ataku podwodnego za ciemno...”

Muszę się podnieść ze swego miejsca, bowiem przez właz chcą przejść ludzie, którzy od wydania rozkazu „wszyscy do przodu” jeszcze byli w części dziobowej. Żeby nie tupać, balansują koło mnie jak tancerze na linie.

Teraz Stary każe zejść głębiej, a potem utrzymywać przez pięć minut głębokość i kura. Dopiero gdy hydroakustyk melduje nowe podejście, każe wysterować jeszcze głębiej. Opiera

się teraz na tym, że załoga niszczyciela nie spostrzegła drugiego manewru i nastawiła bomby na tę głębokość, którą poprzednio specjalnie tak długo utrzymywaliśmy, ażeby namierzacze w brzuchu niszczyciela mogli ją dobrze zarejestrować.

Nowe meldunki podsłuchu. Nie ma wątpliwości: niszczyciel następuje nam na pięty.

Mimo niepokoju w głosie hydroakustyka Stary nie wydaje nowych rozkazów na ster. Wiem, zwleka ze zmianą naszego kursu do ostatniej chwili, ażeby atakujący niszczyciel nie mógł już zareagować na nasz manewr. Zając i ścigający pies! Dopiero gdy pies chce kłapać zębami, kiedy myśli, że ma już zająca w pysku, dopiero wtedy zając wywija koziółka w bok, ale psu nie udaje się zrobić tego skrętu. Jego tempo wyrzuca go z toru.

To porównanie nie całkiem jest dla nas trafne – nie jesteśmy tacy szybcy jak zając, nasz skręt jest za duży. W ogóle się nie zgadza: niszczyciel może zawsze szybciej skrócić niż my. Ale kiedy idzie całą naprzód, a potem chce zmienić kierunek najścia, jego również wyrzuca z toru. Taka blaszanka ma za małe zanurzenie.

– Niezgorzej strzelali, braciszkanie. Na kierunek było cholernie dobrze. Tylko troszkę za wysoko... – Potem Stary rozkazuje: – Ster prawo na burt. Lewy silnik cała naprzód!

Od dawna wszystkie mechanizmy pomocnicze są wyłączone: przetwornica, wentylatory, a nawet żyrokompas. Ledwie ważę się oddychać... Siedzimy cicho jak myszy. Co to znaczy: jak myszy? Kot na górze... a my jesteśmy myszami? Tak, nie piszczeć!

Musieli nas wykryć przecież przy pierwszym podejściu, tak blisko byli miejsca naszego zanurzenia. Ale dla nich Stary był za cwany: skrzył najpierw wąską sylwetką przeciw wąskiej sylwetce. A potem skręt w prawo... później alarm i w dół, ale natychmiast sterami ostro w lewo. Jak piłkarz, który celuje w lewy róg, a kopie w prawy.

Stary zaszczyca mnie kiwnięciem głową: – Jego się łatwo nie pozbędziemy. Uparty. Nie żaden początkujący.

– Tak – potwierdzam.

– Teraz są z pewnością nieco rozgoryczeni – dorzuca.

Każe zejść na jeszcze większą głębokość – sto pięćdziesiąt metrów. Według meldunków hydroakustyka niszczyciel chodzi za nami jak na sznurku. W każdej chwili może ruszyć całą naprzód i rozpocząć atak. Powinniśmy mieć szybszy okręt. Stary każe zwiększyć prędkość. Ale w ten sposób ryzykuje dużo, bowiem im szybciej idą nasze silniki, tym więcej robią hałasu. Tomki mogliby je słyszeć gołym uchem. Jednak dowódca prawdopodobnie zdecydował wydostać się z zasięgu hydrolokacji przeciwnika.

Hydro melduje półgłosem: – Szum niszczyciela głośniejszy!

Dowódca szeptem rozkazuje znowu zwolnić. To się więc nie udało. Próba przerwania

się zawiadła. Ścigają nas nadal! Nie dają się zgubić! Wolą zostawić swoje łajby bez ochrony. Pewnie: umiejscowiony dokładnie okręt podwodny – to się co dzień nie zdarza.

Potężny młot trafia w okręt. Prawie w tej samej chwili Stary wyrzaskuje rozkazy pompowania wody i zwiększenia prędkości. Gdy tylko hałas w morzu przebrzmiewa, Stary każe znowu zatrzymać pompę i przejść na małą naprzód. – Trzynaście... czternaście – liczy starszy sternik i robi dwie nowe kreski na tablicy. To były więc dwie bomby. Liczę: przedtem cztery. Później drugi zrzut był wielokrotny, naliczono sześć bomb. Czy to się zgadza? Liczę jeszcze raz.

Znowu trzy, cztery uderzenia, tak gwałtowne, że brzęczą płyty podłogi. Czuję detonację w bębnekach uszu. Ostrożnie odwracam głowę. Starszy sternik robi cztery kreski.

Stary nie poruszył się nawet o milimetr. Trzyma głowę w ten sposób, że widzi głębokościomierz, a jednocześnie lewe oko ma zwrócone na kącik podłuchu.

– Zdaje się, że oni nas naprawdę nienawidzą.

To powiedział podchorąży. Niewiarygodne: nasz podchorąży zabrał głos. Teraz patrzy w podłogę. To zdanie pewnie mu się wymknęło. Wszyscy je słyszeli. Starszy sternik szczyrzy zęby. Stary odwraca głowę. Przez chwilę na jego twarzy widać odcień rozbawienia.

Żwir! Na początku brzmiało to, jakby ktoś rzucił garść piachu na naszą lewą burłę, ale teraz jest to żwir ogrodowy – trzy, cztery rzuty jeden po drugim. Ich asdic nas znalazł. Wydaje mi się, że nagle zostaliśmy oświetleni ze wszystkich stron jak na olbrzymiej scenie, dostępnej dla wszystkich oczu.

– Świnie! – mruczy półgłosem ten z centrali. Również i mnie w tej samej chwili ogarnia nienawiść do naszych przeciwników. Ale kim oni właściwie są: twardym, śpiewnym szumem śrub, brzęczeniem trzmieli, sypaniem żwiru na ścianę kadłuba? Ten cień, ta wąska sylwetka, która była nieco jaśniejsza niż parowce – to wszystko, co widziałem z naszych przeciwników... Białko w oku nieprzyjaciela! Dla nas to bzdury! My nie widzimy. Już nie widzimy, tylko nasłuchujemy. Podśluchiwać przy drzwiach! Dlaczego nasz superpodśluchiwać nic nowego nie melduje? Dowódca niecierpliwie mruga powiekami. Nic? Ciągle jeszcze nic?

„Uszy wszystkich słuchają Ciebie, o Panie, albowiem sprawisz wielką radość tym, co na Twoje słowo...” czy coś podobnego. Badacz Pisma Świętego będzie wiedział dokładniej. W półmroku trudno go rozróżnić.

Hydroakustyk unosi brwi. To również znak: zaraz będzie coś dla naszych uszu.

Uszy mają, a nie słyszą. Psalm Dawida. Uszy... uszatka... zauszniak... co jeszcze? Uszka... ucha.

Cały się zamieniam w ucho. Jestem jednym jedynym olbrzymim uchem, wszystkie moje nerwy są kłębkami w kanałach usznych. Owinęły się jak delikatne włosy ruszałek wokół młoteczka, kowadełka, strzemiączka.

Dać komuś w ucho... uzyczać chętnego ucha... nasze ściany mają uszy... ściągając skórę przez uszy... właśnie, co to jest: chcą nam ściągnąć skórę przez uszy. Polski lis, on tu również pierwszorzędnie pasuje: „Przecież to tylko odmiana”, powiedział lis... gdy mu ściągano skórę przez uszy!

Jak tam może wyglądać na górze?

Z pewnością jakaś gigantyczna iluminacja. Wszystkie reflektory włączone, a niebo pokryte świetlnymi racami na spadochronach, aby odwieczny wróg nie uciekł. Wszystkie lufy w najniższym położeniu, żeby natychmiast mogły rąbać, gdyby niszczycielowi udało się nas uszkodzić i wypędzić na powierzchnię.

Hydroakustyk melduje: – Szum śrub pod kątem dwudziestu stopni. Zbliża się szybko!
– A po krótkiej przerwie: – Nowe podejście.

Dwa ciosy jak toporem trafiają w okręt. Wariacki szum i bulgotanie. I w tej kipieli dwie kolejne eksplozje.

Otworzyłem usta, tak jak kanonierzy, by mi nie popękały bębrenki. W końcu wyszkolono mnie na artylerzystę morskiego. Dość często otwierałem usta, bo huk wystrzału był nie do zniesienia. Teraz jednak nie stoję przy dziale, tylko w środku wybuchu.

Tu nie można uciec. Rzucanie się na ziemię nie pomoże. Okopywanie – można się uśmieć: pod stopami mamy żelazne płyty z kuciapkowym wzorem, jak Zeitler nazywa te tysiące małych rombów. Staram się ze wszystkich sił, by zdusić paniczny strach, przekłętą chęć, by zwiewać w jakimkolwiek kierunku. Przygwoździć stopy do płyt podłogi! Życzę sobie ołowiu w zelówkach, jaki mają kolorowe kręglowate pajace, które zawsze wstają same przez się, obojętnie w którym kierunku je się popycha. Bogu dzięki, już wiem znowu, jak się nazywają: wańki-wstańki... Wańki-wstańki, baby, frygi, bąki. Piękne kolorowe zabawki.

Między nami mówiąc, również źle nie trafiłem. Ja także nie mogę się przewrócić. Właz w grodzi, w którym przykucnąłem, jest najlepszym miejscem w tej sytuacji.

Rozluźniam swój chwyt na rurze. Jak się zdaje, możemy zrobić przerwę. Rozluźnić skurczone mięśnie, poruszać szczęką, rozprostować kości, odprężyć pokrywę brzucha, pozwolić krążyć krwi. Teraz czuję, jak bolesna była napięta postawa.

Nasze zachowanie się zależy całkowicie od przeciwników. Tomki mogliby nawet określić naszą postawę: wciągamy głowy, czekamy skuleni, na wybuch, wyprostowujemy się i rozluźniamy kończyny, kiedy za ścianą słychać szum. Nawet Stary uważa, żeby śmiać się

szyderczo tylko podczas bulgotania wody po detonacjach.

Hydroakustyk otwiera usta do połowy. Natychmiast zatyka mi dech. Co jest? Gdybym tylko wiedział, gdzie poszła ostatnia seria, w jakiej odległości od okrętu zdetonowały bomby, albo jak daleko odeszliśmy od miejsca zanurzenia. Mam takie odczucie, jakby polowanie po naszej pierwszej daremnej próbie ucieczki odbywało się zawsze w kręgu – raz w prawo, raz w lewo, w górę i w dół, jak na kolejce w lunaparku. Tak to jest: nie zdobyliśmy jakiegokolwiek przestrzeni. Każdą z naszych prób, by przedrzeć się w bok, nieprzyjaciel rozpoznał.

Hydroakustyk zamyka usta i otwiera je znowu. Wygląda jak karp za grubą szybą basenu u handlarza ryb, gdy tak otwiera usta, zamyka je i z powrotem otwiera. Teraz hydroakustyk melduje nowe podejście.

– Pingowanie! – woła zachryple zaraz potem ze swego kąta. To Herrmann mógł sobie darować. Każdy w centrali słyszał, to ping-ping. I ci w dziobówce przy torpedach, ci całkiem na rufie przy silnikach elektrycznych, i ci w przedziale diesli.

Mackami swych fal namiarowych przeciwnik trzyma nas mocno. Anglicy obracają teraz stalowymi pokrętłami i przeszukują trójwymiarową przestrzeń wiązkami impulsów: cirp-cirp, ping-ping...

Przypominam sobie, że asdicu można użyć tylko przy prędkości do około trzynastu węzłów. Podczas ostrego podejścia niszczyciel nie ma już zamiaru. Przy większych prędkościach w asdicu powstają znaczne zakłócenia wskutek szumów własnych okrętu i wirów wytwarzanych przez śruby. To korzystne dla nas, bowiem w ostatniej chwili mamy sposobność do niewielkiego przemieszczenia się. Ale commander na górze może sobie również wyobrazić, że nie lenimy się słysząc, jak się zbliża. Tylko w którą stronę uciekamy, jego namiarowcy nie mogą mu zdradzić. Musi dać pole do popisu swej wyobraźni.

Szczęściem dla nas jest również, że nieprzyjaciel nie potrafi swoim patentowanym przyrządem dokładnie ustalić, jak głęboko jesteśmy. Tu nam pomaga natura: woda wodzie nierówna, tworzy ona aż do naszej głębokości warstwy niby pokłady w kopalni. Zawartość soli i właściwości fizyczne poszczególnych warstw wody nie są jednakowe. Impulsy asdicu załamują się na nich. Nawet kiedy gwałtownie przejdziemy z ciepłej do zimnej warstwy wody, namiar asdicowy jest niedokładny. Warstwa z dużą zawartością planktonu wpływa na niego również. A ci na górze, przy swoich przyrządach, nie potrafią dokładnie ustalić naszego położenia, ponieważ nie wiedzą, na jakiej głębokości znajdują się te zakłócające warstwy.

Herrmann obraca gwałtownie pokrętłem.

– Meldunek! – syczy Stary w kierunku podsłuchu.

– Szumy pod kątem trzystu pięćdziesięciu stopni.

Nie mija nawet pięć minut i wszyscy słyszą śruby gołym uchem, Piczi-piczi-piczi-piczi-piczi-piczi – to nie jest cała naprzód. Niszczyciel utrzymuje dokładnie prędkość, przy której jeszcze może namierzać. Słyszemy wyraźnie impulsy asdicu.

Nowe podejście. Cztery, pięć detonacji. Blisko. W moich zamkniętych oczach pojawiają się strzelające w górę płomienie, potężne ogniska, migotanie chryzoprazu, kaskady iskier i ciemnoczerwone rozżarzone żelazo, blade płomienie nafty, wirujące chińskie koła ogniste, oślepiająco białe protuberancje, strzelające przez czerń wiązki ametystowych promieni, potworne strugi ognia, tryskające z barwnych jak tęcza brązowych fontann wszystkich kolorów.

– Jak na manewrach – szepcze Stary.

Nie określiłbym tego w ten sposób.

Olbrzymia pięść uderza i potrząsa okrętem. W kolanach czuję, jak wysoko zostaliśmy wyrzuceni. Wskazówka manometru głębokości cofa się szybko. Światło gaśnie. Brzęczy szkło. Mija wiele trwoźnych uderzeń serca, nim zapala się oświetlenie zastępcze.

Widzę, jak Stary przygryza dolną wargę. Teraz musi się zdecydować: albo znowu w dół, na głębokość wybuchów ostatnich bomb, albo w górę na sto metrów.

Stary zaczyna najpierw wąski skręt i każe jednocześnie zejść głębiej. Znowu jedziemy na lunaparkowej kolejce w dół. Jeden... dwa... trzy... gdzie? W górze? W dole? Z prawej? Z lewej? Ostatni wybuch brzmiał tak, jakby rzut był wykonany przed nami, z lewej burty. Ale nad czy pod okrętem?

Teraz dalszy ciąg. Hydroakustyk znowu melduje.

Cios trafia mnie dokładnie w trzeci krąg plecowy. I trzask, i trzask – zaraz potem dwa uderzenia kantem dłoni w potylicę i kark.

Koło stanowiska steru coś się kopci. Czy do tego wszystkiego ma tu jeszcze wybuchnąć pożar? Tlą się przewody? Czy to od zwarcia?

Uspokoić nerwy! Naszej łajbie nic się nie stanie: przecież ja jestem na pokładzie. Jestem nieśmiertelny. Wraz ze mną również okręt jest zaczarowany!

Nie ma wątpliwości: tablica rozdzielcza płonie! Tarcza na minimaksie: zachować spokój! Zwalczać ogień od dołu! W moim mózgu dźwięczy: zaczarowany... zaczarowany... zaczarowany...!

Mat z centrali rzuca się do gaszenia ognia. Prawie całkowicie znika w płomieniach i kopciu. Dwóch czy trzech ludzi podbiega mu na pomoc. Spostrzegam, że okręt ma trym na dziób, że przegłębienie przednie się zwiększa. Słyszę: – Zawór... przewód odwadniający zerwany! – To przecież nie może być wszystko! Dlaczego czif nie każe trzymować na rufę? Po

co mamy naszą sztangę balansową – zbiorniki trzymujące?

Jakkolwiek niszczyciel musi się znajdować całkiem blisko, Stary każe ruszać całą naprzód. Zrozumiałem! Mamy już za dużo wody na okręcie. Nie da się utrzymać go statycznie. Potrzebujemy siły śrub, ich nacisku na ster głębokości, aby obciążyć rufową część okrętu. Gdyby było inaczej, Stary nie urządzałby takiej jazgotliwej jazdy. Przy tej prędkości mamy krowi dzwonek na szyi. Cholerny pasztet: albo tonąć, albo zwiększać obroty.

Tomki muszą słyszeć teraz gołym uchem nasze silniki elektryczne, nasze śruby, naszą pompę. Mogą sobie odstawić asdic i oszczędzać prądu.

Stary, oprócz skomplikowanych obliczeń kursu, musi stale troszczyć się jeszcze o utrzymanie okrętu. Nasz stan jest labilny. Nie ma już normalnych stosunków. Tak, gdyby chodziło o to, by się wynurzyć, wszystko byłoby szybko załatwione: przygotowanie aparatów ratunkowych – i szasować, ile się da. Nawet myśleć o tym nie można!

Wszystko mokre. Wilgoć w powietrzu osadza się wszędzie.

– Uszczelki wałów dają wodę! – woła ktoś z tyłu. Zaraz potem głos z przodu: – Zawór daje wodę! – Już nie słuchani dokładnie. Łamię sobie głowę, który zawór mógłby to być.

Cztery wybuchy, krótko jeden po drugim. Potem ten szaleńczy bulgot i szum, z jakimi ze wszystkich stron czarny potop wlewa się z powrotem w gigantyczne, wyrwane przez bomby leje.

– Trzydzieści trzy... cztery... pięć... trzydzieści sześć – liczy głośno starszy sternik. Padły blisko!

Jesteśmy teraz na stu dwudziestu metrach głębokości.

Stary każe zejść o czterdzieści metrów głębiej i zwraca okręt w lewo.

Następna detonacja zatraskuje mi zęby. Słyszę łkanie. Nowy z centrali? Chyba nie zacznie wyć?

– No i dobrze! – szyczy głośno Stary w łoskocie następnych detonacji.

Napiąłem mięśnie brzucha, jakbym musiał chronić wnętrzności przed naciskiem wielu cetnarów. Dopiero po minutach odważam się puścić rurę. Lewa ręka unosi się mechanicznie. Wierzch dłoni przesuwają się po moim czole: zimny pot. Teraz czuję również, że także całe plecy mam mokre i zimne. Pocę się ze strachu?

Twarz dowódcy widzę jak przez mgłę.

Dym ze sterówki! Przestało się już wprawdzie tlić, ale kopeć wisi jeszcze w pomieszczeniu. Mam kwaśno w ustach. Tępy ucisk w głowie. Wstrzymuję oddech, ale ucisk robi się jeszcze silniejszy.

Zaraz to się powtórzy. Niszczyciel musi wkrótce zakończyć swój krąg. Tę troszkę

czasu te psy muszą nam darować, czy chcą, czy nie chcą.

Znowu asdic! Te ziarnka żwiru! Dwa, trzy ostre rzuty! Chłodna ręka przesuwana mi się od kołnierzyka w dół pleców. Mara dreszcze.

Zaraz znowu zaczniesz się rozróżba: znowu... znowu... znowu!

Ucisk w głowie staje się nie do zniesienia. No co? Dlaczego nic się nie robi? Zamarli wszelkie szepty. Krople skondensowanej wody pluskają ciągle i utrzymują przy tym sekundowy rytm. Liczę je w pamięci. Przy „dwadzieścia dwa” trafia mnie cios. Łamie mnie i strąca mi głowę na piersi.

Czy ogłuchłem? Widzę, jak podskakują płyty podłogi, ale mijają sekundy, nim słyszę ich metaliczny brzęk, zmieszany z przeciągłym jękiem i świszczącym kwiczeniem. To sztywny kadłub! To nie może być nic innego jak sztywny kadłub. Okręt szarpie się i drga w szalejących wirach. Ludzie wpadają na siebie. Czy to się nigdy nie skończy?

Podwójne uderzenie. Okręt stęka. Brzęk i łoskot.

Anglicy robią to ekonomicznie. Żadnych rzutów dywanowych – za to za każdym razem dwie bomby, prawdopodobnie z różnicą głębokości. Nie odważam się jeszcze rozluźnić mięśni: młot znowu wali w okręt z gigantyczną siłą.

Słyszę w pobliżu bulgoczące sapanie i dyszenie. Teraz przechodzi ono w jęk. Brzmi to tak, jakby ktoś został trafiony. Przez chwilę w to wierzę, gdy nagle uświadamiam sobie, że to bzdura, tutaj nikogo nie może ranić.

Stary musi wymyślić coś nowego. Nie ma widoków, by się wymknąć niepostrzeżenie. Wiązki namiaru nas nie wypuszczą. Przy przyrządach siedzą pierwszorzędni fachowcy, ludzie, którzy nie dadzą się łatwo oszukać. Ile czasu zostało? Ile czasu potrzebują Tomki na swój krąg?

Nasze szczęście, że tamci nie potrafią po prostu wyrzucić swych bomb za burtę, kiedy chcą, tylko, by to zrobić, muszą płynąć z maksymalną prędkością! Tak, gdyby ci dranie mogli skrycie podejść z asdikiem, a potem, kiedy już będą dokładnie nad okrętem, rzucić bomby, ta zabawa w kota i myszkę już dawno by się skończyła. Ale oni muszą wykonać podejście z pełną prędkością, aby sami nie wylecieli w powietrze, gdy wybuchają ich bomby.

Co teraz robi Stary? Ściągnął brwi. Po zmarszczkach na czole widzę, jak gwałtownie pracuje jego mózg. Czy jeszcze czeka? Czy mu się uda znowu w ostatniej chwili uciec okrętem z kierunku najścia niszczyciela? We właściwą stronę? Z właściwą prędkością? Na właściwą głębokość?

Już czas, żeby Stary otworzył usta do wydania rozkazu. Czy też może zrezygnował? Rzucił ręcznik?

Nagle rozrywa się gigantyczne płótno. I natychmiast słyhać ostry głos dowódcy: – Pompować! Ster lewo na burt! Oba silniki mają szaleć!

Okręt wykonuje gwałtowny skok. Pomp w ogóle nie słyhać w tym huku. Głębina staje się jednym tumultem. Ludzie przewracają się, chwytają przewodów. Stary siedzi dobrze wciśnięty. Starszy sternik trzyma się pulpitu.

Jakby mnie coś olśniło, rozumiem, co Stary właśnie ryzykował. Zmienił demonstracyjnie kierunek, jakkolwiek byliśmy namierzeni. Nowa sztuczka. To wariant, którego jeszcze Anglikom nie pokazywał. Całkiem jasne: commander niszczyciela również jest niedzisiejszy. Nie pędzi ślepo na namierzony punkt. Oni znają nasze sztuczki. Mówią sobie: nieprzyjaciel na okręcie podwodnym wie, że się zbliżamy, wie również, że przy całej prędkości nie możemy już namierzać, a więc próbuje zejść z kierunku naszego ataku i opuścić także namierzoną głębokość. Czy zrobi unik w lewo, czy w prawo, w górę czy w dół, tego, niestety, można się tylko domyślać. To znaczy, zdać się na los szczęścia.

A teraz Stary, dla odmiany, zrezygnował ze wszystkich sztuczek i po prostu utrzymywał aż do nowego rzutu kurs i głębokość. Sztuczka, podwójna sztuczka. Kiedy tamten myśli, że ma szczęście, bum, i trafia w próżnię.

– Czas? – pyta dowódca.

– Pierwsza trzydzieści – odpowiada starszy sternik.

– Tak? – Stary włożył w tę jedną sylabę całe swoje zdumienie. Wydaje się, że również dla niego trwa to wszystko nieco za długo.

– Całkiem niezwykle – mruczy teraz. – Ale oni chcą to zawsze dokładnie wiedzieć!

Przez chwilę nic się nie rusza. Schodzimy głębiej. Potem jeszcze głębiej.

– Czas?

– Pierwsza czterdzieści pięć!

Jeśli się nie mylę, wyłączono nawet kompas. W okręcie ani dźwięku. Tylko pluskanie skroplonej wody w sekundowym rytmie.

Czyżby się udało? Jak daleko zajdziemy z tak małą prędkością w ciągu kwadransa? W ciszy rozlegają się teraz ponure dźwięki, które Stary nazywa „trzeszczeniem belkowania”: ciśnienie głębiny bada brutalnie odporność naszego cylindra na zgniecenie. Między wręgami stalowa skóra wygina się do środka. Drewniana wykładzina jęczy i skrzypi.

Jesteśmy znowu na dwustu metrach, przeszło dwa razy głębiej, niż wynosi gwarancja stoczni. Z prędkością czterech węzłów skradamy się przez czarną głębiny, z potwornym ciśnieniem słupa wody dwustumetrowej wysokości na naszej stalowej skórze.

Sterowanie na głębi jest majstersztykiem balansowania. Jeśli okręt się zapadnie, może

się zdarzyć, że udreńczony metal nie wytrzyma ciśnienia zewnętrznego. Mogą o tym decydować centymetry. Czy Stary opiera się na tym, że Anglicy nie znają naszej maksymalnej głębokości zanurzenia, my sami nigdy nie wypowiadamy tej magicznej liczby, mówimy tylko „trzy r plus sześćdziesiąt”. Brzmi to jak formułka zaklęcia. Czyżby Tomek rzeczywiście nie wiedział, ile wynosi „r”? Każdy motorzysta to wie, prawdopodobnie pięćdziesiąt tysięcy ludzi wie, za jaką liczbę podstawiono literę „r”.

Od hydroakustyka nie ma żadnych meldunków. Nie mogę uwierzyć, że uciekliśmy. Tamte cwaniaki leżą prawdopodobnie z zatrzymanymi maszynami i czekają. Że byli prawie dokładnie nad nami, to przecież wiedzą. Tylko naszej głębokości zabrakło im do rachunku. A jeśli chodzi o głębokość, Stary stworzył ekstremalne warunki. Główny mechanik niespokojnie porusza głową w lewo i prawo. Wydaje się, że nic mu tak nie działa na nerwy, jak te trzaski w belkowaniu.

Dwie detonacje. Znośne. Bulgot wody milknie jak przecięty. Nasza pompa pracowała o kilka sekund dłużej! Musieli usłyszeć to cholerne bydlę. Że też nie można zbudować pracujących ciszej pomp!

Im dłużej przebywamy w głębi, tym bardziej dręcząca staje się świadomość, jak cienka jest nasza stalowa powłoka. Ani w jednym miejscu nie jesteśmy opancerzeni. Ciśnieniu wody oraz wybuchom wraz z ich falami ciśnienia możemy przeciwstawić tylko dwa centymetry stalowej powłoki. Tylko pierścienie wręg – dwa na każdy metr – nadają cienkim ścianom naszej riury nieco siły oporu i z tego tutaj żyjemy.

– Cholernie długie przedstawienie – szepcze Stary. Musimy więc mieć do czynienia ze szczególnie zaciętymi facetami, jeśli już Stary to przyznaje.

Robię próbę wyobrażenia sobie, jak to tam wygląda na górze. Mogę odwołać się do moich wspomnień, bowiem nie minęło tak wiele czasu, kiedy znajdowałem się po stronie myśliwych. Zupełnie to samo, tu czy tam. Tylko że Tomki mają swój wysoce udoskonalony asdic do tropienia, a my tylko szumonamierniki. Różnica między elektroniką a akustyką.

Usłyszeć – podejść – rzucić – skrócić – słuchać – podejść – znowu rzucić bomby – raz nastawić głębiej – raz płycej – a potem popisowy numer: rzut dywanowy, kiedy przynajmniej dziesięć wyrzutni strzela jednocześnie – jest to ogień huraganowy z tuzina miotaczy, to wszystko było tak samo jak u Tomków. Tuzin bomb to więcej niż dwie. Każda z naszych bomb głębinowych zawierała cztery cetnary amatolu. Dwanaście bomb to więcej niż dwie tony wysoce wydajnego materiału wybuchowego. Gdy mieliśmy dobry zamiar w szumonamierniku, działały wszystkie miotacze: w prawo, lewo i do tyłu. Słyszę jeszcze głos dowódcy: „Tego rodzaju polowanie nie daje zadowolenia!”

Dziwne, że nic się nie dzieje. Co przeszło, to i minęło? Mogę rozluźnić zeszywniałe mięśnie. Ale uwaga – nie mogę się wzdygać, kiedy wszystko znowu się zacznie. Bitwa na bomby głębinowe: werbel zniszczenia z przerwami. Czekać, aż spadnie śnieg. Draży mnie strach przed następnym atakiem. Muszę czymś zająć myśli: kontakt w szumonamierniku dostaliśmy tuż u południowo-zachodniego przylądka Anglii. Niszczyciel „Karl Galster” – sama broń i maszyny. Wystraszony głos z prawego pomostu: „Ślad torpedy trzydzieści z prawej burty!” Doskonale pamiętam ten głos: zachrypli, a jednocześnie przenikliwie donośny. Tego nie zapomnę, nawet gdybym miał żyć sto lat.

Spieniony szlak było wyraźnie widać. Trwało wieczność, nim płowy ogon naszego śladu torowego wreszcie się zakrzywił!

Muszę przełknąć. Ucisk strachu na szyi. Podwójny strach: przed tym, co teraz, i przed tym, co wtedy. Moje myśli krążą niespokojnie. Uważać, żeby się nic nie wydało. „Ślad torpedy trzydzieści z prawej burty” – to był „Karl Galster”. I to potworne, pozbawiające myśli napięcie! A potem głos wybawienia: „Torpeda przeszła za rufą!”

Przetrwać, wytrzymać wszystkie rundy! Ile to już trwa? Nadal nie ważę się poruszyć. Teraz jestem u ściganych. W głębokiej piwnicy. Na okręcie, który już nie ma torped w wyrzutniach. Bezbronny, nawet gdybyśmy mogli się wynurzyć.

Jak dowódca to wtedy osiągnął! To była sprawa centymetrów. Ostry skręt i trzy razy największa prędkość, aż okręt obrócił się dziobem w kierunku torpedy. Jak ten okręt wibrował! Zupełnie jakby chciał się rozlecieć. A potem ostry dzwonek: ostrzeżenie dla ludzi z maszynowni, że zaraz rąbnie! Później oficer torpedowy przez telefon: „Rzucić dwie bomby”, czatowanie z zapartym tchem, aż podwójny wybuch zatrzęsł okrętem we wszystkich spojeniach. Do zobaczenia nic nie było poza dwiema fontannami wody z lewej i z prawej, po obu stronach połyskującego mętnie śladu torowego. Wyglądało to tak, jak gdyby do wody spadły dwie duże skały.

A dalej rozkaz: „Ster lewo na burt!” Dowódca każe zmniejszyć prędkość, żeby w brzuchu naszego okrętu hydroakustycy mogli lepiej namierzać: ta sama taktyka, co u Anglików. Zupełnie taka sama! Znowu większa prędkość, żeby okrętem wyraźnie szarpnęło, i naprzód w kierunku echa, które mieliśmy w szumonamierniku.

Z kolei dowódca kazał rzucić dywan w miejscu, na które hydrolokacja najsilniej reagowała. Płytko nastawione bomby. Wybuchy krótkie i ostre. Huknęło, jakbyśmy wpadli na minę. Widzę jeszcze potężne, błyszczące białe gejzery, majestatycznie stały tam przez sekundy, by potem runąć, rozsypując się w pył. I bryzgi piany, które wiatr, niby mokre firanki, zwiewał aż na nas.

Ciągle jeszcze nic. Odważam się na parę długich, głębokich oddechów.

Stary patrzy na manometr, jakby musiał kontrolować ruch wskazówek. Wskazówki jednak się nie ruszają. Nie ma szmerów asdicu. Hydroakustyk wygląda jak pogrążony w nabożnych medytacjach. Pytam samego siebie, dlaczego ci na górze się nie ruszają. Dlaczego nic się nie dzieje? Z prędkością czterech węzłów nie możemy przecież uciec z sieci ich namiarów.

– Na kurs dwieście dwadzieścia – rozkazuje Stary.

Znowu cisza.

– Leży dwieście dwadzieścia stopni – po dłuższej chwili melduje szeptem sternik.

– Szumy śrub, namiar dwadzieścia stopni. Słabną – brzmi następny szeptany meldunek. Wyczarowuje szyderczy uśmiech na twarzy Starego.

Przenoszę się znowu na pomost „Karla Galstera”: blade światło księżycowe na chłodnych, zamkniętych twarzach. Jakkolwiek wytężamy oczy – ani śladu przeciwnika. Tylko rozkazy, plusk bomb, huk detonacji. Krzyżowe namiary i nowe rzuty. Potem białe grzywacze, które niszczą płową plecionkę naszego śladu torowego.

Wreszcie na czarnej wodzie plama ropy. Widzę kontrastowo cienki, biały palec reflektora, który wskazuje tę plamę. Okręt natychmiast skręca na nią. I teraz bez litości: „Lewą bombę rzuć! Prawą bombę rzuć!”

Wszystkie lufy skierowane na plamę ropy. Najniższe położenie.

W świetle reflektora widzę wiele ryb, które unoszą się na powierzchni z pękniętymi pęcherzami pławnymi. Mnóstwo ryb, ale żadnych części wraku, tylko odrobina oleju. Kontakt nagle zniknął.

Nie było czasu na szukanie. W każdej chwili mogły się pojawić krążowniki i zamknąć nam drogę powrotną do Brestu. Dowódca, chciał czy nie chciał, musiał zwrócić dziób okrętu w kierunku Brestu. I właśnie w tej chwili powiedział: „Ten rodzaj walki nie daje zadowolenia.”

Naraz głos hydroakustyka przenika do mojej świadomości. Jeśli dobrze zrozumiałem, niszczyciel skręca na nas, A więc nowy atak. Pozwolili nam się trochę potrzepotać w pazurach. Kot i mysz. Cała nadzieja na ucieczkę była daremna. Im nie uciekliśmy.

Hydroakustyk wykrzywia twarz. Coś we mnie liczy sekundy, a potem następuje już uderzenie po uderzeniu. Miota nami i trzęsie. Całe morze jest jednym jedynym wybuchającym ładunkiem prochu.

Rzęzący szum, który nie chce się skończyć. A teraz łoskot śrub! Ale dlaczego nie ma przerwy? Skąd tak szybko ten łoskot? Jest to spokojne szufłowanie wolno obracającej się

śruby, nie zaś szybkie i dźwięczne mielenie z domieszką złośliwego gwizdu, które wskazuje na największą prędkość.

W mózgu formuje mi się rozeznanie tego, co się właśnie stało: nie może to być niszczyciel, który właśnie rzucił bomby – nie tak prędko. Jemu potrzeba czasu, by zrobić krąg. Przecież nie potrafi wrócić przez stewę rufową... A więc?

Następne bomby nie dają na siebie długo czekać. Pojawiają się jako trojaczki: jeden, dwa, trzy – krótko po sobie.

Światło zgasło. Podajemy zapasowe bezpieczniki. Czy kieruje promień kieszonkowej latarki na głębokościomierz. Teraz nawet na sekundy nie może z niego spuścić oka. Jesteśmy tak głęboko, że każde opadnięcie w dół jest niebezpieczne.

– Pytam o zamiar podsłuchu...

– Dziewięćdziesiąt z lewej – odpowiada dowódcy radiotelegrafista.

– Ster prawo na burt, na kurs trzysta dziesięć stopni.

Dowódca próbuje, podobnie jak robiliśmy to na powierzchni, operować wąską sylwetką. Pokaże przeciwnikowi rufę, żeby fale namiaru miały możliwie małą powierzchnię odbicia.

– Szumy śrub na dwustu stopniach... coraz głośniejsze!

Znowu trafia nas promień namiaru. Zdrętwienie nie ustępuje: zaraz głowa pęknie mi jak szkło. Moja czaszka znajduje się pod największym naciskiem, zupełnie jak nasza stalowa powłoka. Teraz każde dotknięcie może być ostatnie. Bicie serca brzmi mi w uszach jak wzmocnione przez głośnik. Muszę potrząsać głową. Ale kołatanie serca nie robi się od tego słabsze.

– Chłopcze, chłopcze... – szepczę sam do siebie. Strach napięty aż do hysterii zdaje się pozbawiać mnie rozsądku. Jednocześnie wyostrza moją zdolność spostrzegania w sposób krańcowy. Widzę i czuję nazbyt wyraźnie wszystko, co się dokoła dzieje.

– Jak daleko?... A ten drugi szum? – Głos Starego nie ma już równomiernej tonacji.

A więc! To nie złudzenie! Niech to diabli: Stary stracił swój spokój. Czy drugi szum wybił go z konceptu? Przy tym wszystko zależy od jego zdolności jasnego myślenia. Zamiast precyzyjnych instrumentów musi pracować swoim systemem postrzegawczym, który ma swą siedzibę może pod przeponą brzuszną, może w żołądku.

Stary pociera sobie ręką czoło. Czapkę zsunął do tyłu. Spod daszka wystają jak z dziurawego materaca kapuścianego koloru włosy. Czoło wygląda jak tara, po której spływa ostry ług potu. Odslania zęby i trzykrotnie ostro je zaciska. W ciszy brzmi to jak słabe uderzenia kastanietów.

Drętwieje mi lewa noga. Mrowienie. Podnoszę ją ostrożnie. Właśnie gdy stoję tylko na prawej nodze, okrętem wstrząsa seria straszliwych eksplozji. Nie mając oparcia, padam na podłogę.

Z trudem udaje mi się podźwignąć na ręce i nogi. Naprężam ramiona i unoszę barki, jednak głowę trzymam skuloną w oczekiwaniu następnego uderzenia.

Jak z wielkiej dali słyszę krzyki.

Przeciek? Czy słyszę rzeczywiście „przeciek”? Czy z tego powodu zanurzamy się od rufy? Najpierw z przodu... Teraz z tyłu...

– Z tyłu plus dziesięć... oba silniki cała naprzód!

To był Stary. Wyraźnie. A więc jeszcze słyszę. Cała naprzód. W tej sytuacji! Przecież to o wiele za głośno! Mój Boże: okręt ciągle jeszcze drży i skrzypi. Pracuje jak przy potwornie wysokiej fali.

Pragnąłbym opaść na podłogę, osłonić głowę rękami.

Nie ma światła. Szaleńczy strach, by nie utonąć w ciemności, nie widzieć białozielonej wody, wdzierającej się do okrętu.

Stożek światła latarki drży po ścianach, znajduje swój cel: głębokościomierz. Od rufy dolatuje ostry śpiewny ton, jakby piła tarczowa wgrzyzała się w drzewo. Dwóch czy trzech ludzi wrywa się z odrętwienia. Syczą rozkazy. Światło latarki trafia w twarz Starego. Jest jak wycięta z szarej tektury. Przeziębienie rufowe stale się zwiększa. Wyczuwam je całym ciałem. Jak długo każe Stary iść jeszcze całą naprzód? Szum po bombach już od dawna przebrzmiał. Teraz każdy może nas słyszeć. Każdy w brzuchu tego okrętu na górze. Czy może nie?... Mógłby nas słyszeć, gdyby okręt stał nieruchomo.

– Gdzie są meldunki? – sapie Stary.

Łokciem wyczuwam, że człowiek, który stoi ukośnie z lewej przede mną, drży. Nie widzę, kto to jest.

Znowu dawna pokusa, żeby się położyć. Nie mogę jej ulec.

Ktoś potyka się, Stary syczy: – Cisza!

Dopiero teraz spostrzegam, że silniki elektryczne nie idą już całą naprzód. Zapala się oświetlenie zastępcze. To nie są plecy głównego mechanika... Drugi przejął ster głębokości. Czifa nie widać. Prawdopodobnie jest na rufie. Tam, zdaje się, jest piekło. Złośliwe wycie pił tarczowych jeszcze nie umilkło.

Jednak płyniemy. Wprawdzie nie na równej stepce, ale nie opadamy głębiej. Kadłub sztywny jakoś wytrzymał. A silniki pracują.

Dziwny dźwięk szorowania każe mi podnieść głowę do góry. Brzmi to tak, jakby na

zewnątrz ocierała się o nas lina. Liny poszukiwawcze? Ale to niemożliwe! Na tej głębokości nie mogą użyć lin. A więc może jest to coś nowego, jakiś szczególny rodzaj impulsów?

Szorowanie urywa się. Za to pojawia się znowu to ćwierkające ping-ping. Mają nas! Bez wątpienia uważają, żebyśmy się nie wymknęli!

Która godzina?

Nie mogę dokładnie rozróżnić wskazówek: chyba druga.

– Namiar sto czterdzieści stopni. Coraz głośniejszy! – melduje hydroakustyk.

Znowu obrzydliwy skrzek trafiającej fali namiaru. Teraz brzmi to tak, jakby potrzęsano kamykami w blaszanej puszcze, nawet niezbyt głośno. Ale ta odrobina hałasu wystarcza, by wywołać w moim mózgu wizję grozy: kaskady krwi, które ściekają po balastach, Zabarwione na czerwono morze. Ludzie, którzy trzymają w podniesionych rękach, białą szmatę. Wiem, jak to wygląda, gdy okręt się wynurza. Tomki chcą widzieć czerwień, tyle czerwonego soku, ile tylko możliwe. Rąbią ze wszystkich luf. Dziurawią kiosk, w którym my, biedne psy, wspinamy się na górę, roztrzaskują nam pomost, wszystko, co się rusza, zamieniają w rąbankę. Rąbią w balasty, by szaremu wielorybowi uszło całe powietrze do pływania. A potem taranem! Oстрыm dziobem w okręt podwodny, żeby zawył i zazgrzytał! Nikt nie może im brać tego za złe: to jest w końcu wróg, za którym wypatrują sobie oczy – dniami, tygodniami i miesiącami. Złośliwy dręczyciel, który nie daje im spokoju nawet przez sekundę, nawet wtedy, gdy jest odległy o setki mil morskich. Ani chwili nie mogą być pewni, że z fałdy morza nie obserwuje ich oko Polifema. I wreszcie jest, ta tarantula, która wysysała z nich krew. Zanim nie zabiją piętnastu czy dwudziestu ludzi, nie opuści ich podniecenie bojowe.

Kadłub trzeszczy, jęczy i skrzypi znowu. Choć tego nie zauważyłem, Stary kazał jeszcze raz zejść głębiej. Spojrzenie głównego mechanika utkwione jest w szybie manometru, potem zwraca się nagle ku Staremu, ale Stary udaje, że nic nie zauważył.

– Jaki namiar?

– Dwieście osiemdziesiąt stopni... dwieście pięćdziesiąt pięć stopni, dwieście czterdzieści stopni... Zbliża się.

– Ster lewo na burt! – szepcze dowódca po krótkim namyśle i od razu powiadamia o tym hydroakustyka: – Do podłuchu: skracamy w lewo! – I komentarz dla nas: – Po staremu!

A tamten drugi szum?

Prawdopodobnie się zamienili, myślę sobie, prawdopodobnie tam na górze nie jest to już ten sam okręt, który nas zaatakował ze swego działła. Eskortowce mają przecież różne zadania. Niszczyciel, który nas ostrzelał, był w ubezpieczeniu bocznym. Prawdopodobnie

zadanie zabicia nas przekazał innemu wymiataczowi.

Nie mamy pojęcia, kto nas atakuje.

System rybaków dynamitowych: rozerwać rybom pęcherze pławne, by z głębiny zostały wyrzucone w górę. Pęcherze pławne to nasze balasty. Ryby mają je w brzuchu. Nasze wielkie pęcherze pławne są na zewnątrz. Nie są nawet odporne na ciśnienie. W ułamku sekundy widzę ociekającą wodą szarą, olbrzymią rybę, która została wyrzucona w górę z rozszarpanymi pęcherzami i teraz pływa do góry brzuchem, miotana ciężko przez fale z boku na bok.

To cholerne kapanie! Tylko skroplona para wodna. Picz... picz... picz... – każda z tych przeklętych kropli brzmi głośno jak uderzenie serca.

Wreszcie Stary odwraca głowę. Przy tym ani o centymetr nie porusza tułowia. Po prostu przekręca głowę na tarczy obrotowej swego futrzanego kołnierza aż do oporu i uśmiecha się do nas. Jego uśmiech wygląda tak, jakby mu niewidocznym hakiem operacyjnym rozciągnięto kąciki ust skośnie do góry – i do tego nieco krzywo, żebyśmy mogli zobaczyć w lewym kąciku pięć milimetrów bieli zębów.

Co będzie dalej? Ci na gorze nie mogą raptem zgasić ognia i zrobić sobie fajrantu. Fajrant. Jak późno już może być? Parę minut po czwartej? Już druga piętnaście? Od dwudziestej drugiej pięćdziesiąt trzy dobrali się nam do skóry. Co to był za drugi szum? Tajemnica!

Czy hydroakustyk nadal nie ma nowych namiarów? Herrmannowi jakby ktoś zasznurował usta. Wprawdzie wysuwa głowę z kąta i wyjątkowo nie opuścił powiek, ale wzrok ma pusty, jakby życie z niego uciekło i zapomniano mu zamknąć oczu po śmierci.

Pogardliwy uśmiech Starego stał się nieco bardziej ludzki. Już teraz nie wygląda tak fatalnie. Odprężenie w twarzy dowódcy jest jak ewangeliczne dotknięcie dłoni. Wstańcie a chodźcie! Tak, chodzić, przechadzać się wokół statku, po pokładzie spacerowym, wymalowanym na biało. To by była teraz właściwa rozrywka. Ale o naszych potrzebach nikt nie pomyślał. Przyznano nam nie większą powierzchnię wybiegu niż tygrysom w klatce transportowej.

Tygrysia klatka na kołach w Ravenna maritima staje mi nagle przed oczami: ten zapaskudzony okratowany wóz. Ziejące z pragnienia w jaskrawym południowym słońcu olbrzymie koty, stłoczone przy tylnej ścianie na jednym kwadratowym metrze cienia. Dokładnie przed wozem rybacy pokładli na ziemi martwe tuńczyki: błękitne jak stal, błyszczące pociski, prawie tak smukłe jak torpedy. Już były przy nich wielkie błękitne muchy. Również u tuńczyków zaczęły najpierw od oczu, tak samo jak u Swobody. I do tego

smutnego widoku łoskot murzyńskich bębnow w rytmicznym stakkato na opuszczonym przez ludzi placu. Tylko w odległym kącie jakiś brązowo-czarny facet w postrzępionym kombinezonie. To on urządzał tę murzyńską muzykę, wsuwając czworokątne lodowe sztabki o wymiarach piętnaście na piętnaście na sto centymetrów do metalowej skrzynki, w której w szaleńczych obrotach kręcił się walec z żelaznymi czopami. Podrzucał sztabkę do góry, wgryzał się w nią, podrzucał i znowu wgryzał. Podrzucał i gryzł, i mełł lód z łoskotem, warczeniem, bębnieniem. Ten dziki łoskot, martwe tuńczyki, pięć tygrysów z wywieszonymi jęzorami w swoim piekielnym piecu – to wszystko, co mi zostało z Rawenny.

Stary podaje – po cichu, po cichu – rozkaz na ster. Sternik naciska na odpowiedni guzik: głuchy szczęk. Znowu robimy hak, a raczej haczyk.

Gdyby tylko ktoś zdradził, co oznacza nowa przerwa. Chcą, byśmy uwierzyli, że jesteśmy bezpieczni?

Ale dlaczego nie słyhać namiaru? Najpierw dwa szmery, a teraz już nic!

Czyżbyśmy się wymknęli? A może asdic nie sięga już do tej głębokości? Czy strzeże nas teraz pasmowy układ wody?

W zaostrzonej ciszy dowódca szepcze: – Dajcie no ołówek i kawałek papieru.

Starszy sternik pojmuje z trudem, że to do niego ta mowa.

– Przygotować radiogram – mruczy Stary.

Oczywiście, starszy sternik na to nie wpadł. Niezgrabnie sięga po blok, który leży na stole nakresowym. Palcami wymacuje ołówek z takim trudem, jakby był ślepy.

– Niech pan pisze – rozkazuje dowódca: – „Trafiono pięć tysięcy BRT i pięć tysięcy pięćset BRT – słyszano odgłosy tonięcia – trafienie w osiem tysięcy BRT prawdopodobne...” No, dalej! Niech pan wreszcie pisze!

Starszy sternik pochyla się nad swoim pulpitem.

Drugi oficer odwraca się z szeroko otwartymi ze zdumienia ustami.

Starszy sternik już skończył i odwraca się znowu. Jego twarz nic nie zdradza. Jest pozbawiona wyrazu, jak zwykle. Nie musi się wysilać, żeby osiągnąć ten skutek. Natura wyposażyła go w mało ruchliwe mięśnie twarzy. Znajdują się zbyt głęboko w cieniu, brwi. – To jest przecież, wszystko, co chcą wiedzieć – mówi Stary półgłosem. Starszy sternik wyciąga kartkę w przestrzeń. Podchodzę do niego na palcach, i podaję kartkę hydroakustykowi. On powinien ją starannie przechowywać i mieć w pogotowiu na wypadek, gdybyśmy znowu mogli nadawać sygnały.

Stary mruczy właśnie do, siebie: – ...ostatnie trafienie... – gdy cztery detonacje wstrząsają głębiną...

Stary wzrusza ramionami, robi lekceważący ruch ręką i burczy: – No, tak! – A po chwili: – No przecież!

Zachowuje się tak, jakby musiał wbrew swej woli wysłuchiwać bełkotu pijaka. Gdy tylko przebrzmiał szum detonacji, Stary nie odzywa się już ani słowem, zapada znowu martwa cisza.

Hydroakustyk podaje swoje liczby to półgłosem, to szeptem, jak formułki zaklęcia. Ma więc znowu wyraźny namiar.

Nie ma pingowania! Coś we mnie sztydzi: braciszkanie nie włączają asdicu, by oszczędzić nasze nerwy.

Księżyc... the fucked moon! To wszystko swoim śpiewem zrobił the fucked moon...

Gdyby teraz ktoś wszedł tu niespodziewanie... ej, to by się zdziwił, dlaczego tak głupio stoimy i nawet nie piśniemy. Trzymać buzię na kłódkę – oto właściwe określenie! Wzbiera we mnie historyczny śmiech: szybko go polykam. „Gdyby ktoś wszedł”! Dobry dowcip.

– Czas?

– Druga trzydzieści – odpowiada dowódcy starszy sternik.

– Bardzo ładnie – kwituje dowódca.

Nie mam pojęcia, w czym rzecz. Jak długo tak możemy wytrzymać? Jaki mamy zapas tlenu? Czy główny mechanik dodaje już tego kosztownego gazu ze swoich butli?

Starszy sternik ma stoper. Przygląda się drżącej cieniutkiej wskazówce z taką uwagą, jakby nasze życie zależało od jego obserwacji. Czy również mierzy nasze manewry w zanurzeniu i nasze próby wymknięcia się? Musiałyby dawać całkiem wariacki obraz.

Stary jest niespokojny. Dlaczego miałby wierzyć ciszy? Stary nie może, jak ja, myśleć o byle czym. Dla niego istnieje tylko przeciwnik i jego taktyka.

– No? – pyta Stary jakby w oczekiwaniu, przeciągle i szyderczo, kierując teatralnie spojrzenie w górę. Dlaczego nie zapyta zaraz: „Czy to szybko nastąpi?”

Teraz uśmiecha się do mnie, przekrzywiając głowę. Próbuję odwzajemnić się tym samym, lecz czuję, jak ten uśmiech szybko sztywnieje. Mięśnie policzków bez mojej woli stają się twarde.

– Pięknie ich przyłapaliśmy, co? – pyta cicho i opiera się o studzienkę peryskopu. Wygląda, jakby smakował atak dopiero teraz, po fakcie. – Ciekawie pękały im grodzie. To było bajecznie słyszeć. Pierwszy musiał cholernie szybko iść na dno.

„Rzęzenie przedśmierne” – skąd ja to znam? Pewnie z jakiegoś reportażu wojennego. Tak bardzo rozdęte określenie może pochodzić tylko stamtąd: „rzęzenie przedśmierne”.

Umieranie – komiczne słowo, którego chyba wszyscy się boją. W nekrologach w

ogóle nikt nie umiera. Pan wzywa go do siebie. Człowiek odchodzi, osiąga wieczysty spokój, opuszcza ziemski padół – tylko nie umiera. Jasny, prosty czasownik, a nikt go nie chce, jakby miał trąd.

Spokój na okręcie. Tylko ciche ruchy steru głębokości. Od czasu do czasu zmiana kursu. Jeśli się nie mylę, wyłączono również silnik elektryczny żyrokompasu.

– Szum śrub zbliża się szybko – odzywa się hydroakustyk. Znowu asdic! Teraz brzmi to tak, jakby ktoś pisał po woskowej tabliczce rysikiem, zbyt mocno go naciskając.

– Szumy coraz głośniejsze – melduje hydroakustyk.

Moje spojrzenie pada na kiełbasy pod sufitem. Wszystkie są zapleśniałe. Smród i wilgoć nie robią im dobrze. Ale salami sporo wytrzyma. Na pewno nadaje się jeszcze do użytku. Wędzonka również. Martwe mięso... żywe mięso... Mój krwiobieg działa. Mój słuch rozróżnia. Mocne pukanie mego serca: mają nas!

– Czas?

– Druga czterdzieści!

Jakieś wycie! Co to było? Na okręcie? Na zewnątrz?

Wyraźny namiar! Białą kość do pyska! Cała naprzód!

Stary podciąga nogi i rozpiną kamizelkę. Wygląda tak, jakby rozsiadł się wygodnie, by nam opowiedzieć parę dowcipów.

Pytam samego siebie, co się dzieje z zatopionymi okrętami? Czy stłoczone jak groteskowa armada unoszą się stale na określonej głębokości wody, której ciężar odpowiada dokładnie ciężarowi brył zgniecionej stali, czy też są spychane coraz głębiej, aż przebywszy tysiące metrów, opadają na dno? Muszę się dowiedzieć kiedyś u dowódcy. Stary jest oblatany we wszystkich problemach ciśnienia i wyporności. Musi to wiedzieć. Prędkość opadania: czterdzieści kilometrów na godzinę – to ja sam wiem.

Stary uśmiecha się swym zwykłym, nieco krzywym uśmieszkiem. Jednak jego tęczołki czatują, w kącikach oczu. Teraz półgłosem daje komendę na ster: – Ster lewo na burt, na kurs dwieście siedemdziesiąt stopni!

– Niszczyciel zbliża się! – melduje hydroakustyk.

Oczy mam utkwione w Starego. Teraz tylko się nie rozglądać. Biała kość... Idą całą parą!

Ciągle jeszcze jesteśmy na maksymalnej głębokości.

Minuta wstrzymywania oddechu. A teraz hydro ściąga twarz, Wiem już dlaczego!

Sekundy jak z gumy: teraz bomby turlają się w dół. Wstrzymać oddech, napiąć wszystkie mięśnie. Seria druzgoczących uderzeń wyrывa mnie prawie z siedzenia.

– No proszę! – mówi Stary. Ktoś krzyczy: – Przeciek nad wodowskazem!

– Trochę ciszej! – parska dowódca.

To już mieliśmy poprzednio. Słaby punkt. Promień wody, prosty jak linia, strzela w poprzek centrali, dzieli twarz Starego na połowę. W dolnej są otwarte ze zdumienia usta, w górnej podniesione do góry brwi i głębokie fałdy na czole.

Ostry gwizd i trzask. Do tego niezrozumiałe porykiwania. Czuję się tak, jakby krew we mnie zastygła. Napotykam rozbiegane spojrzenie nowego z centrali.

– Zaraz zamknę! – słyszę mata z centrali. Jednym skokiem znalazł się przy miejscu przecieku.

Gwałtownie ogarnia mnie straszliwa wściekłość: te przeklęte dranie! To wszystko, co nam pozostało: czekać, żeby te łotry zatopiły nas we własnym okręcie jak szczury.

Mat z centrali ocieka wodą. Zamknął jakiś zawór. Teraz strumień wody wiotczeje i krzywym łukiem kapie na płyty podłogi.

Spostrzegam, że okręt ma znowu przegłębienie rufowe. Wykorzystując grzmot następnych bomb, główny mechanik każe trzymać na dziób. Bardzo powoli okręt wyprostowuje się.

Tryskający pod potężnym ciśnieniem strumień wody czuję całym ciałem: przedsmak katastrofy. Cienki jak palec, ale wystarczająco obrzydliwy. Gorszy niż najpotężniejsza fala sztormowa.

Kolejne uderzenia trafiają w okręt. Szum mas wody, wpadających w dziury detonacyjne, brzmi jak rzeźący oddech astmatyka.

Czy ten atak nie nastąpił zbyt szybko? Czy ostatni rzut mógł pochodzić od tego samego niszczyciela?

Jeśli mnie to wszystko nie myli, pod łukiem kiosku zgromadziło się paru ludzi. Jakby to teraz miało jakiś sens i cel. Czysty atawizm – ten pęd, by dostać się pod kiosk.

Tak źle, byśmy się musieli wynurzyć, to jeszcze nie jest. Stary, gdy tak siedzi swobodnie, nie wygląda najgorzej. Ale uśmiech z jego twarzy zniknął.

Hydro szepcze: – Szumy śruby również pod kątem stu dwudziestu stopni.

– Mamy pasztet! – wykrztusza Stary. Teraz już nikt nie wątpi.

– Jaki teraz zamiar... tego drugiego szumu?

Głos Starego zrobił się nagłący. Teraz maszynka do liczenia w jego głowie musi więcej pracować.

Z rufy dochodzi meldunek: – Zawory wlotu powietrza do diesli dają silnie wodę!

Stary wymienia spojrzenia z czifem. Potem czif znika w kierunku rufy. Stary

przejmuje ster głębokości.

– Z przodu plus dziesięć – słyszę, jak mruży rozkaz na ster.

Czuję gwałtowny nacisk na pęcherz. Musiał go wywołać widok strumienia wody. Nie wiem, gdzie mogę pozbyć się moczu.

Główny mechanik zjawia się znowu w centrali. Na rufie były dwa czy trzy przecieki na złączach. Czif potrząsa głową, jakby miał tik nerwowy. Przecieki, a on nie może pompować. Ci na górze nie pozwalają na to. Pomocnicza pompa zęzowa musi być tak czy inaczej zepsuta. – Szklany pojemnik przy pompie pomocniczej pęknięty – słyszę spośród tumultu. Dlaczego właśnie tutaj wbudowuje się tyle szkła? Głupota, wodowskazy również zgmiotło.

Stary znowu kazał włączyć oba silniki elektryczne na całą naprzód. Nasze manewry wymijające, wykonywane z dużą prędkością, pochłaniają prąd z baterii. Stary marnotrawi nasze zapasy. Gdy już nie będzie kwasu w akumulatorach, gdy wyjdzie sprężone powietrze albo tlen, musimy się wynurzyć. Wtedy będzie koniec z podwodną jazdą. Wtedy możemy stanąć na głowie... Główny mechanik coraz to dawał sprężone powietrze do balastów, by nam zapewnić wyporność, kiedy nie można było pompować.

Sprężone powietrze ma nagle niezwykle wysoką cenę, gdyż w naszej sytuacji nie jesteśmy w stanie wytworzyć nowego. Sprężarka nie może pracować.

A jak stoimy z tlenem? Jak długo jeszcze możemy oddychać smrodem, który panuje w okręcie?

Hydro podaje jeden meldunek po drugim. Znowu słyszę trzeszczenie asdicu.

Zdaje się, że ciągle jeszcze nie jest pewne, czy mamy dwóch prześladowców zamiast jednego.

Stary wsadza dłoń pod czapkę. Chyba brak mu teraz jasnego obrazu. Meldunki podsłuchu dają za mało wskazówek i ustaleń o zamiarach przeciwnika.

Czy oni mogą nas również wprowadzać w błąd szumami? Technicznie byłoby to możliwe. To przesąd, że musimy ciągle i całkowicie trzymać się danych podsłuchu.

Prawdopodobnie niszczyciel na górze zatacza wielkie koło. O drugim echu znowu nie ma mowy. Ale to mogłoby również znaczyć, że drugi okręt od dawna stoi w miejscu.

Ciągle jeszcze przerwa. Pierwszy oficer rozgląda się niepewnie. Zmarszczona twarz. Ostry nos. Biały u nasady.

Mat z centrali próbuje się wysikać do wielkiej puszeki. Z trudem grzebie w skórzanych spodniach, żeby wyciągnąć, co trzeba.

Nagle coś rąbie bez zapowiedzi. Głuchaczkowi wypada do połowy wypełniona puszką

z ręki i toczy się po płytach podłogi. Natychmiast koszmarnie śmierdzi pisuarem. Dziwię się, że Stary nie rzuci kilkoma piorunami.

Jeszcze tego brakowało! Oddycham całkiem płytko, by nie czuć stalowych obręczy wokół piersi i nie inhalować zbyt wiele smrodu. Powietrze na okręcie jest nędzne. Śmierzące diesle, rozgrzane po jeździe całą naprzód. Zaduch ciał pięćdziesięciu ludzi. Nasz pot. Pot strachu. Diabli wiedzą, z czego ta ohydna mieszanka smrodów jeszcze się składa. Teraz powietrze śmierdzi również gównem – bez wątpienia. Komuś widać nawalił zawór odbytnicy: Pot i szczyny, gówno i zęza – nie do wytrzymania.

Muszę pomyśleć również o tych biedakach na rufie. Ci nie mogą widzieć dowódcy i tak jak ja wzmocnić się jego widokiem. Siedzą rzeczywiście jak w klatkach. Nikt nie daje im znaku, kiedy zacznie się znowu ta piekielna łomotanina. Wolałbym zdechnąć, niż tkwić tam z tyłu między rozgrzаныmi silnikami.

Nie jest więc obojętne, gdzie kto ma swoje stanowisko bojowe. Również i tutaj są pokrzywdzeni i uprzywilejowani.

Hacker i jego ludzie, ci, którzy w jaskini dziobowej tkwią przy wyrzutniach – im także nikt nie mówi, co się dzieje. Nie słyszą niemal rozkazów na ster, a rozkazów na maszynę to już w ogóle nie. Nie słyszą, co melduje hydroakustyk. Nie mają pojęcia, w którą stronę się poruszamy i czy w ogóle okręt płynie. Tylko gdy detonacja raptem podrywa okręt albo gwałtownie wpycha go w głąb, reagują nerwy ich żołądków, a gdy schodzimy całkiem głęboko, słyszą trzeszczenie w belkowaniu.

Trzy wybuchy. Olbrzymi młot uderzył w okręt od dołu. W stożku światła latarki widzę głębokościomierz. Wskazówka cofa się szybko. Czuję to również w żołądku. Pędzimy w górę jak w pośpiesznej windzie.

Trzydzieści pięć metrów pod okrętem – tak mnie przecież uczono? – fala podmuchu bomb na głębokości około stu sześćdziesięciu metrów ma być najgorsza. Jak głęboko jesteśmy teraz? Sto osiemdziesiąt metrów.

Od dołu nie ma pancernych blach. Fundamenty silników! One najgorzej wytrzymują wybuchy.

Zaraz potem znowu sześć bomb. Tak skośnie pod kilem, że czuję ostre wibrowanie w stawach kolanowych. Stoję jak na desce, na której drugi koniec ktoś rzuca kamienie. Wskazówka znowu się cofnęła. Up and down – tak właśnie, jak chcą Anglicy.

Ten atak kosztował ich lekko tuzin bomb. Na górze pływa z pewnością mnóstwo ryb z popękanyimi pęcherzami pławnymi, Anglicy mogliby je wybierać czerpakami, mieliby coś świeżego do kambuza.

Próbuję zmusić się do powolnego i regularnego oddychania. Przez dobre pięć minut oddycham głęboko, potem wybucha pięć bomb. Wszystkie za rufą. Hydro melduje o osłabieniu echa.

Koncentruję się na rozważaniach, jak to wszystko, całą tę łajbę można byłoby przedstawić na scenie z papier maché. Wszystko całkiem dokładnie w skali 1:1. Można by zrobić to zupełnie łatwo. Po prostu wyjąć lewą ścianę, po tej stronie siedzą widzowie. Scena nie mogłaby być podwyższona. Wszystko dokładnie vis-à-vis: widok na stanowisko steru głębokości. Obmyślam postawy i cechy charakterystyczne aktorów: Stary, plecami do peryskopu – niezgrabny, ciężki, postrzępiony pulower, serdak, szare, poplamione solą skórzane spodnie, poplamione solą buty o grubych korkowych podeszwach, kręcone włosy pod daszkiem czapki, starej marynarskiej czapki ze zoksydowanymi haftami, już całkiem zielonoczarnymi. Kolor brody: kwaszona kapusta, nieco podgnięta kwaszona kapusta z odcieniem niebieskozielonej bieli.

Sternicy głębokości w gumowych kurtkach – nieruchomi w pofałdowanych gumowych ubraniach, jak wycięci z ciemnego bazaltu, a potem jeszcze wypolerowani: dwa kamienne bloki.

Główny mechanik w półprofilu: oliwkowa koszula, zawinięte rękawy, zaszargane ciemnooliwkowe spodnie. Gimnastyczne pantofle, gładkie, szesane do tyłu włosy w stylu Valentina. Chudy jak chart. Sztywny jak woskowa lalka. Tylko muskuły jego żuchw stale się poruszają. Ani słowa – tylko ta gra mięśni żuchw.

Pierwszy oficer odwraca się plecami do publiczności. Można jednak wyczuć, że nie chce, by go widziano, bo nie panuje nad sobą.

Z twarzy drugiego oficera niewiele widać. Za bardzo jest opatulony. Stoi bez ruchu, ale jego oczy krążą szybko tu i tam. Tylko oczy są ruchome. Wygląda to tak, jakby szukały ucieczki, chciały umknąć, usamodzielnic się i pozostawić zdrętwiałego, pozbawionego oczu oficera przy studziencie peryskopu.

Starszy sternik opuścił głowę i udaje, jakby chciał kontrolować swój stoper.

Mało dźwięków: ciche brzęczenie i troszkę kapania na metalowe płyty.

Wszystko łatwo byłoby odtworzyć. Przez wiele minut cisza, całkowity bezruch. Tylko ciągłe brzęczenie i skapywanie kropli. Kazać po prostu wszystkim stać nieruchomo, tak długo, aż widzowie zaczną się niepokoić...

Trzy detonacje, bez wątpienia za rufą.

W ogóle nie słucham, czy chodzą pompy.

Starszy sternik chyba ma nową technikę zapisu: cztery kreski przekreśla poprzecznie

piątą. To oszczędza miejsca i daje lepszy wgląd. Teraz już jest przy szóstej linii: różgi liktorskie. Jak nasz staranny rejestrator mógł policzyć ostatnie rzuty dywanowe?

Stary liczy bez przerwy: kurs własny, kurs nieprzyjaciela, kurs uchylecia. Za każdym meldunkiem z podsłuchu zmieniają się czynniki jego rachunku.

Co zrobi teraz? Każe zmienić głębokość? Nie, znowu próbuje skrętu w lewo.

Miejmy nadzieję, że wybrał właściwy kierunek, że dowódca niszczyciela również nie zdecyduje się na lewą stronę – albo na prawą, jeśli idzie naprzeciwko nas. Tak to jest: nie wiem nawet, czy niszczyciel podchodzi od rufy, czy dziobu.

Liczby, które podaje podsłuchowiec, mieszają mi się w głowie.

– Rzuca bomby! – Podsłuchowiec znowu usłyszał plusk na powierzchni wody.

Trzymam się rury, moje dłonie są zaciśnięte jak imadło.

– Pom-pa głów-na! – poleca Stary, wyraźnie akcentując, chociaż jeszcze nie huknęło.

Ten hałas, myśli coś we mnie. Ale Staremu to nic nie przeszkadza.

Werbel detonacji.

– Rzut dywanowy! – mówi Stary.

Kiedy nie wychodzą pojedyncze rzuty i serie, wtedy rzuca się właśnie dywan.

UNSHRINK ABLE!

Półprzytomnie pytam samego siebie, skąd mam to słowo „unshrinkable”. Wreszcie widzę je wyszyte maszynowo złotą nicią na etykietce moich kąpielówek pod słowami „pure wool”.

Rzut dywanowy! Rolka w moim mózgu zaczyna się odwijać: ręcznie tkany, wysoce artystyczny afgański wzór... latający dywan... Harun al Raszyd... orientalna bujda!

– Za wiele zaszczytu – szydzi Stary. Wykorzystując szum wody, każe zwiększyć prędkość. – Teraz muszą załadować! – komentuje szyderyczym tonem brak nowych detonacji.

– Kto za dużo wyrzuca, rychło nie ma nic!

Złota myśl. Sentencja jak z naszego kalendarza. Kwintesencja dziesiątków bombardowań: – Kto za dużo wyrzuca, rychło nie ma nic!

Dowódca każe wyjść jeszcze wyżej. Co to znaczy? Czyżby chciał nas wynurzyć? Czy teraz będzie komenda: „Przygotować aparaty ratownicze”?

„Killer Atlantyck” – to byłby tytuł do filmu. Pokazać rysę grubości włosa na jajku. Jajko z pęknięciem. Naszej skorupce jajka wystarczy tylko jedno pęknięcie. Jeśli chodzi o resztę, nieprzyjaciel może liczyć na pomoc morza.

Najróżnorodniejsze sposoby zabijania ślimaków ogrodowych. Czarne śluzowate olbrzymy, ślimaki bez skorupki, zbieraliśmy w wiadra, które później wysypywaliśmy do

muszli klozetowej i spuszczałyśmy wodę. Tonęły w szambie – to było dokładne. Rozgniatanie ślimaków jest równie obrzydliwe jak rozcinanie. Zupełnie jak pod ciśnieniem wypływa z nich potem zielona papka.

Jako dzieci bawiliśmy się w krematorium: zdejmowaliśmy fajerki i wysypywaliśmy wiaderko pełne dżdżownic do czerwonego żaru: błyskawicznie i z gwałtownym sykiem robaki zamieniały się w garstkę czarnych farfocli.

Króliki trzyma się lewą ręką za tylne skoki i zadaje im się cios karate w kark. Precyzyjnie i czysto: królik tylko trochę się trzepocze jak pod prądem. Karpie przyciska się lewą ręką do kija i zadaje się im cios w głowę ciężkim drewnianym tłuczkiem. Potem szybko trzeba rozplatać brzuch. Uwaga na żółć! Żółć nie powinna wyciec. Kolorowe pęcherze pławne błyszczą jak ozdoby choinkowe. Z karpiami to w ogóle komiczne. Nawet jak się je przetnie na połowy, życie jeszcze w nich pozostaje. Jako dzieci baliśmy się, kiedy te połówki jeszcze drgały godzinami.

Gołębi nigdy nie mogłem zabijać. Przy tym uśmiercanie ich jest łatwe. Po prostu urywa im się głowę. Trzeba ją wcisnąć między palec wskazujący a środkowy – lekki ruch obrotowy, trzask i po wszystkim! Koguty i kury ujmuję się lewą ręką za skrzydła, tuż, że tak powiem, pod łopatkami. A potem szybko przycisnąć bokiem do pieńka i gilotynować siekierą. Poczekać, aż się wykrwawią, a przy tym dobrze trzymać, gdyż inaczej lecą dalej bez głowy i mogą narobić bałaganu.

Mój mózg atakują teraz ciągle nowe tony: szum śrub, wysoki i śpiewny, słychać w całym okręcie. Widzę, jak nowy z centrali drży na całym ciele i osuwa się skośnie na kolektor wody. Ktoś – kto to jest? – siada na płytach podłogi. Zwija się w kłębek: jak ciemna kupa mięsa i strachu. Inni skulili się. Wszyscy jakby zrobili się mniejsi. Jakby kulenie się teraz coś pomogło.

Tylko Stary siedzi sobie jak zawsze.

Gdy właśnie szczególnie wyostrzyłem słuch, nagła detonacja trafia mnie aż do szpiku kości. Zapadłem się w siebie. Teraz otwieram powieki, usztywniam całe ciało, próbuję wszystkiego, by mieć kontrolę nad moimi mięśniami, ale za późno.

Nowe wybuchy! Lewą łopatką uderzam gdzieś tak mocno, że ledwie wstrzymuję krzyk.

Znowu dwie pękające eksplozje.

– Pompować! – rozkazuje głośno Stary w grzmocie detonacji. Nie pozbedziemy się tego niszczyciela! Niech to piorun, nie pozbedziemy się go.

Główny mechanik zezuje spod oka. Wygląda to tak, jakby nie mógł się doczekać

następnej serii bomb. Perwersyjne: czif chce pompować i do tego potrzebuje bomb, szumu i bulgotu.

Okręt bez ciągłego pompowania nie da się dłużej utrzymać: kiedy na zewnątrz szumi i bulgocze, trzeba włączać pompę, kiedy to bulgotanie się kończy – wyłączyć. Ciągłe od nowa: włączyć i wyłączyć, włączyć i wyłączyć.

Czekać – czekać i czekać.

Jeszcze nic? Ciągłe jeszcze nic? Otwieram oczy, jednak nie odrywam ich od płyt podłogi.

Szaleńczy podwójny wybuch. Ból w karku. Co to było? Krzyki... Podłoga drży... Płyty podskakują... Cały okręt wibruje... Stal wyje jak pies. Światło zgasło. Kto to krzyczał?

– Pytam: szasować? – słyszę głos głównego mechanika jak przez warstwę waty.

– Nie!

Stożek światła latarki głównego mechanika drży na twarzy dowódcy. Twarz bez ust, bez oczu.

Szarpanina, wrzaski, przeraźliwy kwik, a do tego jeszcze miażdżące ciosy.

Ledwie ten chaos minął, już jest ćwierkanie asdicu. Klatka głębinowa. Ćwierkanie, które brzmi jak złośliwy żart. Najbardziej szarpie nasze nerwy. Paskudniejszego dźwięku Anglicy nie mogli wymyślić, by nas dręczyć. Poraża nerwy jak syreny stukasów. Wstrzymać dech.

Godzina trzecia i ile minut? Nie widzę dokładnie dużej wskazówki.

Meldunki. Strzępy słów jednocześnie z rufy i od dziobu. Co silnie daje wodę? Uszczelka wału? Oczywiście, oba wały przechodzą przez kadłub.

Zapalają się lampy zastępcze. W półmroku widzę, że centrala jest pełna ludzi. Co to? Co się dzieje? Co to za ludzie? Musieli się dostać przez tylny właz. Siedziałem w przednim. Tamtędy nikt nie mógł przejść. Przekłete cmentarne światło. Nikogo nie potrafię dokładnie rozpoznać. Dwaj ludzie – mat i marynarz z centrali – w połowie zasłaniają mi widok. Stoją sztywno jak zawsze, ale za nimi jest ruch. Słyszę szuranie butów, sapanie, ciężkie oddechy, parę wypowiedzianych szeptem przekleństw.

Stary jeszcze nic nie zauważył. Patrzy na głębokościomierz. Tylko starszy sternik gwałtownie odwrócił głowę.

– Przeciek w przedziale diesli – woła ktoś od rufy.

– Propaganda! – mówi Stary i nawet się nie odwraca. Potem powtarza jeszcze raz, wyraźnie akcentując: – Pro-pa-gan-da!

Czif robi pół kroku w kierunku maszynowni, jednak natychmiast staje i spogląda na

manometry.

– Żądam meldunku – parska dowódca, odwraca głowę od manometrów i widzi w półmroku tłok przy tylnej grodzi.

Jakby intuicyjnie natychmiast opuszcza głowę i garbi się lekko. – Czifie, niech mi pan da swoją latarkę – syczy.

Wtedy robi się ruch między ludźmi, którzy przybyli z tyłu do centrali. Cofają się jak tygrysy przed pogromcą. Jednemu udaje się nawet podnieść z tyłu nogę i w ten sposób wydostać się przez właz w grodzi. Wygląda to jak pokaz tresury. Latarka w ręku dowódcy oświetla tylko plecy tego człowieka, który już cofa się ku rufie, trzymając aparat ratunkowy pod pachą.

Twarz mata z centrali jest całkiem blisko mojej. Jego usta stanowią jedną czarną jamę z zawiniętymi do wewnątrz brzegami. Rozszerzone oczy, widzę całe kółka jego źrenic. Wygląda, jakby krzyczał bezgłośnie.

Czyżby moja zdolność spostrzegania była zakłócona? Nie widzę mata, który się boi, tylko aktora, który gra strach mata.

Dowódca każe przejść obu silnikom na pół naprzód.

– Oba silniki idą pół naprzód! – brzmi głos sternika z kiosku. Wydaje się, że mat z centrali wydobywa się z paraliżu. Zerka spode łba dokoła. Unika przy tym spotkania z innymi spojrzeniami. Jego prawa stopa maca ostrożnie płyty podłogi. Zwilża językiem szarą dolną wargę.

Stary szydzi półgłosem: – Marnują bomby...

Trzymająca kredę ręka starszego sternika zawisa w powietrzu. Wygląda tak, jakby go sparaliżowało w ruchu. Nie wie już, ile ma postawić kresek za ostatni atak. Jego buchalteria mogłaby się rozlecieć. Jeden jedyny błąd w liczeniu i całość nieważna.

Teraz starszy sternik mruga oczami, jakby chciał się wydostać z jakiegoś snu, i wreszcie robi pięć zdecydowanych kresek. Cztery pionowe i jedną poprzeczną w środku.

Następne uderzenia przychodzą pojedynczo, ostro i rozdzierająco, ale z niewielkim pogłosem. Czif musi z tego powodu szybko wyłączać pompy zęzowe. Starszy sternik robi nową wiązkę liktorską. Przy ostatniej kresce kreda wypada mu z ręki.

Znowu potężne uderzenie. Znowu jedziemy po torach kolejki wąskotorowej, przeskakujemy przez zwrotnice, wreszcie, trzęsąc się, wpadamy na tłuczeń. Metal kwiczy i skrzeczy.

Jeśli wyskoczy jeden nit, wiem o tym, może przebić czaszkę jak pocisk: to potworne ciśnienie! Promień wody, który teraz przenika do okrętu, może przepiłować człowieka.

Kwaśny odór strachu! Teraz złapali nas za kołnierze! Teraz nasza kolej! It's our turn!

– Sześćdziesiąt stopni... zbliża się... namiar akustyczny dwieście stopni!

Dwa, cztery pękające uderzenia rozbrzmiewają mi w głowie. Przecież zerwą nam przykrywy włazów. To dranie!

Słyszę jęczenie i histeryczny szloch.

Okręt trzęsie się jak samolot w wirach.

Zrzut dywanowy!

Grzmot detonacji przewrócił dwóch ludzi. Widzę otwarte w krzyku usta, wierzgające nogi, przerażenie w dwóch twarzach.

Jeszcze dwie eksplozje. Głębia jest jednym wirami, szaleństwem, chaosem.

Szum i potem nagła cisza. Tylko nieuniknione szmery: owadzi brzęk silników elektrycznych, oddechy, pluskanie kropli.

– Dziób plus dziesięć – szepce główny mechanik.

Brzęczenie manipulatora steru przenika mi do kości. Czy tutaj wszystko musi robić hałas?

Czy Stary nie zmieni kursu? Nie zrobimy nowego zakrętu? Czy Stary nie spróbuje jeszcze za pomocą sterów zejść z tej lunaparkowej kolejki?

Dlaczego hydroakustyk nic nie mówi?

Kiedy nie ma nic do zameldowania – może to oznaczać tylko, że na górze nie chodzą maszyny. Tamci dranie przecież nie odjechali tak prędko, by tego nie wykrył. A więc stoją z zatrzymanymi maszynami. To już zdarzało się parę razy, ale nigdy dotychczas przerwa nie trwała tak długo.

Stary uporczywie utrzymuje głębokość i kurs.

Mija pięć minut i nagle hydroakustyk otwiera usta i obraca pokrętką. Na jego twarzy pojawiły się grube zmarszczki. A więc nieprzyjaciel ruszył znowu. Nie słucham już więcej meldunków, tylko siedzę bez ruchu i próbuję całkowicie się skoncentrować. Ostry, podwójny wybuch.

– Okręt daje wodę – nadlatuje wiadomość z rufy jeszcze w szumie podetonacyjnym.

– Proszę o przyzwoity meldunek – dowódca stłumionym głosem obcina niewidzialnego.

Daje wodę! To idiotyczne wyrażenie marynarskie! Brzmi to zupełnie, jakby coś nam ofiarowywał. Tymczasem dawanie wody oznacza najgorsze, co nas może spotkać w tej sytuacji.

Następna detonacja trafia mnie jak cios w żołądek. Nie mogę złapać powietrza. Tylko

nie krzyczeć! Zaciskam zęby, że aż mnie bołą szczęki. Ktoś inny krzyczy za mnie. Falsetem. Trwa to długo. Promień światła latarki miga dokoła, szuka krzykacza. Słyszę nowy dźwięk: szcęknięcie zębami, jak grzechot kastanietów. Potem smarkanie, siąkanie nosem. Przecież tam jacyś szlochają!

Czyjeś ciało wali się na moje kolana i niemal mnie przewraca. Czuję, jak ktoś wstaje. Chwyta mnie za nogę. Ale ten, który mnie uderzył w kolana, siedzi, zdaje się, przykucnięty na podłodze.

Lampa awaryjna nad pulpitem starszego sternika nadal się nie zapala. Ciemność jest jak zasłona, pod którą, w tajemnicy, może się szerzyć panika.

Znowu wstrząsający szloch. To płacze ktoś siedzący na kolektorach wody. Nie widzę, kto to jest. Mat centralowiec nagle podchodzi i wali go tak mocno w plecy, że tamten wykrzykuje głośno.

Stary wzdryga się, jakby go tarantula ukłuła, i parska w kierunku kolektorów: – Zameldujecie się do raportu, kiedy to się skończy!

Kto? Mat z centrali? Ten uderzony mężczyzna?

Gdy światło znowu jest nieco jaśniejsze, spostrzegam, że nowy z centrali płacze bezgłośnie.

Stary każe iść pół naprzód.

– Oba silniki idą pół naprzód! – melduje sternik.

Przy małej naprzód okrętu nie można już więc utrzymać. Zbyt wiele wody wlało się z tyłu.

Szum śrub słychać teraz wyraźniej niż kiedykolwiek: zgrzytanie i mielenie z dodatkiem rytmicznych stuknięć. Jako podkład coś niby wirówka do mleka, a nad tym wibrafon i wycie świdra pneumatycznego. Najwyższa szybkość!

Wskazówka głębokościomierza przesuwają się o parę kresek. Okręt powoli tonie. Główny mechanik nie zdoła go utrzymać. Szasowanie spowodowałoby zbyt wiele hałasu. O pompowaniu nie można nawet myśleć.

– Sto dziewięćdziesiąt stopni! – melduje hydroakustyk. – Sto siedemdziesiąt stopni!

– Na kurs sześćdziesiąt stopni! – rozkazuje dowódca i naciska mocno napiętą stalową linkę peryskopu opl. – Miejmy nadzieję, że nie ma śladu ropy – mówi niby mimochodem. Ślad ropy! Słowo drży w pomieszczeniu, powtarza się we mnie jak echo i natychmiast przed moimi oczami pojawiają się mieniące się tęczowo plamy. Jeśli z okrętu wydobywa się ropa, nieprzyjaciół ma trop, że lepszego nie może sobie życzyć.

Dowódca przygryza sobie dolną wargę.

Na powierzchni morza jest ciemno, ale ropę można wywęszyć w ciemności na odległość kilku mil.

Z podsłuchu słycać szept: – Szumy niszczyciela całkiem blisko.

Dowódca rozkazuje również cicho: – Oba silniki mała naprzód... wyrównywać sterem.

Potem zdejmuję czapkę i kładzie ją obok siebie na skrzyni z mapami. Znak kapitulacji? Czy już koniec z nami?

Hydroakustyk wychyla się ze swego kąta, jakby chciał złożyć meldunek. Jednak jego usta pozostają zamknięte. Na bladej twarzy maluje się ogromne napięcie. Nagle zdejmuję słuchawki. Wiem, co to znaczy: szumy wszędzie, tak że nie ma celu określać ich kierunku.

Teraz słyszę je również na własne uszy.

Huk, trzask, ryk, jakby morze się waliło. Koniec! Ciemność!

– Kiedy wreszcie będę miał meldunki? – słyszę obcy głos, mając jeszcze zamknięte oczy.

Okręt ma wyczuwalne przegłębienie rufowe. W świetle latarek kieszonkowych kable telefoniczne i ubrania sztormowe odsuwają się na haku od ściany.

Parę uderzeń serca, potem w ciszy rozbrzmiewa głos przekazywacza rozkazów: – Przeciek w siłowni elektrycznej! – Zaraz potem następują kolejne meldunki: – Zawory w dziobowym szczelne... Zawory maszynowni diesli szczelne. – Wreszcie światło awaryjne. Wskazówka głębokościomierza z przerażającą szybkością przesuwają się po cyfrach.

– Oba silniki cała naprzód! – komenderuje dowódca. Mimo panicznych krzyków dokoła jego głos jest rzeczowy i spokojny.

Okrętem szarpie: włącza się kolejne baterie.

– Z dziobu mocno plus! Z rufy mocno minus! – rozkazuje sternikom główny mechanik. Jednak wskazówka steru nie rusza się, jest jak przymarznięta.

– Awaria rufowego steru głębokości – melduje mat z centrali. Przy tym zwraca swą bladą twarz ku dowódcy: spojrzenie pełne zaufania.

– Przejść na sterowanie ręczne – mówi główny mechanik tak spokojnie, jakby to był tylko manewr ćwiczebny.

Sternicy podnoszą się i z całych sił obracają kołami ręcznymi. Biała igła wskaźnika steru... teraz drży... Bogu dzięki, porusza się. Przewody steru nie są więc uszkodzone. Ster nie jest zacięty. A więc tylko manipulatory elektryczne odmówiły posłuszeństwa.

Głośnie brzęczenie silników elektrycznych: cała naprzód! To szaleństwo! Ale co nam innego zostało, jak zwiewać? Na małej prędkości nie możemy się już utrzymać. Siłownia elektryczna daje wodę. Przeciek w naszym najbardziej wrażliwym miejscu.

– Oba silniki elektryczne nie dają pełnych obrotów! – krzyczy przekazywacz rozkazów. Za ten głośny okrzyk zostaje szeptem opieprzony.

Stary namyśla się przez sekundę, potem rozkazuje: – Sprawdzić obie baterie! Zbadać zęzę akumulatorową na zawartość kwasu!

Nie ma wątpliwości: niektóre akumulatory są pęknięte i wylały się. Co jeszcze? Co jeszcze może się zdarzyć?

Serce chce mi się zatrzymać, gdy pierwszy oficer odstepuje w bok: głębokościomierz! Wskazówka porusza się jeszcze. Okręt spada w dół, mimo że silniki elektryczne działają na najwyższych jeszcze osiągalnych obrotach.

– Szasować balast trzy! – rozkazuje dowódca.

Już po sekundach w moje ucho uderza ostry syk.

Mat z centrali puścił sprężone powietrze, które stopniowo wypełnia nasze balasty.

– Szasować do końca!

Główny mechanik zrywa się na nogi. Oddycha krótko i gwałtownie. Głos mu drży: – Trymować na dziób! Dalej, dalej!

Nie ważę się wstać ze strachu, że nogi odmówią mi posłuszeństwa. Mięśnie mi drżą, nerwy trzepoczą. Teraz nadejdzie: ostateczny cios! Zrezygnować! Koniec z tym! To jest nie do zniesienia!

Spostrzegam, jak zapadam w tępą obojętność. Jest już mi wszystko jedno. Tak czy inaczej, ale wreszcie koniec z tym! Całą siłą opanowuję się. Niech to jasne pioruny: nie zezmacać się. Niemymi wargami recytuję sobie: „...aż jakaś godzina nasze czoła ucałowała”.

Teraz przynajmniej mogę sobie łamać głowę, poszukując zapomnianych wierszy. „Która promienna, jakby wszystko wiedziała, przyjdzie do ciebie jak wiatr od morza.”

Podnieśliśmy się o pięćdziesiąt metrów. Wskazówka stoi. Dowódca rozkazuje: – Otworzyć odwietrznik trzy!

Narasta we mnie strach. Wiem, co oznacza ten rozkaz. Prąd powietrza wznosi się teraz w górę i tworzy pęcherz, który może wyraźnie zaalarmować przeciwnika. Przechodzą przeze mnie fale strachu. Mruczę przeciw temu: – Jestem zaczarowany! Zaczarowany!

Serce mi bije! Oddech robi się chrapliwy. Słyszę jak przez zamknięte drzwi: – Odwietrznik zamknąć!

Starszy sternik zwraca głowę ku Staremu. Mogę mu teraz patrzeć prosto w twarz. Jest jak wycięta z drzewa. Polerowanego lipowego drzewa! Teraz mnie widzi i wysuwa dolną wargę.

– Histeryczne baby – burczy Stary.

Kiedy z tyłu zaleje silniki elektryczne, kiedy nastąpi zwarcie... jak się będą wtedy kręciły śruby? Bez współdziałania śrub i sterów niczego nie da się osiągnąć.

Dowódca niecierpliwie domaga się meldunków z siłowni.

Słyszę tylko ułamki: – ...uszczelniono klinami... Cokół sprężarki pęknięty... Silny przeciek, powód nie znany.

Słyszę jakiś cienki pisk. Mija kilka sekund, nim zdaję sobie sprawę, że ten dźwięk nie jest wytwarzany przez nieprzyjaciela. Dolatuje z przodu: wysoki, piskliwy ton.

Stary obraca głowę w tamtym kierunku: jest zdumiony. Wygląda tak, jakby miał się wzdrygnąć z obrzydzenia.

– Sto pięćdziesiąt stopni... coraz głośniejsze!

– A to inne... to pierwsze?

– Dziewięćdziesiąt stopni, sześćdziesiąt stopni. Bez zmian!

Święty Boże, teraz to cała banda idzie na całego. Teraz na górze podają sobie piłkę. Piłka to zamiar asdicu. Nasi prześladowcy nie mają już przeszkód. Kiedy jeden robi podejście całą naprzód i nie może użyć własnego asdicu, kolega namierza za niego, sam poruszając się jak najwolniej. Przez krótkofalówkę drugi nieprzyjaciel może przekazywać swe ustalenia atakującemu.

Stary tak ściąga twarz, jakby nie dość szybko połknął jakąś szczególnie gorzką pigułkę. – Teraz będzie kryminał!

Hydroakustyk po raz pierwszy wykazuje oznaki nerwowości. Czy też może musi tak teraz gwałtownie kręcić swym pokręteł, żeby szybko wykryć, który z dwóch szumów się zbliża?

Jeśli drugi commander jest starym repem, jeśli obaj wytrenowani są we współdziałaniu, mogą dowolnie zmieniać role, żeby nas ogłupić.

Jak się nie mylę, Stary steruje po wąskim kręgu ku mocniejszemu echu.

Kolejka w lunaparku! Ciągłe muszę wracać do kolejki z lunaparku. W górę, w dół, zjazd w różnorodnych płaszczyznach, wznoszące się i opadające łuki, prawie zamknięte koła, gwałtowne spadki i brutalne wzloty.

Dwa ogłuszające ciosy młota wstrząsają okrętem. Następuje cztery czy pięć silnych wybuchów. Dwa z nich pod okrętem. Mija tylko kilka sekund, gdy zjawia się wykrzywiona strachem twarz starszego maszynisty Franza we włazie grodzi rufowej.

Wydaje z siebie coś w rodzaju piskliwego „hihihihi”. Wygląda to jak kiepskie naśladownictwo śrub niszczyciela. Dowódca, który znowu zamknął oczy, na ten dźwięk odwraca głowę w kierunku grodzi rufowej. Starszy maszynista przeszedł już przez właz i stoi

teraz, trzymając aparat ratowniczy w ręku, zasłonięty do połowy przez rurę peryskopu. Wyszczersza się, jakby chciał naśladować małpę, zęby błyszczą pośród ciemnej brody. Do tego „hihihihi” dochodzi jeszcze przerywane łkanie.

Jak on to robi, myślę, lecz spostrzegam, że szloch pochodzi z innego kąta.

Stary usztywnia się. Przez ułamek sekundy siedzi prosto jak sparaliżowany. Potem pochyla głowę i odwraca się powoli. Teraz widzi starszego maszynistę. Po kilku sekundach parska: – Czyście oszaleli? Na stanowisko, ale już!

Teraz według regulaminu starszy maszynista powinien powiedzieć: „Tak jest, panie kapitanie!” Ale on tylko otwiera szeroko usta, jakby wreszcie chciał naprawdę wrzasnąć.

Ogłuchłem, myślę, tamten krzyczy, a ja nic nie słyszę! Ale przecież mój słuch funkcjonuje! Doszło do mnie, jak Stary syknął: – Do ciężkiej cholery, nie wariować!

Stary wstał teraz na nogi.

Łkanie urywa się.

– Niszczyciel, namiar sto dwadzieścia stopni – melduje hydro. Stary zirytowany mruga oczami.

Starszy maszynista zaczyna się zwijać w milczącej walce jak pod spojrzeniem hipnotyzera. Widzę wyraźnie, jak rozluźnia się jego wykrzywiona twarz. Żeby tylko nie upadł!

– Natychmiast wracać na stanowisko! – A zaraz potem jeszcze raz tonem pogrożki: – Natychmiast, powiedziałem!

– Sto dziesięć stopni. Zbliża się! – szept hydroakustyka brzmi kapłańsko monotennie.

Stary jeszcze bardziej pochyla głowę, ale potem znowu budzi się z odrętwienia i robi dwa czy trzy kroki do przodu. Podnoszę się, daję przejście. Dokąd chce iść dowódca?

Starszy maszynista wzdryga się nagle i wykrztusza: – Tak jest, panie kapitanie!

Potem rzuca dokoła szybkie spojrzenie, pochyla się bardzo nisko i znika przez właz rufowy, tak że Stary nawet go nie widzi w tej postawie.

Dowódca, który chce właśnie przełożyć lewą nogę przez właz, zatrzymuje się i jakimś dziwnym ruchem zwraca głowę do tyłu.

– Panie kapitanie, on odszedł – jąka główny mechanik.

Dowódca cofa nogę. Wygląda to niby film puszczonej do tyłu. Jak nieco oszołomiony bokser, który przez kilka sekund nie potrafi precyzyjnie reagować, dowódca bez słowa cofa się na swoje miejsce.

– Tego bym zabił!

Pistolet w szafce dowódcy!

– Ster prawo na burt, na kurs dwieście trzydzieści stopni – rozkazuje Stary normalnym głosem. – Pięćdziesiąt metrów głębiej, czifie!

Hydro melduje: – Szum śrub, dziesięć stopni.

– Zatwierdzam – mówi Stary.

Asdic szeleści wzdłuż okrętu.

– Obrzydliwe – syczy Stary.

Każdy w centrali wie, że on nie ma na myśli asdicu, tylko starszego maszynistę. – I to właśnie Franz. Ohyda! – Stary wstrząsa się z odrazą, jakby zobaczył ekshibicjonistę. – Zamknąć. Każę go zamknąć!

– Niszczyciel atakuje! – melduje hydro monotonnym głosem.

– Ster dwieście stopni. Oba silniki wolno naprzód!

Stary próbuje znowu starej sztuczki: uciec bokiem w krzaki. Który to już raz?

Przez przedni właz czuć kwaśny smród. Jacyś musieli się porzygać. Jeszcze i to!

Hydroakustyk znowu zamknął oczy. Ilekroć robi taką minę, odwracam głowę i wciągam ją w ramiona.

Werbel młóci o okręt, a potem następuje pojedyncze potworne, miażdżące uderzenie i już znowu piekielny pogłos bulgotania i szumu wody, potężne przetaczające się echo.

W tym echu pięć wybuchów twardych jak strzały. Jeden po drugim. Mija tylko kilka sekund. Wszystko, co leżało luźno, zaczyna zjeżdżać i toczyć się do tyłu. Główny mechanik, który zwiększył prędkość jeszcze podczas wybuchów, krzyczy teraz: – Pompować! – Skulony jak do skoku stoi za obu sternikami głębokości.

Ryk i szum echa wybuchów nie ma końca. Płyniemy nadal przez bulgoczący, sapiący wodospad. Pompy żezowe pracują bez chwili przerwy.

Nim jeszcze główny mechanik kazał przerwać, trzy kolejne detonacje wstrząsają okrętem.

– Pompować dalej! – Czif wciąga powietrze i rzuca szybkie spojrzenie Staremu. Czy w jego wzroku nie było zadowolenia? Cieszy się główny mechanik, że jego pompy ciągle jeszcze mogą pracować?

– Robią wszystko dla naszego czifa! – mówi Stary. – Bardzo staranna obsługa.

Jest godzina czwarta. Nasze próby przerwania się trwają już ile godzin? Nie mogę obliczyć. Większość ludzi w centrali usiadła, oparła łokcie na kolanach i głowy na rękach. Nikt już nie patrzy w górę. Drugi oficer spogląda na płyty podłogi, jakby na nich rosły grzyby. Zerwany krzyż celownika przeciwlotniczego huśta się na jednym drucie. Brzęczą odłamki szkła.

Cud nad cudami: okręt jest szczelny. Jeszcze płyniemy, jeszcze się unosimy. Silniki pracują, śruby się obracają. Płyniemy przez głębiny, mamy siłę na sterach. Mechanik może utrzymać okręt, który jest nawet na równej stępce.

Starszy sternik nachylił się nad stołem nakresowym, jakby tam było coś interesującego do studiowania. Zwiesił głęboko głowę. W prawej garści dzierży cyrkiel. Jego ostrze wbite jest w linoleum stołu nakresowego.

Mat z centrali wetknął w usta dwa palce, jakby chciał na nich gwizdać.

Drugi owu próbuje naśladować dowódcę i udawać obojętność. Zdradzają go jednak jego pięści. Są zaciśnięte na lornecie – naprawdę ma jeszcze swoje szkła na szyi. Jego pięści powoli poruszają się w stawach w te i wewte. Kostki robią mu się przy tym białe z natężenia.

Dowódca zwraca się do hydroakustyka. Ten ma oczy zamknięte, obraca pokręteł w lewo i prawo. Potem, jakby schwytał szukany szmer, robi już tylko nieznaczne ruchy.

Stłumionym głosem melduje: – Szmerzy niszczyciela oddalają się pod kątem stu dwudziestu stopni!

– Myślą, że już nas wykończyli! – mówi dowódca. – To jeden, ale co z drugim szumem?

Główny mechanik jest na rufie. Dowódca sam objął sterowanie głębokościowe.

Piszczenie ustało, tylko przerywany szloch dolatuje od dziobu z dużymi przerwami.

Gdy główny mechanik znowu wraca, jego dłoń i przedramiona usmarowane są olejem. Z jego ściszonego meldunku słyszę: – Złącze... wydech diesla... sprężarka... dwa wkręty złamane, ale już uszczelniono drewnianymi klinami. Złącze tylko lekko przecieka!

Koło pulpitu dowódcy leży kartonowe opakowanie z syropem, zgniecione i rozdeptane na podłodze. Futerał harmonii wała się otwarty w obrzydliwej papce. Wszystkie obrazy zerwane ze ściany. Robię ostrożny krok ponad obliczem DOP-a.

W mesie oficerskiej rozsypane książki leżą między rozlanymi butelkami soku jabłkowego i ręcznikami. Również kiczowaty piesek ze szklanymi oczami, który służy jako maskotka, spadł na podłogę. Tutaj powinienem najpierw zaprowadzić porządek. Zrobić coś, zająć ręce. Nachylam się. Szttywne stawy. Opadam na kolana. Boże wielki. Mogę ruszać rękami. Będę użyteczny! Powoli, powoli, ostrożnie. Tylko niczego nie potracić. Musi być już dawno po czwartej. Gdy już tak gospodaruję dobre dziesięć minut, przechodzi główny mechanik. Ma zielonkawe koła pod oczami. Tęczówki czarne jak kawałki węgla. Policzki wpadnięte. Jest całkiem wykończony.

Podaję mu butelkę z sokiem. Nie tylko ręka – on cały dygocze. Łykając sok, opada na stołek. Ale gdy tylko opróżnił flaszkę, wstaje znowu, lekko zataczając się jak bokser, który

zamroczony i całkowicie wyczerpany, jeszcze raz wyskakuje ze swego kąta. – ...Nie rzucają!
– mruczy odchodząc.

Nagle rąbie znowu trzy razy. Jednak detonacje brzmią teraz jak uderzenia w źle napięty bęben. – Bardzo daleko – słyszę głos starszego sternika.

– Dwieście siedemdziesiąt stopni... Powoli odchodzi do przodu! – melduje hydroakustyk.

I pomyśleć tylko, że gdzieś znajduje się stały ląd, wzgórza i doliny... W domach jeszcze śpią. To znaczy, w Europie śpią. W Ameryce siedzą jeszcze przy świetle. Przecież jesteśmy bliżej amerykańskiego niż francuskiego wybrzeża. Za daleko dotarliśmy na zachód.

W okręcie panuje całkowity spokój. Po chwili hydroakustyk melduje szeptem: – Niszczyciel, namiar dwieście sześćdziesiąt stopni, słysząc go bardzo cicho. Mało obrotów... chyba się oddała.

– Skrada się – mówi dowódca. – Więć najwyżej idzie wolno. Podśłuchują! Tylko gdzie tkwi ten drugi? Uważajcie!

To tyczyło się hydroakustyka. A więc Stary nie wie już dokładnie, gdzie znajduje się przeciwnik.

Słyszę, jak tyka chronometr, a skroplona woda skapuje do zęzy. Hydroakustyk szuka dokoła, coraz to na nowo, ale już nie ma dalszego namiaru na przyrządach.

– To mi się nie podoba – pomrukuje dowódca do siebie. – Wcale mi się nie podoba.

To podstęp! Jeszcze się okaże. Nawet ślepy by wyczuł, że coś tu się nie zgadza.

Stary patrzy bez wyrazu przed siebie. Potem jego powieki mrugają kilkakrotnie, przełyka ślinę. Ale na jakies działanie chyba nie może się zdecydować.

Żeby tylko wiedział, co jest grane. Nie słysząc już detonacji, nie ma asdicu, tylko trochę mimiki dowódcy, która ustawicznie się zmienia – z tego nikt nie będzie mądry!

Gdybym tak zapytał Starego całkiem otwarcie, po prostu trzema słowami: – Jak tam wygląda?

Mam jednak usta zamknięte.

Niezdolny do myślenia. Moja głowa jest jednym jeziorem w kraterze... jeziorem asfaltu, na którym powstają pęcherzyki i pękają z hałasem.

Odczuwam pragnienie. W szafce z nakryciem musi być jeszcze więcej soku owocowego! Kiedy otwieram ją ostrożnie, wypadają z niej skorupy. Cholerna trzęsionka! Większość filiżanek i talerzy jest potłuczona. Jednemu dzbankowi do kawy brakuje dzióbka. Bez dzióbka wygląda głupio. Butelka z sokiem jabłkowym na szczęście jest jeszcze cała. To prawdopodobnie ona potłukła inne rzeczy. Prawdłowo: potłuc wszystko dokoła i samemu

zostać nietkniętym.

Zdjęcie wodowania naszego okrętu jeszcze leży pod stołem, rozbite. W ramach tkwią kawałki szkła. Musiałem tego nie zauważyć przy sprzątaniu. Biorę je do ręki, nie mam jednak ochoty wyjmować tych szklanych sztyletów. A więc tak jak jest wędruje znowu na gwóźdź..

– Nie słycać szumów? – pyta dowódca.

– Nie, panie kapitanie.

Zbliża się godzina piąta.

Nie ma szumów – to nie do pojęcia! Czyżby rzeczywiście zrezygnowali z polowania? Czy też może w oczach Tomków uchodzimy za zatopionych?

Przedostaję się z powrotem do centrali. Dowódca szeptem naradza się ze starszym sternikiem. Słyszę: – Za dwadzieścia minut wynurzamy się!

Słyszę to, ale nie chcę wierzyć. Czy musimy, będąc u kresu sił? Czy też rzeczywiście wydostaliśmy się z tego gówna?

Hydroakustyk wykrztusza z siebie pół sylaby. Prawdopodobnie chciał zacząć meldunek, ale zamiast mówić, poszukuje swym pokrętem dalej. Musiał wytropić jakiś słaby szum, którego kierunek usiłuje ustalić.

Stary wpatruje się w twarz hydroakustyka, a ten zwilża językiem dolną wargę. Całkiem cicho obwieszcza: – Namiar z kierunku sześćdziesiąt stopni... szum słycać słabo.

Stary przechodzi nagle przez właz i przykuca w przejściu koło hydroakustyka. Ten podaje mu słuchawki. Stary nasłuchuje, a hydroakustyk porusza delikatnie pokrętem po całej skali. Twarz Starego robi się chłodna.

Mijają minuty, a Stary pozostaje połączony kablami słuchawek z aparatem podsłuchowym. Wygląda to tak, jakby był przywiązany. Teraz daje rozkazy sternikowi: każe obrócić się dziobem, byśmy mogli lepiej słycać.

– Przygotować się do wynurzenia!

Szorstki, zdecydowany głos Starego przestraszył nie tylko mnie. Powieki głównego mechanika drżą.

Przygotować się do wynurzenia! Stary musi wiedzieć, co ma robić, a czego nie! Teraz jeszcze namiary akustyczne i już chce na górę.

Sternicy głębokości tkwią na swoich stanowiskach. Starszy sternik wreszcie zdjął zjudwestkę. Jego podobna do maski twarz wygląda o wiele lat starzej. Bruzdy na niej pogłębiły się.

Mechanik trzyma się za nim, lewą nogę postawił na skrzyni, prawą na podstawie peryskopu pelot, skłaniając górną część ciała, jakby chciał możliwie blisko oczu mieć

poruszającą się po skali wskazówkę głębokościomierza. Wskazówka obraca się wstecz. Za każdą małą kreską, którą wymija, zbliżamy się o metr do powierzchni morza. Wskazówka porusza się całkiem wolno, jakby chciała dać wszystkim czas, by głęboko przeżyli te minuty.

– Radiogram jest przecież gotów? – pyta dowódca.

– Tak jest, panie kapitanie!

Wachta stoi już w ubraniach sztormowych i zjudwestkach pod lukiem kiosku. Przeciera szkła, jak mi się zdaje, zbyt gorliwie. Nikt nie mówi słowa.

Oddech mam teraz bardziej równomierny. Moje kończyny odzyskały siłę. Mogę stać, nie bojąc się, że upadnę.

Ale przy tym czuję każdy mięsień, każdą kość w ciele. Skóra na twarzy jest jakby zmarznięta.

Stary chce się wynurzyć. Będziemy znowu oddychali morskim powietrzem.

Żyjemy. Te psy nas nie zabiły.

Nie ma wybuchu radości. Groza jeszcze tkwi we mnie. Opuścić napięte ramiona, nieco podnieść głowę – to wszystko, na co sobie pozwalamy.

Ludzie są całkowicie wypompowani. Jakkolwiek nakazano „wynurzenie”, obaj z centrali siedzą apatycznie na kolektorach wody i szasu. A mat z centrali? Jakkolwiek on również stara się o obojętną minę, widzę jeszcze przerażenie w jego twarzy.

Moim marzeniem jest teraz dziesięciokrotnie przedłużony peryskop. Gdyby Stary z ukrycia naszej głębiny mógł szybko rozejrzeć się dokoła, wiedzielibyśmy, co się dzieje na górze, co ta przeklęta banda właściwie zamierza. Nagle dociera do mojej świadomości, że główny mechanik kazał dobrać wody. Drętwieję: dlaczego teraz dobierać wodę? Te sprzeczne działania doprowadzają mnie do wariacji! Stary kazał szasować. Zaciskam mocno powieki, by się skoncentrować. Przecieki wody zostały po szasowaniu wskutek wyporu skompensowane w zbiornikach, ale jak dalej? Całkiem zeszywniałem z samego tylko wysiłku myślenia. Nie ma otaczającego światła. Podsumować całe kolumny liczb i rozwiązać ten cały pomyłony problem. Główny mechanik w końcu nie robi głupstwa, a więc co? Nagle coś mi świta: naturalnie trzeci zbiornik balastowy był po szasowaniu, wprawdzie na krótko, znowu odpowietrzony, ale z pewnością zawiera jeszcze resztki powietrza. Pęcherz powietrza powiększył się, gdy podeszliśmy w górę. Jasna sprawa: ciśnienie się zmniejszyło, więc musiało być wyrównane albo przez otwarcie odwietrzników, albo przez dobranie wody. Odwietrzania nie da się zastosować, bo wtedy powstaną pęcherze na powierzchni morza, a więc trzeba dobrać wody. Napięcie w moim ciele słabnie, mięśnie zuchw rozluźniają się, teraz oddycham. Nikt nie może zobaczyć uśmiechu zadowolenia na mojej twarzy.

Okręt podniósł się na peryskopową. Jesteśmy tuż pod powierzchnią. Główny mechanik trzyma okręt mocno w rękę. Ani śladu wyporu.

Stary wysuwa teraz peryskop. Słyszę, jak zaskakuje silnik peryskopu i staje znowu, oraz delikatny szcęk dźwigni: Stary jeździ po karuzeli.

Napięcie w pomieszczeniu jest nie do zniesienia. Sam tego nie chcąc, wstrzymuję oddech, by potem jak tonący chwytać gwałtownie powietrze. Z góry nie dolatuje ani słowo.

Coś nie w porządku! Gdybyśmy mieli wolną drogę, Stary zaraz by nam powiedział, nie czekałby, aż nam nogi wrosną w tyłek.

– Niech pan zapisuje!

Bogu dzięki: to był głos Starego.

Starszy sternik czuje, że to do niego. Chwyta za ołówek. Wielki Boże, znowu to samo? Literatura do dziennika działań bojowych?

– A więc „...przy rozpoznaniu peryskopowym widzę... z prawa sto stopni niszczyciel... zastopowany. Odległość około sześciu tysięcy metrów...” Ma pan to?

– Tak jest, panie kapitanie.

– „Z powodu księżycy jeszcze bardzo jasno...” Ma pan to?

– Tak jest, panie kapitanie.

– „Pozostajemy w zanurzeniu...” Tak, to byłoby wszystko!

Mijają trzy czy cztery minuty, potem dowódca złazi ciężko. – Chciał nas zaskoczyć! Zawsze te same sztuczki! Naiwność! Myślą za każdym razem, że damy się im złapać! Czifie, zejść znowu na sześćdziesiąt metrów! Najpierw się trochę oderwiemy, a potem w spokoju załadujemy torpedy.

Stary zachowuje się tak, jakby już wszystko było w najlepszym porządku. Mam ochotę złapać się za głowę. Stary mówi, jakby czytał najnudniejszą statystykę z gospodarczego działu gazety: – Starszy sterniku, niech pan jeszcze zanotuje: „Mała naprzód, by się bardziej oddalić od niszczyciela. Przypuszczam, że niszczyciel... że niszczyciel nas zgubił. Nie słychać szumów w bezpośredniej bliskości.”

„Przypuszczam”... to dobre! A więc nawet nie jest tego pewny.

Stary zamyka oczy. Zdaje się, że jeszcze nie dokończył dyktanda.

– Starszy sterniku!

– Tak, panie kapitanie?

– Proszę jeszcze zanotować: „Łuna... silna łuna dwieście pięćdziesiąt stopni w prawo. Przypuszczam, że to trafiony przez nas zbiornikowiec.”

Potem Stary podaje nowy kurs: – Na dwieście pięćdziesiąt stopni!

Zerkam to na jednego, to na drugiego, i widzę tylko nieruchome twarze. Jedyne drugi oficer demonstruje swe dołeczki w policzkach. Pierwszy patrzy bez wyrazu przed siebie. Starszy sternik pisze coś przy pulpicie.

Na rufie i w przedziale dziobowym przeprowadza się naprawy. Od czasu do czasu przez centralę przechodzi ktoś z zasmarowanymi rękami i melduje pierwszemu oficerowi, który teraz kieruje sterowaniem w zanurzeniu, swoje przejście. Ludzie ciągle jeszcze robią to szeptem. Poza Starym nikt się nie waży mówić normalnym głosem.

– Jeszcze pół godziny, a potem dopiero załadujemy torpedy – mówi Stary. A do mnie dodaje: – Teraz warto byłoby coś wypić.

Nie widać, by miał zamiar opuścić centralę. Szybko szukam butelki z sokiem jabłkowym. Trudno mi poruszać kończynami. Bóle we wszystkich mięśniach, gdy chcę przejść przez właz. Kuśtykając, widzę, że Herrmann z wielkim napięciem porusza pokrętełem swego aparatu podsłuchowego. Ale teraz jest mi obojętne, co on tam wysłodzi!

Zgodnie z zapowiedzią po półgodzinie Stary daje rozkaz do przeładowania torped.

W przedziale dziobowym wszyscy tyrają jak opętani. Tuż koło grodzi leżą mokre łachy, swetry, skórzane kurtki i wszelkie możliwe manele, rzucone na kupę. Deski podłogi zostały usunięte.

– Bogu dzięki – zaczyna torpedysta Hacke. – Albowiem będzie tu teraz miejsce – dodaje tonem wyjaśnienia dla mnie. Brudnym strzępem ręcznika wyciera sobie pot z czoła. Potem popędza swoich kulisów: – Dalej chłopaki, dalej... ciągnąć talię!

– Pięknie nasmarować wazeliną, a potem do cipy! – Ario przyczepia się do łańcucha, ciągnąc go w takt okrzyków: „hej-hop!” Hackera, naśladuje ekstazę: – Ryp mnie... ryp mnie... ty jurny koźle, och, och, och, ty stara świni... och, ty świni... dobrze tak... jeszcze głębiej... o! O tak, o tak, o tak!

Zdumiewam się, że starcza mu tchu przy tej harówce. Merker również tyra zaciekle przy blokach. Udaje głuchego.

Gdy pierwsza torpeda znowu jest w rusze, berlińczyk staje w pogotowiu i ociera sobie ręcznikiem pot z czoła. Potem podaje brudną szmatę Ariowi.

Pobudzona obscenicznym gadaniem, zaczyna działać moja wyobraźnia: żelazny hymen statku, w który wdziera się fallus torpedy. Postrzępione wargi sromowe. Statek miota się jak krowa, gdy torpeda wdziera się między jego wręgi i dokonuje ekrazytowej ejakulacji. A potem szarpanie, łamanie, jęki, rżenie...

Zjawia się pierwszy, żeby skontrolować czas. Ludzie harują zaciekle dalej. Poza okrzykami „hej hop” Hackera i stłumionymi przekleństwami nie słycać nic więcej.

Wróciwszy do mesy O, widzę Starego w jego zwykłym kącie na koi głównego mechanika. Wyciągnął przed siebie nogi i oparł skośnie na siedzeniu jak w pociągu po długiej jeździe. Twarz skierował ku sufitowi, usta ma na pół otwarte. Z lewego kącika zwisa mu nitka śliny, która gubi się gdzieś w brodzie.

Zastanawiam się, co mam robić. Dowódca nie powinien tak leżeć w miejscu, gdzie przechodzą ludzie. Chrząkam, tak jakbym musiał oczyścić z flegmy krtań. Bardzo szybko Stary budzi się i siada znowu prosto. Nie mówi jednak słowa, tylko gestem wzywa mnie, bym również zajął miejsce.

Wreszcie pyta, zająkując się: – Jak tam wygląda w dziobowym?

– Jedna torpeda już w rurze. Są prawie gotowi! To znaczy... nie tyle z robotą... ale tak ogólnie!

– Tak? A był pan na rufie?

– Nie... Tam dla mnie za duży bałagan!

– Tak, tam rzeczywiście jest zaszracona sytuacja. Ale czif to załatwi, to przecież nasz koryfeusz... – Potem woła w przejście: – Coś do jedzenia! Również dla panów oficerów wachtowych! – A do mnie: – Trzeba obchodzić święta, tak jak przypadają... nawet jeśli jest tylko kanapka i kwaśny ogórek!

Przynoszą talerze i nakrycia. Niebawem siedzimy przy porządnie nakrytym stole.

W duchu mówię do siebie: Wariactwo, wariactwo. Przed oczami mam czysty stół: talerze, noże, widelce, filiżanki, ciepłe światło lamp. Wytrzeszczam oczy na Starego, który miesza herbatę łyżeczką, na pierwszego oficera, który nadziewa na widelec kiełbasę, na drugiego, który kroi wzdłuż ogórek.

Stołowy pyta mnie, czy jeszcze chcę herbaty. – Ja? Herbaty? Tak! – jąkam. W mojej głowie huczy jeszcze echo stu bomb głębinowych, wszystkie mięśnie bolą mnie od gwałtownego napięcia, w prawym udzie mam skurcz, nawet mięśnie żuchwy czuję przy każdym kęsie. To skutek zaciskania zębów!

– Co się pan tak wygapia? – pyta mnie dowódca z zapchanymi ustami, a ja szybko nadziewam plasterki kiełbasy na widelec. Teraz tylko mieć oczy otwarte i nie popadać w zamyślenie. Żuć, porządnie przeżuć, przewracać oczami, przymykać powieki.

– Jeszcze ogórka? – pyta Stary.

– Tak, proszę... jeszcze. Dziękuję!

Z przejścia słyhać chrząkanie. Czy Hinrich, czy Herrmann w przedziale radiowym chcą zwrócić na siebie uwagę? Wyraźne kroki, potem Hinrich melduje: – Bomby głębinowe, detonacje pod kątem dwustu trzydziestu stopni z prawa.

Hinrich ma o wiele wyższą tonację głosu niż Herrmann. To tenor, gdy tamten mówi basem.

Usiłuję dopasować meldunek do naszego kursu: a więc dwadzieścia stopni z lewej.

– Zatem pora, żebyśmy się wynurzyli – mówi Stary pełnymi ustami. – Czas?

– Szósta pięćdziesiąt pięć – melduje starszy sternik z centrali.

Ciągle jeszcze żując, Stary podnosi się, stojąc popija dużym łykiem herbaty i robi niezgrabne trzy kroki do przejścia: – Za dziesięć minut wynurzamy się. Niech pan jeszcze zanotuje: „Godzina szósta, załadowano torpedy. Szósta pięćdziesiąt pięć detonacje bomb głębinowych pod kątem dwustu trzydziestu stopni.”

Potem wraca i wciska się znowu w swój kąć.

Zjawia się zasapany Hacker. Nim wypowiedział pierwsze słowo, musiał parę razy głęboko zaczerpnąć powietrza. Mój Boże, jak on wygląda! Pot leje się z niego strumieniem. Ledwie się trzyma na nogach, jękając swój meldunek: – Cztery wyrzutnie dziobowe są załadowane. Wyrzutnia rufowa... – chce jąkać dalej, ale Stary mu przerywa: – Dobrze, Hacker, wiem, że tam na razie nie można się dostać.

Hacker próbuje zrobić sprężysty zwrot, ale traci przy tym równowagę. W ostatniej chwili chwyta się za krawędź szafki.

– Ci chłopcy! – mówi Stary. – Ci zwariowani chłopcy! – A potem: – Boże, to całkiem inne uczucie, gdy są znowu torpedy w rurach.

Wiem, że Stary najchętniej zaatakowałby teraz niszczyciela, który nas tak dręczył. Postawiłby wszystko jeszcze raz na jedną kartę. Ale zapewne ma inne plany...

Stary podnosi się rezolutnie, zapina trzy guziki swego serdaka, naciska mocniej czapkę i steruje ku centrali.

Zjawia się główny mechanik i melduje, że na rufie szkody zostały naprawione środkami podręcznymi. Środkami podręcznymi to na pewno znaczy: prowizorycznie.

Wchodzę za Starym do centrali.

Wachta pomostowa jest już w pogotowiu. Drugi mechanik stoi za sternikami głębokości. Okręt wznosi się szybko. Niebawem wyjdziemy na peryskopową.

Nie tracąc słów, Stary wspina się do kiosku. Silnik peryskopu zaczyna pracować. Znowu szczękanie i szmer. Zapiera mi dech, gdy Stary głośno i ostro krzyczy w dół: – Wynurzenie!

Wyrównanie ciśnienia trafia mnie jak cios pięści. Chciałbym jednocześnie ryczeć i łykać. Zamiast tego stoję, po prostu, jak wszyscy. Tylko moje płuca pompują bez przerwy świeże morskie powietrze, które wpada szerokim strumieniem. Z góry dolatuje już głos

dowódcy: – Oba diesle...!

Z tyłu, w maszynowni, sprężone powietrze syczy, wpadając do cylindrów. Kolby zaczynają się poruszać. A teraz zapłon! Diesle strzelają, okręt dygocze mocno jak traktor. Pompy zęzowe szumią, szyby ssania pompują powietrze, a w tym hałasie nerwy rozprężają się jak w leczniczej kąpieli.

Wychodzę na górę za wachtowym.

Wielki Boże! Potężna czerwona luna płonie nad horyzontem.

– To musi być trzeci parowiec! – ryczy dowódca.

Na tle ciemnego nieba dostrzegam czarną chmurę nad czerwienią: to dym, który jak olbrzymi robak wije się ku zenitowi.

Płyniemy w tamtym kierunku. Wkrótce rozróżniam dziobnicę i rufę statku, ale śródkręcia niemal nie widać.

Wiatr przynosi ostry, śmierdzący odór ropy.

– Temu złamano kręgosłup – wykrztusza dowódca. Każe iść całą naprzód i robi poprawki kursowe. Nasz dziób kieruje się dokładnie na pożar.

Czerwony blask, który od dołu pada na olbrzymią chmurę dymu, migocze; teraz również wśród dymu widać języki ognia.

Od czasu do czasu cała olbrzymia chmura zabarwia się od środka na żółto, a poszczególne wiązki płomieni strzelają w ciemność jak race. Teraz prawdziwe rakiety, różowe i krwawoczerwone, wylatują z kłębow dymu. Ich odbicia drżą na czarnej wodzie między nami i płonącym statkiem.

Pojedynczy maszt rysuje się czernią na tle blasku ognia. Wystaje z płomieni jak przysięgający palec.

Nagle wiatr przydusza dym. Wygląda to tak, jakby tonący statek chciał się zadymić, zamaskować swój zgon. Tylko rufa zbiornikowca daje się rozpoznać jako ciemna bryła. Jest zwrócona ku nam; kiedy wiatr przepędza dym, rozpoznaję ukośny pokład, parę nadbudówek i kikut, który kiedyś był dźwigiem.

– Nie potrzeba na niego dodatkowej torpedy! – Głos dowódcy jest chrapliwy, jakby zaflegmiony. Jego słowa przechodzą w ochryply bełkot, który kończy się jak śmiech pijanego.

Mimo to nie każe zawracać. Przeciwnie: idzie wolno jeszcze bliżej tego piekła.

Widzę, że dokoła rufy zbiornikowca ciemnoczerwone płomienie migoczą bezpośrednio na wodzie: woda się pali! To wylana ropa!

– Może się dowiemy, jak się ten statek nazywa! – mówi dowódca.

Trzaski i szum jak od olbrzymiego ogniska chrustu dolatują do nas, potem ostre syczenie i parskanie. Morze jest teraz żółte od odbłasków płonącej rufy i czerwone od płomieni ropy.

Również cały nasz okręt zalany jest czerwoną poświatą. Każdą szparę w belkowaniu widać w świetle drżącego ognia.

Odwracam głowę. Wszystkie twarze są czerwone – wykrzywione czerwone pyski.

Naprzeciwko słyhać eksplozję. A potem – wyteżam słuch – czyżby to zachrypli krzyk? Czy są jeszcze ludzie na pokładzie? Czy nie widziałem gestykulujących rąk? Zwęzam powieki, ale w lornetce mam tylko płomienie i dym. Głupstwo, przez ten ryk płomieni nie dałoby się usłyszeć ludzkiego głosu.

Co zrobi Stary? Od czasu do czasu podaje tylko komendy na ster. Wiem: ustawiać się ostrym końcem, nie tworzyć wydłużonej sylwetki na tle pożaru. – Bardzo uważać! – mówi Stary. A potem: – On zaraz zatonie!

Ledwie go słyszę. Stoimy jak wkopani w ziemię: szaleńcy, desperaci, którzy wpatrują się w piekło płomieni.

Jaką możemy mieć odległość? Osiemset metrów?

Przeżuwamy myśli: duży statek. Ilu minimalnie ludzi mógł mieć w załodze? Ilu z nich zginęło? Dwudziestu, trzydziestu? Z pewnością angielskie statki pływają teraz z jak najmniejszą liczbą marynarzy. Może nawet odbywają wachty dwuzmianowe zamiast trzyzmianowych. Ale z pewnością nie mogą się obyć mniejszą liczbą niż dziesięciu marynarzy, do tego ośmiu ludzi w maszynie, radiotelegrafista, oficerowie, stewardzi. Czy jakiś niszczyciel zabrał ich? Ale w tym celu musiałby się zatrzymać! Czy niszczyciel mógłby to zaryzykować, mając okręt podwodny w bezpośredniej bliskości?

Naprzeciwko strzela w górę wiązka jaskrawoczerwonych płomieni ognia: ciągle jeszcze pływająca rufa wypluwa sznury iskier. A potem wzbija się rakieta – sygnał katastrofy na morzu. A więc zostali jeszcze jacyś ludzie! Wielki Boże, w tym piekle żaru i dymu!

– Sama z siebie wyleciała. Nikogo nie ma już na pokładzie. Niemożliwe! – mówi Stary zwykłym głosem.

Za pomocą szkieleł przebijam się znowu przez dym. Tam! Bez wątpienia ludzie! Ludzie, którzy gromadzą się na rufie. Przez sekundę mam ich wyraźnie na jasnym tle. A teraz skaczą w morze! Tylko dwaj czy trzej biegają jeszcze po pokładzie. Jednego wyrzuca w górę. Widzę go wyraźnie jak kaleką lalkę na tle czerwonożółtego blasku.

Starszy sternik ryczy: – Tam także jacyś są! – i pokazuje na wodę przed płonąym zbiornikowcem. Przykładam szkieleł do oczu: tratwa z dwoma ludźmi.

Przez pół minuty trzymam ją w szklach. Tamci dwaj się nie ruszają – z pewnością martwi.

Ale tam! Czarne garby... to muszą być pływacy!

Drugi oficer również kieruje lornetę w tę stronę. Nagle Stary wybucha: – Uważać! Wielki Boże, uważajcie przecież na rufę!

To, co teraz słyszę przez huk pożaru, to chyba nie krzyki? Jeden z pływających na mgnienie oka wyciąga ramię w górę. Pozostali – siedmiu... nie, dziesięciu ludzi to tylko unoszące się w wodzie czarne piłki. Ponieważ wiatr przydusza przez chwilę do morza pasma tłustego dymu, nie mogę widzieć pływających. Ale potem są znowu. Bez wątpienia: kierują się na nasz okręt. Za nimi biegnie rozszerzająca się coraz bardziej i drgająca czerwonymi językami ropa.

Zerkam z boku na dowódcę.

– Piekielnie ryzykowne – mruczy i wiem, co ma na myśli: podeszliśmy zbyt blisko do ognia. Robi się gorąco.

Przez dwie czy trzy minuty dowódca nic nie mówi. Podnosi szkła i opuszcza je znowu. Walczy o decyzję. Potem podaje zachrypłym głosem rozkaz do maszynowni: ruszyć obu dieslami wstecz.

Ci z maszynowni na pewno zrobią oczy: wsteczny bieg – tego jeszcze nie mieliśmy. Nieprzyjemnie: nie moglibyśmy się teraz szybko zanurzyć w trybie alarmowym, bo nie mamy wcale rozpędu.

Płonąca ropa rozszerza się prędzej, niż ludzie mogą płynąć. Nie mają żadnych możliwości. Pożar na wodzie pochłania tlen. Uduszenie, spalenie, utonięcie – gdy na kogoś tak padnie, zdycha od wszystkiego naraz.

Szczęście, że w huku pożaru i głuchych grzmotach małych wybuchów nie słychać krzyku.

Na czerwono oświetlonej twarzy drugiego oficera maluje się przerażenie.

– Nie rozumiem – mówi tępo Stary – że nikt ich nie zabrał... – Mnie także nie chce to wyjść z głowy: tyle godzin! Czy najpierw próbowali utrzymać statek? Prawdopodobnie po trafieniu był jeszcze zdolny do pływania, maszyna miała jeszcze parę na kilka mil drogi. Prawdopodobnie ludzie próbowali ugasić pożar, w nadziei że umkną przed podwodnym wrogiem. Zimno mi się robi na myśl, co załoga tego statku musiała przeżyć.

– Teraz nie dowiemy się nawet nazwy! – słyszę Starego. Miało to brzmieć sarkastycznie.

Coś dusi mnie w gardle. Pojawia mi się obraz człowieka, którego po ataku lotniczym

pomogłem wyciągnąć z olbrzymiej kałuży ropy w basenie portowym. Jak wymiotował i jak w konwulsyjnych skurczach stał na kei i jęczał. Płonąca ropa wypaliła mu oczy. Szczęście, że pojawił się marynarz z hydrantem, który pod ciśnieniem zerwał warstwę ropy. Ciśnienie było tak duże, że biedak zwinął się i potoczył po kamieniach jak ciemna, bezkształtna paczka.

Nagle rufa parowca wysuwa się wyżej z wody, rośnie, jakby ją od spodu wypychano. Przez chwilę stoi pionowo jak skała nad płonącym morzem, a potem, po kilku stłumionych wybuchach, z szumem i świstem zapada w głąb.

Morze w kilka sekund zamyka się nad miejscem zatonięcia, wessało olbrzymi statek, jakby nigdy nie istniał. Płynących nie widać.

Wewnątrz naszego okrętu słyszą teraz muzykę tonięcia, straszliwy jęk, łoskot i trzaski, potem wybuchy kotłów i pęknięcie grodzi. Jak głęboki jest tutaj Atlantyk? Pięć tysięcy metrów? Co najmniej cztery.

Dowódca każe zawrócić.

– Tu nie ma nic do roboty!

Wachtowi na pomoście stoją nieruchomo jak zwykle, trzymają szkła przy oczach.

Nagle z przodu nad horyzontem ukazują się słaby czerwony blask, jaki rzucają w nocy na niebo odległe wielkie miasta. A teraz noc na południowym zachodzie rozjaśnia się aż prawie do zenitu.

– Starszy sternik, zapisać: „Blask ognia pod kątem dwustu trzydziestu stopni” oraz godzinę – rozkazuje dowódca. – Tam są inne okręty w akcji... Zobaczymy, co to za reklama świetlna – mruczy w moim kierunku i każe skierować dziób na dygoczącą jasność.

Co potem? Mamy tak dalej krążyć, aż gdzieś staniemy z pustymi zbiornikami? Jeszcze nie starczy? Prawdopodobnie Stary pali się do draki z niszczycielem. Zapłacić mu, zrewanżować się za torturę.

Główny mechanik znika z pomostu.

– Tak – mówi Stary. – Teraz wreszcie mamy czas na radiogram. Starszy sterniku, proszę papier i ołówek. Lepiej zaczniemy od nowa. Teraz możemy przecież naprawdę się wygadać.

Wiem, co ma na myśli: możemy się teraz nie przejmować niebezpieczeństwem, że zostaniemy namierzeni, gdy będziemy nadawać nieco dłuższy sygnał. Tomek wie mniej więcej, że tu działamy. Teraz nie musi już trudzić swoich stacji namiarowych.

– A więc niech pan pisze: „Ścigani przez niszczyciela bombami głębinowymi”. Powiedziałbym, że można to nazwać starannym pościgiem... „Liczne uszkodzenia”. Jakie, to nikogo nie obchodzi. Można przeczytać w DDB. A więc prosto: „Liczne uszkodzenia.”

Więcej ich interesuje, co kropnęliśmy... Więc, starszy sterniku, napiszemy krótko: „Ścigani bombami głębinowymi przez niszczyciela”. „Liczne uszkodzenia” niech pan również opuści. Dalej: „Atak bombami głębinowymi. Pięć wystrzelonych torped. Cztery trafienia. Parowiec pasażerski osiem tysięcy BRT i frachtowiec pięć tysięcy pięćset BRT. Tonięcie słyszane bez wątpliwości. Trafienie w osiem tysięcy BRT – zbiornikowiec. Tonięcie zaobserwowane. UA.”

„Parowiec pasażerski” – podyktował Stary. Czy był to taki, który przebudowano na transportowiec wojskowy? Nie śmiem wyobrazić sobie trafienia torpedy w wyładowany transportowiec wojskowy... Pijacki bełkot w „Bar Royal”: „Niszczyć przeciwnika, nie tylko jego statki!”

Znowu przychodzi meldunek, że radzik odebrał sygnał SOS angielskich statków. – Tak, tak – mówi Stary. Ani słowa więcej.

O siódmej trzydzieści łapiemy sygnał własnego okrętu. Starszy sternik czyta go podniesionym głosem: „Zatopiono trzy parowce. Czwartą statek prawdopodobnie. Podczas ataku przez cztery godziny bomby głębinowe. Konwój rozproszony na grupy i pojedyncze statki. Kontakt zerwany. Atakuję dalej na SW – UZ.”

Wpatruję się w blask na horyzoncie, przez który od czasu do czasu przebiega jasne migotanie.

Frenetyczny werbel obrazów przelatuje mi przez głowę. Projektor nastawiono na zbyt szybkie obroty. Fragmenty filmów są bez sensu i bez zrozumienia posklejane razem, a do tego mnóstwo blackoutów: coraz to nowe chmury eksplozji, które przez parę chwil stoją jak zamrożone, a potem walą się w dół w deszczu desek i strzępów żelaza, czarny dym z ropy, który zaciemnia niebo jak olbrzymi kłęb wełny. Do tego orgia płomieni. A teraz także płomienie na wodzie i płynące czarne piłki.

Przerażenie po tym, co narobiliśmy naszymi torpedami, ciągle jest we mnie. Nacisk na dźwignię odpalania! Mrugając powiekami, usiłuję przepędzić dręczące zjawy, ale znowu widzę potop płomieni, który rozprzestrzenia się na wodzie, a w środku ludzi, którzy walczą o życie.

Jak też się czuje Stary, kiedy przedstawi sobie zgromadzenie statków, które sam zniszczył? A kiedy myśli o tłumie ludzi, którzy na tych statkach płynęli i utonęli wraz z nimi albo zginęli od razu przy wybuchu torped: ugotowani, rozdarci w strzępy, posiekani, spaleni, uduszeni, utopieni, zmiżdżeni. Albo na pół ugotowani i na pół uduszeni, a potem utopieni! Prawie dwieście tysięcy ton: średni port pełen statków przypada na konto samego tylko Starego.

Po chwili przychodzi meldunek, że nadeszły sygnały. Kupsch ma kontakt z tym samym konwojem. Stackmann trafił sześć tysięcy BRT.

Fale zmęczenia chcą mnie zalać. Zасыpiam po prostu na stojąco, nie tylko opierając się o osłonę pomostu albo o przyrządy celownicze. Ledwie mogę podnieść szkła. Tępa pustka w czaszce, a teraz pojawia się parcie w kiszkać. I nacisk na pęcherz. Na sztywnych nogach schodzę do wnętrza okrętu.

Starszego maszynisty Franza nie ma w mesie. Od czasu swego załamania się nie pokazuje się na oczy. Właściwie powinien mieć jeszcze teraz wolne. Prawdopodobnie nie waży się wyjść z maszynowni.

Kiedy wychodzę z ustępu, drugi owu stoi pod drzwiami. Widać i jemu pilno. Mój Boże, jak on wygląda: twarz starego krasnoludka, zmięta i pomarszczona. Czyżby szczecina jego brody nagle pociemniała? Patrę na niego ogłupiały, aż wreszcie spostrzegam: to złudzenie pochodzi od kredowobladej skóry. Szczeciny brody odcinają się teraz wyraźniej niż poprzednio.

Gdy drugi pojawia się znowu, żąda od stołowego kawy.

– Powiedziałbym raczej: lemoniady – wtrącam się.

Stołowy stoi niezdecydowany. Drugi oficer opadł w kąć kanapy i nie daje odpowiedzi.

– Lemoniada – decyduję. – I dla mnie także.

Kapelusz pełen snów obu dobrze by nam zrobił. Po co tu kawa?

Na próbę zaczynam mościć się wygodnie, gdy zjawia się Stary i mówi: – Szybko coś do jedzenia!

Stołowy przychodzi z dzbankiem lemoniady i dwiema filiżankami.

– Dla mnie mocną kawę i parę kanapek, ale szybko! – mówi Stary.

Stołowy wraca natychmiast. Kuk musiał mieć przygotowane kanapki na zapas.

Stary żuje, robi przerwę, żuje znowu, patrzy przed siebie. Milczenie staje się męczące.

– Znowu trzy statki zatopione – mówi Stary, ale bez cienia triumfu w głosie, lecz raczej mrukliwie i kwaśno.

– I my prawie też – wrywa mi się.

– Bzdury – mówi Stary i patrzy nieruchomo w powietrze. Przegryza to przez dwie minuty, aż wreszcie słyszę: – Tak, tak, człowiek zawsze nosi z sobą przyzwoitą trumnę. Jak ślimak swój dom!

Ten banalny obraz zdaje się, że go nawet bawi: – Całkiem jak ślimak – powtarza i ze zmęczonym uśmiechem kiwa głową.

Tak więc to było: nieprzyjacieli to tylko te parę cieni na horyzoncie. Wystrzelenie

torpedy – niewyczuwalne nawet jako szarpnięcie. Pożar jako nasza fanfara zwycięstwa. Nic już nie chce się zgadzać: najpierw to myśliwskie podniecenie i atak, potem bomby głębinowe, wiele godzin tortury, ale jeszcze przed pierwszą detonacją bomby hałas tonięcia, potem, po wynurzeniu, płonący statek! Trzecia ofiara! Cztery torpedy trafiły, a teraz ten nastrój przygnębienia!

Stary zdaje się budzić z martwoty. Wyprostowuje się, potem pochyla i woła w przejście: – Pytam czas!

– Siódma pięćdziesiąt.

– Starszy sternik!

Wezwany zjawia się natychmiast z centrali.

– Czy możemy jeszcze raz podejść? – pyta go Stary.

– Ciężko! – mówi starszy sternik. – Zwłaszcza jeśli... – Utyka i zaczyna od nowa: – Zwłaszcza jeśli zmieniają kurs generalny.

– Co trudno przyjąć...

Stary idzie ze sternikiem do centrali. Słyszę ułamki dialogu i głośno wypowiedziane myśli Starego: – Zanurzyliśmy się o dwudziestą drugą pięćdziesiąt trzy... Powiedzmy, o dwudziestą trzecią... Teraz jest siódma pięćdziesiąt, a więc straciliśmy osiem godzin. Z jaką prędkością idzie konwój? Jakież osiem węzłów, a więc przebył sześćdziesiąt cztery mile morskie... licząc z grubszą. Aby dojść do miejsca, gdzie teraz jest konwój, potrzebujemy z całą prędkością ponad cztery godziny. Ale paliwo! Za długo musielibyśmy iść całą naprzód... A poza tym konwój przecież płynie dalej!

Mimo to chyba Stary nie robi żadnych przygotowań, by przejść na kurs przeciwny.

Główny mechanik wynurza się z centrali. Nie mówi słowa. Ale gdy tak stoi, jest jednym wcielonym pytaniem: „Kiedy zawracamy?”

Mimo wyczerpania nie mogę spać. Czuję się tak, jakbym się opchał Pervitinu. Podniecenie pędzi mnie z miejsca na miejsce, w mesie SP nie ma nikogo. Z przedziału dziobowego przenika hałas. Tam na dziobie chyba odbywa się coś w rodzaju święta zwycięstwa. Otwieram właz grodzi. W mętym świetle widzę krąg ludzi na niżej teraz leżących deskach podłogi. Słyszę rozwlekły śpiew:

Kiedy tłusta czy chuda,

Jasna, czarna czy ruda,

Mężatka albo panna weszła w bór,

*To ją przyuważyli,
A potem tak gwałcili,
Aż grzmiało echo pośród gór!*

Zakończenie mocno przeciągają, żeby piosenka wyglądała jak chorał. Mogą sobie śpiewać. Przecież niczego nie widzieli, biedacy.

Gdyby im nie powiedziano, że trzaski i przeciągły pisk pochodzą od pękających pod ciśnieniem wody ścian kadłuba i grodzi tonących statków naszych ofiar, nie potrafiliby nawet wyjaśnić, skąd ten głuchy hałas w głębinie.

Starszy sternik ma wachtę. Łuna jest słabsza, ale ciągle ją widać wyraźnie. Fala zwiększyła się. Nagle starszy sternik woła: – Tam jacyś płyną! – Prawą ręką wskazuje na ciemne morze. Potem zawiadamia dowódcę. Stary natychmiast zjawia się na pomoście.

Jak się zdaje, jest to tratwa z gromadą ludzi na niej.

– Megafon na górę! – rozkazuje Stary, a potem: – Podejść bliżej! – Wychyla się ponad osłoną: – Whafs the name of your ship?

Ci z dołu krzyczą gorliwie, jakby mogli sobie kupić w nagrodę ratunek: – Artur Allee!

– Dobrze wiedzieć! – mówi Stary.

Jeden z rozbitków chce się uczepić naszego okrętu, jednak zwiększyliśmy już prędkość. Ten człowiek wisi między tratwą, a naszym okrętem. Teraz puszcza i zanurza się w wirze za rufą. Wyszczерzone zęby... mogą rozpoznać tylko zęby – nie widzę gałek oczu.

Czy ich jeszcze ktoś znajdzie?

Nie płyniemy nawet kwadransa, gdy w płowym przedświcie pojawiają się jakieś dziwne światełka na wodzie. Małe punkty świetlne, jak robaczki świętojańskie. Po zbliżeniu stają się tańczącymi na fali lampkami. Znowu rozbitkowie. Wiszą w swoich kamizelkach. Widzę wyraźnie, jak podnoszą ramiona. Chcą zwrócić na siebie uwagę? Prawdopodobnie krzyczą również. Nie słysząc jednak ich krzyków, bo wiatr dmie nadal w przeciwną stronę.

Stary każe zmniejszyć prędkość, z kamienną twarzą daje komendy na ster, żeby okręt nie podszedł do rozbitków za blisko. Ale mamy jeszcze dość dużo rozpędu, by nasza fala dziobowa kilku z nich podrzuciła do góry i znowu cisnęła. Czy rzeczywiście machają rękami, czy też są to pogroźki, ostatni bezsilny bunt przeciwko wrogowi, który wydał ich okrutnemu morzu?

Stoimy wszyscy jak sparaliżowani. Sześciu ludzi, którzy ze ściśniętym strachem sercem wiedzą, że jednym z tych unoszonych przez morze rozbitków mógłby być właśnie on.

Co z nimi będzie? Wydostali się z tonącego statku. Ale czy mają nadzieję? Jak zimna jest woda teraz, w grudniu? Czy dopływa tu Golfstrom? Jak długo mogą się już tak unosić? Trudne do zrozumienia: tylne ubezpieczenie konwoju musiało minąć miejsce zatonięcia statku już przed paru godzinami.

Stary stoi bez ruchu. Marynarz, któremu nie wolno pomóc innemu marynarzowi w katastrofie morskiej, bo rozkaz DOP-a zabrania przyjmowania rozbitków! Jest tylko jeden wyjątek: zestrzeleni lotnicy. Od nich chcą się czegoś dowiedzieć. Wydaje się, że lotnicy są warci tyle złota, ile sami ważą.

Ciągle jeszcze widzę błędzące światełka. – Lewo pięć! – rozkazuje Stary. – Ci byli z marynarki wojennej. Prawdopodobnie z jakiejś korwety.

Drugi oficer wchodzi na górę. – Wygląda jak wybuch wulkanu – mówi do siebie i ma na myśli łunę. Światełek już nie widać.

Przez chmurę dymu przebiega błyskawica. Po chwili jak głuchy piorun detonacja przelatuje nad wodą. Potem jeszcze jedna. Przekazywacz rozkazów podaje na pomost: – Podłuch do dowódcy: bomby głębinowe, namiar dwieście sześćdziesiąt stopni!

Teraz w konwoju musi być piekło. Wiatr przynosi odór płonącej ropy: smród śmierci. Błady poranek wstaje nad horyzontem. Łuna robi się stopniowo bledsza.

Ołowiane zmęczenie przygniata mnie do ziemi. Jestem znowu w mesie oficerskiej, gdy pomost melduje: – Przed nami płonący obiekt!

Jest godzina dziewiąta. Co mam robić, jak nie wyjść na pomost?

– Ten jest postrzelony – mówi Stary. – Kuśtyka. Pogadamy sobie z nim.

Stary przykłada sobie lornetkę do oczu i mówi do sternika: – Najpierw wyprzedzenie. Szybko to on już nie idzie. Oceniam na pięć węzłów.

Daje rozkaz na ster: – Lewo dwadzieścia. – Chmura dymu zwiększa się szybko i stopniowo przesuwa w prawo. Właściwie powinny już być widoczne maszty, a nawet nadbudówki, ale chmury kopcina zakrywają wszystko.

Mija jeszcze pięć minut, potem Stary każe się zanurzyć iysterować na peryskopową: czternaście metrów.

Po pewnej chwili mamy „reportaż z pola walki”: – Nie powinien nam uciec. Teraz zygzakuje. No, zostaw... wraca na poprzedni kurs. Odczekać. Statek ma dwa maszty, cztery ładownie, całkiem ładna łajba, około ośmiu tysięcy... Głęboko zanurzony na rufie... pożar na rufie. Śródkręcie również musiało się palić.

Teraz jego głos staje się warczący: – Czifie, uwaga! Idzie w naszą stronę!

Prawdopodobnie peryskop był przez chwilę zanurzony i dowódca nic nie widział.

Twarz czifa ściąga się. Teraz od niego zależy, by sterował dokładnie co do kreski, żeby dowódca musiał robić możliwie mało ruchów peryskopem. Mechanik pochylił głowę i wysunął ją w kierunku trymomierza.

Seria manewrów. Nagle dowódca każe ruszyć całą naprzód. Okręt wykonuje widoczny skok.

– Wprost niewiarygodne – oburza się Stary.

Potem słyszę, że pierwszy melduje gotowość wyrzutni. Teraz namiary boczne z peryskopu przekazywane są do kalkulatora w wieżyczce, a stąd – elektrycznie – na torpedy.

Pierwszy oficer od dawna wyciągnął już zawleczkę z urządzenia odpalającego. Na górze w kiosku czeka tylko, by Stary ustawił się do strzału.

Czy to nie będzie miało końca? Wszystko się we mnie przewraca. Czy ja śnię? Mam gorączkę? Czy to rzeczywiście głos Starego... Pokrywy wylotowe? Słyszę rzeczywiście: „Otworzyć pokrywy wylotowe”?

Mrugam powiekami, przechodzi mnie dreszcz. Wyciągam głowę, upewniam się: główny mechanik koło mnie – widzę go wyraźnie. Zmartwychwstały Jezus steruje co do kreski. To Stary daje nam to przedstawienie: atak peryskopowy na uszkodzony statek. Stary po prostu nie ma dosyć. No...znowu Stary: – Wyrzutnia pierwsza uwaga! – A po dwóch sekundach przerwy: – Wyrzutnia pierwsza pal! Wyrzutnię dwa włączyć!

Przeżywam wszystko jak w wyraźnym śnie na jawie. Słyszę głuchy wybuch, a zaraz potem następny, o wiele głośniejszy.

Jak z wielkiej dali dochodzi mnie głos dowódcy: – Teraz jest zastopowany!

I połową świadomości słyszę jeszcze: – Chyba powoli tonie.

Jeszcze jeden statek! Czy będzie zapisany na nasze konto? Mgła w moim mózgu zagęszcza się. Miękkie kolana. Aby tylko usiąć na nogach! Trzymam się stołu nakresowego, przeciskam się powoli dalej do grodzi rufowej. Mam wrażenie, jakby moja koja była oddalona o kilometry.

Czy to jakiś hałas mnie przeraził i zbudził?

W mesie P panuje cisza. Zaspany złązę powoli z mojej leżanki. Więcej się chwieję, niż idę. Przeciskam się do centrali jak ślepy. Bóle w kończynach, jakbym był po torturach.

W centrali jest życie. Głuchaczek i badacz Pisma kłócą się. Nie mogę jeszcze pojąć, co się zdarzyło. Przewróciłem się? Na mózg mi padło? Czuję się tak, jakbym już wszystkiego nie odbierał wyraźnie, jakby scena zasłonięta była gęstą kurtyną. Czy teraz już się obudziłem,

czy jeszcze śnie?

Nagle moje spojrzenie pada na DDB. Leży otwarty na pulpicie. 13.12. Tak, to się musi zgadzać. Czyste wariactwo: za miesiąc będzie już dawno po świętach. Nie mam już poczucia pór roku. Całkiem je zatraciłem. Czytam:

13.12

9.00 Trafiony zbiornikowiec. Płyniemy małą naprzód. 5 węzłów. Kurs około 120 stopni. Wyprzedzam go w celu określenia danych do strzału.

10.00 Zanurzenie do ataku podwodnego. Parowiec podpływa zygzakując, wskutek czego odległość przy strzale jest bardzo mała.

10.25 Wystrzelono torpedę. Trafiono w środek kadłuba. Silna eksplozja i wybuch paliwa. Bardzo dużo ognia i dymu. Wypływająca ropa pali się na wodzie. Na niebie ogromna chmura dymu. Duża łuna. Statek zanurza się mocniej. Płyne jednak dalej. Załoga częściowo jeszcze na pokładzie. Trzy działa na nadbudówkach rufowych. Wskutek dymu i gorąca nie mogą być użyte. Nie widać łodzi ratunkowych.

Stary nie wspomniał, że parowiec miał działa. Dlaczego on to wszystko napisał? Która jest teraz godzina?

10.45 Najpierw tylko szumy śrub. Przesuwają się naprzód.

10.52 Ponowny atak. Czekanie zbyt niebezpieczne. Zdradziecka łuna. Trafienie pod masztem rufowym. Znowu olbrzymi ogień. Statek staje. Zanurza się głębiej na rufie. Burta rozerwana w miejscu trafienia. Pożar na wodzie rozszerza się szybko. Muszę energicznie cofać się na wstecznym biegu.

11.10 Wybuchy na pokładzie. Prawdopodobnie zbiorniki. Beczki z benzyną albo amunicja. Zbiornikowiec stopuje.

11.40 Szum śrub. Turbina. Prawdopodobnie niszczyciel. Przez peryskop nie widać.

11.55 Wynurzenie. Nie szasowano. Niszczyciel stoi przy wraku.

To jeszcze do mnie dotarło. Ale druga torpeda? Wszystko mi się miesza: przecież siedziałem przy stole! Jak się dostałem na koję?

Czytam dalej:

11.57 Zanurzenie alarmowe. Wolno naprzód. Odchodzimy dalej.

12.10 Wynurzenie. Zamierzam stanąć i czekać, czy zbiornikowiec zatonie. Ładować baterie. Maszt niszczyciela od czasu do czasu pojawia się w pobliżu wraku nad horyzontem.

13.24 do 13.50 Stoimy w miejscu. Zbiornikowiec nie tonie. Pożar zmniejsza się stopniowo.

13.30 Decyduję się podejść jeszcze raz, by oddać kończący strzał. Zbiornikowiec jest złamany przed nadbudówkami rufowymi w miejscu trafienia torpedy. Jednak obie części połączone są jeszcze mostkiem. Całkowita strata statku pewna. Przednia część statku skręcona w bok i zalana wodą. Łodzie ratunkowe dryfują puste. Niszczyciel najwidoczniej odszedł.

16.40 Podchodzimy bliżej i dziurawimy rufę oraz dziób z broni maszynowej.

20.00 Przejście na kurs powrotny. Inne okręty mają jeszcze kontakt. Wysłaliśmy sygnał: „Zatopiono uszkodzony zbiornikowiec osiem tysięcy BRT. Marsz powrotny – UA.”

23.00 Przyjęto sygnał: „Od UX: dwa duże frachtowce 00.31 kwadrat Max – Rot. Kurs generalny na wschód. 10 mil morskich. Od godziny stracono kontakt. Nacieram dalej. WNW 7, stan morza 5, 1027 wzrastające. Akcja bojowa jeszcze utrudniona z powodu złej pogody.”

A więc trzy torpedy na tę łajbę! Atak peryskopowy według wszystkich reguł. A potem jeszcze broń maszynowa. Prawda, terkot przecież słyszałem. Kiedy właściwie wysiadłem?

Wpatruję się w stronicę dziennika. Nawet ostatni fragment napisany jest ręką Starego. Coraz bardziej wydaje mi się on niesamowity. Do tego jeszcze miał siłę: robić w nocy wpis do DDB. Słyszę go jeszcze, jak mówi: – Ale teraz już nic, tylko do domu – jego rozkaz, by

przejsć na kurs czterdzieści pięć stopni, jeszcze to mam w uszach. Przecież wyraźnie dotarło do mojej świadomości, że idziemy na północny wschód.

Z trudem rozeznaję się w tym wszystkim: ten ton silników, niezwykle szarpiący... Oczywiście, musimy ciągle oszczędzać paliwo!

Oszczędnościowa jazda! Jeśli dobrze zrozumiałem czifa, może się wysilać jak chce, by wymyślić odpowiedni stopień szybkości na drogę powrotną – paliwa nie wystarczy do służby portowej w St.-Nazaire.

Starszy sternik rozłożył wielką mapę, która przedstawia również wybrzeża. Zdumiewam się, jak daleko zaszliśmy na południe. Wygląda na to, że kłopoty z paliwem nie dręczą Starego. Czy też może rzeczywiście wierzy, że czif rozporządza tajnymi rezerwami, które właśnie można by w ostateczności wykorzystać?

Zielona zasłona przy kabinie Starego jest zsunięta. Stary śpi. Nieświadomie idę na palcach: cicho, cicho! Muszę podpierać się z lewa i prawa, tak mnie bolą nogi.

W mesie O koje są również zajęte. Jeszcze nigdy tego nie przeżywałem: całkowicie pełny przedział wagonu sypialnego. Mam wrażenie, że jestem konduktorem, który ma wyszukać jakiegoś pasażera.

Śpią wszyscy, a więc starszy sternik ma wachtę. Trzecia wachta – to znaczy, że musi być już po ósmej.

Mój zegarek stoi.

W mesie dla starszych podoficerów jest również cicho. Koja starszego maszynisty Franza nie jest zajęta. Jasne: od godziny szóstej działa druga wachta maszynowa.

Stary nie powiedział już ani słowa o incydencie. Czy chce go całkiem zapomnieć, czy też będzie jakiś epilog przed sądem wojennym?

Przez gródź kubryka dziobowego nie dochodzą żadne szmery. Tam pewnie śpią wszyscy z wolnej wachty.

Jesteśmy więc śpiącym okrętem. Nie ma nikogo przytomnego, z kim mógłbym mówić. Przysiadam na skrzyni z mapami, patrzę przed siebie i gubię się w wirze dręczących wizji. Ten wygodnie siedzący w pontonie. Ciemne punkty przed płomieniami ropy na czarnej wodzie. Robaczki świętojańskie. Wyciągnięte w górę ramiona.

Przedtem prawie nie widywałem martwych. Swobodę, tak. I dwa razy ludzi ze złamanym karkiem: zapaśnik w Oberlungwitz – mistrzostwa okręgowe w stylu grecko-rzymskim. Trzask było słycać w całej sali. Alpinista, który pośliznął się na trawiastym zboczu. Nie mógł się zatrzymać. Gdy go załadowaliśmy na chłopski wóz (wszędzie kleił się jeszcze gnój koloru umbrzy), głowa zabitego latała bez żadnego oparcia jak u marionetki. A

potem nauczycielka, która w Gerstruben w nocy wpadła do gnojówki... A jak miałem dopiero czternaście lat, był to mały chłopak, który dziwacznie skręcony leżał w jasnym słońcu na asfalcie w Colditz, przejechany przez ciężarówkę.

Zaopatrzenie

Radiotelegrafista Herrmann mówi podniesionym głosem: – Oficer szyfrowy!

Normalne radiogramy rozszyfrowuje natomiast radiotelegrafista z pomocą maszyny do kodowania, wpisuje otwartym tekstem do dziennika sygnałowego, który dowódca każe sobie pokazywać co dwie godziny.

Ten radiogram również przepuścił przez swoją maszynę, ale tekst nie miał żadnego sensu. Tylko pierwsze słowo „radiogram oficerski” pojawiło się w otwartym tekście. A więc jest to robota dla oficera radiowego. Tę funkcję spełnia nasz drugi.

Gdy drugi usłyszał meldunek, z potarganą czupryną wylazł natychmiast ze swej koi. Przybiera ważną minę i ustawia maszynę do odszyfrowywania na stole. Nastawy na ten dzień podaje mu dowódca na rozpuszczalnym w wodzie papierze. (Żeby się nic nie stało, również wtyczki kodów w maszynie są rozpuszczalne w słonej wodzie.)

Oficer szyfrowy! Tego jeszcze nam brakowało. Jakieś nowe przedstawienie, coś szczególnie chytrego, supertajnego.

– Miejmy nadzieję, że to będzie szybko – mruczy Stary.

Pierwsze słowo, jakie drugi oficer uzyskuje, brzmi „Dowódca!” To oznacza, że drugi oficer musi cały tekst przepuścić przez swój aparat, ale również nie uzyska nic sensownego. A więc trzykrotnie zaszyfrowana wiadomość. Po drugim oficerze dowódca musi jeszcze sam wykonać całą robotę od początku według nastawy, która tylko jemu jest znana.

Zaciekawione spojrzenia: coś niezwykłego. Tego jeszcze nigdy nie było. Co tam w trawie piszczy? Stary znika wraz z maszyną do szyfrowania w swojej przegrodzie. Każe przyjść pierwszemu oficerowi. Obaj przez dobre pięć minut grzebią się w papierach. Istna burza. Kiedy Stary zjawia się znowu, nie mówi ani słowa. Powszechne milczenie.

– Interesujące – mruczy wreszcie Stary. Więcej ani słowa, mimo że wszystkie spojrzenia wiszą na jego ustach. Dopiero po paru minutach odzywa się: – Dostaliśmy nowy port przeznaczenia!

Jego głos nie brzmi tak obojętnie, jakby prawdopodobnie chciał. Wydaje się, że coś nie jest w porządku z tym nowym portem.

– Tak? – pyta główny mechanik beznamiętnym tonem, jakby nie interesowało go szczególnie, gdzie okręt ma otrzymać zaopatrzenie.

– La Spezia – prycha dowódca.

– Jak proszę? – wyrywa się głównemu mechanikowi.

– La Spezia... dokładnie tak, jak powiedziałem. Czy pan ostatnio ma osłabiony słuch, czifie?

Dowódca podnosi się, idzie do swego przedziału i znika za zasłoną. Słyszymy, jak grzebie w szafce.

Widzę przed sobą mapę Europy. Każdy załamek linii brzegowej. Jako piątoklasista nie miałem sobie równych w rysowaniu z pamięci mapy Europy. La Spezia – Włochy.

Ładny gips! Czuję pustkę w żołądku. Strach tkwi we mnie głęboko, zwijam się i łapię powietrze jak ryba.

Drugi oficer jąka: – To oznacza przecież...

– Oczywiście, Morze Śródziemne! – przerywa mu szorstko czif. – Potrzebni jesteśmy więc na Morzu Śródziemnym. – Czif przełyka. Jego jabłko Adama porusza się wyraźnie w górę i w dół: – A więc do Gibraltaru!

– Gibraltar... – mówi drugi owu i patrzy na ranie z otwartymi ustami.

– Dżebel al Tarik!

– Co?

– Gibraltar po arabsku: góra Tanka.

Gibraltar: skała zamieszкана przez małpy. Duże zdjęcie: małpia matka z małpiątkiem przy brzuchu, błyszczące zęby. Brytyjska kolonia. Słupy Herkulesa. Most narodów między Europą, Azją i Afryką. Film „Prom gibraltarski” – kapitan z czarną kobietą w Afryce i białą w Europie. Afryka, ole! Tanger! Konwoje gibraltarskie! Połowa angielskiej floty w Gibraltarze. W mojej głowie brzmi teraz jakby popsuta płyta: Gi-bral-tar, Gi-bral-tar.

Starego też to pięknie wkurzyło. Wątpię, czy jest ciekawy Morza Śródziemnego. A zwłaszcza portu bazowego gdzieś we Włoszech. Führer rozkazał, my ponosimy skutki! Słusznie, oto jest motto. To należałoby wypisać świecącymi literami na przykrywie skrzyni po cytrynach i zawiesić w centrali.

Teraz informacje radiowe z ostatnich tygodni zaczynają dla mnie nabierać sensu: Afryka północna. Ciężkie walki pod Tobrukiem. Natarcie Anglików drogą nadbrzeżną na zachód. Morze Śródziemne musi się roić od angielskich frachtowców i okrętów. A teraz okręty podwodne mają wyjaśnić sytuację?

Widzę dokładnie mapę Cieśniny Gibraltarskiej i rzucam na nią w myśli odrażająco szczelny system urządzeń namiarowych, sieci, gęstych kordonów dozorców, min i wszelkich szykan.

Jestem jeszcze jak ogłuszony, nie mogę jasno myśleć. Gdzieś w mojej głowie coś myśli i uporczywie powtarza jedno: NA STOCZNIĘ. Nasze żelazko powinno iść na stocznię po tych wszystkich uszkodzeniach. Co to za bzdura? Niechby ten Stary zaczął wreszcie mówić rozsądnie!

– Paliwo... paliwo – słyszę coraz to z centrali. I znowu: – Paliwo. – Raz mówi to dowódca, raz sternik.

Potem słyszę: – Na kurs dziewięćdziesiąt stopni!

Dziewięćdziesiąt stopni? Prosto na wschód? Teraz już nic nie rozumiem.

Gdy Stary wraca z centrali ze ściągniętą twarzą, jakby jeszcze wyliczał nowe kursy, siada przy stole, czekamy wszyscy na pytanie głównego mechanika: „Skąd wziąć paliwo?”

Ale usta głównego mechanika są jakby zalepione plastrem.

Stary przez dobre pięć minut drapie się po brodzie. Potem warczy: – Zaopatrzenie w Vigo!

Vigo... Vigo... Vigo! Co to znowu znaczy? Vigo... jest przecież w Hiszpanii... albo w Portugalii. Gdzie też leży to Vigo?

Czif tak mocno wciągnął wargi do środka, że na policzkach wytworzyły mu się małe dołki. Wydaje z siebie tylko jeden dźwięk: – mhm.

– Bardzo to chwalebne dla dowództwa – szydzi Stary. – Oni myślą o wszystkim. Przede wszystkim o swoich kłopotach. Dwieście pięćdziesiąt mil morskich mniej... plus minus. To się prawdopodobnie nam uda, nawet bez żagli... No, czifie, co pan teraz mówi?

Kalendarz wskazuje czternastego grudnia, dzień, w którym właściwie powinniśmy wchodzić do portu. Teraz chcą, żebyśmy zamiast po francusku, wchodzili po hiszpańsku, a potem jeszcze po włosku. A więc całkiem po międzynarodowemu. Powitanie z kastanietami zamiast wielkoniemieckiej orkiestry dętej i ze stuletnim sherry zamiast piwa z puszek.

Hiszpański ogród, hiszpańska mucha, co jeszcze jest hiszpańskiego?

– Wszystko najlepiej załatwione – mówi Stary. – Nie musi pan w ten sposób patrzeć, czifie! Dostaniemy paliwo w dowolnych ilościach, a również torpedy. I, oczywiście, prowiant, że tak powiem, właściwe zaopatrzenie, dokładnie jak w macierzystym porcie!

Skąd on to wszystko wie, pytam samego siebie. Przecież radiogram był dość krótki.

– Moja droga, czego więcej chcesz! – nuci główny mechanik.

Stary spogląda na niego z dezaprobatą.

Przypomina mi się, że ten rejs miał być ostatni dla głównego mechanika. To przecież jego dwunasta wyprawa. To już jego drugi okręt. Obecnie mało jest takich, co przeżyli dwanaście rejsów. I teraz, na samym końcu, oferuje się czifowi jeszcze raz coś szczególnego?

Nazywajmy rzecz po imieniu: najlepsze możliwości pójścia na dno, niewątpliwie na minutę przed zamknięciem bram.

Zrywam się i wychodzę przez właz.

Załoga jeszcze nie ma pojęcia, co nas czeka. Ale zrobią oczy! Zamiast służy St.-Nazaire z orkiestrą dętą jakiś tam makaroniarski port, a wcześniej jeszcze cała kupa przykrości.

Że coś tam się knuje, lordowie już chyba wiedzą. Naraz wszyscy mają napięcie albo ciekawość na twarzach. Cisza po radiogramie może tylko oznaczać, że okręt otrzymał bardzo poważną wiadomość. Jest rzeczą oczywistą, że każdy przytomny człowiek zwróciłby uwagę na zmianę kursu, która wkrótce potem nastąpiła. W każdym razie nie jest to kurs do portu macierzystego.

Gdy wchodzę do pomieszczenia, wszędzie milkną rozmowy. Zwracają się ku mnie pytające twarze. Ale póki Stary niczego nie podał do wiadomości, muszę, chcąc nie chcąc, pokazywać obojętną minę.

Do tej pory jeszcze nie skomentował rozkazu ani słowem, ale jego zmroczniała twarz jest wystarczająco wymowna: czy przerwanie się na Morze Śródziemne jest w ogóle możliwe? A jeśli tak, co będzie dalej? Nad Morzem Śródziemnym nieprzyjacielskie dozоровanie z powietrza jest ułatwione dzięki wielu bliskim bazom na lądzie i bez porównania gęściejsze niż nad Atlantykiem. Czy okręty podwodne mogą tam w ogóle operować w ciągu dnia? Przy korzystnym kącie widzenia i odpowiednim świetle w Morzu Śródziemnym z samolotu widać podobno okręt podwodny jako cień nawet do sześćdziesięciu metrów głębokości.

Na szerokim czole bosmana znajduje się nad prawą brwią blizna, idąca skośnie do nasady nosa. Ilekroć jest zdenerwowany, blizna zabarwia się czerwono.

Starszy sternik nie ma innego tak pewnego „wskaźnika emocji”. Uduje całkowicie obojętnego. Gra twardego faceta. Teraz zmienia dowódcę przy pulpicie z mapami. Jak tygrys, który zajmuje się swą zdobyczą, warczy na każdego, kto się tylko zbliży. W ten sposób nikt nie może wiedzieć, na której mapie akurat działa swoimi ekierkami i cyrklami.

– Teraz idziemy już całą godzinę zmienionym kursem – mówi Turbo półgłosem i w tonacji opadającej, przechodząc z rufy przez centralę.

– Mądre dziecko, od razu wszystko zauważasz! – szydzi Hacker. – Powinni cię przeznaczyć do rozmnożenia.

Już godzina! Cała godzina, sześćdziesiąt minut. Żebym się nie uśmieł! Co to jest dla nas godzina? Ile godzin włóczyliśmy się bez sensu, ile przebrzmiałych godzin

schematycznego pływania minęło bez celu! Właśnie z rozkazem powrotu wartość godzin zaczęła jednak wzrastać. Teraz mielibyśmy jeszcze sto czterdzieści godzin do wejścia, zakładając że sytuacja będzie normalna. Sto czterdzieści jednostek czasu po sześćdziesiąt minut przy oszczędnościowej prędkości marszowej i bez lotników. Całą naprzód wystarczyłoby prawdopodobnie tylko trzydzieści godzin, ale cała naprzód nie wchodzi w rachubę. Tak czy inaczej nieaktualne. Zmiana programu!

Prędkość marszowa. Na torturach, w bojaźliwej ciekawości, ludzie spędzają drugą godzinę. Stary ciągle jeszcze w milczeniu przetrawia wszystko.

Kiedy w mesie podoficerskiej chcę wziąć przybory do pisania, słyszę: – Komiczny kurs... – No, tak, może wyższe szarże chcą podziwiać zachód słońca na Biskajach. – W Nazaire już nie postawisz sobie patyka i nie pochlasz, masz to z głowy, sprawa wygląda całkiem śmierząco.

Milczenie.

Nagle słyszę znajome trzaski w głośniku. Nareszcie! Dowódca!

– Uwaga: otrzymaliśmy nowy port bazowy. La Spezia. To jest, jak wiadomo, na Morzu Śródziemnym. Zaopatrzenie w Vigo. To leży w Hiszpanii.

Żadnego komentarza, ani słowa wyjaśnienia, żadnego owijania w bawełnę, nic. Dowódca mówi jeszcze: – Koniec – i potem znowu coś trzaska w głośniku.

Matowie wolnej wachty oniemiała wytrzeszczają oczy. Mat elektryków Rademacher wybałusza oczy na swoją kanapkę, jakby ktoś obcy wcisnął mu ją do ręki. Wreszcie przełamuje milczenie Frenssen: – Ale gówno!

– Jak cholera! – wypowiada się głośno ktoś następny.

Stopniowo staje się jasne, co oznacza ten rozkaz: nie ma powrotu do bazy, która dla wszystkich stała się drugą ojczyzną. Nie będzie cumowania z fasonem, żeby kozy z łączności i sanitariuszki z wielkimi bukietami kwiatów w nakrochmalonych fartuchach miały co podziwiać. Urlop świąteczny? Najprawdopodobniej również diabli wzięli.

A teraz wszyscy się oburzają: – Ale bzdura! Im pewnie się króliki w głowie pierdola... – Możesz wysiąść, jeśli ci nie pasuje! – Człowieku, gdybym ja to przewidział!

Szukam spojrzeniem podchorążego. Przysiadł na swojej koi, ręce zwisają mu między kolanami. Jest błądy i nieruchomo patrzy w przestrzeń.

– Czif będzie dopiero zachwycony! – mówi Frenssen. – Jesteśmy prawie na zdechu. Niemal bez ropy i bez torped, co to ma znaczyć ta bzdura? – Hiszpania jest przecież neutralna... – Inni też sobie pozwalają. – To wygląda na decyzję z za zielonego stołu! – Że coś takiego może nastąpić, nikomu się nie przyśniło... – Wesole będzie!

W przedziale dziobowym panuje nadal przygnębiające milczenie. Brzęczenie kotła między wyrzutniami torped słychać nienaturalnie głośno.

– Przecież to się nie uda – mówi wreszcie Ario.

– Nie łam sobie głowy za dowództwo – odpowiada Dunlop. – Nie słyszałeś nigdy o statkach zaopatrzeniowych?

– W takim razie co to ma wspólnego z Hiszpanią... z... jak się nazywa ta dziura?

– Vigo!

– Gównno! – mówi Böckstiegel i powtarza jeszcze dwa razy: – Gównno, gównno! – A potem: – Sram na to koncertowo!

– Oni przecież... oni przecież... oni przecież całkiem zwariowali! – Jednotancerz jąka się ze zdenerwowania. – Morze Śródziemne! – Wkłada tyle pogardy w to słowo, jakby mówił o śmierdzącej kloace.

Turbo jest zatroskany: – W takim razie jesteśmy już całkiem spisani w St.-Nazaire. Co zrobią więc z naszymi workami i rzeczami?

– Będą dołączone do spadku po tobie! – uspokaja go Ario.

– Zamknij mordę! – krzyczy Jednotancerz. Takich dowcipów nikt nie znosi.

– Święta u makaroniarzy... Człowieku, kto by to pomyślał!

– Dlaczego u makaroniarzy? Kiedy dostaniesz urlop, wszystko jedno, czy jedziesz w poprzek Francji, czy w poprzek Włoch...

– Wzdłuż Włoch! – poprawia Hagen.

– No tak! – mówi Ario zrezygnowanym tonem i myśli pewnie to, czego nikt nie waży się powiedzieć: „Najpierw się tam dostać... do tych makaroniarzy!”

– Gibraltarc... Co tam jest właściwie takiego złego? – dowiaduje się ostrożnie badacz Pisma Świętego.

– Cymbał zostanie cymbałem, nie pomogą mu żadne pigułki – mówi ktoś z hamaka. A z dolnej koi: – I coś takiego żyje, a Schiller musiał umrzeć.

– Nie ma pojęcia o geografii, ten szmaciarz! Masz wyobrażenie, jak wygląda Gibraltar? Człowieku, tam jest wąsko jak w piździe dziewicy. Musimy nasze żelazko dobrze posmarować wazeliną, jeśli się chcemy przedostać.

Ogólne zdumienie. Przez chwilę wszyscy milczą.

– Tak jest rzeczywiście – zabiera wreszcie głos Hagen.

– Więc co?

– Więc to, że się zaklinujesz w piździe i się nie wydostaniesz, To już się zdarzyło

jednemu koledze. Ugrzązł z palantem na amen, jak w imadle.

– Bujasz!

– Pod słowem!

– A co się wtedy robi?

– Nic nie pomoże, tylko lekarz. Musi facetce zrobić zastrzyk...

Turbo, który jest bardzo dokładny, nie zadowala się tym wyjaśnieniem: – A jak sprowadzisz doktora, kiedy siedzisz w babie?

Gibraltar na chwilę stracił swoją grozę.

– Nie mam pojęcia. Może krzyczeć?

– Albo czekać, aż śnieg spadnie!

W centrali spotykam dowódcę.

– Przynajmniej raz coś innego – zaczepiam go.

– Wesoło! – mówi mrukliwie. Odwraca się i obserwuje mnie badawczo. Jak zwykle żuje ustnik nie palącej się fajki. Stoimy przez dłuższą chwilę naprzeciw siebie jak dwa pomniki, aż wreszcie Stary robi zachęcający gest ręką. Siadamy obaj na skrzyni z mapami.

– Szlaki zaopatrzenia powinno się to prawdopodobnie nazywać. W Afryce pali się, a my się mamy bawić w straż pożarną. Komiczny pomysł: okręty podwodne na Morze Śródziemne. Przy tym już na Atlantyku mamy ich za mało...

Próbuję być sarkastyczny: – To nie jest właściwa pora roku na Morze Śródziemne. DOP źle to jednak zaplanował...

– Wydaje się, że to nie jego pomysł. DOP już wszystkimi środkami bronił się przeciwko temu, by okrętów podwodnych używano jako meteorologicznych. Potrzebujemy przecież każdego frontowego okrętu. Na co innego niż na bitwę atlantycką zbudowano typ VIIC?

Właśnie dlatego, myślę, byliśmy mocni. Okręt bojowy zdany na samego siebie. Teraz jesteśmy tylko obiektem wyższej strategii. Skręcają nam nos ku Hiszpanii, kierują zdalnie, a nasz plan wejścia i wszystko, co się z tym łączy, jest do bani...

– Ładnie na tym wyszedł nasz czif – zaczyna dowódca, utykając. – Jego żona... ma mieć w tych dniach rozwiązanie. Specjalnie tak wszystko ładnie wyliczyliśmy z urlopem. Nawet taki długi rejs był wkalkulowany. Ale, oczywiście, nie takie rzeczy... Nie mają nawet własnego najskromniejszego mieszkania. Całkowicie ich zbombardowano podczas przedostatniego rejsu. Mieszkają u jej matki w Rendsburgu. Teraz czif się boi, że coś może być niedobrego. Zrozumiałe. Coś jest nie w porządku z jego żoną. Przy poprzednim porodzie

mało nie umarła. Dziecko urodziło się martwe.

Po raz pierwszy mówi się tu o życiu prywatnym. Po co Stary mi to wszystko opowiada? To do niego zupełnie niepodobne.

Godzinę po jedzeniu już wiem. Przy pisaniu dziennika działań bojowych Stary spostrzega, że chcę przejść koło niego, mówi: – Chwileczkę – i każe mi usiąść na swojej koi. – Chcę wysadzić pana w Vigo... Pana i czifa – mówi. – Czif miał przecież się wyokrętować po tym rejsie... oficjalnie.

– Ale...

– Niech pan nie odstawia bohatera. Myślę jeszcze nad radiogramem. W jakiś sposób przeprowadzą pana razem z czifem przez Hiszpanię... dla mnie mogą was nawet przebrać za Cyganów.

– Ale...

– Żadnego ale. Samemu byłoby trudno. Zastanowiłem się. Mamy tam agentów, już jakoś pana przemycą.

W głowie wiruje mi rój myśli: opuścić teraz okręt? Jak to będzie wyglądało? W poprzek Hiszpanii? Co ten Stary sobie myśli?

W centrali spotykam głównego mechanika: – Wie pan już o tym... Stary chce nas wysadzić!

– Co to ma znaczyć?

– Mamy wysiąść w Vigo. Pan i ja.

– A to jak? – czif ściąga wargi. Widzę, jak jest poruszony. Nie potrzebuje udawać, przecież wiem wszystko. Wreszcie mówi rzeczowo: – Chciałem tylko wiedzieć, jak Stary da sobie radę z baranią głęba... I to właśnie teraz! – Więcej się nie odzywa. Potrzebuję paru chwil, by się zorientować: mówiąc barania głęba, ma na myśli swego następcę.

Podchorąży... Gdybyśmy mogli jeszcze zabrać podchorążego, myślę.

Kiedy następny raz przechodzę przez centralę, starszy sternik jest przy stole nakresowym. Teraz na mapie morskiej może wykreślić naszą drogę jedną prostą kreską. Wszyscy są zajęci. Ale każdy wykonuje swoją pracę, nie podnosząc głowy do góry. Każdy próbuje samotnie uporać się ze swoim rozczarowaniem i troskami.

Następnego dnia groza minęła. Od hiszpańskiego brzegu przy tej prędkości oddziela nas tylko cztery dni drogi. O wiele mniej, niż można było wnosić po ogólnym spadku nastrojów. Ludzie wzięli się w karby. Z mojej koi znowu słyszę znane rozmowy.

– Ostatni raz miałem szczęście: z Savenay do Paryża w przedziale z jedną taką dzidzią

z łączności całkiem sam! Człowieku, to robi nastrój! Nie potrzebujesz się wcale wysilać, idzie ci jak po wazelinie do góry i w dół, jak pociąg podskakuje na złączach! A kiedy pociąg wpadł na zwrotnicę, o mało nie wyleciałem z tej dzidzi. Cha, cha, cha!

Dwie minuty później:

– Również nie robię tego w samochodzie... Człowiek nie ma tam wcale swobody ruchów. Nie, to nie dla mnie! To już lepiej każę jej oprzeć się na tylnych siedzeniach i zasuwam od tyłu... Z zewnątrz, na stojąco!

Przez szparę w zasłonie mogę patrzeć bezpośrednio na ożywioną wspomnieniami twarz Frensena: – Raz zaczęło padać. Moja żabcia została sucha... Ja natychmiast przemokłem do nitki! Z dachu lało się jak z rynny. Mogłem sobie zaraz po tym obmyć kutasa!

– Robiłeś to bez kondona?

– Jasne, człowieku, żabcia już wie, kiedy ma uważać!

Później słyszę: – ...postarał się jeszcze o przyjaciółkę. Przy tym jest już trzy lata żonaty. Teraz żyją na krzyż... we trójkę!

– Tak, tak.

– Nie, to nie jest szczególnie wrażliwy facet!

– Czy do tego musi być szczególnie wrażliwy?

Trzeciego dnia po rozkazie gibraltarskim, tuż przed południem, pod koniec swojej wachty starszy sternik melduje, że widać jakiś pływający obiekt. Wychodzę za dowódcą. Starszy sternik ukierunkowuje go: – W prawo czterdzieści pięć stopni!

Obiekt jest jeszcze oddalony o jakieś tysiąc metrów. Stary każe skierować się w tamtą stronę. Łódź ratunkowa to nie jest – raczej jakaś bezkształtna płaska bryła. Prawie nie ma fali. Wygląda tak, jakby obiekt dryfował na nas. Nad nim wisi jakaś dziwna chmura, jakby rój os. Mewy? Dowódca wdycha głęboko powietrze. Nie mówi ani słowa. Odejmuje szkła od oczu i odzywa się wreszcie: – Żółte plamy... to jest tratwa!

Teraz i ja rozpoznaję tratwę przez lornetę. Nie obsadzona tratwa z jakimiś beczkami na boku. Beczki? Czy też są to odbijacze? – Tam wiszą ludzie! – mówi starszy sternik, patrząc przez szkła.

– Rzeczywiście!

Stary podaje poprawkę kursu. Nasz dziób steruje znowu dokładnie na tratwę.

– Tam już nikt się nie rusza!

Patrzę przez lornetkę. Dryfujący obiekt robi się coraz większy. Czy to już słychać przenikliwe krzyki mew?

Dowódca każe zejść z pomostu obu wachtowym.

– Starszy sterniku, niech pan przejmie sektory!... To z pewnością nie jest widok dla ludzi – mruczy do mnie.

Każe teraz dać ster lewo na burt. Podchodzimy szerokim łukiem. Nasza fala dziobowa sięga do zwłok, które wiszą dokoła tratwy w wodzie. Kolejno zaczynają się kiwać jak automatyczne manekiny na wystawie.

Pięciu nieboszczyków przywiązanych do tratwy. Dlaczego nie leżą na tratwie, tylko wiszą na przytwierdzonych wokół niej linach? Ostry wiatr! Czy szukali w wodzie schronienia przed kłującym wiatrem?

Zimno i strach... Jak długo się je znosi? Jak długo wystarcza ciepło ciała wobec lodowatego, ściskającego serce zdrętwienia? Jak szybko obumierają człowiekowi dłonie?

Jeden wystaje z wody wyżej niż inni. Robi sztywne ukłony, które nie mają końca.

– Nie ma nazwy na tratwie – mówi Stary.

Jeden z martwych żeglarzy, wzdęty, dryfuje na plecach. Na jego kościach policzkowych nie ma już ciała. Mewy wyszarpały mu wszystkie miękkie części z twarzy. Na czasce pozostał tylko mały kawałek skalpu z czarnymi włosami.

To już nie są ludzie, raczej upiory, mary nocne, straszliwe zjawy... wszystko, tylko nie ludzie. Zamiast oczu mają doły. U jednego widać również kość obojczykową. Chociaż mewy nie zostawiły na nich ciała, zmarli wyglądają ślisko i szlamowato. Również strzępy koszul i kamizelek ratunkowych pokryte są zielonkawą galareta.

– Przybywamy z pewnością za późno – mówi Stary. Zachrypłym głosem podaje komendy na diesle i ster. Słyszę, jak mruczy do siebie: – Tylko szybko stąd odejść.

Mewy przelatują nad nami, skrzecząc przeraźliwie i złowrogo. Chciałbym mieć dubeltówkę, by je zestrzelić.

Bryła odpływa w tył. Zmniejsza się prędkość. Nasze spaliny zamazują jej kontury, zniekształcają ją.

– To byli ludzie z frachtowca!

Dobrze, że Stary mówi.

– Mieli te staromodne kamizelki korkowe. Na okrętach już takich nie używają. – A po chwili mruczy: – To nie jest dobry znak! – I daje rozkaz na ster. Potem czeka jeszcze dziesięć minut, zanim pozwoli wejść wachtowym na pomost.

Nie mogę się uporać z tym, co widziałem. Przerazenie wdarło mi się do piersi. Nie czuję się już dobrze na pomoście i schodzę w dół. Nie mija dziesięć minut i dowódca również się zjawia. Widzi mnie, jak siedzę na skrzyni z mapami, i mówi: – Z mewami prawie zawsze

tak jest. Raz znaleźliśmy dwie łodzie ratunkowe. Tam także wszyscy byli martwi. Prawdopodobnie zamarzli. Także wszyscy bez oczu!

Jak długo mogli tamci dryfować przy swojej tratwie? Nie śmiem spytać o to Starego.

– Najlepiej – mówi Stary – jak się trafi zbiornikowiec z benzyną. Od razu wylatuje w powietrze. Nie ma takich problemów. Jednak z ropą, niestety, wszystko wygląda już inaczej!

Jakkolwiek wachtowi, nim dowódca odesłał ich na dół, wiele nie widzieli, widocznie już rozeszło się po okręcie, co dryfowało w wodzie. Ludzie odzywają się monosylabami. Również główny mechanik musiał coś zauważyć. Spogląda na Starego pytająco. Potem szybko opuszcza oczy.

Na temat rozbitków w mesie P nie mówi się ani słowa. Nie słyszę nawet zwykłych trywialnych wyrażen, którymi ludzie zazwyczaj kryją swoje prawdziwe uczucia. Można by myśleć, że zebrali się tutaj szczególnie gruboskórni i tępi faceci, których nie wzruszają losy innych. Ale milczenie, które nagle zapadło, i drażliwość, świadczą jednak o czymś innym. Jestem pewny, że niejeden sobie wyobraża, iż to on bezwładnie zwisa teraz przy tratwie albo dryfuje w łodzi. Każdy na pokładzie wie, jak małe są zawsze szanse, by tratwa z rozbitkami została w tym rejonie morskim odnaleziona, i jaki jest ich los nawet wtedy, gdy morze jest spokojne. Ludzie, którzy stracą swój statek w konwoju, prędzej mogą liczyć, że zostaną wyłowieni. Po drodze są jednostki poszukiwawcze, wiedzą, gdzie zdarzyło się nieszczęście, i są nastawione na ratowanie. Ale to nie byli ludzie z konwoju. Inaczej byłoby widać jakieś szczątki, a nie tylko tę pojedynczą tratwę.

Podejście do Vigo będzie trudne. Od wielu dni nie mamy porządnego namiaru. Przez cały czas mglista pogoda. Bez słońca, bez gwiazd. Starszy sternik wprawdzie zliczał, jak tylko mógł, ale znosu przez prąd nie może dokładnie wkalkulować do swoich rachunków – Bóg wie, jak daleko znajdujemy się od pozycji zliczonej. Wiele mew towarzyszy okrętowi. Mają na wierzchu czarne skrzydła, które są węższe, ale za to dłuższe niż u mew atlantyckich. Wydaje mi się, że mógłbym już wyczuć ląd.

Nagle ogarnia mnie dławiąca tęsknota za stałym lądem. Jak on może teraz wyglądać? Jest późna jesień... prawie już zima. Na naszym okręcie tylko przez skracanie się dni poznajemy, że rok dobiega już końca. Jako dzieci w tym czasie piekliśmy ziemniaki w ogniskach i wypuszczaliśmy własnoręcznie zmajstrowane latawce, które były większe niż my.

Wtedy spostrzegam: omyłka. Czas pieczenia ziemniaków już dawno minął. Moje poczucie czasu nie funkcjonuje, od dawna się rozleciało. Poza tym widzę mlecznobiały dym,

który jak olbrzymia gąsienica wije się nad wilgotną ziemią. Łęty nie chcą się dobrze palić. Tylko gdy dmuchnie wiatr, ognisko rozjarza się na czerwono. W gorącym popiele pieczemy wtedy ziemniaki... Niecierpliwe próby twardymi żdźbłami, czy już są miękkie. Pękająca czarna skórka. A potem wciśnięcie zębów w żółtawe mączne wnętrze! Smak dymu na języku! I zapach dymu, który jeszcze całymi dniami utrzymywał się w ubraniu! Kasztany we wszystkich kieszeniach! Żółte palce od obierania włoskich orzechów! Białe mózdzki, które tylko wtedy dobrze smakują, kiedy się ostrożnie ściągnie żółtą skórkę ze wszystkich wgłębień, gdyż inaczej są gorzkie.

Nawet starszemu sternikowi napięcie rozwiązało język. Nie potrzebuję stać przy nim, przestępować z nogi na nogę i rzucać zachęcających spojrzeń – tym razem mówi sam z siebie i pokazuje cyrklem ołówkowe kreski na mapie: – Czego oni nie wymyślają! A jeśli nawet już tam będziemy, jak mamy znaleźć właściwy statek w nocy? Przecież tam stoi nie tylko ta jedna łajba.

Kriechbaum daje wyraźnie do zrozumienia, że to wszystko uważa za całkowicie pomyłony pomysł: – No, tak czy inaczej, coś nowego!

Zjawia się Stary i pochyla nad mapą. – Musimy najpierw podchodzić według kątowych punktów wysp – mówi. – Jak nazywa się ta wyspa przed zatoką?

– Tu powinny być latarnie pod kątem sześćdziesięciu dziewięciu, trzy w linii. Ale z pewnością wygasili je wszystkie. Nieco skomplikowane.

– W zatoce mamy głębokość trzydziestu metrów!

Wyjście południowe musimy również dokładnie obejrzeć.

Godzina szósta rano.

Ciemne, okrągłe wycięcie włazu kiosku przesuwa się z boku na bok, po paru gwiazdach mogę rozpoznać jego ruchy. Wychodzę na górę koło sternika wachtowego, który siedzi przyciśnięty do przedniej ściany kiosku między swoimi przyrządami.

– Można na pomost?

– Tak jest! – słyszę w odpowiedzi głos drugiego oficera.

Lewą ręką chwytam za występ włazu, prawą za klamrę przy studziencie peryskopu i wyciągam się z luku. Chłodny wiatr uderza mnie w twarz. Jest naładowany wilgocią i przyprawia mnie o dreszcz. Jakby z wewnętrznej potrzeby przeszukuję najpierw horyzont, nim rozpocznę oglądanie nieba. Horyzont jest czysty.

– Przed godziną wiatr skręcił na zachód – mówi drugi oficer.

Wachtowi stoją bez ruchu. Ich szkła wędrują od jednej granicy ich sektoru do drugiej,

tam i z powrotem, bez przerwy. Od czasu do czasu któryś z nich opuszcza szkła i przez chwilę obserwuje gołym okiem. Spojrzenie na cały sektor, na niebo przede wszystkim, potem przykłada znowu szkła do oczu, by przepatrzeć dziewięćdziesiąt stopni horyzontu milimetr po milimetrze.

Na zachodzie zalega jeszcze gęsta ciemność. Na wschodzie noc się przejaśnia. Od horyzontu podnosi się cieniutka warstwa zielonkawego światła, rozplywa coraz bardziej i na coraz większych odcinkach horyzontu oddziela jasność od ciemności. Dość wysoko na niebie wydobywa z mroku parę chmur i rozjaśnia ich krawędzie.

Płyniemy przez szarówkę poranną jak okręt duchów. Plusk fal, które liżą wybrzuszenie zbiornika balastowego, brzmi jak z bardzo daleka. Szum odkosów jest prawie niesłyszalny. Nad wodą leży mgła, która stopniowo dzieli się na pasma, wygląda to tak, jakby woda dymiła. Przez mgłę bez żadnego dźwięku płynie zimny wiatr.

Stopniowo mgła się podnosi. Miękkimi falami nadchodzi przedświt. Pierwszy brzask rozjaśnia nocne niebo. Pod jego dotknięciem wzdryga się i dygocze.

Drugi oficer zwraca twarz ku włazowi: – Do dowódcy: początek brzasku! – A potem: – Do starszego sternika: okazja do strzelania gwiazd!

Gmachy chmur zapalają się. Bardzo szybko całe wschodnie niebo staje w ogniu. Ametystowe światło przelewa się ponad krawędzią horyzontu i rozszerza coraz bardziej. Żar i ogień. Między tym chmury jak ciemny dym z fioletowym zabarwieniem przy dolnych krawędziach. Tumult na niebie. Morze żarzy się. Płyniemy przez czerwień. Również na naszym pokładzie błyszczą czerwona poświata.

Teraz słońce wysuwa swój górny skrawek nad horyzont. Na kilka chwil niebo barwi się zielonkavo i nabiera niebieskoszarego odcienia, który blednie nad morzem. Słońce szybko idzie w górę, ale zyskuje mało blasku, natomiast chmury tracą swoją barwę i woda staje się znowu ciemna. Na ciemnej płaszczyźnie białe pasma piany wyglądają jak pęknięcia.

Morze wygląda dziś jak zmniejszone podgórze. Okrągłe, wygładzone pagórki, wznoszące się i opadające, i przecinające się linie. Pagórki przetaczają się pod okrętem. Podnoszą nas i opuszczają. W podmuchu wiatru na ich bokach pojawiają się bruzdy i zmarszczki. Tuzin mew krąży nad okrętem, nie ruszając skrzydłami. Ich upierzenie błyska oslepiająco i znowu matowieje, gdy skręcają pod słońce. Wyciągają głowy i patrzą na nas paciorkowatymi oczami.

Podczas wachty starszego sternika robi się znowu mglisto. Starszy sternik ma zatroskaną minę. Jesteśmy blisko brzegu, nie znając dokładnie pozycji okrętu, a do tego jeszcze mgła. Dla nawigatora nie ma nic gorszego. Ponieważ jakkolwiek namiar musimy

mieć za wszelką cenę, Stary każe podejść do brzegu na powolnie burczących dieslach.

Pierwszy oficer jest również na pomoście. Wszyscy w napięciu wpatrujemy się w wodnistą zupę mleczną. Coś tam się rusza w mętnej szarzyźnie i szybko nabiera kształtów: kuter rybacki, który przecina nasz kurs.

– Moglibyśmy go spytać, gdzie jesteśmy – burczy Stary. – Panie pierwszy, pan przecież umie po hiszpańsku?

– Tak jest, panie kapitanie!

Pierwszemu potrzeba trochę czasu, by spostrzec, że Stary kpi.

– To by się dopiero zdziwił, gdybyśmy zaczęli go wołać! Tak z mgły!

Stopniowo wiatr potężnieje, mgła robi się coraz cieńsza i nagle wiatr podrywa białawe strzępy w górę i tuż przed nami wyskakuje skalisty brzeg.

– Smacznego! – wrywa się Staremu. – Silniki stop... stop! Podeszliśmy o wiele za blisko.

– Miejmy nadzieję, że nie ma tam spacerowiczów na górze – mamrocze Stary. – No, niezbyt odpowiednia pogoda na przechadzki.

Nasze odkosy dziobowe opadają. Nagła cisza zapiera mi dech. Pomost zaczyna się kołysać. Stary nie odejmuje już szkieł od oczu. Również starszy sternik intensywnie bada brzeg.

– Pierwszorządnie, starszy sterniku – mówi wreszcie Stary. – Zdaje się, że trafiliśmy dokładnie tam, gdzieśmy chcieli, tylko trochę za blisko! No, teraz zastanowimy się spokojnie nad wejściem, a potem obejrzymy sobie ruch. Oba silniki wolno naprzód! Kurs trzydzieści stopni!

Dyżurny sternik kwituje rozkazy.

– Głębokość? – pyta dowódca.

Pierwszy oficer nachyla się nad lukiem i powtarza pytanie.

– Osiemdziesiąt metrów! – przychodzi odpowiedź z dołu.

– Sondować na bieżąco!

Znowu napływają welony mgły.

– Może to wcale nie takie złe – mówi dowódca. – Rodzaj peleryny maskującej. Uważajcie tylko, ludzie, żebyśmy kogoś nie rozjechali!

Przybyliśmy w ten rejon o dwie godziny wcześniej, niż to pierwotnie wyliczono.

– Myślę, że najlepiej byłoby – zaczyna Stary rozwlekle – spróbować północnego wejścia... pod wodą... i może tamtędy również wyjść. W nocy pobrać zaopatrzenie, a potem przed świtem, tak koło czwartej, zmykać! Starszy sterniku, chciałbym możliwie dojść do

statku koło godziny dwudziestej drugiej. Sześć godzin... to musi przecież wystarczyć? Będziemy się musieli potężnie śpieszyć przy ładowaniu!

Żadnych latarni, namierników ani pław! Nic! Jednak w najłatwiejszych portach pilot pomaga każdemu statkowi przy wejściu i wyjściu. Mimo najdokładniej skorygowanych map na pokładzie, również przy najlepszej pogodzie, musi być pilot – tylko nas nie dotyczą te przepisy.

Chorągwie mgły podnoszą się znowu.

– Wszystko jest niepewne... Jednak lepiej czekać do zapadnięcia ciemności – słyszę Starego.

Schodzę z pomostu.

Zaraz potem dowódca każe iść w zanurzenie. Głębokość peryskopowa. Na silnikach elektrycznych zbliżamy się stopniowo do wejścia do portu.

Stary siedzi w kiosku na siodełku peryskopu, zwróciwszy czapkę daszkiem do tyłu, niby motocyklista z dawnych pionierskich czasów.

– Co to za szum? – pyta teraz nagłąco. Wszyscy nastawiamy uszu. Słyszę wyraźnie monotony szum, zagłuszany głuchymi uderzeniami.

– Nie mam pojęcia! – mówi starszy sternik.

– Komiczne!

Stary uruchamia silnik peryskopu i zaraz potem stopuje go. Wysuwa peryskop tylko na krótkie chwile.

– Do podłuchu: co słyhać na stu dwudziestu stopniach?

Herrmann odpowiada: – Mały diesel!

– Pewnie jakiś z żeglugi przybrzeżnej – słyszę z góry. – Znowu coś... i jeszcze jeden. I teraz łajba, pewnie mają tu generalne zebranie... ten jednak... Hopla! – A po chwili: – Znowu zła widzialność. Prawie nic nie widać! Musimy znaleźć jakąś łajbę, do której będziemy się mogli przyczepić.

– Czterdzieści metrów! – melduje człowiek przy echosondzie.

– Co by było, gdybyśmy po prostu stanęli na kotwicy? – pyta Stary.

Starszy sternik milczy. Prawdopodobnie nie uważa tego za poważne pytanie.

Kotwica? Rzeczywiście, wlecemy ze sobą ten symbol nadziei, jak zwykły statek. Czy okręt kiedykolwiek użył swojej kotwicy?

Dowódca każe pierwszemu, by go zmienił przy peryskopie, i ciężko schodzi w dół. – Za dwie godziny będzie ciemno, wtedy wejdziemy tak czy inaczej!

– Jak to wszystko dalej pójdzie? – ośmielam się zapytać.

– Dokładnie według planu! – odpowiada sucho Stary.

To „p” planu wypowiada ze specjalnym naciskiem, wyraźnie kpiąc z całej organizacji.

Wreszcie jednak decyduje się na wyjaśnienie: – W tajnych aktach, które otrzymaliśmy, są wskazówki właśnie na taki wypadek. Przez radio podano nam całkiem dokładny czas wejścia. W Vigo nasi agenci z pewnością zatroszczą się o to, co potrzeba, albo już to dawno zrobili.

– To miło – mruczy główny mechanik.

– Można powiedzieć.

– Czas do wynurzenia – melduje starszy sternik.

– No więc! – mówi Stary i podnosi się.

Niebieskoszary zmierzch. Wiatr wieje od brzegu. Przynosi nam zapachy łądu. Wietrzę jak pies, który jakby kłuf małymi pchnięciami swego nosa, i sonduję warstwy napływających zapachów: nieświeża ryba, ropa naftowa, rdza, spalona guma, smoła, ale między tym i poza tym jest jeszcze coś: zapach kurzu, ziemi, liści.

Diesle ruszają. Dowódca zdecydował widać iść na całego.

Rozbłykuje parę świateł pozycyjnych. Czerwone, zielone. Potem znowu jedno białe – wyżej niż tamte, więc musi to być światło topowe.

Drugi oficer melduje, że z lewej na trawersie zbliża się jakiś statek.

Stary nastawia szkła, stoi przez chwilę bez ruchu, potem każe zmniejszyć prędkość. – No, to wygląda całkiem... wygląda całkiem nieźle. On chce wejść do portu... bez wątpienia. No więc, no więc... teraz pięknie puścimy go przodem... Chyba to też statek żeglugi przybrzeżnej... ale z takich większych... Fabrykuje mnóstwo dymu... Pali prawdopodobnie starymi filcakami... Żeby tylko było troszkę ciemniej!

Stary nie kazał szasować do końca. Nasz górny pokład ledwie wystaje z wody. Kto nas nie widzi z boku, z trudem mógłby rozpoznać, że to okręt podwodny.

Stary kieruje teraz dziób na prawą zieloną latarnię przybysza. Patrząc od strony parowca, jesteśmy na tle wybrzeża, które zamazuje zarysy kiosku. Zawsze uważać na tło, to stara zasada!

Dowódca każe stopniowo kręcić bardziej w prawo. W ten sposób utrzymujemy zielone światło nad spychaczem sieci, aż do czasu, gdy zobaczymy również światło rufowe parowca. Teraz Stary każe zwiększyć nieco prędkość. Płyniemy dokładnie w śladzie torowym tamtego statku. Czuję jego dym.

– Do diabła – mówi Stary. – Uważać! Uważać, żeby ktoś nie zajechał z boku! Tutaj

muszą być promy i tym podobne rzeczy!

Bez przerwy obserwuję przez lornetę. Nagle z prawej wynurza się jakiś cień. Nie ma czasu, by umknąć! Przesuwamy się tak blisko niego, że widzimy żarzący się punkcik. Bez wątpienia to człowiek, który pali papierosa. Jeśli uważał, musiał nas widzieć – jako jakiś dziwny kształt, na pół zasnuty dymem.

Teraz mamy przed sobą trzy... cztery wielkie cienie. Zbliżają się? Oddalają? Co tam się dzieje?

– Duży ruch – mruży Stary, nie opuszczając szkieł.

Światła... światła rufowe... daleki łoskot.

– Chyba stoją na kotwicy – słyszę starszego sternika.

– Czyżby to już była reda wewnętrzna?

– Tak to wygląda.

Teraz w dali rozbłyskuje łańcuch świateł. Jest rozpięty dokładnie nad horyzontem, ale przerwany w paru miejscach. To mógłby być pirs, przy którym leżą statki. Te przerwy to prawdopodobnie cienie statków.

Po prawej burcie również pojawiają się parowce. Ich położenie trudno określić. Gdyby wszystkie statki na kotwicy stały w jednym kierunku, byłoby to prostsze. Ale jeden, bez wątpienia, zwraca ku nam rufę, a ten obok – swój dziób. Mimo ciemności jego sylwetkę można wyraźnie rozpoznać na tle świateł w oddali.

– Prawdopodobnie stoi na beczkach – mruży Stary.

Nie mam pojęcia, jak wśród tych parowców Stary odnajdzie właściwy, ten, który ma nas zaopatrzyć, niemiecki statek „Wezera”.

– Czas?

– Dwudziesta pierwsza trzydzieści!

– Wszystko gra fantastycznie!

Stary daje szybko dwie komendy na ster. Zdaje się, że są tutaj skomplikowane prądy – sternik wachtowy ma mnóstwo roboty.

Parszywie! Gdybyśmy chociaż mogli użyć reflektora. Szperać bez światła w cudzym mieszkaniu to jednak nieprzyjemna sprawa.

Tak czy inaczej są tu tłumy statków. Zdaje się, że również okręty. Tam, trzy kreski z prawej, to pewno kanonierka albo mały niszczyciel.

Stary każe zastopować silniki. Przez chwilę idziemy rozpędem, przy czym dziób ściąga nam w prawo.

– Teraz niech ktoś odnajdzie właściwą łajbę! – słyszę głos Starego.

Znowu komendy na silniki, potem na ster, nowe komendy na silniki, seria rozkazów na ster w szybkiej kolejności. Idziemy zygzakiem między wielkimi cieniami.

Komendy na ster i na silniki sypią się jedna za drugą.

– Zwariuję! – mamrocze drugi oficer.

– Coś mi się nie widzi – burczy Stary.

– Tam jedźcie tramwaj! – mówi drugi.

Co on powiedział? Tramwaj? Tak... Błękitna błyskawica, rzeczywiście tramwaj! Pałak, jakby na dowód tego, wrywa jeszcze ze trzy błyskawice z górnego przewodu.

Przed nami leży potężna ciemna masa. To są chyba sylwety kilku statków, które na siebie zachodzą.

– Ktoś tam błyska! – melduje starszy sternik.

– Gdzie?

Wyteżam wzrok. Przez ułamek sekundy w środku wielkiego cienia pojawił się mały punkt świetlny.

Stary obserwuje w milczeniu. Ognik papierosa błyska jeszcze raz, gaśnie, znowu się zapala.

– To sygnał! – mówi Stary i odycha głęboko.

Nie wierząc, wpatruję się w rozbłyskający i gasnący punkcik. To przecież jest mała ślepa latarka!

– Bardzo wysoko nas cenią – wrywa mi się.

– Coś wyraźniejszego mogłoby podpaść – mówi Stary.

Nasz okręt przysuwa się wolno do ciemnej masy, która stopniowo rozdziela się na trzy cienie: trzy statki w rzędzie. Na środkowym błyska światełko. Cienie rozchodzą się coraz bardziej. Płyniemy dokładnie na środkowy. Ma pozycję sto dwadzieścia, potem sto. Stopniowo rośnie, staje się blokującą ścianą. Stary każe skrócić. Nagle słyszę niemieckie słowa: – Uwaga! Dawać odbijacze! Dalej, dalej!... Człowieku, trzymaj się!... Tutaj, jeszcze jeden odbijacz!

Przeźren czarnej wody między wysklepieniem naszego lewego balastu i sterczącą pionowo ścianą statku robi się coraz węższa. Teraz już musimy zadzierać głowy, by rozpoznać sylwetki ludzi, którzy pochylają się nad relingiem.

Nasz bosman jest na górnym pokładzie. Klnąc, półgłosem gania ludzi wte i wewte. Ze statku zlatuje kilka odbijaczy.

– Ci przynajmniej się włączają! – mówi Stary.

– Chyba mają już trening! Czyżbyśmy byli tu pierwsi?

Stary nie odpowiada.

Ze statku, który jest zakotwiczony w pobliżu i w świetle reflektorów przyjmuje ładunek z lichtug, dolatuje morderczy łoskot. Stukanie wind nadaje takt.

– Całkiem dobrze, że taki hałas – mówi Stary.

Odrobina światła, przenikająca z iluminatorów, stanowi całe oświetlenie sceny przeznaczone dla nas.

Głuchy łomot.

– Ciekawe, jak się tam dostaniemy!

Ale już zostaje spuszczone drabina Jakuba. Wolno mi iść tuż za dowódcą. Jezu, jakie sztywne kości! Brak treningu! Z góry wyciągają się do nas ręce. Żelazne płyty dudnią pod stopami. Ktoś chwyta moją prawicę: – Serdecznie witamy, panie kapitanie!

– Nie, proszę... nie ja... tu... tu dowódca!

Oślepieni stoimy u wejścia do salonu: białe jak kwiat obrusy, dwa bukiety, fornirowane, błyszczące jak lustra ściany, ozdobnie sfałdowane zasłony przy iluminatorach, gruby dywan... Poruszam się jak we śnie. Wszędzie liściaste rośliny w kublach na podłodze, zwisające na złotych łańcuszkach z sufitu. Mój Boże! Wyściełane meble, a na stole winogrona w wazie.

W okolicy żołądka mam uczucie głębokiej nieufności: zaraz tu huknie i cały czar zniknie.

Patrzę na rozpromienioną pastorską twarz obcego kapitana, jakby był nadprzyrodzonym zjawiskiem: biała broda, mnisia tonsura wokół opalonej na brązowo łysiny, krawat i kołnierzyk...

Znowu ktoś mnie łapie za rękę. Uroczysty głos jak z wielkiej dali. Nowe zdumienie. Stary, Bóg mi świadkiem, mógłby włożyć na siebie coś innego niż ten swój odwieczny złachmaniony pulower. Wreszcie kierunek się zgadza. Skąd kapitan „Wezery” mógł wiedzieć, że ten ubrany w łachmany facet to nasz dowódca. Z pewnością się zaczerwieniłem. Ale Stary i kapitan „Wezery” podeszli do siebie: intensywne ściskanie dłoni, uśmiechy, chaotyczne słowa.

Sadzają nas w fotelach. Zjawiają się oficerowie „Wezery”. Święty Boże: wszyscy na galowo. Nowe uściski dłoni. Nowe uśmiechy. Stary mógł sobie spokojnie zawiesić order na szyi!

Kapitan rozplywa się w życzliwości. Kapitan jak z książki z obrazkami: pomarszczony, ogorzały, duże czerwonawe uszy. Chce, żeby nam było dobrze, jak tylko być może. Piekarnia pokładowa pracuje już pełną parą od rana. Jest wszystko: ciastka, świeży

chleb, co tylko chcemy. Ślina mi idzie do ust: przestać, na miłość boską, przestać!

– Również babki świąteczne i oczywiście świeże bułki! – mówi kapitan.

Mam jeszcze w uchu lubieżne opisy głównego mechanika: świeże bułeczki, roztopiające się żółte masło i gorące kakao!

Słucham jak anielskich pieni, gdy kapitan wylicza dalej: – Świeże kiełbasy, polędvice... dopiero dziś rano biliśmy wieprza. Kiełbasa pieczona. Wszelkiego rodzaju owoce, nawet ananasy. Pomarańcze w dowolnych ilościach. Świeże figi, winogrona, migdały...

Wielki Boże! Wylądowaliśmy bezpośrednio w rajskim ogrodzie. Od lat nie widziałem już ani pomarańcz, ani ananasów, a nigdy w życiu nie jadłem świeżych fig.

Kapitan syci się naszym milczącym zdumieniem. Potem jak czarodziej robi gest nad stołem i nie mija minuta, gdy wnosi się wielkie półmiski z kiełbasą i szynką.

Wyłażą mi oczy. Ale również Starego całkowicie zamurowało. Jakby nie mógł znieść tej obfitości, z wysiłkiem podnosi się z fotela i jąka: – Najpierw szybko zobaczymy, jak tam idzie.

– Wszystko gra jak najlepiej... Wszystko idzie... wszystko idzie dobrze! – zapewniają go z trzech stron, a kapitan wciska go znowu w fotel.

Stary siedzi zakłopotany i jąka: – Ściągnąć pierwszego... i głównego mechanika... Drugi oficer...

Zerwałem się już na nogi.

– Drugi oficer i drugi mechanik powinni tymczasem zostać na pokładzie!

– Wszyscy mogą się wykapać – woła za mną kapitan. – Na dwie zmiany. Wszystko przygotowane.

Kiedy po raz drugi zjawiam się w tej niezwykłej jasności, Stary nadal uśmiecha się z zakłopotaniem. Niespokojnie kręci się na fotelu, jakby nie dowierzał temu spokojowi.

Kapitan chciałby wiedzieć, jak przebiegała akcja okrętu. Stary zwija się z zakłopotania.

– Tak, tak. Tym razem porządnie nam się dobrali do skóry. Trudno wprost uwierzyć, co taki okręt może wytrzymać!

Kapitan kiwa głową, jakby mógł z tych nieskładnych słów dośpiewać sobie resztę.

Teraz ustawia się całą baterię piwa na wielkim stole. Piwo z Bremy. Do tego niemiecka żytniówka, francuski martel, hiszpański koniak, hiszpańskie wino czerwone.

Ktoś puka do drzwi. Kogo tam jeszcze niesie? Dwaj goście we frenczach ściągają z

głów miękkie kapelusze i szybko rozglądają się, jakby szukali przestępcy. Wygląda to jak wejście policji kryminalnej.

– Pan Seewald, przedstawiciel naszego ataszatu morskiego – słyszę.

Drugi typ wygląda na kogoś w rodzaju agenta. Przeciskają się do nas pierwszy oficer i główny mechanik. Salon się wypełnia.

Bije mi serce. Teraz się rozstrzygnie, czy dla mechanika i dla mnie nastąpi koniec podróży, czy czeka nas Gibraltar.

Przysuwają nowe fotele. Stary przerzuca już papiery, które wręczył mu z formalnym ukłonem wyższy z przybyszów.

Przez kilka chwil słychać tylko szelest papieru i od czasu do czasu wycie wiatru w porywach.

Teraz Stary znad papierów spogląda na głównego mechanika i mówi: – Odmowa, czifie. Dowództwo odrzuciło wniosek!

Nie ważę się spojrzeć na mechanika. W głowie przelatują myśli: to również dotyczy mnie! A więc nie, a więc nie! No i dobrze. Prawdopodobnie całkiem dobrze.

Zmuszam się do uśmiechu.

Stary również nie może opuścić okrętu. Nikt nie może. A bez głównego mechanika Stary jest ugotowany. Wszystko jak najlepiej załatwione. Strach? Staremu się uda! Ale słyszę również przeciwny głos: nasze żelazko nadaje się do doku. Tyle uszkodzeń... naprawionych tylko środkami podręcznymi... przecież nie wszystko działa. Co to będzie!

Vigo w Hiszpanii. Na razie jesteśmy dopiero w Hiszpanii. Dochodzi północ. Dopiero stopniowo zaczynam pojmować wiadomość. Teraz trzeba robić dobrą minę. Dobra mina – zła gra.

Czy mógłbym tak ukryć rozczarowanie, gdybym nie wierzył mocno, że plan Starego się uda?

Oczywiście, byłem nastawiony na to, że dla nas obu podróż skończy się w Vigo. Tylko nie chciałem przyznać się do tego.

A ponieważ od początku nie wykazywałem zachwyty dla planu Starego, by nas wyokrętować w Vigo, mogę teraz udawać, jakbym nie oczekiwał nic innego, jak tej odmowy. Tylko nie zmieniać nastroju! Odrzucono – też dobrze! Ale główny mechanik! Zrobiono mu złośliwy kawał. Czifa trafia to mocniej niż mnie.

Stary źle trawi tę wiadomość. Widać to po nim wyraźnie. Udaje zadowolonego, gdy oba frencze proponują nowy temat, którego może się trzymać. Mimo to siedzi, jakby go zamurowało. Ci dwaj śliscy, gotowi do służenia i zacierania rąk podskakiwacze powodują, że

scena przekształca się w nocny dramat grozy, którego reżyser gustuję w prymitywnych efektach. Tutaj zastosowano zbyt uderzające kontrasty: ten pełen godności kapitan i ci zapici szubienicznicy!

Ale jak my sami wyglądamy? – pytam się w duchu i obserwuję badawczo Starego, jakbym widział go po raz pierwszy. Ja jeszcze jestem znośnie ubrany w swoich inkrustowanych solą starych skórzanych spodniach i jako tako wypranej koszuli, ale Stary sprawia wrażenie, jakby wyszedł ze schroniska dla włóczęgów. Jego broda jest tak samo przetłuszczona i zmierzwiona, jak i czupryna. Na pokładzie przyzwyczailiśmy się do jego na pół zgniłego puloweru, ale tutaj, w jasnym świetle, między pokrytymi boazerią ścianami ten rzucający się w oczy łach irytuje nawet mnie. Tylko trójkątne wycięcie jest jeszcze całe. Z prawej strony na boku pulower ma dziurę prawie tak wielką jak dekolt. Do tego wymiętoszona koszula, stara czapka, wyplamione portki...

Dopiero teraz widzę, jak blade i wynędzniały jest Stary. A cóż dopiero główny mechanik: do roli Mefista nie potrzebowałby się nawet szminkować. Ostatnie dni ciężko się na nim odbiły. Ten jego trzynasty rejs to nieco za dużo dla steranego w bojach mężczyzny, który dźwiga brzemień trosk większe chyba niż ktokolwiek z załogi. Stary wyraźnie podkreśla dystans wobec obu cywilów. Robi kwaśną minę, nie przyjmuje ofiarowywanych mu papierosów. Ledwie odpowiada.

Słyszę, że „Wezera” na początku wojny pozwoliła się internować. Jest to rodzaj pływającego składu, który od czasu do czasu napełniany jest na nowo paliwem i torpedami. Potajemnie, ze ścisłym przestrzeganiem neutralności hiszpańskiej.

Podziwiam twarze obu szubieniczników: zupełnie jak z listu gończego. Ten wyższy: chytry, zamknięty w sobie, zrosnięte brwi, niskie czoło, wypomadowana czupryna, wąsik na wzór Menjou, bokobrody sięgające poniżej płatków uszu. Wiele gestów ramionami w pustkę, żeby wysuwały się mankiety i wielkie złote spinki. Drugi: przyrosnięte płatki uszu, brodawki na twarzy, obłudne spojrzenie. Obaj na sto metrów śmierzdzą agentami, jakkolwiek jeden z nich nazywa się przedstawicielem ataszatu morskiego. Pewnie do tak ciemnego zawodu trudno jest nie mieć odpowiedniej twarzy.

Jednym uchem usłyszałem parę strzępów zdań. Tak, również to: – Nie możemy nawet przekazywać poczty. Zbyt ryzykowne! Tajna akcja! Nic nie może przeciec. Nie powinniśmy nawet wiedzieć, gdzie Vigo właściwie leży. Będzie zmartwienie w domu. Rejs tak czy inaczej potrwał dłużej niż normalnie. Diabli wiedzą, ile jeszcze potrwa, zanim pozbędziemy się poczty. Jak będą się czuli nasi ludzie, gdy usłyszą, że mogą zatrzymać wszystkie swoje listy, które z takim zapałem pisali w ostatnich dniach?

Podchorąży... jak on to zniesie? Wolałbym, żebym nie wiedział ani słowa o tej jego historii w stylu Romea i Julii. Przecież nie pójdę i nie będę go pocieszał jak romantycznego młodzieńca.

Jak przez watę przyjmuję ożywioną gadaninę obu szubieniczników: – No to ciach go, panie kapitanie! Tacy młodzi się już nie spotkamy, panie kapitanie! To na pewno było interesujące przedsięwzięcie, panie kapitanie?

Musiałbym źle znać Starego, bym się spodziewał, iż z ust jego wyjdzie coś więcej niż mrukliwe „tak”.

Również bezpośrednim pytaniem, czy okręt miał sukcesy, nic z niego nie mogą wyciągnąć. Stary przypatruje się tylko to jednemu, to drugiemu przymrużonymi oczami, aż jego milczenie wyraźnie zdenerwuje obu, a potem mówi: – Tak.

Spostrzegam, jak przez cały czas coś w nim nurtuje. Mogę się domyślić, co go tak gryzie. Mimo woli zerkam na jego dłonie. Skręca je mocno, jak zawsze, gdy czuje się nieswojo.

Skinieniem głowy daje mi znak.

– Musimy trochę rozprostować nogi – mówi do towarzystwa.

Nagła zmiana ciepła salonu na zimne nocne powietrze zatyka mi dech. Czuję zapach ropy: to nasze zaopatrzenie! Stary natychmiast idzie wielkimi krokami na rufę. Ledwie mogę nadążyć. Kiedy już dalej nie można, odwraca się gwałtownie i opiera o reling. Między dziobem łodzi ratunkowej i czarnym rusztem żelaznej konstrukcji, której przeznaczenia nie potrafię wyjaśnić, widzę migotanie świateł Vigo: złote światła, parę czerwonych, białe. Dwa iskrzące łańcuchy świateł dążą ku górze – to musi być ulica, która z portu prowadzi prosto na górę.

Przy nabrzeżu stoi niszczyciel, który ma oświetlone wszystkie pokłady. Reflektory skierowane są na frachtowiec. Wyraźnie widać, jak pracują jego żurawie przymasztowe.

Z dołu świeci żółto okrągły otwór: luk ładunkowy torped. Również właz kambuza jest otwarty. Słyszę głosy: – Nie, nie mogę, takie dobre rzeczy... Ach, nie bądź neptek, dalej, dalej, trzymaj!... Daj grabulę, kolego!

To niewątpliwie berlińczycy.

Z wnętrza „Wezery” słychać stłumiony śpiew:

Zasuwamy z wielkim wrzaskiem,

Żeby z mety odbić flaszką,

I do knajpy marsz z piosenką,

By coś znowu wychlać prędko.

Migoczące światła, różowe aureole wokół latarni na brzegu – podniecają mnie. Nad białymi girlandami świateł wyczuwam miazmaty rozpusty. Czuję zapach łóżek, ciężki jak woń kwitnących azalii, ciepłą, mleczną woń skóry, słodkawy puder, ostry, sardyńkowy odór pochwy, Eau de Javel, spermy.

Strzępy okrzyków, stłumione komendy, gwałtowne łomotanie o metal przenikają aż do nas.

– Niezgorsze zamieszanie – mówi Stary.

Czuję, że Staremu sytuacja zupełnie nie odpowiada. – Tamci na kutrze rybackim... z pewnością nas widzieli – mówi w końcu. – A potem ci ludzie na statku! Kto wie, czy wszyscy są pewni. Tutaj bardzo łatwo ktoś może nadawać sygnały świetlne na brzeg.

Stary zamyśla się: – Na wszelki wypadek wyjdziemy wcześniej. Nie o planowanym czasie. I pójdziemy starą drogą. Nie południowym wejściem, jak się zaleca. Gdyby tu tylko można było mieć więcej wody pod kilem!

Naprzeciwko tryskają błękitne iskry, jakby gdzieś nastąpiło zwarcie: to znowu tramwaj. Teraz wiatr przynosi również jego brzęczenie po szynach, potem klaksony samochodów i głuchy łoskot innych statków. Potem znowu głęboka cisza.

– Skąd oni mają torpedy? – pytam Starego.

– Oddały je inne okręty. Te, które były w powrotnej drodze i nie wystrzelały wszystkiego. One również składały tutaj wizyty. Że tak powiem, jako dostawcy. Do tego pasuje przecież to tylne wejście. A zbędne paliwo wracający też mieli w zbiornikach.

– Jak to do tej pory działało? My przecież nie jesteśmy pierwsi?

– Otóż właśnie... – mówi w odpowiedzi. – Zaopatrzyli tu trzy okręty. Dwa z nich zaginęły.

– Gdzie?

– Właśnie to jest niejasne. Zupełnie możliwe, że teraz przy południowym wejściu już czeka dyżurny angielski niszczyciel. Tu śmierdzi!... To nie dla mnie takie numery!... Raczej do filmu!

Z dołu przenika chóralny śpiew:

Cieszcie się życiem;

Babcię kosą golili,

Wszystko na próżno!

Bo jej nie namydlili...

Tu znowu jest za mało uduchowania, myślę sobie. Brak pierwszego oficera. Ale już wybija pierwsza; coś śpiewają na melodię Międzynarodówki, lecz z innym tekstem.

W słabym świetle odległych reflektorów widzę, jak Stary się krzywo uśmiecha. Nasłuchuje przez chwilę, a potem mówi: – Tu się za mało uważa! To nie jest solidna sprawa!

Robi mi się gorąco, bo przypominam sobie, że widziałem kiedyś takie hiszpańskie pudełko zapalek, jak te, które leżały na stole.

– Te hiszpańskie zapalaki... – mówię. – Ja je już znam!

Stary chyba nie słucha. Zaczynam jeszcze raz: – Takie pudełko zapalek, takie hiszpańskie, jak te, co leżą w salonie na stole, już raz widziałem...

– Ach? – odzywa się Stary.

– Tak... W La Boule w „Royal” na stole. Miał je pierwszy oficer Mertena.

– Więc również Merten tu był... Interesujące!

– To pudełko nagle zniknęło. A nikt nie chciał go wziąć...

– Interesujące – powtarza Stary. – To wszystko bardzo mi nie odpowiada!

– I potem jeszcze raz pojawiło się takie pudełko... – Zdaje się jednak, że Starego to nie interesuje. Wystarczy przecież, kiedy wie, że sposób naszego zaopatrzenia nie jest taki tajny, jak sobie wyobrażają panowie przy zielonym stole. Pudełko zapalek... możliwe, że to wszystko nie jest takie ważne. Możliwe, że sobie uroiłem. Ale jednak: hiszpańskie, a więc zwracające uwagę, hiszpańskie pudełko zapalek we Francji.

Muszę myśleć o podchorążym. Miejmy nadzieję, że Ullmann nie zrobi jakiegoś głupstwa. Lepiej popatrzeć, gdzie on siedzi. Udaję, że muszę się wysiusiać, i przez kiosk włączę do naszego okrętu. Jak parszywie tu wszystko wygląda!

Zaraz w centrali natykam się na podchorążego. Pomaga układać świeży chleb. Hamak, który przy wychodzeniu wisiał koło kabiny radiowej, wypełnia się znowu.

Kurczę się z zakłopotania. Co mam powiedzieć podchorążemu?

– No, Ullmann... – wykrztuszam z siebie, a potem jeszcze: – Cholerne świństwo!

Z pewnością nie nadaję się na pocieszyciela. Podchorąży wygląda żałośnie. Ile razy musiał sobie powtarzać w ostatnich godzinach, że z La Spezia nie ma już drogi do La Baule? Najchętniej wziąłbym go za ramiona i porządnie potrząsnął. Zamiast tego patrzę na rombokaty wzór podłogi i jąkam: – Dzieci, to jest... to jest wstrząsające! – Podchorąży siąka nosem. Jezu, powinien wziąć się w kupę! Wpadam na pomysł, mówię: – Dalej, Ullmann, niech mi pan da szybko swój list... albo może chce pan jeszcze dopisać jakąś linijkę? Nie,

lepiej niech pan szybko napisze od nowa i niedwuznacznie... Wie pan przecież. A więc za dziesięć minut w centrali!

To będzie śmiech, myślę, jeśli nie uda mi się namówić kapitana „Wezery”...

Stary tkwi jeszcze zamyślony przy relingu. Bez słowa stoję koło niego. Wkrótce pojawia się krępy cień: kapitan „Wezery”. Stary wykonuje swój zwykły taniec z przytupem i mówi przy tym: – Nigdy jeszcze nie byłem w Hiszpanii!

Moje myśli są przy Ullmannie. Połową świadomości dostrzegam, jak białoniebieskie światła miasta w dziwny sposób migoczą, zupełnie tak, jakby powietrze między statkiem a brzegiem znajdowało się w wirującym ruchu.

Kapitan „Wezery” nie jest wymowny. Mówi w przyjemnie powolny sposób, głębokim głosem, z odcieniem akcentu północnoniemieckiego: – Mamy tu ster Flettnera, to ten sam Flettner, który skonstruował statek rotorowy. Rotory się nie przyjęły, ale ster owszem. Możemy skręcać na talerzu. W tak ciasnym porcie to duża korzyść!

Dziwak – robić nam teraz wykład o specjalnym urządzeniu sterowym!

Głuchy łoskot niepokoi Starego. Pojawia się pierwszy oficer. – Niech pan sprawdzi, czy odbijacze i cumy są prawidłowo założone! – rozkazuje mu Stary.

Wiatr wyraźnie się wzmaga.

Kapitan „Wezery” pyta się, czy nasz dowódca nie chciałby się wykapać.

– Raczej nie – odpowiada Stary.

Podchodzi jakiś marynarz i melduje, że w salonie już nakryto.

– No to skosztujemy! – mówi Stary i rusza za kapitanem.

Zmiana ciemności na oślepiającą jasność salonu znowu paraliżuje mnie na chwilę. Wydaje mi się, że obaj szubienicznicy już sobie podpili. Twarze mają zaczerwienione, a oczy nie tak bystre jak o północy.

Rzucam ukradkowe spojrzenie na zegarek: druga trzydzieści. Teraz muszę jakoś się urwać i poszukać podchorążego. Wciska mi list do ręki jak kieszonkowiec swojemu wspólnikowi.

Pierwszy oficer i główny mechanik zmienili tymczasem drugiego oficera i drugiego mechanika. Z pewnością przed piątą nie będziemy gotowi do wyjścia.

Chciałbym wyciągnąć się i spać. Zamiast tego muszę wrócić do salonu.

Obaj cywile odgrywają teraz równych chłopaków. Staremu musi się to bardzo podobać, kiedy wyższy klepie go po ramieniu i wrzeszczy prosto w twarz: – Chwały i zwycięstwa, i obfitego łupu!

Niemal kurczę się z zawstydenia.

Na szczęście nie musimy wracać po Jakubowej drabinie. Wychodzimy przez furtkę dla pilota. Dobrze się składa, że wszystko jest dokładnie zaciemnione. Udaje mi się zamienić parę słów z kapitanem i w ten sposób stawiać kroki, by oddalić się od reszty towarzystwa. Nie potrzebuję wiele mówić. Kapitan „Wezery” bierze list bez żadnych trudności i mówi: – Zrobi się!

Z jednego z niższych pokładów przerzucono trap na nasz pomost. Opierając się jedną ręką o przyrządy optyczne, schodzę do wanny pomostu. Jestem znowu na naszym okrycie! Budzi się we mnie coś w rodzaju wzruszenia. Kładę obie dłonie na wilgotnym metalu osłony pomostu. Blacha zaczyna drżeć: to ruszyły nasze diesle.

Komendy do odcumowania. Okrzyki z góry.

Stary troszczy się, byśmy szybko odeszli. Ledwie już mogę rozróżnić machające ramionami postacie na „Wezerze”.

Lewe światło pozycyjne jakiegoś statku jest całkiem blisko. Nagle Stary woła o migacz. Co on zamierza?

Teraz sam nadaje sygnał. Na parowcu rozbłyskuje aldis.

– B-u-e-n-v-i-a-j-e – odczytuje Stary.

– A teraz przekazuje: – G-r-a-c-i-a-s!

– Tak, obce języki! – mówi Stary, a potem: – Ten nas widział... nie ma wątpliwości. Może uważa nas teraz za grzecznych Anglików albo coś w tym rodzaju. Poszło pierwszorzędnie, co?

Trzymamy kurs sto siedemdziesiąt stopni. Prawie dokładnie na południe.

Zaopatrzenie w Vigo bardzo podbudowało ludzi.

– Klapowało pierwszorzędnie, ale baby powinni byli również zorganizować – słyszę z mesy podoficerskiej.

– Taki jeden, na chybicka... to byłoby coś! Ale o czymś takim to kwatermistrzostwo nawet nie myśli!

– Co się wyszczerzasz tak głupio?

– Wyobrażam sobie, co by było... gdybyśmy tak podeszli do nieodpowiedniego statku!

– A oni czuli się po prostu zaszczytzeni naszą wizytą! Stary w tym pulowerze... To był numer sam w sobie!

Przygnębienie, które kazało wszystkim zamilknąć po gibraltarskim radiogramie, zdaje się, że już uleciało. Rozmowy brzmią tak, jakby matowie zawsze sobie życzyli popłynąć dla urozmaicenia na Morze Śródziemne.

Frenssen twierdzi, że ma brata, który był w Legii Cudzoziemskiej. Odmalowuje pustynny krajobraz z palmami daktylowymi i oazami, z fatamorgana, pustynnymi fortami i rozrzutnie wyposażonymi burdelami „z tysiącem bab, ale również i z chłopakami – dla każdego według jego smaku!”

– Miałem raz jedną, która całkiem wariowała za portkami z klapą z przodu – Pilgrim zaczyna snuć swe wspomnienia. – Zaczęło się to już w esbanie. Zawsze tak trafiała mnie biodrem w klapę spodni. Komiczna była! A potem macanka! Rozpiąć portki... złapać go i wyciągnąć. Znowu schować i znowu wyciągnąć...

– No i? – pyta Wichmann.

– Jakie „no i”? Człowieku, ty nie umiesz inaczej, tylko zwyczajnie jak Blücher.

– Każdemu, jak mu smakuje, nie?

– ...jak jaki goryl... zupełnie bez kultury.

Wichmann nagle rozmarza się: – Takie prawdziwe długie pierdolenie po obiedzie... troszkę muzyki... troszkę popić... to jest właśnie najlepsze, ty głupolu...

Zaraz napływają mi wspomnienia: gnuśne miłości po południu, kiedy pada deszcz. Dzwonek przy drzwiach brzęczy, ale nie otwieramy, wyzwoleni – uciekając od codziennej rutyny – przy zsuniętych do połowy zasłonach. Gospośia na zakupach. Tylko kot w domu.

Potem Frenssen i Zeitler rozprawiają z całym spokojem i rzeczowością o brakach i urokach określonych pozycji spółkowania.

– Czasami to człowiek całkiem zgłupieje – mówi Frenssen. – Kiedyś w górach położyłem dzidzię skośnie na zboczu. Człowieku, to było męczące... tak pod górę... ale potem wpadłem na pomysł i obróciłem ją o sto osiemdziesiąt stopni.

Frenssen gestami obu dłoni pokazuje, jak odbywało się to obrócenie.

Zeitler prawdopodobnie tylko czekał, aż maszynista przestanie mówić. Robi zamach nad stołem, jakby chciał usunąć wymagowane naczynia. Potem jednak milczy przez dobrą minutę, aż spojrzenia wszystkich skierują się pytająco na niego.

Wreszcie oświadcza, że najchętniej leży na dole i uzasadnia to: – W ten sposób żabcia może się o wiele lepiej poruszać... tak na sterczącym gwoździu... pięknie pchać i krążyć, i jechać prawdziwego galopa! Tak jest pierwszorzędnie!

Czy chcę, czy nie chcę, muszę jeszcze wysłuchać, co mówi Głuchaczek. Prawdopodobnie coś o swoim ostatnim urlopie: – ...był taki bal dla służących w Świnoujściu. Mam tam krewnych. Było cholernie zimno. Mianowicie tam, na górze, paskudnie duje. Jeden mój kumpel to oparł taką cizię o drzewo i wyrolował na stojąco.

Głuchaczek najprawdopodobniej jeszcze teraz nie może się opanować: – Rzeczywiście

było parszywie zimno. Przeszłowałem z nogi na nogę i czekałem, aż tamten skończy. Głupio, kiedy człowiek sam jest żonaty.

Myślę: teraz nastąpi szyderczy ryk, ale nie słyszę ani dźwięku.

Później słyszę, że na dwóch kojach szepczą: – Jak się czujesz?

– Jak się mam czuć? Przecież wszystko jedno, dokąd nas poślą, nie?

– Nie udawaj! Myślisz, że nie wiem, dlaczego siedzisz taki oklapnięty? Tak, mój kochany, z tą robótką teraz już koniec! Ale nie martw się. Twoja mała zostanie również obsłużona, ona jest całkiem podchodząca laleczka, coś takiego na pewno się nie zakurzy...

Następnego dnia w mesie podoficerskiej panuje nastrój zamyślenia. Kilka samochwalczych wypowiedzi Zeitlera i Frenssena nie zmienia tego nastroju. Nie ma już rozmów między poszczególnymi kojami. Również Dorian zajęty jest swoimi myślami. To wszystko nie będzie zabawą – o tym każdy wie.

Przy obiedzie Stary wykrztusza, jak sobie wyobraża nasze przedarcie się przez Gibraltar. Jak zwykle utykając i wolno, zupełnie jakby składał swoje myśli niby klocki, jakby już przez kilka godzin nie rozpracowywał tego planu, nie rozważał ryzyka, nie zarzucał całego projektu, nie kombinował na nowo i od początku nie oceniał wszystkich „za” i „przeciw”.

– Podejdziemy w nocy na powierzchnię. Najbliżej, jak się da. Będziemy musieli dużo manewrować.

Niszczyciele i inne dozorowce, uzupełniam w myśli.

– A potem po prostu zjedziemy w zanurzeniu.

A to jak? – chciałbym zapytać, zacinam się jednak, nie pozwalam sobie nawet na zaciekawione spojrzenie, tylko robią taką minę, jakbym był poinformowany: całkiem jasne – zjedziemy. Taka jest moda.

Teraz Stary patrzy przed siebie. Udaje zamyślnego i milczy, jakby już wyczerpująco wszystko wyjaśnił.

Zjedziemy! Nie jest to piękne określenie, myślę sobie. Wywołuje w żołądku wrażenie opadającej windy. Ale jeśli wyrocznia delficka tak chce, będziemy musieli się tego trzymać. Zjedziemy!

Drugi oficer nie ma tak opanowanej twarzy jak ja. Mruga, jakby cierpiał na tik nerwowy. Wygląda to na pytanie powiekami. Nowy, grzeczny sposób zasięgania informacji.

Stary zadziera głowę jak u fryzjera. Po paru minutach daje parę wyjaśnień pięknie politurowanej dykcji na suficie: – W Cieśninie Gibraltarskiej są mianowicie dwa prądy: prąd

powierzchniowy z Atlantyku do Morza Śródziemnego i prąd głębinowy, wychodzący z Morza Śródziemnego. Mają całkiem niezłe parcie.

Stary wysuwa dolną wargę i wciąga policzki. Z przygnębionym spojrzeniem siedzi znowu w milczeniu.

– Prędkość prądu wynosi siedem węzłów – rzuca wreszcie jak kęs, który powinniśmy żuć przez dłuższą chwilę.

Rozjaśnia mi się w głowie. „Zjedziemy” – Stary myśli tym razem horyzontalnie, a nie, jak jesteśmy przyzwyczajeni, w mieszance up-and-down.

Jajko Kolumba! Wspaniały pomysł!

Prościej nie można: zejść pod wodę i pozwolić się przepchać prądowi przez cieśninę. To nie robi hałasu i oszczędza paliwo.

Teraz reguła gry wymaga, abyśmy również udawali znudzonych. Broń Boże, nie pozwalać sobie na jakiegokolwiek zdziwienie na twarzy! Nie kiwać głową! Nie mrugać powiekami!

Stary znowu chowa dolną wargę i z nabożeństwem pochyla głowę.

Tylko główny mechanik odważa się na krzywy uśmiezek lewym kącikiem ust.

Stary widzi to, wciąga głęboko powietrze, przybiera znowu taką pozę jak u fryzjera i niespodziewanie pyta służbowym tonem: – No, czifie, wszystko jasne?

– Tak jest, panie kapitanie! – odpowiada główny mechanik i do tego kiwa gwałtownie głową, jakby nie mógł się powstrzymać w zapale.

Przerwa pełna napięcia. Teraz Stary potrzebuje przeciwnika w grze, wątpliwego Tomasza. Czif godzi się na to chętnie. Co prawda mruczy tylko „hm, hm”, ale to wystarczy, by wyrazić, że ma jeszcze pewne wątpliwości. Jakkolwiek teraz wszyscy, z wyjątkiem dowódcy, patrzymy w oczekiwaniu na usta czifa, on tylko przekrzywia głowę jak kos, który w niskiej trawie wypatruje glist. Nie myśli o tym, by sformułować swoje zastrzeżenia, on je tylko wyjawiał. To na razie wystarczy. Stary rutyniarz zostawia sobie czas. Opóźnia. Tego się nauczył od dowódcy.

Przez dobre pięć minut nasza drużyna bawi się w tę niemą grę. Wreszcie chyba Stary już ma tego dosyć. – No, czifie? – nalega. Jednak główny mechanik trzyma się nadal nadzwyczajnie. Chwieje tylko głową z boku na bok, a z jego ust wychodzi jedynie sucho sformułowany blackout: – Całkiem pierwszorzędnie, panie kapitanie! Wyśmienity pomysł!

Jestem pełen podziwu: ale zimny! A już podczas ostatniego ataku bałem się, że jest bliski załamania.

Ale również Stary dobrze się trzyma: nie ujawnia jakiegokolwiek reakcji. Nieco

opuszczając głowę, obserwuje swego mechanika przymrużonymi oczami, jakby musiał zbadać stan jego ducha w ten sposób, by delikwent tego nie zauważył. Lekkim uniesieniem lewej brwi daje teraz wyraz swej trosce o chorego: jest to gra kameralna.

Czif zachowuje się tak, jakby nie czuł tego lekarskiego spojrzenia dowódcy. Ze znakomicie udaną obojętnością podciąga prawą nogę, ujmuje się rękami pod kolano i nie zmienia wyrazu twarzy, obserwując uważnie słoje desek.

Gdy to wszystko trwa już zbyt długo, przychodzi stołowy. Nawet statyści są tu w dobrej formie i troszczą się o akcję, kiedy już jest czas, by przerwać niemą grę.

Na stole pojawia się zupa. Czerpiemy ją łyżkami, łykamy i milczymy.

Mucha znowu zwraca na siebie moją uwagę. Spaceruje teraz po DOP-ie. Trafia mu dokładnie w szeroko otwarte usta. Szkoda, że nie zdarzyło mu się to w naturze: czarna, duża jak kluska mucha prosto do gardła, właśnie w najbardziej patetycznym miejscu jego podżegającej mowy: „Atak – Naprzód!” – ...teraz startuje mucha i ze słowa „Zatopić” DOP wydobywa tylko pierwsze dźwięki. Nasza mucha nie wysiadła w Vigo, oparła się pokusie, by zalegalizować się jako mucha hiszpańska. Hiszpańska mucha, przecież coś takiego istnieje! Hiszpańska mucha, podobnie jak syf... nieprawda? Głupstwa, które mnie tylko odrywają od naszej pokładowej maskotki! A więc: nie wysiadła, okazała wierność. Nikt nie zwiął. Wszyscy jesteśmy na pokładzie w pełnej liczbie z naszą muchą włącznie. Przy tym ona jest niewątpliwie jedyną istotą, która tu może wchodzić i wychodzić wedle upodobania. Nie obowiązują jej rozkazy DOP-a, jak nas. Przykład spektakularnej wierności. W szczęściu i w nieszczęściu. Niezlomnej.

W przedziale dziobowym odbywa się coś w rodzaju wieczoru operowego. Przez zamkniętą gródź przenika przeciągły śpiew. Gdy ktoś otwiera właz, słychać bardzo donośnie:

Czekam w nadziei,

Że przyjdzie szeik...

Powtarza się to ad infinitum.

Kiedy już nie mam żadnej nadziei na zmianę tekstu, załoga zgadza się na następujący wiersz:

Stara, chora na syfa baba

Po Saharze szła kawał drogi,

Aż nagle zły bardzo Araba

Zaczął szturgać ją między nogi.

– Arabski tydzień... to pewnie spowodowane jest południowym kursem – mówi Stary.
– Dośpiewują sobie odwagi.

Budzą mnie w środku nocy.

– Lizbona na trawersie! – mówi marynarz Böckstiegel.

Wkładam lekkie tenisówki i tylko w koszuli wyłazę na górę. Oczy powoli przyzwyczajają się do ciemności. Dowódca też chyba tu jest.

– Tam!

Nie widzę nic poza bladą poświatą nad horyzontem z lewej burty.

– Lizbona! – To był znowu dowódca!

Okręt zatacza się wolno z lewej na prawą i z prawej na lewą. Dźwięki idą całą naprzód: słychać ciągły tępy łoskot.

Stoję więc, mając pod nogami drewniane listwy chwiejącego się pomostu, ręce oparte na szorstkim, mokrym i wibrującym żelazie nadburcia, i wpatruję się w ciemność ku wschodowi. Nieco jaśniejsza poświata ledwie podkreśla tam horyzont.

Muszę przełknąć ślinę. Ta poświata i wiadomość „Lizbona na trawersie” – i już coś mnie ściska za gardło...

Na koi słyszę, jak gadają marynarze zluzowanej wachty: – Lizbona to jest prawdziwe wielkie miasto! – Dlaczego nie zaciemnili? – Są przecież neutralni, ty głupku! – Nie ma nalotów, alarmów, bomb, a prawdopodobnie dość żarcia, to ledwie można sobie wyobrazić... – Muszą mieć mnóstwo reklam świetlnych, inaczej nie byłoby tak jasno na niebie. – Nie wiem już, jak to wygląda, takie zielone i czerwone, co się zapala i gaśnie! Niech to diabli!

W północy słyszę jeszcze dyskusję: – Przecież to jasne, że ten rejs policzy się za dwa. Dostaliśmy w końcu zaopatrzenie. Czy we Francji, czy w Hiszpanii, to powinno być całkiem wszystko jedno... tak czy nie?

– Swojej babci to powiedz!

– Ale nami rzucają! – To Głuchaczek, który postępując, przekręca się na brzuch. – Ale sram na wszystko! No, z nami mogą to robić!

Kiedy po śniadaniu Stary nie ma, jak się zdaje, nic do roboty, wymuszam na nim wyjaśnienie: – Tego silnego prądu do Morza Śródziemnego to wcale nie rozumiem... Skąd się bierze tyle wody? – Muszę się uzbroić w cierpliwość, Stary nie rusza od razu. Przechyliła głowę i ściąga brwi. Widzę wyraźnie, jak się przygotowuje.

– No tak, to są naprawdę dziwne układy.

Pauza. Teraz reguła wymaga, bym się wpatrywał w jego usta, by wydobyć z nich kulawe oświadczenia.

– O tym już pan wie: do Morza Śródziemnego nie tylko wpływa prąd, ale i wypływa z niego. Dwa prądy jeden nad drugim. Na górze do środka, na dole na zewnątrz. A powstaje to tak: nad całym wielkim Morzem Śródziemnym prawie nie pada deszcz. Ale słońca jest tu do licha i wiele wody wyparowuje. Z tego powodu, ponieważ sól się nie ulatnia, jej zawartość się zwiększa. Im więcej soli, tym cięższa woda. Jasne i logiczne?

– Jak dotąd, tak!

Teraz Stary zwleka. Ssąc zimną fajkę, zachowuje się tak, jakby cały problem był już wyczerpująco przedstawiony. Dopiero gdy wstaje, mówi dalej: – Ta solanka opada w dół, tworzy wodę głębinową Morza Śródziemnego, która, mając tendencję do jeszcze niższego opadania, przechodzi do Atlantyku na około tysiąc metrów głębiej, a potem ma już ten sam ciężar właściwy, co woda w Atlantyku. Tymczasem na górze zachodzi wyrównanie: powierzchniowa woda z Atlantyku o mniejszej zawartości soli wpływa do Morza Śródziemnego i zastępuje ubytki z parowania.

– ...i wodę głębinową, która odpłynęła!

– Tak to jest!

– A my chcemy skorzystać z tej rozsądnej regulacji! A więc z wodą napływową, tą o mniejszej zawartości soli, na Śródziemne?

– To jedyna możliwość, by się udało...

Na rozkaz dowódcy pełnię funkcję dodatkowego obserwatora.

– Ta bliskość lądu jest nieprzyjemna!

Nie minęło pół godziny, gdy wachtowy z prawego sektora rufowego ryczy: – Lotnik na siedemdziesięciu stopniach!

Drugi owu wzdryga się i patrzy w kierunku wyciągniętego palca wachtowego.

Jestem już w luku kiosku. Zlatując w dół, słyszę wołanie na alarm, a zaraz potem jazgot dzwonka. Główny mechanik jednym susem wylatuje z przedziału dziobowego.

Otwiera się odwietrzniki szybkiego zanurzenia, wirują biało-czerwone pokrętła.

Z góry głos drugiego oficera: – Napełniać!

Powoli, jakby musiała pokonywać duży opór, wskazówka głębokościomierza zaczyna się poruszać.

– Wszyscy na dziób – rozkazuje główny mechanik. Więcej padając niż biegnąc, ludzie przelatują przez centralę na dziób.

Dowódca przysiadł na skrzyni z mapami. Widzę tylko jego zgarbione plecy. On pierwszy budzi się z odrętwienia, podnosi się i macha lewą ręką jak rozgniewany dyrygent,

trzymając prawą w kieszeni spodni: – Nic! Na razie zostać pod wodą. – A do drugiego oficera: – Dobrze, pierwsza wachta.

Potem zwraca się ku mnie: – Całkiem nieźle! Nieźle się zaczyna! Będziemy ładnie wyglądali, jeśli tak dalej pójdzie.

Przy stole nakresowym jest właśnie miejsce. Mogę sobie dokładnie obejrzyć mapę morską Gibraltaru. Od afrykańskiego brzegu do brytyjskich doków jest około siedmiu mil. To jedyne doki, w których cała angielska flota Morza Śródziemnego może przeprowadzać remonty. Również jedyne, z których mogą korzystać potłuczone statki handlowe. Anglicy już wiedzą, jak strzec tych urządzeń.

Tylko siedem mil od brzegu do brzegu – wąski korytarz, przez który chcemy się przedostać.

Słupy Herkulesa: na północy skała Gibraltaru, góra Saturna, a na południu, na brzegu hiszpańskiego Maroka – skała Avili koło Ceuty. Prawdopodobnie będziemy musieli się przycisnąć do południowego brzegu, że tak powiem – trzymać się ściany.

Ale czy to rzeczywiście byłoby korzystne? Tomki też na pewno się domyślają, że niemiecki okręt podwodny nie będzie płynął przez ich wojenny port, i odpowiednio się zatroszczą o przeciwległą stronę. Stary, oczywiście, ma swój od dawna gotowy plan. Ciekawe, jaki kurs sobie wymyślił.

Zjawia się drugi owu i pochyla koło mnie nad stołem nakresowym.

„Miejsce najbardziej ponętne zetknięcia się stref klimatycznych. Łagodność i piękno świata śródziemnomorskiego spotyka tutaj siłę i dal atmosfery atlantyckiej.”

Patrzę na niego ze zdumieniem.

– Tak jest w podręczniku żeglarskim – mówi obojętnie i operuje ekierkami.

– Siedem mil... no, mamy miejsce!

– Głębokość? – pytam.

– Do dziewięćset osiemdziesięciu metrów – mówi. – Wystarczy!

Podchodzi do nas główny mechanik.

– Raz atakowaliśmy stadem konwój gibraltarski. To, co z niego zostało, musiało się cieszyć, gdy wynurzyły się skały Gibraltaru. Kiedy wyruszali, konwój składał się z dwudziestu statków. Po naszym ataku zostało tylko osiem. To było w tej okolicy, tylko trochę dalej na zachód.

Latarnie morskie, które odkrywam na mapie, mają obce nazwy. Jedna nazywa się Zem Zem. Jest również Przylądek Św. Wincentego. Jak to było z Nelsonem i Przylądkiem Św. Wincentego?

Po godzinie znowu się wynurzamy. Ledwie pierwszy oficer przyjął wachtę, dzwonek alarmowy wstrząsa mną do szpiku kości.

– Wskoczył nagle, ten ptaszek. Typ nie rozpoznany! – wykrztusza Zeitler. Oddycha ciężko.

– Już nas mają na oku – oświadcza dowódca i decyduje: – Na razie pozostaniemy pod wodą!

Stary nie opuszcza już centrali. Jest wyraźnie zaniepokojony: ledwie usiadł na skrzyni, znowu go coś pędzi na górę. Do tego robi ponurą minę. – Prawdopodobnie to wszystko należy już do ubezpieczeń wewnętrznych.

Mija pół godziny, Stary wspina się do kiosku i każe się wynurzyć.

Silniki nie pracują nawet dziesięciu minut, gdy jazgocze znowu dzwonek alarmowy. Jego złośliwy ton nie przenika mnie wprawdzie do szpiku kości, ale wzdrygam się za każdym razem.

– Jeśli tak dalej pójdzie, przez cały czas będziemy robić tylko up and down!

Za pomocą tak zgryźliwych uwag Stary udaje wprawdzie obojętnego, ale zna trudności zadania. Warunki do przedarcia się są w najwyższym stopniu niekorzystne. Morze po długim okresie sztormów jest zaledwie lekko zmarszczone. Przy takiej pogodzie samoloty łatwo nas wykryją, nawet gdy księżyc nie będzie świecił.

A jeśli Anglicy nie mogą zamknąć cieśniny sieciami przeciw okrętom podwodnym, będą mieli w akcji wszystko, co może pływać. Prawdopodobnie od dawna wiedzą, co zamierza nasze dowództwo. Ich tajna służba w końcu funkcjonuje.

Zjechać przez cieśninę. To może brzmieć przekonująco – jednak ten plan daje nam tylko tę korzyść, że przeciwnik nie może nas usłyszeć. Od namiarów asdicu ta metoda jednak nie chroni.

Jestem świadkiem, jak marynarz z centrali wyciąga aparat ratunkowy spod swojej koi. Wyraźnie jest zakłopotany, że to widziałem. Z niechętną miną rzuca natychmiast aparat na koję. Zachowuje się tak, jakby mu wpadł w ręce przez przypadek.

Pilgrim przechodzi przez pomieszczenie. Ciałem zasłania to, co ma w ręce. Nie wierzę własnym oczom: również Pilgrim wyciągnął aparat ratunkowy. Mają więc pietra! Komiczne, jak różnie ludzie reagują: w przedziale dziobowym lordowie zachowują się tak, jakby nic szczególnego się nie działo, a tu wyciąga się aparaty ratunkowe.

Spostrzegam, że banany, które zawieszono na lince w poprzek centrali, już się zabarwiły na żółto. W La Spezia będą się z tego cieszyć... i z tej ilości pomarańcz.

Południowe owoce do Włoch, sowy do Aten. A do tego tyle czerwonego wina, które „wezerczy” dostarczyli nam na pokład! Stary kłął, wykrywszy te butelki. Ale nie miał serca wyrzucić ich za burtę.

Warto zobaczyć, jak wygląda na górze! Ledwie wysadziłem głowę, już się wynurza parowiec rybacki z niskiej warstwy mgły.

– Cholernie blisko. Musiał nas widzieć! To już było, myślę.

Stary sapie. Przez chwilę nic nie mówi. Duma. – Z pewnością to był Hiszpan.

– Miejmy nadzieję – uzupełniam po cichu.

– No cóż, to nie może niczego zmienić!

Pojawia się portugalskie wybrzeże. Nad czerwonymi skałami rozpoznaję biały dom. Wybrzeże jak w Bretanii, jak Cote Sauvage przy Le Croisic, gdzie podczas sztormu przybój detonuje jak pociski najcięższych kalibrów. Najpierw jest parę głuchych uderzeń, a zaraz potem gejzery wody strzelają między czarnymi skałami. Raz tu, raz tam. Przy spokojnym morzu i odpływie żółte wąskie plaże wiją się wśród głazów. Płowe, wyschnięte, trzeszczące sitowie w wilgotnych zatokach! Kolczasty oset, zawsze obwieszony płatkami piany, kiedy wiatr północno-zachodni wali na wybrzeże. Drogi porznięte głębokimi koleinami i obsypane pianą kipieli jak śniegiem. Matowe, srebrne gwiazdy ostów na bladym piasku. Od czasu do czasu wyrzucona przez fale lina z jakiegoś trałowca. Wysokie wózki na dwóch kołach, którymi chłopci zwożą na pół wyschnięty nawóz na wielkie stosy. A dalej latarnia morska, w czerwono-białe paski jak nasz papenberg.

I teraz przed oczami widzę znowu pudełko hiszpańskich zapalek. Przecież wiedziałem przez cały czas, nie chcąc się do tego przyznać samemu sobie: takie samo pudełko ze świecącym słońcem w ostrym, żółtym kolorze na jaskrawej czerwieni miała Simone w swojej torebce z krokodylej skóry. Zawsze ją nosiła jako schowek na „ma vie privée”, jak to nazywała. Raz szukała zdjęcia, które mi chciała pokazać, i wtedy wypadło to pudełko, a Simone schwytała je zbyt szybko. Dlaczego nie wolno mi było go wtedy obejrzeć? Pierwszy oficer z okrętu Frankego, który zachodził dość często do kawiarni jej rodziców, podarował jej to pudełko... nie, zostawił... nie, wyprosiła je u niego... Znowu opanowuje mnie stara nieufność: Simone i maquis! Czy Simone nie była uczciwa, mimo jej wszelkich zakłęb? Jej stałe wypytywanie: „Quand est-ce que vous partez?... Vers quel heure?” – „Spytaj twoich przyjaciół. Oni znają cały plan wyjść lepiej niż my!” Potem potok łez, rozpaczliwe szlochanie i gwałtowna wściekłość: „Podły, podły... tu es mechant... mechant... mechant...!” Szminka rozmazana, siąkanie nosem: obraz nędzy i rozpacz.

Ale dlaczego Simone nie dostała również takiej ładnej, czarno lakierowanej

zabawkowej trumienki jak jej przyjaciółki pocztą do domu? Dlaczego tylko ona nie? Jej rozpaczliwie rozwarłe oczy... to tylko gra? Czy prawda? Zmęczona, zrozpaczona twarz... wszystko bujda? Ale przecież tak dobrze żaden człowiek nie potrafi grać. Czy jednak?

Widzę szerokie niskie łóżko, wzór w Eombastyczne róże na kapie, frędzle, czuję suchą, pachnącą skórę Simone. Simone nie poci się nigdy. Jak kocha swe delikatne szczupłe ciało, z jakim rozmysłem zawsze się porusza...

Siedzę w środku kawiarni i nie śmiem spojrzeć jej w oczy. Jednak gdy musi troszczyć się o gości i z szybkością łasicy krąży między krzesłami, ściągam ją oczyma. Tak lekko i z taką gracją poruszają się matadorzy na arenie. Ustawienie krzesel określa jej ruchy, nadaje im coraz to nowe warianty. Simone wymyka się krzesłom jak rogom byka, wygina biodro w bok albo troszkę wciąga brzuch. Swą białą serwetką operuje jak matador kapą. Zaobserwowałem, że nigdy nic nie potraça, że nigdy nawet nie otrze się o kant czy oparcie krzesła. A do tego jej śmiech! Rzuca swój śmiech jak błyszczące monety wokół siebie. W zasięgu mego spojrzenia coraz to migocze fiolet jej swetra. Daremnie próbuję skierować oczy na stronę gazety i nie zauważać tego migającego fioletu. Kto doradził jej to wyrafinowane połączenie fioletowego swetra i szarych spodni, tego całkowicie szczególnego fioletu, nie wpadającego ani w czerwień, ani w błękit – tak jak z obrazu Braque'a? Do tego brązowa jak ochra skóra jej twarzy i czern jej włosów. Czyste diabelstwo ten sweterek z angory!

W lokalu jest wielu gości. Wracają spragnieni z plaży. Kelnerka nie jest dosyć szybka. Mam wiele przyjemności, obserwując, jak Simone, krążąc po sali, spotyka przy kasie kelnerkę i odpowiednio ją sztorcuje, po cichu, jak zjeżony kot.

Na dworze upał migocze jak rzeka z roztopionego szkła. Jeszcze nie ważę się wyjść. Lubię chłód kafelkowej podłogi i chłód marmurowych blatów stołu, który przenika przez cienką marynarkę do leżących na stole przedramion. Wmawiam w siebie, że to upał odstręcza mnie od wyjścia, ale jednocześnie wiem, że chcę jeszcze pozostać w pobliżu Simone. Naraz siedzi koło mnie przy stoliku i robi na drutach nowy pulower. Znowu jakieś diabelstwo. Teraz jest cytrynowy, jest to niczym nie złamana mocna żółć cytryny. Rozpoczęty kawałek trzyma na łonie, kłębek żółtej wełny leży obok. Do fioletu i szarego teraz jeszcze to! Pyta, czy to ładna barwa. Święto dla oczu! Najpiękniejsza żółć, jaka istnieje! A pode mną chłodna podłoga w biało-niebieskie kafelki. Zaś z tyłu kawałek orzechowobrazowej szafy...

Mam to jeszcze w uszach: „Musimy być ostrożni!” „Ach, zawsze ostrożni!” „Ty musisz uważać i ja muszę uważać!” „Kto nam może zabronić!” „Jesteś głupi! Mogą zrobić bardzo dużo bez zabrania!” „Mnie tam wszystko jedno!” „Jakoś nam się uda!” „Nikomusie się nie uda!” „Ale nam!”

W Savenay zabiera mnie z dworca, ma Bóg wie skąd samochód, nie pozwala mi dojść do słowa, wie bowiem, że będę wymyślał, jedzie żółtym tempem, pyta: „Masz stracha? Kiedy podejdzie żandarm, dodam gazu. Te głupki przecież nigdy nie trafiają!”

Słyszę Simone rano przed naszym wyjściem; „Si tu ne przekręcisz szę maintenant i nie wstajesz, je te pousse avec mon cul dehors – moim dupa, compris?”

Simone przypala rozżarzoną papierosem włosy na mojej prawej łydce: „Pachnie tak pięknie według mała cochon!” Sięga po bramowany futrem pasek, koniec wciska sobie między nos i wysuniętą górną wargę jak wąsy, szuka lustra i pęka ze śmiechu. Potem wyskubuje wełnę z frędzli kapy i wciska ją sobie do nosa i uszu. I z kolei próbuje po niemiecku: „Jestem do uwiedzenia... ja niezdrowa... je suis d'accord... ja całkiem chętna do tego... z tym... na to... jak szę mówi? Ja mogłaby bycz piękna mała Kanibalka – j'ai envie d'etre uwiedziona. Et toi... Jeu du voyage? Co jest to? Reissowne! Mówi się: rajssowne! Wy, z tym waszym głupim ce... Rajoowne... rajcowne. Jeu du ris? Ty jesteś kawał ler, tak. Kawał ler c'est bien ce que je dis... un seul mot? Kawaler? Jedna „l”? Ty jesteś zasraniec! Ty jest zasrany, tak? Ty jest za głupi, żeby kochany. Musisz pieścić... w ta miejsce. To tylko łaskotka. Ja jest rajcowna, tak? Moja upojny pierś, tak? Zabawny mały imitacja pierś. Dalej, nacisnąć! Zabawne twoje włosy na piersi. Komiczna mężczyzna. – Trzęsie się ze śmiechu. – Robisz się tłusty... będziesz... mówię ja przecież! Będziesz za tłuszczoch, jesteś bambuch... A teraz ja ci coś zaśpiewa:

*Monsieur de Chevreuse ayant decloré que tous,
les cocus devraient etre noyés
Madame de Chevreuse lui o jait demander
S'il etait bien sur de savoir nager!*

Wszystko aktorstwo? Wszystko udane? Mata Hari w La Baule?

I jeszcze poranek w dniu wyjścia: Simone z opuszczonymi ramionami siedzi bez ruchu przy stole, patrzy zażawionymi oczyma, w ustach na pół przeżuta masa bułki, masła i miodu.

– No, jedz już!

Posłusznie zaczyna żuć. Łzy perlą się na jej policzkach. Jedna zwisa z nosa. Kropla jest mętna. Rejestruję to dokładnie. To z powodu soli. Słone łzy. „Teraz jedz i bądź dzielna!” Chwytam ją za kark jak królika i podnoszę jej włosy do góry. „Dalej, jedz i na miłość boską nie martw się!”

Pulower – dobrze, że jest ten biały sweter ze wzorem w warkocz. Teraz jeszcze coś

powiedzieć: „To szczęście, że skończyłaś ten sweter, będzie mi bardzo potrzebny. Na morzu jest już całkiem zimno!”

Simone podejmuje temat. Siąka nosem. „Cest fantastique... wełna... całkiem szara. Jeszcze tylko taka jeden mały kawałek.” – Pokazuje mi długość nitki między kciukiem i palcem wskazującym: Méme pas pour quatre sous! Jak wy nazywacie pulower we flocie?”

Simone pociąga nosem, wstrzymuje powietrze, śmieje się przez łzy. Nie można jej nic opowiedzieć jak kobietom w kraju. Wiedziała zawsze, kiedy okręt nie wrócił do bazy. Podpadające? Wyraźna wskazówka? Ale przecież było sto „legalnych” możliwości, żeby się dowiedzieć: lordowie, którzy byli gośćmi w kawiarni, przestawali tu nagle przychodzić. Francuskie sprzątaczkę w schronach widziały również, kiedy załoga wypływała i kiedy według wszelkich znaków powinna wrócić. Wszędzie mówiono zbyt wiele. A jednak, a jednak...

Robi mi się ciepło: nie, to nie może być oszustwo. Jesteś łajdakiem. Nikt tak nie może grać! Ściska mnie w gardle.

Stary bretoński zegar pokazuje szóstą trzydzieści. Spieszy się o dziesięć minut. Kierowca przyjedzie za dziesięć minut. Simone zajmuje się moją marynarką: „Tu masz plamę, o cochon!”

Nie może pojąć, że w ten sposób wybieram się na pokład.

„Co ty sobie wyobrażasz? Przecież to nie jest statek wycieczkowy!”

Zachowałem każde słowo: „Odprowadzę cię do śluzy”. „Nie, nie powinnaś. Poza tym tam jest zamknięta!” „Jakoś przejdę, pożyczę sobie dowód pielęgniarce. Chcę widzieć, jak wychodzicie!” „Proszę cię, nie. To może głupio wypaść. Wiesz, kiedy wychodzimy! Z plaży możesz nas zobaczyć pół godziny później.” „Ale tylko jak zapałka!”

Znowu słowo „zapałka”. Czerwono-żółte pudełko znowu się zjawia. Przypominam sobie intensywnie. Chwytam każdy przedmiot mackami wspomnienia: stolik do brydża z wypalonymi od papierosów brązowymi plamami na jasnym śliwkowym drewnie. Rozpoznaję teraz lekki wzór trompe-l'oeil płyty na podłodze, na którym ostro perspektywicznie rysują się postawione na krawędzi kostki albo geometryczne wklęsnięcia, zależnie od tego, czy spojrzysz najpierw na białą, czy na czarną płytkę... Szary popiół w kominku... na dworze piszcza hamulce. Zaraz potem beczy klakson. Kierowca jest w szarym mundurze: artyleria marynarki wojennej.

Simone gładzi dłońmi mój nowy sweter. Nie sięga mi nawet do podbródka, tak bardzo się kurczy. Poza tym mam na nogach wielkie buty morskie.

„Dlaczego u ciebie takie duże buty?”

„Mają korkowe zelówki, wyściółkę i poza tym... – utykam na chwilę, ale jej śmiech i jej podziw przywracają mi pewność siebie – muszą być dość duże, by je łatwo można było ściągnąć w wodzie!” Biorę ją za głowę i palcami mierzwię jej włosy. „No, tylko nie wymyślaj.” „Twoja teczka? Gdzie masz teczkę? Widział ty, jak ja wszystko zapakowała? To zasnurowane możesz otworzyć dopiero tam, tak? Obiecuj!” „Obiecuje!” „A będziesz też nosić sweter?” „Codziennie, jak tylko wyjdziemy w morze. A do drzemki podniosę kołnierz i będę się czuł jak w domu!”

Dobrze, że o wszystkim mówi się teraz rzeczowo.

„Potrzebujesz ręczników?” „Nie, są na okręcie. I weź połowę mydła. Mamy mydło do morskiej wody na pokładzie.”

Patrzę na zegarek. Wóz czeka na mnie już od pięciu minut. Mamy jeszcze zabrać pierwszego mechanika. Myślę: żeby to już wszystko się skończyło! A teraz szybko: niska, sięgająca do biodra furka w ogródku, terpentynowy zapach sosen... jeszcze raz się odwróci. Zatrzasnąć furtkę. Koniec. Fini!

Rozpoczyna się wspaniały zmierzch. Z prawej strony niebo obwiesza się czerwonymi girlandami. Stopniowo czerwień ta prawie niedostrzegalnie matowieje i całkiem znika. Gdzie jeszcze żarzyły się te wspaniałe girlandy, zwisa teraz tylko łańcuch brudnych szarych chmur na tle stalowej barwy nieba, o niecały kciuk nad horyzontem.

Stopniowo robi się ciemno. Ostatnie światło nieba rozplywa się w naszym śladzie torowym.

– No, Kriechbaum, jakie pan ma wrażenie? – pyta dowódca starszego sternika.

– Dobrze! – mówi starszy sternik bez wahania. Ale czy jego głos nie brzmiał sztucznie wesoło?

Mija jeszcze pół godziny i dowódca każe mi zejść z pomostu. Odsyła także trzech wachtowych. Chce zostać na górze tylko ze starszym sternikiem. Sądząc z tego, musimy być już blisko domniemanego łańcucha ubezpieczeń.

Słyszę, że przechodzimy na silniki elektryczne. Mruczenie diesli urywa się. Płyniemy po powierzchni na silnikach elektrycznych. Dotychczas tego nie robiliśmy.

– Czas? – pyta dowódca.

– Dwudziesta trzydzieści – melduje sternik.

Pozostaję w centrali. Mija pół godziny. Silniki idą tak cicho, że słyszę wszystko, co dowódca mówi na górze, gdy tylko podejść pod kiosk.

– Ściągnęli tutaj połowę nieprzyjacielskiej floty! Chyba nie wszyscy płyną do

Tangeru, do kasyna gry? Niech pan uważa, na tego, Kriechbaum... Mam nadzieję, że nikogo nie rozjedziemy.

Główny mechanik podchodzi do mnie i spogląda w górę.

– Cholernie trudno! – mówi.

Ze świateł pozycyjnych Stary musi sam jeden określać kurs i prędkość nieprzyjacielskich okrętów i statków, pokazywać kolejnym obserwatorom naszą wąską sylwetkę i wymanewrowywać ich. Cholernie ciężko od razu wiedzieć, które światło należy do jakiego statku, czy ta łajba stoi, czy się oddala pod kątem sto dziesięć, czy może zbliża pod kątem siedemdziesięciu stopni.

Również starszy sternik musi piekielnie uważać. Podaje swoje meldunki stłumionym głosem. Ton głosu Starego jest raczej swobodny. Jak go znam, czuje się teraz w swoim żywiole.

– Wszystko przyzwoici ludzie, wszyscy założyli porządnie swoje światła pozycyjne... Bardzo ładnie! Kriechbaum, co robi pańska łajba, zbliża się?

Odnoszę wrażenie, że okręt zatacza krąg. Muszę bardziej uważać na komendy na ster, zaktywizować moją wyobraźnię.

– Do diabła! Mało brakowało!

Dowódca milczy przez chwilę. Widać sytuacja paskudna. Ze zdenerwowania czuję tętno na szyi.

– Tak, mój drogi, no... płyn spokojnie dalej! – słyszę wreszcie dowódcę.

– Cholerny tłok! Ale też robią, co mogą!... Hej, kto tu idzie?... Ster lewo dziewięćdziesiąt.

Dałbym wiele za to, by się teraz znajdować na pomoście.

– Starszy sterniku, niech pan ma oko na tego na trawersie... Tak, na tego!... Meldować, kiedy zmieni kurs!

Nagle dowódca każe zatrzymać oba silniki elektryczne. Nastawiam uszy. Główny mechanik sapie. Co to jest? Co to znaczy?

Uderzenia fal w zbiornik balastowy brzmią nienaturalnie głośno, jak uderzenia mokrych ścierek. Okręt kołysze się. Moje pytające spojrzenie na głównego mechanika pozostaje bez odpowiedzi. Ponieważ światło w centrali jest przyćmione, widzę jego twarz tylko jako bladą plamę.

Słyszę wyraźnie, jak mechanik w zdenerwowaniu przestępuje z nogi na nogę.

Czum... czum... – szumią fale, które idą na okręt z boku.

Co za ulga, gdy Stary każe uruchomić lewy silnik. Przez dobre dziesięć minut idziemy

bardzo wolno. Wygląda to tak, jakbyśmy skradali się na palcach.

– Tego już mamy z głowy! – słychać głos z góry. Główny mechanik robi głęboki wydech.

Teraz Stary każe uruchomić prawy silnik. Czy już przedostaliśmy się przez gęste ubezpieczenia zewnętrzne? Czy Tomki mają kilka linii ubezpieczeń? – Zagrody bonowej z belek – mówi Stary – nie mogą założyć z powodu prądu. – Gdzie się w ogóle znajdujemy? Spojrzeć na mapę? Nie, nie teraz. Nie ma czasu.

– No, Kriechbaum, dosyć ciekawie, co?

Stary mówi całkiem swobodnie. Jego głęboki, wyraźny głos nie ma w sobie odcienia niepokoju.

– Dobrze! A co robi ten na trawersie?

Starszego sternika, niestety, prawie nie rozumiem. Napięcie musiało pozbawić go tchu. Odpowiada Staremu szeptem.

Stary znowu koryguje kurs: – Jeszcze troszkę bliżej! Gra całkiem nieźle! Prawdopodobnie nie spodziewają się nas tutaj! Niech pan uważa, żeby tamta łajba naprzeciwno utrzymywała odstęp... No co?

Przez dobre pięć minut z góry nie dochodzi nic poza dwiema komendami na ster.

– Za dziesięć minut zanurzenie!

– Będzie mi bardzo miło – mruczy mechanik.

Na razie wygląda na to, że mechanik mimo zapowiedzi Starego nie chce się ruszyć z miejsca. Chce pokazać, jak pewny jest swojej sprawy? Okręt w każdym razie jest jak najlepiej wyważony. Wszystkie urządzenia, które podlegają głównemu mechanikowi, zostały starannie sprawdzone w ostatnich godzinach. Ci z centrali nie mieli ani chwili spokoju.

– ...no, któż to mówi... tak, teraz dobrze... no, dalej?

Głos Starego brzmi tak, jakby mówił do dziecka, które nie chce jeść.

– No, spróbujemy! – odzywa się wreszcie główny mechanik i znika.

Nagła myśl przychodzi mi do głowy: teraz jeszcze raz szybko do klozetu! Potem może nie być już sposobności.

Szczęście: ustęp jest wolny.

W klozecie siedzi się jak w środku jakiejś maszyny. Tutaj bezsensowna plątana przewodów nie jest osłonięta dyktą. Między wąskimi ścianami prawie nie można się ruszyć. Ażeby jeszcze zwiększyć tę ciasnotę, bosman między szmatami i ścierkami ustawił w kątach konserwy z „Wezery”.

Gdy tam siedzę, przypomina mi się relacja pewnego marynarza, który podczas sztormu

zatrudniał się w latrynie powolnym wylewaniem oliwy. Wypływając przez kanalizację latryny, miała uspokajać rozszalałe fale. Ponieważ parowiec miał dość duże zanurzenie, latryna znajdowała się mniej więcej na równym poziomie z wodą. Gdy tylko statek mocno się przechylał, woda przez rurę odpływową dostawała się do latryny i podnosiła coraz wyżej, a drzwi nie dawały się otworzyć, bowiem na zewnątrz opadł rygielek, a marynarz wiedział, że będzie musiał utonąć, gdy statek będzie się jeszcze mocniej chwiał. Nie miał nawet nadziei, że pod sufitem zbierze się powietrze i przeciwstawi ciśnieniu wody, bowiem latryny mają dobrą wentylację... normalne latryny na statkach, a nie te tutaj.

Marynarz był zamknięty jak mysz w pułapce i wylewał oliwę, jeśli tylko z przewodów nie tryskała właśnie morska woda: człowiek walczący samotnie na straconym posterunku o swój statek.

Nagle ogarnia mnie obrzydliwy strach przed zamknięciem. Wyobrażam sobie, że kadłub pęknie przy zanurzeniu, że eksploduje bateria, że również te cholerne żelazne drzwi z ciężko chodzącymi ryglami nie dadzą się już otworzyć, wygięte przez eksplozję. Widzę siebie, jak rozpaczliwie szarpie nimi, ale nikt mnie nie słyszy.

Pojawiają się obrazy z filmu: samochód wjeżdżający do rzeki, z którego już nikt nie może uciec. Wykrzywione twarze za kratami płonącego więzienia. Wyjście z sali zablokowane przez kłęb spanikowanych ludzi. Nie mogę już zmusić jelit do ruchów robaczkowych, podnoszę się z sedesu i próbuję się skoncentrować na obserwacji kropli wody na dolnej krawędzi srebrnego, połyskującego naboju z potasem, który tkwi w odpowiednim uchwycie za spłuczką.

Tylko spokojnie, mówię do siebie.

Poruszam się w sposób opanowany i specjalnie wolno podciągam spodnie. Tak, wszystko w porządku! Bardzo ładnie!

Strach? Czy to teraz był strach, zwykły normalny strach, czy klaustrofobia? Kiedy w ogóle w życiu miałem stracha? W schronie przeciwlotniczym? Nie bardzo! Przecież było jasne, że stamtąd się wydostaniemy. Raz w Breście, gdy niespodziewanie nadleciały bombowce, uciekałem jak zając. To już był teatr... ale prawdziwy strach?

W Dieppe na trałowcu? Te wariackie różnice między przyplływem a odpływem! Pięknie sobie popijaliśmy, gdy nagle zabrzmiał alarm, mur nabrzeża zrobił się wielki jak czteropiętrowy dom, a my leżeliśmy w szlamie na dnie portowego basenu i gdy bombowce zrzucały swój ładunek, nie wiedzieliśmy, dokąd się ruszyć.

Ale to wszystko było niczym wobec strachu, jaki mnie ogarniał w bezkresnych, rozbrzmiewających echem korytarzach internatu, gdy większość kolegów odjechała do domu

i w olbrzymim gmachu prawie nie było ludzi. Gonili mnie z nożami w rękach, palce zaciskały się z tyłu na moim gardle! I zawsze kroki, które słyszałem przed sobą w korytarzu – skradanie się moich prześladowców! Ten zimny dreszcz na plecach! Strach, który siedział mi na karku. To pełne udreki życie w internacie: w środku nocy zrywałem się z łóżka. Między udami czułem coś kleistego. Myślałem, że muszę się wykrwawić. Żadnego światełka. Leżałem zdętwiały z przerażenia, sparaliżowany strachem, że będę zgubiony, jeśli się tylko poruszę.

Gibraltar

Czas na zmianę wachty. W pomieszczeniu jest tłok, ponieważ druga zmiana stoi i czeka, a pojawiła się również trzecia. Berlińczyk nie może zrozumieć, czemu ciągle jeszcze się nie zanurzamy: – No, Stary, ten idzie na całego. Robi z tamtych balonów!

Napięcie rozluźniło języki. Ludzie mówią jeden przez drugiego: – Człowieku, w tym coś jest!... – Zasuwamy jak po maśle!... – A jak twój kramik?...

– Jakoś leci!

Zeitler przeciąga grzebieniem po włosach.

– Wysztyftuj się porządnie – mówi berlińczyk. – U Tomków podobno jest dużo pedziów!

Zeitler nie daje się sprowokować. Swoją gęstą grzebień przeciąga już po raz piąty, powoli i starannie, po zamoczonej czuprynie.

Turbo śpiewa półgłosem:

*Malarzu, mam tego dość,
Więc mojej żonie na złość
Na mej izby białych drzwiach
Od razu maluj, ciach, ciach,
Nie żadną tam glizdę,
Ale wielką... patkę.*

Stoję pod włazem, zjudwestkę związałem mocno pod brodą, prawą dłoń trzymam już na trapie i patrzę w górę.

– Można na pomost? – pytam.

Nagle dowódca ryczy: – ALARM!

Starszy sternik zjeżdża po trapie. Jego morskie buty walą tuż koło mnie o płyty podłogi. Z góry dolatuje gwałtownie potęgający się warkot.

Dowódca! Gdzie jest dowódca?

Już otwieram usta, by zadać pytanie, gdy straszliwy wybuch ciska mnie na kolana. Boże, moje uszy! Zataczam się na skrzynię z mapami. Ktoś krzyczy: – Dowódca! Dowódca!

– Ktoś drugi: – Artyleria!

Potężny strumień wody wali się z góry. Nie ma światła. Jestem ogłuszony. Strach siedzi mi w piersi.

Okręt już zaczyna się zanurzać. Nagle dowódca jak ciężki worek spada między nas. Jęcząc z bólu, wykrztusza tylko: – Trafienie... dokładnie obok kiosku!

W świetle latarki widzę, jak bardzo się wygina do tyłu, jakby chciał zrobić mostek, a przy tym wpiera dłonie w okolicę nerek.

– Działo poszło! Mnie niemal wyrwało!

Gdzieś w ciemności, w tyle centrali, ktoś krzyczy przeraźliwie jak kobieta.

– To był „aniołek”... Nalot – wydusza z siebie dowódca.

Czuję, jak okręt opada szybko. Aniołek? Aniołek? Co takiego? Lotnik w środku nocy? A więc to nie ogień artylerii? Aniołek? Przecież to niemożliwe!

Zapala się światło awaryjne.

– Szasować! – ryczy dowódca. – Wszystkie szasować! – A potem podnieconym głosem: – Natychmiastowe wynurzenie! Przygotować aparaty ratunkowe!

Zatyka mi dech. We włazie grodzi rufowej pojawia się w półmroku kilka zmieszanych twarzy. Potem wszyscy stoją jak sparaliżowani.

Dowódca stęka. Oddycha szybko.

A dłoń pisała na ścianie ogniste litery, których nikt nie rozumiał... Aniołek... to przecież niemożliwe!

Przegłębienie na dziób! O wiele za duże! Jak mogło zniknąć działo?

– Trafiło obok kiosku! – Stary mówi, jakby sapał. A potem głośniejsze: – Co to jest? Wielki Boże! Kiedy otrzymam meldunki?

Jako odpowiedź zmieszane okrzyki od rufy: – Przeciek w przedziale diesli! Przeciek w przedziale silników elektrycznych! – Cztery czy pięć razy słyszę odrażające słowo „przeciek” w pomieszonym ryku, na pół zagłuszone przez syk sprężonego powietrza, które płynie do balastów.

Wreszcie wskazówka manometru staje, drży gwałtownie i powoli zaczyna się cofać: wznosimy się!

Dowódca stoi teraz pod kioskiem: – Dalej, czifie! Do góry i wyskakujemy! Nie będzie patrzenia przez peryskop! Idę sam na pomost! Wszystko trzymać w pogotowiu!

Przenika mnie lodowata groza: nie mam przy sobie aparatu ratunkowego. Robię trzy kroki ku tylnej grodzi, przeciskam się między ludźmi, którzy nie chcą ruszyć się z miejsca, potem macam w nogach mojej koi i chwytam aparat. Oddycham głęboko. Bogu dzięki!

Sprężone powietrze syczy i syczy. W centrali wariackie zamieszanie. Nie chcąc stać na drodze, przykucam koło przedniej grodzi.

– Okręt wychodzi, włącz kiosku wolny! – melduje główny mechanik, podnosząc twarz ku górze, całkiem rzeczowo, jak na ćwiczeniach. Stary już jest w kiosku. Teraz wypycha, pokrywę włązu i rozlega się jego rozkaz: – Oba diesle cała naprzód! Ster prawo na burt! Na kurs sto osiemdziesiąt! – Głos brzmi przeraźliwie i twardo.

Wysiadać? Płynąć? Majstruję przy mojej butelce ze sprężonym powietrzem, macam szybko palcami sprzączki kamizelki ratunkowej. Te diesle! Ten hałas! Jak długo to może się udawać? Półgłosem liczę sekundy wśród krzyków, które słychać od strony włązu.

Co Stary zamierza? Sto osiemdziesiąt stopni to kurs południowy! Idziemy więc prosto na afrykański brzeg.

Ktoś wrzeszczy: – Awaria lewego diesla! – Ten szaleńczy ryk silników to rzeczywiście był tylko jeden diesel?

Nagle przeraźliwa jasność w kole włązu kiosku skierowuje moje spojrzenie w górę. Obok w oślepiającym magnezjowym świetle widzę twarz czifa.

– Pociski oświetlające! – wykrzykuje czif. Brzmi to jak szczekanie.

Diesel doprowadza mnie do szaleństwa. Ten wariacki hałas! Mam ochotę zasłonić sobie uszy, by stłumić grzmot detonacji w cylindrach. Jeszcze lepiej otworzyć usta, jak to robią kanonierzy, zaraz bowiem może znowu huknąć: pierwszy strzał... drugi strzał!

Słyszę mój głos, liczący sekundy. I nagle w to mamrotanie wdziera się nowy paniczny krzyk od rufy: – Zęza w przedziale silników elektrycznych daje silnie wodę!

Nigdy nie pływałem w aparacie ratunkowym! Nawet na próbę. Dozorowce... jak daleko są te następne? O wiele za ciemno! Nikt z załogi dozorowców nas nie zobaczy, kiedy będziemy pływali. Prąd! Bardzo silny! Stary przecież mówił. Prąd rozpędzi nas w różne strony. Gdy dojdzie do pływania, jesteśmy skończeni. To jest tak: prąd powierzchniowy idzie od Morza Śródziemnego. To znaczy więc: do Atlantyku. Na Atlantyku nikt nas nie znajdzie. Bzdura. Wszystko błędne: nas pędzi w Morze Śródziemne. Prąd powierzchniowy... prąd głębinowy. Liczyć, liczyć dalej! Mewy! Szarpiące dzioby! Bracia z żelatyny! Łyse, białe czaszki pokryte szlamem!

W liczeniu dochodzę już do trzystu osiemdziesięciu, gdy dowódca ryczy: – Zanurzenie!

Otwiera się odwietrzniki. Tym razem okręt w ciągu kilku sekund staje na głowie.

Dowódca schodzi po trapie: lewa stopa, prawa stopa – całkiem normalnie. Ale jego głos nie jest taki jak zwykle: – Te świnię kropią pociskami oświetlającymi ze wszystkich luf!

– Dopiero teraz udaje mu się odzyskać zwykłą tonację głosu: – Jasno jak w dzień!

I co teraz? Nie wysiadamy? Co Stary zamierza? W jego słabo oświetlonej twarzy nic nie daje się wyczytać. Przymknął powieki, ma głębokie bruzdy przy nasadzie nosa. Zdaje się, że wcale nie przyjmuje meldunków, które napływają od rufy.

Przegłębienie dziobowe przydusza mnie mocno do przedniej ściany centrali. Dłońmi wyczuwam wilgotny i mokry lakier. Czy się mylę? Czy tym razem nie schodzimy w głębinę szybciej niż zwykle? Przecież zapadamy się jak kamień!

Teraz wybucha piekło. Ludzie wpadają do centrali, poślizgują się, objijają. Jeden, padając, wali mnie głową w brzuch. Podnoszę go. Nie poznaję, kto to jest. Czy w chaotycznym ryku nie dosłyszałem rozkazu: „Wszyscy na dziób”?

Wskazówka! Ciągle jeszcze się obraca. Okręt był jednak wysterowany na trzydzieści metrów! Trzydzieści metrów, więc od dawna wskazówka powinna obracać się wolniej. Patrzę na nią i nagle zostaje ona zasłonięta błękitną mgłą: kłęby dymu przenikają z rufy do centrali.

Mechanik gwałtownie odwraca głowę. W ułamku sekundy widzę jego przerażone spojrzenie.

Wskazówka! Obraca się o wiele za szybko!

Główny mechanik daje rozkaz na ster. Stara sztuczka – trzymać okręt dynamicznie. Dać nacisk na ster głębokości. Silniki elektryczne. Czy silniki elektryczne idą teraz całą naprzód? Nie słyszę ich zwykłego brzęczenia. Czy one w ogóle idą?

To przekłete szuranie i tupanie zagłusza wszystko. I jęk... kto to może być? Przy tym cmentarnym świetle nikogo nie można rozpoznać.

– Dziobowy ster głębokości zablokowany! – melduje sternik, nie odwracając się.

Główny mechanik zwrócił stożek światła latarki na głębokościomierz. Mimo dymu widzę, że wskazówka szybko przechodzi przez pięćdziesiąt i sześćdziesiąt. Gdy mijają siedemdziesiątkę, dowódca rozkazuje: – Szasować! – Ostre syczenie sprężonego powietrza jest dobrodziejstwem dla moich rozdygotanych nerwów. Bogu dzięki: teraz nasze żelazko wreszcie będzie miało wypór!

Ale wskazówka obraca się dalej. Co prawda to powinna. Całkiem normalne: obraca się tak długo, aż tendencja do opadania przekształci się w tendencję do wznoszenia. To zwykle trwa przez pewien czas.

Ale teraz... teraz... teraz musi wreszcie stanąć! Gwałtownie mrugam powiekami. Otwieram szeroko oczy, przestaję mrugać, wpatruję się z całym natężeniem w tarczę manometru. Wskazówka wcale nie myśli się zatrzymać. Przesuwa się dalej. Już przechodzi osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt.

Koncentruję całą siłę w swoim spojrzeniu. Próbuje ten cienki czarny pasek metalu zatrzymać spojrzeniem w świetle latarki czifa. Na próżno: przechodzi setka, a wskazówka przesuwa się dalej.

Czy ciśnienie z naszych, butli sprężonego powietrza nie wystarcza?

– Okrętu nie można utrzymać – szepcze czif.

Co to, było? Nie można utrzymać... Nie można utrzymać? Przecieki! Zrobiliśmy się za ciężcy? Toniemy?

Ciągle jeszcze kucam przy grodzi.

Na jakiej głębokości zostanie zgnieciony kadłub sztywny? Kiedy stalowy pancierz pęknie między wręgami?

Wskazówką muska sto osiemdziesiąt i stale przesuwa się dalej. Nie ważę się już na nią patrzeć. Wstaję, zataczając się szukam oparcia. Ciśnienie! Nagle przelatuje mi przez głowę, czego uczył mnie główny mechanik: na większych głębokościach ciśnienie wody zmniejsza objętość okrętu. W ten sposób zyskuje on nadwagę w stosunku do wypartej wody. Jesteśmy coraz bardziej zgniatani i robimy się przy tym coraz ciężsi. Nie ma już wyporu, tylko przyciąganie ziemi i przyspieszenie ziemskie...

– Sto dziewięćdziesiąt! – melduje mechanik. – Dwieście... dwieście dziesięć...

Meldunek rozbrzmiewa echem w mojej czaszce: dwieście dziesięć! I ciągle głębiej!

Przestaję oddychać. Zaraz coś pęknie z przeraźliwym trzaskiem. A potem zielone wodospady.

Gdzie najpierw?

Woda nie myśli, mówi coś we mnie.

Cały okręt stęka i skrzypi. Ostry huk jak przy strzale z pistoletu. Potem wysoki, ćwierkający zaśpiew, który przenika mnie do szpiku kości.

Robi się coraz bardziej przeraźliwy, piekielny hałas, jak tarczowej piły, śpiewającej na wysokich obrotach.

Znowu ostry huk, coraz więcej trzasków i jęczenia.

– Przechodzi dwieście sześćdziesiąt! – woła obcy głos. Nogi uginają się pode mną. Przy studziencie peryskopu pelot nie mogę się już trzymać. Cienka drucziana linka wcina mi się boleśnie w dłoń.

A więc to tak!

Wskazówka osiągnie, zaraz dwieście siedemdziesiąt! Znowu coś jak strzał z bata. Pojmują: to wyskakują nity. Rozklepane i zaspawane. Tego ciśnienia nity i spojenia nie wytrzymują.

Przewody! Te przeklęte połączenia zaburtowe!

Jakiś głos zawodzi: – Nie odwracaj od nas oka i oblicza... – Badacz Pisma? Co to w ogóle za tłok w centrali? Kto tu spędził tych ludzi?

Nagle silne uderzenie podcina mi nogi. Toczę się po płytach do przodu, trafiam na czyjaś twarz, potem wstaję, chwytając się jakiegoś ciała w skórzanej kurtce. Z włazu przedniej grodzi rozlega się wrzask wielu głosów, jak echo krzyku z rufy. Płyty podłogowe co chwila podskakują z wielkim trzaskiem i szczękiem. Długie brzęczenie szkła, jakby przewróciła się choinka. Kolejne gwałtowne uderzenie, huk rozlega się echem, i jeszcze jedno! A teraz ostre piłowanie, które przenika całe moje ciało. Okręt wibruje w wariackiej chwiejbie. Dygocze w serii wstrząsów, jakbyśmy pędzili po ogromnym wysypisku głazów. Z zewnątrz dobiega jakieś pierwotne wycie, potem szaleńczy pisk, wreszcie jeszcze dwa grzmiące ciosy i nagle wszystko milknie. Pozostaje tylko wysoki, gwizdzący zaśpiew.

– Jesteśmy na miejscu! – słyszę wyraźnie głos, ale daleko, jakby zza jakichś drzwi. To głos dowódcy.

Leżę na plecach, nogi w ciężkich butach próbuję podciągnąć pod tułów, zwijam się, podnoszę, zataczani, poślizguję, upadam na kolana. W gardle tkwi mi krzyk. Potrafię go zdusić w porę.

Światła! Gdzie jest światło? Oświetlenie awaryjne... czy nikt nie włączył oświetlenia awaryjnego?

Słyszę, jak bulgocze woda. Czy to woda w zębie? Woda z zewnątrz tak by nie bulgotała.

Próbuję rozróżnić odgłosy i je zlokalizować: krzyk, szept, mamrotanie, cienie paniczne piski, pytanie Starego: – Gdzie są meldunki? – A zaraz potem władcze: – Żądam porządných meldunków!

Wreszcie światło! Półświatło. Czego chcą tu ci wszyscy ludzie? Patrę przymrużonymi oczyma, próbuję przeniknąć półmrok, chwytam strzępy słów i krzyk. Najgłośniej jest na rufie. Święty Boże, co tam się dzieje?

Raz widzę twarz Starego, raz głównego mechanika. Chwytam fragmenty meldunków. To całe zdanie, to tylko ułamki słów. Ludzie spieszenie przechodzą koło mnie na rufę, oczy mają szeroko rozwarłe z przerażenia. Ktoś mnie potrąca, nieomal przewracając.

Łopata piasku... skąd te słowa? To Stary oczywiście: – Mamy łopatę piasku pod kilem!

Próbuję pojąć: na górze było ciemno. Nie całkiem czarno wprawdzie, ale księżyc nie świecił. Przy tak nikłym świetle żaden lotnik nie mógł nas wykryć. Bomby w nocy... Coś takiego się nie zdarza. A może to jednak był pocisk artyleryjski? Artyleria okrętowa?

Artyleria nadbrzeżna? Ale przecież Stary wrzeszczał „aniołek!” A warkot bezpośrednio przed wybuchem?

Czif popędza wszystkich i wyszczekuje swoje rozkazy.

A potem? „Jesteśmy na miejscu”... Kamieniste pole... Kadłub sztywny... Jesteśmy nie opancerzeni jak wydmuchane jajko! Te wariackie kwiczące tony... tramwaj na zakręcie, oczywiście. Rąbnęliśmy w skały dna z całym rozpędem. Cóż by innego? Oba silniki elektryczne na całą naprzód i nos w dół! To już zrobił sam okręt! Stal napięta aż do pęknięcia przez ciśnienie głębi! A potem to uderzenie... Zderzenie... Uderzenie...

Kilku ludzi leży jeszcze na ziemi. Stary jak ciemna bryła stoi pod kioskiem trzymając dłoń na trapie.

Wśród wrzasku rozkazów głośno i wyraźnie słyszę monotony śpiew badacza Pisma:

*O, chwała za to Najwyższemu Panu,
Że od wszelakiej grzechów wolni zmaży
Wejdzim na obiecane pola Kanaanu...*

Dalej nie dochodzi. Rozbłyskuje latarka. Mat z centrali zadaje badaczowi Pisma straszliwy cios grzbietem dłoni w usta. Słysząc trask, jakby pękały mu przednie zęby. Przez mgłę dostrzegam, jak z ust cieknie mu krew, widzę jego szeroko otwarte ze zdumienia oczy.

Najmniejszy ruch sprawia mi ból. Musiałem gdzieś uderzyć prawym barkiem i obu goleniami. Ilekroć chcę się poruszyć, czuję, jakbym z trudem musiał przedzierać się przez wodę.

W wyobraźni widzę cały przekrój Cieśniny Gibraltarskiej: z prawa brzeg afrykański, tektoniczne warstwy obniżającej się ku środkowi ziemi, a na połowie drogi między najgłębszym punktem i afrykańskim brzegiem – nasza skromna rura.

Czy ten wariat Stary wbrew wszystkiemu miał nadzieję, że Anglików nie będzie na posterunkach? Czy nie było dla niego jasne, z jak potężną obroną się spotkamy? Stoi teraz, jedna ręka nadal na trapie, a sfatygowana czapka na głowie.

Pierwszy oficer ma otwarte usta. Jego twarz jest jednym przerażonym pytaniem.

Gdzie jest główny mechanik? Zniknął.

Hydroakustyk melduje: – Awaria szumonamiemika!

Obaj sternicy głębokości tkwią przy sterze, jakby jeszcze było czym sterować. Pierścień z podziałką celownika przeciwlotniczego huśta się na drucie. Komiczne: to już raz mieliśmy – należy rozsądniej konstruować. To przecież fuszerka.

Dopiero teraz słyszę ostry gwizd i syczenie od dziobu. Przecieki również w dziobowej części okrętu? Popękane, lejące wodę złącza? Które z przewodów przedziału dziobowego wychodzą na zewnątrz? Kadłub sztywny w każdym razie wytrzymał. Inaczej byłby już koniec... Przekiekające pęknięcia – to idzie szybciej.

Spadliśmy jak kamień. Że też nie złamało nam kręgosłupa przy uderzeniu! To twarde lądowanie na szaleńczej głębi, do której nie jesteśmy przystosowani! Odczuwam rodzaj szacunku dla odporności naszej rury: ta cienka stal ma pierwszorzędną jakość. Stal specjalna. Najlepiej obrobiona.

Naraz wszystko staje się dla mnie jasne: Stary wyciągnął nasz przeciekający okręt na płytszą wodę. Kurs południowy! Uratował nas krótkim zrywem w kierunku brzegu. Chapeau! Wszystko postawił na jedną kartę i natychmiast ruszył na dieslu. Każda minuta zwłoki spowodowałaby, że płytsze miejsce, na którym teraz leżymy, byłoby nieosiągalne.

Grupa z centrali pracuje, sapiąc. Ostry gwizd raptem się urywa. Ale co to było? Zamiast wysokiego dźwięku słyszę teraz całkiem wyraźnie dziwne „wicziwicziwicziwicz”.

Wyteżam słuch: to są śruby. Bez wątplenia śruby. Zbliżają się.

Ten szum paraliżuje wszystkich, jakby ktoś dotknął nas czarodziejską pałeczką, Mają nas. Killers! Są nad nami. Teraz nas wykończą.

Wtulam głowę w ramiona i kącikami, oczu obserwuję zdrętwiałych ludzi. Stary przygryza dolną wargę. Zarówno, na rufie, jak i, w dziobowym musieli, również usłyszeć ten szum. Hałas głosów ludzkich jakby ktoś uciął.

Under the gun! Spojrzenie prosto w lufę pistoletu. Kiedy zegniesz się palec na spuście?

Najmniejszego ruchu, ani mrugnięcia powieką. Zdrętwiali jak słupy soli.

Wicziwicziwicziwieziwicziwieziwicz.

Czy to przeklęte wiczowanie nigdy nie osłabnie? Musi przecież się oddalić. To tylko jedna, jedyną, śruba: więziwicziwicziwicziwicziwicz bez zmian. Zawsze dokładnie ten sam wysoki zaśpiew, który trafia moje nerwy, jakby były niczym nie osłonięte. Ta łajba, tam na górze, idzie wolno. Inaczej nie byłoby tego mlaskania. To turbina, nie słyhać stuku zaworów.

Ale przecież nie może stać z obracającą się śrubą dokładnie nad nami, Po tylu minutach, ten szum musiałby osłabnąć. Wielki Boże, co to ma znaczyć?

Nie mogę zobaczyć twarzy Starego. Musiałbym się precyzyjnie przycisnąć do przodu, ale na to się nie ważę. Teraz ani ruchu. Napięcie mięśni. Wstrzymanie tchu.

Tam... Stary właśnie mruknął głębokim basem: – Rundy honorowe... robią rundy honorowe! – Rozumiem: okręt na górze płynie po ciasnym kręgu, tak ciasnym, jak tylko

może, dokładnie nad nami. Z mocno, skręconym sterem. Robi w wodzie lejek. Jesteśmy na czubku tego lejka.

Wiedzą więc dokładnie, gdzie leżymy. Namierzili nas precyzyjnie.

Łoskot nie słabnie ani nie potęguje się, Słyszę, że ktoś zgrzyta zębami tuż koło mnie, potem stłumione westchnienie. Jeszcze jedno... To brzmi jak głucho, jęknięcie.

Rundy honorowe! Stary dobrze to ujął: czekają, aż wyskoczymy na wierzch. Potrzebują jeszcze paru dowodów: kawałków wraku, ropy, paru strzępów białego mięsa.

Ale dlaczego te świni nie rzucają bomb?

„Piczpacz” – to są krople wody. Nikt się nie rusza. Znowu mrukliwy głos Starego: – Rundy honorowe! – I jeszcze raz: – Rundy honorowe! – Ktoś skowyczy. To musi być znowu ten badacz Pisma.

Słowo „rundy honorowe” nabrzmiewa we mnie i wypełnia mi całą przestrzeń mózgu. Wyścigi za motorami w Chemnitz. Takie zwariowane trzepotanie nogami. Głęboko zgięci kolarze i rowery na rolkach ze swoimi sztywno wyprostowanymi matadorami w czarnych skórkach, a potem powoli kręcący pedałami i machający wzniesioną dłonią, z olbrzymim krzywo zawieszonym złotym wieńcem na szyi – zwycięzca! Runda honorowa! Na zakończenie wspaniały pokaz sztucznych ogni. A jak wreszcie tłum niby czarny robak dreptał do tramwajów!

Wicziwicziwicz...

Od rufy napływają meldunki szeptane z ust do ust. Nie pojmuję ich. Słyszę tylko obroty śrub. Ogarniają całe moje ciało. Staję się jednym jedynym pudłem rezonansowym dla tego monotonnego wicziwicziwicz.

Badacz Pisma Świętego skowyczy dalej. Wpatrujemy się w płyty podłogi albo ściany centrali, jakby tam miały się zaraz ukazać obrazy rzucane przez projektor. Ktoś woła „Jezu!” Stary śmieje się ochryple.

Wicziwicziwicz – wszystko się ode mnie oddała. Welon mgły przed oczami. A może to dym? Czy znowu gdzieś się pali? Moje uszy rozrastają się w wielkie aparaty podsłuchowe. Nerwy wibrują w rytmie śpiewnego szumu śrub. Próbuję to wyjaśnić i znowu przychodzę do siebie. Wzrok mi się wyostrza. Ale niebieskawy opar pozostaje. Tak, to dym! Diabli wiedzą skąd!

Okrzyk „wyciek ropy” uderza mnie w ucho. Boże, musimy mieć wyciek ropy! Widzę kalejdoskopowe obrazy kolorowej, połyskującej powierzchni, takiej, jaką ropa tworzy na wodzie: secesyjne zawijasy, papier marmurkowy, bagno.

Usiłuję opanować swój strach. Ten gwałtowny prąd... to może być nasze szczęście. On

przesunie tę mieniającą się tłustą masę i rozproszy ją.

Czy to jednak pomoże? Tomki znają bieg prądu. Są tutaj u siebie w domu. W swoich rachunkach uwzględniają znos. Nie są przecież dzisiejsi. Diabli wiedzą, ile ropy wydostaje się z naszych zbiorników. Ale jeśli dużo, to może właśnie dobrze, im więcej, tym lepiej, gdyż wtedy dla Tomków będzie to wyglądało, jakby rzeczywiście trafili. Który to zbiornik mogło rozerwać?

Znowu wszystko zaczyna się we mnie kręcić. Widzę ciemne fale w reflektorze dozorowca... i jak tryska nasza ropa i wirując, idzie w górę, jak rozlewa się w olbrzymią, połyskującą plamę. A w środku nowe bulgotanie i falowanie, jakby wytrysnęło podziemne źródło. I ciągle macające białe palce reflektorów, czerwone rakiety sygnalizacyjne, pociski oświetlające. A ze wszystkich stron okręty z białą kością w pysku, wszystkie działa skierowane na wytrysk ropy.

Chcę uciec, nie być osaczony przez rurociągi i mechanizmy, i maszyny, uciec precz od tych wszystkich zaworów i agregatów, które już nie nadają się do niczego. Jednocześnie ogarnia mnie nastrój gorzkiego cynizmu. Ty przecież chciałeś tego wszystkiego. Sam tego chciałeś. Pławiłeś się w dobrobycie. „Osiołku, osiołku, poprowadzę cię przez upał i mróz, że zapomnisz o słuchaniu i patrzeniu, i wszelkiej takiej rozpuście!” Tak przecież brzmi ta gadka. Zachciało ci się dla odmiany czegoś bohaterskiego. „Raz stanąć przed ostatecznością...” Binding i całe te bzdury! Tym się upajałeś: „...gdzie niczyja matka się za nami nie obejrzy, żadna kobieta nie przetnie naszej drogi, gdzie tylko rzeczywistość panuje, okrutna i wielka...” Oto jest ona teraz, ta twoja rzeczywistość!

Długo nie wytrzymuję tego szyderstwa. Już narasta we mnie współczucie dla samego siebie, wtedy powtarzam półgłosem: – Gównu, co za przeklęte gównu!

To „wicziwiczicz” jest tak głośne, że nie mogę go już słuchać. Serce bije mi w gardle. Skóra na głowie jakby zamarzła. Czaszka chce mi pęknąć.

Czekać.

Czy nie słyhać było lekkiego drapania o kadłub, czy też mam już złudzenia słuchowe?

Czekać – czekać – czekać.

Do tej pory nie wiedziałem, co to znaczy: bez broni w rękę. Bez młota, którym mogę uderzyć, bez klucza do śrub, który mogę nacisnąć.

To „wicziwiczicz” na górze nie słabnie. Niepojęte! Dlaczego nie słyszemy namierzania? Wiązki fal asdiku?

Czyżby nie mieli asdiku na pokładzie? Muszę spróbować myśleć jasno. Czyżby nasz

okręt leżał na jakiejś niecce? Leży tak, że nie dociera do niego nieprzyjacielski asdic? Na piasek w każdym razie nie wpadliśmy. To pewne. Wycie i pisk były spowodowane przez skały, o które się ocieraliśmy.

Słyszę, że dowódca wciąga powietrze. Potem mruczy: – Niewiarygodne... W bezpośrednim nalocie... Z ciemności! – A więc to samolot tak zajmuje Starego.

Tamci na powierzchni z pewnością nie mają asdiku na pokładzie. Śmieszne: po co mieliby używać asdiku? Dokładną głębokość, na której leżymy, znają także bez asdiku. Tu wystarczy zwykła echosonda. Nawet mapa morska wystarczy. Po dwóch namiarach ta banda może odczytać z mapy, jak głęboko leżymy.

Wstrzymuję oddech, jak długo się tylko da. Potem przetykam kurczowo. Teraz gwałtownie rozrywa mi zęby i w jednym głębokim wdechu napompowuję się powietrzem do pełna. I znowu zatrzymać oddech, spiętrzyć powietrze, zdusić je – nowe dławienie w gardle.

Kiedy spadnie bomba? Co to ma znaczyć? Jak długo te przekłete świny chcą jeszcze bawić się z nami? Żołądek mi się kurczy. Rozchylam usta. Potem znowu, zaciskając je, zatrzymuję powietrze w płucach. Jeszcze... ciągle jeszcze! Tętnica szyjna puka gwałtownie. Już nie można... teraz muszę wypuścić powietrze. Wydobywa mi się z ust drżącymi tchnieniami.

Nie potrzebują nawet użyć swoich miotaczy. Mogliby przecież po prostu wyrzucić bombę głębinową za burtę, całkiem niedbale, jak zbędną beczkę smoły.

Przetykać – przetykać – przetykać, aż znowu rozedrze mi usta i zacznę jak tonący chwytać powietrze. No, rzućcie wreszcie, wy przekłeci dranie!

Od rufy przekazują szeptem nowe meldunki. Wydaje się, że Stary wcale ich nie słucha.

– ...bomba detonująca tuż na powierzchni... zapalnik uderzeniowy... bezpośrednio koło okrętu... na wysokości działa... Nie do pojęcia! Tak ciemno, a jednak! – słyszę, jak mruczy.

Co to był za zwariowany pomysł wpychać nas w tę cieśninę! Musiało się nie udać. To każdy mógł na palcach wyliczyć, że musi się nie udać. I Stary to wiedział! Wiedział to przez cały czas, od chwili, jak nadszedł sygnał z rozkazem do przerwania się. Wiedział, że ten radiogram w połowie już nas wykończył. Tylko z tego powodu chciał nas obu wyokrętować w Vigo. Nie widział prawie szans, byśmy tędy przeszli. I chciał w nas wmówić: to całkiem proste. Można zastosować sztuczkę. Zjechać w dół. Tylko ta sztuczka musi zagrać. Tutaj nie ma do trzech razy. Tu liczy się tylko pierwszy raz.

Co mamrocze dowódca?

Wszyscy z centrali słyszeli: – Szanują nas... Robią rundy honorowe!

Te parę szyderczych słów dowódcy działa. Wszyscy podnoszą oczy, poruszają się znowu. Stopniowo centrala zaczyna się ożywiać. Pochyleni, ale na palcach, dwaj ludzie balansują od dziobu ku rufie. Wytrzeszczam oczy na Starego: obie ręce wsadził głęboko w kieszenie kożuska, prawą stopę oparł na szczelbu trapu. W świetle latarki każdy może widzieć, że Stary nie zrezygnował ze swojej niedbałej postawy, a teraz demonstruje nawet lekceważące wzruszenie ramionami.

Gdzieś pada jakieś narzędzie. – Cisza! – parska dowódca. W zęcie bulgocze. Musiało bulgotać już dłuższy czas, ale dopiero teraz zwracam na to uwagę. Nagle błyska mi myśl: przecież leżymy bez ruchu. Jak więc może bulgotać zęza? Parszywa sytuacja. Chyba pod płytami podłogowymi podnosi się woda.

Stary nadal odgrywa szmirowatą sztukę o dzielnym bohaterze: – Robią to dla nas. Czego człowiek może jeszcze żądać!

Nagle „wicziwicz” słabnie. Jednoznacznie. Zdaje się, że okręt odchodzi. Dowódca, nasłuchując, obraca głowę w prawo i lewo, żeby jego uszy lepiej przyjmowały słabnące dźwięki. Chce już odetchnąć, gdy łoskot śrub pojawia się znowu z dawną siłą.

– Interesujące – mruży Stary i pochyla głowę do czifa. Słyszę z ich szeptu tylko: – Nie wytrzymał... wyciek ropy... tak...

Potem Stary pyta szeptem starszego sternika: – Jak długo jeżdżą na tej karuzeli?

– Całe dziesięć minut, panie kapitanie! – szepcze Kriechbaum w odpowiedzi.. Nie rusza się przy tym. Tylko jego głowa przesuwa się o parę stopni w bok.

– Smacznego! – mówi dowódca.

Spostrzegam dopiero teraz, że drugiego mechanika nigdzie nie widać. Pewnie zniknął na rufie. Tam musi być piekło. Ale również od dziobu nadchodzi jeden katastroficzny meldunek po drugim. Nie wszystko pojąłem. Szczęście, że mamy dwóch inżynierów na pokładzie. Coś takiego rzadko się zdarza. Dwaj inżynierowie na jednym okręcie. Szczęście – mamy szczęście! Spadamy w dół, a kochany Bóg rzuca nam łopatę piasku pod stępkę, i do tego jeszcze dwóch inżynierów. Samo szczęście!

Stary wykrzywia twarz: – Gdzie jest drugi mechanik?

– W siłowni elektrycznej, panie kapitanie!

– Ma natychmiast zbadać akumulatory!

Wydaje się, że wszystko się wali i łamie. Znowu sobie uświadamiam ostry gwizd, który już przez długi czas miałem w uszach. To musi przecież pochodzić z przedziału diesli. Przecieki! Przegłębienie rufowe! Najpierw uderzyliśmy dziobem, ale teraz okręt ma widoczne przegłębienie rufowe. A więc na rufie podnosi się woda. Dlaczego nie trzymuje się na dziób?

Normalnie teraz by się pompowało. Jednak główna pompa zęzowa nie działa, a poza tym, czy mogłaby coś zrobić przy takim potwornym ciśnieniu zewnętrznym? Dwieście osiemdziesiąt metrów! Tak głęboko nie był jeszcze żaden okręt! Nasza pompa z pewnością nie była przystosowana do takiej głębokości.

Przez właz w grodzi zerkam w stronę rufy. Co się dzieje w mesie P? Dlaczego roi się tam od ludzi? To grobowe światło! Nic nie można dokładnie rozpoznać.

Stary oparł się plecami o połyskującą srebrzyście studzienkę peryskopu pelot. Dostrzegam tylko jego uniesione udo, ale nie widzę, na czym siedzi. Prawą dłonią ścisną kolano, jakby go bolało. Czapkę ma zsuniętą na kark, wychodzi spod niej kędzierzawa czupryna.

Nagle jego postać napręża się. Podnosi się i wyprostowuje. Już nie mówi szeptem, pytając głównego mechanika: – Ile wody przeciekło? Które balasty są uszkodzone? Których nie będzie można szasować? Czy możemy przecieki wypompować za burtę?

Zarzuca go dalszymi pytaniami: – Co jest z pompą główną? Można ją zreperować? Czy po dokładnym szasowaniu wszystkich nie uszkodzonych balastów i zbiorników będziemy mieli jeszcze wystarczający wypór?

Stary porusza ramionami, jakby chciał rozluźnić mięśnie pleców. Potem wykonuje kilka bezcelowych kroków. Mat z centrali również zaczyna się ruszać.

Ja także wyteżam mózg: w okręcie są trzy przedziały. Dobrze i ładnie. Ale co to nam teraz pomoże? Gdyby Stary kazał zamknąć rufową gródź centrali, założymy tylko, bo i to nic nie da, a więc gdybyśmy zatrzasnęli właz, centrala i dziobowa część okrętu pozostałyby suche. Bez wątplenia. Wtedy moglibyśmy na sucho czekać, aż się skończy tlen. To byłaby także cała korzyść. Myśl dalej! – rozkazuję sobie. Główna pompa zęzowa... Jeśli nie funkcjonuje, mamy przecież sprężone powietrze. Przeciekłą wodę możemy również wypchnąć ze zbiorników sprężonym powietrzem. Ale czy mamy go jeszcze dosyć po daremnym szasowaniu? Kto wie, czy butle sprężonego powietrza w ogóle są jeszcze szczelne. Bez pomp i bez sprężonego powietrza jesteśmy załatwieni. To przecież jasne: musimy pompować i szasować, zmniejszyć nasz ciężar i stworzyć wypór. A co będzie, jeśli balasty w ogóle już nie trzymają sprężonego powietrza? Kiedy cenne powietrze, gdy tylko zaczniemy szasować, wyleci do góry przez przeciek albo nieszczelne odwietrzniki? Jeśli tylko wytworzy pęcherze na powierzchni wody, ale nie zapewni nam wyporu?

Śmierdzi piekielnie. Niewątpliwie: gazy akumulatorowe, a więc poszczególne akumulatory muszą być zniszczone. Są bardzo wrażliwe. Najpierw wybuch, a potem uderzenie o dno. W baterii tkwi nasza siła napędowa. A gdy akumulatory są zniszczone...

– Szybko! – słyszę głównego mechanika. – Dalej! Dalej! – popędza bosman. A tymczasem coraz to nowe szeptane meldunki, przeważnie z rufy. Słyszę je, ale już nie pojmuję. Oddycham urywanie, ziejąc jak pies. A ponad wszystkim to śpiewające i stukające szufłowanie śrub. To turbina, bez wątpienia. Czy oni chcą nas systematycznie wykończyć tym hałasem? Tego nikt nie wytrzyma. Mam ochotę zatkać sobie uszy. Wsadzić do nich palce wskazujące. Ale wtedy nie będę słyszał, co się tu dzieje. W tym przekętym półmroku prawie nic nie widzę, oświetlenie jak w kopalni.

Ludzie, balansując groteskowo, przechodzą przez centralę. Przyciskam się do podstawy peryskopu pelot. Dręczy mnie poczucie, że jestem zbędny, że tylko przeszkadzam.

Drugi oficer jest całkiem blisko mnie, również z boku. Marynarze pokładowi nie mają tu nic do roboty. Na normalnie wyrzuconym na skały okręcie byłoby mnóstwo do roboty dla marynarzy. Ale jesteśmy przecież zatopionym okrętem. Na zatopionych okrętach nie może być już roboty dla marynarzy. Całkiem logiczne.

Pierwszy owu, gdzie on może tkwić? Powinien by również znajdować się w centrali. Za mało tu uduchowienia! Jakąż ma rację!

Urywany oddech w pobliżu to mat centralowiec. Głuchaczek. Głuche uszy byłyby prawdopodobnie błogosławieństwem. Nic nie widzieć, nic nie słyszeć, nic nie czuć! Zapaść się pod ziemię! Żelazne płyty – źle się w nie zapada. Razem złapali – razem powiesili! Dobre paliwo! Pozostań tutaj! Diabli wiedzą, czy kiedykolwiek będziemy mieli jeszcze zapotrzebowanie na paliwo. Trzeba patrzeć jasno. Żadnych złudzeń: mają nas. Tym razem nie da się zwiać. Leżymy tu jak przybici gwoźdźmi. Pewnie, nasza rura wytrzyma. Ale silniki zamienili w złom. Spisani na straty! Bez naszych silników jesteśmy spisani na straty. Patrzeć jasno. Nie czarować się! Bez wyporu będziemy tu leżeli do sądnego dnia. Zmartwychwstanie ciał! Z dwustu osiemdziesięciu metrów głębokości. Specjalna sieć marynarki wojennej. Ona zastąpi nam wypór.

Mętne światelko przy sterze głębokości pozwala mi widzieć lekko opadające ramiona dowódcy. Jakby pod przymusem naśladowania rozluźniam również napięcie mięśni. Czuję ulgę w całych plecach. Mięsień romboidalny, tak się on nazywa, który się teraz rozprężył, porusza właśnie barkami. Czego się człowiek nauczył, to wie. Anatomia w Dreźnie. Głupawe krajanie trupów. Zatruci gazem byli dobrzy. Trzymali się lepiej niż normalnie zmarli. Sala pełna szkieletów. Wszystkie wypreparowane według antycznych rzeźb. Zbiór powykręcanych kościotrupów: dyskobol, modlący się, chłopiec wyciągający cierń.

– Komiczne – słyszę, jak dowódca szepcze do manometru. To, że ciągle jeszcze nic się nie dzieje, że ci na górze nic nie robią, dowódca uważa za komiczne. Teraz odwraca się do

połowy i szepcze do mnie: – Po prostu nadleciał, skręcił, trochę znurkował. Wszystko było bardzo wyraźne!

Nie mogę rozpoznać ruchów jego rąk. Stary wyprowadza mnie całkowicie z równowagi. Dla niego, zdaje się, istnieje tylko ten samolot.

– Prawdopodobnie były to dwie bomby... dokładnie nie zauważyłem.

Powietrze leży w pomieszczeniu mglistymi, błękitnymi warstwami. Coraz ciężiej oddychać. Smród gazów. Dwóch ludzi w mesie O podnosi przykrywą baterii I. Przez właz w grodzi widzę przy awaryjnym świetle, jak jeden trzyma w lewej ręce pasek niebieskiego papieru lakmusowego, a prawą wkłada pipetę. Potem podnosi pipetę i zwilża papier lakmusowy. Przyglądam się obu jak ministrantom przy kościelnym obrzędku.

Mechanik rozkazuje podnieconym głosem: – Natychmiast wlać mleka wapiennego. Potem ustalić, ile akumulatorów się wylało!

A więc zęza baterii zawiera kwas. Musiało pęknąć i wylać się mnóstwo akumulatorów, a kwas siarkowy połączył się z wodą morską i wytworzył chlor. To właśnie chlor tak potwornie śmierdzi.

Stary mierzył zbyt wysoko. Teraz musimy ponosić koszty. Stary? Co ma do tego Stary? To ta zwariowana banda z Kernévalu, ci panowie w sztabie, im powinniśmy podziękować. Mają nas na sumieniu.

Natychmiast pojawia się we mnie szyderstwo: sumienie? Oni i sumienie! W Kernévalu nie jesteśmy niczym innym niż numerem. Numer się przekreśla: koniec. Stocznia zbuduje nowy okręt. Ludzie są w rezerwach personalnych.

Widzę czifa jak przez mgłę. Koszulę ma całkowicie przemoczoną. Jest rozpięta aż do pępka. Zmierzwiłone włosy zwisają mu na twarz. Ukośne rozcięcie na policzku.

Drugi mechanik wraca od rufy. Z jego szeptów orientuję się, że woda w zęcie siłowni elektrycznej ciągle jeszcze powoli się podnosi. Potem już tylko ułamki rozmowy: – Przedział diesli daje wodę... Silny przeciek... Zawór wodny aparatu torpedowego numer jeden pękł pod piątą rurą... Przewody chłodnicy... Łożysko silnika elektrycznego... W chłodnicy powietrza zerwana rura chłodząca...

Drugi mechanik musi się zatrzymać dla zaczerpnięcia tchu.

Buty szurają po płytach podłogi.

– Cisza – parska natychmiast Stary. Do diabła, racja – ten okręt ciągle jeszcze krąży nad nami.

Niektóre z przecieków są widocznie zagadkowe. Drugi mechanik niezbyt jest pewny, którędy przedostaje się woda. Również w zęcie centralnej woda podnosi się dalej. Głuche

pluskanie i bulgotanie słycać wyraźnie.

Stary pyta: – A co z wyciekami ropy? Który zbiornik trafiło?

Główny mechanik znika w kierunku rufy. Już po paru minutach pojawia się znowu i zasapany zdaje sprawozdanie: – Z przewodu odwietrznika najpierw trysnął strumień ropy, a potem woda.

– Bardzo dziwne – mówi Stary.

To zdarzenie widocznie jest wbrew regułom. Przewód odwietrznika, jak się dowiaduję, leży w pobliżu diesli. Jeśli zbiornik był tam dziurawy, strumień wody musiałby z tego przewodu tryskać pod wiele większym ciśnieniem, niż to faktycznie było. Dowódca i główny mechanik, zgadują: zbiornik był jeszcze w połowie pełny. W jaki sposób doszło do wytrysku tego słabego strumienia? Obok normalnych zbiorników paliwa jeszcze dwa zbiorniki balastowe były wypełnione ropą, którą „Wezera” nam napompowała.

– Gdzie ten zbiornik paliwa ma ujście przewodów w kadłubie sztywnym? Gdzie odwietrzniki i wyloty zbiorników? – pyta Stary. Prawdopodobnie pozostała nadzieja, że trafiło tylko w przewód odwietrznika, natomiast sam zbiornik pozostał nie tknięty.

Główny mechanik i Stary mogą teraz wyprowadzać wnioski, bowiem przewody są tak ukryte, że nikt się do nich nie dostanie. Jak po wybuchu bomby i uderzeniu o dno wyglądają z zewnątrz balasty, nie można nawet zgadnąć.

Główny mechanik znowu szybko znika w przedziale rufowym.

Próbuję wyobrazić sobie poszczególne zbiorniki. Tak to przecież było: w zbiornikach zewnętrznych na wodzie pływa olej, wskutek czego następuje wyrównanie ciśnienia. Nie ma pustych miejsc. Są więc mniej groźne niż zwykłe zbiorniki. Prawdopodobnie jeden z zewnętrznych zbiorników jest dziurawy. Ale trzeba byłoby dopiero zmierzyć, ile paliwa straciliśmy. To jest pytanie – czy główny mechanik wie dokładnie, ile ropy powinno być w zbiornikach. Wskaźniki zawartości paliwa w każdym razie nie działają precyzyjnie. Również obliczenie zużycia według godzin pracy silników jest niedokładne. Tylko regularny pomiar zapewnia ściśle dane. Ale kiedy właściwie ostatni raz wszystko mierzono?

Przemoczony całkowicie mat z centrali melduje, że był zerwany zawór jakiegoś ruropociągu. Usunął już uszkodzenie. To właśnie spowodowało taki przybór wody w zębie centralnej.

Naraz uświadamiam sobie, że nie słycać już tego „wicziwicziwicz”. Czy to podstęp? Czyżby braciszczowie zastopowali? Czy możemy teraz odetchnąć, czy też tamta przeklęta łajba próbuje nowej sztuczki?

– Wszystko kaput! – słyczę mruczenie. Kaput – to musi być Dorian. Wyteżam słuch:

nie ma „wicziwicziewicz”.

– Skończyły im się godziny pracy – mruczy Stary. A potem: – On nas przecież nie widział, nie mógł nas zobaczyć.

Okręt odbywający rundy honorowe jakby nie istniał dla Starego. Nie ma już więcej szumów. A więc załatwione. Jego myśli krążą znowu wokół samolotu. – ...nie mógł. Zwłaszcza w ciemności i w chmurach! Zbyt gwałtownie się zjawił. Nalatywał bezpośrednio na nas. – Stary mruczy teraz coś w tym stylu: – ...nie nadać wiadomości... to kiepsko... cholernie ważne! – Rozumiem, co ma na myśli. Inni powinni wiedzieć, co za nowość wystrasnęli Anglicy. Zawsze krążyły pogłoski, że Tomki mają nowy elektroniczny aparat namiarowy, wystarczająco mały, by zmieścić się w kabinie samolotu. Jesteśmy przykładem, że te plotki są zgodne z prawdą. Nas pierwszych trafiło. Jeśli teraz oni mogą namierzać ze swoich samolotów, jeśli nawet w nocy nie jesteśmy bezpieczni, to tylko czapki zdjąć i do modlitwy.

Stary chce ostrzec innych! Ale już nie jesteśmy zdolni do przekazywania wiadomości.

W centrali panuje takie zamieszanie, że chętnie przenoszę się do mesy O. Jednak i tu nie ma miejsca. Stół i kanapa mechanika pokryte są planami, rysunkami konstrukcyjnymi i szkicami.

Wręgi mogły wcale nie wytrzymać tego szaleńczego uderzenia. A także poprzedniego wybuchu. Stalowa powłoka jest do pewnego stopnia elastyczna, ale pierścieniowate wręgi... te nie mogą się uginać...

Mechanik bierze plan połączeń. Rysując pośpiesznie kawałkiem ołówka, mamrocze bez przerwy coś do siebie. Potem drżącymi rękami rozprostowuje spinacz biurowy i używa go zamiast ołówka. Drutem ze spinacza wydrapuje znaczki na pokrytym linoleum stole, zupełnie tak, jakby nam nie zależało teraz na uszkodzeniach naszych zazwyczaj tak starannie pielęgnowanych ruchomości.

Pierwszy oficer siedzi obok i wyciera szkła lornety. Zupełny wariat, myślę. Przede wszystkim z załogą pokładową teraz już koniec, pierwszy również powinien to pojąć. To byłby idiotyzm, gdyby aktualnie miało nam zależeć na dobrej widzialności! A jak ten facet wygląda! Zazwyczaj tak gładka twarz ma teraz dwie głębokie małpie zmarszczki od nozdrzy do kąćków ust. Długa górna warga sprawia takie wrażenie, jakby była między nie wciśnięta. Na podbródku pokazuje się jasna szczecina. To już nie jest nasz elegancki pierwszy oficer.

Coś miga koło lampy. Nasza mucha! Przettrzymała również i to. Jest zdolna przeżyć nas wszystkich.

Ciekawe, która godzina? Z przerażeniem stwierdzam, że mój zegarek zniknął. Zły

znak! Próbuje rozpoznać coś na tarczy zegarka głównego mechanika. Dwunasta i parę minut. Północ już minęła.

Zjawił się dowódca i kieruje pytające spojrzenia na głównego mechanika. – Środkami pokładowymi nie da się zrobić – słyszę mamrotanie czifa.

W takim razie jakimi środkami? Mamy może zamówić stoczniovców? Zawezwać specjalistów, którzy zbudowali okręt?

Bezpośrednio przy naszym stole i w przejściu wyjęto płyty podłogi. Dwóch ludzi pracuje na dole przy baterii I. Z centrali podają im odcinki kabla i narzędzia.

– Cholerny gnój! – słyszę jakiś głos z dołu. – Przeklęte smarki! – Głos dobiega jakby z bardzo daleka.

W otworze nagle ukazuje się Pilgrim. Oczy mu łzawią. Kaszląc gwałtownie, a nie widząc, że główny mechanik siedzi w mesie oficerskiej, podaje meldunek do centrali: – Razem wyciekło dwadzieścia cztery akumulatory!

Dwadzieścia cztery z ilu? Czy dwadzieścia cztery to klęska, czy coś znośnego?

Główny mechanik winduje się do góry i rozkazuje Pilgrimowi i jego pomocnikowi nałożyć aparaty ratunkowe. Dwa brązowe worki podaje się z centrali. Ja przekazuję je na dół.

Podczas gdy obaj są zajęci jeszcze aparatami ratunkowymi, sam główny mechanik przeciska się przez dziurę koło naszego stołu. Już po kilku minutach, kaszląc, wywindowuje się znowu na górę. Szybko wyciąga z bakisty plan baterii, rozkłada go na innych planach i zatapia się w rysunku. Krzyżykami skreśla poszczególne akumulatory – razem dwadzieścia cztery sztuki.

– Szyn łączących w ogóle nie wystarczy. – Główny mechanik nie podnosi twarzy znad planów. Rozumiem: zniszczonych akumulatorów nie można po prostu wymontować i wyrzucić za burtę. Czif chce je ominąć i spróbować z malej reszty działających akumulatorów zrobić źródło energii.

Znalezienie najkrótszych połączeń funkcjonujących akumulatorów wydaje się być sprawą niezwykle skomplikowaną. Na czoło mechanika występuje nowy pot. Robi kreski, znowu je przekreśla. Co parę sekund siąka nosem.

Jednotancerz balansuje przez pomieszczenie z wielkim wiadrem, w którym pluska wapienne mleko. Ma ono zneutralizować kwas siarkowy, który lał się z akumulatorów, i przerwać wytwarzanie chloru. Słyszę, jak otwiera gródź do klozetu. Tam znajduje się otwór rury nawadniającej, która skieruje mleko wapienne do zęzy bateryjnej.

– Szybko, człowieku. Najwyższy czas! – mówi główny mechanik. Potem podnosi się z wahaniem. Trzymając jeszcze plan w rękę, pochyla się nad włazem do baterii I półgłosem

przekazuje jakieś wskazówki w dół. Głosu Pilgrima nie słyszę. Wygląda to tak, jakby czif mówił w próżnię. Potem jednak z głębi dolatuje dziwne, zduszone sapanie i pojękiwanie.

Dowódca donośnym głosem domaga się białego chleba i masła. Myślę, że szlag mnie trafi: biały chleb i masło! Teraz! Stary z pewnością nie jest głodny. Biały chleb i masło to ma oznaczać; takie proste jest wszystko. Waszemu dowódcy zachciało się jeść. Kto ma apetyt, temu nie może iść całkiem źle.

I rzeczywiście stołowy, zwijając się akrobatycznie, podchodzi z dwiema kromkami białego chleba i nożem. Gdzie on w tym rozgardiaszu znalazł chleb?

– Może połówkę? – pyta mnie dowódca.

– Nie, dziękuję!

Stary wywołuje na swojej twarzy coś w rodzaju uśmiechu. Pochyla się nieco do tyłu i daje przykład prawidłowego żucia. Rusza dolną szczęką zupełnie jak przeżuwające krowy.

Dwóch ludzi przeciska się koło otworów w podłodze. Widzą, jak dowódca się pożywia. Zaraz rozniosą tę wiadomość po całym okręcie, właśnie tak, jak Stary sobie życzy.

Z dołu wyłazi mały Zörner i zdejmuje zacisk z nosa. Jest goły do pasa i mokry od potu. Gdy widzi Starego, otwiera usta ze zdumienia.

Starszy maszynista Franz podchodzi zgarbiony, trzymając w ręku małą latarkę. Prawdopodobnie szuka głównego mechanika. Jego ramiona całe są pokryte czarnym, lepkiem olejem. Główny mechanik robi szeroki krok przez dziurę w podłodze, wychodząc naprzeciw starszemu maszyniście. Ponieważ Pilgrim wydaje z dołu bełkotliwe krzyki, nie mogą zrozumieć, co zadyszany Franz melduje czifowi. Dobiega mnie tylko tyle, że na rufie woda ciągle jeszcze się podnosi. Główny mechanik idzie z Franzem do centrali. Ale po kilku minutach wraca i złazi do baterii.

Stary odsuwa od siebie chleb i nóż: koniec przedstawienia.

Z głębi słychać podrażniony głos czifa: – Cholera! Co się dzieje? Halo, Zörner, dlaczego nie ma światła?

– Gówno – warczy ktoś.

Widać na dole brakuje rąk. W kącie mesy dostrzegam latarkę kieszonkową, chwytam ją, sprawdzam: działa! Wsadziwszy latarkę za pasek spodni, podpierając się ramionami, opuszczam się w dół... Właśnie główny mechanik klnie znowu: – Co jest? Będzie światło czy nie będzie?

I teraz zjawiam się na dole jako niosący światło, jak Bóg nasz Pan w swojej glorii. Główny mechanik akceptuje mnie bez słowa. Jakbym chciał reperować auto od dołu, wyciągam się, leżąc na boku, pod płaską platformą, która porusza się na szynach pod sufitem.

Bardzo przyjemne miejsce! Czy aby główny mechanik nie ma złudzeń: jeśli silnik elektryczny zostanie zalany, to wszystko, co tu robimy, jest daremne. Tyle już wiem. Zabawne, że Czif nie mówi ani słowa. Widzę jego prawą nogę koło siebie. Leży tam jak noga nieboszczyka. Dobrze, że słyszę jego urywany oddech. Teraz daje mi wskazówki, jak powinienem trzymać lampę, i widzę, jak się jego zabrudzone smarem palce zakrzywiają, prostują, podnoszą i ściągają razem.

W milczeniu zaklinam go: tylko rób dalej! Nie majstruj tak nerwowo! Starannie pracować, niczego nie omijać! Chodzi o ważne sprawy!

Naraz widzę jakby w dali obserwowany tysiąc razy obraz: wspaniali bohaterowie zapaskudzeni ropą i błotem, leżący filmowi górnicy z wykrzywionymi twarzami i grubymi kroplami potu na czole.

Teraz potrzebna jest również moja prawa dłoń: tutaj dokręcić. Tak, już mam. Powoli, żeby klucz nie zeskoczył. Gównu, już się to stało! Od nowa! A gdy myślisz, że już go zacisnąłeś, wtedy wali cię główką w brzuch: dziś jest niedziela!

Gdyby można było się chociaż ruszać! Chodnik do pełzania. Takie samo świństwo. Zamiast świdra pneumatycznego tyramy tutaj kluczem do nakrętek, szczypcami i łączami. Powietrze jest prawie niezdatne do użytku. Żeby tylko mechanik czegoś nie sknocił! Klucz trzyma poprzecznie w ustach jak skradający się Indianin swój nóż. Teraz przesunął się o dobre trzy metry dalej. Pełnę za nim i rozbijam sobie przy tym oba kolana.

Nie miałem pojęcia, że zestaw baterii pod deskami naszej podłogi, na których poruszamy się przez cały dzień, jest taki wielki. Pod słowem „bateria” wyobrażałem sobie zawsze coś o wiele mniejszego. To tutaj jest gigantycznym powiększeniem baterii samochodowej. Ale co z tego nadaje się jeszcze do użytku? Jeśli w skarpetce jest więcej dziur niż całych miejsc, wtedy nie jest to już skarpetka tylko gałgan. To wszystko prawdopodobnie to złom. Cały okręt zamienili na złom, przeklęte psy!

Powietrza! Ludzie, ześlijcie choć trochę powietrza! Stalowe obręcze wokół piersi wyciskają ze mnie resztki sił.

Jakaś twarz nachyla się z góry. Mam ochotę chwycić za tę twarz. Nie mogę rozróżnić, do kogo należy, bo jestem przekreślony o sto osiemdziesiąt stopni. Twarze stojących na głowie można z trudem rozeznąć. Zabawne.

Czif daje mi znak. Musimy stąd wyjść. Z góry wyciągają się pomocne ręce. Oddycham nierówno.

– Ładne gównu, co? – pyta ktoś. Jego głos słyszę w sposób przytłumiony, jakby coś uciskało moje uszy. Nie mogę nawet odpowiedzieć „tak”; brakuje powietrza. Płuca pompują i

pompują. Na szczęście między wszystkimi planami znajduję trochę miejsca na kanapie mechanika. Słyszę, że jest godzina druga. Dopiero druga?

Mechanik melduje Staremu, że brakuje drutu. Łacza nie starczyły nawet na połowę baterii.

Naraz wygląda to tak, jakby naszym najważniejszym problemem było nie wydobyć się na powierzchnię, ale wynalezienie drutu. Mechanik rzucił hasło „Potrzebujemy drutu!” W poszukiwaniach bierze również udział drugi oficer.

Piękne, błyszczące torpedy w wyrzutniach, na dziobie i w pomieszczeniach górnego pokładu, po dwadzieścia pięć tysięcy marek sztuka, ale ani kawałka drutu. Potrzebujemy tylko starego drutu za pięć marek. Zatrzeszczono się również o wystarczającą ilość granatów, ale nie o drut. Można się uśmieć: amunicji do tej idiotycznej armaty mamy dosyć. Ogień i stal! Ale armata leży jeszcze głębiej niż my i oznacza miejsce, w którym właściwie powinniśmy się znajdować, gdyby Stary nie zrobił tego skoku na południe. Dziesięć naboii armatnich za dziesięć metrów drutu! To by był teraz interes!

Bosman zniknął w przedziale dziobowym. Diabli wiedzą, skąd wytrząśnie ten drut. A jeśli nie znajdzie go w swoich rupieciach ani bosman, ani drugi oficer, ani starszy sternik i mat z centrali – to co wtedy?

Słyszę „Zdjąć przewody elektryczne” oraz „Skręcić”. Z tego nic nie wyjdzie. Drut musi mieć określoną średnicę. A więc spleść wiele przewodów? Jak długo będzie trwało tego rodzaju majstrowanie?

Mamy wyraźnie wyczuwalne przegłębienie na rufą. Rufowa wyrzutnia torpedowa jest już w dwóch trzecich pod wodą. Jeśli zostanie zalany silnik elektryczny, wtedy to całe szukanie drutu nie ma sensu.

Jaki to dziś dzień? Kalendarza już nie ma na ścianie. Zniknął podobnie jak mój zegarek. „Krótki odstęp czasu został nam odmierzony”.

Po paru minutach nie wytrzymuję już w mesie oficerskiej. Ponad otwartymi deskami podłogi uciekam znowu do centrali. Bola mnie wszystkie kości. Między łopatkami czuję gwałtowne klucia i przewlekłe bóle w całych plecach. Pośladek również mnie boli.

Na płytach podłogi, tuż koło peryskopu, leży barograf, wyleciał ponad listwami podstawy, na której stał. Dwie z jego szybek są stłuczone. Igła do pisania wygięła się do tyłu jak szpilka do włosów. Na papierowym bębnie wznosząca się i opadająca falista linia załamuje się nagle w dół i kończy grubym kleksem. Ogarnia mnie pokusa, by zdjąć papier z bębna i schować go. Kiedy się stąd wydostaniemy, powinienem tę kartkę powiesić na ścianie – w ramkach i za szkłem. To naprawdę grafika dokumentalna! To nasz los zapisał się tą

spadającą w dół, splątana kreską.

Czif rozwinął system preferencji w swojej obronie przeciwko zniszczeniu. Najpierw najważniejsze. Ustalić najgroźniejsze uszkodzenia. Narastający pożar zdeptać nogami, zanim zerwie się wiatr. Wprawdzie tu, na pokładzie, każdy agregat jest życiowo ważny. Zbędnych instalacji nie ma. Ale w naszym położeniu są różnice między bezwarunkowo niezbędnym do życia a mniej więcej niezbędnym do życia.

Dowódca i główny mechanik szepczą! Teraz od rufy przychodzi także starszy maszynista Johann. Mat z centrali zostaje również ściągnięty. Także starszy maszynista Franz może znowu zabierać głos. Całe kierownictwo techniczne zebrało się w centrali, z wyjątkiem drugiego mechanika, który jest w siłowni elektrycznej. Jak słyszę, na rufie pracuje się uporczywie i metodycznie. Są postępy. Troskę o baterię mechanik pozostawił obu matom. Czy dadzą sobie radę?

Grupa rozchodzi się. Tylko dowódca i Isenberg pozostają w centrali. Dowódca rozsiada się na skrzyni z mapami. Demonstruje chłopakom, którzy przeciskają się przez centralę, jak wygodnie sobie siedzi, owinięty w skórzaną kurtkę. Obie ręce głęboko wsunięte w kieszenie – człowiek, który może polegać na swoich specjalistach.

Przechodzi Pilgrim i melduje, że chce szukać drutu na dziobie.

– Słusznie! – mówi Stary. Potrzeba drutu? Oczywiście, drut! Drut się znajdzie, nawet gdybyśmy mieli wymotać go sobie z tyłka!

W przednim włazie pojawia się bosman, rozpromieniony jak dziecko pod choinką. W zamorusanych rękach trzyma parę metrów starego, grubego drutu.

– No proszę! – mówi Stary. – To już coś!

Bosman brodzi przez wodę, która w tylnej części centrali stoi na podłodze, przełazi do mesy P. Tam pod deskami podłogi znajduje się bateria II.

– Pierwszorzędnie! – słyszę głos głównego mechanika.

Bosman wraca i zachowuje się tak, jakby odkrył Amerykę. Pocziwiec! Nie wie, że te parę metrów drutu nie rozwiąże naszych problemów.

– Szukać dalej! – rozkazuje Stary bosmanowi. Potem milczy przez dobre dziesięć minut, bo nie ma widzów dla swego aktorstwa.

– Żeby tylko nie zaczęli linami poszukiwawczymi! – słyszę go wreszcie.

Liny poszukiwawcze? Muszę teraz myśleć o bretońskich poławiaczach muszli, którzy wloką swe pułapki po piaszczystym dnie, żeby wyrwać na pół zagłębione muszle. Ale my z pewnością nie leżymy na piaszczystym dnie, Raczej: między skałami.

A więc liny poszukiwawcze nie byłyby właściwym środkiem do wykrycia naszego

okrętu, jeśli to, co sobie wyobrażam pod tym określeniem, jest słuszne.

Znowu zjawia się główny mechanik. – Jak leci? – pyta – dowódca.

– Tak sobie. Są prawie gotowi. Jeszcze trzy akumulatory, panie kapitanie!

– A na rufie? – pyta Stary ponaglająco.

– Jakoś tam! – mówi mechanik. Jakoś tam, to znaczy: całkiem nieźle.

Opadam na skórzaną kanapę w mesie O. Zamykając oczy, próbuję przedstawić sobie naszą sytuację: gdy opadaliśmy w dół, Stary kazał szasować. Szasować za wszelką cenę. Ale to nic nie pomogło, bowiem mieliśmy tyle wody w okręcie, że tego ciężaru nie można już było wyrównać przez wypchnięcie wody z balastów. Nawet gdy już wszystko było wyszasowane, okręt nadal spadał. Z tego wynika, że teraz, jakkolwiek leżymy na dnie, w naszych balastach powinno się znajdować wpuszczone tam powietrze. To powietrze mogłoby nas statycznie wynieść do góry, ale tylko wtedy, gdyby nam się udało zmniejszyć ciężar okrętu. Siedzimy więc jak w koszu dobrze wypełnionego balonu, utrzymywanego przy ziemi przez zbyt ciężki balast. Trzeba wyrzucić balast z kosza, żeby balon się wzniósł. Wszystko jasne. Ale zgadza się to tylko przy założeniu, że odwietrzniki naszych zbiorników balastowych są szczelne. Jeśli w odwietrzniki również trafiło, jeśli nie można ich zamknąć, wtedy nie byłoby powietrza w balastach i moglibyśmy drugie tyle powietrza – nasz cały zapas w butlach – wpuścić do zbiorników balastowych, nie osiągając żadnego skutku.

Oczywiście, poza statyczną istnieje jeszcze metoda dynamiczna, by poruszyć okrętem w górę i w dół. Za pomocą silników i obu sterów głębokości można okręt mimo przeciążenia wysterować skośnie w górę, jak samolot w powietrzu. Ta metoda jest możliwa jednak tylko przy niewielkim przeciążeniu. W naszym przypadku z pewnością nie będzie funkcjonować. Do tego sam okręt jest zbyt ciężki, a czy starczy jeszcze tego baterijnego soku, by poruszać naszą śrubę choćby przez minutę – oto jest pytanie. Czy mechanik w ogóle ma pojęcie, co parę nie uszkodzonych akumulatorów może w najlepszym wypadku z siebie dać?

Jesteśmy prawdopodobnie skazani całkowicie na metodę balonu w powietrzu. A więc woda, która przeciekła, musi być usunięta z okrętu. Musi być usunięta! Za wszelką cenę!

A później w górę! W górę i za burtę. A potem płynąć.

Moje filmy zawieszę sobie na szyi. Mam wodoszczelną torbę. Te ze spotkania w czasie sztormu muszą przede wszystkim się tam znaleźć. Trzeba je koniecznie uratować. Takich zdjęć jeszcze nie było.

Przeklęty prąd w cieśninie. Na co on potrzebny!

Łopata piasku pod stępką! Niewiarygodne, w ostatniej chwili! Cud, bez wątplenia!

Stary przygryza dolną wargę. To główny mechanik myśli i kieruje. Od jego decyzji

wszystko teraz zależy. I oby tylko to wytrzymał! Nie usiadł nawet na minutę.

Wydaje się, że wszystkie przecieki zatamowano, tu i ówdzie tylko odrobinę kapie, parę ślimaczących się ranek w stalowej skórze. Ale woda w okręcie? Nie mam pojęcia, ile jej jest. Jeden litr wody równa się kilogramowi wagi: czuję ten ciężar całym ciałem... ciężko, ciężko, robi mi się potwornie ciężko. Leżymy na dnie jak przyrośnięci.

– Pięknie śmierdzi gównem! – słyszę Głuchaczka.

– To otwórz okno! – szydzi Frenssen.

Z tyłu dolatuje sapanie, zupełnie jak wentyl lokomotywy. Przenika mnie do głębi. Do pioruna, co to znowu jest? Teraz szum rozbrzmiewa tak jak ostry strumień wody, który trafia żelazo. Ciągle jeszcze nie mam możliwości przedostać się do przedziału rufowego.

Co Stary w ogóle zamierza? Co teraz może, kiedy tak patrzy przed siebie, roztrząsać w swej głowie? Czy spróbuje wyjść na powierzchnię i podpłynąć ku afrykańskiemu brzegowi, by osadzić tam okręt? Chyba tak, skoro chce wydostać się na górę przed świtem. Gdyby miał zamiar wynurzać się i kazać nam wysiąść, nie potrzebowałby się interesować, czy tamci z rufy będą gotowi przed szarówką. A o to stale pyta.

Płynąć w ciemności byłoby zbyt ryzykowne. Prąd zagnałby nas na tamten świat. Czy Tomki w ogóle by nas wtedy zauważyli? Nie mamy światełek przy kamizelkach ratunkowych. Nawet czerwonych szkiełek odblaskowych. W ogóle jakiegokolwiek wyposażenia na ten specjalny wypadek.

Stary milczy. A spytać go nie mogę. Jasne: najpierw musimy spróbować podnieść okręt, pozbyć się balastu. Ale co potem, gdyby się udało? Co robić dalej?

W tej samej chwili Stary zjawia się w mesie O. Słyszę, jak mówi: – On teraz dostaje swój order... Jakiś taki fajny Order Podwiązki. Krzyż Wiktorii czy coś takiego.

Ogłupiały patrzę na Starego.

– Zasłużył sobie. Robota bez zarzutu. Czy to jego wina, że jeszcze tutaj leżymy i nie całkiem się wykończyliśmy?

Wyraźnie widzę scenę: niski barak w Gibraltarze. Gromada lotników w swoich kombinezonach, w ręku kieliszki szampana, zebranych, by uczcić zatopienie okrętu podwodnego – zaobserwowane bez wątpliwości i do tego potwierdzone przez marynarke wojenną.

– Nagi strach – szepcze dowódca i wskazuje na plecy nowego z centrali. Jego sarkazm jest dla mnie jak położenie rąk: przyjdźcie do mnie wszyscy, którzy jesteście strapieni i udręczeni, a ja was pocieszę!

Starszy sternik stoi w przejściu i melduje: – Głowica peryskopu pękła. – Chce, by jego

meldunek brzmiał tak obojętnie, jakby mówił, że ma dziurawe zelówki. – Peryskop pelot również zepsuty!

– Tak – mówi tylko Stary. Brzmi to, jakby był po prostu zmęczony i zrezygnowany, jakby odrobina zniszczeń więcej lub mniej nie miała teraz znaczenia.

W przedziale Rufowym musi wyglądać najgorzej. Pytam sam siebie, w jaki sposób wybuch bomby oddziałował tak niszcząco na tylną część okrętu. Szkody w centrali i w baterii I dadzą się wyjaśnić. Ale dlaczego na rufie tyle się zniszczyło, nie mam pojęcia. Czy to były może dwie bomby? Czy nie brzmiało to jak podwójny wybuch? Nie mogę zapytać Starego.

Z rufowego przychodzi główny mechanik i składa meldunek Staremu. Z urywanych zdań mogę się zorientować, że niemal wszystkie połączenia zaburtowe przepuszczały wodę. Cała siłownia elektryczna nie funkcjonuje. Wskutek tego również urządzenie do strzelania. Możliwe, że i łożyska też swoje oberwały. To oznacza, że przy obrocie wałów zaczną się grzać.

To, co mówi czif, jest kompletnym inwentarzem uszkodzeń. Nie tylko pompa główna, ale również wszystkie inne pompy nie działają. Tak samo pompa wody chłodzącej. Dziobowy zbiornik trzymający jest nieszczelny. Śruby fundamentów podstawy lewego diesla jakby cudem wytrzymały, ale w prawym silniku są ścięte. Sprężarka została zerwana z podstawy. Przedni ster głębokości niemal nie daje się ruszyć. Prawdopodobnie został zdemolowany dopiero wtedy, gdy okręt rąbnął o skały dna. Urządzenie kompasowe całkowicie zniszczone – kompas magnetyczny, jak i żyrokompas ze wszystkimi repetytorami. Przyrządy pomiaru głębokości i prędkości zostały wyrwane z osady i prawdopodobnie nie funkcjonują. Radio oberwało bardzo brzydko. Również telegraf maszynowy jest zepsuty.

– Jeszcze Babilonia nie zginęła – mamrocze Stary. Główny mechanik mruga powiekami, jakby nie mógł poznać Starego. Jak prawidłowo brzmi ten tekst? Łamię sobie głowę i nie mogę przypomnieć. Babilonia zginęła? Tak z całą pewnością nie!

Nagle słyszę nowy szum. Nadstawiam uszu. Niewątpliwie pochodzi z zewnątrz: wysoki zaśpiew i rytmiczne, tępe uderzenia. Są znowu! Zupełnie jakby mi ktoś wyłączył oddech. Stary usłyszał szum w tej samej chwili co ja. Nasłuchuje z otwartymi ustami i zmarszczonym czołem. Łoskot i brzęczenie wzmagają się. Turbiny! Teraz z pewnością nastąpi namierzanie asdikiem. Wszystkich sparaliżowało – tak jak siedzieli, stali czy kłęczeli. Trudno mi rozróżnić ciemne bryły wokół siebie. Z prawej przy peryskopie to musi być starszy sternik. Jak zwykle lewy bark podniósł nieco wyżej, po tym mogę go rozpoznać. Krzywy garb nad stanowiskiem steru głębokości należy do mechanika. Obok na lewo musi być drugi oficer. Człowiek bezpośrednio pod studzienką peryskopu to mat z centrali.

Znowu obręcze ma piersiach, dławienie w gardle. Przełykać, znowu przełykać, a potem, drząc, wciągać powietrze jak tonący.

Tętnienie mojego pulsu brzmi jak szczególnie głośny taktomierz. Wydaje mi się, że słysząc je w całym pomieszczeniu.

Moje uszy są znowu wysoce wrażliwymi aparatami podsłuchowymi, przyjmującymi całe złoza drobniutkich szmerów, również takich, których wcześniej w ogóle nie rejestrowałem: skrzypienie skórzanych kurtek, na przykład, i delikatne, mysie popiskiwanie zelówki buta na żelaznej płycie podłogowej. Turbiny okrętu na powierzchni są o wiele za głośne dla mojego nadwrażliwego systemu słuchowego.

Teraz chcą nas wykończyć! Liny poszukiwawcze? Asdic? Prawdopodobnie ten, co kręcił rundy honorowe, nie miał bomb głębinowych na pokładzie. Teraz przyszła zmiana. Napinam wszystkie mięśnie, robię się całkiem sztywny. Tylko nic nie dać po sobie poznać.

Co jest? Czy śpiew śrub się oddala? Chyba się nie mylę?

Ból w płucach! Odważam się lekko unieść klatkę piersiową. Jednym haustem wciągam w siebie powietrze i zaraz potem chwytam następny łyk. Jeszcze! Wypełnić płuca! A teraz zatrzymać powietrze... taktomierz znowu zaczyna tykać gwałtownie.

Bez wątpienia: szumy słabną.

– Odchodzi – mamrocze Stary. Natychmiast rozluźniam się. Zgromadzone powietrze wylatuje i teraz pozwalam sobie na porządny, głośny haust gazowego smrodu.

– To był niszczyciel – mówi Stary bez podniecenia w głosie. – Tutaj roi się od okrętów, zebrali wszystko, co tylko może pływać!

W ten sposób Stary zapewne chce powiedzieć, że to przejście było przypadkowe. Kamień mi spada z serca.

Ale teraz moje nerwy słuchu zostają zaatakowane na nowo: brzęk i zgrzytanie narzędzi powoduje, że się wzdrygam. W przedziale rufowym ludzie widocznie tyrają znowu. Teraz dopiero rejestruję, że w centrali znowu było więcej ludzi, niż wynosi jej normalna załoga. To dążenie do miejsca pod kioskiem, kiedy słysząc złego wroga, jest czystym atawizmem. Jak gdyby lordowie jeszcze nie pojęli, na jakiej głębokości leży nasz okręt. Tutaj nie ma już uprzywilejowania marynarzy pokładowych w stosunku do załogi siłowni. W naszej sytuacji aparaty ratunkowe nie są warte szczypty tabaki. To znaczy: jeśli się nie bierze pod uwagę tlenu w ich pojemnikach – tak czy inaczej tkwi w nich pół godziny życia, gdy w naszych butlach tlenowych nic już nie będzie.

Myśl, że Tomki już od dawna nas spisali, że nasze domniemane zatopienie od paru godzin zostało już zameldowane brytyjskiej admiralicji, wzbudza we mnie dziwne uczucie,

coś między szyderstwem a przerażeniem: not yet, wy dranie!

Ogarnia mnie fala mdłości. Tylko nie to! Przełykam gwałtownie i podnoszący się w przełyku kwas mieszam znowu ze śliną. Nagle w tylnej części głowy pojawia się tępy, pulsujący ból, nad prawą brwią również. Nic dziwnego – opar, który wdychamy, stał się jeszcze gęściejszy. Wprost niewiarygodne, że ta mieszanina stu smrodów, oparów diesli i gazów bateryjnych daje się jeszcze wdychać. Z pewnością jest również wybuchowa. Wrażliwa na iskrzenie.

– Czif nas z tego wyciągnie za uszy – słyszę połową ucha. Dorian. Mógłbym mu za to dać w gębę. Tylko nie zapeszyć! Ten dureń drugi mechanik nie może zastąpić naszego czifa. Nie do pomyślenia, żeby głównego mechanika nie było na pokładzie. Gdyby pożegnał się w Vigo, tak jak planowano... Zabawne zmartwienie, mówię sobie, całkiem udręczony: wtedy nie byłoby i ciebie na tym zezłomowanym żelazku. Mieliśmy przecież wymustrować obaj. Wtedy ci tutaj w ogóle nie mieliby jakiegokolwiek szansy. Byliby dwukrotnie zdradzeni i sprzedani. Póki ja jestem na pokładzie, ten okręt nie może pozostać na szlaku. Na liniach mojej dłoni można wyczytać, że dożyję starości. A więc musimy się wydostać. Tylko nikt nie może się dowiedzieć, że jestem zaczarowany. Byle nie zapeszyć. Milczeć i robić dobrą minę. Jeszcze nas długo nie wykończą! Jeszcze oddychamy. Z trudem i nierówno, ale jakoś to idzie.

Głuche pomrukiwanie i szepty z centrali od dawna są jedynymi ludzkimi dźwiękami, które przenikają do mnie w mesie O. Ogarnia mnie pragnienie usłyszenia własnego głosu. Drugiemu oficerowi, który przykucnął koło mnie na koi głównego mechanika, chciałbym powiedzieć: trapistami nazywają się bracia zakonu milczącego, którzy mnie, gdy płynąłem na składaku po Dunaju, chcieli serio złapać do swego stowarzyszenia. Do klasztoru! Właśnie mnie! Nic nie jeść i nic nie mówić! To w końcu oferuje również marynarka wojenna. Moja ówczesna łódź nazywała się „Bzdura”. Była w kiepskim stanie. Tak daleko zaszedłem ze swoim żeglarstwem – na dno Cieśniny Gibraltarskiej.

Drugi oficer bardzo by się zdziwił, gdyby usłyszał moje bełkoty.

W ustach wytworzył mi się gruby osad. Język czuję jak obrzydliwy, śmierdzący kawał mięsa.

Gdybyśmy mogli przynajmniej przekazać wiadomość! Ale jeśli nawet radiostacja nie poszła w diabły nie byłoby możliwe nadawanie z tej głębokości. W domu więc nikt nie będzie wiedział, jak nas trafiło. „Padł w walce z wrogiem” – zwykły list z flotylli do bliskich. Nasza katastrofa pozostanie tajemnicą. Jeśli brytyjska admiralicja nie zdradzi przez radiostację Calais, jak nas wykończyli.

Rozwinęli taką subtelną metodę: precyzyjne dane, żeby ludzie w kraju również

wierzyli: nazwisko, data urodzenia, numer czapki dowódcy. A u nas w sztabie? W każdym razie z trzygwiazdkowym meldunkiem nie będą się śpieszyli, jak zwykle w ochotniczym korpusie Dönitza. Moglibyśmy w końcu mieć delikatne powody, żeby nie wysyłać sygnałów. Niewątpliwie zostaniemy wezwani do meldunku. Po raz pierwszy, drugi... stara śpiewka.

Ale w tym stanie rzeczy panowie w sztabie niebawem słusznie się domyślą, że nakazane przejście nam się nie udało. Wiele możliwości, byśmy przedostali się przez ten wąwóz, tak czy inaczej nie było. To oficerowie sztabu admirała w Kemévelu z pewnością wiedzieli dokładnie. Ich zwariowany pogromca może się już przyzwyczaić do myśli, że znowu stracił jeden okręt: utonął koło Gibraltaru – brytyjski port wojenny – skała zamieszкана przez małpy – klimat śródziemnomorski – miejsce pełnego uroku spotkania klimatycznego – tak przecież tam było! Wielki Boże! Tylko nie zwariować! Spoglądam na banany, które wiszą przy suficie nad hydrolokacją i dojrzewają. Między nimi kilka wspaniałych egzemplarzy ananasów. Ale ten widok tylko mnie irytuje: na dole zniszczona bateria, a na górze ten hiszpański ogród.

Główny mechanik znowu się pojawia. Jeszcze w przejściu staje nie wiadomo po co. Wygląda tak, jakby teraz, gdy o tylu sprawach musi myśleć jednocześnie, nie mógł się już utrzymać w ruchu. Widzę wyraźnie, jak zmienia się jego twarz. Przymrużył powieki, zapadłe policzki drgają.

Czy wśród hałasów, dolatujących od rufy, był jakiś, który tak gwałtownie zatrzymał czifa? Wreszcie rusza znowu, ale nie płynnie i po kociemu, jak do tej pory miał w zwyczaju, tylko sztywno jak marionetka. Wyraźnie zmusza się, by postawić jedną nogę przed drugą. Po kilku krokach wygląda, jakby się wreszcie rozluźnił. Otwiera szafkę ze zwiniętymi planami, szuka, macając w niej, wyciąga jeden z planów i rozkłada go na stole. Pomagam mu, książkami przyciskam plan na krawędziach. Jest to wzdłużny przekrój okrętu. Przewody zaznaczono jako czerwone żyły albo czarne arterie.

Nie wiem, na jakim tropie jest mechanik. Czy szuka połączeń zaburtowych, idących przez zbiornik ropy? Czy chce się dowiedzieć, jaką drogą woda mogła dostać się do tego zbiornika?

Na twarzy czifa rysują się głębokie zmarszczki. Tkwi w nich ropa. Kiedy ociera się szmatką, brud pozostaje w zagłębieniach jak tłusta farba na płycie drzeworytu.

Mechanik musi myśleć jak kryminalista. Inteligencją i polotem wiele się teraz nie osiągnie. Od czasu do czasu mamrocze tajemnicze formułki, potem maluje kabalistyczne znaki. Na długie minuty pograża się w milczeniu, tylko myśli wytrwale.

Pojawia się drugi mechanik, rozwichrzona czupryna, bez tchu. Pochyla się obok czifa

nad planami. Jego wargi są pozbawione krwi. Również on nie mówi ani słowa. Film niemy.

Teraz zależy wszystko od inżynierów. Radzą nad naszym losem. Zachowuję się cicho. Nie przeszkadzać. Główny mechanik wskazuje ołówkiem jakieś miejsce na planie i kiwa głową do drugiego. Ten daje znak, że zrozumiał, i obaj wyprostowują się jednocześnie.

Wygląda na to, że czif wie, jak wypchnąć wodę za burtę. Jak on to zrobi przy takim ciśnieniu?

Na stole w mesie SP widzę nadgryziony kawałek chleba: świeży biały chleb z „Wezery”, obficie posmarowany masłem i obłożony grubymi plastrami kielbasy. Moje spojrzenie jak przyklejone trzyma się tej kromki chleba z półokrągłym śladem zębów. Obrzydliwe! Żołądek natychmiast daje znać o sobie. Ktoś musiał właśnie jeść, kiedy rąbnęło. Zdumiewające, że ta kromka nie zsunęła się ze stołu, kiedy spadaliśmy w dół.

Oddychanie robi się coraz trudniejsze. Dlaczego czif nie dodaje tlenu? To żałosne, że jesteśmy tak zależni od powietrza. Wystarczy tylko na krótki czas wstrzymać oddech i w uchu zaraz zaczynają tykać sekundy, a potem rozpoczyna się dławienie w okolicy podniebienia miękkiego. Mamy wprawdzie piękny świeży chleb, jesteśmy wypchani smacznymi produktami, ale czego naprawdę potrzebujemy, to właśnie powietrza. Teraz nam dopiero zademonstrowano, że człowiek bez powietrza nie może istnieć. Czy w ogóle zastanawiałem się kiedyś nad tym, że bez tlenu nie można myśleć, że bez niego pod żebrami drżące miechy bez ustanku nadymają się i kurczą? Płuca widziałem tylko ugotowane. Gotowane płucka – ulubiona strawa dla psów! Płucka z knedlami, nazywane „przekąską”, za sześćdziesiąt fenigów na dworcu głównym, gdzie zupełnie wątrobianą dla zachowania ciepła wstawiano w wiaderkach po marmoladzie do garnków z kiszoną kapustą; pod tym, na podłodze, była warstwa trocin. Trwało to tak długo, aż w końcu policja sanitarna zamknęła sklepik.

„Płynne powietrze” – tak nazywało się przedstawienie w auli gimnazjum. Wyglądało to jak w varieté: jegomość jeżdżący z wykładami wyciągnął serdelek z cylindra i rozbijał go uderzeniami młota, zanurzał różę, a potem kruszył ją palcami: to wszystko wywoływało płynne powietrze w cylindrze.

Dwieście osiemdziesiąt metrów. Ile waży kolumna wody, która ciąży na okręcie? Wiedziałem to przecież. Te liczby wbiłem sobie w głowę. Ale teraz wszystko się zatarło. Mój umysł funkcjonuje bardzo nędznie. Nie mogę myśleć, mając ciągle ten tępy ucisk pod czaszką.

Czuję się tak, jakby moje szare komórki były gotującą się papką, na której powstają pękające pęcherze. Gdybym miał jeszcze zegarek... Moje poczucie czasu jest zakłócone. Nie wiem, jak długo będziemy tu jeszcze leżeli. Moje poczucie przestrzeni również się załamuje.

Chwilami nie wiem, gdzie jestem. Potem czuję się tak, jakby znaczne odległości dzieliły mnie od przedmiotów, które widzę. System moich soczewek działa błędnie: nie panuję nad nimi. Twarz drugiego oficera, która przecież powinna być tuż koło mnie, jest dwa razy dalej, niż można sięgnąć ramieniem.

Główny mechanik pojawia się znowu. Koncentruję myśli na obserwowaniu go: ma coraz więcej smug we wszystkich kierunkach na twarzy. Ostre błyski na czarnych jak węgiel tęczęwkach. Usta są czarną dziurą. W tym mętym świetle twarz wygląda jak wklęsła – wklęsłorzeźba. Gemma czy kamea? Jak to mnie uczyli: kamee są wypukłe, a więc czif wygląda jak gemma. Zmarszczki na jego czole poruszają się szybko jak osłony migacza: zamykają się, otwierają, ściągają znowu.

W lewej kieszeni spodni natrafiam na mój talizman – zmatowiały, owalnie ukształtowany kawałek turkusa. Rozwieram lewą pięść i palcami obejmuję kamień jak gładką, lekko wysklepioną skórę. To brzuch Simony! Natychmiast mam w uchu jej paplanie: „To jest moja mała mombrille... jak się to nazywa? Guzik w brzuchu? Pępek. Komiczne... Pour moi c'est ma boite á ordure... regarde... regarde!

Simone grzebie w zagłębieniu pępka, wyciąga stamtąd strzępki wełny i chichocząc, podsuwa mi je pod nos.

Gdyby Simone mnie tu zobaczyła: dwieście osiemdziesiąt metrów pod powierzchnią. Nie gdzieś w Atlantyku, tylko z określonym adresem: Cieśnina Gibraltarska. Bliżej afrykańskiego brzegu. Tu leży nasza rura z ładunkiem pięćdziesięciu ciał: mięso, kości, krew, mlecz pacierzowy, pompujące płuca, tętniące puls, mrugające powieki, pięćdziesiąt mózgow – każdy z całym światem wspomnień.

Chcę wyobrazić sobie włosy Simony. Jak się ostatnio czesała? Mimo że wyteżam myśli, już tego nie wiem. Próbuję ściągnąć bliżej jej obraz i rozpoznać jej włosy, lecz obraz pozostaje niewyraźny. Nie szkodzi. Przypomni mi się znowu całkiem nagle. Nie muszę tylko tak uporczywie o tym myśleć. Nie natężyć myśli, wtedy wspomnienie wróci samo z siebie.

Jej fioletowy pulower widzę wyraźnie. Również żółtą chusteczkę na szyi oraz bluzkę koloru malwy z niewyraźnym wzorem, który, gdy się nań spojrzę pod właściwym kątem, widać, że składa się z tysiąckrotnie powtórzonych słów „Vive la France”. Złotawy odcień jej skóry! A teraz widzę również fryzurę. Te kosmyki, które jej ciągle opadały na czoło, wciąż mnie irytowały: zawsze zmierzwiłone, ale jednak gładkie – dalej włosy Simone są uczesane w fale, a na karku tworzą czasami nawet pierścieniowate loczki, jakie noszono w okresie biedermeierowskim. Simone przywiązuje do tego wagę: w kunsztowny sposób wyglądać na nie uczesaną.

To nie było ładne, że buchnęła mi moją nową lornetkę dla swego papy. Ten z pewnością chciał zbadać, czy nowa produkcja jest o tyle lepsza niż dawna. Nowa warstwa błękitu, dzięki której przez nasze szkła widać o wiele lepiej w nocy, musiała go interesować. A Simone? Czy chciała tylko zwrócić na siebie uwagę? Monika dostała zabawkową trumienkę, Genevieve dostała, Germaine również, tylko Simone nie.

Stary zjawia się z głównym mechanikiem. Obaj pochylają się nad planem. – Ręcznie do zbiornika regulacyjnego... – słyszę. Aha, tę przeciekła wodę! Ręcznie do zbiornika regulacyjnego? Czy tak można? Obaj jednocześnie kiwają głowami.

– Potem ze zbiornika za pomocą dodatkowej pompy i sprężonego powietrza za burtę...

Słyszę wyraźnie wibrację w głosie głównego mechanika. Kiedy go tak widzę z profilu, zaczynam się bać. To cud, że jeszcze się trzyma na nogach. Przecież był już wykończony, zanim zaczęła się ta rozróbka. Kto ma za sobą parę dziesiątków ataków bomb głębinowych, ten jest zawsze wykończony. Z tego powodu miano go przecież wymienić. Zaraz po tym rejsie!

A teraz to tutaj! Główny mechanik ma na czole grube perły potu, które zatrzymują się na zmarszczkach. Kiedy odwróci głowę, jego cała twarz błyszczy.

– ...hałas... nie do uniknięcia... nie da się!... Balast trzy!...

Dlaczego on gada tylko o zbiorniku balastowym numer trzy? Ten chyba nie oberwał, bo znajduje się wewnątrz kadłuba sztywnego. Jak to mówiono: okręt może pływać wyłącznie na zbiorniku balastowym numer trzy. Ale przy takiej ilości przeciekłej wody wypór tego zbiornika z pewnością nie wystarcza, jest o wiele za mały. A więc po staremu: należy pozbyć się wody z okrętu, i to jak najszybciej. Nie mam pojęcia, jak mechanik tego dokona, żeby najpierw przepompować wodę z centrali do zbiorników regulacyjnych, a potem stamtąd – za burtę. Ale główny mechanik nie jest głupcem. Nie. Nie mówi nic, gdy nie jest pewny swego.

Pojmuję, że czif podejmie próbę podniesienia okrętu z dna dopiero wtedy, gdy wykonane będą wszystkie potrzebne reperacje. Jak się zdaje, może zrobić tylko jedną jedyną próbę.

– Okręt... najpierw... na równej ścieżce! – słyszę Starego. Słusznie, to cholerne przegłębienie rufowe! Ale przepompowywanie z pewnością nie wchodzi w grę. A więc jak?

– ...Wodę z rufy przelać wiadrami do centrali – mówi dowódca. Wiadrami? – odzywa się we mnie echem. Z ręki do ręki? Wpatruję się w Starego i czekam, aż się wyrazi dokładnie. – Uformować grupę do przelewania – słyszę jeszcze. Stary więc nie żartuje.

W mesie podoficerskiej i kambuzie ustawia się łańcuch strażacki, do którego się włączam. Moje miejsce jest tu, przy grodzi. Słysząc zachrypłym szeptem wypowiedane

wskazówki i przekleństwa. Wiadro, jedno z tych, których stołowy używa do mycia naczyń, przybywa do mnie przez właz. Chwytam je i wypełnione w połowie rozmachuję jak hantlę z uchwytem – mat z centrali łapie je w tym rozmachu. Słyszę, jak na wysokości peryskopu wylewa wodę do zęzy w centrali. Ostry szum, pluskanie – obrzydliwy dźwięk.

Z przodu podają coraz więcej wiader, które trzeba potem zwrócić na rufę. Natychmiast powstaje zamieszanie. Sycząc rozkazy, główny mechanik opanowuje bałagan z pełnymi i pustymi wiadrami.

Uważam, żeby ten brudny rosół się nie wylał. Teraz już wszystko gra. Złapałem dryg. Kiedy pompy nie działają, zrobimy to kubłami. Woda wdarła się do okrętu, więc trzeba ją wyczerpać jak niegdyś, w starożytnych czasach.

Człowiekiem, który podaje mi wiadra, jest Zeitler. Ma na sobie straszliwie zabrudzoną i złachmanioną koszulę. Przy każdym wiadrze pokazuje mi ponurą, zaciętą twarz. Z tyłu coraz ktoś szepcze: – Uwaga! – I znowu: – Uwaga! – Szepcze, syczy, skrzeczy zachryple. Pojawia się szczególnie ciężkie wiadro. Jego kabłak muszę chwycić obu rękami. Mimo to wylewa się. Breja przemacza mi spodnie i buty. Plecy też mam mokre, ale od potu. Podczas tej roboty dwukrotnie dostrzegam zachęający uśmiech Starego. Coś mi się w końcu przypomina:

*...przez rąk ludzkich łańcuch długi,
jak należy,
wiadro bieży.
Wielkim łukiem...*

Czasami dostawa się zacina, bowiem gdzieś z tyłu powstało zamieszanie. Parę stłumionych przekleństw, potem łańcuch funkcjonuje dalej.

Mat z centrali nie potrzebuje już uważać. Jest ostatni w szeregu i może wylewać wodę na płyty podłogi. Podłoga w mesie P jest już mokra. Pod płytami pomieszczenia podoficerskiego jest przecież bateria II. Czy nic się nie stanie? Główny mechanik, mówię sobie, jest przecież w pobliżu. On już będzie uważał.

Znowu chluśnięcie... teraz prosto na brzuch. Cholerna zaraza!

Głuchy brzęk, potem przekleństwa, łańcuch utyka znowu, prawdopodobnie tym razem wiadro uderzyło o ramy włazu do kambuza.

Czy się nie mylę? Czy rzeczywiście okręt przesunął się o parę stopni ku poziomowi?

W centrali woda sięga już do kostek.

Która godzina? Musi być przynajmniej czwarta. Mój zegarek. Szkoda! Wprawdzie pasek nie nadawał się już do niczego. Był klejony, a nie zszywany. Nowoczesna tandeta. Ale werk był wysokiej klasy. Już dziesięć lat nosiłem ten zegarek bez naprawy.

– Uwaga! – sapie Zeitler. Psiakrew, muszę uważać. Nie zginam już więcej rąk. Kiedy Zeitler podaje mi wiadro właściwie, oszczędzam wiele siły. Zeitlerowi trudniej: musi taszczyć kubły przez właz. Dlatego patrzy tak ponuro. Za każdym razem potrzebne mu są obie ręce. Ja używam tylko prawej. Już nawet nie zauważam, jak ręka chwyta i rozmachuje wiadro niby cyrkowy trapez, nim sąsiad je odbierze.

– Kiedy przedświt? – pyta Stary starszego sternika. Ten grzebie w swoich tabelach i mówi: – Początek przedświtu siódma trzydzieści! – Pozostało nam więc niewiele czasu!

Chyba jest już dalej niż czwarta. Jeśli szybko nie skończymy, przede wszystkim odpadnie nam próba wynurzenia. Wtedy będziemy musieli czekać aż do wieczora. Wtedy ci na powierzchni zyskają jeszcze cały dzień, by się nami zainteresować w najpiękniejszym świetle słonecznym.

– Przerwa – słyhać szept podawany po linii. – Przerwa – przerwa – przerwa!

Jeśliby Stary zamierzał płynąć do brzegu na naszych paru akumulatorach – zakładając, że próba wynurzenia się uda – potrzebuje osłony ciemności. Nie przedarliśmy się jeszcze do najwęższego odcinka cieśniny. Od naszego „miejsca leżenia” do brzegu jest jeszcze kawał drogi. A więc, jeśli wszystko zagra, pozostaje nam bardzo niewiele czasu. Czy te trochę soku w jeszcze całych akumulatorach wystarczy silnikom elektrycznym? I co pomoże to całe majstrowanie przy obu bateriach, jeśli łożyska wałów nie są w porządku? Wątpliwości głównego mechanika nie powstały przecież z niczego.

Boże, jak ci ludzie wyglądają! Zielone twarze, żółte twarze. Czarnozielono obramowane oczodoły. Oczy w czerwonych obwódkach. Z niedostatku powietrza otwarte do połowy usta są jak czarne dziury. Z powodu jednostronnego oświetlenia wszystko rysuje się w ostrym, czarno-białym kontraście. Frenssen wygląda jak wyrzeźbiony z drzewa. Tylko jego mięsiste usta w czarnej brodzie są jaskrawym barwnym sygnałem. Perły potu błyszczą mu na twarzy jak staniol.

Główny mechanik melduje, że silnikom elektrycznym nie zagraża niebezpieczeństwo. Kamień z serca: przynajmniej one nie są do bani. Jednak główny mechanik chce jeszcze wyczerpać więcej wody z rufowego przedziału torpedowego.

– Dobrze – mówi dowódca swym normalnym głosem. – No to dalej!

Przy pierwszym uchwyceniu kubła, który mi podaje Zeitler, spostrzegam, jak bardzo bolą mnie wszystkie mięśnie. Niezbyt mi się udaje wpaść we właściwy rytm.

Dławienie, trzepotanie w płucach, nie ma już powietrza w okręcie. Ale jedno jest pewne: coraz bardziej układamy się na równej stępcie.

Dowódca przesuwając się bliżej i pyta przez właz w stronę rufy:

– Jakoś idzie?

– Tak jest, panie kapitanie... Tak jest, panie kapitanie!

Tak jak stoję, mógłbym osunąć się w ten rosół na płytach podłogi – byłoby mi wszystko jedno. Liczę wiadra. Gdy jestem przy pięćdziesięciu, od rufy nadchodzi rozkaz: – Przerwać czerpanie!

Bogu najwyższemu dzięki! Jeszcze muszę odebrać od Zeitlera cztery czy pięć pełnych wiader, ale pustych mat z centrali już nie oddaje, tylko przekazuje je dalej do przodu.

A teraz szybko zdjąć mokre łachy. W mesie P straszliwe zamieszanie, ponieważ wszyscy chcą mieć coś ciepłego na ciele. Łapię sweter, nawet skórzane spodnie znajduję na mojej koi. Fantastyczne! Suche rzeczy! A teraz morskie buty. Frenssen trafia mnie łokciem w żebra, Pilgrim depta mi po prawej stopie, ale wreszcie udaje mi się: w ciężkich butach brnę przez centralę do przodu zawadiacko jak ulicznik. Dopiero w mesie oficerskiej mogę wyciągnąć nogi przed siebie.

Nagle słyszę: „Tlen!”, a potem z ust do ust przekazywany rozkaz: – Założyć pochłaniacze potasowe! Wszyscy ludzie zbędni położyć się na kojach!

Drugi oficer spogląda na mnie skonsternowany.

Nowe polecenie: – Uważać wzajemnie, żeby przy spaniu nikomu nie wypadł ustnik!

– Dawno nie używany – mruczy bosman w przyległym pomieszczeniu. Pochłaniacze potasowe! Jasna sprawa! To wszystko będzie jeszcze długo trwało. Jeszcze jej nie zobaczymy – porannej zorzy. Drugi owu nie mówi słowa i nie próbuje się uśmiechnąć. Wydaje się, że rozkaz mu nie odpowiada. Na jego zegarku widzę, że jest już piąta.

Wymacuję drogę w stronę rufy, znowu chlapię po wodzie w centrali, rejestruję wynędzniałe twarze załogi. Nasza nadzieja, że moglibyśmy dokonać próby wynurzenia jeszcze przed szarówką poranną, okazała się daremna. Oddychać przez pochłaniacze potasowe – to oznacza, że nie ma możliwości wyjścia na powierzchnię w najbliższych godzinach. To oznacza również: czekać, aż znowu zrobi się ciemno. A więc cały dzień na dnie! Wielki Boże!

Motorzystom dano wiele czasu, by doprowadzili do porządku swój kramik. Nie ma już powodu się śpieszyć.

Z kącika przy łóżku wyciągam pochłaniacz – prostokątną blaszaną skrzynkę wielkości dwóch pudełek cygar.

Inni mieszkańcy mesy ześrubowują już węże z ustnikami i wkładają je między zęby. Tylko Zeitler jest opóźniony. Klnie w żywy kamień: – Cholerne gówno... Mam już tego dosyć!

Pilgrimowi i Kleinschmidtowi czarniawe węże zwisają już z ust. Wkładam zacisk na nos i spostrzegam przy tym, jak drżą mi ręce. Ostrożnie wciągam pierwszy haust powietrza przez pochłaniacz. Jeszcze nigdy tego nie robiłem. Jestem niespokojny, jak będzie działać. Przy wydychaniu wentyl ustnika szeleści. A więc coś nie w porządku. Czy wydmuchnąłem powietrze zbyt gwałtownie? A więc wolniej wydychać, spokojniej i w ogóle spokojniej! Powietrze z węża ma paskudny smak gumy. Miejmy nadzieję, że tak nie pozostanie.

Pudełko przeszkadza. Wisi mi przy żołądku jak skrzynka sprzedawcy lodów. Waży co najmniej kilogram. Zawartość pochłaniacza ma wiązać tlenek węgla, który wydychamy, przynajmniej tyle, by powietrze, wciągane do płuc, nie zawierało więcej niż cztery procent tego gazu. Więcej niż cztery procent jest niebezpieczne. Moglibyśmy łatwo udusić się produktami własnych wydechów. „Jeśli coś działa chemicznie, działa psychologicznie” – powiedział czif. Jakąż ma rację!

Właściwie na jak długo starczy nam tlenu? Długość pobytu pod wodą powinna wynosić dla typu VII C trzy dni. Ergo zapas tlenu w butlach powinien wystarczyć na trzy razy po dwadzieścia cztery godziny, nie zapominając jeszcze o dodatkowym terminie łaski ze stalowych cylindrów aparatów ratunkowych.

Gdyby Simone mogła mnie tak widzieć: z rurą w ustach i pochłaniaczem potasowym na brzuchu!

Zwracam uwagę na Zeitlera, obserwuję go jak własne odbicie w lustrze: mokre, opadające kosmykami włosy, krople potu, jedna przy drugiej, na czole, wielkie, nieruchome, gorączkowo błyszczące oczy. Pod nimi czarnofioletowe koła. Zacisk na nosie. Pod tym wyrasta szara ssawka ze sfilcowanej szczeciny brody: niechlujna maskarada.

Te brody Liczyrzepy! Właściwie jak długo jesteśmy już w morzu? Policzyć: siedem, osiem tygodni? Czy też minęło już dziewięć, czy dziesięć tygodni?

Simone pojawia się znowu. Widzę ją jak na ekranie, uśmiecha się, gestykuluje, zsuwa sobie ramiączka. Mrugam powiekami i obraz znika.

Trzeba zajrzeć do centrali, mówię sobie i powoli przełazę przez gródź. Ta cholerna skrzynia na brzuchu! A teraz widzę Simone bezpośrednio na rurach, prętach i manometrach jak obraz z projektora. Widzę jednocześnie płataninę rur, pokrętła zaworów, a na tym wszystkim rozpostartą Simone: piersi, uda, puszek, jej wilgotne, na pół otwarte usta. Simone przewraca się na brzuch i podnosi nogi. Rękami chwytą się za kostki i robi „łabędzia”.

Pasiaste cienie żaluzji ślizgają się po jej kołyszącym się ciele. Zebro-łabędź. Zamykam oczy. Simone już jest na mnie. Jej okrągłe piersi pochylają się ku mnie: duże brązowawe poletka jakby wymalowane wokół różowych kapturków.

Teraz krótkie odcinki filmów: Simone wśród wydmowej trawy na plaży, brzuch i piersi panierowane wilgotnym ciemnym piaskiem. Jej odchylona do tyłu głową wyciągnięta szyja. Simone bez twarzy, tylko jej drgające ciało.

I nagle jakby przeskok filmu i ukazuje się przede mną oblicze z wyrastającą z ust słoniową trąbą. Wzdrygam się z przestachu: to drugi owu! Patrzy na mnie. Chce mi pewnie coś powiedzieć. Niezgrabnie wydobywa ustnik spomiędzy zębów, cieknie z niego ślina. – Użycie pistoletu zakazane, niebezpieczeństwo eksplozji! – mówi przez nos i podnosi przy tym brwi do góry... Gaz z baterii oczywiście!

Drugi znowu wsadza sobie swą ssawkę. Mruga lewym okiem i siada na koi. Nie mogę mu nawet powiedzieć: „głupi kawalarz!”

Za to wciągam tak silny haust powietrza, że aż trzeszczy w pochłaniaczu. Zwariowany facet, ten nasz baby-oficer. Jak się zdaje, nic go nie wykończy. Jeszcze go nie załatwili. Jego nie i nas również nie. Jeszcze łzawią nam oczy przy mruganiu powiekami, jeszcze nasze stawy są całkowicie automatycznie smarowane, jeszcze prądy przebiegają przez nasze mózgi. System, wegetatywny: cud nad cudami. Silniki stoją, ale nasze ciała pracują, jakby nic się nie stało, na zwykły sposób, nawet nie musimy się o to troszczyć. Przed oczami stają mi zapamiętane z lekcji biologii barwne plansze, na których pokazano całe zespoły, jak wpuszczają do żołądka strumienie kwasów, poruszają całą tą maszyną, dodają hormonów...

Cud życia! To wszystko jest zdumiewające. Na przykład morskie ślimaki, które mieszkają w twardych, zeszlonych muszlach ze skomplikowanymi zawijasami. Jak tego rodzaju domek, twardy jak porcelana, może rosnąć? Chciałem już od dawna spytać jakiegoś naukowca. A jak delikatne grzyby mogą przebić swoimi kapeluszami twardy asfalt? We wjeździe do naszej bramy udało im się to. A jak mogą pijawki wysysać moją gęstą krew poprzez skórę?

Jak pijany, macając niepewnie rękami po bakistach, przechodzę dalej, natrafiam na zasłone Starego, potem znowu ściany z dykty. Nie zmieniając kierunku, mogę dotrzeć do mesy O. Płyty podłogi znowu położono. Prawdopodobnie bateria nie jest całkiem stracona. Z grubsza wystarczy jeszcze na krótki kawałek kursu na silnikach elektrycznych.

W mesie oficerskiej pali się światło. Gdybyśmy pozostawili w okęcie tylko tę jedną palącą się lampę, mogłaby świecić wiecznie. Taka żarówka, czterdzieści watów, w ciągu całego tygodnia nie zużywa tyle prądu, ile potrzeba do jednego jedyne obrotu śrub.

Wieczne światło – na głębokości dwustu osiemdziesięciu metrów!

Ktoś tu już posprzątał. Przynajmniej powierzchownie. Obrazy znowu wiszą na ścianie, co prawda bez szkła. Książki stoją mniej więcej uporządkowane na półce. Zdaje się, że pierwszy oficer leży na swojej koi. W każdym razie jego zasłona jest również zaciągnięta. Drugi owu przycupnął w lewym kącie koi głównego mechanika. Zamknął oczy. Lepiej by zrobił, gdyby się porządnie wyciągnął, zamiast jak mokry worek opierać się w kącie koi czifa. Tak się tam wtulił, jakby nigdy nie miał opuścić tego miejsca.

Mógłbym złapać się za głowę ze zdumienia: tak spokojnie jak teraz nigdy tu nie było. Nie ma ruchu przejściowego, nie ma zmian wacht. Obrazy i książki! Spokojne światło lampy, pięknie fornirowane drzewo, czarna skórzana kanapa! Nie ma rur, nie ma białego lakieru okrętowego, nie widać tu ani kwadratowego centymetra okaleczonego kadłuba okrętu. Gdyby na lampie był jeszcze zielony jedwabny abażur ze szklanymi perełkami, wyglądałoby całkiem po domowemu. Brakowałoby tylko bukietu kwiatów na stole, sztucznych bym nie chciał, kapy z frędzlami, i izba mieszkalna byłaby gotowa. Oprócz tego nad skórzaną kanapą powinien by jeszcze wisieć kawałek wypalanej we wzory deski albo też haftowane przysłowie. Na przykład: „Ciasny, ale własny”.

Niestety, drugi oficer psuje ten obraz. A właściwie jego ssawka. Ta maskarada nie pasuje do naszego saloniku.

Taka cisza na okręcie! Wygląda to tak, jakby załogi nie było już na pokładzie i jakbyśmy z drugim oficerem pozostali sami między ścianami.

Aby nie ulec temu złudzeniu, muszę sobie powiedzieć, że na zewnątrz panuje najciemniejsza, najbardziej nieprzenikniona czerń. Wysoce komprimowana czerń. Absolutną ciemność potrafię sobie jeszcze wyobrazić, ale ciśnienia nie, tego potwornego czarnego ciśnienia, przed którym chroni nas tylko cienka, powyginana stalowa powłoka. Nie jesteśmy wyposażeni przez naturę. Nie mamy skrzeli, płetw ani systemu wyrównywania ciśnienia. Drugi owu opuścił głowę na piersi. Udało mu się odciąć od świata zewnętrznego. Baby-officera, naszego karzełka ogrodowego, nie trapią żadne troski. Jak mu się udaje spać właśnie teraz? Poddanie się losowi, jak u większości ludzi? Czy może pewność siebie, jaką Stary przed nami odgrywa, jest nasennym narkotykiem? Ślepe zaufanie do zdolności głównego mechanika, sprawności oddziałów remontowych? Czy też jest to po prostu dyscyplina? Kazano spać, więc się śpi.

Od czasu do czasu chrząka albo dławi się własną śliną. Mimo to nie budzi się, tylko ciamka jak prosiak przy cyckach maciory. Tym ssaniem i ciamkaniem sprawia wrażenie, jakby oddawał się wspomnieniom z niemowlęctwa, uciekł od terażniejszości i znowu znalazł

się przy matczynej piersi. Mogę mu tylko zazdrościć, gdy tak śpi, cmokając.

Jestem śmiertelnie zmęczony. Niekiedy zapadam się w sobie na parę minut, ale potem znowu się zrywam. Musi być już po szóstej. Teraz drugi oficer wygląda jak zmęczony strażak ze swoim pochłaniaczem. Strażak ocalił zakonnice.

Post equitatus: – za konnica

In volavit in potest – w leciała w może

Post equitatus involavit in potest:

Zakonnica loleciała w morze.

Przez pokłady mojej świadomości przenikają coraz to nowe strzępy wierszy i szkolnych rymowanek. Potem znowu pojawiają się lustrzane bańki mydlane z błyszczącymi obrazami ze wspomnień. Próbuję niektóre z nich zatrzymać, obserwować obrazy, myśleć jasno: za wiele mamy zaufania do maszyn. Oddaliśmy się im na śmierć i życie. Teraz musimy być dla nich dobrzy, żeby były nam życzliwe. Wrogie maszyny łatwo zabijają człowieka. Nie do uwierzenia, na co mogą sobie pozwolić. Wystarczy pomyśleć o moim starym fiacie przed przejazdem w Weronie. „Miracolo, miracolo!” – krzyčeli kierowcy ciężarówek, którzy przybiegli mi na pomoc, ponieważ mój silnik chodził na najwyższych obrotach, mimo że zamknąłem gaz i nawet wyciągnąłem kluczyk ze stacyjki. Dla wszelkiej pewności wyrwali po prostu kabel od baterii, a potem jeszcze drugi. Ale silnik malucha mimo to szalał dalej... Nie mogłem znaleźć kranu do wyłączania benzyny. Miały go tylko stare typy! Maszyna robiła, co chciała. Zapłony następowały same. Od przegrzania – wyjaśniano mi później. Za długo jeździłem w upale.

Chciałbym się więcej ruszać, a nie tak siedzieć i czekać na zmiłowanie boskie. Może zaobserwować wszystko, co się teraz dzieje na okręcie. Utrwalić szczegóły. Wykryć coś wielkiego. Do tego jednak nie muszę się wcale ruszać. Mogę, na przykład, patrzeć na błyszczące mysie ząbki naszego drugiego oficera. Potem na płatek jego lewego ucha: wyraźnie wykształcony, lepiej uformowany niż u pierwszego owu. Obserwuję drugiego całkiem dokładnie. Dzielę jego głowę na poszczególne części. Robię powiększone zdjęcia rzęs, brwi, warg.

Naraz powiększone stojące zdjęcia zaczynają się znowu ruszać. Z całym napięciem wpatruję się w wąty wąsik baby-oficera. Ale taniec obrazów trwa dalej. Pojawia się elegancki przedstawiciel handlowy, który zabrał mnie na szosie do swego starego opla i co

kwadrans powtarzał swoją tezę: „Każda kobieta się puści! Mówię panu: każda jedna... także najbogatsza. Cały dowcip polega na tym, żeby się do niej właściwie zabrać!”

Gwałtownie otwieram oczy i również ten obraz blednie. Z jakiej warstwy wspomnień wyskoczył raptem ten mydłek? To było już przed pięcioma laty, więcej niż przed pięcioma – i od tamtej pory nie myślałem nigdy o tym spotkaniu na szosie, ale teraz widzę nawet włosy wyrastające mu z nozdrzy. I także jego ogromny sygnet. I także jego intonację ze wszystkimi odcieniami mam w uchu: „Każda jedna kobieta się puści!”

Robię nowe próby kierowania moimi myślami. Ale to jest tak, jakby ktoś zapuszczał uszkodzony silnik: parę impulsów zapłonowych, a potem nic więcej.

Potem pozwalam sobie być całkiem pusty. Ale raptem z samego dna próżni znowu powstaje strach. Muszę natychmiast robić nowe wysiłki, by zająć czymś myśli. Jak z cegieł układam moje wspomnieniowe obrazy: wielka jodła przy kopalni torfu w mojej okolicy. Jej potężny, rozdarty przez piorun pień, wyciągnięte w górę i powykrzywiane konary niby grożące ramiona – stały obraz, który ustawiam na ostro. Trwały punkt, od którego wychodząc, mogę szukać dalej: droga o odcieniu bladoszarego fioletu, która prowadzi pod brązowofioletowymi, a wyżej różowołososiovymi pniami obu sosen, leśna łąka, w jesieni nabierająca barwy sarniej sierści, rozczochrane kiście mietlicy między ciemnymi kałużami bagna.

Układam kamień na kamieniu. Gdy mam już gotową całą układankę, kilka kawałków chce mi uciec. Staram się je zatrzymać, ale już obraz kruszy się ze wszystkich stron jak stara, zwietrzała mozaika. Może nie podchodziłem do tego dość starannie. Może powinienem być dokładniejszy, nie tylko wywoływać wizje, ale jednocześnie smakować, obwąchiwać i macać wspomnienie.

Cierpliwie zaczynam od początku: wywołuję wielki krzak leszczyny przy drodze do kopalni torfu. Zielone orzechy laskowe w swoich ząbkowanych kapturkach. Zdumiewająco duża odmiana. Na świecie nie ma nic lepszego jak świeże laskowe orzechy. Zdejmuję zielone opakowanie, z którego wystaje tylko jedna trzecia orzecha. Potem sięgam po okrągły kamień, których miliony leżą w tej starej dolinie prarzeki, i na większym kamieniu rozbijam orzech starannie hamowanym uderzeniem, żeby jądro pozostało nie tknięte. Trzonowymi zębami naciskając ostrożnie jądro, rozdzielam je na dwie części, następnie czubkiem języka wyczuwam jego gładkie, lekko wilgotne wewnętrzne płaszczyzny. Potem przesuwam je w ustach przez dłuższą chwilę, nim użyję zębów i zmielę je na delikatną białą papkę. Papkę przesuwam językiem do przodu i dopiero teraz zaczynam ją w pełni smakować. Nie jest to ostry smak. Jeszcze łagodniejszy niż mleko, a jednak intensywny. Z niczym nie da się

porównać. A do tego ta przyjemna konsystencja. Najpierw to rozproszyc, potem do reszty pogryźć, pokonując opór drobnych cząstek. Trzeba wybrać odpowiednią chwilę do zbierania. Wiewiórki również szukają tego zielonego łupu!

Właściwie ile godzin już tutaj leżymy? Musiało być koło północy, kiedy spadliśmy na dół. W każdym razie według naszego czasu pokładowego. Ale on nie odpowiada temu punktowi geograficznemu i dodatkowo jest o jedną godzinę błędny: mamy przecież niemiecki czas letni. Muszę teraz odjąć czy dodać? Nie mam pojęcia. Nawet o tak prostej sprawie jak ta. Jestem całkowicie wytracony z orbity... Według czasu pokładowego musi już być przynajmniej siódma. Jednak szanse na próbę wynurzenia w porannej szarówce tak czy inaczej całkowicie minęły. Teraz należy czekać, aż na górze zrobi się znowu ciemno.

Angielscy kucharze prawdopodobnie wyprodukowali już olbrzymie ilości jajek na bekonie, swoje stałe śniadanie dla floty.

Głód? Na miłość boską, tylko nie myśleć więcej o jedzeniu!

Że jeszcze przed poranną szarówką dokonamy próby wynurzenia, Stary tylko sugerował, by nas utrzymać na nogach. Jednak na pewno tego nie powiedział. I bardzo mądrze. Robienie optymizmu? Mydlenie oczu! Utrzymać ludzi przy robocie – to było jego zamiarem.

Cały dzień tu na dole? A prawdopodobnie jeszcze dłużej – zawsze z rurą w ustach, o Boże!

W północy słyszę, jak drugi oficer chrząka. Wydobywam się z głębi snu. Górna powierzchnia pęka. Gwałtownie mrugam powiekami.

Wskazującym palcem przecieram sobie oczy. Ciężka głowa. Ołów w czaszce. Bóle nad brwiami – jeszcze gwałtowniejsze bóle całkiem z tyłu, w potylicy. Przeklęta trąba! To zwierzę w tamtym kącie to ciągle jeszcze drugi oficer.

Chciałbym wiedzieć, jak już jest późno. Z pewnością już południe. Mój zegarek był dobry. Szwajcarski. Siedemdziesiąt pięć marek. Już dwa razy go gubiłem, ale zawsze znajdowałem, za każdym razem to był prawdziwy cud. Ciekawe, gdzie tym razem się poniewiera. Ukraść nikt go nie może.

Ciągle jeszcze ten spokój! Mimo że wyteżam uszy: nic. Nie ma szumów jakichkolwiek mechanizmów pomocniczych. Tylko ciągle ta śmiertelna cisza. Pochłaniacz ciąży mi na brzuchu jak nieporęczna butelka do ogrzewania.

Przez chwilę próbuję kurczowo przypomnieć sobie chemiczne procesy wydzielania ciepła przy wiązaniu azotu przez potas. Nie udaje mi się. Wszystko mi się miesza. W chemii byłem głąbem. Niezbyt uważałem. Lepiej zrezygnować. Może główny mechanik mi

porządnie wytłumaczy – kiedyś później.

Od czasu do czasu przechodzi ktoś z umazanymi smarem rękami i ramionami. Czy ten kramik z tyłu ciągle jeszcze nie jest w porządku? Czy nasze położenie nie poprawiło się, kiedy spałem? Istnieje nowa nadzieja? Nikogo nie można spytać. Wszędzie robi się tajemnice.

Ale skąd wiem, że żyrokompas działa znowu? Całe urządzenie. Kompas główny wraz z repetytorami. W półśnie to usłyszałem? Ster głębokości funkcjonuje tylko warunkowo, porusza się ciężko. Ale to już wiedziałem, nim się zdrzemnąłem.

Jak stoimy z wodą? Czif miał swój plan. Ale czy w niego jeszcze wierzy? Wiedziałem o tym wcześniej, nie jestem już na bieżąco. Nie mam pojęcia, jak długo mnie nie było.

Kiedyś słyszałem jednak dowódcę: – Gdy tylko się ściemni, musimy na górę. – Oczywiście! To był głos Starego! Jeszcze we mnie brzmi: „Musimy na górę”.

Ile zostało godzin do zapadnięcia ciemności? Ciemność – to przecież musi wystarczyć! Hańba, że nie mam już zegarka!

Rozglądając się stwierdzam, że nasz wełniany piesek zniknął. Już nie huśta się u sufitu. Pod stołem również go nie widzę. Zsuwam się z koi i na kolanach macam rękami w ciemności między gumiakami i puszkami konserw. Do diabła, szkło! Znajduję poduszkę głównego mechanika; na koję z nią! Potem ręczniki i skórzane rękawiczki, ale nie psa. Ten twór przemysłu artystycznego jest talizmanem okrętu. On przecież nie może zniknąć. Cholerne świństwo. Gdy znowu chcę usiąść, moje spojrzenie pada na drugiego owu. Wcisnął sobie psa pod lewe ramię, przytula go do siebie jak dziecko lalkę i śpi przy tym mocno.

Znowu ktoś przechodzi, ostrożnie stawiając stopy, w zamorusanych rękach trzyma ciężkie narzędzia. Wstydzę się, że jestem bezczynny. Mogę się tylko pocieszyć, że drugi owu wraz ze swoim marynarskim personelem również nic nie robi, że przecież spokojne zachowanie się – spanie – nam nakazano. Mamy nawet gorszy los: musimy siedzieć, leżeć, patrzeć, mieć halucynacje. Chciałbym znowu włączyć się do roboty.

Aby zająć czymś myśli, próbuję zrekapitulować przebieg wydarzeń. Widzę, jak starszy sternik zlatuje z góry, w parę sekund później słyszę detonację. Teraz jestem prawie pewny, że były dwie: podwójne uderzenie. Stary natychmiast stanął na nogi. Wybuch wyrwał mu pokrywą włazu z ręki. To mogło się źle skończyć. On już wrzasnął „zanurzenie”, a luk jeszcze nie był szczelny. To cud w ogóle, że Stary był za osłoną, kiedy rąbnęło. Inaczej prawdopodobnie by go zmiażdżyło. Sekunda dłużej na pomoście i Stary byłby już trupem. Wtedy pierwszy oficer awansowałby na dowódcę. Nie do pomyślenia!

Potem nagle pojawiło się wiele twarzy w centrali. Ale wystarczyło jedno spojrzenie Starego, by zapędzić ludzi z powrotem na stanowiska. Potem rozkaz wynurzenia, jakkolwiek cała nieprzyjacielska horda została zaalarmowana. Rozkaz na ster: „Sto osiemdziesiąt stopni!” Jak to wszystko leciało! Pociski oświetlające, a potem ten wariacki ryk diesli! Przy tym tylko jeden diesel szedł całą naprzód. Drugi był przecież nieczynny. Stary postępował tak, jakby Tomków w ogóle nie było. Pozostał na pomoście i kazał pędzić na dieslu. Na południe, całą siłą, jaką jeszcze dało się wydusić z silnika, prosto jak po sznurku na brzeg północnoafrykański. Daleko do niego nie mogło już być. Jaki odcinek przebyliśmy? Dwie, trzy mile? Tak czy inaczej cholernie cenne mile, na których wydobyliśmy się z głębokiej rynny. Jak określił starszy sternik głębokość w środku cieśniny? Trzysta dwadzieścia do czterysta osiemdziesięciu metrów – właśnie tyle. Stary musiał zaraz wiedzieć, że przy drugim zanurzeniu okrętu nie uda się już utrzymać. Czuł, ile wody dostało się do wnętrza. Na dieslu w samym środku podwórka Tomków – wprost niewiarygodne. A potem, gdy uderzyliśmy o dno, jego słowa: „Jedna z typowych sytuacji, w których młodzi dowódcy tracą swe okręty!” Tak, teraz sobie przypominam! Stary, ten zuchwały pies, z pewnością nie zanurzył się ani o centymetr za wcześniej. Ale teraz... Ale teraz, miejmy nadzieję, że Stary nie znalazł się w kropce.

To cholerne rżenie! Za dużo śliny w ustach. Przedtem wyschnięte jak skóra podniebienie, a teraz ta nadprodukcja. Gruczoły ślinowe nie są nastawione na ten sposób życia.

Tylko dwa z trzech okrętów nie toną zaraz na pierwszej akcji. To jest obecnie żelazna reguła: co trzeci okręt idzie na dno prawie zaraz po wyprodukowaniu go. Z tego punktu widzenia UA należy do uprzywilejowanych. UA wyrządziła już różnego rodzaju szkody. Upuściła Tomkom krwi, jak to się – pięknie mówi. Teraz Tomki płacą z nawiązką. Głupie powiedzenie: płacić z nawiązką... upuszczać krwi.

Musisz się teraz położyć, wmawiam sobie jak niegrzecznemu dziecku, porządnie się wyciągnąć! Przecież mało ci brakuje do wysiadki.

Położyć się? Wrócić na koję? Ale przecież to nie wypada, kiedy Stary ciągle musi tkwić na swoim posterunku, a chłopaki z siłowni tak harują.

„Każda śmierć musi mieć swoją przyczyną!” – To z saksońska zabarwione zdanie kilka razy przelatuje mi przez myśl. Dlatego widzę całkiem blisko ponurego kierowcę trupiarki, jak z głębokim namysłem kiwa głową i wpatruje się w szosę nad kierownicą: to również rezultat długoletniego doświadczenia zawodowego – po drodze do wsi w Meklemburgii. Żeby zabrać Swobodę, który tam utonął w wiejskim stawie. Swoboda, student,

pomocnik przy żniwach, lat dwadzieścia, z mojego rocznika akademii. Meklemburscy chłopci dawali nam do jedzenia codziennie, nawet przy największych upałach, zapiekowane w wekach tłuste wieprzowe mięso i ziemniaki. Nawet musztardy nie było. Za to były miriady komarów. Swoboda zniknął pewnego wieczora. Znalazłem go, płynąc łódką, następnego ranka, pośrodku zielonych jak szpinak roślin wodnych, w miejscu, które nie miało nawet dwóch metrów głębokości. Stanąwszy na palcach, mógłby zaczerpnąć powietrza.

Swoboda był skurczony jak w prehistorycznym grobie i był całkiem biały. Gdy spostrzegłem jego rudawą czuprynę wśród ostrej zieleni, musiałem zawołać „Hej, halo, tutaj!” trzy razy głośniejsze, niż chciałem.

Utopienie było przyczyną śmierci Swobody. Dlaczego się jednak utopił, tego nikt nie wiedział: Swoboda był całkiem dobrym pływakiem.

Tutaj przyczyny były wyraźniejsze: brak tlenu. Tlenu nam na długo nie starczy. Brak tlenu byłby poniekąd bezpośrednią, bomba lotnicza pośrednią przyczyną naszego egonu. Niektórzy ludzie na kojach wyglądają już, jakby zasnęli na wieki: cisi, spokojni, ze swoimi trąbami w ustach. Tym, którzy tak czy inaczej leżą już na plecach, wystarczyłoby złożyć ręce.

Czy chcę, czy nie chcę, muszę rozmawiać sam ze sobą: czy nie był najwyższy czas na tę próbę? Poddam cię próbie, mówi Pan, i rozedrę ci dupę aż do najwyższego kręgu szyi, żeby ci przeszło wycie i szczekanie zębami, mówi Pan!

Oto jest znowu: strach, który skądś spomiędzy łopatek wzbiera mi wysoko w przełyku, unosi klatkę piersiową i rozszerza się do tego stopnia, że wypełnia całe ciało. Nawet w penisie czuję strach. Powieszeni, wiem o tym, mają często sztywne prącie. Czy też pochodzi to z czegoś innego?

Dowódca „Bismarcka” myślał jeszcze o swoim führerze, gdy trzeba było wykorkować. I musiał to jeszcze ująć w słowa i nadać jako radiogram: „...do ostatniego pocisku... niezłomni w wierności...”, czy też podobnie wzniosły tekst. To był człowiek na miarę upodobań naszego pierwszego oficera.

Na tego rodzaju okoliczności jesteśmy tu źle przygotowani. Wzniosłe teksty moglibyśmy również układać w tej głębinie, ale nie moglibyśmy ich wysłać. Führer musi zrezygnować z ostatnich słów UA. Tutaj nie starczy nawet powietrza do odśpiewania hymnu narodowego.

Pocziwy Marfels także się skończył. Popełnił błąd, zaokrętowawszy się na „Bismarcka”. Właściwie można się uśmieć. Kolekcjonerowi odznak Marfelsowi brakowało jeszcze odznaki za udział w walce okrętu liniowego. Dlatego musiał pchać się tam, gdzie takie odznaki dawali. Teraz młodociana wdowa może pocieszać się pozostawioną jej w

spadku rupieciarnią.

Co tam się działo, kiedy dostali torpedą w urządzenie sterowe i mogli się tylko kręcić w kółko? Holowniki „Castor” i „Polluks” miały już wyjść z Brestu, ale tymczasem na „Bismarcku” wszystko zostało zamienione w złom i rąbankę.

Dulce et decorum est pro patria... całe te cholerne bzdury!

Langemark! Tym również nas upajali. Obchód Langemarku – musiałem wtedy nauczyć się fragmentu z Bindinga i wygłosić w auli. Jak to tam było? Pomyśleć. Zamknąć oczy... Już mam ten tekst:

„I stało się nieporównywalne: w nocnym natarciu – jednym z niezliczonych – w późnych październikowych dniach roku tysiąc dziewięćset czternastego, wśród już tryskającego wrażego ognia, oblane dzikim żarem zastygłych w czerwony szlif agatu chmur bitewnych, wyskoczyły gromady młodych mężczyzn, jakby ożywione jednym duchem, z bruzd, z płaskiej ziemi, zdecydowane na wszystko, i runęły z potężnym śpiewem na ustach – wyprzedzając innych śpiewających, których porwały z sobą – w śmierć.”

Powinienem był zadeklamować to pierwszemu oficerowi! Tutaj mógłby się delektować: uduchowanie, że tak powiem, w stanie czystym.

W głowie wirują mi teraz patriotyczne wiersze:

I tylko straszny żal...

Bolesny krzyk

Spłynął po spizowych wargach,

Kula przebiła stal,

Po umarłych zabrzmiała skarga...

...Mocno go chwycił,

Głowę mu wraził,

Aż się udusił rycerz

W ognistej mazi...

Szczęście, że nam tyle wbili do głowy, ten cały gnój, który jednak siedzi mocno.

Ma w niebie koronę, za nas zmarł tak młodo,

A nasza miłość jest jego nagrodą.

Czynię wysiłki, żeby wybrnąć z tego chaosu. Daremnie. Poszczególne wersy uciekają

mi. A teraz coś mówi we mnie: „Ephezowie, Philipensowie, Kolossanie, Habakuk...”

Topielec Swoboda nie przedstawiał się szczególnie wzniosie. My jesteśmy przynajmniej porządnie ubrani. W mundurki przewidziane dla załóg okrętów podwodnych. Biała skóra Swobody, jego płomienna czupryna.

Ze złych wizji uciekam znowu do Simony. Wywołuję jej imię niemymi wargami. Raz, drugi, znowu. Ale zakłęcie tym razem nie działa. Simone pojawia się tylko jak na wyblakłych fotografiach, chociaż z całym natężeniem wpatruję się w przeciwległą ścianę.

Naraz zjawia się tam Charlotte zamiast Simone. Jej cyce jak melony, ciężki zad. Jak potrafiła nim kręcić, kiedy opierała się na kolanach i rękach.

Teraz przez zarysy Charlotte przebijają się inne obrazy. Inga w Berlinie. Pomocnica sztabowa Inga. Pokój przydzielony przez komendę dworca. Berliński pokój, właściwie raczej już sala. Nie zapalać światła: brak zasłon zaciemniających. Wymacuję Inę. Rozkładając uda, pozwala mi zapaść się w siebie. „Na miłość boską, nie przerywaj! Rób tak dalej! Tylko teraz nie przerywaj. Tak i tak, i tak!”

Zapłakana twarz Ingi. Jej mokry język na moim policzku. Jej mokre wargi. Nitki śliny, mokre włosy łonowe. Gładzę ręką jej szlamiaste, obrzmiałe wargi sromowe. Drzenie przechodzi jej ciało, jakby była z galarety. Ucisk jej ud. Jej szaleńcza jazda. Wyginanie się, zapadanie, tonięcie, zapach, który wydziela jej skóra.

A ta teraz? To sekretarka z redakcji magazynu ilustrowanego. Te skrócone loczki! Ta z całą pewnością miała sztuczne piersi. Z gumy. Jeśli nie, dlaczego zawsze zatrzymywała ciuchy na sobie? Nie pomogło żadne namawianie: nigdy się nie rozbierała. Przy tym ostra jak brzytwa. Ale zawsze najpierw ta krzątanka. Co zjesz? Kanapki? I zawsze dwie świece. Potem kładła się stopniowo na wznak po wszystkich przygotowaniach. Ale zawsze przy tym ten cały ceremoniał.

W samym środku alarm lotniczy. Reperacja okna tekturą. Elegancki mężczyzna okazuje swą wdzięczność.

Strzępki rozmów pojawiają się we mnie i jak pęcherze gazowe przepływają przez świadomość: „Ty z tą twoją potworną witalnością! Ojciec niebieski... ty nie masz nic innego w głowie!”

Brigitte, ta z turbanem: „J’aime Rambran... parce qu’il a son style!” Minęło parę minut, nim zrozumiałem, że chodzi jej o Rembrandta.

A teraz ta z Magdeburga z brudną szyją i piegami na nosie! Wypełniona do połowy popielniczka ze zużytą prezerwatywą. Cholerne paskudztwo, te pensjonatowe flądry! Całkiem odbiera apetyt. A zaraz po tym to marudzenie: „No, co jest? Chcesz czekać, aż śnieg spadnie?”

Człowieku, co ci? Odprzodkuj wreszcie!” A potem: „No, teraz wolno... nie dam się zajeździć!”

Pojawia się poderwana w pociągu blondynka, którą dla siebie nazywałem „cycastą lilią”. Nie pamiętam nawet nazwy tej zapadłej dziury, w której obchodziliśmy gospody i pensjonaty. Nieufne badawcze spojrzenia, a potem ubolewanie: „Niestety, wszystko zajęte!” Wiedziałem, że długo już nie wytrzymam: czułem już lepką wilgoć między nogami. Automatyczne smarowanie. Diabli, jak to wszystko funkcjonuje! Jeszcze nie było dachu nad głową, ale smarowanie już działało. Za domami, jak okiem sięgnąć, nic tylko płaskie łąki. Żadnych krzaków. Ni cienia możliwości, by szybko zniknąć w zaroślach. Jeszcze teraz ściskają mi się uda, gdy tylko myślę, jak kolejno próbowaliśmy, jeszcze raz i jeszcze raz: „Jest może wolny pokój?” Aż wreszcie, przy samym końcu tej cholernej wsi, dostaliśmy się pod dach. Przekręcić klucz, won z ubraniem i potem już się stało – po raz pierwszy! Jeszcze mieliśmy przecież dwadzieścia cztery godziny.

Niby na szybko obracającej się karuzeli widzę, jak przemyka się półprostytutka z olbrzymimi, zwisającymi piersiami. „Obsługa wojska!” – odpowiedziała mi na pytanie, dlaczego robi to za darmo. Zwykłe posuwanie nie mogło jej rozhuścić. Podpór przodem na rękach i palcach nóg, a potem jak ucieleśniony piorun pionowo z góry – w ten sposób chciała!

Wyraźnie rozróżniam matową szybę, najniższą z trzech w białych lakierowanych drzwiach. Na niej twarz jak zjawia: odepchnięty małżonek na czworakach, który uważał, że go nie widać za matową szybą. „Tylko obejrzyj go sobie... Tak, popatrz na niego, pana Voyeura!”

A opowiadaczka bajek: siedząc na mnie z podciągniętymi kolanami, gadała z całym spokojem dalej, jakby w ogóle nie wiedziała, co się tam na dole dzieje. Nie chciała, żebym się ruszał. Robiła to po dziecięcemu: opowiadała przy tym bajki. Gdzie ja ją poderwałem?

Dwóch nagich dziwek w parszywym pokoju hotelowym w Paryżu nie chcę widzieć. Precz z nimi! Próbuję skoncentrować myśli na Simone. Ale nie potrafię ściągnąć Simone. Natomiast widzę, jak jedna z tych dziwek, siedząc na bidecie, myje się między nogami, tuż pod żarówką bez abażuru. Ta obwisła, blada skóra. Tamta druga nie jest lepsza. Ma na sobie pończochy i przybrudzony, postrzępiony pasek do pończoch. Teraz, wśród gwałtownej gadaniny, z wytartej torby na zakupy wyciąga połówkę już obdartego ze skóry nędznego małego zająca. Przemoczony papier gazetowy klei się do niego ciemnoszarymi plamami. Szyja jest przecięta w połowie. W miejscu przerażania potworzyły się ciemnoczerwone strużki krwi. Ta dziwka, która ciągle jeszcze siedzi na bidecie, twarzą do ściany, i obu rękami ochlapuje się od dołu, przekręca stopniowo głowę i wydaje przenikliwe piski, patrząc na

błękitnobiałe zwłoki zająca. Z zachwytu nad tym łupem zaczyna się jąkać i wybucha przeraźliwym śmiechem. Ta z zającem w ręku ma rude włosy łonowe. Na prawym udzie, tuż obok, klei jej się duży jak dłoń kawałek wilgotnej gazety, w którą owinięty był zając. Jej brzuch trzęsie się od chichotu, trzęsą się również obwisłe piersi.

Podobnie jak wtedy zbiera mi się na wymioty. Mój potasowy pochłaniacz zaczyna natychmiast szeleścić. Muszę postarać się rytmicznie oddychać. Uważać! Myśleć tylko o oddychaniu. Robić to porządnie.

Przede wszystkim nie powinienem zbyt silnie wydmuchiwać powietrza. Przez cały czas spokojnie. Nie śpieszyć się. Ale gdy tak uważam i natężam się, żeby to robić prawidłowo, powstaje zbyt wiele śliny. Nie wiem, jak można opanować gruczoły ślinowe. Gruczołami ślinowymi nie da się komenderować. Mogę sterować rytmem oddechu, ale nie gruczołami. Działają, jak chcą. Nigdy nie ćwiczyłem ich opanowywania.

Gdybyśmy się wcale nie ruszali, nawet małym palcem, zużycie tlenu musiałyby spaść gdzieś w pobliże zera. Leżąc tak całkowicie bez ruchu, nie mrugając nawet powiekami, moglibyśmy z naszymi zapasami powietrza z pewnością wytrzymać sporo dłużej, niż określają normatywy.

Ruchy płuc same w sobie również zużywają tlen. A więc: oddychać całkiem płytko, nie wdychać więcej, niż ciało wymaga dla swoich nie dających się wyłączyć funkcji.

Ale tlen, zaoszczędzony tu w bezruchu, zużyją ludzie, którzy harują na rufie przy zdemolowanych mechanizmach. Uprawiają rabunkową gospodarkę naszymi zapasami. Odbierają nam od ust cały dobry tlen.

Od czasu do czasu z przedziału rufowego dolatuje głucho brzęczenie. Za każdym razem wzdrygam się: w wodzie każdy dźwięk słychać pięciokrotnie silniej. Chłopaki z pewnością robią, co mogą, by uniknąć hałasu. Ale jak tu pracować bezdźwięcznie ciężkimi narzędziami...

Kiedy pomyślę o piekielnym łaskocie w podziemnej stoczni, uświadamiam sobie, że koledzy z rufowego ledwie mogą gdziekolwiek trącić swoimi olbrzymimi ciężkimi kluczami, jeśli nie chcą ściągnąć na nas Tomków!

Podobno nurkowie, którzy zbyt szybko wychodzą z dużej głębokości, topią się we własnej krwi z płuc. To zawsze wydawało mi się obłądne: topić się we własnej krwi. Co to są za związki. Oszołomienie głębinowe, coś takiego również istnieje. Wtedy podobno nie ma się już jasnej świadomości. Człowiek jest jak znarkotyzowany.

Pierwszy oficer wraca z obchodu kontrolnego. Od czasu do czasu musi sprawdzić, czy wszyscy śpiący mają jeszcze ustniki we właściwym położeniu. Jasne włosy przykleiły mu się

do czoła od potu.

Z jego twarzy nie dostrzegam wiele więcej niż tylko kości policzkowe, oczy ma w cieniu.

Głównego mechanika od dawna już nie widzę. Nie chciałbym tkwić w jego skórze. Od tego człowieka za dużo się wymaga. Żeby tylko przetrzymał.

Stary podchodzi po cichu. „Gdy jest już o dwa metry od stołu, coś znowu łomocze na rufie. Wykrzywia twarz jak w przypływie nagłego bólu.

Stary nie ma pochłaniacza. – No, jak leci? – pyta, jakby nie wiedział, że z rurą w ustach nie mogę mówić. W odpowiedzi unoszę tylko lekko ramiona i opuszczam je. Stary rzuca tylko okiem na mesę SP i znika znowu.

Chociaż prawie padam z nóg ze zmęczenia, o śnie nie ma nawet mowy. W mojej pamięci przesuwają się obrazy jak kartki w kartotece. Pojawia się ciotka od siatek do włosów, wytworna ciotka Bella. Christian-Science-Lady, sekciarka Wiedzy Chrześcijańskiej, obmyta wszelkimi świętymi wodami. To był fajny interes: siatki do włosów przybywały w olbrzymich bryłach z Hongkongu. Cetnarami. Ciocia Bella kazała sobie wydrukować eleganckie koperty z przezroczystą szybką i odpowiednimi tekścikami, i siedziała potem z trzema pilnymi myszkami. Wspólnie oddzielały siatki z brył i wsadzały je pojedynczo do jasnioletowych kopert, po czym taka siatka kosztowała już pięćdziesiąt razy więcej niż dotychczas. Ciocia Bella miała przynajmniej tuzin agentów handlowych. Później dowiedziałem się, że z prezerwatywami postępowała dokładnie tak samo jak z siatkami do włosów, ale to działo się późnym wieczorem. Często sobie wyobrażałem, jak skoncentrowana i pilna siedziała przed kupą bladorożowych prezerwatyw niby przed górą baranich kiszek, zgrabną dłonią sortowała ten bałagan i umieszczała pojedyncze sztuki w swoich małych kopertach. Faber nazywała się ciocia Bella: Bella Faber. Jej pan syn, Kurcik Faber, wyglądał jak trzydziestoletni chomik. To on kierował kolumną agentów, hasłowych. Fryzjerzy byli głównymi klientami. Wujek Erich, mąż cioci Belli, ustawił tymczasem automaty. W klozetach parszywych knajp. „Trzy sztuki jedna marka”. Z każdym właścicielem knajpy wuj Erich musiał wypić jednego podczas swoich jazd w celu napełnienia automatów. A potem znowu na rower, w jednej obciuchanej teczce markowe monety, w drugiej prezerwatywy, i znowu dalej, wypić jednego, wyjąć pieniądze z automatów, uzupełnić prezerwatywy, wypić jeszcze jednego. Nie wytrzymał tego długo, poczciwy wuj Erich, ze srebrnym rowerowym spinaczem przy nogawce spodni, spinaczem, którego nigdy nie zdejmował: nawet w domu nie. Zleciał z roweru między dwoma stanowiskami automatów i było już po nim. Policja go sprzątnęła. Policjanci byli zdumieni liczbą jednomarkowych monet w jednej teczce i

prezerwatyw w drugiej.

Naraz widzę, że drugi oficer nie ma już w ustach ustnika pochłaniacza. Ile już czasu minęło od chwili, gdy oddycha bez pochłaniacza? Czy ja sam byłem przez jakiś czas nieprzytomny? Potrząsam nim, lecz w ten sposób wywołuję tylko jakieś mruczenie. Dopiero gdy szturcham go mocniej, wzdryga się i patrzy na mnie przerażony, jakbym był jakąś straszliwą zjawą. Mijają sekundy, nim przychodzi do siebie, zmieszany sięga po swój ustnik i skrętnie, jakby chciał mi pokazać, jak to dobrze potrafi, zaczyna go ssać. Zaraz zasypia znowu.

Nigdy nie pojmem, jak mu się to udaje. Gdyby tylko udawał, że śpi, ale nie, natychmiast zapadł w głęboki sen. Brakuje tylko, żeby chrapał! Nie mogę oderwać spojrzenia od obrzmiałego ze snu, bladego oblicza baby-oficera. Zazdrość? Czy też jestem rozczarowany, że nic nie mogę mu przekazać spojrzeniami i gestami?

Już nie mogę dłużej wytrzymać na kanapie. Do tego wszystkiego zaczynają mi drętwieć ręce i nogi. A więc wstać i do centrali.

W przedziale radiowym ciągle jeszcze reperują. Obaj matowie wkręcili sobie silną żarówkę i pracują bez pochłaniaczy. Chyba nie mogą nic zdziałać tym majsterkowaniem. Zegarmistrzowska robota. I z pewnością brakuje również potrzebnych części zapasowych. – Nie da się naprawić środkami pokładowymi – słyszę głos Herrmanna. Zawsze to samo: „Nie da się środkami pokładowymi...” Jakbyśmy mieli wybór.

Lampy awaryjne w centrali dają brzydkie światło, które tylko z trudem przenika przez gęste powietrze. Do ścian nie sięga. Pozostają w mroku. Trzy czy cztery zjawy tyrają przy przedniej ścianie, schylone jak górnicy na przodku. Oparty o stół nakresowy, odwrócony ode mnie Stary wpatruje się w mapę morską. W ciemnym rosolu ciągle jeszcze leżą poszczególne części maszyn. Także na rozdzielaczach wody zaburtowej i zęzowej widzę części, które do nich nie należą. Prawdopodobnie są to kawałki pompy głównej. W głębi stożek światła latarki przesuwają się po armaturze i zaworach. Z trudnością mogę rozróżnić w mroku blade oko manometru. Wskazówka stoi na dwustu osiemdziesięciu. Wpatruję się w nią nieruchomo, jakbym sam nie mógł w to uwierzyć: dwieście osiemdziesiąt. Tak głęboko nie był dotychczas żaden okręt!

Robi się coraz zimniej. No tak, zbyt wiele ciepła z pewnością nie wypromieniowujemy, a o ogrzewaniu nie można nawet myśleć. Jak zimno może być na zewnątrz?

Gipsaltar, mówi coś we mnie: Gibraltar – Gipsaltar – gipsowy ołtarz.

Teraz, Bogu dzięki, główny mechanik wraca z przedziału rufowego. Znowu porusza

się zwinnie jak zwykle. Czyżby odniósł jakieś zwycięstwo? Stary zwraca się ku niemu, coś mruczy.

Jakkolwiek wyteżam słuch, mogę zrozumieć tylko, że wszystkie przecieki zostały zatrzymane.

Ani śladu zadowolenia na wyblakłej twarzy Starego.

– Przed nocą tak czy inaczej nie możemy się wynurzyć!

Na to mogę tylko skinąć głową. Najchętniej wtrąciłbym teraz: A czy w nocy będziemy mogli?

Boję się, że dowódca i również główny mechanik mają więcej nadziei niż pewności.

Człowiek, który właśnie przechodził przez centralę do przedziału dziobowego, słyszał bez wątplenia, co Stary powiedział. Nie zdziwiłbym się, że dowódca sformułował zdanie z czasownikiem „wynurzyć” tylko dla uszu tego człowieka, by teraz opowiadał w przedziale dziobowym: – Stary właśnie mówił coś o wynurzeniu.

Ciągle nie jestem pewny, ile w pewnej sobie minie Starego jest aktorstwa, a ile przekonania. Jeśli wydaje mu się, że go nikt nie obserwuje, wygląda o wiele lat starzej: pomarszczony, wszystkie mięśnie twarzy obwisłe, zaczerwienione powieki, opuchnięte i opuszczone do połowy. Całym ciałem wyraża wtedy rezygnację. Teraz, opierając się plecami, trzyma się prosto: ramiona skrzyżowane na piersiach, głowa lekko cofnięta do tyłu, jakby pozował rzeźbiarzowi. Nie widzę nawet, czy oddycha. Stoi tak sztywno i nieruchomo, że pająki mogłyby go osnuć. Ale pajaków nie zabraliśmy. Nigdzie na okręcie nie ma pajęczyn. Kto wie, dlaczego pająki się tu nie trzymają. Prawdopodobnie jest im u nas za wilgotno i raz za ciepło, a potem znowu za zimno. Te męczące zmiany odpowiadają widocznie tylko naszej musze. Musi to być szczególnie odporne stworzenie. Może samiec muszy? Już mi się czasem wydawało, jakbyśmy mieli dwie muchy w naszej rurze, ale teraz w to nie wierzę. Nie uwierzę, dopóki nie zobaczę dwu much naraz. Nasz muszy samiec może być przecież wyrafinowanym ścierwem i tylko udawać swoje rozdwojenie, tak jak żołnierze podczas wojny burskiej. Tory jego lotów nie dadzą się wysledzić. Kiedy się go wykryje w centrali, może zaraz potem udawać starego gościa mesy.

Przycupnąłem w pierścieniu przedniego wjazdu, nie uświadamiając sobie tego nawet.

Nagle nade mną twarz Starego. Czy coś powiedział? Muszę robić wrażenie pomyłonego, kiedy się zrywam, gdyż Stary mówi uspokajająco: – No, no, no. – Potem ruchem głowy każe mi sobie towarzyszyć do rufowego. – Musimy się również pokazać na rufie.

Wyjmuję gumowy wąż, połykam ślinę i wciągam haust powietrza przez usta. Bez

słowa idę za Starym. Dopiero teraz widzę, kto siedzi na skrzyni z mapami. Turbo. Jego głowa zwisa tak bezwładnie na piersi, jakby miał złamany kręgosłup. Teraz ktoś wychodzi naprzeciwko nas: Isenberg z centrali. Zatacza się z wyczerpania jak pijany. W lewej pięści trzyma długie metalowe listwy i kable elektryczne, w prawej wielkie szczypce do rur, które podaje komuś siedzącemu na podłodze.

Stary zatrzymuje się na wysokości spustoszonego stanowiska steru głębokości i obserwuje ponurą scenę. Ten z centrali jeszcze nie zauważył. Nagle jednak, gdy chlupot moich butów ściąga jego spojrzenie ku nam, wyprostowuje się, usiłuje stanąć prosto, jego usta otwierają się i zamykają znowu.

– No, Isenberg? – mówi Stary. Ten przełyka, ale nie wydobywa z siebie ani słowa.

Stary podchodzi bliżej z boku i kładzie mu swoją prawicę na ramieniu, tylko na sekundę. Głuchaczek rozkwita pod tym dotykiem, a teraz nawet wykrzywia twarz w błogim uśmiechu. Stary parę razy kiwa głową i ciężko rusza dalej.

Wiem, że marynarz z centrali za naszymi plecami wymienia teraz spojrzenia ze swymi ludźmi: Stary! Nasz Stary się trzyma!

W mesie P płyty podłogi są nadal odsunięte. Ciągłe jeszcze się pracuje przy baterii II. Albo pracuje na nowo. Jakaś twarz, umorusana potem i olejem, podnosi się jak ze scenicznej zapadni. Po szeroko przyciętej brodzie rozpoznaję mata elektryka Pilgrima. Znowu niema gra: przez dwie czy trzy sekundy Stary i Pilgrim wymieniają spojrzenia. Potem Pilgrim uśmiecha się całą twarzą w ciemne smugi. Stary wydaje tylko z siebie pytające: – Nooo? – Potem kiwa głową, a Pilgrim również pilnie kiwa w odpowiedzi. Także i on jest pocieszony.

Na rufę trudno przejść. Zwinny Pilgrim próbuje przesunąć kilka płyt w ten sposób, żeby Stary miał miejsce na stopy.

– Zostaw – mówi Stary i trawersuje jak alpinista, przyciskając brzuch do kraty koi, po wąskiej listwie w kierunku rufy. Ja mam wybór i przyjmuję pomoc Pilgrima.

Właz do kambuza stoi otworem. W kambuzie jest wysprzątane. – Pierwszorzędnie – mruczy Stary. – Należało się tego spodziewać.

Również następny właz do siłowni diesli jest otwarty. Zazwyczaj, kiedy działają diesle i zasysają powietrze, z powodu podciśnienia w siłowni właz trzeba otwierać całą siłą. Ale tętniące dotychczas serce naszego okrętu jest przecież martwe.

Słabe światło latarek, do którego oczy szybko się przyzwyczajają. Mój Boże, jak tu teraz wygląda! Metalowe chodniki zostały usunięte. Błyszczące płyty podłogowe również. Teraz dopiero uświadamiam sobie, jak głęboko sięgają diesle. Między ich fundamentami rozróżniam chaos ciężkich części maszyn – wanny olejowe, narzędzia, uszczelki. To już nie

jest maszynownia, tylko rzeźnia. Wszystko ocieka czarnym smarem, to wypływająca czarna krew maszyn. Obrzydliwe kałuże potworzyły się na wszystkich płaszczyznach. Kłębki pakul poniewierają się wszędzie. Także strzepy gałganów, zabrudzone pakunki, skrzywione kawałki rur, azbestowe płyty z czarnymi odciskami palców, tłuste śruby i nakrętki.

Szepty, głuche uderzenia jakiegoś narzędzia.

Johann, szepcząc ze Starym, pracuje jednocześnie olbrzymim kluczem do śrub. Nie spodziewałem się, że mamy tak ciężkie narzędzia na pokładzie. Ruchy Johanna są dokładnie odmierzone, nie mijają się z celem, ręce mu nie drżą.

– Belki wsporników trzymają dobrze! – słyszę.

Słowo „belki” irytuje mnie znowu. Drzewo między tą stalą? Zagroda belkowa – ta owszem, występuje w słowniku marynarskim. Ale co jeszcze jest z „belkami”? Woda nie zna belek... Belki, belka... belka w oku.

I rzeczywiście widzę belki. To kantówki, mniej więcej dwanaście na dwanaście centymetrów. Są unieruchamiane klinami jak stemple w kopalni i dokładnie według tej samej metody. Zwyczajna ciesielska robota między stalą i żelazem! Gdzie tkwiło to drewno? Nigdy nie widziałem belek na pokładzie.

Nie wiem, skąd bierze się spokój Johanna. Zapomina po prostu, że mamy nad sobą dwieście osiemdziesiąt metrów wody i że niedługo skończy się zapas tlenu? Stary patrzy tu i tam. Przykuca i klęka, żeby bardziej zbliżyć się do ludzi, którzy poniżej, na wysokości płyt podłogi, harują w pozach fakirów. Nie wydaje z siebie prawie żadnego tonu, tylko troszkę pomrukuje, dodając swe zwykłe, przeciągnięte „Nooo”.

Ale spojrzenia morusów z ich wąskich szybów, kierujące się na Starego, są takie, jakby był cudotwórcą. Wiara ludzi w zdolność Starego do wyciągnięcia nas stąd musi być bezgraniczna.

Ze szczególnie podkreślaną powolnością, ruchami, które są tak dokładne, jakby je dzielił na tempa, Stary przechodzi przez części maszyn.

W rufowej części przedziału diesla w świetle latarek można rozpoznać kilku ludzi w poskręcanych pozach przy fundamentach prawego silnika. Ucinają oni duże uszczelki.

– Jak coś takiego w ogóle wygląda? – pyta Stary półgłosem i z ciepłą intonacją, jakby dowiadywał się o zdrowie żony i dzieci.

W kącie między jego wyciągniętym ramieniem a ciałem rozpoznaję głównego mechanika. – ...wręgi popękały tuzinami! – słyszę, jak szepcze. – ...nigdzie nie można podejść!

Jego twarz jest teraz przekontrastowana w świetle latarki. Potworne zmęczenie

położyło mu zielonkawę półkola pod oczami. Oczy błyszczą gorączkowo, bruzdy na twarzy pogłębiły się. Główny mechanik wygląda, jakby przez noc postarzał się o dziesięć lat.

Tułowia nie widzę. Tylko tę jaskrawo oświetloną twarz. Wzdrygam się, gdy ta blada, obramowana brodą głowa Holofernesa mówi znowu: – Przewody wody chłodzącej również zamienione na złom. I to dość gruntownie!... Spójnie... prawy diesel, panie kapitanie... prawdopodobnie... całkiem nie do użycia... nie da się środkami pokładowymi... inaczej całkiem siądzie... nie ma trymu... łożysko wału...

Dowiaduję się, że coś tam da się złączyć znowu tylko ciężkimi młotami. Dowódca i główny mechanik są zgodni, że praca ciężkimi młotami nie wchodzi w rachubę.

Znowu głos z dołu: – Bogu dzięki... pasuje... już na pół działa... Cholerny kramik... to robota dla zegarmistrza...

Stary burczy: – Pasuje pierwszorzędnie... to się zrobi! – I zwracając się do mnie, jakby miał mi złożyć jakieś bardzo poufne oświadczenie, jednak tak głośno, że wszyscy mogą usłyszeć jego szept: – To bardzo dobrze, jak się ma właściwie wyszkolonych specjalistów na pokładzie!

Zapaskudzona siłownia elektryczna przeraża mnie tak samo jak przedział diesli: to już nie jest sterylnie czysta elektrownia, w której wszystkie części silników są ukryte pod stalowymi pokrywami. Teraz obudowę zerwano, usunięto płyty podłogi, obnażając wnętrzości. Także i tutaj walają się zatłuszczone pakuły, kawałki drewna, narzędzia. Również kliny, kable, latarki, druciana siatka. I ciągle jeszcze woda na dole. Ten widok ma w sobie coś obscenicznego. Wygląda na pohańbienie. Mat elektryk Rademacher leży na brzuchu. Tętnice jego szyi nabrzmiały z wysiłku. Próbuje olbrzymim kluczem dociągnąć nakrętki fundamentów.

– Mnóstwo szkód w ogródku! – mówię.

– Szkody w ogródku to dobre określenie – mówi Stary. – Zaraz przyjdzie taksator, obejrzy zdeptaną sałatę i ureguluje należność z kieszeni na tyłku, bez biurokracji!

Rademacher słyszy go i usiłuje się poderwać, ale Stary przyciska go znowu. Potem kiwa głową i zsuwa czapkę na kark. Rademacher rozpromienia się.

Wykrywam jakiś zegar: godzina dwunasta. Więc musiałem jednak parę razy zasypiać. Wkrótce czas na obiad. Jak ten zegar przetrzymał detonację! Moje spojrzenie pada na pustą butelkę. Pragnienie! Skąd dostanę coś do picia? Ile czasu minęło, kiedy coś piłem? Głodny nie jestem. Wprawdzie mam pusty brzuch, ale nie czuję głodu. Za to jednak to piekielne pragnienie.

Tam stoi jakaś butelka, wypełniona do połowy. Ale nie będę taki, żeby wypijać sok

Rademacherowi.

Stary stoi sztywno jak kołek i дума, patrząc na pokrywę rufowego aparatu torpedowego. Czyżby podsumowywał?

Nagle pojawia mi się wspomnienie włoskiego kierowcy autobusu pocztowego, z którym, gdy miałem dwadzieścia lat, chciałem wjechać z doliny ze swoimi nartami na Halę Seiserską. Podobnie jak ci chłopcy był zabrudzony smarem aż powyżej łokci. Przeprowadzał, jak mi się zdawało, gruntowny remont silnika. A za dwie godziny mieliśmy ruszyć. Prawda była! powiedziałem sobie. Jednak cud się stał... To powinienem powiedzieć Staremu! Ale teraz będzie trudno. Deprymująca sceneria: harujący na brzuchu Rademacher i zeszywniały Stary!

Wreszcie przypomina sobie o mojej obecności, odwraca się i mruczy: – Chodźmy z powrotem. – A więc jeszcze raz uciążliwa droga wśród potępionych, nad którymi trzeba się uzalić i ich pocieszyć! Dopiero przez powtórzenie sztuka teatralna wbija się w pamięć.

Teraz Stary zachowuje się tak, jakby nic nie dostrzegął, jakby wszystko było w porządku. Parę razy lekko skłania głowę i już jesteśmy znowu w centrali. Podchodzi do pulpitu.

Pomarańcze! Oczywiście: mamy przecież pomarańcze z „Wezery”! W przedziale dziobowym stoją dwie skrzynie pomarańcz, dojrzałych pomarańcz. Grudzień: najlepszy czas na pomarańcze! Czuję, jak mi ślina idzie do ust. Jednak gardło mam wypełnione zbyt wielką ilością ciągliwej flegmy. Cała jama ustna jest na pół wyschniętym szlamem. Gruczoły ślinowe nic na to nie poradzą. Lecz z pomarańczami to wszystko powinno przejść.

W mesie SP nie widać nikogo. Wszyscy mechanicy są na rufie. Starszy sternik ostatnio był w centrali. Gdzie się jednak podziewa bosman okrętowy?

Próbuję możliwie cicho otworzyć właz do dziobowego. Mało światła – jak zwykle. Jedna jedyna słaba lampa. Trwa dobrą minutę, zanim w tym grobowym mroku potrafię rozeznaczyć się w scenerii: wszyscy są na kojach lub w hamakach i drzemią. Również na deskach podłogi, prawie aż do samej grodzi, leżą jacyś, ciasno obok siebie, jak clochardzi, którzy chcą się nawzajem ogrzać.

Nigdy jeszcze przedział dziobowy nie widział tylu sfloczonych ludzi. Nagle uprzytamniam sobie, że tu jest nie tylko wolna wachta, lecz również ci lordowie, którzy teraz właśnie mieliby wachtę. Wszyscy tutaj leżą – a więc podwójna obsada.

Stożkiem światła z latarki obmacuję ciała. Wygląda tu jak na pobojuwisku. Gorzej jeszcze: jak po ataku gazowym. Nasi ludzie leżą w półmroku, jakby nagle padli, zwijając się w bólach, gdy maski nie mogły ich ochronić przed nowym gazem, zastosowanym przez

nieprzyjaciela.

Uspokajam się, słysząc oddech i głośnie chrapanie śpiących.

Prawdopodobnie nikt by nie spostrzegł, gdyby główny mechanik odłączył dopływ tlenu. Tak samo spokojnie spaliby dalej z tymi ssawkami w gębach i pochłaniaczami potasowymi na brzuchu. Spij, moje dziecię, zaśnij... Zasnęli na wieki za naród i führera...

Tam się ktoś porusza zgarbiony? To Hacker, mat mechaników torpedowych. Ostrożnie przełazi przez ciała, jakby szukał upatrzonego. Hacker musi czuć i uważać, żeby nikomu nie wypadł z ust wąż pochłaniacza.

Teraz szukam, gdzie postawić nogę. Muszę ją umieścić między ciałami. Nawet na moją stopę nie ma tu miejsca. Muszę wymacywać odstępy, wsuwać stopę jak klin między powyginane ciała i uważać, żebym nie zaplątał się w jakimś wężu pochłaniacza jak w pętli.

Pomarańcze muszą być całkiem z przodu. Wreszcie wymacuję skrzynię i owoc. Ważę go w rękę: ciężki i duży. Przełykam. Teraz nie mogę już czekać: tak jak stoję, obiema nogami wśród tułowi, ramion i nóg, wyciągam ustnik i wbijam zęby w grubą skórę. Dopiero za drugim ugryzieniem docieram do mięszu. Ssąc i ciamkając, wchłaniam w siebie sok. Mnóstwo tego soku spływa mi kącikami ust, ścieka na śpiących. Jakie dobrodziejstwo! Och, jakaż ucztą! Powinienem był już dawno o tym pomyśleć.

Koło mojej stopy ktoś się porusza. Czyjaś dłoń chwyta mnie za łydkę. Przerazam się, jakby chwycił mnie jakiś polip. W tak słabym świetle nie mogę nawet zobaczyć, kto to jest. Jego twarz podnosi się ku mnie: straszliwy ryj lemura. Tak więc, wstając w półmroku, ten człowiek wystrasza mnie śmiertelnie. Ciągle nie mogę jeszcze rozpoznać, kto to jest: Schwalbe czy Dufte? Jąkam się: – Cholernie dobre te pomarańcze! – Ale odpowiedzi nie ma.

Ciągle jeszcze przełazący przez śpiących Hacker przedostaje się bliżej, wyjmując ustnik i burczy: – Nie ma dobrej akustyki. – W świetle mojej latarki widzę długie nitki śliny na jego brodzie. Oślepiiony zamyka oczy.

– Przepraszam.

– Szukam kuka – szepcze Hacker.

Wskazuję ciemny kąt przy grodzi: – Tam... tam powinien być kuk!

Hacker balansuje nad dwoma śpiącymi, pochyla się i mówi półgłosem: – Dalej, wstawaj, wstawaj, Katter! Wstawaj i ruszaj się. Ci z rufy potrzebują coś wypić.

W mesie oficerskiej nic się nie zmieniło. Drugi oficer nadal śpi, siedząc w kącie. Z postrzępionych książek wyjmuję jedną i zmuszam się do czytania:

„Gaston de Vernon przebywał teraz wiele u Johna White’a, zaprzyjaźnili się bardzo

dzięki tajemnicy, którą wspólnie dzielili. Cinty Moreny nie spotkał nigdy podczas swoich różnorodnych wędrówek po mieście. To było mu przyjemne...”

Obmacuję wiersze oczami. Prześlizgują się w zwykłym tempie z lewa na prawo i rejestrują każdą sylabę, każdą poszczególną literę, ale tymczasem moje myśli zasypiają. W mózgu tworzą się błędne połączenia. Zaczynają mi się nasuwać całkiem inne teksty niż ten drukowany, który mam przed sobą: zatopione okręty... co z nimi będzie, czy zatopiona w Atlantyku armada okrętów podwodnych wróci któregoś dnia na fali przyływu między muszlami i wodorostami, czy też ludzie, zakonserwowani jak w spirytusie, przeleżą tu następnych dziesięć tysięcy lat? A jeśli któregoś dnia zostaną wynalezione środki, by przeszukać dno mórz i podnieść zatopione okręty? Jak będziemy wyglądać, gdyby okręt nasz został wyciągnięty i rozcięty?

Właściwie dla ludzi z ratownictwa okrętowego powinniśmy przedstawiać cudownie pokojowy obraz. W innych zatopionych okrętach z pewnością wygląda gorzej. Chłopaki prawdopodobnie są kurczowo poplątani albo pływają napuchnięci między blokami diesli. Jesteśmy wyjątkowym wypadkiem. Leżymy na suchem.

Nasze konserwy z pewnością będą jeszcze jadalne. Nie ma tlenu, więc nie ma rozkładu. A poza tym one są szczególnie trwałe, specjalny gatunek dla okrętów podwodnych. Podniesienie okrętu musiałoby się opłacić. Mamy na pokładzie mnóstwo użytecznych rzeczy. Tylko banany, ananasy, pomarańcze – te z pewnością by nie dotrwały.

A my sami? Jak dalece ulegają rozkładowi zwłoki bez tlenu? Co stanie się z pięćdziesięcioma pęcherzami moczu, z frykadela i sałatką ziemniaczaną w naszych kiszkiach, kiedy zabraknie tlenu? Czy również zostanie powstrzymany proces fermentacji? Czy zwłoki z okrętu podwodnego będą suche i kruche jak sztokfisz albo biskupi, których można oglądać wysoko nad Palermo w Piana degli Albanesi? Tam leżą pod ołtarzami w szklanych skrzyniach, zdobni w brokaty, kolorową sztuczną biżuterię i perły: brzydki, ale trwali. Jest jednak pewna różnica: biskupów wypatroszono. Mimo to śmierdzą jak dorsze nawet przez swoje szklane szyby, ilekroć tylko parę dni pod rząd pada deszcz.

Przełykam, przyciskam wargi do ustnika i czytam dalej:

„Silniej niż w czasie swego zakochania się w Cincie widział w duchu ciągle na nowo jasnowłosa Franię Mallentin. Pewnego dnia spotkał u White’a ładną jasnowłosa kobietę, młodą wdowę po nowojorskim lekarzu. Była to kuzynka White’a, miała bajecznie gęste jasne włosy i niebieskie oczy.”

Nagle przychodzi mi na myśl nasza mucha pokładowa. Widzę okręt podniesiony po paru latach, pokryty ciemnozielonym porostem, wszędzie grube bryły muszli. Właz kiosku

zostaje wyłamany i z wnętrza wylatują miliony wypasionych much. Powiększone zdjęcie milionów larw jak na „Pancerniku »Potiomkin«”, które rozpełzają się przez próg wjazdu. Miliony wszy łonowych pokrywają jak łupież pięćdziesiąt trupów załogi.

Bądź rzeczowy, mówię do siebie. Ile powietrza potrzebują muchy, jak długo wszy mogą egzystować bez tlenu? Z pewnością potrzebują go niewiele i potrafią jeszcze dzielnie się rozmnażać, gdy dla nas już go nie starczy.

Poruszam się: dalej, czytaj!

„Nie wykazywała żadnego podobieństwa do Frani Mallentin, ale jemu się tak wydawało, i dlatego podobała mu się Ellen Hunter. Również on jej się podobał. White po trosze bawił się w opatrznosc, jego żona pomagała mu przy tym...”

Naraz rozwesela mnie absurdalność tej wyteżonej lektury. Mógłbym roześmiać się głośno, ale ze ssawką w ustach to się nie uda. Upuszczam książczynę i bełkoczę bezgłośnie do siebie:

*Tu leży Anselm Feuerbach,
Coś niecoś w życiu namalował.
Daleko od kraju, ach!
który tak nisko go szacował.*

Znowu spostrzegam, że rymy bardzo mi pomagają w wyczekiwaniu. Istniało mnóstwo wierszy, którymi jako dzieci straszylimy dorosłych. Ano, zobaczymy:

*Chciał, ale nie mógł, choć go w ciężkim znoju
wpychał palcami, biegał po pokoju;
chciał, ale nie mógł, bo się wciąż wymykał
z małej dziurki za duży guzik kołnierzyka.*

A potem wiersz o Mamusi, która „...choć ty nie chcesz, ona musi”.

Próbuję teraz „tamtamtam”, ale chociaż się wysilam, nie mogę sobie przypomnieć całego wiersza.

– Szarówka! – słyszę z centrali. Ale jaka: szarówka poranna, wieczorna? Wszystko mi się płące.

Słyszę zbliżające się szepty. Zjawia się Stary, a za nim główny mechanik. Główny

mechanik składa sprawozdanie. Wydaje się, jakby mu przybyło sił. Jest jak bokser, który się pozbiarał na nowo, chociaż w poprzednich rundach nieomal go wyliczono. Całkowicie tajemnicze, jak on to robi. Wraz z drugim mechanikiem i swoimi ludźmi nie odpoczywał ani minuty. Teraz razem ze Starym sporządza coś w rodzaju bilansu. Słyszę, że sprężarki umocowano drewnianymi klinami. Grube jak kciuk śruby, którymi były przytwierdzone do podstaw, fala podmuchu po prostu zerwała. Od sprężarek wiele zależy: dostarczają powietrza do szasowania balastów. Oba peryskopy są definitywnie nie do użytku. Na razie nic się nie da zrobić. Zbyt skomplikowane...

Widzę, że czif przy raporcie potrafi osiągnąć coś w rodzaju pełnego nadziei spojrzenia.

Czy nasze szanse się zwiększyły? Nie słucham już uważnie. Chcę tylko wiedzieć, czy główny mechanik jest pewny, że może wycisnąć wodę za burtę i oderwać okręt od dna. Co mnie obchodzi peryskop! Moje wszystkie pragnienia zredukowały się do zwykłego osiągnięcia powierzchni morza. Bóg wie, co nastąpi potem. Najpierw musimy do góry. Nic, tylko do góry!

Ale o pompowaniu i szasowaniu nic nie słyszę. Co warte są wszystkie inne osiągnięcia? Jaki możemy mieć pożytek z naszych silników i agregatów, jeśli się nie oderwiemy od dna?

Nagle znowu słychać szumy. Powoli się zbliżają. Bez wątpienia śruby okrętowe. Stają się coraz głośniejsze.

– Dokoła szumy śrub – słyszę meldunek.

Co to znaczy: dokoła? Czyżby cały konwój zasował nad nami?

Szumy śrub brzmią jak jeden głęboki, mrużący łoskot. Z całą wyrazistością można rozróżnić rytmicznie przybierające i słabnące szuflowanie i warczenie, które często przemieszcza się, potem traci rytm, staje się szelestem, a wtedy zaczyna pobrzmiwać ostre „wicziwicziewicz”. Stary wywraca oczy do góry, jakby naśladował lokatora, który złości się na hałasy nad głową.

Bezradnie rozglądam się dokoła. Nic tu po mnie. Mogę się tylko wcisnąć głębiej w kąt. Natychmiast odczuwam każdą kosteczkę w ciele. Jestem obolały i rozbity. To musi pochodzić od podawania wiader: rodzaj kaca mięśniowego z gorączką.

Stary mówi bez skrępowania, pełnym, burczącym głosem. Najpierw mnie to przeraża, potem staje się jasne: w takim łoskocie na górze możemy spokojnie mówić głośno. Nikt nas nie podsłuchuje. A teraz zwyczajny, chrypliwy, burczący głos Starego brzmi jak pociecha.

– Duży ruch! – słyszę go. Stary udaje cynicznego jak zawsze. Ale mnie nie oszuka: widziałem, jak obu rękami rozcierał sobie plecy, i słyszałem, jak przy tym jęczał. Musiał się

piekielnie boleśnie uderzyć. Od swojego upadku kładł się tylko na krótkie kwadransy.

Główny mechanik nie znosi hałasów tak dobrze jak Stary. Gdy teraz coś głucho łomocze, głos utyka mu w gardle, a on sam rzuca spojrzenie na boki. Nikt nic nie mówi. Niema gra.

Życzę sobie, żeby to wszystko już się skończyło, zaś aktorzy ze swymi codziennymi twarzami zeszli ze sceny.

Wreszcie przynajmniej łoskot śrub ustaje. Stary patrzy mi w twarz i z zadowoleniem kiwa głową, jakby to on sam uciszył ten hałas, żeby mi zrobić przyjemność.

Główny mechanik łyka pośpiesznie sok z butelki i znika znowu. Wreszcie przezwyciężę moje opory i po prostu zapytam Starego, jak wyglądają nasze sprawy. Ale nagle on się podnosi z wykrzywioną bólem twarzą i rozstawiając szeroko nogi, znika w przedziale rufowym.

Nie przychodzi mi do głowy nic lepszego, jak tylko po chwili również przenieść się w kierunku rufy. Może mi się uda wciągnąć Starego do rozmowy w centrali. Ale już go nie widać. Musiał więc pójść dalej. Mam niedobre przeczucie, że na rufie coś jest nie w porządku. Powinienem być uważniej słuchać. Zwalczyć mgłę w czaszce. Uważać! Nie pozwolić, by coś mi umknęło! Samemu wykryć, czego mi się nie mówi!

Ale senna mgła w głowie robi się gęściejszą, chce mnie całkowicie ogarnąć. Ach tak, najlepiej będzie, kiedy przeniosę się na moją koję, Człowiek musi przecież spać. To siedzenie nie ma sensu.

Drogę do mesy P wymacuję jak w transie. Ale teraz trudności: nigdy nie próbowałem z pochłaniaczem na brzuchu wykonywać tej akrobacji, jakiej wymaga dostanie się na koję. Zadzierając nogę, po paru bolesnych skrętach wreszcie wywindowuję się na górę. A teras: rozpiąć koszulę, poluzować pas, rozpiąć koszulę jeszcze dalej, wysklepić brzuch i znowu go opuścić, wyciągnąć się, zrobić wydech, leżeć jak w futerale, jak na marach, z pochłaniaczem jako butelką ogrzewającą brzuch. Wpatruję się w sufit tuż nad moją głową: biało lakierowane poprzeczne paski stali, rzędy nitów! Na główkach nitów zebrała się skondensowana woda, na szczęście nie w wystarczającej ilości, by opaść w dół. Są to dopiero półkrople – krople Damoklesa. Przez kółka zasłony, jeśli opuszczę głowę, widzę na suficie nad włazem, między wieloma rurami, które przebiegają przez pomieszczenie, pomalowaną na szaro żelazną obudowę głośnika. Głośnik jest niemy. Nie słyszę nawet zwykłego trzeszczenia i warczenia. Nieczynny! Martwy! Nie ma czego żałować. Z optymistycznymi zapowiedziami tak czy inaczej nie ma się co liczyć. Umilkł hałas silników, nic nawet nie zabrzączy. Ani słowa. Nawet chrząknięcia, chociaż nie jestem przecież sam w mesie. Do tej ciszy ciągle jeszcze się

nie przyzwyczaiłem. Ma w sobie coś przenikliwego.

Moja świadomość rozsypuje się. Czy to sen mnie ogarnia, czy też zapadłem w rodzaj omdlenia?

Kiedy znowu przychodzę do siebie, jest godzina siedemnasta. Czasu pokładowego. Wiem o tym z ręcznego zegarka Isenberga.

Pozostaję jeszcze na koi. Granica między jawą a snem zaciera się znowu. W moim półśnie huczą bardzo głucho detonacje. Zamiast się zerwać, usiłuję zamknąć się jeszcze ciaśniej w powłoce nieświadomości. Silny łoskot przenika ją jednak. Z zamkniętymi powiekami, ale już obudzony, przysłuchuję się. Detonacje brzmią jak przeciągłe grzmoty odległej burzy. Niewątpliwie: to są bomby głębinowe. Na postrach? Albo może Tomki obrzucają inny okręt? Ale czy na górze nie jest jeszcze jasny dzień? W jasny dzień nikt nie będzie próbował się przerwać. A więc co? Manewry? Czy Tomki po prostu wynajdują jakieś zajęcia dla swoich ludzi?

Wyteżam słuch, próbuję zlokalizować te grzmoty: nadchodzą z różnych kierunków. Prawdopodobnie działają tam małe jednostki, które ćwiczą okrążanie. Teraz znowu robi się cicho. Wychyłam się z koi i patrzę do centrali.

Hydroakustyk melduje szumy śrub, i to wielokrotne, w różnych kierunkach. Jak to: przecież sprzęt podsłuchowy był zniszczony? Ale przypominam sobie, że Stary miał już słuchawkę przy uchu, kiedy się koło niego przeciskałem. A więc szumonamiernik znowu funkcjonuje. Możemy odbierać akustyczne przekazy o nieprzyjacielu. Czy to zysk w naszym położeniu?

Przeciek ropy! Z pewnością prąd przeniósł go już tak daleko, że ci na górze nie mogą się zorientować, w którym miejscu ta ropa wypłynęła. Prawdopodobnie, miejmy nadzieję, był to jeden jedyny potężny wytrysk, a potem koniec. Ropa na szczęście nie pływa wiecznie, tak jak korek. Rozpełza się i rozdziela. Wiskozowatość – czy tak to się nazywa? Znowu słowo, którym mogę się zajmować. Szepczę je niemal ustami, zgłoska po zgłosce, jak formułkę zaklęcia.

– Widocznie leżymy całkiem korzystnie – słyszę Starego z centrali. Tak, powinniśmy się cieszyć, że wpakowaliśmy się między skały i w związku z tym według wszelkiego prawdopodobieństwa nie mogą nas namierzyć.

– Jak Boga kocham, ja zwariuję, jeśli to się nie skończy! – jęczy nagle Zeitler. To wbrew rozkazowi: Zeitler powinien trzymać swą słoniową trąbę w ustach i milczeć. Miejmy nadzieję, że Stary go nie słyszał.

Tylko się nie ruszać, nie robić nic w tym rodzaju, mówię sobie. Po prostu leżeć

dreństwo, każdy ruch to dodatkowa porcja tlenu. Nawet poruszenie powieką zużywa nasz życiodajny gaz.

Z przeciwległej koi zwisa lewa ręka Zeitlera. Wyostrzam spojrzenie, by rozpoznać cyfry na jego zegarku: godzina osiemnasta. Co, dopiero? To nie jest dobry omen, że nie ma mojego zegarka. Musiał mi spaść z przegubu. Może tyka gdzieś w zęzie. Jest przecież waterproof, antimagnetic, shockprotected, stainless, Swiss made.

Tak, Szwajcarzy. Dzielni ludzie. Nasz oerlikon to również ich dzieło. Z całą pewnością Tomki mają takie same rozpylacze. Szwajcarska precyzyjna robota: dla całego świata – w całym świecie.

Nos tak mnie boli, że muszę na chwilę zdjąć zacisk.

Boziu, jak tu śmierdzi! To gaz z baterii! Ale nie, nie tylko gaz. Teraz śmierdzi również fekaliami i moczem, tak przenikliwie, jakby ktoś wypróżnił się w pomieszczeniu. Czy któremuś ze śpiących nawalił mięsień zamykający? Czy też stoi tu gdzieś Wiadro do sikania?

Sikanie: natychmiast czuję mocny ucisk w pęcherzu. Zaciskam uda. Parcie na pęcherz się zmniejsza, ale burczenie w brzuchu również się włączyło i nie mogę go tak łatwo opanować. Przecież prawie nic nie jadłem! Kęs kiełbasy z puszki na chlebie z „Wezery” – to wszystko. Teraz wyraźnie fermentuje mi w brzuchu. Co to będzie, jeśli wielu ludziom w przedziale dziobowym zaczną się poruszać flaki. Również w brzuchach funkcje fizjologiczne idą zwawo swoją koleją. Smród fekaliów staje się nie do zniesienia. Wypchnięcie tego wszystkiego sprężonym powietrzem za burtę nie wchodzi w rachubę. Płuczki ustępowej na tej głębokości nie da się użyć.

Lepiej znowu założyć zacisk na nos i oddychać przez pochłaniacz! Zapewniony nam przez naturę wybór: albo nos, albo usta, jest prawdziwym błogosławieństwem. Mogę po prostu wybrać drogę oddychania przez usta, a w gardle na szczęście nie ma nerwów powonienia. Twórca nieba i ziemi, lepiąc z gliny, mądrzej przewidywał niż konstruktorzy naszego żelazka.

Z pewnością jeszcze chwilę wytrzymam. To śmieszne! Teraz tylko leżeć płasko, nie ruszać się, rozluźnić mięśnie brzucha, myśleć o czymś innym niż szczanie i sranie.

Burdel w Breście... tam również paskudnie śmierdziało: pot, perfumy, sperma, szczyny i lizol – paskudna mieszanka. Odór ropiejącej żądy. Eau de Javel nazywał się ten lizolowy płyn, z którym najbardziej ckliwa perfuma nie mogła się porównać. Tam również przydałyby się zaciski na nos.

Rue d'Aboukir! Kiedy w porcie zjawił się duży okręt, dziwki po prostu leżały między poszczególnymi numerami. Nie było już więcej kucania na bidecie, wciągania majtek,

upiększania się, ponownego ściągania majątek. Rozkalibrowane cylindry z ciała, w których dzień po dniu suwało się pięć tuzinów najróżnorodniejszych tłoków.

Widzę tę parszywą uliczkę: trędowate resztki murów, sterczące zwęglone belki. Zdechły pies – rozjechany na dziurawym bruku. Paskudztwo! Już w stanie rozkładu. Rój much wiruje nad do połowy wyduszonymi wnętrznościami. Strzępy papy. Dziwaczny gruz, jak wielkie okruszyny tortu orzechowego. Wszystkie pojemniki na śmieci powywracane. Szczury w biały dzień. Co drugi dom trafiony przez bombę. Ale nawet te tylko częściowo uszkodzone stoją puste. Drewniane okiennice rzucone na stos jak na barykady. Między gruzami i śmieciem wydeptana ścieżka.

Przy murze dwaj marynarze oparci o siebie: – Człowieku, chodź, zapłacę ci za popierdółkę. Potrzebujesz tego. Już ci się nosem wylewa. Dalej, człowieku, chcesz, żeby ci skwaśniało?

Warczenie, potem niechętne, urywane szczekanie psa.

W głębi zaułka stoją ze sztywnymi kutasami w dwóch rzędach w ogonku przed izbą sanitarną, przez którą wszyscy muszą przejść. Od czasu do czasu gruby sanitariusz woła przez drzwi: – Następnym pięciu... Od razu dobrze wetrzeć! I żeby mi żaden nie był dłużej niż pięć minut.

Głupie uśmiechy. Każdy marynarz wsadził rękę w kieszeń spodni i przytrzymuje sobie jądra albo prącie. W drugiej prawie wszyscy trzymają papierosa: nerwowe kopcenie.

Co to za buda! Wszystko szare i zapaskudzone. Na biało pomalowana tylko izba sanitarna. Tłusta olejna farba, lekko żółtawa. Smród nasienia i potu. Nie ma baru. Nawet najprymitywniejszej poczekalni.

Bajzelmama na swoim drewnianym tronie przyciska do piersi paskudnego kundla, dokładnie w zagłębieniu między jej obu potężnymi cycami. – Wygląda właściwie jak tłusta dupa – mówi ktoś. – Człowieku, tam bym ją wyrolował!

Babsko komenderuje łamaną niemczyzną: – Allons... nie ma czasu. Dalej, dalej niks maszyn kaputt!

Palcami lewej dłoni chwyta się przy tym za prawe przedramię. Jej palce poruszają się jak olbrzymie larwy. Sapie gwałtownie, pompuje powietrze, wypija szybko łyk piwa, a potem tłustą dłonią ociera usta, ostrożnie, żeby nie uszkodzić malunku. Nad jej tronem wisi szyld z kolorowym kogutem i tekstem: „Quand ce coq chantera, credit on donnera.” Każdemu, który u niej płaci, chce sprzedać jedną ze zużytych kolekcji zdjęć. Słyszę, jak któryś odpowiada: – Ciotko, tutaj nikt nie potrzebuje się podrajcowywać. Mnie i tak zaraz zadziała. Dzisiaj się tryka, aż iskry lecą.

Piszczenie materacy zza poplamionej ściany.

Przenikliwy, skrzypiący głos: – Chodź, kochany, połóż tam forszę.

Jak byłem zmieszany, że mówiła po niemiecku!

– Nie patrz tak głupio. Fais vite. Tak, dziwisz się, ja mianowicie jestem również z Alzacji. Nie... nie, myślisz, że chcę stąd wylecieć? No, połóż już tam. Tu się płaci z góry, kochasiu. Boisz się pewnie o forszę?... Ale kiedy już się skończy, płaci się gorzej. No, rób już. No, dołóż coś jeszcze twojej słodkiej dziewczynce. Nie masz nawet pięćdziesiątaka? Poszukaj! Dołóż coś jeszcze, pokażę ci parę ładnych obrazków. – A obok: – No, mój słodki, chodź już. Jesteś jeszcze całkiem dzidzius! – (Czy one wszystkie są z Alzacji?) – Czy u was dzisiaj przedszkole ma wycieczkę? Same takie szczawiki! Nie zdejmuj spodni. I pośpiesz się!

Przy kozetce kawałek zapaskudzonej szmaty do butów. Zdejmowanie obuwia uchodzi tutaj za stratę czasu.

– No, człowieku, to był szybki strzał, dzielni chłopcy... No i koniec!

Zza parawanu słyszę, jak szczy do nocnika. Bez krępacji.

Blade uda, mokre trójkątne futerko, zasmarowana pudrem chorobliwa cera, żółte, nadpsute zęby, wódczany oddech, szkarłatnie pomalowane usta. Blade kiszki zużytych prezerwatyw w koszu na papiery koło bidetu.

W przejściu jakiś marynarz klnie: – Forszę z powrotem... za dużo piwa... po piwie mi nie staje.

Na dole któryś protestuje przeciwko zastrzykowi.

– To nie dostaniesz książeczki żołdu.

– Człowieku, przecież nie włożyłem na bosaka!

– Zamknij gębę. Każdy musi dostać szprycę.

– Wy pewnie macie tu jednego sztosza gratisowo?

– Tylko uważaj, człowieku!

– Ach, pocałuj mnie w dupę!

Co za służba! Przez cały dzień wstrzykiwać ten żółty szlam w kutasy!

– Dobra, załatwione. Masz tu z powrotem książeczkę żołdu. Podwójne zabezpieczenie: gumowy płaszcz i zastrzyk. Porządek musi być w marynarce!

Nacisk na pęcherz staje się coraz bardziej dręczący. Czy bosman nie ustawił w centrali wiader z puszką chlorowanego wapna obok? Zbieram się z łóżka i kuśtykam do centrali.

Światło jest teraz lepsze, pozwala rozróżnić szczegóły. Manipulatory steru ciągle jeszcze zwisają na swoich drutach. Z jakiegoś węża płynie wciąż mętna woda. Skąd się bierze

ta breja? Dlaczego nikt tego nie wyłącza? Żarówka, morskie buty, puszka, dwa aparaty ratunkowe pływają w kałuży. Szkło skrzypi mi pod nogami. Ciemność w każdym razie była przyjemniejsza.

Teraz rozpoznaję również wiadra: wciśnięte między części maszyn.

Boziu, co za ulga! Pieni się, jakbym zjadł mydło. Burczenie w brzuchu zaraz słabnie, czyżby zmniejszenie nacisku w pęcherzu dało więcej miejsca kiszkom? Bogu dzięki, nie chciałbym tutaj kucać.

A dokąd teraz? Skrzynia z mapami... tak, mógłbym dla odmiany usiąść sobie na skrzyni. Zdaje się, że Stary jest w swoim przedziale. Paru ludzi robi coś, sapiąc u moich stóp.

To jednak były dwie bomby! Inaczej byłoby to nie do pomyślenia. Inaczej diesle tak ciężko by nie oberwały. Tylko jak oni chcą to wszystko zrobić na rufie! Johann wydawał się być całkiem pewny swojej sprawy, ale ja nie mogę się uporać z wątpliwościami. Na pociechę wmawiam samemu sobie, że w końcu możemy się wynurzyć również bez silników. Diesla, przy którym teraz harują, prawdopodobnie nie będziemy mogli w ogóle użyć, tak jak kompasu. Jednak by wydostać się na powierzchnię, nie potrzebujemy diesla ani kompasu.

I założmy, że się wynurzymy, co nam wtedy pomoże diesel? W środku, między angielskimi okrętami... na dieslu? Jeszcze raz ten sam numer? Wątpliwe! A silnik elektryczny? Prądnice mogą być w porządku, ale po prostu nie mogę uwierzyć, że w zdemolowanej baterii jest więcej energii, niż potrzeba na kilka obrotów śrub. A mimo to: może już parę obrotów będzie naszym ratunkiem, kiedy okręt stanie się wreszcie lżejszy.

Moje myśli biegają tam i z powrotem, ledwie umocni się nadzieja, napływają znowu wątpliwości: a jeśli już, to co potem? Opuszczenie okrętu to przecież wszystko, co nam pozostaje w najlepszym wypadku. Ale przecież nie w nocy! To byłoby szaleństwo! Czyste szaleństwo! Co właściwie Stary sobie myśli? Nie możemy wysiadać w nocy! Wtedy nas nikt nie znajdzie! O Boże, Stary musi wreszcie zdradzić, jakie właściwie ma zamiary. Gdybym chociaż wiedział, jakiego zdania są inni. Ale tu nikogo już się nie da zobaczyć. Główny mechanik i jego zastępca są z pewnością w rufowym. Ci mają robotę! Ja jednak tylko mogę myśleć i przyjmować moje rozrastające się natrętne obsesje. Czuję, że zwariuję, jeśli się im poddam.

A więc: znowu znaleźć trwałe punkty w chaosie. Usypać wyspy w złych prądach niepożądanych wizji.

Słowo „petunia” przylatuje mi do głowy. Kilkakrotnie powtarzam je sobie, mrużąc. Potem pojawiają się gry barw: fioletowa, czerwona, różowa, biała. Petunia – to roślina nocnego cienia. Kwiaty cylindryczne. Rurka z rozszerzonym rąbkiem. Wrażliwa na mróz,

liście o miękkich włoskach.

Kwiaty – dobry temat. Wrzucam sobie słowo „gerania”. Natychmiast mam wyobrażenie zapachowe, a także dotykowe: aksamitna skóra szerokich, niebieskozielonych liści. Owoc w kształcie bocianiego dzioba. Gerania. Odmiany łososiowoczerwone, te z niskimi łodygami i błyszczącymi liśćmi. „Pelargonie”. Karminowa czerwień. W chłopskich oknach wyrastają tak wysoko, że zakrywają je całe: rośliny wysokie na osiemdziesiąt centymetrów, pokryte kwiatami. Artystyczna sztuka: dostają przecież nieograniczone ilości tłustego nawozu. W zimie przechowuje się je w piwnicy. Mało polewać, żeby nie zgniły. Obłamywać pędy. Specjalna odmiana: pelargonie bluszczowate.

Mówię niemymi ustami: „portulak” i jeszcze raz „portulak”. A potem portulak – portulak. Zaraz przywołuję się do rozsądku: jak właściwie wygląda portulak? Ten portulak – ta portulaka. Portulaka – dziecko kaka. Czy ten taniec znowu się zaczyna? Powtarzam „portulaka” monotonicznie, jakbym chciał się uśpić. Zaczynam znowu od słowa „begonia”. Bulwy wyglądają jak małe brązowe piątki. Trudno je znaleźć w ziemi. Pozwolić im najpierw wypuścić pędy, żeby sztywne, tłuste kwiaty mogły się dość wcześnie rozwinąć.

Chciałbym mówić głośno, słyszeć mój głos. Cisza jest przygnębiająca. Normalnie porusza się tu zawsze z cichym szumem albo stukaniem jakiś mechanizm pomocniczy. Ale teraz nie słyhać jeszcze nawet tak cichego znaku życia maszyn. Puls przestał bić. Dokoła tylko martwa materia, żelazo, stal, farba. Martwy złom. Stalowa trumna.

Nagle rozpoznaję zapach rododendronu. Bawię się słowem rododendron, mówię „rudy dendron” i dzielę słowa na sylaby: ro-do-den-dron.

Przed oczyma pojawiają mi się litery tłustym groteskiem i zastanawiam się, czy pisownia przez trzy „d” jest prawidłowa. Obmacuję słowo litera za literą. I teraz, jakby ze mgły, pozwalam wyrosnąć lasom rododendronowym pod Chateaufort: rododendrony dwa razy wyższe niż człowiek! Jeden lakierowany liść tuż koło drugiego, a na to wetknięty przepych olbrzymich jasnofioletowych kwiatów. Wielkich jak głowa i jeszcze większych. Nie dająca się przeniknąć gęstwina, dżungla rododendronów. Przypominam sobie, że wodą wapienną można zamordować rododendron. Rododendron wymaga kwaśnej gleby. Torf i krowi nawóz są najlepsze. W Bawarii nie dojrzewa, właśnie z powodu wody zawierającej wapń. Natomiast rozkwita najwspanialej w wilgotnym morskim powietrzu przy brzegach. W Bretanii kwitnie od lutego do lipca: biały, czerwony, fioletowy, we wszystkich odcieniach, jakie da się wymyślić.

Od tego rejsu mógłbym się wymigać. Bez wątpliwości. Ale chciałem partout wsiąść. Wypłynąć ze Starym. Położyć kres bezcelowemu bytowaniu.

A teraz? Teraz również Stary jest w kropce, tutaj, w Cieśninie Gibraltarskiej.

Kiedy chcę sobie przedstawić, jak wygląda skała gibraltarska, w moim mózgu wyświetla się stary obraz z fotoplastykonu. Widzę skałę Gibraltaru pod niebem koloru malinowego soku z turkusowobłękitnymi konturami, a statki przy niej nie są nowoczesnymi niszczycielami, tylko przypominają raczej kogi, takie jak „Bunte Kuh”. Cały rój, wszystkie pomalowane na brązowo, a każda ma szereg mydlanych pęcherzy u burty: to dym prochowy czternastofuntówek.

Muszę znowu zdjąć zacisk z nosa. Ohydny smród trudno znieść. Oddychając przez usta, przywołuję przeciwko mdłościom przyjemne wrażenia węchowe: fiołki, dzwonki majowe, selery, szczypiorek, twaróg, grzyby, pietruszka, tymianek.

Jakbym chciał udowodnić własną odwagę, włączam sobie nieprzyjemne zapachy: nasienie herakleum jest mi szczególnie wstrętne. Cuchnie przenikliwie tygrysią klatką. Sparzona gęś: paskudne świństwo, wspomnienie odrażającego smrodu mokrych, wyrwanych piór wstrząsa mną.

A teraz otaczają mnie zapachy, których nie potrafię natychmiast określić. Muszę sobie łamać głowę, skąd pochodzi ta czy inna woń, którą wyraźnie wyczuwam. Ta ostra, słodkawa, na przykład, jest dla mnie zagadką. Wreszcie wpadam na ślad. Oczywiście: świnki morskie! Nasz pokój dziecięcy. Wyraźnie widzę przed sobą wszystkie meble i akwaria, które stały przy oknie. Nawet wzory na muszlach ślimaków, które kleiły się na wewnętrznej stronie szklanych szyb akwarium i miały je utrzymywać w czystości, mogę wyraźnie rozpoznać.

Dręczy mnie nowy zapach, niepodobny do żadnego innego. Wiem już: czarny piasek formierski. Widzę wysokie hale naszej odlewni żelaza, gdzie powietrze nasycone było tym zapachem. Zgromadzona w wysokie stopy ziemia formierska leżała wszędzie, wytarta starannie była tylko wokół zagłębionych form. Wyglądało to tak, jakby wydobywano tu z czarnej ziemi kosztowne sarkofagi.

Siedzę teraz w ciężkim oparze ropy, potu, wilgoci i fekaliiów, a ze wspomnień wywołuję nowe zapachy: ognisko z ziemniakami, zgniły opar jesiennych pól – co tylko chcę.

Z wyobrażeń węchowych potrafię nawet stwarzać obrazy, prowadzić się przez nie aż do najdrobniejszych wspomnień: czuję stary aksamit, przeciągam po nim palcami i natychmiast dostaję gęsiej skórki. Owiewa mnie zapach cukrowej waty i już samo przypuszczenie, że musiałbym jej dotknąć, ściąga mi skórę na głowie.

Zjawia się główny mechanik. Oddychając ciężko, opada obok mnie na skrzynię z mapami i już się nie rusza. Słysząc tylko jego oddech. Teraz układa usta w ryjek i wciąga

powietrze. Powstaje przy tym gwizd. Główny mechanik wzdryga się, przerażony własnym tonem.

Wyciągam swoją słoniową trąbę z ust: – Czifie, mam jeszcze cukier gronowy. – Główny mechanik jednym szarpnięciem wraca do rzeczywistości: – Nie, dziękuję, łyk soku jabłkowego byłby lepszy.

Podnoszę się rażno, przełażę przez właz w grodzi, wymacuję bakistę, a w niej butelkę. Główny mechanik bierze ją jedną ręką, ale zaraz korzysta z pomocy drugiej, ponieważ szkło dzwoni mu o zęby. Łyka gwałtownie. Strumień ścieka po dolnej wardze i gubi się w jego brodzie. Czif nawet się nie ociera.

Spytać go może, co z nami będzie? Lepiej nie. Wygląda tak, jakby miał zaraz zemdleć.

W mesie P zasłony po lewej burcie są odsunięte, koje jednak nie są puste. Zeitler, podchorąży, berlińczyk i Wichmann leżą na nich jak na marach. Tylko trąby pochłaniaczy nie pasują do Obrazu.

Na kojach motorzystów nikogo nie ma. A więc dieslowcy i elektrycy ciągle jeszcze pracują na rufie. Wyciągam się na najbliższej dolnej koi.

Zjawia się pierwszy oficer. Z miną zatroskanego urzędnika bada, czy wszyscy mamy w ustach gumowe węże. Patrząc na niego, czuję, że nadciąga mgła snu.

Kiedy znowu przychodzę do siebie, rozpoznaję Frenssena, który z wszelkimi oznakami całkowitego wyczerpania siedzi przy stole. Widok ten porusza mi serce. Frenssen nie ma pochłaniacza. Oczywiście: ludzie, którzy pracują w maszynie, nie mogą używać tej zawady. Frenssen powoli odwraca głowę, bowiem przekręcając się, robię hałas. Patrzy, jakby nie mógł mnie rozpoznać. Wygląda na to, że jego kręgosłup nie może utrzymać ciężaru górnej części ciała. Frenssen mógłby się przecież oprzeć na stole, lecz tylko zwiesił ramiona między kolanami. Barki mu opadły, jakby zamiast stawów miał wszystko połączone sznurkiem jak prymitywne marionetki. Wygląda tak, jakby grawitacja oddziaływała na niego z podwójną siłą. Usta ma otwarte. Jego szkliste spojrzenie napełnia mnie strachem: mój Boże, on zaraz wysiądzie! Kto wie, jak inni znoszą harówkę w zepsutym powietrzu, jeśli Frenssen już nie może. Taki byk, a teraz słaby jak mucha.

Mucha? Gdzie siedzi nasza mucha?

Myśl o świętach na okręcie podwodnym pojawia się znowu. Jeśli ci na rufie nie skończą, będziemy tu siedzieli również w wigilię. Wtedy będą prezenty podmorskie. Złapię muchę i ofiaruję ją w podarunku Staremu. Zmieści się do pudełka od zapalek, do pięknego pudełka z hiszpańskim matchbox label, potem pewnie będzie mógł ją sobie trzymać przy uchu, a gdy mucha zacznie pięknie bzykać – wyobrażać sobie, że nasze silniki elektryczne

działają znowu. Pierwszorzędny pomysł! Również główny mechanik musi zamknąć oczy i wolno mu będzie przyłożyć ucho do pudełka, a jeśli Stary się zgodzi, puścimy to pudełko nawet obiegiem i wszyscy, jeden po drugim, przez całą minutę posłuchają sobie brzęczenia. Będzie to uczta dla uszu w takiej ciszy. Wybrany podarunek na Święto Narodzenia Pana.

Wydaję się sobie nędzny i pozbawiony sił. Jak chętnie powiedziałbym do Frenssena: „Rozejrzyjmy się teraz za herbatą” albo jakieś inne głupstwo w tym rodzaju – ale z węzłem w ustach się to nie uda. Frenssen nie rusza się nawet o milimetr. Wrażenie jak z panoptikum. Z gabinetu figur woskowych. W takich przedstawieniach jesteśmy teraz znakomici.

Herbata! Imbryk musi być w centrali. Kiedy byłem w centrali, musiałem go widzieć.

Z trudem wyłażę z koi. Frenssen nie podnosi oczu. W centrali nadal stoi woda na podłodze. Nasz najgorszy problem nie został więc jeszcze rozwiązany. Pewnie główny mechanik zostawił to sobie na później. On ma swój plan. Ale widok tego mętnego zalewu, chlupotanie, jakie wywołuję swoimi butami, napęlnia mnie przerażeniem.

Bełkoczę do siebie: Wszystko do kitu! Nic się więcej nie da zrobić. Pięknie, okręt leży już na równej stępce. W siłowni elektrycznej nie może się nic więcej przydarzyć. Przecieki zahamowano. Ale ciężar tej ilości wody przygniata nas do dna. Jeśli szybko się jej nie pozbedziemy z naszej rury, to koniec. Tlen niedługo się skończy.

Herbata! Rozglądam się dokoła, ale nigdzie nie widzę imbryka. Lecz wiem przecież, gdzie można znaleźć sok jabłkowy. Przełazę przez gródź, chlapiąc butami brnę do szafki, wyciągam butelkę, zrywam kapsel o zawiasy i przynoszę butelkę Frenssenowi. Boże, długo trwa, nim on kapuje, że jest przeznaczona dla niego. Wdzięcznego psiego spojrzenia mógłby sobie zaoszczędzić – przecież nie jestem Starym.

Nie mogę robić nic innego, jak siedzieć i wyczarowywać obrazy. Widzę opuszczony od początku wojny dom nad zatoką między La Baule i Le Croisic, w środku puszczy rododendronów, wysokich jak człowiek. Wszystkie drogi porośnięte trawą, filary zwalone przez pnące rośliny. Zarośnięte futryny, zgniłe drzwi. Dom w baskijskim stylu: pomalowany wapnem na biało, z wielkim, niezbyt spadzistym, siodłowym dachem. Belki były niegdyś czarne. Czerwona kamienna podłoga w sieni emanuje przyjemny chłód. Wewnątrz, na popękanych deskach, leżą małe kupki delikatnych żółtych trocin. Na ścianach odcinają się jeszcze miejsca, gdzie wisiały obrazy. Wszędzie olbrzymie pajęczyny. W drzwiach przestrzały, od strony wylotowej wyszarpane są większe drzazgi. Zapach zgnilizny. Grzbiet wydmy zasłania widok na morze. Na wydmie stoją jeszcze dwa opuszczone domy. W lewym znaleziono ukrytą radiostację nadawczą. W szarej trawie tu i ówdzie żółte plamy: rowy strzeleckie, które na nowo się zapadają albo są zasypywane piaskiem. Między

rododendronami okrągły klomb z olbrzymimi hortensjami. Jak tu wszystko rośnie! Z grzbietu wydmy wypatruję kobietę z wysoko podwiniętą spódnicą, pochyloną w płytkiej wodzie. Zbiera muszle do kosza. Odpływ. Słońce zaledwie na szerokość dłoni nad horyzontem. Pod nim mokry piasek błyszczy jak lustro.

Obraz staje się znowu szary i spłaszczony. Tak to jest, aby bronić się przed okrzykiem przez strach i troski, potrzebuję czegoś mocniejszego: przywołuję teraz piersi, całe rojowisko najróżnorodniej uformowanych piersi, najróżnorodniejsze brodawki: grube, naprężone, duże jak pralinki, uformowane podłużnie, zeszywniałe jak lizaki dla dzieci. Brązowe, bardzo czerwone, różowe. Długie stożki i małe nabrzmiałe wżgóreczki, które dopiero wtedy chcą być ssane, gdy się je weźmie między zęby. Obwódki dokoła: brązowe, duże tarcze, małe, ledwie zarysowane okrągłe kółka, pierścień gęsiej skórki. Rozpoznaję pierś z jednym jedynym centymetrowej długości czarnym włosiem na granicy brązowej obwódki i dreszcz przechodzi mi po plecach. Dreszcz hamuję wewnętrznym śmiechem: wraz z tym włosiem przychodzi mi na myśl Tiemann. Spytałem go wtedy: „Możesz sobie wyobrazić, dlaczego taka bidulka nie usunie sobie tego włosa?” „Po co... może to rodzaj toupet?” – powiedział Tiemann. Tiemanna również już nie ma. Utonął ze swoim wielkim okrętem.

A teraz? Pozwalam pojawić się pępkom: ściągnięte do wnętrza, schowane w ocienionej niecce, pępki płaskie jak guziki u marynarki i wystające jak capuchons. Pępek Ingi jak wyłącznik w lampce, głęboki dołek u Charlotty. A teraz całe brzuchy. Płaskie, wąskie, wystające jak na obrazach Cranacha. Brzuchy Lukrecji, miękkie, ciepłe, obszerne, białe, brązowe i jeden czarny brzuch z fioletowym połyskiem wokół pępka.

Rozebrać, rozłożyć na poszczególne części. Znowu trick z powiększeniem. W pewnej paryskiej rzeźni końskiej widziałem to w szczytowym stadium: tu kupa wnętrzości, tam głowy, ówdzie ogony. Z dwunastu wysokich końskich nóg pozostały tylko starannie oskrobane kości z kopytami. Stały dokładnie ustawione w szeregu pod ścianą jak narty.

Nagle przychodzi mi do głowy słowo Glückstadt. To pomaga: natychmiast ogarnia mnie gorycz. Te niezliczone upokorzenia! Glückstadt: już sama nazwa była czystym szyderstwem. Tak było zawsze: baraki, izby koszarowe, znowu baraki. Najpierw Służba Pracy, a potem marynarska tresura – Glückstadt był najgorszy. Nomen est omen – to przesąd! Fragmenty wspomnień pędzą jedne przez drugie, mieszają się ze sobą, jakby płynęły z prądem i przeciw prądowi, i wpadały w wiry.

Pocziwcy w izbie, którzy byli na pół oglupiali z samego tylko bólu rozstania! Jeden z tych obrzydliwych typów zwichnął sobie ramię, a mimo to przystąpił do zajęć sportowych. Widzę go wyraźnie, jak wtedy skakał z jedną ręką na linę, żeby zademonstrować swoją

pilność.

Gospoda „Pod Brudną Łyżką” w samym środku miasta! Oczywiście nazywała się inaczej. Tam żarliśmy wieczorem smażone kartofle całymi miskami, ponieważ w koszarach nie mogliśmy się najeść do syta. Musieliśmy we trzech stanąć do raportu, bo właścicielowi wpadło w ucho nasze określenie jego mordowni. Zakaz opuszczania koszar. Tresura bez końca. Najważniejszą sprawą było ryczenie z pełnych płuc. Mój popisowy numer: wyprowadzić pluton w teren, kazać ludziom zniknąć w jego zagłębieniach i grać w skata, a samemu ryczeć jak szalony komendy na całą okolicę. To się podobało – i to wszystkim.

Widzę siebie, wiszącego ostatkiem sił przy wiosle na szalupie, prawie zlatującego z ławki. Chamskie gęby ordynarnych matów, dla których wykańczanie nas, nie wytrenowanych chłopaków, ganianie i lżenie było rodzajem sportu. Widzę, jak załatwiali małego Flemminga. Tego tak słabego, nerwowego Flermninga, który był wydany bez ratunku przebranym za bosmanmatów sadystom: Wkładaj ciuchy, wyskakuj z ciuchów! Włóż oporządzenie, zdjąć oporządzenie. Włóż mundur wyjściowy, zdjąć mundur wyjściowy, włożyć kostium sportowy, zdjąć kostium. – Dalej, dalej! Wyglądacie jak spaczona drzwi od sracza!

Pięć minut później: przegląd szafek.

Biedny Flemming nigdy nie mógł zdążyć. Miał rozbiegane spojrzenie złapanego szczura. A kiedy te świny spostrzegły, że ktoś się nie może bronić, dopiero brały się do mego na ostro. Trzy razy dokoła koszar biegiem marsz, raz dokoła koszar czołgaj się. Sto metrów żabką. Dwadzieścia pompek. Szybko, szybko, przez ścianę płaczu!

A potem specjalny pasztet dla wszystkich: z całym rozpędem ugrzeźnąć szalupą w mule, a potem wydostać się stamtąd, ale tylko na wiosłach – godzinami wiosłować w jednakowym tempie, aż muł spod szalupy zostanie wypłukany.

Tego biedny Flemming nie wytrzymał, nie mógł w ogóle wytrzymać.

Pewnego wieczora nie stawił się na apelu.

Okaleczone ciało wypłynęło w porcie wśród starych odbijaczy, butelek, kawałków, skrzyń i rozlanego smaru.

To był zwykły mord. Flemminga systematycznie zaszczuwano na śmierć. Z rozpaczyny utopił się. Przy tym umiał pływać. Jego zwłoki nie wyglądały pięknie. Dostał się pod śrubę jakiegoś statku. Teraz się to skończy, myślałem sobie. Teraz ta cholerna katownia wyleci w powietrze. Ale co się stało? Dla kochanych krewnych, tych eleganckich armatorów z Hamburga, samobójstwo było przykre. A więc trzymano się wersji: wypadek podczas służby! Za naródführeraojczyznę. Przy wiernym wykonywaniu obowiązków. Prawdopodobnie kochani krewni nie chcieli zrezygnować z trzech salw nad grobem. A więc rąbnęliśmy nad

jamą Flemminga: – Do salwy... na bark broń... pal! A potem jeszcze raz i jeszcze raz. Nawet krzywe uśmiechy nie były dozwolone.

A przedtem? Jak było przedtem? Gorycz wykrzywia mi usta, kiedy widzę siebie błądzącego po pustych nocnych ulicach, by do ostatniej minuty wykorzystać urlopową wolność, pogrążonego w rozpacz.

A potem we Francji: jak wyrwałem pistolet z ręki spikerowi radiowemu Obermeierowi, kiedy chciał się zastrzelić na plaży przed naszą zarekwirowaną willą. Cały ten teatr z tego powodu, że w Paryżu zadał się z pewną panią i okazało się, iż była pół-Żydówką. Dureń. Obermeier zachowywał się jak szaleniec i ryczał: „Ja jako narodowy socjalista... oddać pistolet, oddać pistolet!” Mało brakowało, a zrobiłbym mu tę przyjemność.

Ledwie zamykam oczy, moje myśli zaczynają znowu krążyć i wibrować. Świecące, ruchome litery przebiegają mi przez głowę, pędzące obrazy, zwisający szych, olbrzymie szklane kule w setkach odcieni brązu, skrzydła ze szklanych włókien, migające błyskawice. Trzask i huk, i wszystko staje się morzem płomieni. Ropa, która pali się na wodzie. Okrągłe jak grzyby wynurzają się opalone tobołki i wyrzucają w górę ramiona. W zielonożółtym migotliwym świetle płyną galaretowate twarze... czerwone punkty... światełka alarmowe.

W gardle czuję gwałtowne dławienie. W ustach mam wszystko obrzmiałe, gorzkie jak żółć. Nie mogę już dłużej znosić ustnika. Usta wyrzucają go prawie same z siebie. Ślina długimi nićmi skapuje mi na koszulę. Obserwuję w napięciu tę nić. Muszę również coś popić. Frenssen nie ma mi za złe, kiedy biorę butelkę ze stołu.

Co to jest? Mój zegarek leży na stole! Kto go tam położył? Wymacuję go, czuję się hojnie obdarowany. Pajęczka nóżka sekundnika drga jeszcze na tarczy. Dobry zegarek. Jest parę minut po dwudziestej.

Wynika stąd, że już dwadzieścia cztery godziny przebywamy pod wodą. Po zapadnięciu ciemności dowódca miał odważyć się na próbę wynurzenia. Godzina dwudziesta: a więc od dawna musi być już całkiem ciemno. O tej porze roku! Ale dlaczego, na miłość boską, dowódca pytał starszego sternika, kiedy zniknie księżyc? Na pewno się nie mylę! Przecież Stary pytał o to po raz drugi – dopiero przed paroma godzinami. Ale czy niedawno nie było nowiu? A więc nie będzie zachodu księżyca. A więc co? Znowu zagadka: nie mogę teraz nikogo spytać – ani Starego, ani starszego sternika. Naprawdę ciemno, jak się zdaje, będzie dopiero koło czwartej.

To byłaby więc cała noc. Jeszcze jedna noc – tego nie przetrzymamy. Nie wystarczy nam tlenu. A pochłaniacze potasowe?

Niepokój wypędza mnie z koi. Jak w transie przechodzę przez mesę O. Moje miejsce

na koi głównego mechanika nie jest zajęte. Drugi mechanik zniknął. Czuję się tak, jakby ten dzień miał już sto godzin.

Nie wiem, jak długo trwa moja drzemka w kącie koi. Budzę się i w przejściu do mesy rozpoznaję Starego. Opiera się obu rękami, jakbyśmy byli nawodnym statkiem na wzburzonym morzu. Musiał wyjść ze swojej przegrody. Bez sił opada na koję głównego mechanika. Wygląda szaro i nędznie. Wydaje się, że wcale mnie nie dostrzega. Ma nieobecne spojrzenie. Przez dobre pięć minut nie mówi ani słowa. Potem słyszę, jak mruczy: – Bardzo mi przykro!

Siedzę jak skamieniały. Coś we mnie powtarza jak echo: „Bardzo mi przykro!”

Dowódca trzema słowami zdeptał płomień mojej nadziei. Strach znowu trzepocze mi w sercu. Nie ma już szans! Takie to ma przecież znaczenie. Skończył się sen! Jeszcze trochę teatru i dobrych manier... a potem koniec. Cała ta harówka, nasze wysiłki to tylko mydlenie oczu! Wiedziałem to: będziemy tu leżeli aż do sądnego dnia.

Wyskakując za burtę, prawdopodobnie można się było jeszcze wtedy ocalić Natychmiast wysiadać, zaraz przy pierwszym wynurzeniu. Ale teraz... Ale teraz? Powoli zasypiać, aż skończy się tlen?

Jakkolwiek wcale nie chcę mówić, wyciągam ustnik spomiędzy zębów. Moje ręce robią to mimowolnie. Inteligentne ręce, które mówią sobie: po co to wszystko? Po co to oddychanie przez pochłaniacz, kiedy już nie mamy żadnej szansy? Nić śliny ścieka mi z ust, robi się coraz dłuższa, ciągnie się aż do podłogi. Jak u puzonistów ślina ze zdjętej rurki w kształcie litery U.

Odwracam się do Starego. Jego twarz jest pozbawiona życia jak maska. Mam wrażenie, że mógłbym zdjąć tę maskę, ale wtedy – wiem to z pewnością – musiałbym patrzeć na surowe mięso i ścięgna jak na rycinie z atlasu anatomicznego: okrągłe jak koła jabłka oczu, wiele niebieskawej bieli, wiele rozgałęzionych białych powrozów, delikatne rurki i wiązki mięśni.

Czy wysiłek wykończył Starego? To przecież nie może być prawda: „Bardzo mi przykro!” Przecież Stary nie mógł tego powiedzieć poważnie.

Stary nie rusza się nawet o milimetr. Nie uchwycę jego spojrzenia, bowiem wpatruje się w podłogę.

Strach przed pustką w mojej głowie. Nie mogę teraz umrzeć, nie mogę pozwolić, by mi cokolwiek umknęło. Uważać na samego siebie, a przy tym nie spuszczać z oczu Starego.

Niewątpliwie: Stary jest gotów i załatwiony. Jak coś takiego mogło mu przejść przez usta?

To z pewnością nie był obowiązujący wyrok, tylko znak rezygnacji. Rezygnacja, nic więcej.

Może właśnie wszystko obraca się na naszą korzyść, a tylko Stary nic jeszcze o tym nie wie. Co robić? Powiedzieć Staremu, że wszystko przecież idzie dobrze? Że im większa bieda, tym Pan Bóg bliżej?

Czuję, jak we mnie nabrzmiewa: nie i nie! Stary przez swój trzywyrazowy wyrok nie może mi zabrać tajemnej wiedzy, że z tego wyjdę cało. Mnie nic nie może się zdarzyć. Jestem tabu. Dzięki mnie cały okręt jest zaczarowany.

Stary przyszedł z przedziału rufowego. Co też główny mechanik mógł mu powiedzieć? Przecież czif był pełen ufności, gdy go ostatnio widziałem. Miał przecież swój plan. Wszystko brzmiało całkiem rozsądnie. Nie pozwoliłby przecież tak harować ludziom bez sensu i uzasadnienia. On przecież nie jest aktorem jak Stary! Tak źle jeszcze nie może być. Nie, to jeszcze nie koniec. Jesteśmy tylko dręczeni. Prowadzeni przez upał i mróz. „...Poprowadzę cię przez upał i mróz, że zapomnisz po jedzeniu i picciu, i wszelkiej takiej rozpuście...”

Ale znowu budzą się wątpliwości. Przecież sam zauważyłem, tylko się do tego nie przyznałem: na górze jest ciemno. Już od paru godzin. Podczas ciemności mieliśmy się wynurzyć. A więc już od dawna powinniśmy tego spróbować.

Stary ciągle siedzi bez ruchu, jakby życie z niego uszło. Nie mrugnie nawet powieką. Co się z nim dzieje? Jeszcze go takiego nie widziałem...

Chcę strząsnąć duszący chwyt. Próbuję przełykać, zdławić strach. Przecież to wszystko to teatr!

Co to stuka?

Wpatruję się w podłogę. Rzeczywiście stoi tam główny mechanik. Podpiera się rękami o grodzie z lewej i prawej strony, tak samo jak Stary. Próbuję czytać z twarzy mechanika. Ale trzyma się w półmroku Jego twarz jest zatarta.

Dlaczego czif nie wychodzi na oświetlone miejsce? Czy tu wszyscy zwariowali? Dlaczego nie przysiadzie się do stołu? Chyba nie z tego powodu, że ma koszulę w strzępach? Że całe ramiona ma pokryte smarem?

Mechanik otwiera usta. Prawdopodobnie chce złożyć meldunek. Czeka tylko, aż Stary na niego spojrzy. Teraz porusza ustami i ostrożnie opuszcza rękę. Przez swą postawę chce z pewnością zaznaczyć wagę swego meldunku. Ale Stary ma nadal opuszczoną głowę. Prawdopodobnie wcale nie spostrzegł, że główny mechanik stoi dwa metry przed nami w przejściu.

Chcę już trącić Starego, żeby wyrwać go z tego odrętwienia, ale główny mechanik chrząka, a Stary zirytowany podnosi głowę. Czif zaczyna natychmiast: – Panie kapitanie, melduję posłusznie: Siłownia elektryczna sprawna, woda z przecieków przepompowana do zbiorników regulujących. Stamtąd możliwe jest wydalenie jej za burtę sprężonym powietrzem. Urządzenie kompasowe sprawne. Szumonamiernik sprawny...

Główny mechanik zająknął się. Jego głos jest zachrypły. Słyszę teraz jakby echo: „...sprawny... sprawny... sprawny...”

– Dobrze, czifie, dobrze, dobrze – mamrocze Stary. – Niech pan najpierw sobie wypocznie!

Zrywam się i zataczam, żeby zrobić miejsce czifowi. Ten jednak jąka: – ...jeszcze problemy... jeszcze kilka... do wyjaśnienia – i robi dwa kroki w tył, a potem coś w rodzaju zwrotu. On zaraz upadnie! Ani za grosz nie ma siły. Można by go zdmuchnąć.

Stary oparł łokcie na stole i przygryza dolną wargę. To zniekształca mu twarz krzywym grymasem. Dlaczego wreszcie czegoś nie powie? Dlaczego nawet nie mruknie?

Wreszcie puszcza swą dolną wargę i sapie: – ...dobrzy ludzie... trzeba ich mieć... tak, dobrych ludzi!

Kładzie obie dłonie na stole, pochyla całe ciało do przodu i podnosi się ciężko. Przeciska się koło stołu, w przejściu podciąga szelki i niepewnymi krokami pijanego rusza w stronę rufy.

Siedzę, jakby mnie ktoś uderzył w głowę. Co to było? Obu rękami trzymam ustnik węża na kolanach. Ogarnia mnie strach, że pojawienie się głównego mechanika mogło mi się tylko przywidzieć. Ale Starego przecież już nie ma. Gdzie by mógł zniknąć? Przecież dopiero co tu siedział? „Bardzo mi przykro” – rozbrzmiewa jeszcze we mnie. Oraz: „...sprawny... sprawny... sprawny!” Gdzie się wszyscy podzieli? Chcę już wrzasnąć, gdy słyszę głosy z centrali: – ...spróbować! Zobaczyć, czy wszystko gra! Kiedy będziecie gotowi? – To głos Starego. Teraz słychać znów naleganie: – Wiele czasu już nie zostało!

We mnie zaczyna wirować tajfun. Po co tutaj siedzę? Znowu wsadzam końcówkę węża do ust. Cholernie drzę. I chwieję się również. Ledwie mogę się trzymać na nogach. Czuję się tak, jakby przy każdym kroku ktoś uderzał mnie pod kolano.

W centrali Stary, główny mechanik i starszy sternik niemal stykają się głowami. Tworzą stłoczoną grupę przy stole nakresowym.

Coś we mnie szydzi: teraz się opóźnia, przeciąga antrakty w sztuce, dorzuca nowe sceny. Grupa spiskowców i głuchy szef. To dobrze pasuje.

Dopiero potem spostrzegam: nie ma już wody w centrali. Można przejść suchą nogą.

Nie pojąłem tego. Nieobecny duchem. Czy przynajmniej jestem przy zdrowych zmysłach?

Słyszę, jak Stary pyta półgłosem: – Jak teraz wygląda na górze, starszy sterniku?

– Zmierzch zaczął się przed dwiema godzinami, panie kapitanie!

Niewątpliwie Stary znowu panuje nad sobą. A starszy sternik znał natychmiast odpowiedź. Ten niczego nie pomyli, ma w głowie wszystko w porządku.

Mat z centrali majstruje między zaworami stacji szasu. Widzę, jak nastawia uszy. Całych zdań nie słyszy, ale fragmenty, które do nas docierają, są wystarczająco dobrą nowiną. Dziwię się tylko, że nie padam i nie walę pięściami.

– Jedyna możliwość... no, pięknie! – mamrocze Stary. Potem spogląda na zegarek, zastanawia się i mówi równym głosem, jakby chodziło tu o zupełnie obojętną informację: – Za dziesięć minut wynurzamy się!

Wynurzamy się... wynurzamy się! Dwa słowa powtarzają się we mnie jak mityczne posłannictwo. Znowu wyjmuję końcówkę węża z ust. Nić śliny pęka, ale już wytwarza się znowu.

Bardzo mi przykro... Wynurzamy się! Można zwariować!

Wracam do mesy oficerskiej. Drugi oficer leży jeszcze na swojej koi.

– Halo, drugi! – Nie poznaję swojego głosu. Jest w nim coś między pianiem a łkaniem.

Drugi oficer nie rusza się.

Próbuję po raz drugi: – Halo! – Tym razem brzmi to już lepiej.

Drugi maca rękami, szukając pochłaniacza, obejmuje go jak dziecko butelkę. Na razie broni się przeciwko obudzeniu. Nasz drugi nie chce wydostać się z osłony snu, chce tę osłonę przeciwko szaleństwu zatrzymać. Muszę mocno chwycić go za ramię i potrząsnąć: – Hej, człowieku, przyjdź wreszcie do siebie!

W sekundę później otwiera powieki. Ale ciągle jeszcze nie chce się obudzić. Usiłuje mi uciec i schować się w sen.

– Za dziesięć minut wynurzenie! – szepczę mu tuż koło twarzy.

Drugi oficer zerka nieufnie, ale wyjmuje ustnik.

– Co? – pyta nieprzytomnie.

– Wynurzamy się!

– Co? Jak?

– Tak, za dziesięć minut!

– To prawda?

– Tak, od dowódcy...

Drugi nie zrywa się na nogi. Na jego twarzy nie ukazuje się nawet radość. Tylko

pochyla się do tyłu, na chwilę zamyka znowu oczy, ale teraz się uśmiecha. Wygląda tak, jakby wiedział, że w tajemnicy, specjalnie dla niego, przygotowuje się uroczystość, o której jeszcze nie powinien wiedzieć.

Powrotna droga

– Przygotować się do wynurzenia!

Rozkaz rozbrzmiewa echem na okręcie.

Dowódca mówi: – Pierwszy oficer i starszy sternik wychodzą na pomost po mnie!

Pierwszy oficer i starszy sternik odnajdują w centrali swe ubrania sztormowe, zataczając się jak podczas chwiejby, wciągają spodnie i sztywne kurtki. Starają się na siebie nie patrzeć. Twarze nieruchome jak u fryzjerskich manekinów. Starszy sternik siada, jakby chciał wszystkim pokazać, jak się prawidłowo ubierać, bardzo powoli wciąga zjudwestkę – zupełnie jak podczas szkolenia na tempa. Tasiemki zawiązuje pod brodą z podejrzaną starannością.

Dopiero teraz spostrzegam, co wdycham: śmierdzący opar, który zgęszczonymi warstwami leży w okręcie. Kwaśny i śmierdzący. Moje płuca muszą gwałtownie pompować, żeby z tej cuchnącej mieszanki przefiltrować wystarczającą ilość tlenu.

Czy okręt rzeczywiście oderwie się od dna? A jeśli to się uda, co będzie dalej?

Jakby w odpowiedzi na to milczące pytanie Stary rozkazuje: – Przygotować aparaty ratunkowe!

A więc potem Stary chce wysiadać: do góry i za burtę, a to znaczy pływać. I to jak! Teraz w ciemności! Przy tym potężnym prądzie!

Moje filmy! Spieszę do koi. Wszystko leży tam przygotowane: aparat ratunkowy i filmy w wodoszczelnym opakowaniu, tak że mogę je zawiesić na szyi.

Jakby w drugim, głębszym pokładzie tkwi we mnie strach jeszcze gorszy niż przed ciemnością i prądem: ogień nieprzyjaciela. Kiedy palec reflektora jakiejś korwety nas znajdzie, będziemy leżeli jak na jasno oświetlonej scenie. Zjawi się jeszcze więcej reflektorów, na niebie zawisną pociski oświetlające. Przeklęte choinki! A potem zaterkocze broń szybkostrzelna!

Ale możemy przecież mieć szczęście. Zdarzają się najbardziej wariackie rzeczy: może nas od razu nie wykryją. Lecz gdy znajdziemy się już w wodzie, a oni nas nie zobaczą, wtedy zanieś nas Bóg wie gdzie.

Lampki alarmowe! Nie mamy lampek alarmowych. Tomki są lepiej wyposażeni. Przygotowani do wysiadania za burtę. Ale w pojęciu naszego dowództwa sytuacje takie jak

nasza nie są przewidziane. Aparaty ratunkowe – to cały nasz ekwipunek na wypadek morskiej katastrofy.

Czuję się głupio przy wkładaniu mojego aparatu ratunkowego. Nie jestem wyszkolony. Nigdy nie wierzyłem, że coś takiego będzie potrzebne. Frenssen mi pomaga. Na próbę wkładam ustnik. Znowu słoniowa trąba. To się nie kończy. Ostrożnie odkręcam butlę z tlenem i słyszę syczenie. Dobra, to, zdaje się, działa, powietrze dmucha.

Naraz dokoła ruch i szepty. Groza odpływa.

Wszyscy mają już na sobie aparaty, majstrują przy nich, udają, że są Bóg wie jak zajęci, byle tylko nie podnosić oczu do góry.

Spojrzenie drugiego oficera robi na mnie wrażenie. Nie udaje mu się okazywać obojętności. Wykrzywia twarz, żeby nie pokazywać swego podniecenia.

Teraz wszystko jest na ostrzu noża: główny mechanik uruchomi więc sprężone powietrze i rozstrzygnie się, czy przez szasowanie zbiorników regulujących i balastów uzyskamy wystarczający wypór, by się oderwać od dna. Jeszcze nie wiemy, czy odwietrzniki balastów są szczelne. Możemy zrobić tylko tę jedną próbę. Drugiej okazji już nie będzie. Tyle jest pewne.

Dowódca rozkazuje czystym głosem: – Szasować! – Mat obsługuje zawory. Teraz sprężone powietrze z sykiem przedziera się do balastów. Czy wypchnie wodę? Stoimy zdrętwiali i nasłuchujemy. Czy okręt się podnosi?

Rozluźniam się w kolanach, bym mógł wyczuć nawet najmniejszy ruch.

Nic! Leżymy twardo! Ciężko jak ołów!

Robię się jeszcze miększy i lżejszy w stawach kolanowych.

Sprężone powietrze dmucha i dmucha.

Nic!

Porzućcie wszelką nadzieję! Wszystko do chrzanu! Nogi odmawiają mi posłuszeństwa...

Ale teraz! Był jakiś ruch w okręcie! A teraz słyszę zgrzyt, jakieś dotknięcie z zewnątrz, zupełnie jak przez promienie asdiku. Zgrzyt... Przerażliwy skrzyp noża na porcelanie... przenika mnie do szpiku kości, a wskazówka manometru drży.

Z wyraźnym wyczuwalnym szarpnięciem okręt odrywa się od dna. Zgrzytając, ociera się o jakąś skałę. Znowu pisk i wycie, A potem spokój.

W gardle spiętrza mi się radość.

Lewą ręką trzymam się schodni do wjazdu kiosku, wpatrując się ostro we wskazówkę. Powinna, na miłość boską, drzeć dalej. Hipnotyzuję ją spojrzeniem – wskazówka przechodzi

przez trzy, cztery krótkie kreski. Okręt unosi się, leci w górę – statycznie – jak balon.

Ojczy niebios! Nie leżymy już na dnie. Jesteśmy już lżejsi niż wypierana woda. Mamy sporo wyporu!

Koło ramienia dowódcy wpatruję się w głębokościomierz. Inni również. Całkiem powoli wskazówka przesuwa się po cyfrach. Nie ma ruchu w pomieszczeniu, ani słowa.

Wskazówka mozolnie biegnie dalej. Chciałbym ją popchnąć, jakby już popchnięcie wskazówki mogło wpłynąć na wynurzenie się okrętu.

A teraz? Czyżby wskazówka znowu stanęła? Nie wznosimy się już? Ależ to niemożliwe! Mamy przecież wypór. Teraz musimy się wynurzyć.

– Dwieście pięćdziesiąt metrów! – mówi główny mechanik, jakbyśmy wszyscy od dawna tego nie wiedzieli.

– Dwieście dziesięć!... Dwieście!... Sto dziewięćdziesiąt!

Spojrzenie przez peryskop odpada, myślę sobie. Oba peryskopy popsute. Dowódca nie będzie więc nawet mógł się upewnić, czy powietrze jest czyste. Szybko odsuwam tę myśl od siebie i koncentruję się znowu na głębokościomierzu. Okręt ciągle wznosi się powoli.

– Sto sześćdziesiąt metrów – mamrocze czif.

Dowódca podchodzi pod kiosk, gdy wskazówka muska dopiero sto trzydzieści.

Minuty rozciągają się jak guma.

Stoimy sztywno dokoła. Nie odważam się nawet zmienić nogi, na której się opieram. Ze swym aparatem ratunkowym na kozuchu Stary wygląda niekształtnie.

Gdy wskazówka mija sześćdziesiąt, dowódca każe przyciemnić lampy w centrali. Pozostaje tylko płowy zmierzch, który przenika z obu stron przez otwarte włazy grodzi i ledwie pozwala rozróżnić zarysy postaci.

Zyskujemy wysokość wolno jak kabina windy, która z powodu braku prądu wciągana jest ręcznie. Teraz jednak zmieniam nogę. Ostrożnie, powoli. Nikt nie powinien tego spostrzec.

Aparat podsłuchowy jest obsadzony: Herrmann. Wiem, że ma już mnóstwo namiarów i będzie meldował tylko wtedy, gdy któryś znajdzie się całkiem blisko. Herrmann milczy. Widocznie mamy szczęście.

– Dwadzieścia metrów... osiemnaście metrów!

Kolumna wody w papenbergu już teraz opada. Dowódca ciężko wspina się na górę.

– Właz kiosku wolny! – melduje czif.

Przełykam. W oczach występują mi łzy. Ślepi znowu widzą, zatruci powinni łyknąć świeżego powietrza!

Okręt zaczyna się poruszać, chwieje się trochę na obie burty. I już dźwięk: tszwum... tszwum! – Fala uderzyła o kadłub.

Teraz wszystko idzie szybko jak zwykle: główny mechanik melduje: – Okręt na powierzchni! – Z góry woła Stary: – Wyrównać ciśnienie!

Ostry huk. Pokrywa luku odskoczyła. Wyrównanie ciśnienia nie było więc całkowite. Powietrze spada jak zwarta masa. Moje płuca napełniają się nim wśród bólu. Potem zatrzymują się, jakby nie mogły przewyciężyć obfitości tlenu. Zataczam się. Ból w płucach rzuca mnie po prostu na kolana. Święty Boże, co się tam dzieje na górze? Czy zaraz rozbłyszczą pociski oświetlające? Czy Stary coś zobaczył? Dlaczego nie nadchodzą rozkazy?

Okręt zatacza się płytko z jednej burty na drugą. Słyszę pluskające uderzenia małych fal. Okręt dźwięczy pod nimi jak gong.

Wreszcie rozlega się znowu bas Starego: – Przygotować się do szasowania!

Zduszona radość w gardle: szasujemy!

W kółku włazu jest ciemno.

Teraz Stary przekazuje w dół: – Otworzyć odwietrzniki! – A potem jako następny rozkaz: – Siłownia diesli pozostaje w pogotowiu do zanurzenia!

Siłownia pozostaje w pogotowiu do zanurzenia? Mój strach już powrócił. Czy powierzchnia morza nie należy całkowicie do nas? Czy dar, jaki właśnie otrzymaliśmy, może w każdej chwili być znowu zabrany?

Ale ten łyk powietrza należy do mnie. I ten również. Czarne, wilgotne powietrze nocy! Rozszerzam klatkę piersiową, napełniam się do syta, ile tylko płuca mogą zmieścić.

Znowu uderzenia fal: czum... czum... Słucham tego jak kyrie elejson. Mógłbym rzucić się czifowi na szyję.

Nagle z góry słyhać: – Przygotować diesle! – Głośniej, niż potrzeba, krzyczę w kierunku rufy: – Przygotować diesle!

Wołanie przechodzi z ust do ust aż do maszyny. Teraz w przedziale rufowym otwierają przy funkcjonującym dieslu kłapy wydechu, butle sprężonego powietrza, zawory rozruchowe. Badają, czy diesel nabrał wody, przełączają go na wał.

Nadchodzi meldunek o gotowości silnika, a Stary znowu z góry: – Lewy diesel pół naprzód! – Sternik w kiosku powtarza rozkaz jak echo, a ja wykrzykuję go dalej do tyłu: – Lewy diesel pół naprzód!

Już słyszę furczenie powietrza! I pierwsze wstrząsające uderzenie pulsu przebiega przez okręt.

Mój Boże, żeby to tylko dobrze poszło! Stary stawia znowu wszystko na jedną kartę.

Ledwie mogę pojąć, że udało się nam wydostać, że wdycham nocne powietrze, że żyjemy – i już Stary uruchamia diesel. Czy będzie się kierował ku brzegowi?

Diesel zasysa potężnym strumieniem świeże powietrze do okrętu. Włazy wszystkich pomieszczeń są otwarte, by powietrze mogło się dostać do wszystkich zakamarków.

Łoskot silnika przenika mnie całego. Pragnąłbym zasłonić sobie uszy. Przecież nasz silnik słychać aż w Afryce i w Hiszpanii. Tu musi się roić od dozorców! Ale co Stary ma zrobić? Nie możemy występować po cichu. Nie mamy wyboru.

Trafia mnie rozbiegane spojrzenie badacza Pisma Świętego.

Gdybym wiedział, jak tam wygląda na górze! Ale stamtąd nadchodzą tylko zwykłe rozkazy na ster, z których nie mogę sobie wyrobić poglądu.

Stary każe teraz wyjść na pomost starszemu sternikowi. Pierwszy oficer koło mnie również zwrócił twarz ku włazowi. Prawą dłoń trzyma na schodni, a ponieważ ja trzymam lewą, pierwszy owu stoi tam jak moje lustrzane odbicie.

Trzy, cztery komendy na ster w krótkich odstępach czasu, potem rozkaz całkowicie przeciwny: – Ster lewo na burt! Na kurs dwieście pięćdziesiąt!

Sternik wachtowy nie może nadażyć ze swoimi meldunkami. Płacze się. Ale nikt go nie opieprza.

– No, no! – słyszę tylko głos dowódcy. Ostatnie „no” jest przeciągnięte. Nie ma nadmiaru informacji, lecz mogę sobie wyobrazić, że tam ledwie się coś udało.

Zacisnąć zęby. Życzyć sobie mocno, żeby Stary podejmował właściwe decyzje. Ma przecież w tym doświadczenie: małpować przeciwnika, lawirować tuż pod jego nosem, pokazywać wąską sylwetkę, zawsze pozostawać na ciemnym tle, całkowicie według reguł sztuki.

Pierwszy oficer pociąga nosem. Potem oddycha przez szeroko otwarte usta. Mógłby również coś powiedzieć. Ze swoimi przepisami byłby już martwy. Tego, co Stary teraz robi, nie uczy się w żadnej szkole. Nasze obecne zadanie: drogę, którą przeszliśmy na cichych silnikach elektrycznych, musimy przebyć znowu na hałaśliwym dieslu: próba przebicia się na Morze Śródziemne została udaremniona.

Jakby pod przymusem i ja siąkam nosem. Z pewnością wszyscy się zaziębiliśmy. Lewą stopę stawiam na najniższym szczeblu trapu jak na rurę przy barze. Pierwszy robi to samo ze swoją prawą.

Starszy sternik zachowuje się znowu zbyt cicho. Mogę tylko zrozumieć połowę jego meldunków: – Sylwetka... dziesięć stopni! Sylwetka... położenie trzydzieści... zbliża się...

– Wygląda na to, że jest tam ruch jak na Wannsee – słyszę za sobą. Baby-oficer. Może

grać mocnego mężczyznę, ile tylko chce, ale mnie już nie oszuka. Będę zawsze go widział skurczonego w rogu koi, jak leżał całkowicie wykończony, przyciskający do siebie pluszowego pieska.

Teraz drugi podszedł całkiem blisko. Czuję to po jego oddechu.

Wydaje się, że w centrali odbywa się jakiś wiec. Zrozumiałe, że ludzie z wolnej wachty niechętnie przebywają w bardziej odległych pomieszczeniach. Kto może, stwarza pozory, że powinien być w pobliżu kiosku. Na szczęście w ciemności nikt ich nie widzi. Mimo łoskotu diesli słyszę wyraźnie syczenie sprężonego powietrza z małego stalowego cylinderka przy aparacie ratunkowym. I znowu... jeszcze raz. A więc już dwaj przygotowali się do wysiadania.

Serce bije mi głęboko w szyi. Jeśli nas ktoś wykryje... głęboko się zanurzyć tak czy inaczej nie możemy.

Myląca seria komend na ster: – Ster lewo na burt... prawo... zero... tak trzymać... lewo!
– Stary kręci okrętem wte i wewte, wijemy się węzowym szlakiem.

Nie mogę pojąć, że jeszcze nas nie zauważono, nie zaatakowano – że Tomki nie urządzają wielkiego alarmu, że wszystko, co się tylko rusza, nie pędzi zewsząd na nas. Ktoś przecież musi nas słyszeć lub widzieć. Przecież wszyscy nie mogą spać. Czy chroni nas może ten hałasujący diesel? Czy ludzie na dozorowcach uważają nas za angielski okręt? Tomkowe okręty mają przecież inny kształt kiosku. Tak, mówię sobie, jeśli się patrzy z boku, to zgoda. Ale od przodu, przy wąskiej sylwetce, z pewnością nie ma większej różnicy.

Znowu krótkie, ostre furczenie zbiornika sprężonego powietrza przy aparacie ratunkowym. Żebyśmy tylko nie musieli wysiadać!

Rozluźniam w kolanie nogę, na której stoję, jakbym przez to mógł się stać lżejszy i odciążyć nasz okręt.

A jeśli znowu nadleci samolot?

Ale to przecież nie był zwykły lot patrolowy. Z całą pewnością nadano nas! Mogli przecież zliczyć kurs i przygotować się na odpowiednią godzinę. Na dzisiaj nic nie jest zapowiedziane. A więc samoloty pozostają na lotniskach.

Stoimy tak we trzech i ledwie ważymy się oddychać. Zupełnie jak w teatrze: obserwator w górze na wieży melduje w dół, co się dzieje przed jego oczami. I wyraźnie, jak ongiś z teatralnej jaskółki, mogę widzieć teraz cienie odległych okrętów, tak jak opisane przez obserwatora na wieży masy nieprzyjacielskich wojsk. Cienie, które zachodzą na siebie, obracają się, wyrastają coraz wyżej i znowu znikają.

Lecz nasz obserwator znowu milczy. Żeby wreszcie przekazał jakąś wiadomość!

Drugi oficer chrząka i mówi piskliwym głosem: – Przypuszczam, że najpierw solidnie odsadzimy się na zachód.

Stary nie odzywa się już przez dobre pięć minut. Widzę przed sobą obraz mapy: tak, najpierw zrobić duży łuk na zachód, aby uniknąć ruchu wokół Cap Vincent.

Gdybym mógł wyjść na pomost! Widzieć. Widzieć. WIDZIEĆ!

Niebo przynajmniej ma dla tego zrozumienie! Przesłona chmur otwiera się i widać kilka gwiazd. W kole luku przesuwają się z prawa na lewą, z lewa na prawą. Jak mogą się nazywać? Starszy sternik wiedziałby to z miejsca.

Ale starszy sternik jest na górze.

– Lewo dwadzieścia... na dwieście siedemdziesiąt!

Minutę później sternik wachtowy melduje: – Ster leży dwieście siedemdziesiąt.

Już znowu przyzwyczailem się do łoskotu diesla. Ale gdy się wynurzyliśmy, odczułem go jak cios w głowę.

– Pytam o czas! – woła z góry dowódca.

– Dwudziesta pierwsza trzydzieści! – odpowiada sternik wachtowy z kiosku.

A więc minęła już godzina od chwili wyjścia na powierzchnię. Ile wyciąga ten jeden diesel?

Nie wiem nawet dokładnie, z jaką prędkością idziemy. Przy dwóch dieslach rozpoznałbym to po dźwięku, przy jednym nie mam wprawy w rozróżnianiu poszczególnych skal. Jednocześnie ładujemy baterie. Potrzebujemy przecież każdego jonu. Miejmy nadzieję, że parę całych akumulatorów zgromadzi tyle zapasu, by wystarczyło nam na następny dzień. Albowiem jest jasne, jakkolwiek o tym nie mówiono: gdy tylko zacznie się przedświt, musimy zniknąć z powierzchni. Główny mechanik będzie chciał wtedy utrzymać okręt na głębokości peryskopowej. Miejmy nadzieję, że się to uda.

Wreszcie kilka fragmentów z góry: – Nie, starszy sterniku, ten odchodzi. Jestem pewny. Niech pan zwróci uwagę na tego, co się zjawił. Daleko, ale nieładnie wygląda.

Po pięciu minutach dowódca pyta: – Ile leży?

– Leży dwieście siedemdziesiąt!

– Tak trzymać!

– Ile mil wyciągniemy, nim zrobi się jasno? – pytam pierwszego oficera.

Krzywi się: – Może dwadzieścia.

– Idzie całkiem dobrze.

– Chyba tak.

Czuję, że ktoś mnie chwyta za ramię, i wzdrygam się ze strachu.

– Jak tam wygląda? – pyta główny mechanik.

– Ja pana też kiedyś tak złapię po ciemku! – wrywa mi się. – Nieźle wygląda... na moje wyczucie.

– Przebacz, o panie! – mówi czif.

– A u pana, czifie?

– Dziękuję za zainteresowanie. Comme ci, comme ca!

– Naprawdę wyczerpująca informacja!

– Chciałem łyknąć powietrza – wyjaśnia główny mechanik i znika znowu.

– Zdaje się, że u makaroniarzy nie jesteśmy pożądanymi – słyszę za sobą.

To musi być Isenberg z centrali. Słusznie: La Spezia! Całkiem o tym nie myślałem, że chcieliśmy się tam przedostać. Piękne, błękitne Morze Śródziemne. Teraz poczciwy Rommel musi pomyśleć, jak obejdzie się bez posiłków z Włoch. W końcu jesteśmy okrętem atlantyckim. Włosi powinni się troszczyć o Morze Śródziemne.

Czy byliśmy jedynym okrętem? Czy też również inni mają jeszcze dostać lanie?

Kiedy nam się uda odpowiednio odskoczyć na zachód, co potem? Dzień pod wodą, na głębokości peryskopowej, dobrze i pięknie! Ale jak dalej? Nie nadajemy się do nurkowania. Więcej niż zanurzenie peryskopowe okręt nie wytrzyma. Czy nasz nadajnik pracuje? O sygnałach radiowych nie było już mowy. Ile mil morskich mamy do najbliższego francuskiego portu? Czy też Stary zechce dostać się tym zdemolowanym żelazkiem znowu do Vigo, a potem pośle nas piechotą przez Hiszpanię? Teraz wszystkich razem?

Kiedy pogoda się pogorszy, jak przedostaniemy się na tym potłuczonym okręcie przez Biskaje? Płynąć w dzień tak czy inaczej nie można. Nie schowamy się już żadnemu pilotowi, a na Biskajach roi się od samolotów. Ciągłe tylko płynąć nocą, a w dzień pozostawać w zanurzeniu? Owszem, noce są długie, ale czy to się uda?

– Lewo... tak trzymać! – słyszę z góry.

Stary zszedł z kursu. Każe trzymać bardziej na południe. Stary gra: Stary sądzi, że Tomki myślą... mogą myśleć, że jeśli jeszcze więcej okrętów podwodnych będzie chciało się przerwać, spróbują najkrótszej drogi. Wtedy będą przechodziły, jeśli wracają z północnego i środkowego Atlantyku, nie poniżej trzydziestu sześciu stopni, a więc usiłujemy się trzymać na południe od trzydziestego szóstego równoleżnika. Na razie.

Znajdujemy się znowu mniej więcej w okolicy Cap Spartel. Albo już dalej na zachód, jednak na wysokości Cap Spartel. Starszy sternik nie może teraz zliczać kursu. Nikt go nie zastąpi. Więc potem na jego mapie znów będzie brakowało sporego kawałka naszej drogi.

Widzę, że obaj oficerowie wachtowi zniknęli. Ja także z trudem jeszcze utrzymuję się

w pionie. Z góry przychodzi mniej komend na ster. Prawdopodobnie wyminęliśmy już tyraliery dozorowców – nie tknięci.

Jeśli już nie jest tam tak groźnie, powinienem się zdobyć na odwagę...

– Jeden na pomost? – wołam w górę.

– Można – nadlatuje odpowiedź Starego.

Ledwie poruszam kończynami. Jestem całkowicie zeszywniały od długiego stania. Z mozołem przełażę koło sternika wachtowego – jest nim berlińczyk. Wiatr masuje mi twarz, jeszcze nim spojrzałem ponad osłonę pomostu. A teraz zatyka i otwarte usta.

– Nooo? – pyta przeciągle Stary.

Nie mogę wykrztusić słowa. Rozglądam się dokoła: nie ma cieni, nic. Tam – z lewej – połyskuje łańcuch świateł: dziewięć, dziesięć migotliwych świateł. Co to może być? Brzeg afrykański? Nie do pojęcia!

Wyciągam się i patrzę ponad osłonę pomostu. Dziobowa część okrętu migocze w słabym księżycowym świetle. O, nieba, jak pusty jest pokład! Mimo ciemności widzę, że relingi są rozerwane. Z działa pozostała tylko podstawa. Jak też może wyglądać przednia część naszego kiosku? Z pewnością osłona jest w strzępach.

Stary stoi obok mnie i mówi: – Robi wrażenie, co?

– Jak proszę?

– Robi spore wrażenie! – A potem następują pomruki, z których wyławiam: – Kochany Pan Bóg... nie opuszcza swojego złądaczzonego stadka!

Wtedy słyszę starszego sternika: – Zawsze myślałem, że on jest po stronie Anglików. Oni przecież mają whisky!

Nie wierzę moim uszom: marny dowcip.

Ogarnia mnie poczucie nierzeczywistości: to nie jest stara Ziemia. Ślizgamy się po ołowianej powierzchni na jakimś księżycu, który martwy i zimny krąży w kosmosie. Nie ma tu żadnej istoty poza nami. Mam wrażenie, jakbyśmy unosili się tak już od stu lat. Czy nie jesteśmy jeszcze zniweczeni? Czy jesteśmy tymi dawnymi ludźmi? Wciąż tymi samymi? Czy tylko uzyskaliśmy odroczenie? Co to wszystko oznacza?

Przez długie minuty nie wiem, czy to sen, czy jawa. Czuję, jak teraz wszystko się zmienia: czy to była rzeczywistość? Co ja sobie uroiłem? Może to halucynacja ze strachu? W ogóle jak długo trwała ta tortura? Kiedy się ocknąłem? Jak spędziłem tyle godzin? Jak inni to przetrwali?

Najchętniej spytałbym o to naszego sternika.

Jestem osłabiony niby po ciężkiej chorobie, ale krew pulsuje mi gwałtownie w żyłach. W uszach słyszę pukanie serca.

Muszę dotknąć metalu osłony, by odczuć jej drzenie. Nasz diesel rzeczywiście działa. To nie jest złuda! Osiągnęliśmy to. Udało się nam wydostać.

Spostrzegam, że bezwiednie rozwieram i zaciskam dłonie. Gra moich palców daje mi zadośćuczynienie: mogę je uruchomić, kiedy tego chcę. Moje mięśnie reagują. Czuję wyraźnie, jak działają ścięgna i stawy. A teraz przeciągam ręką po czole, by zetrzeć zimny pot.

Starszy sternik odwraca się, nie mówi jednak słowa. Ja też mam zamknięte usta.

Migoczą nowe światełka. Stary daje komendy na ster. Skręcamy wte i wewte, ale kurs generalny pozostaje zachodni. Najpierw nic innego jak uciekać. Zdobywać przestrzeń. Precz z leja!

– Jak długo to jeszcze potrwa, starszy sterniku?

– Dobrą godzinę, panie kapitanie!

Chcę tylko stać i równomiernie napełniać płuca powietrzem, słuchać bicia mego serca, rozglądać się po ledwie widzialnym horyzoncie, słuchać syku odkosów. Właśnie dostałem szprycę. Smakuję językiem: słońca. Moje nerwy smaku reagują. Widzieć, smakować, słyszeć, wachać nocne powietrze. Czuć ruchy okrętu. Wszystkie moje zmysły funkcjonują – żyję!

Odczuwam gwałtowny nacisk na pęcherz. Najchętniej poszedłbym do ogródka zimowego za pomostem, jak to jest w zwyczaju. Ale nie wiem – wydaje mi się to teraz niewłaściwe. Nieodpowiedni czas na to. Staremu mogłoby się nie podobać. Jakaś chwilę jeszcze wytrzymam, z całą pewnością.

Zadzieram głowę. Tu i tam parę gwiazd. Postrzępiona zasłona chmur, która mało się porusza i przyciemnia sierp księżyca. Tak przesuwamy się przez noc. Urodzeni na nowo, o których nikt nie wie. W Kernevélu uchodzimy za zatopionych. Tomki z pewnością zaraz zameldowali. Oni przecież mogą nadawać przez radio, ile tylko zechcą. My nie. Mówiło się wprawdzie, że radio może mogłoby znowu działać, ale będziemy się strzegli, by nie wydać choćby jednego dźwięku. Anglicy są zbyt czujni, namierzają nawet najkrótszy sygnał.

– No, pięknie – mamrocze Stary. – Jeszcze godzina, a potem ruszymy na całego!

Przykłada szkła do oczu, a później mówi: – Myślę, że moglibyśmy wezwać wachtę, co, starszy sterniku?

– Również tak sędzę, panie kapitanie!

– Druga wachta przygotować się! – woła dowódca w dół. – No? – pyta mnie później.

– Nie mogę pojąć!

– Czego mianowicie?

– Że pozwalają nam tutaj łązić!

– Ja również nie – mówi sucho Stary. – Ale typowe. Moje stare hasło: nie rezygnować!

Mnie by się to nie zdarzyło.

– Co?

– Żebyśmy mogli tu znowu płynąć! Nie rezygnować, jeśli jeszcze nie wypłynęła czapka dowódcy... To stara zasada.

Ze zdumienia otwieram usta. Fachowa krytyka działań. Gdybyśmy więc mieli do czynienia ze Starym, zostalibyśmy zatłuczeni dokładnie i nieodwołalnie. Stary by nas lepiej obsłużył.

– Pan powinien się położyć – zwraca się do mnie dowódca. Mówi z trudem, jak pijany, który udziela rad innemu pijanemu, ponieważ sam uważa się za trzeźwego.

– Jakoś się jeszcze trzymam – odpowiadam niefrasobliwie, gdy jednak słyszę, że druga wachta jest gotowa, odmeldowuję się z pomostu.

Śmierzące wiadra zniknęły. Wapno chlorowane również. Normalne stosunki. Wentylatory szumią. Wszystko oczyszczone. Ustęp jakby cudem jest wolny.

W mesie P panuje cisza, trzy zasłony zaciągnięte. Tak jak stoję, ze wszystkimi łańcuchami na sobie, włożę na swoją koję. Aparat ratunkowy wsuwam w nogi koi, nie zapakowując go. Teraz przeszkadza mi jeszcze pochłaniacz ze słoniową trąbą. Co z nim zrobić? Najchętniej wyrzuciłbym go zaraz za burtę. Nie chcę widzieć tej aluminiowej skrzynki. A gdzie schowali te rzeczy inni? Postawili je sztorcem przy ścianie. Dobra, niech będzie.

W moich snach grzmiały wybuchy. Jestem dudniącym bębniem, olbrzymim i blaszanym. Pałeczki są czymś w rodzaju potężnych cepów. We mnie – bębnie – obracają się ogniste koła, w środku białe jak magnezja, zewnątrz różowe. Wirując, rzucają one na pierścień bębna krwawoczerwone bryzgi. Bęben stoi między olbrzymimi płomiennymi daliami, w alei płomiennych dali. Na jej końcu w magnezjowym świetle zmartwychwstający Chrystus Grünewalda. Nad nim, na złotobrazowym i zielonkawym tle, promienna różowa aureola, która sięga aż do zenitu. Rakiety strzelają z obu stron nad wirującymi ognistymi kołami i płomiennymi daliami. Cała ziemia iskrzy i błyska, lecz ciągle strzelają w górę chińskie ogniste race.

Nagle werbel się urywa. Kto w ogóle bębnił? Z obu stron z grubych brązowych rusznic, jak na święcie bractwa kurkowego, ktoś wystrzeliwuje wielkie, żarzące się kule w stronę bębna, ale żadna nie trafia. Race furkoczą i syczą. Słusznie: kiedy przyglądam się

dokładnie, jaśniejąca postać w błękitnym gazowym świetle na końcu ognistej alei wcale nie jest Jezusem Chrystusem, tylko naszym Starym. W swoich postrzępionych łachach staje na całą wysokość, bije się po udach i śmieje przy tym na całe gardło. To strzelanie z rusznic tak go bawi.

Nagle dwa pociski trafiają jednocześnie po obu bokach mojego bębna. Blacha pęka. Sypiąc iskrami, kule zderzają się we mnie z trzaskiem. Zderzeniu towarzyszy przeciągły łoskot.

– Co jest, co jest? – jękam i gwałtownie odsuwam zasłonę. Znowu kilka głuchych, przeciągłych grzmotów!

W dole, koło stołu, ktoś siedzi. Teraz zwraca ku mnie twarz. Mrugam powiekami i rozpoznaję motorzystę Kleinschmidta.

– Rąbią w kogoś!

– Co za cholera!

– O nas chyba im nie chodzi... To trwa już od pół godziny! – A która jest?

– Jedenasta trzydzieści!

– Więc co? Dlaczego?

– Jedenasta trzydzieści... Zgadza się dokładnie!

Kleinschmidt, obracając się, podnosi prawe ramię: mam się upewnić na jego zegarku.

Wtedy spostrzegam, że znowu mam swój zegarek. Trzepnąłbym się dłonią po czole: zwariowałem, całkiem zwariowałem... Jestem zmieszany: poza Kleinschmidtem nikogo tu nie ma. Czy jednak? Zasłony przy kojach po drugiej stronie są zaciągnięte.

W kogoś rąbią! Przecież teraz na górze musi być już widno. Jedenasta trzydzieści... przecież nie w nocy! Nie mogę już wierzyć w moje poczucie czasu. Jestem całkiem roztrzęsiony. Co jest? W dzień przecież nikt tędy nie może próbować przejścia?

Znowu seria wybuchów! – Może na postrach – mówię do Kleinschmidta. – Ale powinni już przestać, to mnie całkiem wkurza!

Podnoszę się i przetaczam przez kratę koi. Chcę do centrali. Zobaczyć, co się dzieje.

Mat przejął funkcję rachmistrza bomb, ponieważ starszy sternik śpi. Liczy głośno:

– Trzydzieści trzy, trzydzieści cztery, trzydzieści pięć, trzydzieści sześć... trzydzieści osiem.

Ostatnie dwie bomby zostały zrzucone jednocześnie.

Pierwszy oficer jest również w centrali. Przykucnął na skrzyni i nasłuchuje. Ma na sobie drelichową kurtkę. Skąd ją wytrzasnął? To nie jest odpowiedni strój, do jakiego się u niego przyzwyczailiśmy. Na brodzie ma długą szczecinę. Oświetlenie pulpitu powoduje, że

jego oczy tkwią głęboko w ciemnych oczodołach: wygląda jak nieboszczyk! Powinien tylko wyszczerzyć zęby.

– Czterdzieści, czterdzieści dwa, czterdzieści cztery... Ale tłuką!

– Jak daleko?

– Cały promień – mówi mat.

– Co najmniej piętnaście mil morskich – wyjaśnia pierwszy oficer.

Niepokoi mnie, że dowódca nie ma w centrali. A główny mechanik jest? Czy też może wreszcie śpi? Obaj sternicy głębokości przycupnęli bez ruchu przy swoich guziczkach. Nie wykazują żadnego zainteresowania, jakby dawno zasnęli.

Cała seria wybuchów łączy się w jeden przeciągły grzmot.

– Daleko! – słyszę za plecami burkliwy głos dowódcy. Ma na sobie tylko koszulę i spodnie. Twarz wykrzywił w potępiającym grymasie. Za Starym widzę starszego sternika. A teraz zjawia się również główny mechanik.

– Gówno! – mruczy czif w przerwach między bombami. – Gówno... gówno... gówno!
– Zupełnie jak niegrzeczne dziecko.

Czy zajmują się może naszym śladem ropy? Dla innego okrętu te bomby nie są chyba przeznaczone. Jest przecież jasny dzień!

– Zbliżają się – mówi starszy sternik.

Tego jeszcze było potrzeba! Manipulator steru chodzi o wiele za głośno! Wszystko w tym okręcie jest za głośne.

Stary macha dłonią i mamrocze: – Taka bzdura!

Nagle łomoty urywają się. Zupełnie jakby machnięcie dłońmi Starego położyło im kres.

– Prawdopodobnie nadliczbowe zapasy – kpi Stary. – Muszą się ich pozbyć! W najprostszym sposobie.

Dowódca znika znowu.

Rzucam okiem na mapę morską. Zdumiewające – starszy sternik załatał na niej brakujący kawałek drogi. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby pozycja okrętu, którą naniósł o szóstej rano, opierała się na obserwacjach astronomicznych. Jak znam starszego sternika, ustrzelił jeszcze szybko odpowiednie gwiazdy, zanim zszedł z pomostu.

Na mapie wszystko wygląda prosto. Robiliśmy już całkiem inne, bardziej skomplikowane zygzaki niż ten. Na papenbergu widzę, że jesteśmy na głębokości dwudziestu metrów.

Herrmann ma dyżur w przedziale podsłuchu. Obrzuca mnie nieruchomym spojrzeniem sowy.

Ładny ranek – miałem ochotę powiedzieć do jego prawie całkowicie zdrętwiałej twarzy. Przy tym jest już południe. Teraz nie należy przeszkadzać Herrmannowi. Powinien słuchać, podsłuchiwać. Jego dwie słuchawki muszą zastąpić cztery lornety, jego bębni uszne – osiem oczu.

Jak to powiedział mat z centrali? „Kuśtykać na szczudłach do domu – to nie dla mnie”! Tak, to właściwe określenie: kuśtykać do domu! – Od Berezyny na szczudłach z powrotem. „Z końmi, wozami, ludem, pobici Bożym cudem”. Wiara, miłość, nadzieja – te trzy! Ale nadzieja między nimi jest najważniejsza.

Dowódca zaciągnął zasłonę. Przemykam się obok na palcach.

W mesie oficerskiej drzemie drugi owu. Jednak główny mechanik nie leży na swojej koi. Jeśli do tej pory nie spał, musi się nadawać do szpitala wariatów. Przed dwunastoma godzinami czif był prawie nieżywy ze zmęczenia. Od starszego sternika wiem, że z żoną naszego czifa właśnie teraz musi być podobnie. Co za czasy: we Flensburgu w klinice żona, a główny mechanik w Atlantyku między zdemolowanymi maszynami na dwudziestu metrach głębokości i na skraju szaleństwa.

Jestem śmiertelnie zmęczony. Nie mam nawet siły dowlec się z powrotem do mesy P. Półprzytomnie opadam w kącie koi głównego mechanika.

Budzi mnie stołowy. Prawdopodobnie próbował tego już od dłuższej chwili. Czułem wyraźnie, jak mną potrząsnął i jak znowu odpływałem na fali snu. Usta stołowego są blisko mojej twarzy: – Za pięć dwunasta, panie poruczniku!

Zaciskam powieki z całej siły, a potem gwałtownie otwieram oczy.

– Tak?

– Za pięć dwunasta, panie poruczniku!

– Pewnie jest coś do jedzenia?

– Tak jest, panie poruczniku!

Słyszę jak dowódca rozmawia obok z hydroakustykiem. Ma zachrypły głos pijaka. Teraz podchodzi.

– No? – I to jest wszystko, co mówi.

Zaczerwienione oczy, drgające powieki, obrzmiała twarz, mokre włosy i mokra broda: pewnie wsadził głowę pod kran.

Wreszcie otwiera usta: – Co dziś mamy?

– Rolada wołowa z czerwoną kapustą – odpowiada stołowy.

To wariat ten kuk. Liczyłem w najlepszym wypadku na kiełbasę z puszki, ale nie na świąteczne jedzenie.

– Hm – burczy Stary. Pochylił się do tyłu i mruga do sufitu.

– Gdzie jest czif? – pytam.

– Przy swoich ukochanych maszynach, oczywiście. Zasnął skurczony między dieslami. Ludzie położyli go na materacu. Tam też i powinien zostać.

Trzy parujące miski zjawiają się na stole. Stary wciąga nosem zapach rolady.

Znowu kilka głuchych detonacji. Czy to się nigdy nie skończy?

Dowódca wykrzywił twarz. Przygryza dolną wargę. Po kolejnych dwóch wybuchach mówi: – Naprawdę nużąca ta pukanina! Zupełnie jakby już był sylwester!

Stary zamyka oczy, potem przeciera sobie twarz dłonią i ugniata ją jak zmywak. Wskazującymi palcami przyciska sobie oczy, a wreszcie prawą dłonią jak grzebieniem przeciąga po brodzie.

Wskutek tych zabiegów jego twarz nabiera barwy, która jednak utrzymuje się tylko przez chwilę. Już znowu skóra robi się blada, a oczy jeszcze bardziej zaczerwienione.

– A drugi mechanik... Gdzie on jest?

Dowódca ziewa. Wśród ziewania mówi: – Również w maszynie... tam w końcu jest jeszcze coś niecoś do majstrowania.

Ziewa ponownie. Zadziera głowę i wierzchem prawej dłoni kilka razy uderza się po szeroko otwartych ustach, przez co dźwięk ziewania tryluje.

– Został pierwszorzędnie wprowadzony. Teraz przynajmniej wie, co go czeka! – mówi Stary, gdy już się wreszcie wyziewał. Nadziewa na widelec kawałek rolady, ostrożnie podnosi ją do ust: gorąca.

– Szumy śrub z prawej, dziewięćdziesiąt stopni! – woła hydroakustyk.

Stary wstaje natychmiast i przechodzi do podsłuchu. Stoi w przejściu, opierając lewe ramię o gródź.

– Głośniej czy ciszej? – pyta niecierpliwie.

– Jednakowo! Turbina! Jeszcze dość słabo... teraz głośniej. Stary przykuca, głowa hydroakustyka pochyla się ku niemu tak blisko, jakby coś chciał mu szepnąć do ucha. Zdjął słuchawki i jedną z nich przekreślił, żeby mógł ją sobie przycisnąć do lewego ucha, a dowódca drugą do prawego. Kabłąk słuchawek wysklepia się jak klamra między obu głowami. Nic się nie dzieje. Nie pada ani jedno słowo.

Powoli kieruję spojrzenie na nasz stół. Połowa mojej rolady leży między kupką

czerwonej kapusty i kupką ziemniaków. Naraz wygląda komicznie. Mam jeszcze nóż i widelec w rękach, ale... przecież nie mogę po prostu jeść dalej.

– Odchodzi! – To był głos hydroakustyka. Po stękaniu i trzasku w stawach orientuję się, że Stary znowu wstaje.

– Mogliby przynajmniej dać nam spokojnie zjeść – mówi, przeciskając się do stołu.

Ledwie zdążył usiąść, hydroakustyk melduje o nowych szumach: – Sto siedemdziesiąt stopni!

– A było już tak ładnie cicho! – mówi dowódca z wyrzutem. A potem: – Poczekajmy!

Łyka dwa czy trzy kęsy. Decyduję się również jeść dalej. Całkiem ostrożnie, żeby nie robić hałasu nakryciami.

Że Tomki także wtedy, kiedy my chcemy pochłonąć dobrą roladę, troszczą się o akustyczne efekty, Stary uważa za zwykłą szykanę. – Zimne! – mówi z oburzeniem, włożywszy sobie do ust nowy kawałek. Uporczywie przez parę minut wpatruje się w jedzenie, potem odsuwa talerz.

Wybuchy bomb głębinowych, a do tego bliskie już szumy śrub wyraźnie działają na nerwy Staremu. Możliwe, że Tomki zajmują się jednak naszym wyciekem ropy. Skąd możemy wiedzieć, czy nie ciągniemy za sobą śladu? Wprawdzie ten duży wyciek prąd już od dawna musiał znieść w stronę Morza Śródziemnego, lecz możliwe, że ropa nadal wypływa!

Pierwszy oficer zjadł wszystko starannie, położył nóż i widelec równolegle na talerzu. Pierwszy wyznaje się na subtelnych obyczajach. Stołowego także wyszkolił: „Kiedy skrzyżowałem nakrycie, to oznacza, że jeszcze będę jadł!”

– Sprzątać! – mówi dowódca, podnosi się i steruje do centrali. Ledwie przysiadł na skrzyni z mapami, pada sześć bomb. Słysząc je jak odległy grzmot.

Stół w mesie podoficerskiej wygląda obrzydliwie: tylko trzech ludzi jadło, ale za to jak świnie. Dla innych miski z zimnym jedzeniem stoją między brudnymi talerzami. Prawdopodobnie ludzie są tak wykończeni, że nie potrafią utrzymać już porządku.

Chciałem nieco wygodniej wejść na koję, ale w tym ohydny bałaganie mam trudności ze znalezieniem na stole miejsca na moją prawą nogę.

Owadzie brzęczenie silników elektrycznych przerywają znowu trzy wybuchy bomb głębinowych. Uświadamiam sobie, dlaczego po każdym dudnieniu bomby w pomieszczeniu panuje taka cmentarna cisza: nie ma już rzępolenia muzyki z głośnika. Od czasu bomby lotniczej to się skończyło. Trafienie miało więc swoje dobre strony.

Jeszcze pospać parę godzin, to by właśnie było to! To dobrodziejstwo: wyciągnąć się, podkulić palce i znowu wyprostować. W naszej sytuacji nawet samo leżenie wystarczy do

pełni szczęścia. Wzdrygam się na myśl, że musielibyśmy już od wielu godzin pływać w morzu, gdyby Stary nie był taki uparty. Chłodna gra va banque, a gracz wie, co pływająca podkładka jest warta, nawet najbardziej zdemolowana.

Jest siedemnasta trzydzieści, gdy się budzę. Dziwne, że idziemy kursem trzydziestu stopni. Stary chce więc znowu zbliżyć się do brzegu. Gdybyśmy szli tak dalej, dotarlibyśmy prosto do Lizbony.

Ile to już czasu minęło, gdy zawołano mnie nocą na pomost, bo mieliśmy Lizbonę na trawersie?

Prawdopodobnie tuż koło brzegu będzie dla nas najbezpieczniej. W ostateczności można sztrandować, to pewnie Stary ma na myśli. Całkiem możliwe. Ale jak go znam, spróbuje wszystkiego, by się przedrzeć.

W końcu nasz okręt jest całkowicie wyposażony. Duży zapas paliwa, mimo ubytków wskutek wycieku. Komplet torped i mnóstwo jedzenia. Tego wszystkiego Stary łatwo nie porzuci.

Do marszu przez Biskaje Cap Finistere byłby podstawą wyjściową. Czy Stary waży się na taki skok?

– Przygotować się do wynurzenia! – słyszę z centrali. Rozkaz przechodzi echem z ust do ust. Ponieważ w mesie SP nikt się nie rusza, wstaję, kuśtykam przejściem, otwieram właz do dziobowego i ryczę w półmrok: – Przygotować się do wynurzenia!

Zaczyna się zwykły rytuał. Kolej na drugą wachtę. Godzina ósma dziesięć. A więc pozostaje tylko dwie godziny do końca tej wachty.

Tłok w centrali. Znowu musimy wynurzać się na ślepo.

– Kiosk wolny!

– Wyrównać ciśnienie!

Pokrywa luku odskakuje. Dowódca jako pierwszy wychodzi na górę. Już wydaje rozkaz do siłowni. Okręt zaczyna drżeć. Znowu idziemy na silniku spalinowym, kurs trzydzieści stopni.

Wyłażę po drugim oficerze. Rozglądam się szybko: jesteśmy sami w kole widnokregu. Horyzont jest wyraźny. Czarne, nocne morze odcina się o jeden odcień od jaśniejszego nieba. Słaby wiatr.

Wciągam tyle nocnego powietrza, ile tylko płuca mogą pomieścić. Nie mam go dosyć. Można je żuć. Moje zęby rozgryzają to czarne powietrze. Bryzgi wody uderzają mnie w twarz. Tak, temu czarnemu powietrzu nie zaszkodzi trochę soli!

Przy dziobie mamy połyskującą blado brodę piany. Coraz ta fala chlusta na okręt, a nasza blaszana osłona brzęczy głucho jak gong.

– Zaraz znowu będzie Lizbona na trawersie – oznajmia Stary.

– Tym razem jednak z prawej – mówię i myślę sobie: Gdyby to tylko była ta jedna różnica!

Przed kolacją przechodzę przez centralę.

– Ten nowy typ wygląda, jakby upadł na pysk. Coś mu zmieniłeś w uzębieniu? – pyta Dorian mata z centrali. Słusznie, badaczowi Pisma Świętego brakuje z przodu dwóch zębów. Mat nie odpowiada.

– Należało mu się! – dodaje mu odwagi berlińczyk. – I pewnie jeszcze oberwie.

Widzę wyraźnie, jak w Isenbergu wzbiera wściekłość. Opanowuje się z trudem: – Ach, nie pleć głupstw! – parska ze złością.

Na kolację zjawia się główny mechanik. Nie mogę na niego patrzeć, tak jest wynędzniały.

– Z pewnością mieli radar – mówi Stary do czifa.

Radar. Duże okręty wszystkie mają radar: te wielkie obrotowe materace na maszcie. „Bismarck” wykrył „Hooda” radarem i zdmuchnął go z powierzchni, choć nawet jeden czubek masztu „Hooda” nie wystawał nad horyzontem. Tomki prawdopodobnie umieją już tak skurczyć te olbrzymie urządzenia, jak Japończycy swoje drzewa. Japońskie karłowate drzewka, a teraz Tomki z karłowatym radarem, tak małym, że cały ten kram zmieści się w kabinie samolotu. I z pewnością nie mamy nic, by się temu przeciwstawić.

Ciekawe, kiedy Simone się dowie o tym. Jej ludzie są informowani na bieżąco. Jej ludzie? Dałbym wiele, by wiedzieć, czy rzeczywiście zaangażowała się u maquis, czy nie. Powinniśmy już od dawna być z powrotem. W tym roku żaden okręt nie przebywał tak długo na Atlantyku, nawet jeśli odliczyć tę awanturę gibraltarską.

Nie mówimy ani słowa o Gibraltarze. Nikt nie pozwala sobie na najmniejszą aluzję. Wydaje się, że godziny, które spędziliśmy na dnie, są tabu.

Również chłopaki zachowują milczenie. Gibraltar odcisnął swe piętno na twarzach. I teraz jeszcze w zachowaniu się wielu z nich widać jawny strach. Każdy wie: nie możemy się głębiej zanurzyć. Więcej niż peryskopowe okręt nie wytrzyma. Mnóstwo wręgów pękło. Okręt jest miękki jak hamak, to właściwie pływający po morzu wrak. Wszyscy boją się, że nie znieśie drogi przez zimowe sztormy Biskajów. Na nasze szczęście Tomki są pewni, że nas rozłupali, i nie wysyłają za nami żadnych grup poszukujących.

Dopiero następnego dnia słyszę strzępy rozmowy w mesie P.

– Myślisz, że będę srał w portki, jeśli nie dostaniemy osłony myśliwców?

Na to nie ma odpowiedzi.

– Śliczna odległość! – mówi Dorian po chwili, tak lekko, jak to tylko możliwe.

– I to właśnie przez Biskaje na tym żelazku – wtrąca Kleinschmidt.

– Spokój! – To był Frenssen. Prawdopodobnie przypomniał sobie o swoim autorytecie.

– Będzie grało, gorsze rzeczy już grały. Nie ma powodu do nerwów, nie?

– Ile mil jest do następnej bazy? – chce wiedzieć Głuchaczek.

– Co uważasz za następną?

– No, tylko popatrzcie na matrosa. Nie myślisz pewnie, że dostaniemy się do St.-Nazaire? Chyba nie byłeś na rufie? Na tej kupie złomu nie możemy już robić dużych przelotów!

Dryfuję w wodzie, kołysze mnie łagodnie, porywany przez wir obracam się szybko wokół własnej osi. Przy tym potężnie wciąga mnie w dół. Pod powierzchnią wszystko jest srebrne. Srebrna grotka księżycowa. Unoszą się jasne pęcherze jak w wodzie sodowej z sokiem. Rozpoznaję jednak, że to wszystko nie jest prawdziwe, tylko zrobione ze zgniecionego srebrnego papieru, iskrzące turnie są ze srebrnego papieru. Kicz. Uciekaj stąd, mówię sobie. Muszę uważać, żeby przy odbijaniu się od dna nie skaleczyć sobie stopy. Wśród srebrzystych pereł płynę swobodnie jak ryba w górę. Powierzchnia pęka z ostrym hukiem. Biję ramionami, chwytam powietrze, budzę się i czuję czyjś mocny chwyt na ramieniu.

Nagły strach przenika mnie do głębi: – Co się stało?

Turbo z centrali chwytą moje przerażone spojrzenie. Nie słychać hałasu diesli ani szumu maszyn elektrycznych. Cisza na okręcie.

– Co jest?

Twarz Turbo pozostaje zwrócona ku mnie.

– Człowieku, powiedz wreszcie, co się dzieje!

– Stoimy.

Stoimy? Jak? Nawet we śnie zarejestrowałem każdą zmianę skali prędkości A teraz nie usłyszałem stopowania silnika.

Dźwięk jakby ciosów pięści na worku z piaskiem, potem ssące ciamkanie: fale, które uderzają o balasty. Okręt kołysze się lekko.

– Pan ma wyjść na pomost.

Mat z centrali jest człowiekiem pełnym względów. Swą informację podzielił na łatwe

do przełknięcia kawałki i czeka, aż wchłonę pierwszy z nich, zanim podrzuci mi następny: – Dowódca jest na górze... pan również ma zaraz tam iść... Mianowicie, zatrzymaliśmy statek.

Dla wzmocnienia kiwa głową i cofa się, by uniknąć dalszych pytań.

Zatrzymaliśmy statek? Zatrzymaliśmy statek... Stary zwariował?... Zatrzymaliśmy statek? Co mają oznaczać te idiotyzmy? Jakiś nowy numer w programie? Dowcip z czasów króla Ćwieczka? Zatrzymaliśmy statek! Wojna morską według przepisów o przyzach?

Nie panuję nad swoimi kończynami. Przy przechyle okrętu przewracam się, mając prawą stopę wsuniętą do połowy w but. Teraz pokład kiwa się w drugą stronę. Zostaję rzucony na kratę koi. Do pioruna! Ale teraz szybko nałożyć kurtkę i dalej przez właz.

W centrali przycupnęło przynajmniej dwóch ludzi. Przekrzywiając głowę, wołam do góry: – Jeden na pomost?

Natychmiast słyszę odpowiedź: – Tak jest!

Wilgotny wiatr. Wygwieżdżone niebo. W ciemności bryłowate kształty: dowódca, starszy sternik, pierwszy oficer. Szybki rzut oka ponad osłonę: a niech to diabli... ja cię pier... Dokładnie nad spychaczem sieci widzę olbrzymi statek. Położenie dziewięćdziesiąt, dziób w lewo. Jasno oświetlony od dziobu do rufy. Statek pasażerski. Przynajmniej dwanaście tysięcy BRT, jeśli nie więcej! Po prostu stoi! Zastopowany! Tysiąc migotliwych białozółtych refleksów na czarnej wodzie.

– Zajmuję się nim już od godziny – burczy Stary, nie odwracając głowy.

Powietrze lodowate. Przenika mnie dreszcz. Starszy sternik podaje mi szkła. Po kilku minutach Stary znowu się odzywa: – Zastopowaliśmy go dokładnie przed pięćdziesięcioma pięcioma minutami.

Stary ma szkła przy oczach. Starszy sternik oświadcza półgłosem: – Migaczem przekazaliśmy mu... – Włącza się dowódca: – ...przekazaliśmy, że mu wrąbiemy torpedę, jeśli będzie nadawał. Prawdopodobnie wcale nie nadawał. A potem miał nam podać swoją nazwę. Ale nazwa się nie zgadza. „Reina Victoria”... coś tak hiszpańskiego. Pierwszy oficer nie odnalazł jej w rejestrze. Źle się dzieje w państwie duńskim!

– Ale ta pełna iluminacja? – wrywa mi się.

– Nie ma lepszego kamuflażu niż zapalić wszystkie lampy i udawać neutralnego!

Starszy sternik chrząka: – Komiczne – mówi, nie opuszczając lornety.

– Trochę więcej niż komiczne... jak na mój gust – burczy dowódca. – Gdybyśmy tylko wiedzieli, czy ta łajba jest meldowana. Zapytaliśmy. Sygnał radiowy wyszedł już od dawna.

Więc Stary nadawał przez radio! Niech to zaraza. Czy musiał?

– Jeszcze nie ma odpowiedzi. Albo coś nie w porządku z naszym nadajnikiem.

Nie mogę tego pojąć. W takiej sytuacji wysłać sygnał radiowy! Żeby nas namierzono!

Jakby słysząc moje myśli, Stary mówi: – Muszę mieć pewność.

Znowu odnoszę wrażenie, że straciłem kontakt z rzeczywistością, że ten olbrzymi statek jest tylko zjawą, że zaraz coś huknie, a potem: odetchnąć, śmiech, koniec przedstawienia.

– Od pół godziny wie, że będzie storpedowany, jeśli nie wyśle łodzi – warczy Stary.

Pierwszy oficer również trzyma szkła przy oczach. Nic nie mówi. W mojej głowie obraca się okrętowa śruba na luzie: to przecież jest szaleństwo, zwykłe szaleństwo. Tuż za spychaczem sieci ten olbrzymi parowiec! Na rozwalonym żelazku bawimy się w wojnę kaperską. Czy Starego opuściły wszystkie dobre duchy?

– Prowadzimy podsłuch na jego częstotliwości. Ale diabli wiedzą, co to wszystko znaczy. Panie pierwszy, niech pan jeszcze raz przekaże po angielsku: jeśli łódź nie zjawi się tu za dziesięć minut, dostaną torpedę w ryło. Czas, starszy sterniku?

– Trzecia dwadzieścia!

– Niech mi pan zamelduje, kiedy będzie trzecia trzydzieści.

Dopiero teraz widzę, że radzik Hinrich jest na pomoście. Trzymając w obu rękach ciężki migacz, wysunął się ponad osłonę i w nocną ciemność wypuszcza świetlne sztylety ku statkowi.

– Cholerne świństwo! – klnie Stary, bowiem z przeciwka nie ma znaku zrozumienia. – To przecież... to przecież jest już szczyt wszystkiego!

Radzik musi trzykrotnie powtórzyć wezwanie, nim wreszcie rozbłyskuje reflektor sygnałowy między licznymi jasnymi iluminatorami statku. Pierwszy oficer szepcze do radzika litera po literze. Krótkie sztylety światła... długie sztylety światła... krótkie, długie...

Znowu trwa całą wieczność, aż z przeciwka nadchodzi odpowiedź. Stary jakby na przekór nie odczytuje jej.

– A więc co? – pyta wreszcie ze złością pierwszego oficera.

– On przekazał, że mocno pracuje, panie kapitanie.

– Mocno pracuje! Mocno pracuje! Co to w ogóle znaczy? Najpierw podaje fałszywą nazwę, a teraz takie idiotyzmy. Czas, starszy sterniku?

– Trzecia dwadzieścia pięć!

– To już bezczelność: podawać fałszywą nazwę, udawać durnia, nic nie przedsięwziąć...

Dowódca przestępuje z nogi na nogę, ręce głęboko w bocznych kieszeniach skórzanej

kurtki, głowa pochylona. Widzę wyraźnie jego półprofil na tle odbijających się w wodzie świateł. Nieruchomym wzrokiem wpatruje się w statek.

Nikt nie waży się powiedzieć słowa. Słychać tylko pluskanie fal o zbiornik balastowy, aż wreszcie dowódca skrzeczącym głosem wrzeszczy znowu: – Co to ma w ogóle znaczyć: mocno pracuje?

Z dołu pyta główny mechanik: – Co robimy?

– Jeśli za pięć minut nie będzie tu łodzi, rąbnę w niego – mówi z wysiłkiem Stary.

Widzę wyraźnie, że od starszego sternika oczekuje potwierdzenia swoich zamiarów. Ale starszy sternik milczy. Przykłada szkła do oczu, opuszcza, poza tym nie robi innych ruchów. Mijają minuty. Dowódca znowu zwraca się do starszego sternika. Ten chce szybko podnieść lornetę. Za późno – teraz musi się wypowiedzieć: – Ja... ja... nie mam określonego zdania, panie kapitanie. Nie wiadomo przecież...

– Czego nie wiadomo? – przerywa mu gwałtownie Stary.

– Coś tu nie gra – mówi starszy sternik ostrożnie.

– Jestem tego samego zdania! – odpowiada dowódca. – Świadomie zwlekają. Ściągają niszczyciela. Albo samoloty.

Stary mówi, jakby musiał przekonywać samego siebie. Potem słychać utykający głos starszego sternika: – ...jeszcze poczekać.

Widzę szeregi świecących żółtawych iluminatorów, wilgotny nocny wiatr dmie mi w twarz, jak ślepy ostrożnie macam wilgotny metal nadburcia pomostu, wyczuwam kołysanie okrętu. Słyszę plusk i uderzenia fal o balasty, od czasu do czasu syczenie, jakby ktoś polał gorące płyty. Węszę zapach jodu, wilgotne nocne powietrze. Także odór ropy mogę odróżnić. Wszystkie moje zmysły działają, a jednak zdaje mi się, jakbym był tylko w połowie przytomny, jakbym nie mógł wierzyć moim wrażeniom: fałszywy czar, iluzja, omam, fatamorgana.

Z naszą rozwaloną rurą nie możemy bawić się w wojnę kaperską. Stary nie może już stosować pokerowych zagrywek. Szczęście, że nie mamy armaty. On potrafiłby rąbać z działa na całą okolicę, aby odpowiednio rozruszać ludzi na tym statku-widmie.

– Woda do wyrzutni pierwszej!

Ten lodowaty głos! Stary stoi za mną, nieco z boku. Czuję jego niecierpliwość w moim kręgosłupie. Obfity plon szaleństwa. To nie będzie atak. To jarmarczna strzelnica. Przeciwnik stoi. My stoimy. Mała odległość. Można powiedzieć, że mamy wylot lufy karabinu tuż przy tarczy.

Dwie fale z głuchym dźwiękiem gongu uderzają w krótkim odstępie w zbiornik

balastowy. Od ponurego brzęku pęka mi głowa. A teraz znowu cisza. Słyszeć tylko urywany oddech. To chyba nie jest starszy sternik?

Nagle Stary mówi głośno i ostro: – Teraz już mam dosyć, starszy sterniku! Czy coś widać?

– Nie, panie kapitanie – odpowiada Kriechbaum, nie opuszczając szkieł, tym razem z akcentowaną stanowczością. Sekundowa przerwa, a potem dodaje już o wiele ciszej: – Nie wiem jednak...

– Co to jest, starszy sterniku! Widzi pan coś... czy nie widzi?

Trzymając przy ustach dłonie w rękawiczkach, starszy sternik odpowiada z wahaniem: – Nie, panie kapitanie. Nic nie widać.

– Więc co mają oznaczać te metafizyczne rozważania?

Znowu parę tchnień ciszy, w której plusk fal brzmi nienaturalnie głośno.

– A więc dobrze! – wykrztusza dowódca, jakby ogarnięty gwałtowną wściekłością, i daje rozkaz: – Wyrzutnia pierwsza... przygotować się do strzału!

Dowódca robi głęboki wdech, a potem podaje półgłosem, jakby chodziło o drobnostkę, która nie wymaga szczegółowego podkreślenia, rozkaz ogniowy do wyrzutni pierwszej.

Wyraźne szarpnięcie przenika okręt: torpeda opuściła wyrzutnię.

– Odpalenie z wyrzutni pierwszej nastąpiło elektrycznie! – nadchodzi meldunek z dołu.

Starszy sternik odkłada szkła. Pierwszy oficer również. Stoimy jak wrośnięci w ziemię, twarze zwrócone ku iskrzącym rzędom iluminatorów.

Boże, co teraz będzie? Ten olbrzymi statek! Pasażerski! Z pewnością pełen ludzi we wszystkich zakamarkach. Zaraz polecą do nieba. Albo zatoną w swoich kabinach. Nasza torpeda nie może chybić. Statek przecież nie płynie. Niepotrzebne jest wyprzedzenie. Gładkie morze. Nastawienie torpedy: dwa metry pod linią wody... wycelowana dokładnie w śródkręcie. Idealna odległość.

Szeroko otwartymi oczyma wpatruję się w statek. Wyobraźnia wywołuje już obraz potężnej detonacji na błyszczącej sylwecie. Widzę, jak cały statek się podrywa, jak zębate strzepy wylatują do nieba, jak olbrzymi grzyb dymu rośnie w górę. Biały żar, czerwony żar!

Zatyka mnie. Kiedy wreszcie rozlegnie się grzmot wybuchu? Łańcuchy światełek na statku zaczynają tańczyć. To w wyniku długiego wpatrywania się. Nie oddycham już.

Nagle uderzają mnie w ucho słowa meldunku: – ...Torpeda nie biegnie!

Co? Jak? Kto to był? To nadeszło z dołu! To był meldunek z podsłuchu! Torpeda nie biegnie! Wyraźnie czułem odrzut. A teraz?

– Nic dziwnego – mówi starszy sternik i oddycha głęboko Torpeda nie biegnie. To znaczy: nie funkcjonuje. Bomba lotnicza! Tak, właśnie to: bomba lotnicza uszkodziła również tę torpedę. Fala podmuchu... oczywiście. Tego nie może wytrzymać żadna torpeda. Omen! Palec boży! A teraz?

Wyrzutnia druga, wyrzutnia trzecia, wyrzutnia czwarta?

– Więc wypróbujemy wyrzutnię piątą – słyszę Starego i zaraz potem jego rozkaz: – Włączyć na rufę!

Natychmiast następują konieczne komendy na silniki i ster, by obrócić okręt, spokojnie jak na manewrach.

Wyrzutnia piątą! A więc innym torpedom w wyrzutniach dziobowych Stary również nie wierzy – ale ta w wyrzutni rufowej prawdopodobnie nie oberwała.

Stary więc nie rezygnuje. Nie reaguje na palce boże. Potrzeba mu czegoś mocniejszego. Okręt rusza z wolna i obraca się. Oświetlony statek, który mieliśmy przed sobą, stopniowo przesuwają się w prawo i przechodzi za rufę. Jeszcze dwie czy trzy minuty i będziemy mieli go dokładnie z tyłu: pozycja strzelecka dla wyrzutni piątej.

– Są!

Wstrząsa mną. Starszy sternik ryknął mi prosto w prawe ucho.

– Gdzie? – warczy dowódca.

– Tam... to musi być łódź! – Starszy sternik wyciągniętym ramieniem wskazuje w ciemność.

Łzawią mi oczy od wpatrywania się w ciemne nocne morze. Tam... tam rzeczywiście jest jakaś bryła, o jeden odcień ciemniejsza od morza!

Niebawem mamy ją z tyłu, między naszą rufą i migotaniem świateł, i już na tle błyszczących reflektorów zarysowuje się całkiem wyraźnie ciemna sylweta. Bez wątpienia: łódź!

– Szalupą! Czy oni zwariowali? – słyszę Starego. – Przy takim stanie morza szalupą! I bez latarni...

Wychodząc z siebie, wpatruję się w ciemny kształt. Na tle refleksów świetlnych przez chwilę widzę sześć głów.

– Beo z dwoma ludźmi w pogotowiu na górnym pokładzie! Reflektor na pomost! – rozkazuje Stary.

Z kiosku dolatują zmieszane głosy.

– Długo jeszcze?

Kabel prawdopodobnie się zaplątał. Ale teraz starszy sternik chwyta z góry za niego i

już trzyma również ręczny reflektor.

Czy słyszę plusk wiosła, czy to złudzenie?

Nagle w kręgu reflektora pojawia się dziób szalupy, wystający wysoko z wody, nierzeczywisty jak na ekranie, już znika znowu między dwiema falami. Widać tylko głowę człowieka na rufie. Podniesioną ręką zasłania się przed oślepieniem.

– Beo, uważać! Być w pogotowiu! – ryczy Stary.

– A niech to szlag! – słyszę. Wzdrygam się. To główny mechanik. Nie zauważyłem, że on również wyszedł na pomost.

Fala znowu podnosi szalupę. Rozpoznaję sześciu ludzi i sternika: jednakowi niewolnicy przy wiosłach.

Bosman wystawia bosak jak lancę w stronę kutra.

Krzyk, zamieszanie. Bosman klnie i gania swoich ludzi z odbijaczami na pokładzie w tę i nazad. A teraz słyszeć trzask, jakby pękło wiosło. Sternik szalupy wymachuje dziko wolną ręką. To on robi najczęściej wrzasku.

– Uwaga! – ryczy beo. I znowu: – Uwaga! Niech was pioruny, wy głupie świnię...

Dowódca przez cały czas stoi bez ruchu. Nie mówi słowa.

– Reflektor na górny pokład! Nie oślepić ludzi! – ryczy do nas bosman.

Fala znowu odpycha szalupę, przestrzeń między nią a naszym pokładem rozszerza się szybko do pięciu, sześciu metrów. Dwóch ludzi stanęło w łodzi, sternik i jeszcze jeden, którego do tej pory nie widziałem. Jest więc osiem osób.

Bosman tymczasem otrzymał posiłki, a gdy szalupa unosi się na kolejnej fali, dwaj ludzie z niej ryzykują skok na nasz pokład. Pierwszy zatacza się, nieomal przewraca, ale bosman łapie go w porę. Drugi skacze za blisko, pada na kolano, ale nim zdążył zlecieć za burtę, jeden z naszych chwyta go za kark jak królika. Pierwszy wpada w dziurę, którą bomba lotnicza wyrwała w górnym pokładzie. Drugi potyka się również i wlatuje na podstawę po dziale. Słyszeć głośny łomot.

– Ten musiał sobie pięknie rozbić facjatę – mówi ktoś za mną. Bosman klnie.

Obaj zakapturzeni wspinają się niezgrabnie po klamrach kiosku. Boże, oni mają jeszcze staromodne kapokowe kamizelki ratunkowe. Nic dziwnego, że w tym rynsztunku nie mogą się poruszać.

– Buenos noches! – słyszę.

– Co panowie byli łaskawi zapodać? – pyta główny mechanik.

Pomost robi się nagle za ciasny. Wylewa się na nas potop niezrozumiałej mowy. Mniejszy z dwójki gestykuluje jak marionetka poruszana przez wariata.

Głęboko wciągnięte zjudwestki odsłaniają tylko niewielkie fragmenty ich twarzy. Kamizelki kapokowe przy wspinaniu przesunęły im się tak wysoko, że ramiona drugiego, który nie gestykuluje, sterczą jak dwa ucha garnka.

– Tylko powoli, panowie, downstairs please! – mówi Stary i robi uspokajające ruchy dłonią z góry na dół.

– Hiszpanie – mówi starszy sternik.

Są tak okutani, że z trudem przeciskają się przez właz, jakkolwiek obaj są małego wzrostu.

W półmroku centrali mogą ich wyraźnie rozróżnić. Jeden, prawdopodobnie kapitan, jest tęgawy. Ma czarny wąsik, jakby przyklejony do górnej wargi. Drugi jest o pół głowy wyższy i ciemny. Obaj rozglądają się nerwowo, jakby szukali, którędy stąd zwiać. Teraz widzę, że ten tęgawy krwawi z tłuczonej rany nad okiem jak kontuzjowany bokser. Krew spływa trzema równoległymi strumyczkami po policzku.

– Człowieku, ale oni kręcą cykor! – słyszę Isenberga z centrali.

Ma rację: tyle strachu jeszcze nie widziałem.

W tym momencie uświadamiam sobie, że naszego wyglądu naprawdę można się przestraszyć: błyszczące oczy, zapadnięte policzki, zmierzwione brody, banda włóczęgów między samymi tylko maszynami. A z pewnością śmierdzimy jak zaraza. Większość z nas ma jeszcze na sobie strzępy tej samej bielizny, co w dniu wyjścia w morze. A ci dwaj przychodzą z palisandrowych salonów. Z pewnością dywany na korytarzach. Kryształowe żyrandole przy sufitach. Wszystko tak picobello jak na „Wezerze”.

Czy nastraszyliśmy ich przy kolacji? Ale nie, jest przecież środek nocy.

– Zachowują się tak, jakbyśmy chcieli ich zarżnąć – mamrocze Isenberg.

Stary z otwartymi ustami wybałusza oczy na gestykulującego hiszpańskiego kapitana jak na istotę z innej planety. Tylko dlaczego nic nie mówi? Stoimy kręgiem wokół obu trzepoczących się figurek, patrzymy i nikt się nie odzywa. Grubszy Hiszpan wymachuje obu ramionami i wydaje z siebie niezrozumiałe dźwięki.

Nagle podnosi się we mnie szaleńczy gniew: mógłbym temu bełkoczącemu facetowi skoczyć do gardła, dusić go, rąbnąć kolanem w jądra. Sam siebie już nie poznaję: – Ty cholerny draniu! – słyszę swój własny krzyk. – Co ty tu bełkoczesz!

Stary rzuca mi spojrzenie bez wyrazu.

– Nie możecie robić z nas durniów!

Hiszpan wytrzeszcza na mnie oczy, maluje się w nich dzikie przerażenie. Nie jestem zdolny określić, co mnie wprawia we wściekłość. Ale wiem to: robić z nas katów!

Zwyczajnie – nie reagować! Kazać godzinami czekać Staremu! Dryfować tu na tej dziecinnej szalupie zamiast motorówką. Bez latarni, po prostu na los szczęścia.

Hiszpan również zapomniał języka w gębie. Jego rozbiegane spojrzenie kieruje się to na jednego, to na drugiego z nas. Wreszcie jąka: – Dobra człowiek! Dobra człowiek! – A ponieważ nie wie, do kogo ma się zwrócić z tym groteskowym tytułem, okręca się w swej śmiesznej kamizelce, niezgrabnie jak niedźwiedź, wokół własnej osi, pod pachą trzymając nieprzemakalną torbę z papierami statku. Teraz chwyta ją prawicą i wykonuje coś w rodzaju hands up. Torba ściąga nasze spojrzenia ku górze.

Stary wykrzywia twarz i bez słowa sięga po torbę. Potem Hiszpan podnosi piskliwy lament. Jednak Stary przerywa mu chłodno: – Your ship's name?

– Reina Victoria... Reina Victoria... Reina Victoria! – krzyczy Hiszpan.

Nagle demonstruje niezwykłą usłużność, kłania się i zaraz potem podnosi na palcach, żeby pokazać dowódcy tę nazwę w papierach statku, które Stary wyciągnął z torby.

Pierwszy oficer patrzy bez jakiegokolwiek wyrazu na tę scenę, twarz jak mokry ogórek.

Nagle zalega cisza. Stary po chwili podnosi oczy znad papierów i kieruje je na pierwszego oficera: – Niech pan powie temu panu, że jego statku w ogóle nie ma. Przecież umie pan po hiszpańsku.

Pierwszy oficer jakby obudził się z transu. Czerwieni się i za plecami obcego kapitana zaczyna coś jąkać. Ten otwiera ze zdumienia oczy, trzęsie głową i próbuje schwytać spojrzenie pierwszego oficera, ale nie udaje mu się to za pomocą zwykłego przekręcenia głowy, ponieważ jego gruby kapok siedzi o wiele za wysoko. Musi obrócić się całkowicie i pokazuje mi przy tym plecy. Nagle przenika mnie wstrząs. Na dolnej krawędzi kamizelki ratunkowej czytam, co wypisano tam szablonowymi literami: „South Carolina”. Teraz cię mamy! – cieszę się. – A jednak! Stary miał rację! Amerykanin przebrany za Hiszpana!

Szturcham Starego. Pokazuję palcem napis na brzeżku kamizelki: – Coś interesującego... „South Carolina”!

Hiszpan podskakuje jak ukłuty przez tarantulę i wylewa na nas cały wodospad słów.

Teraz cię mamy, stary oszuście! Zostaw tę hiszpańską gadaninę! Możesz mówić po angielsku, ty świnio!

Stary patrzy ze zdziwieniem na bełkoczącego człowieczka, a potem ruga pierwszego oficera: – No, niech pan wreszcie powie, co ten facet tu pieprzy.

– „South Carolina”... statek... rzeczywiście... nazywał się „South Carolina” – jąka pierwszy oficer. Hiszpan wisi spojrzeniem na jego ustach, jak clown cyrkowy kiwa głową za

każdym słowem. – Teraz... nazywa się jednak „Reina Victoria”. Był kupiony... przed... pięciu laty... od Amerykanów.

Stary i Hiszpan wybałuszają na siebie oczy, jakby chcieli sobie zaraz skoczyć do gardeł. Robi się tak cicho, że słychać każdą spadającą kroplę wody.

Nagle starszy sternik odzywa się od pulpitu z mapami: – Zgadza się! Czternaście tysięcy ton rejestrowych brutto. – Starszy sternik trzyma w ręku rejestr statków.

Stary patrzy to na Hiszpana, to na starszego sternika.

– Jak proszę? – pyta wreszcie ostro.

– Statek figuruje w aneksie, panie kapitanie. – A ponieważ Stary jeszcze nie zareagował, dorzuca półgłosem: – Pan porucznik nie zajrzał do aneksu w rejestrze.

Stary zaciska pięści i mierzy teraz wzrokiem pierwszego oficera. Z całym wysiłkiem walczy stoicko o opanowanie się. Wreszcie wykrztusza: – Żądam wyjaśnienia!

Pierwszy oficer niepewnie zwraca się do starszego sternika i chwyta rejestr. Po dwóch chwiejnych krokach zatrzymuje się przy pulpicie. Opiera się na nim jak ranny.

Stary wstrząsa się, jakby przeszedł go dreszcz. Zanim jeszcze pierwszy oficer może coś powiedzieć, zwraca się znowu do Hiszpana, na twarzy ma krzywy uśmiech. Hiszpański kapitan natychmiast dostrzega zmianę i zaczyna znowu dziko bełkotać: – „South Carolina” American ship... now... „Reina Victoria”, Spanish ship... – Powtarza to bez przerwy. Pięć, sześć razy. Stopniowo z jego twarzy ustępuje drżący strach.

– Starszy sterniku, proszę obejrzyć papiery! – rozkazuje dowódca. Ale nim starszy sternik zdążył zajrzeć do dokumentów, dowiadujemy się od hiszpańskiego kapitana: – Dos mil pasageros... por America del Sud... Buenos Aires!

Stary długo wciąga powietrze i następnie wypuszcza je, poruszając wargami. Przy tym całe jego ciało odpręża się. A teraz klepie Hiszpana po ramieniu. Oczy drugiego Hiszpana, to musi być pierwszy oficer, zapalają się tymczasem jak świeczki choinkowe. Na zmianę to rozciąga usta wszerek, to ściąga je w ryjek. Jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałem – rozciąga i układa w ryjek. Z pewnością to tik nerwowy.

Starego jakby ktoś przemienił. Pierwszego oficera z pewnością zapomniał. Jak przez jakieś czary zjawia się nagle butelka koniaku z trzema kieliszkami. – Kto kieliszek wypije, temu się lepiej żyje – mamrocze Stary. Hiszpan uważa to prawdopodobnie za jakiś toast i nie chce być gorszy. Wydobywa z siebie jakieś bełkoty i krzyczy, podnosząc kieliszek: – Eilitler! Eilitler! Eilitler!

Pierwszy oficer jest blady jak prześcieradło. Jąkając się, próbuje tłumaczyć, co Hiszpan teraz mówi: – Kapitan... myślał, że jesteśmy... jesteśmy angielskim patrolowcem.

Dlatego... dlatego się nie śpieszył. Dopiero jak zauważył, że nie jesteśmy... że nie jesteśmy Anglikami, zaczął na łeb na szyję... A do tego pierwsza łódź... to znaczy, on tak mówi, zerwała się...

Hiszpan kiwa głową, chwieje się jak koń na biegunach i powtarza: – Si, si. – Ciągłe na nowo: – Si, si, si.

– ...zerwała się i odpłynęła. Bardzo przeprasza.

– Przeprasza, to dobre! – mówi Stary. – Na kolanach powinien dziękować nam i temu Tomkowi, który zdemolował nasze torpedy. A nie zechciałby mu pan powiedzieć, że właściwie dzięki pańskiej łaskawej pomocy już dawno byłby w niebie i w białej koszuli? Obaj ci panowie i dwa tysiące pasażerów! O mały figiel miałby ich pan na sumieniu... czy panu to coś mówi?

Pierwszy wykręca dolną szczękę w bok. Jest całkiem gotów: nie może nawet opanować swej szczęki.

Hiszpański kapitan, zajmując miejsce w szalupie wraz ze swym towarzyszem, głośno krzycząc i gestykułując, oferuje nam płyty i południowe owoce. Tylko jeszcze pół godziny i wszystko by było: całkiem nowoczesne płyty! Hiszpańska muzyka! Flamenco! Wspaniałe świeże owoce, w dowolnych ilościach, dla całej załogi!

– Zjeżdżaj, ty stara dupo! – wrzeszczy jeden z naszych na górnym pokładzie i wyciągniętą nogą, jakby chciał ćwiczyć szpagat, odpycha hiszpańską szalupę od balastu. Bosman pomaga bosakiem. Wiosła opadają z pluskiem w wodę. Słychać jeszcze urywki hiszpańskich słów, a potem coś, co brzmi jak „Do widzenia”.

– Czyś ty zwariował? – ryczy bosman. Hiszpanie szybko zamieniają się w ciemną bryłę.

– To dopiero łajzy, ci faceci, żeby nie zapalić latarni! – urąga za nimi starszy sternik. – Byli już o dwadzieścia metrów od nas, kiedy ich zauważyliśmy. Całkiem pomyleni!

Wszyscy patrzymy za Hiszpanami. Już nie widać ani śladu szalupy, zupełnie jakby ją wchłonęło czarne, nocne morze. Nasz okręt zatacza się gwałtownie z boku na bok. Stoimy jak na chwiejnej tratwie.

Stary zwleka z komendami na diesle.

W centrali spotyka znowu pierwszego oficera.

– Czy wie pan właściwie... ma pan dość oleju w głowie, żeby sobie wyobrazić, co by pan o mały włos zmalował? Co bym ja zmalował, ponieważ mój wspaniały pierwszy oficer nie potrafi czegoś tak prymitywnego, jak zajrzeć do dodatku w rejestrze? Muszę panu powiedzieć, że grozi panu sąd wojenny!

Teraz pierwszy oficer powinien się tylko zastrzelić, myślę sobie. Ale jedyny pistolet, jaki znajduje się na pokładzie, przechowuje przecież dowódca. Jest dobrze zamknięty.

W przedziale dziobowym wszyscy mówią jeden przez drugiego: – Starszy sternik od razu się kapnął, że coś nie gra! – Człowieku, pierwszy oficer... ten musiał przełknąć! – Ale byśmy się wpieprzyli! – Typowe dla Starego... prosto... na wariata! – Chłopie, chłopie, to mogło się kiepsko skończyć! – Tamci mieli szczęście!... – ...i świra!... – Nie, coś takiego! Taki wielki statek i bez motorówki! – No, co... taki tuman! – Obawiam się, że ktoś ma na myśli pierwszego oficera.

Kilka godzin później Stary podsumowuje w centrali: – Na to wszystko złożyło się kilka czynników. O mały włos mielibyśmy drugą sprawę „Lakonii”, gdyby urządzenie sterownicze torpedy nie odmówiło posłuszeństwa. Ale wszystko się pechowo składało!

Milczenie. Dopiero po paru minutach Stary wykrztusza, gryząc cybuch pustej fajki: – Z tego widać, od jakich przypadków życie człowieka... ach, bzdury. – Nie ma wątpliwości: dla Starego ta cała historia już od dawna nie jest ważna. To, co mówi, stanowi jakby próbę usprawiedliwienia się. – Ale sprawa była jednoznaczna: to było przecież zwlekanie! I tak czekaliśmy dłużej niż należało. Ci goście zachowywali się zupełnie po wariacku!

– Nawet przy założeniu, że zatrzymał ich angielski patrolowiec. Przecież wezwaliśmy ich po angielsku. O niemieckim okręcie podwodnym, jak się zdaje, wcale nie myśleli.

– Tak, tak – potwierdza Stary. – Tyle człowiek z tego ma, jeśli się chwali znajomością języków obcych!

– Musieli być śmiertelnie przerażeni, kiedy rozpoznali naszą firmę!

– Owszem! Tak to się zdarza... Jedno łączy się z drugim.

Stary milczy przez dobre pięć minut, potem mówi: – To jest również paskudny pech, że nie możemy sprawdzić działania naszego nadajnika. Możliwe, że nasze pytanie wcale nie wyszło. Przewód anteny był przecież zalany, a poza tym różne inne części poszły w diabły. Tak, tak... zdemolowany okręt i niekompetentny pierwszy oficer, to już za wiele!

W naszym stanie nerwów, uzupełniam w duchu. Starszy sternik miał rację. Rozsądny facet. Kalkuluje chłodno. Nie dał się zwariować. Nie dostosowuje się do zdania Starego, jeśli sam ma inne.

Ciągłe ssanie fajki przez dowódcę doprowadza mnie do wariacji. – To by był cyrk – mówię. – Oberwalibyśmy za to...

– Wcale nie oberwalibyśmy... – przerywa mi szorstko Stary.

Nie rozumiem, o co mu chodzi. Poczekajmy. Dowódca z pewnością chce coś powiedzieć. Skoro jednak przerwa przedłuża się, mówię wreszcie: – Nie rozumiem.

– Tak? Całkiem proste: Tu musielibyśmy zrobić tabula rasa... typowy przypadek...

Stary urywa, a potem dodaje półgłosem: – Nikt nie mógłby zostać przy życiu!

Zatyka mnie. Co ten Stary wygaduje?

Na moje pytające spojrzenie mówi dalej: – To była dokładnie typowa sytuacja, na którą nie ma żadnych wskazówek. Jesteśmy całkowicie zdani na samych siebie. Nazywa się to swobodą decyzji.

Stary robi kółka trzymaną w prawej dłoni fajkę. Z wysiłkiem szuka słów: – Sygnału przez radio nie nadali. Wiedzą przecież, że to można wykryć... w normalnych warunkach. Załóżmy, że urządzenie sterowe było w porządku i torpeda rąbnęła... Oznaczałoby to, że statek właśnie wpadł na minę. Zatonął tak szybko, że nie zdążył nawet nadać sygnału radiowego... powiedzmy. Niemiecki okręt podwodny nie powinien mieć z tym nic wspólnego. Nie ma rady... w takim wypadku musi się zrobić tabula rasa, czy się chce, czy nie!

Dowódca znowu ssie fajkę. Powoli podnosi spojrzenie z płyt podłogowych, z trudem się wyprostowuje i przeciąga. – Kto mówi A, musi również powiedzieć B – mruczy jeszcze i rusza ciężko w kierunku grodzi dziobowego.

Ogarnia mnie przerażenie wobec okrutnego sensu, jakiego raptem nabrało to banalne powiedzonko. Nawiedzają mnie obrazy łodzi ratunkowych, rozszarpywanych na strzępy z broni maszynowej. Widzę wzniesione do góry ramiona, morze zabarwione na czerwono od strumieni krwi, twarze w niesamowitym przerażeniu. Od tych obrazów grozy przebiega mnie dreszcz. Strzępy opowiadań, które mrozą krew w żyłach, przebiegają mi przez mózg. Na pół podsłuchana rozmowa w „Bar Royal”: „Tylko martwi mają mordy zamknięte”. „Dlaczego tylko tamci? Dlaczego nie my?” „Nas też biorą za dupę!”

Zęby mi szczękają. Nie mam już kontroli nad mięśniami żuchwy. Co teraz jeszcze? Co jeszcze musi się zdarzyć, żebyśmy wreszcie padli na kolana?

Zrywa się we mnie gwałtowny szloch. Zaciskam pięści i wsadzam je do ust. Zduszam szloch, aż cała dolna część mojej twarzy jest jednym bólem. Zjawia się główny mechanik.

– No, no, co się dzieje? – pyta z troską w głosie.

– Nic... – wykrztuszam. – Nic... wszystko w porządku!

Główny mechanik podaje mi szklanekę soku jabłkowego. Chwytam ją obu rękami, pociągam potężny łyk, a potem mówię: – Spać... wolę raczej iść spać.

Gdy Dufte powiedział w dziobowym: – Biskaje... byle tylko dobrze poszło! – nieomal go pobito. Teraz aby nie zapeszyć, nie potrząsać stołem, na którym stoi domek z kart. Kto wie, co w naszym potłuczonym żelazku może nawalić. Stary ma swój powód, żeby trzymać

kurs tak blisko brzegu. Komenda „Przygotować aparaty ratunkowe” ciągle wisi w powietrzu.

Najbardziej boimy się nieprzyjacielskich lotników. Jeśli zaskoczy nas jakiś samolot, to koniec. Każdy to wie. Zanurzenie alarmowe nie wchodzi w grę. Tak to zmieniają się czasy: teraz modlimy się o złą pogodę... ale tylko umiarkowanie złą. Sztormowe niżej oby nas oszczędzały.

Jutro wszystko będzie wyglądało o wiele gorzej. Brzeg cofnie się. Rozpocznie się marsz w poprzek Biskajów. Jak mamy pokonać tę przestrzeń, by nas nie wykrył żaden samolot? Właśnie Biskaje są najlepiej kontrolowane przez nieprzyjaciela. A jeśli się zgadza to, co Stary przypuszcza? Jeśli angielscy lotnicy mają już przyrząd, który im nas pokazuje nawet w najciemniejszą noc?

Jaki dzień dzisiaj? Dzisiaj... co to w ogóle jeszcze znaczy? Kiedy przemykamy się pod wodą, jest dzień, kiedy płyniemy na dieslu w wynurzeniu – noc. Teraz jest godzina dziesiąta i znajdujemy się pod wodą. A więc dziesiąta rano.

Ale jaki dzień tygodnia? Mój mózg pracuje z mozołem, by to ustalić. Jestem jak znarkotyzowany. Wreszcie formuje się mi słowo: kalendarz. Chcę teraz wiedzieć, jaki jest na nim dzień. Poza tym nie siedzi się wygodnie na tej kretyńskiej skrzyni. Lepiej przenieść się do mesy O. Kalendarz! W mesie wisi kalendarz!

Cholernie chwiejnie trzymam się na nogach. Kuśtykam. No, dalej! Ruszaj się! – mówię do siebie.

Hydroakustyk patrzy głupawo. Wygląda jak ryba za szybą akwarium.

W mesie oficerskiej opieram się lewą ręką o stół. Tak stoi się całkiem dobrze. Wygodnie.

Ej, jaką to datę mamy w kalendarzu? 9 grudnia! Bardzo zostaliśmy z tyłu za księżycem. Mój ty Boże! Precz z dziewiątym grudnia! Tę kartkę zachowam sobie do księgi moich prywatnych dziejów. Warto o tym pomyśleć. Coś w rodzaju dnia Sedanu. Kartkę z barografu i kartkę z kalendarza – wymowne pamiątki. Nic nie kosztuje, a radości za talara! Jedenasty grudnia. Również precz z nim! Dwunastego rąbnęło. Także zachować. Dziewiętnasty. Wtedy leżeliśmy na dnie. Dwudziesty... Tak to przecież było? Dwudziesty pierwszy, dwudziesty drugi. Mnóstwo czasu – a teraz jest dwudziesty trzeci. Dzisiaj. A więc wtorek. Przyjemnie!

Nagle słyszę w pobliżu: – Jutro wigilia! – Ładne rzeczy! omalże wykrzyknąłem. Przełknąć. Sentymenty? Może całkiem zwykłe wzruszenie świąteczne? Święto miłości w morzu na zbombardowanym żelazku – wreszcie coś innego. Na święto miłości jesteśmy wyposażeni jak najlepiej. Niezrównane zaopatrzenie marynarki: składana choinka, którą

dostarczono na pokład wraz z prowiantem! Jak Stary to wykręci? Boże Narodzenie – będzie miał inne troski.

Stary rozważa kurs na La Rochelle. Wejście do Bordeaux – w górę Girondy – byłoby również możliwe. Jakkolwiek Bordeaux leży bardziej na południe niż La Rochelle, jest niewiele bliżej. La Rochelle poza tym podoba się Staremu lepiej. Od naszej obecnej pozycji do La Rochelle jest jeszcze około czterystu mil morskich – czterysta mil w poprzek Biskajów, to znaczy: jeszcze przynajmniej trzydzieści pięć godzin. Skoro jednak w dzień musimy się zanurzać, rachunek wygląda gorzej. Będziemy potrzebowali na ten odcinek prawdopodobnie trzech dni i trzech nocy. To długo, zwłaszcza że nie wiemy, z jaką pogodą na najbliższe dni musimy się liczyć i czy diesel wytrzyma.

Stary i starszy sternik mają jeszcze więcej trosk. Kiedy obaj „operują”, słyszę tylko fragmenty: – Oto pytanie, jak się tam dostaniemy... Nie mam pojęcia... Bardzo wąska cieśnina... z pewnością wszelkiego rodzaju przeszkody... Przy brzegu bardzo płytko... Mogą być miny denne...

Wszędzie przygnębiający nastrój. Wygląda, jakby wszyscy chodzili na palcach, ze strachu, że przez głośniejsze zachowanie się moglibyśmy ściągnąć nieprzyjaciela.

Obserwuję, że wszyscy przechodzący przez centralę próbują rzucić okiem na mapę. Ale nikt nie waży się spytać, ile mil pozostało jeszcze do bazy. Nikt nie chce przyznać, jaki jest słaby. Przy tym każdego nurtuje ta sama myśl: Zatoka Biskajska – największe cmentarzysko statków! Obszar gwałtownych burz i najbardziej intensywnej obserwacji powietrznej!

Gdy starszy sternik znowu zajmuje się mapami, pytam prosto z mostu: – Ile jeszcze godzin? – Sternik kiwa głową jak jasnowidz. – Nooo! – odpowiada najpierw. Zaraz rozpocznie zdania warunkowe, zaczynające się od „jeśli”, myślę sobie, ale starszy sternik robi to bardziej dyplomatycznie: – Co można powiedzieć?

Obserwuję go z boku, aż wreszcie wypowiada się szczegółowiej: – Szacuję przynajmniej na sześćdziesiąt sześć godzin. To znaczy... łącznie, a więc nie tylko na samo dojście!

Niektórzy nie pozwalają już sobie spojrzeć w oczy. Ich źrenice są rozbiegane. Jeden z motorzystów wzdryga się jak pod prądem, kiedy tylko zaczynam do niego mówić. Inny ma nerwowy tik w lewym oku. Chcąc się go pozbyć, przymruża oko jak portier hotelowy i ściąga przy tym w grymasie lewą połowę twarzy. Dobrze, że sam nie wie, jak wygląda – tu nie ma luster.

W dziobowym dowiaduję się, że Aria dręczyła szczególna troska, gdy okręt leżał na

dnie. Ario ma zbiór prezerwatyw w swoim marynarskim worku. W tym drogie modele specjalne. Ario wylicza: – Z gumowymi sęczkami, z palcem do łechtaczki, z kolczastymi pierścieniami... – Ten bogaty zapas przez cały czas obciążał go duchowo. – Jak to wygląda, jeśli coś takiego pozostaje w spadku? Oni nawet nie będą wiedzieli, co to jest... To jedno wam mówię: przed następnym rejsem nadmucham wszystkie kondony tak, żeby popękały!

– Nie potrzebujesz się bać, już flotylla postara się o to, by zniknęły. Wszystko zostaje dokładnie przejrane – wyjaśnia Böckstiegel. – Świńskie fotografie i kondony, wszystko, co wdowom i krewnym nie sprawia radości, zostaje wyrzucone. Raz przy tym byłem, oficer administracyjny ma swoich specjalistów. Te rzeczy, które wejdą do masy spadkowej, są koszerne. Możesz być spokojny!

Ponieważ pomostowy nastawiony jest ekonomicznie, ma jeszcze kilka pytań: – Co robi oficer administracyjny z tyloma prezerwatywami? One przecież są w końcu własnością prywatną, nie?

– To zapisuje na specjalnej liście, ty baranie... jak by inaczej? A lista zostaje potem przepisana w dwóch egzemplarzach!

– Typowe dla marynarki – mówi Schwalle.

Stary raz jest w siłowni, raz w przedziale dziobowym, potem znowu w centrali. Zawsze towarzyszy mu główny mechanik. Dowódca chce sobie wyrobić pogląd na stan okrętu. Wprawdzie całkowicie go nie zgłębi, skoro tyle rzeczy jest popsutych. Na przykład wręgów nie możemy skontrolować z powodu zabudowy.

– Okręt z pewnością nie nadaje się już do niczego! – słyszę go w przejściu.

Starszy sternik melduje, że osiągnęliśmy wysokość Cap Ortegal. Zaczyna się więc przejście przez Biskaje.

Stary wciąga teraz do rady również pierwszego oficera, prawdopodobnie ze współczucia, by nie czuł się całkiem zniszczony. Ustala się dokładny program marszu. Co prawda czynniki rachunku muszą pozostać stałe, jeśli plan ma być ważny. Podstawowym warunkiem jest, żeby diesel przetrzymał.

Ledwie Stary opadł na sofę w mesie oficerskiej, wrywa mu się z ust początek zdania: – Te kochane chrześcijańskie święta... – potem milknie. Wiem dokładnie, o co mu chodzi i co go gnębi. Teraz chrząkaniem próbuje zachęcić mnie do mówienia. Ale co mam mu powiedzieć? Że na obchodzenie świąt na pokładzie nie ma właściwego nastroju?

– Ach, gówno! – klnie Stary, przerywając mi rozmyślenia. – Po prostu przesuniemy uroczystość. Boże Narodzenie będzie dla nas wtedy, kiedy znowu staniemy na twardej ziemi.

Czy też przykłada pan znaczenie do świętowania... chce pan może przeczytać ewangelię świętego Łukasza?

– Nie! – mogę tylko powiedzieć. Nic dowcipnego nie wpada mi do głowy.

– No więc! – cieszy się Stary. – Będziemy po prostu robili tak, jakby świąt jeszcze nie było.

Święta: od czternastego roku życia zawsze zdarzało mi się wtedy coś pechowego. Smutne święta, wysoce dramatyczne. Nieszczęść w nadmiarze. Płacz i policja w domu. A potem te zapite święta...

Wznieść tamy przeciwko powodzi myśli! Przeciwko uczuciowemu zamętowi. Stary ma rację! Po co nam ten kicz, to grzebanie się w sentymentach? Spędzić, po prostu, normalny dzień. Normalny dzień. Ach, mój Boże! Lepiej nie liczyć tak rozrzutnie dni... lepiej tylko godziny. Nic nie wywoływać. Skulić się. Żadnego świętowania – nie, to nie wchodzi w rachubę.

Stary wyraźnie odżył: jeden problem mniej. Ciekawi mnie tylko, jak zawiadomi ludzi o swoim planie przesunięcia świąt. A tymczasem on mówi: – Niech pan powie podoficerom... a potem samo się to rozejdzie!

Tak bez zarzutu, jak się początkowo wydawało, diesel jednak nie funkcjonuje. Ma kaprysy, które przysparzają trosk głównemu mechanikowi. Nic wielkiego, ale dość kłopotliwe.

W ciągu następnych godzin czif nie opuszcza siłowni. – Teraz ciągle się łąta i łąta – mówi starszy sternik i ma na myśli diesel. Prawdopodobnie boi się nawet wymówić to słowo. Chodzić po cichu. Milczeć. Niczego nie wywoływać – to stara metoda.

Odkąd ludzie wiedzą, że nie znajdujemy się w pobliżu brzegu, na okręcie jest jeszcze ciszej. Napięta nerwowość wyraża się w strachliwych drgnięciach przy niewinnych dźwiękach. Główny mechanik daje najgorszy przykład. Wprawdzie reaguje on już na najdrobniejsze dźwięki w siłowni, których nikt inny nie zauważa, z taką wrażliwością, z jaką szczególnie żarłoczne psy przyjmują delikatny szelest opakowania herbatników, tym razem jednak przestraszył również mnie. Gdy siedzieliśmy razem w mesie O, zerwał się nagle, tak że cały zlodowaciałem, nasłuchiwał przez ułamek sekundy z szeroko otwartymi ustami i pomknął do centrali. Stamtąd zaczęły nagle dolatywać straszliwe wrzaski. Głos głównego mechanika załamywał się. Słyszałem tylko urywane zdania: – Czyście zwariowali... do ciężkiej cholery, od kiedy... coś takiego... coraz gorsze wariactwa... natychmiast to zabrać... szybko!

Gdy czif, sapiąc, wraca znowu do swego kąta, nie ważę się go spytać, co się działo w centrali. Dopiero po dziesięciu minutach, dowiaduję się u mata z centrali, tak mimochodem, jak to tylko możliwe, co to była za rozróżba.

Badacz Pisma Świętego czyścił nóż piaskiem. To powodowało szmer, jakiego główny mechanik jeszcze nie znał.

Dwudziesty czwarty grudnia. Jeszcze płyniemy... Mamy już za sobą spory kawałek drogi, maleńka roślinka nadziei nieco się wzmocniła. Mamy nieprawdopodobne szczęście: pogoda świąteczna. Grudniowe sztormy w Biskajach zazwyczaj są straszliwe. Ale mamy wiatr najwyżej 4 do 5, stan morza 3. Stan morza utrzymuje się jak zwykle pod wiatrem. Lepiej nie mogło być. Znajdujemy się już niemal w środku Biskajów. Diesel wytrzymał. Nie mamy – odpukać – grupy pościgowej na piętach. To wystarczyłoby, żeby okazać trochę optymizmu.

Ale nie! Wszyscy chowają się z ponurymi minami. Również Stary odzywa się monosylabami. A to ma swój wpływ. Przy tym Stary trzyma się prawdopodobnie tylko swego starego hasła: „Nie chwalić dnia przed wieczorem!” Lecz ludzie, gdy Stary nie dodaje im animuszu, natychmiast zapadają w głęboki pesymizm. Sami chorzy umysłowo. Muszę przejść znowu do przedziału dziobowego, prawdopodobnie tam jest lepiej.

Z wyczerpania i napięcia nerwowego nie mogę prawie jeść. Główny mechanik w ogóle niczego już nie dotyka. Również inni więcej wpatrują się w swoje talerze, niż jedzą. Stołowy musi odnosić prawie pełne naczynia. Tego on nie lubi: talerze nie dają się wtedy składać jeden na drugim.

La Pallice – La Rochelle – Dom Schepkego: moje najmocniejsze przeżycia łączą się ze straszliwym pokąsaniem przez pchły. Pcheł w takiej liczbie i tak bolesnych ukłuć jeszcze nigdy nie przeżywałem. Było upalne lato. Siedzieliśmy w mesie przy długich stołach podczas obiadu. Wszyscy ubrani na biało. Mordercza gala. Nagle poczułem pierwsze ukąszenia na prawym ramieniu. Najpierw swędziało, ale później nadszedł złośliwy ból. Jadłem dalej. Potem gryzło mnie w prawy bok od góry aż do pasa i to był koniec. A więc trzeba wstać. Nie mogłem zwalczyć chęci drapania się.

– Proszę posłusznie pana kapitana o pozwolenie oddalenia się!

Dwa razy przełknąłem, żeby udać mdłości. Oburzone spojrzenia. Było mi wszystko jedno! Ściągnąć tylko łachy i przed lustro. Aż mi zabrakło tchu: dwa tuziny czerwonych bąbli... każdy jak markowa moneta! Prawdopodobnie specjalność La Rochelle.

W przedziale dziobowym wygląda kiepsko: bałagan jak nigdy dotąd. Z pewnością bosman nie odważy się nakazać sprzątnięcia. Czerwono udrapowane lampy zniknęły. Już nikt nie myśli o burdelowym nastroju. Apatyczni, całkiem sflaczali ludzie wolnej wachty leżą na płytach podłogi jak postarzałe dzieci z karnawałowymi brodami. Zupełnie jakby chcieli demonstrować swój całkowity fatalizm. Prawie nie rozmawiają.

Ale kilka godzin później na całym okręcie sprząta się do połysku. Dowódca straszliwie opieprzył bosmana. Czyżby porządki świąteczne?

– Nie można tolerować niechlujstwa! – mruczy do mnie dowódca.

To było dobrze pomyślane i zdecydowane: po prostu pozwolić toczyć się rutynie okrętowej, nie robić przerw, służy łez trzymać zamknięte, myśli o domu kierować w inną stronę. Trudno sobie wyobrazić, jakie byłyby skutki, gdybyśmy się wzruszyli. Nasze postrzępione nerwy, a do tego jeszcze uczuciowe zagrywki – tego nikt by nie wytrzymał.

– La Spezia... to by dobrze pasowało – mówi Stary.

Ach tak, czy znowu jest przy świątecznych uroczystościach?

Przypominają mi się obżarstwa i opilstwa we flotyli, hotel „Majestic”: długie, nakryte białymi stołami... sosnowe gałęzie zamiast jodłowych jako dekoracja. Dla każdego „pstry talerz” – wysztancowany w kształcie gwiazdy i wgłębiony krążek z kartonu z ciastkami, rosyjskim chlebem, pralinkami, czekoladowym świętym Mikołajem... a potem z całego gardła: „O święty dzień radosnych pień, gdy Bożych łask spadł na nas blask!” A później przemówienie dowódcy flotyli – mocna więź naszych bijących serc z bijącymi sercami naszych bliskich w kraju. Myślący o nas führer, stare niemieckie święto rodzącego się dnia, wielka Niemiecka Rzesza, a ponad wszystko nasz wspaniały führer! – A potem na stojąco: „Niech żyje... niech żyje... niech żyje!” Wreszcie wielkie pijaństwo i skok w nagłe, wielkie wzruszenie, szum w głowie, kac, rozpaczliwa chandra...

Jedno jest pewne: będziemy próbowali wejść do najbliższej osiągalnej bazy. A więc nie do St.-Nazaire, tylko do La Rochelle.

Mamy jeszcze dwadzieścia cztery godziny do La Rochelle. Stary niezłomnie trzyma się normalnej rutyny: na czterdzieści osiem godzin przed wejściem należy przeczytać regulamin burdelowy. A więc należało to zrobić już dawno. Właściwie należy to do obowiązków pierwszego oficera. Stary zwolnił go od tego – jest to rodzaj dowodu łaski, bowiem ten tekst ma w sobie coś. A więc teraz drugi oficer powinien podać go załodze przez rozgłośnię pokładową. Przepisy burdelowe zamiast ewangelii Łukasza. Drugi robi to dobrze. Tonacja jego głosu nadaje rozkazowi flotyli odpowiednią powagę, mimo to nikt nie mógłby uwierzyć, że drugi nie uważa tego wszystkiego za pijacki pomysł.

Mat z centrali maluje proporczyki sukcesów. Jeden, z liczbą osiem tysięcy, już skończył. To za pierwszą dużą łajbę w konwoju.

Pierwszy siedzi z czifem nad papierami w mesie: zlecenia dla stoczni, obliczenia zużytego paliwa, meldunki o wystrzeleniu torped. Nie zdziwiłbym się, gdyby znowu zaczął klekotać na maszynie.

Prawie co godzina rzucam spojrzenie na mapę morza. Za każdym razem mam ochotę potajemnie nieco przedłużyć ołówkową kreskę, która celuje w La Rochelle.

Z każdą milą morską, którą mijamy, pętla strachu staje się luźniejsza.

Przez pół otwarty właz do przedziału dziobowego dolatują strzępy rozmów. Nastrój znowu jakby się poprawił. Słyszę, że koło mesy SP jeden z marynarzy pyta, kto będzie wypisywał karty urlopowe. – Dotychczas nie wiadomo – odpowiada bosman. Trudno w to uwierzyć: mamy całą noc przed sobą, jeszcze długo nie będziemy bezpieczni, a tymczasem ktoś już interesuje się swoją kartą urlopową.

To, co słyszę w mesie P, nie może mnie już bardziej zdziwić: – Jakie burdele są w La Rochelle?

Elektryk Pilgrim, jak się zdaje, był już w tej bazie.

– Bo ja wiem? – brzmi jego odpowiedź.

– Ciebie nigdy nie można o nic rozsądnego zapytać – złości się Frenssen.

Szczęście: z nastrojów świątecznych ani śladu.

Koło pierwszej wspinam się na pomost.

– Jeszcze około dwóch i pół godziny do punktu przejmowania konwojów – melduje Staremu starszy sternik.

Punkt przejmowania konwojów? Czyżbyśmy byli już tak blisko francuskiego brzegu?

– Podejmiemy więc całkiem wcześnie – mówi Stary. – Zapakujemy się i poobserwujemy sobie ruch.

– Tak jest, panie kapitanie! – To wszystko, co sternik ma do powiedzenia w związku z tym.

– No – zwraca się do mnie Stary. – Teraz już się nie śpieszymy, co?

Wzdycham. Co mam powiedzieć? Jak to się wszystko powtarza!

Nocne powietrze jest jedwabiste. Czy teraz sobie wyobrażam, że pachnie już ziemią... Że czuję w nim domieszkę delikatnego zapachu jesiennych liści?

Krajobraz na wybrzeżach wokół La Baule w zimie! Kamienne mury wokół najmniejszych skrawków łąk! Ogrodzenia powstrzymujące wiatr, który wieje od morza. Jest tam prastary park z rodzajem żywopłotu z olbrzymich tui za potężnym granitowym murem. Szeroki na sześć do siedmiu metrów żywopłot, a właściwie już las, wiatr ściał jakby gigantycznymi nożycami, pozostawiając jedną płaszczyznę, podnosząc się skośnie za murem.

Podczas sztormu pianę przyboju można spotkać nawet paręset metrów w głębi lądu jako olbrzymie, brudnobiałe płyty między krzakami jałowca.

Natomiast koło La Rochelle niewiele jest do zobaczenia. Wszędzie tylko płaski ląd. Nie ma wysokiego brzegu. Wyspa Ré... wszystko płaskie, zalewane przez fale.

Może niedługo będzie można zobaczyć światła na brzegu. Ale nie! La Rochelle to nie Lizbona. Tu wszystko jest zaciemnione. Na francuskim brzegu latarnie morskie są wyłączone.

– Może tak z godzinkę pospać? – pyta mnie Stary.

– Nie zaszkodziłoby...

Proszę starszego sternika, by mnie zawiadomił, kiedy zostanie zluzowany, i schodzę na dół po Starym.

– Stan morza dwa... Prawie nie ma wiatru – mówi starszy sternik, budząc mnie mocnym potrząśnięciem za ramię.

Jeszcze przed dowódcą wychodzę znowu na pomost.

Ściągam brwi, żeby ostrzej widzieć. Horyzont jest czysty. Na wschodzie robi się już jaśniej. Z przodu, z lewej, stoi pierwszy oficer. Teraz melduje w dół: – Do dowódcy: początek przedświt!

Dowódca wchodzi na górę i bez słowa rozgląda się dokoła.

– No, chwilkę to jeszcze potrwa – mówi wreszcie. Ale wkrótce spostrzegam, jak jest niespokojny. Coraz podnosi głowę i zwraca nieufne spojrzenie ku niebu. Na wschodzie widać już szeroki na palec i żółty jak margaryna pas nad horyzontem. Ciemność rozrzedza się teraz prędko. Jeszcze dziesięć minut, a potem dowódca mówi: – To byłoby mniej więcej tutaj.

Morze jest spokojne. Płyniemy jak po stawie. Działa echosonda. Z dołu bez przerwy padają pomiary: trzydzieści metrów, dwadzieścia osiem metrów – potem jest już tylko dwadzieścia metrów i przy tym pozostaje.

– No, pierwszorzędnie! – mówi Stary. – Jak najbardziej prawidłowo dla nas! A więc, starszy sterniku, najpierw się schowamy! Niedługo będzie widniej!

– Przygotować się do zanurzenia! – Jeszcze jeden rzut okiem po ciemnym, łagodnym

morzu, a potem z całym spokojem schodzimy w dół.

– Czifie, niech pan spróbuje posadzić nas łagodnie na dnie! Przy dwudziestu metrach to chyba możliwe?

Uderzenie, z jakim okręt dotyka dna, nie jest mocniejsze niż lądującego samolotu.

– Tak, a teraz pozwólmy kochanemu Bogu, żeby okazał się porządnym facetem! – mówi Stary.

– A jego pani małżonka sympatyczną starą damą... – To był głos głównego mechanika! Odwracam się zdziwiony: tego rodzaju wolnomyślna gadanina czifa znowu się zaczęła?

– Tiens, tiens! – mruczy Stary. Czyżby czuł się już znowu we Francji? Muszę spytać starszego sternika, czy już leżymy na dobrym francuskim dnie, czy też obszar dokoła jest jeszcze międzynarodowy.

W podświadomości rejestruję już od pewnej chwili dziwne odgłosy tarcia i trzasków. Teraz słychać nawet głuche łupnięcia, zupełnie jak pięścią w drewniane drzwi. A zaraz potem jeszcze raz i jeszcze. Trzecie uderzenie brzęczy głośno w całym okręcie, a potem zagłusza je przenikliwy pisk i znowu następuje drapanie i tarcie.

– Nie do wiary – mówi Stary. – Taki prąd!

– A takie gładkie, jak powinno, to dno wcale nie jest – słyszę głównego mechanika.

Łoskot powodują więc kamienie. Nie leżymy mocno. Prąd ciągnie nas po dnie.

– Niech pan porządnie dopuści wody, czifie!

– Tak jest, panie kapitanie!

Słyszę, jak woda wpływa do naszych zbiorników wyrównawczych. Robimy się ciężcy.

– Tak, ale teraz musi się zgadzać i kierunek! – mówi Stary.

Cisza w okręcie. Tylko pluskanie kropli skondensowanej wody. Wolna wachta już od dawna położyła się w komplecie na kojach. Gdy tylko będzie naprawdę jasno, Stary chce wyjść na peryskopową, czyli na czternaście metrów. Milczy wymownie na temat, jak chce dalej postępować. Bez przerywacza zagród i dozorców dojście do brzegu będzie skomplikowanym zadaniem. W dzień niemożliwe, a w nocy krańcowo trudne.

Gdy właśnie podnoszę prawą nogę, aby ją przełożyć przez właz tylnej grodzi, coś huczy znowu.

– Cholerny bajzel – klunie Stary. – Z pewnością nie leżymy prawidłowo w stosunku do prądu. Musimy spróbować lepiej utrzymać okręt na kierunku.

Polową ucha słyszę szum szasowania. Jeszcze jedno „bum” które przenika cały okręt. Potem komenda na silnik elektryczny, później na stery. No, jakoś będzie grało.

Jakby z wielkiej dali dolatuje mnie głos hydroakustyka: – Szumy maszyn pod kątem trzydzieści. Zbliżają się!

Stary uniósł brwi jak mim. Stoi w środku centrali i nasłuchuje.

Główny mechanik stoi za dowódcą, na pół przez niego zakryty. Również i ja nie ważę się na żaden ruch.

Teraz Stary przełyka. Widzę to wyraźnie po ruchu jego grydki.

– Maszyna tłokowa! – słyszę meldunek.

Stary przykucnął w przejściu obok hydroakustyka i wkłada sobie słuchawki na głowę. Jego zaokrąglone plecy są zwrócone ku nam.

Hinrich wystawia głowę ze swego kąta.

Stary mamrocze: – Niech mi kaktus na dłoni wyrośnie, jeśli to nie jest diesel okrętu podwodnego.

Stary oddaje słuchawki radzikowi. Ten nasłuchuje ze dwie minuty. Stary trzyma się koło niego. – No, Hinrich?

– Diesel okrętu podwodnego! Na pewno!

– Niemiecki diesel czy angielski... oto jest teraz pytanie... Dalej, panie pierwszy, przygotować raketnicę. Podniesiemy okręt, a pan natychmiast wystrzeli ES. Jaki teraz zamiar?

– Zamiar dwieście siedemdziesiąt stopni.

– Broń przeciwlotnicza w pogotowiu! Panie pierwszy, pan wychodzi natychmiast po mnie!

Za jednym zamachem w centrali robi się zamieszanie. Otwiera się bakistę z amunicją.

Tuż u progu domu mamy robić fajerwerki raketnicą? A może nawet trzydziestką siódemką?

– Widziałem już, jak konie rzygały przed apteką – słyszę Frenssena.

– Stara durna dupo! – ochrzanią go Pilgrim w odwecie.

Teraz Stary trzyma już prawą dłoń na poręczy trapu. – Wszystko gotowe?

– Tak jest, panie kapitanie!

– Wynurzenie!

– Szasować!

Stoję dokładnie pod włazem, gdy na górze strzela raketnica. Ponieważ zgromadziło się teraz więcej ludzi, między pokrywą włazu a bokiem jakiegoś marynarza widzę tylko białe i czerwone magnezjowe światło. Kolorowe świąteczne gwiazdy. Tak jak się należy. Czekałam z zapartym tchem.

– No, najlepszego! – słyszę Starego. – Sygnał pokwitowany. Niech pan podejdzie bliżej, panie pierwszy. Obejrzymy najpierw kolegę!

– Nieprawdopodobne! – mówi za mną czif.

– Jeden na pomost? – pytam.

– Dalej!

Nie od razu mogę rozpoznać tamten okręt na ciemnej wodzie. Widać go od dziobu. Można by go wziąć za pływającą beczkę.

– Dalej, migacz na górę... Szybko! – żąda Stary.

– Tak, Zeitler, najpierw niech nas pan przedstawi, tak jak przystoi dobrze wychowanym ludziom!

Zeitler skierował migacz na tamten okręt i wystukuje wezwanie.

Z przeciwka zapala się reflektor sygnałowy: znak zrozumienia. Potem znowu słyszę kłapanie naszego migacza, a starszy sternik odczytuje, co przychodzi z przeciwka: „UXW, porucznik Bremer”.

Bosmanmat pozostaje na stanowisku. Jego plecy wyrażają oczekiwanie na nowy tekst.

– To fantastyczne! – wrywa się Staremu. – Z pewnością są zapowiedziani, wystarczy tylko się do nich przykleić!

Starszy sternik rozpromienia się. Musiał mu spaść ciężki kamień z serca: to on przecież musiałby się uporać z wejściem do La Rochelle.

– Teraz powinniśmy tylko grzecznie poczekać na ich eskortę. Niech pan zapyta, na kiedy umówione jest spotkanie z ochroną.

Bosmanmat naciska klawisz migacza, odpowiedź z tamtej strony nadchodzi z sekundowym odstępem. Muszą mieć pierwszorzędnego sygnalistę: – Godzina ósma!

– A teraz niech pan nada: „Przyczepimy się do was!” Oni ładnie zgadną, dlaczego się nie zameldowaliśmy. Już na pewno musieli zadawać sobie pytanie, dlaczego wchodzimy do bazy innej flotyli... i to właśnie dzisiaj.

Zdaje się, że Stary nie ma zamiaru udzielać wyjaśnień.

Podczas wymiany sygnałów prąd zniósł nas w pobliże tamtego okrętu. Jesteśmy w zasięgu głosu. Nagle z przeciwka rozlega się ryczący głos przez tubę: – Co się stało z waszym działem?

Patrzymy na siebie zdziwieni. Starego zatyka. Potrzebuję pewnej chwili, by sobie uświadomić, że tamci widzą nas tak samo dobrze, jak my ich, i że w naszej sylwetce coś niecoś się zmieniło.

– Głupie pytanie! – burczy starszy sternik.

Stary jednak przykłada megafon do ust i ryczy: – Zgadnijcie! – A potem zwraca się swoim normalnym głosem do starszego sternika: – Powinni lepiej uważać i trzymać pelotkę w pogotowiu. Paskudnie tutaj wygląda!

Starszy sternik przyjmuje to jako bezpośrednie wezwanie do ochrzanienia obserwatorów: – Teraz ostro uważać!

Nagle słyszę gwałtowną, głuchą detonację w okręcie. Czuję uderzenie w stawy kolanowe. Wybuch baterii? Silnik elektryczny? Czy coś się stało z dieslem? Do wszystkich diabłów, co to było?

Stary krzyczy w otwarty właz: – Meldunek! Gdzie są meldunki?

Z dołu jednak nic nie nadchodzi. Stary wymienia pytające spojrzenia ze starszym sternikiem. Teraz głos Starego wzmaga się do ryku: – Meldunek! Natychmiast!

We włazie ukazuje się twarz głównego mechanika. Mechanik jąka: – Nic... Nie ma meldunków, panie kapitanie!

Dowódca patrzy w twarz głównego mechanika. Czy tu wszyscy zwariowali? Przecież właśnie rąbnęło, i to porządnie!

Z przeciwka zapala się znowu słońce migacza: – Dalej... czytajcie wszyscy razem! – Troje ust sylabizuje jednocześnie: – W-p-a-d-l-i-ś-m-y-n-a-m-i-n-ę!

– Szybko! Podejść bliżej!

Mina, mina, mina. Krążymy więc po polu minowym. Gdzie była jedna mina, jest ich więcej.

Kieruję szkła na tamten okręt. Nic po nim nie widać. Zanurza się tylko rufą nieco głębiej, jakby źle go wyszasowano. Całkiem inaczej sobie wyobrażałem wpadnięcie na minę.

Nasz dziób przesuwają się wolno. Teraz tamci błyskają znowu.

– Czytać! – rozkazuje dowódca.

– W-y-b-u-c-h-n-a-r-u-f-i-e-d-a-j-e-s-i-l-n-i-e-w-o-d-ę-z-a-n-u-r-z-e-n-i-e-n-i-e-m-o-ż-l-i-w-e.

– To jedna z tych parszywych min E – rzuca Stary. – Prawdopodobnie zrzuciona w nocy z samolotu!

– I z pewnością nie jedyna... – mówi starszy sternik obojętnie.

– Wszystko jedno, starszy sterniku, teraz musimy zostać na powierzchni i dać osłonę pelot.

I dryfować po polu minowym, myślę.

Starszy sternik nic na to nie mówi. Kierując szkła na tamten okręt, nie wykazuje najmniejszego podniecenia.

– Niech pan krzyknie do nich: „Zostajemy na powierzchni i damy wam osłonę pelot!”

Starszy sternik bierze tubę do ust. Stamtąd odpowiadają mu krótkim: „Dziękuję”.

Robię się miękki w kolanach. W każdej chwili i my możemy wpaść na minę.

– Starszy sterniku, proszę zapisać: „Szósta piętnaście UXW wpał na minę”. Radzik powinien jeszcze raz spróbować. Może będziemy mieli szczęście. Niech pan nada: „Kr Kr UXW wpał na minę. Zanurzenie niemożliwe. Całkowita awaria. Proszę o natychmiastową ochronę. Stoimy na punkcie. UA.”

Teraz nie możemy nic zrobić, tylko wytrwać i patrzeć, jak się rozwidnia.

– Prawdopodobnie skrzywiło im wał – mówi Stary chrapliwym głosem. – Gdyby diesle wysiadły, silnik elektryczny mógłby jeszcze coś zdziałać... albo odwrotnie.

W coraz wyżej postępującej jasności spostrzegam, że prąd nas obrócił: teraz wschód mamy za plecami. W mętym rozświecie wszyscy wokół mnie wyglądają tak szaro, jakby natarli się popiołem.

Nie ma łoskotu maszyn, nie ma ruchu, nie ma drżenia okrętu. Dryfujemy jak pień drzewa. W ciele niby wrzód tkwi mi strach. Już od pół godziny wrzód nabrzmiewa. Ta cisza! Nie ważę się nawet chrząknąć. Gdyby tylko nasz diesel znowu ruszył! Dałbym wiele, żeby znowu usłyszeć dudnienie naszego silnika.

Tam przecież są boje! Cały rząd. Gdybyśmy się tylko trzymali wzdłuż nich! Ale nie, okręt z przeciwka nie jest zdolny do ruchu. Musimy płynąć jak sjamski brat wszędzie tam, gdzie i on.

– Czas?

– Siódma dziesiątka.

Strach kotłuje się we mnie. Już nie patrzymy na siebie, jakby nasze spotykające się spojrzenia mogły wywołać fatalne spięcie.

Gdybym mógł się skurczyć, stać się mewą i odlecieć na wschód...

Brzegu jeszcze nie widać. I ani jednej smugi dymu. Co oni sobie myślą? Zastrana organizacja! Czekanie może być przyjemne, kiedy się wie, że ktoś nas odprowadzi, ale kiedy człowieka prąd włączy po polu minowym, sprawa wygląda całkiem inaczej.

– Samolot! Sto dwadzieścia stopni!

Przeraźliwy krzyk prawego obserwatora rufowego przenika mnie do szpiku kości.

Nasze spojrzenia odwracają się jak na sznurku.

– Przygotować pelotkę! Szybko! Wysokość?

– Osiemset! To halifax!

Znikam z pomostu, chwytam amunicję, podaję ją na górę. Nasza trzydziestkasiódemka

już kropi. Walimy, ile się da. Cholerna sytuacja! Utraciliśmy ruch. Musimy spełniać rolę tarczy strzeleckiej. Przez łoskot serii słyszę gwałtowny wybuch. A potem nagła cisza. Hałas urwał się jak ucięty nożem.

Wychodzę szybko na górę i rozglądam się. Gdzie są tamci? Nie ma nic, jedynie opałowe, gładkie morze. Tylko parę ciemnych tobołków w wodzie pływa za lewą burtą. Jakby z daleka do moich uszu przenikają komendy na ster i silniki.

Nasz dziób zwraca się na te ciemne tobołki.

Wreszcie starszy sternik mówi do mnie: – Trafienie... dokładnie przed kioskiem!

Widzę teraz wszystko raczej jak w transie. Czuję się tak, jakby szary filtr wsunął się przed obrazy. Zaciskam powieki, mrugam nimi, wytrzeszczam oczy: okręt, który przed chwilą jeszcze pokazywał nam swą sylwetkę, zniknął. A samolot? Przepadł? Jedna jedyna bomba? Czy to możliwe? Jeden jedyny nalot, jedna jedyna bomba i zaraz trafienie?

Wrócą znowu, mówię do siebie, wrócą całą gromadą. Zostaliśmy opuszczeni! Ochrona myśliwców? Dlaczego nie mamy ochrony myśliwców? Ta tłusta świnia! Ten pyskacz! Gdzie one są, te nasze samoloty?

Morze jest jak wypolerowana płaszczyzna. Nie ma ruchu, nie ma nawet najcichszego szumu. Horyzont ostry jak nóż: chłodno błyszczące morze pod brudnofioletowym odcieniem, który dopiero na pewnej wysokości staje się jaśniejszy. A tam, gdzie niedawno płynął wydłużony okręt, teraz tylko ta bryła – jedna drażniąca skaza na gładkim lustrze rtęci. Ani wirów, ani fali, nic... Ani mrużenia silników... Cisza!

Nie pojmuję, że nikt nie krzyczy. Ta cisza jest absurdalna. To tylko przez nią mam wrażenie, że to wszystko jest nierzeczywiste. Nasz dziób utrzymuje teraz kierunek na tę dryfującą bryłę. W lornecie bryła rozpada się: można rozróżnić poszczególnych ludzi, głowy, które tkwią w kamizelkach ratunkowych. Ludzie z obsługi pelotki stoją jak pomniki, bez wyrazu, jakby jeszcze nie pojęli, co się stało. Tylko ich piersi podnoszą się i opadają gwałtownie.

Na pokładzie stoi bosman z pięcioma ludźmi, by wyciągnąć rozbitków.

– Do pioruna... uwaga! – ryczy bosman.

Z prawej burty morze zaczerwienia się. Krew w słonej wodzie. Dokąd teraz z tymi biedakami?

Nie ważę się nawet dokładnie spojrzeć. Lepiej obserwować niebo. Ten aniołek znów wróci. Bóg mi świadkiem! Miny! Płytko woda! Zdradzeni i sprzedani.

Tuż za mną ktoś mówi: – Oni z pewnością także inaczej wyobrażali sobie Boże Narodzenie!

Na pomoście pojawia się ociekający wodą człowiek i przykładając rękę do czoła, bełkocze coś w rodzaju meldunku. To tamten dowódca – Bremer.

Ma dziecinną twarz, która wykrzywia się w skurczach. Teraz szlocha, a przy tym patrzy nieruchomo przed siebie jak zahipnotyzowany. Zaciskając wargi, próbuje opanować szczękanie zębów. Nie udaje mu się to. Gwałtowne drżenie przenika mu całe ciało. Teraz nowe łzy spływają po drgających policzkach.

Stary patrzy na niego milcząco i chłodno. Wreszcie otwiera usta: – Niech pan zejdzie na dół!

Bremer odmawia, gwałtownie kręcąc głową.

Wtedy Stary rozkazuje: – Podać koce! – A potem ostro, jakby nagle wpadł we wściekłość: – Dalej, szybko, koce na górę!

Pierwszy koc, który dociera do włazu, sam zakłada drżącemu Bremerowi na ramiona. Ten nagle bełkocze: – Coś mnie trzymało... Wyrwałem się dopiero, jak uderzyliśmy o dno... to było jak wąż.

Nie ma głębokości do zanurzenia! Nie ma przerywacza zagród! Nie ma osłony przeciwlotniczej! Przeklęty burdel! To lustrzane morze! To nie przelewki. Halifax! Co to było? Czy miał tylko jedną jedyną bombę? Taki grat ma ich zazwyczaj o wiele więcej.

– Czuję... czuję to jak węża na gardle – jąka dalej Bremer.

Stary zwraca się ku niemu i patrzy nań, jakby w tej chwili zobaczył go po raz pierwszy. Na jego twarzy pojawia się wyraz niesmaku.

Obcy, zawinięty w koc mężczyzna na pomoście, szcękająca zębami postać z Ku-Klux-Klanu! Garstka nędzarzy na górnym pokładzie, a do tego to jedwabne, pastelowe morze! Maskarada. Mam wrażenie, że muszę przebić jakąś błonę, by dotrzeć do rzeczywistości.

Co gada ten uratowany oficer? Zwariował? Poza tym zachowuje się normalnie. Zdaje się, że naprawdę wierzy w to, co mówi. Gdy tak oddany losowi i szcękając zębami stoi, przeszkadzając nam na pomoście, nikt nie wzięłby go za dowódcę okrętu podwodnego.

– Uwaga! – ryczy mu za plecami mat z centrali, podając koce przez właz. Bremer wzdryga się. Rzeczywiście przeszkadza.

Ponieważ należy do innej floty, nikt z naszych ludzi go nie zna.

Głos Starego załamuje się. Musi parę razy zakaszleć, nim opanowuje chrypę.

– Zanurzyć się nie da.

Za płytko, za silny prąd. Tak więc będziemy dalej dryfować nad minami dennymi i czekać, aż Tomki wrócą. Nadal nie ma osłony myśliwców! Ale przecież tamten okręt był

zapowiadany! Nic już więcej nie gra. Ten zaszary Hermann!

Stanąć na kotwicy? Czy to nie byłoby lepsze? Tak dryfować nad minami to już najgorsze, co może być!

Kolana uginają się pode mną. Zaraz musi znowu rąbnąć. Ci na dole w siłowni... Tylko cienka warstwa stalowej skóry przeciwko minom!

Stary nie może dłużej zwlekać! Teraz musi się zdecydować: czekać na Tomków albo jak Blücher pod Katzbach... wtedy właśnie bez przerywacza zagród i bez trałowców.

Stary przybiera swój zwykły zamyślony wyraz twarzy. Ale istotnie daje komendy na diesel i również na ster. Stopniowo nasz dziób skręca ku słońcu. Tak sobie i myślałem: naprzód, przebojem!

Ale nie, Stary każe iść dieslowi całkiem wolno, by utrzymać okręt przeciwko prądowi. Drepczemy w miejscu.

Jeszcze żaden ranek na morzu nie był tak piękny. Nie wiem, czy to uroczysta wzniosłość tego świątecznego poranka, czy ta nędza na górnym pokładzie wyciska mi łzy z oczu. Nabrzmiwa we mnie szloch. Próbuję go zdławić. Nie mogę się przecież tu rozklejać!

Gdyby niebo przybrało się w żałobę, we mgłę i ciemność – prawdopodobnie łatwiej byłoby znieść tę ponurą scenę z rozbitkami. Ale to opalowożłote świecenie, które wypełnia teraz całe niebo i wdziera się w wodę, kontrastuje tak boleśnie, dręcząco, z wyglądem przemoczonych marynarzy na naszym górnym pokładzie, że mam ochotę płakać. Stoją na dole jak ciasno stłoczone owce. Każdy z nich zawinął się w ciemnoszary koc. Pod słońce nie można ich rozróżnić. Tworzą ciemną masę. Dwóch ma jeszcze czapki na głowach. Jeden z nich, chudy, wybujały facet, musi być pierwszym oficerem. Drugi jest starszym podoficerem. To prawdopodobnie bosman okrętowy. Motorzyści z pewnością się nie wydostali. Tak zawsze bywa. Zdaje się, że wszyscy są boso. Jeden zawinął sobie nawet nogawki, jakby zamierzał brodzić przez płytką wodę.

Nasz bosman z dwoma ludźmi próbuje wydobyć pustą tratwę. Sześć czy siedem jasnożółtych gumowych pontonów ułożył już przy kiosku.

Pod pokład Stary, jak się zdaje, nie chce wziąć nikogo. Nie miałoby to również celu. Przecież zanurzać się tutaj nie możemy. A do tego miny denne! Zostawić tych biedaków tam gdzie są, to jest najlepsze!

Już najwyższy czas na konwój! Anglicy nie zadowolą się po prostu jedną bombą. Halifax z pewnością meldował. Tomki wiedzą od dawna, że jeszcze drugi okręt czeka tutaj na bombę! Zaszara marynarka! Przecież w porcie musieli słyszeć, jak rąbnęło. Czy też w ogóle

nie istniejemy nawet w pasie przybrzeżnym? Dozorowce – również ich już zabrakło? Jesteśmy całkowicie opuszczeni?

Radzik Herrmann, nasz sanitariusz i dwaj marynarze zajmują się przy kiosku rannymi. Jednego starszego marynarza z tamtego okrętu paskudnie trafiło. Spalone ręce, głowa jak krwawa kula. Słona woda na surowe mięso! Przenika mnie drżenie. Nie mogę na to patrzeć.

Herrmann owija czerwoną głowę muślinem opatrunkowym, tak że wystają tylko oczy, nos i usta jak u Tuarega. Potem zapala papierosa i wtyka go Tuaregowi w zęby. Ten dziękuje mu skinieniem głowy. Pozostali również palą. Niektórzy siadają w swych mokrych łachach na pozostałościach naszej kratownicy.

Obcy pierwszy oficer i bosman przepatrują bez przerwy niebo. Zdaje się jednak, że ich chłopakom niebo jest całkowicie obojętne. Kilku wypuszcza nawet powietrze z kamizelek ratunkowych, żeby mogli wygodniej siedzieć.

Dowódca chce wiedzieć, ilu ludzi uratowano. Biorę się do liczenia: dwudziestu trzech na pokładzie dziobowym. Czterech leży z tyłu – to ciężko ranni. A więc dwudziestu siedmiu ludzi i dowódca – niewiele więcej niż połowa załogi.

Jak gładkie jest morze! Płaszczyna nie tkniętej metalowej folii. Czegoś takiego jeszcze nigdy nie widziałem. W powietrzu nie czuje się nawet najłżejszego podmuchu wiatru.

Nagle starszy sternik wola: – Obiekt pod kątem dwustu siedemdziesięciu stopni!

Nasze szkła przesuwają się, jakby kierowane przez magnes. Rzeczywiście – pływa jakiś nieduży ciemny przedmiot w jedwabistym błękicie. Nie można rozróżnić, co to jest. Opuszczam szkła i mrugam powiekami. Starszy sternik utrzymuje swą lornetę koniuszkami palców. Teraz wspina się na przyrządy optyczne, pochyla się skośnie do tyłu, szkła trzyma znowu koniuszkami palców. Bremer, ogłupiały, patrzy z otwartymi ustami w podanym kierunku.

Stary pyta starszego sternika z niecierpliwością w głosie: – Coś rozpoznano?

– Nie, panie kapitanie! Ale to musi być miejsce zatonięcia, sądząc według prądu. Podczas akcji ratunkowej znacznie nas przesunęło.

– Hm! – burczy Stary.

Mija jeszcze kilka minut, potem Stary z nagłym zdecydowaniem każe obrócić dziób i zwiększyć prędkość. Trzymamy kurs na ledwie widzialny przedmiot.

Co skłania Starego w tym zakażonym przez miny rejonie, by bez potrzeby tak jeździł z powodu jakiejś skrzyni czy starej beczki oleju? Wyzywać los? Czy to jeszcze nie starcza? Zaraz musi rąbnąć.

Stoję pochylony, napinając mięśnie brzucha i rozluźniając stawy kolanowe.

Tak mija pięć minut. Wtedy starszy sternik, który nawet na sekundę nie odejmował szkieł od oczu, mówi bez śladu wzruszenia w głosie: – Tam ktoś pływa!

– Tak właśnie myślałem! – odpowiada Stary również chłodno.

Ktoś pływa? Od zatonięcia okrętu Bremera minęła przynajmniej godzina, jeśli nie półtorej. Wszyscy wypatrywaliśmy oczy, wszyscy razem. Przecież nic nie było. Nic poza lustrzanie gładkim morzem.

Stary każe zwiększyć obroty. Zaraz będzie! Trzymam lornetę przy oczach. Kiedy podchodzimy bliżej, widzę: to jest człowiek. Wyraźnie można rozpoznać jego głowę nad wyдутą kamizelką. A teraz podnosi rękę.

Ludzie z górnego pokładu stłoczyli się na dziobie. Trzymają się spychacza sieci. Żeby tylko żaden nie wyleciał za burtę! Serce bije mi gwałtownie. Rzeczywiście, ktoś tam pływa! Starszy sternik, ten as, on zaraz wiedział, że tam nie dryfuje stara skrzynia.

Po klamrach zlączę z kiosku na pokład. Chcę zobaczyć człowieka, którego zaraz wyciągną z morza. Człowieku boży, chcę mu powiedzieć, powinien pan paść starszemu sternikowi na szyję. To była jedna szansa na tysiąc. Coś takiego potrafi tylko stary Kriechbaum. On uważa i myśli. Dla starego specjalisty od prądów sprawa była jasna: obiekt nie dryfował gdzieś tam, tylko dokładnie w miejscu zatonięcia okrętu.

Teraz go mają. Bosy. Najwyżej osiemnaście lat. Koszula i spodnie przyklejone do ciała. Ścieka z niego woda. Opiera się o kiosk, trzyma się jednak na nogach.

Skinąłem mu głową zachęcająco. Bez słowa. Nie chcę go teraz pytać, jak mu się udało wydostać z zatopionego okrętu.

To musi być motorzysta. Diesel albo silnik elektryczny. Prawdopodobnie jedyny, który wydostał się z przedziału rufowego. Ale dlaczego tak późno? Co tam było? Kto wie, co mógłby odpowiedzieć.

Teraz mówię: – Człowieku, miałeś szczęście, co?

Chłopak wciąga powietrze, siąka nosem i kiwa głową.

Bosman zjawia się z kocami. Nigdy nie myślałem, że nasz beo może być taki wrażliwy. Otula chłopaka z naprawdę matczyną troskliwością. Jezu, nie powinien był tego robić. Teraz dopiero chłopak załamuje się, zaczyna szlochać i szczerkać zębami.

– Dajcie no papierosa! – nakazuje bosman jednemu z naszych marynarzy. – Dalej, zapal go! No, dawaj.

Bosman ostrożnie sadza chłopaka na kratownicy, opiera go plecami o kiosk i wtyka mu papierosa w usta: – Masz szluga. Pociągnij sobie!

– Czas?

– Ósma dziesięć!

O ósmej miał zjawić się konwój. O, Boże!

Kamizelka ratunkowa zaczyna mi ciążyć.

Co za szczęście dla ludzi na górnym pokładzie, że nie ma wiatru, tylko ładna pogoda. Boże Narodzenie, a wcale nie zimno. Zaraz musi pojawić się słońce. Mimo to musimy się zatroszczyć, żeby ci przemoczeni chłopcy dostali coś na nogi. Nie potrzebujemy przecież naszych morskich butów. Bosman kazał ściągnąć już wszystkie możliwe łachy, przede wszystkim swetry.

Wchodzę, żeby zorganizować buty.

– Trzeba coś zrobić – To był Dorian. – Dowódca tamtego okrętu... on ma nie wszystko... gada od rzeczy.

Przechodzę przez mesę oficerską i staję jak rażony piorunem: pierwszy oficer postawił na stole maszynę do pisania i chce właśnie na niej stukać. Zapominam języka w gębie. Tego już za wiele! Demonstracyjnie wzdycham, ale pierwszy oficer nawet nie podnosi głowy. Wyciągniętymi palcami wskazującymi uderza w klawisze i patrzy skośnie w dół nieruchomymi jak u mewy oczyma. Najchętniej złapałbym tę maszynę i rąbnął nią go w łeb. Zamiast tego mówię tylko: – Wariat! – Przechodzę dalej na dziób i ryczę na jakiegoś marynarza: – Dalej, szybko, dawać buty! Człowieku, ruszaj się!

Co on ma właśnie teraz do pisania! Czyżby meldunki o wejściu? Niebo wie! Może jakiś rewers dla Bremera, porządnie wypisane na maszynie zaświadczenie, że go przejęliśmy wraz z połową jego załogi?

Ustawia się szybko łańcuch podających. Buty błyskawicznie wyjeżdżają na górę.

Wspinam się za ostatnią parą.

Starszy sternik woła głośno: – Eskorta! – i pokazuje ręką przed siebie.

Rzeczywiście, nad horyzontem ukazują się chmury dymu.

– Za późno, panowie! – warczy Stary.

Tuż przy uchu mam jakieś szybkie, ostre grzechotanie. Odwracam głowę. Mój Boże, to ten obcy dowódca. To jego zęby tak szczękają.

A teraz wschodzi słońce! Wysuwa się szybko nad szerokim, zabarwionym na czerwono pasmem chmur i unosi się jak olbrzymia pomarańcza w perłowej macicy nieba. Morze jest migotliwą taftą. Błękitna sylwetka zbliżającego się przerywacza zagród odcina się ostro ze wszystkimi nadbudówkami na tle czerwonej kuli. Nad ujściem rzeki widzę barokowo zaokrąglone chmury. Mają delikatny, błękitnoszary odcień gołębih piór. Ich dolny rąbek jest

spłaszczony i tylko przez wąskie, świecące żółto pęknięcie oddzielony od horyzontu, a najwyżej unoszące się obłoki obrzeżają się brokatowymi frędzlami.

Płonącymi oczyma patrzę na wznoszącą się szybko tarczę słońca. Coś śpiewa we mnie jeden z hymnów badacza Pisma Świętego:

*O, chwałą za to Najwyższemu Panu,
Że od wszelakiej grzechów wolni zmaży
Wejdzem na obiecane pola Kanaanu...*

– Istne wariactwo, jak to się składa – mówi Stary na stronie, tak że Bremer go nie słyszy. – Teraz wszystko znowu się zgadza: oczekiwano jednego okrętu i jeden tylko wchodzi.

Ogląda sobie przerywacza zagród. – Całkiem ładna łajba, dobre osiem tysięcy ton – mamrocze, nie opuszczając szkielec. – Tylko dwa małe dźwigi. Skąd go wytrzasnęli? A to co? – Przy ostatnich słowach Stary przeciąga i podnosi głos.

Teraz widzę to również: okręt po okręcie wychodzi zza horyzontu.

– Za wiele zaszczytu, moi panowie! – mówi Stary do siebie. Na przerywaczu zagród zapala się słońce: – Wezwanie od przerywacza zagród!

– Już zauważyłem, panie drugi. Dalej, dawać migacz. Najpierw zobaczymy, o co chodzi.

Słońce przygasa, zapala się znowu. Drugi czyta głośno: – s-e-r-d-e-c-z-n-i-e-w-i-t-a-m-y!

Stary mruczy: – Chyba jeszcze czegoś chcą?

– c-o-z-a-t-o-p-i-l-i-ś-c-i-e?

– To dotyczy pana – mówi dowódca, zwracając się do Bremera, który pozostał w dolnej części pomostu, a ponieważ my się wyprostowaliśmy przy osłonie, wygląda na skurczonego.

Bremer bezradnie zerka w górę.

– Durne tumany – mówi drugi oficer, nie spuszczać oczu z przerywacza zagród. – Brakuje tylko, żeby nam życzyli wesółych świąt!

– Ach, bzdury! – ostatecznie decyduje Stary. – Odniesiemy to pytanie po prostu do siebie. Dalej, niech pan przekaże: „Trzy piękne statki”.

Dźwignia migacza trzaska. Sekundowa pauza i już nadchodzi z tamtej strony: s-e-r-d-e-c-z-n-e-g-r-a-t-u-l-a-c-j-e!

Stary wykrzywia się i zagryza dolną wargę.

– Co pan sądzi, powinniśmy ich uświadomić? – pyta starszego sternika.

– Po prostu płynąć dalej, panie kapitanie. Spostrzegą dość wcześnie, kogo eskortują!

Jeśli mają oczy za szklami, myślę sobie, musieli już od dawna zobaczyć chłopaków na naszym górnym pokładzie. Tego rodzaju maskarada nie jest w końcu normalna w broni podwodnej. A te pneumatyczne pontony, które nasz bosman tak ładnie ułożył, również na co dzień się nie trafiają na górnym pokładzie wchodzących okrętów. Muszą przecież zauważyć, że tu coś się stało. I że w każdej chwili może mieć swój dalszy ciąg. Tomki przecież znowu wrócą. Na pewno nie zostawią nas bez prezentu!

Potem chcę się uspokoić: od min w każdym razie będziemy zaraz bezpieczni. A gdy nas teraz zaatakuje jeden samolot, natrafi na znacznie większą siłę ognia niż przed dwoma godzinami. Przerzywacz zagród jest dobrze obsadzony bronią przeciwlotniczą, a liczne dozorowce, które teraz nadchodzą, mają również swoje sikawki. Starego jednak najwidoczniej to nie uspokaja. Tak zdenerwowany, jak teraz, jeszcze nigdy nie był. Coraz to rzuca ponure spojrzenia ku niebu, które stopniowo zabarwia się na niebiesko.

– One natychmiast wiedzą, jeśli co jest wrong! – mówi drugi owu i ma na myśli mewy, które wielkim stadem okrążają okręt.

Mewy nabierają złotego światła na skrzydła i wydają przeraźliwe krzyki. Ani jedna nie porusza skrzydłami. Kiedy są dokładnie nad nami, wyciągają głowy, jakby czegoś szukały.

Nie mam ucha do komend na silniki i ster, które teraz wydaje sam Stary. Ani również oka dla nadchodzącej armady. Zdumiewam się tylko, jak swobodnie te łajby dymią: przed nami wisi prawdziwa gruba girlanda dymu na pastelowym tle porannego nieba. Czyżby za pomocą tego dymienia chcieli ściągnąć na siebie przeciwnika, gdyby się znowu ukazał, i odwrócić jego uwagę od nas?

Mam znowu pełne ręce roboty z przyjmowaniem i podawaniem dalej kocy i tenisówek. Potem jednak dostrzegam pogłębiarkę, kiedy pojawia się z prawej burty na trawersie. Widać ciemnoczerwoną farbę jej dna. Czarne ściany burt pokryte są jak wysypką czerwonymi plamami minii. Parę minut później ciemny kolos przesuwa się po prawej burcie. To jedna z pogłębiarek, które tu bez przerwy pracują, ażeby utrzymać głębszy rów wejściowy dla okrętów.

A teraz mogę wreszcie chwycić lornetę i patrzeć nad naszym dziobem: brzeg jest tylko cienką kreską. Jednak tam są dźwigi, małe jak zabawki. Na przerywaczu zagród, który teraz bezpośrednio przed nami trzyma kurs na brzeg, mogę już wyraźnie rozróżnić poszczególnych

ludzi.

Musimy czekać w awanporcie. Na górnym pokładzie przygotowuje się już cumy. Przy tym nasi marynarze z największą ostrożnością omijają rannych.

Z punktu sygnałowego pada wezwanie. Starszy sternik czyta: „Natychmiast wchodzić”! Widzimy przez szkła, jak z przodu podnosi się jakiś most. Na nabrzeżu widać już gromadę ludzi. Bogu dzięki: nie ma orkiestry dętej!

Parę mew skrzeczy nienaturalnie głośno w dziwnej ciszy, podczas gdy okręt powoli przesuwa się między porośniętymi mchem murami śluzy. Z pirsu rzucają nam małe bukietki kwiatów z jodłowymi gałązkami. Nikt ich nie podnosi.

Stara niechęć wobec ludzi na nabrzeżu. Wiem, że u wszystkich którzy stoją tu na pomoście, jest tak samo. Jesteśmy rozdrażnieni jak zwierzęta, które reagują gniewem na każdy fałszywy gest.

Przeraźliwe gwizdki, skierowane do grupy cumujących na górnym pokładzie. Cумы leżą porządnie zwinięte w pogotowiu na dziobie i rufie. Również i nasze grube plecione odbijacze.

Teraz parę cienkich rzutek leci na keję, żołnierze chwytają je i ciągną za nimi grube cumy. Marynarze przychodzą im z pomocą i obkładają je, jak należy, na potężnych żelaznych polerach. Śruby bełtają wodę i stopniowo przyciskają okręt do zielonego mchu muru śluzy.

– Stop, silnik stop! Załoga, zbiórka na rufie! – komenderuje dowódca zachrypłym głosem.

Tamci z góry patrzą na nasz rozdarty górny pokład, na stłoczonych jak owce rozbitków, na rannych. Spoglądam na zaniepokojone twarze.

Teraz przesuwa się trap. Wskazuje skośnie w górę: jesteśmy znowu związani ze stałą ziemią.

Jeszcze zanim ucho uchwyciło warkot, wyczułem go już, jakbym go wciągnął razem z powietrzem: samoloty!

Warkot nadlatuje od strony morza. To oczekiwana eskadra! Wszyscy podnoszą głowy. Dźwięk staje się silniejszy, głębszy i zwarty. Już ujada artyleria przeciwlotnicza. Tam – nad morzem – na niebie stoją malutkie białe chmurki jak tampony waty. Błyskawica światła: płat jakiejś maszyny! Widzę ciemne punkty: pięć... sześć bombowców. Siedem! Cała armada!

W trzask poczwórnej pelotki wdziera się ostre syczenie. Cienie przelatują nad chłodniami. Wszystko się rozsypuje.

Stary ryczy na mnie: – Dalej, uciekać stąd! Do schronu! – Głos mu się załamuje.

Serie pocisków już trzaskają o bruk. Odłamki kamieni wylatują w górę. Myśliwce!

To nie w nas celowały.

Zwalczają stanowiska artylerii przeciwlotniczej! Kombinowany nalot bombowców i myśliwców! – myśli coś we mnie.

Tu i ówdzie pęka bruk, wznoszą się fontanny żwiru. Dziwnie wolno odłamki kamieni przelatują w powietrzu.

Brakuje mi jeszcze pięćdziesiąt metrów do pancernych drzwi schronu, zaryglowanych od wewnątrz z wyjątkiem wąskiej szpary do przejścia. Wyskakuję, załamuję się w kolanach, czuję gwałtowny ból w udach. Moje nogi są chwiejnymi szcudłami, nad którymi nie mam władzy. Wygląda na to, jakbym zapomniał już biegać.

Krzyki. Wiele białych chmurek na niebie. Wycie syren. Trzeszczenie i świst serii kaemów. Pośpieszne szczekanie dział pelot średniego kalibru. Terkot serii. Kakofonia najróżnorodniejszych rytmów detonacji. Dym, grzyby dymu, a między nimi szare cielska samolotów. Które są nasze, a które obce myśliwce? Widzę dwukadłubowego lightninga, a wysoko w górze rój bombowców.

Słyszę ostre sapanie lekkiej pelotki, trzeszczenie broni maszynowej. Świst odłamków. Pomruk. Śpiewny gwizd. Dalej uroczyste łomotanie ciężkiej artylerii przeciwlotniczej. Samoloty nadchodzą na różnych wysokościach.

Przede mną groteskowy balet. Choreografia wariata na olbrzymiej brukowanej scenie z mamucią budowlą schronu okrętów podwodnych jako kulisą. Rzucające się na ziemię postacie, biegnące zygzakiem, osuwające się, zrywające w górę. Gęste grupy tancerzy i rozproszone grupy. Falujące naprzód i w tył. Jeden wyrzuca ręce w górę, wykonuje piruet i osuwa się potem, dłonie ma skierowane ku górze, opada w głębokim dworskim ukłonie.

Znowu zbliżający się ryk silników. Jakaś niewidoczna pięść uderza mnie pod kolanami. Przyciśnięty do bruku, kurczowo szukam słowa, z którego tylko koniuszek pozostał mi w mózgu: atro... atro... atro... W gwałtowne wysiłki mego umysłu wdziera się nowe wycie. Ciśnienie powietrza przydusza mnie mocno do ziemi, maszyna po maszynie pędzi nade mną. Atrofia... tak.

Jakiś bombowiec rozlatuje się w powietrzu. Strzępy płatów spadają korkociągiem. Kadłub z hukiem wali się za schronem. Od kurzu i dymu niemal nie mogę oddychać. Wymachując ramionami, osiągam betonową ścianę, przeciskam się przez szczelinę w róg schronu, potykam się o kogoś, kto leży na ziemi, uderzam czołem, przetaczam się w bok.

Najpierw wyciągnąć się, najpierw leżeć! Błoto. Kurz w powietrzu.

Trzask serii brzmi teraz bardziej głucho. Macam czoło, nie jestem zaskoczony, że

czuję lepką krew. Człowiek koło mnie jęczy i trzyma się za brzuch. Gdy moje oczy przyzwyczajają się do półmroku, rozpoznaję go: szare ubranie sztormowe... to jeden z okrętu – Zeitler.

Z tyłu ktoś łapie mnie pod pachy i próbuje postawić na nogach.

– Już dobrze. Dziękuję!

Stoję, zataczam się, mgła przed oczami. Ten człowiek z tyłu podpiera mnie. Teraz rozjaśnia się mgła. Mogę stać sam. Nagle rozlega się tak potworny huk, że bębunki w uszach chcą mi pęknąć. Cały schron jest tytanicznym, drżącym pudłem rezonansowym. Ziemia chwieje się pode mną. Z powały nad pierwszym dkiem pływającym, z którego widzę tylko połowę, walą się olbrzymie kawały betonu, wpadają w wodę i tłuką w okręt, który jest przycumowany do pirsu. I nagle otwiera się biała jasność – dziura w stropie.

Światło!

Wstaję z wysiłkiem.

Dziura ma przynajmniej trzy metry średnicy. Żelazna plecionka z grubymi bryłami betonu zwiesza się wokół otworu. Plecionka porusza się, spadają z niej coraz to nowe bryły.

Woda w doku nie przestaje tryskać na nabrzeża. Mój Boże, przebić siedem metrów betonu! Tego jeszcze nie było! Krzyki, rozkazy. Bieganina teraz również w schronie.

Stropy schronów uchodziły za bezpieczne przeciwko wszystkim kalibrom.

Ale skąd tu tyle pary?

Z zewnątrz słyszę ciągle wściekłe strzały i grzmoty jak podczas gwałtownej burzy.

Potężna chmura pyłu opada. Na języku mam smak futra. Brak już powietrza do oddychania. Wstrząsa mną gwałtowny kaszel. Muszę, osłaniając głowę przedramieniem, oprzeć się o ścianę.

Powietrza! Tylko powietrza! Tu się uduszę. Przez gęste kłębowisko ludzi przedzieram się znowu do potężnej pancерnej bramy, ciosami pięści spycham w bok dwóch robotników stoczniowych, którzy chcieli mi zagrozić drogę, i wysuwam się przez wąską szczelinę. Nic, tylko czarny dym płonącej ropy.

Nie: cały basen portowy jest jednym wielkim paleniskiem. Tylko żurawie sterczą nie tknięte nad falującymi chmurami ognia. Ostry trzask i przejmujące wycie syreny jakiegoś statku.

Zwracam oczy w prawo, ku śluzie. Niebo jest tu wolniejsze. Widzę zerwane dachy baraków, zamienione w kupę gruzów domy. Pogięte druty, strzępy poskręcane żelaza leżą u moich stóp. Nieomal wpadam do leja, którego nie zauważyłem w dymie. Jakiś ranny podnosi się z ziemi, szaleństwo w spojrzeniu. Teraz wszędzie słyszę jęki i wycia. W kurzu i

dymie musi leżeć jeszcze wielu rannych.

Okręt! Co się stało z okrętem?

Powiew wiatru zrywa zasłonę dymu. Przełazę przez wygięte do góry szyny, obchodzę dwóch zabitych, przebiegam koło czerwonego od minii żelaznego rumowiska. Przedemną dymiącą hałda kamieni spada do wody. Mój Boże, to było nabrzeże! A okręt? Gdzie jest nasz okręt? Widzę wystający z wody kawał żelaza jak olbrzymi lemiesz pługa – przy nim spychacz sieci. To dziób okrętu podwodnego! Zdruzgotane drewniane belki pływają po wodzie. Wodzie? To wszystko jest ropa! A te czarne tobołki, które tam się unoszą: trzy... cztery... więcej... – to są ludzie! Te punkty między wzdymającymi się pęcherzami to muszą być ludzie z naszego okrętu. Stary? Gdzie jest Stary? Dlaczego nic się nie rusza? Nasuwa się smuga dymu. Za mną krzyk. Zbliża się szeroko rozciągnięta tyraliera żołnierzy i stoczniovców. Dwie ciężarówki pędzą, trąbiąc bez przerwy, wykonują slalom między lejami.

W dymie widzę Starego: zalany krwią, sweter i koszula w strzępach. Jego oczy, zawsze przymrużone, są teraz szeroko rozwarte. Prawie jednocześnie padamy na kolana i klęczymy tak na roztrzaskanych kamieniach, podpierając się rękami, naprzeciwko siebie jak dwaj zapaśnicy sumo. Stary otwiera usta, jakby chciał wrzasnąć. Ale to krew tryska mu z ust.

Słownik

Uwaga: określenia stopni i funkcji w niemieckiej marynarce wojennej często różnią się od polskich. W przekładzie częściowo zachowano nomenklaturę niemiecką.

aldis – lampa sygnałowa

ambona – podwyższona platforma w lesie, służąca za stanowisko dla myśliwych

aniołek – samolot nieprzyjacielski

asdic – aktywne urządzenie hydrolokacyjne do wykrywania okrętów podwodnych

beo – b.o., bosman okrętowy

baby-officer (z ang.) – oficer-dziecko

bakista – szafka na rzeczy osobiste

bandirellas (hiszp.) – małe włócznie, ozdobione wstążkami, wbijane w kark byka na corridzie

Binding (Rudolf) – pisarz niemiecki (1867-1938)

blacharz – żandarm, policjant

Blücher (Gebhard Leberecht) – feldmarszałek pruski, zwolennik działań zaberecht) czepnych przeciw Napoleonowi, przyczynił się do zwycięstw pod Lipskiem i Waterloo (1742-1819)

Blue Funnel (ang.) – dosł. Niebieski Komin (linia żegl.)

bonowa zagroda – przeszkody w postaci beczek, belek, sieci itp. przeciw okrętom podwodnym

bosmanmat – stopień podoficerski odpowiadający plutonowemu w armii lądowej

BRT – tony rejestrowe brutto – miara pojemności statku

buen viaje (hiszp.) – szczęśliwej drogi

buenas noches (hiszp.) – dobry wieczór, dobranoc

Bunte Kun – okręt średniowiecznych piratów bałtyckich

chace-sexe (fr.) – przepaska

chapeau (fr.) – właśc. „chapeau bas!” – „zdjąć kapelusz” w zn. „z całym szacunkiem”

Car l'oiseau... (fr.) – Bowiem ptak, który odleciał...

C'est bien ce que je dis... – Czy dobrze powiedziałam...

un seul mot? (fr.) – jedno słowo?

C'est fantastique... – To fantastyczne...

cielak – duża bomba lub pocisk artyleryjski

commander (ang.) – dowódca

cochon (fr.) – świnia

comme ci, comme ça – tak sobie, jakoś leci (fr.)

creme de la creme (fr.) – sama śmietanka

Coué (Emile) – aptekarz francuski, badacz zjawisk hipnotycznych, twórca metody leczenia przez autosugestię (1857-1926)

cukierek – p. „strzelający cukierek”

cykor kręcić – bać się

czif (Chief) (z ang.) – główny mechanik, odpowiedzialny za siłownię i wyposażenie techniczne statku. W zasadzie określenie to odnosi się do gł. mech. na statkach handlowych, bywa jednak używane i na okrętach wojennych

DDB – dziennik działań bojowych

deef – d.f., dowódca flotylli

dębowe liście – Krzyż Rycerski Żelaznego Krzyża z Dębowymi Liśćmi, ustanowiony 1 września 1939 r. niemiecki order wojskowy, jako wyższa klasa istniejącego od r. 1813 Żelaznego Krzyża. Kolejność klas była następująca (od najniższej) ŻK 2 kl., ŻK 1 kl., Krzyż Rycerski, Krzyż Rycerski z Dęb. Liśćmi, Wielki Krzyż ŻK. Podczas wojny wprowadzono jeszcze klasę „z Mieczami i Brylantami”.

DOP – dowódca okrętów podwodnych

Dos mil pasajeros...(hiszp.) – Dwa tysiące pasażerów... do Ameryki Południowej... Buenos Aires!

dozorowiec – okręt przeznaczony do służby patrolowej, ochrony dużych okrętów wojennych i statków oraz obrony wybrzeża

drugi – w niemieckiej nomenklaturze morskiej – drugi oficer wachtowy, pomocnik dowódcy okrętu drugi oficer wachtowy, pomocnik dowódcy okrętu

Dulce et decorum est pro patria mori (łac.) – Słodko i zaszczytnie jest umrzeć za ojczyznę

dzielność morską – zespół cech konstrukcyjnych okrętu, zapewniających mu

właściwe zachowanie się na morzu

eau de Javel (z franc.) – środek dezynfekcyjny

esban (niem.) – S-bahn, szybka kolej miejska

eskortowiec – okręt przeznaczony do ochrony konwojów morskich

Et toi? (fr.) – A ty?

exitus – zejście śmiertelne

fairness (ang.) – przyzwoitość, uczciwa gra

fais vite (fr.) – śpiesz się

fini (fr.) – skończone

fisimatenty (niem. gw. Fisimatenten) – wykręty, pusta gadanina. Etymologicznie słowo to wywodzi się prawdopodobnie ze średniowiecznej łaciny

fishermeni (z ang.) – rybacy

funny (ang.) – wesoły

fregata – typ okrętu eskortowego

Glückstadt – dosł. miasto szczęścia

gorgonzola – gatunek ostrego sera włoskiego

gracias (hiszp.) – dziękuję

Gröfaz – ironiczne określenie Hitlera, skrót od „grösster Führer aller Zeiten” – największy wódz wszystkich czasów

halifax – typ samolotu bombowego

hands up (ang.) – ręce do góry

Hapag – skrót od: Hamburg-Amcrikanische Paketfahrt AG. – Hambursko-Amerykański Przewóz Przesyłek Pocztowych SA (linia żeglugowa)

Hiroshige (Utagawa) – mistrz japońskiego drzeworytu barwnego (1797-1858)

In my solitude (ang.)... – W mojej samotności...

It's our turn (ang.) – Teraz nasza kolej

J'ai env:e (fr.) – mam chędkę

J'a me Rambran... (fr.) – kocham Rembrandta... bo on ma swój styl

J'aUendrai... (fr.) – Co dzień i co noc czekam (chwili tej) – przebój międzynarodowy w latach wojny

je te poussf avcc mon – zepchnę cię tyłkiem cul dehors

Jeu du voyage? (fr.) – Zabawa w podróż?

kambuz – kuchnia na okręcie

keja. – nabrzeże z urządzeniami cumowniczymi

killer(s) (ang.) – zabójca (y)

Kia bund – pseudonim pisarza niemieckiego Alfreda Henschke (ur. 1891)

koga – statek żaglowy z XIII-XV wieku, używany na Bałtyku

korweta – tu: typ okrętu eskortowego do ochrony konwojów (o wyporności 900-1500 ton)

koziół hiszpański – zaporą saperską z belek omotanych drutem kolczastym

kuk – kok, kucharz okrętowy

kulani – marynarska kurtka mundurowa (od nazwiska kilońskiego krawca)

lichtuga – jednostka pływająca taboru portowego służąca do przewozu towarów ze statku, jeśli z jakichś powodów nie może on podejść do nabrzeża

Liczyrzepa – legendarny duch Gór Olbrzymich

lord – żartobliwe określenie marynarza pokładowego

luk – zamykany otwór w pokładzie statku, właz

maintenant (fr.) – teraz

maquis (fr.) – dosł. „krzaki”, członkowie francuskiego ruchu oporu

mat – stopień podoficerski odpowiadający kapralowi

matchbox label (ang.) – etykieta pudełka zapalek

ma vie privée (fr.) – moje życie prywatne

merhant (fr.) – podły

menenke (gw. niem.) – złudzenia, oszustwo. Pochodzenie tego słowa z jęz. żydowskiego jest jednak kwestionowane przez niektórych etymologów

mesa – jadalnia, pomieszczenie do wspólnych spotkań załogi

mesa O, P, ,SP – mesa oficerska, podoficerska, dla starszych podoficerów

mombrille (fr.) – pępek

meme pas pour quatre sous (fr.) – nawet nie za cztery sous

Nemrod (imię biblijne) – żart.: znakomity myśliwy

niszczyciel – uniwersalny okręt nawodny o wyporności 1300-5000 ton, charakteryzujący się dużą szybkością i silnym uzbrojeniem

nomen est omen (łac.) – w imieniu (nazwie) objawia się charakter

not yet (ang.) – jeszcze nie

Now I am... in no codi tino to fuck (ang.) – Teraz nie mam... kondycji do ciupciana

oerlikon – szybkostrzelne działko

O'Ranzo was no sailor... (ang.) – O'Ranzo nie. był żeglarzem, przyjął na pokład wielorybnika...

O.W., owu – oficer wachtowy (jego funkcje są jednak nieco inne niż w polskiej marynarce wojennej)

OT = Organisation Todt – oddziały budowlane Todta

palacz diesla, palacz silników elektrycznych – stopnie (nie funkcje!) załogi maszynowej

papenberg – przyrząd wskazujący precyzyjnie zmiany w zanurzeniu okrętu na małych głębokościach

partout (z fr.) – tu: za wszelką cenę

pelot – przeciwlotniczy

pelotka – działko przeciwlotnicze, artyleria przeciwlotnicza

perhaps I am Napoleon... (ang.) – Może jestem Napoleonem, może jestem królem...

picobello (z włosk.) – bardzo elegancko, bardzo czysto

pierwszy – w niemieckiej marynarce wojennej pierwszy oficer wachtowy, zastępca dowódcy okrętu

pirs – pomost prostopadły do nabrzeża

poore wool (ang.) – czysta wełna

poler – pacholek, słupek na nabrzeżu, służący do cumowania okrętu lub statku

popcorn (ang.) – prażona kukurydza

porte-épée (z fr.) – chwaścik noszony przy rękojeści broni białej, oznaka starszych podoficerów w armii niemieckiej

Pour moi c'est la boîte a ordure (fr.) – Dla mnie to jest śmietniczka.)

pryz – zdobycz w wojnie morskiej

peryskop – przyrząd do obserwacji morza z. zanurzonego okrętu. Składa się ze stalowej rury i urządzeń optycznych.

refować – skracać żagle

Ringelnatz (Joachim) – pseudonim pisarza i malarza niemieckiego Hansa Böttichera (1883-1934)

Rüdesheim – miasto nad Renem, słynące ze swoich winnic

rush hour (ang.) – godzina szczytu

Quand est-ce que vous partez? Vers quel heure? (fr.) – Kiedy wypływacie? O której godzinie?

Quand ce coq chantera... (fr.) – Kiedy ten kogut zapieje, udzielimy kredytu

qui vive (franc.) – tu: w napięciu, w pogotowiu

SD – Sicherheitsdienst – Służba Bezpieczeństwa

sekt – niemieckie wino musujące

shock protected (ang.) – odporny na wstrząsy

Si tu ne... (fr.) – Jeśli nie...

Sous ma porte... (fr.) – Pod moją bramą akordeon wyśpiewuje znaną muzykę starodawnych piosenek. Zapominam o biedzie, gdy przybył akordeon pod bramę mojego starego domu.

stainless (ang.) – nierdzewny

starszy maszynista – stopień wojskowy w załodze maszynowej w niemieckiej marynarce wojennej

starszy sternik – stopień wojskowy w niemieckiej marynarce wojennej odpowiadający starszemu sierżantowi w armii lądowej

stenga – przedłużenie kolumny masztu

siewa – część szkieletu okrętu, przedłużenie stępki

stół nakresowy – stół, na którym leży mapa ze stale nanoszoną na bieżąco pozycją okrętu od chwili wyjścia z portu (nakresem drogi okrętu)

Störtebekerzy – od nazwiska Klause Störtebekera, przywódcy piratów działających na Bałtyku i Morzu Północnym w końcu XV wieku.

szpigaty – otwory do odprowadzania wody z pokładu

strzelający cukierek – petarda, bomba głębinowa, równ. tzw. Żabka (rodzaj małej

petardy)

submaryna (z franc.) – okręt podwodny

Swiss made – wyrób szwajcarski

szlug – papieros

zasować – wyciskać wodę ze zbiorników balastowych za pomocą sprężonego powietrza

szpring – jedna z lin przytrzymujących okręt u nabrzeża, umocowana na dziobie lub rufie prowadzi do punktu znajdującego się na wysokości środka okrętu na nabrzeżu

świr – głupstwo, wariactwo, wariat

tabula rasa (łac.) – czysta tablica, pustka

tiens (fr.) – masz ci los!

tipsy (ang.) – podchmielony

Tomek – żołnierz angielski

top – czubek masztu

touché (fr.) – trafiony

toupet (fr.) – półperuczka

trałowiec – okręt przeznaczony do wykrywania i niszczenia min morskich

trawers – kierunek prostopadły do osi i kursu okrętu

trompe-l'oeil (fr.) – złudzenie optyczne

trouble (ang.) – kłopot, trudność

trym – przechylenie okrętu w stronę dziobu lub rufy

trymować – rozmieszczać balast lub ładunek w ten sposób by okręt (statek) zachował właściwą stateczność

UA, UF, UT itd. – oznaczenia niemieckich okrętów podwodnych

up and down (ang.) – w górę i w dół

unshrinkable (ang.) – niemnący

urkowski – złodziejski veni, vidi, vici (Jac.) – przybyłem, zobaczyłem, zwyciężyłem

vive la France! (fr.) – niech żyje Francja!

voyeur (fr.) – podglądacz

wanty – liny stalowe podtrzymujące maszt z boków

waterproof (ang.) – wodoodporny

Whafs the name of your ship? – Jaka jest nazwa waszego statku?

Where ist the tiger? – Gdzie jest tygrys?

wrong (ang.) – źle

zejman – stary doświadczony marynarz

zeza – miejsce na okręcie, gdzie gromadzi się przeciekła do kadłuba woda

żelazko – okręt podwodny

żyrokompas – kompas elektromechaniczny